



Felix J. Palma

Mapa Nieba

Przełożyły
Patrycja Zarawska
Iwona Michałowska-Gabrych

Dla M. J., nareszcie
I dla Alexa, który napisał ostatnie słowo tej historii

W skali kosmicznej tylko fantastyka
ma szansę okazać się prawdą.

Pierre Teilhard de Chardin

Próżne i niedorzeczne jest odrzucanie potępianie jako fałszu tego, co nie wydaje się
nam pewne.

Michel de Montaigne
Próby

– Co wam wiadomo o Marsie? – zapytał [Gusiew], – Mieszkają tam ludzie czy może
potwory?

Aleksy Tolstoj
Aelita

CZEŚĆ PIERWSZA

Naprzód, drogi Czytelniku, zapuść się bez lęku w gąszcz stronic naszego melodramatu – czekają cię tu niewiarygodne przygody, które wystawią na próbę twe serce, a być może również twój zdrowy rozsądek!

Jeżeli uważasz, że nasza planeta krąży w bezkresnym wszechświecie, w którym niczego nie trzeba się obawiać, oto odkryjesz, że najbardziej niepojęty strach może do nas przybyć właśnie z gwiazd.

Moją powinnością jest jednak ostrzec cię, dzielny Czytelniku, że przyjdzie ci stanąć wobec grozy takiego rodzaju, o jakiego spłodzenie twoja niewinna dusza nigdy nie podejrzewałaby Stwórcy.

Jeśli ta historia nie wywoła w tobie ogromnych emocji, zwrócimy ci twoje pięć centów, abys je przeznaczył na coś bardziej ekscytującego... o ile zdołasz coś takiego znaleźć.

I

Herbert George Wells wolałby żyć w świecie bardziej sprawiedliwym i pełnym poszanowania dla drugiego człowieka, świecie, w którym istniałoby coś w rodzaju artystycznej moralności zakazującej wykorzystywania cudzych pomysłów dla własnej korzyści, a niegodziwcy, którzy odważyliby się to zrobić, zostawaliby nagle pozbawieni swego wątpliwego talentu i skazani na niewdzięczny żywot zwykłych zjadaczy chleba. Niestety jednak świat, w którym przyszło mu wieść życie, przedstawiał się inaczej. Wszystko w nim było dozwolone, albo przynajmniej tak uważał Wells. Sądził tak nie bez powodu, ponieważ zaledwie kilka miesięcy po opublikowaniu *Wojny światów* pewien amerykański gryziپیórek, niejaki Garrett P. Serviss, miał czelność napisać kontynuację tej historii, nawet nie powiadamiając go o tym, a wręcz będąc zdania, że autora powieści może to jedynie ucieszyć.

Z tej właśnie przyczyny w południe owego gorącego czerwcowego dnia prozaik podpisujący się na swoich dziełach jako H.G. Wells pogrążony w myślach przemierzał ulice Londynu, największej, najbardziej próżnej i zadufanej w sobie ziemskiej metropolii tamtych czasów. Przecinał Soho, kierując się do tawerny Pod Koroną i Kotwicą, dokąd rzezony Serviss, przebywający z wizytą w Anglii, zaprosił go na lunch w złudnej nadziei, że za sprawą piwa i smacznego poczęstunku ich dusze połączy braterstwo, do którego on czuł się zobowiązany. Lecz jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkanie nie przebiegnie tak, jak naiwnie wyobrażał sobie Serviss, ponieważ Wells ma zupełnie inne plany, bynajmniej niezakładające braterstwa równych sobie twórców, którego domagał się Amerykanin. I nie chodzi o to, że angielski pisarz miał zamiar przekształcić w sąd wojenny to, co mogło się rozwinąć w przyjemny posiłek, ponieważ uważał swą powieść za mistrzowskie dzieło, którego walory zostałyby w nieunikniony sposób splamione, gdyby ktoś dodał doń drugą część. Nie, tak naprawdę Wells obawiał się czego innego – że pomysł tamtego człowieka okaże się lepszy od jego własnego. Ta możliwość poruszała go do głębi, wywołując wszelkiego rodzaju wzburzone fale na spokojnym stawie, do którego lubił porównywać swą duszę.

Prawdę rzekłszy, *Wojna światów* wydawała mu się, tak jak wszystkie jego poprzednie powieści, dziełem niesatysfakcjonującym, które podobnie jak one chybiło celu. Opowiedział o podboju Ziemi przez Marsjan posiadających technologię znacznie przewyższającą osiągnięcia ludzi, a zrobił to, naśladując weryzm, jakim sir George Chesney przesycił swą powieść *Bitwa pod Dorking: Reminiscences of a Volunteer*, w której nie skąpiąc soczystych szczegółów, zdaje relację z rzekomej inwazji Niemiec na Anglię. Posługując się podobnym realizmem, umocnionym przyporami opisów tyleż drobiazgowymi, ile przerażającymi, Wells przedstawił zniszczenie Londynu, którego Marsjanie dokonują bez najmniejszego wysiłku czy cienia litości, jak gdyby ludzie nie zasługiwali na więcej szacunku niż karaluchy. W ciągu kilku dni nasi kosmiczni sąsiedzi podeptali prawa i poczucie własnej wartości Ziemian, okazując im taką samą pogardę, z jaką Brytyjczycy traktowali tubylczą ludność podbijanych krain. Sami zamierzali objąć Ziemię w posiadanie, jej mieszkańców przekształcając w niewolników, a planetę w coś na podobieństwo uzdrowiska dla marsjańskiej elity. Nic nie było ich w stanie powstrzymać. Absolutnie nic. Za pomocą tej mrocznej fabuły Wells chciał wymierzyć miazdzącą krytykę w nieznanego umiaru ducha brytyjskiego imperializmu, którego nienawidził aż do mdłości. Jednakże pogląd, jakoby Mars był zamieszkały – dzięki nowym, zaawansowanym teleskopom, takim jak wynalazek Włocha Giovanniego Schiaparellego,

na powierzchni Czerwonej Planety odkryto przecinające ją linie, a niektórzy astronomowie pośpiesznie zapewnili, jak gdyby sami tam często bywali, że są to kanały zbudowane przez inteligentną cywilizację – zaszczerpił ludziom strach przed inwazją Marsjan, taką jak ta opisana w powieści, która przyciągnęła całą uwagę czytelnika, odwracając ją od prawdziwych intencji pisarza. Trzeba przyznać, że Wellsa taka reakcja zbyt nie zaskoczyła, jako że coś podobnego zdarzyło się już z *Wehikulem czasu* – głupie tytułowe urządzenie przesłoniło czytelnikom atak na ówczesne społeczeństwo klasowe, który autor zawoalował na kartach swej powieści.

A teraz ten cały Serviss, najwyraźniej cieszący się reputacją dziennikarza propagującego w swoim kraju naukę, napisał kontynuację *Wojny światów*. *Edison podbija Marsa*. I co zawarł Serviss w swym dziele? Tytuł nie pozostawiał złudzeń: bohaterem powieści jest sam Thomas Edison, którego niezliczone wynalazki w oczach Amerykanów już dawniej uczyniły kogoś na podobieństwo herosa i zapewniły mu główną rolę w najróżniejszych rodzimych utworach literackich. W „kontynuacji” *Wojny światów* niewyczerpany w swoim geniuszu Edison wynajduje potężną broń rażącą promieniami i z pomocą wszystkich narodów świata buduje flotę statków kosmicznych o antygrawitacyjnym napędzie, których załoga pchana żądzą zemsty wyrusza na Marsa. Taki, ni mniej, ni więcej, jest przebieg wypadków w tym dziele.

Gdy Serviss przesłał mu swoją powieść – wraz z listem, w którym wychwalał jego twórczość z tak groteskowym zapalem, że robiło się od tego niedobrze, a wśród rozmaitych omówień i podchodów niemal żądał, aby angielski pisarz pobłogosławił sequel – Wells nawet mu nie odpowiedział. Ani na ten list, ani na kilka następnych, w których Amerykanin niestrudzenie domagał się aprobaty, a wręcz odważył się zaproponować – opierając się na podobieństwie tematyki i wspólnych zainteresowaniach, jakie jego zdaniem ich łączą – aby kolejną powieść napisali wspólnie. A Wells nie odpowiadał, ponieważ po przeczytaniu tamtego utworu odczuwał tylko mieszaninę gniewu i odrazy. Dzieło Amerykanina, tyleż dziecinne, co nieporadne, było bezczelną zniewagą dla pozostałych pisarzy, którzy – tak jak on – dokładali wysiłków, aby zapłacić w witryny księgarni mniej lub bardziej wartościowymi wytworami własnej fantazji. Jego milcząca rezerwa nie powstrzymała jednak napływu listów; przeciwnie, zdawała się go nasilać. W ostatnim z nich niestrudzony Serviss błagał go, aby – wykorzystując fakt, że w przyszłym tygodniu przybędzie do Londynu i pozostanie tam przez kilka dni – był tak uprzejmy i przyjął zaproszenie na wspólny lunch, ponieważ nic bardziej by go nie uszczęśliwiło aniżeli spędzenie paru godzin na miłej rozmowie z podziwianym pisarzem, z którym tak wiele go łączy.

Skoro przyszło do tego, Wells postanowił przerwać swoje z zamierzenia zniechęcające, a najwyraźniej nieskuteczne milczenie, i zgodzić się na spotkanie. Lunch wydał mu się doskonałą okazją, by usiąść przed Amerykaninem i wyjawić mu, za co naprawdę uważa jego powieść. Czy Serviss chce jego opinii? Czy pragnie usłyszeć prawdę? Bo on mu ją wyłoży kawa na lawę. Jasne, że tak. Wells już sobie wyobrażał przebieg tego spotkania: usiądzie przed nim uzbrojony w niezmacony spokój i opanowanym głosem, nie popadając w nieuprzejmość, która zdradziłaby jego wściekłość, powie, jaki wstręt wzbudziła w nim powieść z wyidealizowanym Edisonem w roli głównej, ponieważ jemu wynalazca żarówki jawił się jako niegodny zaufania typ, który udoskonalał swoje pomysły kosztem innych osób, i obdarzony geniuszem zły charakter rozmiłowany w projektowaniu śmiertelnej broni. Powie Servissowi, że powieść, którą napisał, nie jest godna być następczynią jego dzieła – zarówno ze względu na jej nikłą

wartość literacką, jak i z powodu odrażającej fabuły. Powie mu, że jej przesłanie, zupełnie przeciwne do tego, które niesie *Wojna światów*, byłoby bardziej odpowiednie dla patriotycznego pamfletu, ponieważ dziecinny morał, jaki pozostawał po wyciśnięciu tej garści ohydnych stron, można streścić w kilku słowach: nie jest dobrze zadzierać z ludźmi, a dokładniej: nie jest rozsądnie drażnić wielkiego Thomasa Edisona ani tym bardziej Stany Zjednoczone. Po owej reprimendzie dodatkową porcją mądrości dla upokorzonego Servissa będzie ta nauczka, że to on, zapraszający, zapłaci za cały posiłek.

Wells tak był pogrążony w swych rozmyślaniach, że kiedy wrócił do rzeczywistości, odkrył, iż nogi zaniósły go na Greek Street, którą nie miał zamiaru przechodzić. W ten sposób mimo woli znalazł się przed starym zamkniętym teatrem stojącym pod numerem dwunastym. Nie dajcie się jednak zwieść jego zdziwionej minie, ponieważ nie był to przypadek – w życiu pisarza wszystko podlegało jakiemuś celowi, nic nie działo się na chybił trafił, nie było miejsca na spontaniczne impulsy. Wells miał świadomość, dlaczego tu zawędrował, choć próbował obarczyć odpowiedzialnością swe niewinne stopy o to, że go zaprowadziły akurat przed ten teatr, którego fasadzie przyglądał się teraz z emocjami dającymi się określić jedynie jako podniosły gniew. A ponieważ – w przeciwieństwie do was – doskonale znam powody, które go tutaj przywiodły, oraz wiem, jakie przemyślenia właśnie nim zawładnęły, mogę obliczyć bez obawy o pomyłkę, że rozważania zajmą mu co najmniej dziesięć minut, mam więc aż nadto czasu, aby wprowadzić was w tę historię. Ogląda to oprócz uśmiechu i cudzołóstwa jedna z niewielu rzeczy, jakie nas odróżniają od zwierząt, i chciałbym wierzyć, że moja sytuacja, chociaż niezwykła, nie ma nic wspólnego z bestiami. Witajcie więc i przygotujcie się na historię obfitującą w emocje stosowne zarówno dla dam o romantycznym usposobieniu – zapewne spodoba się im sielanka przeżywana przez uroczą, kapryśną pannę Harlow, którą będę miał przyjemność przedstawić wam później – jak i dla dżentelmenów o męznym sercu – tych bez wątpienia wstrząsną zdumiewające, ekscytujące przygody bohaterów, do których zalicza się niepozorny człowiek o ptasiej twarzy właśnie z powagą przypatrujący się budynkowi teatru. Przyjrzyjcie mu się uważnie. Zauważcie jego niezwykłą szczupłość, blond wąsy, za pomocą których próbuje przydać dorosłości swej chłopięcej twarzy, delikatnie zarysowane usta oraz jasne żywe oczy, w których nie można nie dostrzec błysku inteligencji, tyleż ciętej, co mało praktycznej. Mimo swojego zwyczajnego, niezbyt heroicznego wyglądu Wells będzie głównym bohaterem tej opowieści, której prawdziwy początek trudno dokładnie określić, jednak dla niego – i oczywiście dla was wszystkich – zaczyna się ona tego spokojnego poranka 1898 roku, poranka wyjątkowo pogodnego, który – jak sami widzicie – nie nasuwa pisarzowi podejrzeń, iż zaledwie za kilka godzin dokona odkrycia tak niewiarygodnego i doniosłego, że na zawsze odmieni ono jego osobiste postrzeganie świata.

Ale porzucę wielosłowne dygresje, aby wam w końcu wyjawic to, nad czym zapewne zastanawiacie się od kilku minut: dlaczego Wells zatrzymał się przed tym starym teatrem? Czyżby żałował zamknięcia lokalu, w którym spędził tyle wieczorów, napawając się najlepszymi sztukami teatralnymi swojej epoki? Nic podobnego. Jak się przekonacie, Wells niełatwo padał ofiarą melancholii. Zatrzymał się tu, ponieważ dwa lata temu w tym budynku mieściła się pewna szczególna firma, *Podróże w Czasie Murraya*. Czy te uśmieszki, które pojawiły się na ustach niektórych z was, znaczą, że owo przedsięwzięcie jest wam znane? Muszę wam wyznać z niejakim rumieńcem na twarzy, że nic nie sprawia mi większej przyjemności, lecz powinienem uszanować pozostałych widzów, jako że oprócz wspomnianych uśmieszków widzę też wiele uniesionych brwi, co

spowodowała niewątpliwie ciekawa nazwa firmy. Wyjaśnię więc nowo przybyłym, że ów ekstrawagancki lokal otworzył swoje podwoje dwa lata wcześniej, aby urzeczywistnić bodaj najbardziej ambitne marzenie człowieka: podróżowanie w czasie. Pragnienie, które zresztą wzbudził w społeczeństwie sam Wells swoją pierwszą powieścią, zatytułowaną *Wehikuł czasu*. Przedsiębiorstwo oferowało klientom podróż w przyszłość, konkretnie do dwudziestego maja dwutysięcznego roku, czyli dnia, w którym rozgrywała się finałowa bitwa rozstrzygająca o losach świata, co nadal obwieszczał umieszczony na fasadzie afisz przedstawiający dzielnego kapitana Shackletona godzącego rapierem w arcywroga ludzkości, Salomona, króla automatów. Choć do pamiętnej bitwy, w której kapitan uratuje ludzką rasę przed wyginięciem, pozostawało jeszcze ponad sto lat, dzięki Podróżom w Czasie Murraya wydarzenie to zdążyła poznać niemal cała Anglia. Mimo wysokiej ceny biletu ludzie tłumnie zdążyli do wrót agencji, chętni do obejrzenia – jakby chodziło o nową operę – walki, której w normalnych okolicznościach nieszczęsny żywot śmiertelników nie pozwoliliby im zobaczyć. Wszyscy z wyjątkiem Wellsa, którego powieść rozpętała tę powszechną gorączkę. Pisarz uparcie odmawiał udania się w podróż do przyszłości, mimo że otrzymywał niezliczone zaproszenia od samego Gilliana Murraya, właściciela firmy, którego prasa z charakterystycznym przemierzaniem oportunistycznym i braku wyobraźni nie omieszkła okrzyknąć Panem Czasu i którego przedwczesna śmierć – w czwartym wymiarze – wstrząsnęła całym światem, być może dlatego, że przedsiębiorca zabrał ze sobą do grobu sekret przemieszczania się w czasie. Wells zapewne jako jedyny człowiek pod słońcem nie uronił łzy po zgonie tego tłustego pyszałka, ku którego pamięci wzniesiono nawet pomnik na pobliskim placu. Stał tam na piedestale w kształcie zegara i uśmiechał się arogancko, jedną ręką łaskocząc powietrze, jak gdyby rzucał jakieś zaklęcie, a drugą wspierając na głowie Wiecznego, swego psa, którego Wells darzył taką samą awersją jak jego właściciela, nie tyle ze względu na wierność, jaką zwierzę bezwiednie okazywało panu, ile z powodu żywionego od dzieciństwa strachu przed psami. Kiedy jako chłopiec przechodził przez drogę, wracając do domu w Bromley, z zarośli wychynął ogromny brytan i ugryzł go w rękę z taką determinacją, że można było pomyśleć, iż działa zgodnie z ustalonym planem.

I dlatego teraz zatrzymał się tam – ponieważ teatr ten przypomniawszy mu konsekwencje, jakie on sam ściągnął na siebie w przeszłości, szczerze wypowiadając opinię, na którą zasługiwała pewna powieść. Wówczas to młody Gilliam Murray, niebędący jeszcze bynajmniej Panem Czasu, aspirował do cokolwiek skromniejszej metamorfozy: pragnął się przeobrazić w pisarza. Wells właśnie wtedy go poznał, trzy lata temu. Przyszły milioner prosił o pomoc w opublikowaniu szmirowatej powieści własnego autorstwa, lecz Wells mu odmówił. Zrobił to może z niepotrzebnym okrucieństwem, ale nie umiał się powstrzymać. Owa odarta ze skrupułów szczerota nieuniknioną kolejną rzeczą uczyniła z nich wrogów, jak to wam opowiedziałem szczegółowo przy innej okazji, a z tego wszystkiego Wells wyciągnął naukę: zdarzają się takie sytuacje w życiu, gdy lepiej jest kłamać. Co mu z tego przyszło, że wygarnął Murrayowi prawdę? Nic. Gdyby tego nie zrobił, sprawy potoczyłyby się zupełnie innym torem. A na co mu się zda, że powieją Servissowi? – zapytał teraz sam siebie. Przypuszczalnie znów na nic. Niewątpliwie lepiej będzie skłamać. Ale podczas gdy Wells potrafił bez drżenia głosu łącać w wielu sprawach, niestety na jednym polu nie umiał uniknąć prawdy: jeśli jakaś powieść mu się nie podobała, nie był w stanie jej chwalić. Człowieka w głównej mierze określa jego gust, a Wells nie mógł nawet znieść myśli o tym, że miałby uchodzić za kogoś o tak obmierzłym guście, komu podoba się utwór *Edison podbija Marsa*.

Zerknąwszy na zegarek, pisarz stwierdził, że nie może już więcej marnować czasu przed teatrem. Dochodziła godzina jego spotkania, rzucił więc ostatnie spojrzenie na budynek i skierował się ku Charing Cross Road, zostawiając za sobą Soho, w stronę Strandu oraz tawerny, w której umówił się z Servissem. Jeszcze niedawno miał zamiar kazać dziennikarzowi czekać na siebie, aby od samego początku dać mu wyraźnie odczuć swoją absolutną pogardę dla tego, co tamten zrobił, ale jeśli coś odstręczało Wellsa bardziej niż kłamstwo na temat własnego gustu, to było to spóźnione przybycie na spotkanie, ponieważ naiwnie sądził, że jeśli on stawi się punktualnie na swoje, za sprawą jakiejś kosmicznej równowagi inni również nie każą mu na siebie czekać, choć do tej pory nie udało mu się dowieść prawdziwości tej teorii: nieraz wychodził na patentowanego durnia, siedząc samotnie w jakimś zakamarku albo spożywając obiad w pojedynkę przy stoliku w zatłoczonej restauracji. Tak więc Wells przeciął ruchliwą aleję zwaną StranDEM, na której zdawał się skupiać i kłębić cały zgłęb wszechświata, i narzucając swym nogom żwawe tempo, truchcikiem udał się w stronę zaułka, gdzie mieściła się rzeczona tawerna. To pozwoliło mu dotrzeć na miejsce spotkania z przykładową punktualnością, choć zarazem z niewielką zadyszka.

Jako że pisarz nie wiedział, jak wygląda Serviss, nie tracił czasu na zagłębienie do wnętrza przez okna, jak to miał w zwyczaju – w ten sposób sprawdzał, czy ten, z kim się umówił, już przybył, jeśli tak nie było, wymykał się na pobliską ulicę, aby po kilku minutach wrócić spokojnie i uniknąć oczekiwania w środku, gdzie naraziłby się na współczujące spojrzenia innych gości. Jednak ponieważ akurat tego dnia owa taktyka nie miała sensu, Wells wszedł do tawerny, udając pewnego siebie światowca, zatrzymał się pośrodku dobrze widoczny, aby Serviss mógł go rozpoznać, i powiódł lekko zaciekawionym spojrzeniem po pełnym ludzi wnętrzu z nadzieją, że Amerykanin już jest na miejscu i zaoszczędzi mu wędrowania po całym lokalu na oczach wszystkich klientów. Na szczęście niemal natychmiast zwrócił jego uwagę mniej więcej pięćdziesięcioletni człeczyna, chudy i zniszczony przez życie – podniósł prawe ramię w geście powitania, a jednocześnie uśmiechnął się blado spod bujnego wosa. Rozumiejąc, że zapewne ma do czynienia z Servissem, Wells powściągnął grymas niesmaku. Wolałby, żeby jego oponent wyglądał na groźniejszego i bardziej próżnego, tak by nie budził w nim wyrzutów sumienia, a tymczasem ten człowiek przypominał mu bezbronnego, niedożywnego sępa. Aby odegnać litość, jaką nieuchronnie wywoływał ten wygląd, pisarz, zanim skierował się do czekającego nań miejsca przy stole, musiał sobie przypomnieć, co ten chuderlak zrobił. Widząc, że gość się zbliża, Serviss szeroko otworzył ramiona, a na jego twarzy wykwitł groteskowy uśmiech jak u sieroty, która pragnie, by ją adoptowano.

– Jaki to zaszczyt i jakaż przyjemność, panie Wells! – wykrzyknął, prezentując bogaty wachlarz gestów, wśród których brakowało tylko poważania. – Nie wie pan, jak się cieszę, że mogę pana poznać. Pan będzie łaskaw usiąść. Piwa? Kelner, drugą kolejkę, z łaski swojej. Gdy rozmawiają tytani literatury, trzeba to odpowiednio podać. Świat nigdy by nam nie wybaczył, gdybyśmy przerwali nasze wzniosłe refleksje tylko dlatego, że nam zaschło w ustach. – Po tej pośpiesznie wygłoszonej przemowie, która sprawiła, że kelner, człek bez wątplenia zaprawiony w fizycznych i namacalnych zmaganiach z życiem, zaczął ich traktować z lekceważącą czynnością, jaką miał zarezerwowaną dla klientów zajmujących się czymś tak eterycznym jak sztuka, Serviss utkwiał swoje maleńkie oczka w Wellsie. – Powiedz mi, George... Mogę panu mówić po imieniu? Jakie to uczucie, kiedy każda z twoich powieści wstrząsa społeczeństwem? Masz jakiś sekret? Pisziesz piórem z

innej planety? Cha, cha, cha...

Wells nie zadał sobie trudu, by się roześmiać. Rozparł się na krześle i czekał, aż piskliwy chichot wygaśnie w powietrzu, a tymczasem sam przybrał poważny wyraz twarzy, bardziej odpowiedni dla pracownika domu pogrzebowego aniżeli dla kogoś, kto właśnie ma zjeść lunch z przyjacielem.

– Dobrze, dobrze... Nie mam zamiaru cię gnębić, George – ciągnął Serviss, udając, że ustępuje wobec sztywności rozmówcy. – Ale nie mogę się oprzeć i nie wyrażać swojego podziwu.

– Jak dla mnie może pan sobie oszczędzić komplementów – rzekł Wells, zdecydowany jak najszybciej przejąć kontrolę nad rozmową. – Fakt, że napisał pan kontynuację mojej ostatniej powieści, mówi sam za siebie, panie Ser...

– Garrett, z łaski swojej, George.

– Zgoda, Garrett – ustąpił Wells, rozdrażniony. Poufałość, którą narzucił spotkaniu Amerykanin, nie bardzo sprzyjała połajance, jaką szykował Anglik, a jeszcze mniej stosowny był wesoły ton, uparcie nadawany rozmowie przez tamtego. – Mówiłem, że...

– W każdym razie komplementów nigdy dość, nie sądzisz, George? – znów przerwał mu dziennikarz. – Zwłaszcza jeżeli są zasłużone, jak w twoim przypadku. Wyznam ci, że mój podziw dla ciebie nie pojawił się wczoraj. Zaczął się... kiedy? Co najmniej dwa lata temu, gdy przeczytałem *Wehikuł czasu*, dzieło jak na czyjąś pierwszą powieść tym bardziej niezwykle.

Wells apatycznie skinął głową, skorzystawszy z tego, że Serviss, zamierzając pociągnąć łyk piwa, zawiesił na chwilę swój słowotok sprzedawcy odżywki na porost włosów. Będzie musiał jak najszybciej znaleźć przerwę w bezustannej gadaninie dziennikarza, żeby mu przekazać swoją opinię o jego powieści. Im dłużej z tym zwleka, tym mniej wygodne okaże się to dla nich obu. Ale Serviss najwyraźniej nie zamierzał spocząć.

– I jakież to szczęśliwy zbieg okoliczności, że wkrótce po wydaniu twojej powieści wynaleziono sposób na podróżowanie w czasie – zagaił ponownie, przesadnie potrząsając głową, jakby wciąż nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. – Wyobrażam sobie, że się wybrałeś do roku dwutysięcznego, aby na własne oczy zobaczyć epicką batalię rozstrzygającą o losach ludzkości, co nie?

– Nie, nigdy nie podróżowałem w przyszłość – odparł Wells, nie mając najmniejszej ochoty na rozwijanie tego tematu.

– Ach, nie? A to dlaczego? – zapytał tamten z zaskoczeniem.

Wells milczał przez kilka sekund, przypominając sobie, jak w okresie prosperowania Podróży w Czasie Murraya musiał się powstrzymywać od okazywania lodowatej rezerwy, ilekroć ktoś z uśmiechem zafascynowania wspominał o tej firmie. W takich sytuacjach – zdarzających się irytująco często – pisarz zazwyczaj rzucał w odpowiedzi kilka sarkastycznych uwag, które miały wykipić entuzjazm rozmówcy. Jakby on sam znalazł się ponad rzeczywistością albo gdzieś przed nią, a w każdym razie daleko od jej wzlotów i upadków, czego – nawiasem mówiąc – pospółstwo oczekuje od wszystkich pisarzy, błędnie przypisując im wznioślejsze zainteresowania i mniej przyziemne zachowania niż typowe dla zwykłego zjadacza chleba. Czasami, kiedy Wells nie był w nastroju do sarkazmu, wolał wyrażać oburzenie z powodu wygórowanej ceny biletu. W rozmowie z Servissem zdecydował się na tę drugą opcję, wyobrażając sobie, że pierwszej tamten by nie przelknął, skoro sam też jest pisarzem.

– Ponieważ uważam, że przyszłość należy do nas wszystkich i nikt nie powinien być

pozbawiony możliwości ujrzenia jej tylko dlatego, że go nie stać na bilet.

Serviss przez chwilę patrzył na niego, nie rozumiejąc, a potem szybkim ruchem przesunął sobie dłonią po twarzy, jakby ściągał z niej pajęczynę.

– A, jasne! Wybacz mi brak delikatności, George: cena biletu była za wysoka dla takich biednych pisarzy jak my... – źle zrozumiał. – Ja też nie mógłbym sobie na to pozwolić, jeśli mam być szczery. Jednak zacząłem oszczędzać na przejażdżkę słynnym „Cronotilusem”, wiesz? Chciałem zobaczyć wojnę przyszłości. Pragnąłem tego z całej duszy. Zamierzałem nawet, gdy znajdę się już w roku dwutysięcznym, potajemnie odłączyć się od grupy i uściskać rękę dzielnemu kapitanowi Shackletonowi, aby mu podziękować za to, że sprawił, iż wszystkie nasze sny i marzenia nie zostały zniweczone. Bo czyż moglibyśmy spokojnie pracować dalej nad swymi wynalazkami i dziełami sztuki, wiedząc, że w roku dwutysięcznym na Ziemi nie będzie już ani jednego człowieka, który by mógł z nich korzystać, że nie pozostanie najmniejszy ślad naszych osiągnięć, ponieważ z winy nikczemnych automatów człowiek i wszystko, co zdołał stworzyć, zniknie, jak gdyby nigdy nie istniało? – Po tej tyradzie Serviss oklapł na krześle, jakby uszło z niego powietrze, i przybrał melancholijny ton. – Ale nie mamy już możliwości, aby się wybrać w przyszłość, ani ty, ani ja, George. Prawdziwa szkoda, ponieważ teraz, zdaje się, mam aż nadto pieniędzy na bilet. Przypuszczam, że ciebie tak samo jak mnie zmartwiła wiadomość o tym, że firma przewożąca ludzi w czasie została zamknięta z powodu śmierci pana Murraya.

– Tak, to doprawdy wielka strata – rzucił ironicznie Wells.

– Według doniesień prasowych został pożarty przez jednego ze smoków zamieszkujących czwarty wymiar – przypomniał Serviss ze smutkiem. – I to na oczach kilku pracowników, którzy nie mogli nic zrobić, by temu zapobiec. To musiało być okropne.

Tak, Murray umiał „umrzeć” w wielkim stylu, pomyślał Wells.

– I jak można się teraz dostać do czwartego wymiaru? Myślisz, że pozostanie zamknięty na zawsze? – zapytał dziennikarz.

– Nie wiem – odrzekł angielski pisarz z absolutnym brakiem zainteresowania.

– Cóż, być może dane nam będzie ujrzeć inne rzeczy. Może naszym przeznaczeniem jest podróżować w kosmosie, nie w czasie – pocieszył się Amerykanin, wychylając do dna swoją szklankę piwa. – Firmament niebieski jest rozległy i niezgłębiony. I pełen niespodzianek, prawda, George?

– Może... – zgodził się Wells. Wiercił się nerwowo na krześle, jakby miał poparzone pośladki. – Ale chciałbym porozmawiać o pana... o twojej powieści, Garrett.

Serviss wyprostował się nagle i wbił czujne spojrzenie w rozmówcę, niczym pies gończy, który złapał trop. Wells, zadowolony, że wreszcie zdążają do sedna, dopił swoje piwo długim haustem, zamierzając w ten sposób zebrać się na odwagę i zyskać opanowanie niezbędne do przeprowadzenia sprawy, a gest ten nie uszedł uwadze Amerykanina.

– Kelner, z łaski swojej, nowa kolejka! Tutaj, gdzie siedzi najlepszy pisarz świata! – zawołał, robiąc przy tym przesadne zamieszanie. – Potem znów wyczekująco popatrzył na Wellsa. – Powiedz, mój przyjacielu, spodobała ci się powieść?

Wells milczał, podczas gdy kelner stawiał na stole nowe pinty piwa i jednocześnie obrzucał go taksującym spojrzeniem. Czując się przedmiotem oceny, automatycznie wyprostował się na krześle i ukradkiem wypiął pierś, jak gdyby wielkość pisarza musiała się przejawiać nie tylko w jego książkach, lecz także w wyglądzie fizycznym, owej

przypadkowej mieszaninie genów, z którą przychodzimy na świat i w której braku powagi możemy jedynie modyfikować, zapuszczając wąsy, brodę i bokobrody, a także zakładając drogie ubrania lub tyjąc do zastraszających krągłości.

– Cóż... – zaczął Wells, gdy kelner się oddalił. Nie dało się nie zauważyć, że Serviss z niepokojem wyczekuje jego słów.

– Tak? – zapytał żarliwie jak dziecko.

– Pewne rzeczy są w niej... – Wells przez kilka sekund wytrzymywał jego spojrzenie. Cisza, która zapadła, otworzyła się między nimi niczym bezdenne otchłań. – Doskonałe.

Serviss opadł hałaśliwie na krzesło, porwany falą nagłego uniesienia.

– Pewne. Rzeczy. Są. Doskonałe – powtórzył jak w transie, rozkoszując się każdym słowem z osobna. – Jakie na przykład...?

Wells, by zyskać na czasie, znów sięgnął po piwo. Co, u diabła, doskonałego jest w tej powieści?

– Kosmiczne stroje. Albo pastylki tlenowe – odparł, ponieważ rekwizyty były jedynym walorem, który mógł ratować tę powieść. – Są bardzo... pomysłowe.

– O, dziękuję, George! Wiedziałem, że moja powieść wyda ci się doskonała, wiedziałem – piał Serviss, wpadając niemal w ekstazę. – Czyż mogło być inaczej? Jasne, że nie. Ty i ja jesteśmy bratnimi duszami, oczywiście w dziedzinie literatury. Chociaż kto wie, w ilu jeszcze aspektach... O, mój przyjacielu, robimy coś do tej pory nieznanego, zdajesz sobie sprawę? Nasze powieści wkrótce oddzielią się od głównego nurtu literatury, by szukać własnej drogi. Ty i ja, George, tworzymy historię. Zostaniemy uznani za ojców nowego gatunku. Rzecz jasna, razem z Verne'em. Byłoby nie w porządku zapominać o żabojadzie. Jest nas trzech, we trzech razem zmieniamy literaturę.

– Nie mam najmniejszego zamiaru tworzyć żadnego gatunku – uciął Wells, coraz bardziej zły na siebie, że nie udało mu się pokierować rozmową tak, jak chciał.

– Cóż, nie sądzę, abyśmy mieli w tej kwestii coś do powiedzenia... – Serviss zaprzeczył lekkim ruchem głowy, zamykając temat, jakby nie chciał podążać tym torem. – Ale porozmawiajmy o twojej ostatniej powieści, George. Jest tak zaskakująca, z tymi marsjańskimi statkami kosmicznymi w kształcie ryby płaszczki, które latają nad Londynem... Chociaż uderzyło mnie coś, i o to cię chciałem zapytać: czy po tym, jak napisałeś *Wehikul czasu* i krótko potem odkryto sposób podróżowania w przyszłość, nie boisz się, że teraz napadną na nas Marsjanie?

Wells spojrzał na Amerykanina chłodno, próbując dociec, czy mówi serio, czy może jest to kolejny z jego niedorzecznych żartów, ale Serviss czekał na odpowiedź z poważną miną.

– To, że opisałem inwazję Marsjan, nie oznacza koniecznie, iż wierzę w istnienie życia na Marsie, Garrett – wytłumaczył z niechęcią. – To tylko alegoria. Wybrałem Marsa jako metaforę, ponieważ nosi imię boga wojny i jest czerwony.

– Ach, ten niepokojący kolor nadają mu tlenki żelaza obecne w bazaltowej skale wulkanicznej, która pokrywa powierzchnię planety niczym płaszcz krwi – wyjaśnił Serviss, dumny ze swojej wiedzy.

– Zamierzałem jedynie skrytykować europejską kolonizację Afryki – ciągnął Wells, nie zwracając uwagi na popisy rozmówcy. – I przestrzec przed niebezpieczeństwem płynącym z badań prowadzonych nad udoskonaleniem broni w czasach, gdy Niemcy przechodzą proces militaryzacji, który wydaje mi się co najmniej niepokojący. A moim nadrzędnym celem, Garrett, było ostrzeżenie ludzkości, że wszystko, co nas otacza, nie wyłączając nauki i religii, może się okazać bezużyteczne wobec czegoś tak niepojętego jak

atak wyższej cywilizacji.

W swojej litanii pomiął, jeśli już przy tym jesteśmy, że w powieści pozwolił sobie uregulować rachunki z własną przeszłością, ponieważ pierwsze miejscowości zniszczone przez Marsjan, jak Horsell czy Addlestone, to były te, w których upłynęło jego niezbyt szczęśliwe dzieciństwo.

– I osiągnąłeś to z naddatkiem, George! Jeszcze jak osiągnąłeś! – przyznał Serviss z melancholijnym podziwem. – Właśnie dlatego czułem się zobowiązany do napisania mojej powieści: żeby dać ludziom nadzieję, której ty im odmawiasz.

„I tą nadzieją ma być Edison?” – zastanowił się Wells, rozbawiony tą myślą. Pozwolił, aby go ogarnęło ciepławe, miłe uczucie, chociaż nie umiał stwierdzić, czy pochodziło od wychylonych kufli piwa, które na stole powoli tworzyły już tłumek pustego szkła, czy od rozbrajającej pasji tego człeczyny zgadzającego się ze wszystkim, co wychodziło z jego ust. Tak czy inaczej nie mógł zaprzeczyć, że spotkanie zaczynało mu się podobać, mimo że przedtem wyobrażał je sobie jako znacznie mniej przyjemne. Nie wiedział, jak to się stało, ale już poruszyli temat powieści Servissa i nic się nie wydarzyło. Jakże się miało wydarzyć – powiedział Wells sam do siebie – skoro jedynie wymamrotał przed autorem słowo „doskonałe”, któremu nikt nie mógłby nadać negatywnego znaczenia, skoro od zarania dziejów używano go wyłącznie w sensie pozytywnym... W rezultacie Serviss teraz uważa, że właśnie to Wells naprawdę myśli o jego powieści, on zaś nie czuje się na siłach, aby zaprzeczyć własnym słowom. Od kilku minut rozmowa toczyła się innymi torami, po co więc wracać do tamtej sprawy, by bez ogródek przedstawić Amerykaninowi swoją opinię, tak jak trzy lata temu zrobił to z Murrayem? Ku swemu zaskoczeniu Wells nie chciał tego zrobić Servissowi. Może dziennikarz zasługiwał na reprimendę za to, że śmiał kontynuować jego wątek, ale Wells nie doświadczyłby żadnej przyjemności, udzielając mu takiej nagany. W pewnym momencie przypomniał sobie, że kiedy czytał tamto dzieło, przesycający je szalony humor sprawił, że na jego ustach kilka razy zupełnie bez jego udziału zagościł przelotny uśmiech. I chociaż wiele razy rzucał książką o ścianę, zirytowany takim popisem nieudolności słownej i głupoty, zawsze brał ją z powrotem do ręki, by wznowić lekturę. W sposobie pisania Servissa było coś, co wzbudzało dziwną sympatię. To samo dotyczyło jego zwariowanych listów. Zawsze kończyły w kominku, ale Wells nie mógł się oprzeć i uprzednio je czytał. I jakby na potwierdzenie, ich autor, tak nieporadny i mający błędne pojęcie o wszystkim, budził te same serdeczne odczucia co jego pisanina. To oznaczało, że Wells bez trudu potrafił zatrzymać swoje osądy dla siebie, aby nie urazić rozmówcy – co sam stwierdził z zaskoczeniem. Jeśli nie zrobił tego wcześniej z Murrayem, to tylko z powodu niechęci, jaką natychmiast wywołała w nim buta tego człowieka. Nagle zrozumiał, czemu tamtego potraktował aż tak bezlitośnie: pod pretekstem niszczenia jego dzieła próbował zmiażdżyć jego wybujałe ego. Serviss, przeciwnie, nie był nikim więcej jak biedaczyskiem niepewnym siebie i nazbyt spłoszonym, aby hodować jakiegokolwiek ego.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że mógłbyś dać inne zakończenie, takie, w którym zwyciężamy Marsjan? – Pytanie Servissa wyrwało Wellsa z zamyślenia.

– Jak? – odparł zbulwersowany. – Co takiego mielibyśmy na Ziemi, żeby pokonać marsjańską technologię, którą opisałem?

Amerykanin wzruszył ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Cóż, tym bardziej było moim obowiązkiem zaoferować alternatywę, promyk nadziei... – mruknął w końcu markotnie, ze smętnym uśmiechem spoglądając na wypełniający wnętrze tłum klientów. – Zarówno ja, jak i oni wszyscy wolelibyśmy

myśleć, że jeśli pewnego dnia zostaniemy zaatakowani z kosmosu, będziemy mieli jakąś możliwość przetrwania.

– Może tak będzie – łagodniej odezwał się Wells. – Ale mój brak wiary w człowieka jest zbyt głęboki, Garrett. Jeśli istnieje jakiś sposób pokonania Marsjan, zwycięstwo nie stanie się naszym udziałem, jestem o tym przekonany. Może należy go szukać tam, gdzie się go najmniej spodziewamy? Poza tym, czemu tak się tym przejmujesz? Naprawdę uważasz, że zostaniemy napadnięci przez sąsiadów z Marsa? – zażartował.

– Oczywiście, że tak, George – zapewnił Serviss z całą powagą. – Chociaż przypuszczam, że stanie się to po roku dwutysięcznym. Najpierw musimy się zająć automatami.

– Automatami? A, tak, jasne... automatami.

– Jestem jednak pewien, że wcześniej czy później nastąpi inwazja – upierał się Amerykanin. – Czyżbyś nie wierzył, że kanały na Marsie zostały zbudowane przez inteligentną cywilizację, jak nas zapewnia w swej książce Lowell?

Wells czytał dzieło Percivala Lowella zatytułowane *Mars*, w którym autor broni wspomnianej tezy, a nawet wykorzystał je do podparcia swojej powieści, ale stąd do wiary w istnienie życia na Marsie było jeszcze daleko.

– Wyobrażam sobie, że miliony milionów planet krążących we wszechświecie spełniają funkcje nie tylko dekoracyjne – odpowiedział, choć dyskusja o istnieniu życia w innych światach wydawała mu się jałowa. – Znacznie rozsądniej jest myśleć, że na setkach z nich panują warunki sprzyjające życiu. Ale jeśli trzymamy się wyłącznie Marsa...

– I nie jest nawet konieczne, żeby były tam tlen czy woda – zauważył z egzaltacją Serviss. – Na naszej planecie mamy stworzenia, takie jak bakterie beztlenowe, które nie potrzebują tlenu. To podwaja liczbę planet zdolnych do podtrzymania życia. Powiedziałbym, że na ponad stu tysiącach z nich może istnieć cywilizacja bardziej rozwinięta od naszej, George. I jestem pewien, że przyszłe pokolenia znajdą bujne a nieoczekiwane życie na różnych ciałach niebieskich i na końcu uświadomią sobie z rezygnacją, choć my nie będziemy już przy tym obecni, że nasza inteligencja nie jest jedyna ani zapewne najstarsza w kosmosie.

– Zgadzam się z tobą, Garrett – przyznał Wells – ale też jestem przekonany, że to „życie” nie musi mieć nic wspólnego z naszym pojęciem o życiu. Trudno nam będzie je zrozumieć, podobnie jak psu trudno byłoby pojąć działanie lokomotywy. Możliwe na przykład, że w swojej koncepcji istnienia tamta inteligencja nawet nie zetknęła się z pragnieniem poznania kosmosu, w przeciwieństwie do Ziemiaków, którzy nie przestają spoglądać w niebo i zastanawiać się nad tym, czy są sami we wszechświecie. A zadają sobie to pytanie od czasów samego Galileusza.

– Tak, ale muszą bardzo uważać, żeby nie pytać zbyt głośno i nie narazić się Kościołowi – zażartował Serviss.

Przez usta Wellsa z delikatnością motyla przemknął uśmiech. Pisarz odkrył, że alkohol rozluźnił jego twarz na tyle, by nie bał się już grymasu niechęci, z którym zmagał się od początku pogawędki. Ku swemu zaskoczeniu, nie czuł więcej żadnej urazy. Na ten uśmiech Serviss uczciwie zasłużył, i tak już powinno zostać. Psuć to byłoby jak zaszywać rany podczas pojedynku na florecie.

– Rzecz jasna, nie można negocjować wysiłku, jaki człowiek wkłada w próby skontaktowania się z domniemanymi istotami z kosmosu – stwierdził Serviss i gestem, który Wellsowi wydał się ruchem iluzjonisty, sprawił, że na stole pojawiły się dwa nowe

kufle po brzegi pełne piwa. – Pamiętasz tego niemieckiego matematyka, który zamierzał wysłać do innych planet sygnały świetlne, odbijając światło słoneczne urządzeniem własnego wynalazku, które sam ochrzcił heliotropem? Jakżeż on się nazywał? Grove?

– Grau. Albo Gauss – zawahał się Wells.

– A, tak, Gauss. Nazywał się Carl Gauss.

– Proponował też, by na rosyjskich stepach tak posadzić sosny, żeby tworzyły kształt olbrzymiego trójkąta prostokątnego, i w ten sposób dać znać obserwatorom z innych światów, że Ziemię zamieszkują istoty będące w stanie pojąć twierdzenie Pitagorasa – przypomniał sobie Wells.

– Tak, doprawdy! – Serviss roześmiał się. – Utrzymywał, że takiej figury geometrycznej nie można zinterpretować inaczej niż jako twór zamierzony.

– A ten astronom, który wpadł na pomysł, żeby wypełnić naftą okrągły kanał wykopany na Saharze i podpalić ją nocą, by wysłać w kosmos sygnał o naszej obecności?

– Tak, idealny cel na ciemnej tarczy!

Wellsowi wyrwał się chichot. Serviss uczył to, podnosząc swoją szklanicę i zachęcając rozmówcę, by zrobił to samo. Pisarz uległ z niejakim przymusem.

– Ostatnie, o czym słyszałem, to umieszczenie kilku zwierciadeł na wieży Eiffla i skierowanie odbitego światła słonecznego w stronę Marsa – rzekł, podczas gdy Amerykanin zamawiał nową kolejkę.

– Święty Boże, co za upór! – wykrzyknął Serviss, podsuwając pisarzowi kolejny kufel.

– Nawet mi nie mów! – potwierdził Wells, zauważając ze zdumieniem, że wysławia się z coraz większym trudem, jakby mu się płał język. – Widocznie na Ziemi wszyscy uważają, że istoty z kosmosu wypatrują czegoś, co nam przyszło do głowy zmajstrować.

– Jakby wydały wszystkie pieniądze na teleskopy! – zażartował Serviss.

Wells nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Jego towarzysz widocznie zaraził się tą wesołością, bo w śmiechu kilka razy nawet wałnął dłonią w stół, wywołując mały skandal, przejawiający się potępiającymi spojrzeniami kelnera i paru pobliskich współbiesiadników. To poruszenie jednak najwyraźniej nie onieśmieliło Amerykanina, przeciwnie – wyzywającym gestem jeszcze głośniej grzmocił w blat. Wells obserwował go z zadowoleniem, dumny niczym ojciec z żarciku syna.

– No, no... A więc nie uważasz, że ktoś mógłby się pofatygować i najechać tę maleńką planetę niepostrzeżenie przemierzającą bezmiar kosmosu, tak, George? – podsumował Serviss, gdy wreszcie zdołał się uspokoić.

– Powiedziałbym, że nie. Przemysł to dobrze: wypadki nigdy nie przebiegają tak, jak je sobie wyobrażamy. To niemal matematyczna reguła. Wobec tego nie czeka nas dokładnie taka inwazja Marsjan, jaką opisałem w swojej powieści.

– Ach, więc nie?

– W żadnym wypadku – rzekł z przekonaniem Wells. – Zobacz, Garrett, ile się ukazuje powieści traktujących o kontaktach z innymi światami. Wygląda na to, że każdy może się stać autorem takiej fikcji. Gdyby w przyszłości miało dojść do spotkań z pozaziemskimi istotami, tak jak je opisujemy, byłby to przypadek literackiego przecucia, nie sądzisz?

Po tych słowach pociągnął łyk piwa, a jego rozdrażniona mina zdradzała, że to, co właśnie powiedział, nie było dlań niczym więcej jak snuciem dziwacznych refleksji.

– Tak – przyznał Serviss. Po nim z kolei nie dało się poznać, czy tę dysputę uważał za oderwaną od rzeczywistości. – Możliwe nawet, że nasze naiwne władze już podejrzewają, że nikczemni kosmici, posługując się ultradźwiękowymi promieniami lub hipnozą,

wprowadzili do naszej podświadomości całe to urojenie, aby przygotować świat na przyszłą inwazję.

– Bardzo prawdopodobne! – Wells wybuchnął śmiechem.

Serviss po raz drugi zadudnił dłonią o stół, ściągając na siebie wściekłe spojrzenia kelnera i najbliższych sąsiadów.

– A więc, jak powiedziałeś... – podjął rozważania Wells, gdy jego towarzysz przestał hałasować – choćby faktycznie istniało życie na Marsie czy którejkolwiek z planet naszego rozległego Układu Słonecznego... – Majestatycznym gestem uniósł rękę ku niebu i stwierdził z poirytowaniem, że widok przesłania mu sufit tawerny, przecięty zwykłymi drewnianymi belkami. Zawiedziony, przez chwilę wpatrywał się w niego w milczeniu. – Do diabła... O czym to ja mówiłem?

– Chyba miałeś powiedzieć coś o... życiu na Marsie – podsunął Serviss, spoglądając w górę z tym samym niedowierzaniem.

– A, tak, na Marsie... – przypomniał sobie z wielkim trudem Wells. – Chciałem powiedzieć, że choćby nawet istniało tam życie, przypuszczalnie nie dałoby się go porównać z naszym, zatem wyobrażanie sobie statków kosmicznych wyprodukowanych na Marsie jest zarówno niedorzeczne, jak i po prostu śmieszne.

– Dobrze. Ale... gdybym ci powiedział – Serviss starał się zachować powagę – że się mylisz?

– Że się mylę? Nie mógłbyś mi powiedzieć, że się mylę, mój drogi Garretcie.

– O ile ci nie udowodnię, że jest przeciwnie, mój drogi George'u.

Wells skinął głową, a Serviss rozparł się na swoim krześle, uśmiechając się tajemniczo.

– Wiesz, że w młodości byłem trawiony obsesją istnienia życia w innych światach? – wyznał.

– Naprawdę? – bąknął Wells z głupawym uśmiechem na ustach, przyjemnie ukołyszany oparami alkoholowymi.

– Tak, i przeczysywałem czasopisma, stare traktaty oraz opowieści w poszukiwaniu... – zastanowił się, jakiego użyć słowa – świadectw. Czy wiesz, na przykład, że w 1518 roku nad statkiem hiszpańskiego konkwistadora Juana de Grijalvy pojawiło się „coś w rodzaju gwiazdy”, co następnie oddaliło się, ciskając ogniem i wysyłając świetlisty promień w stronę Ziemi?

– Do diabła, nie miałem pojęcia! – Wells udał, że ta wiadomość nim wstrząsnęła.

Serviss na jego kpinę odpowiedział pogodnym uśmiechem.

– Mógłbym ci podać dziesiątki podobnych przykładów, które zgromadziłem. Wszystkie dotyczą pojawienia się w przeszłości latających maszyn z innych światów, George – zapewnił go wciąż z tym samym uśmiechem. – Ale to nie z ich powodu jestem przekonany, że gwiazdne istoty odwiedzały już Ziemię.

– Ach, nie? Wobec tego dlaczego?

Amerikanin nachylił się ku niemu nad stołem i zniżając teatralnie głos, wyjąwił:

– Ponieważ widziałem Marsjanina.

– Cha, cha, cha... Gdzie? W teatrze, na ulicy? Może to nowy ulubieniec królowej?

– Nie żartuję, George – odparł Serviss, prostując się z powrotem i spoglądając na rozmówcę z sympatią. – Widziałem go.

– Jesteś pijany!

– Nie jestem pijany, George! Albo przynajmniej nie tak, żeby nie wiedzieć, co mówię. A mówię ci, że widziałem cholernego Marsjanina. Miałem go przed oczyma. A nawet

dotknąłem go tymi rękami – upierał się, wyciągając przed siebie dłonie niczym Piłat czekający na misę z wodą. – Właśnie tymi.

Wells przez kilka sekund patrzył na niego poważnie. A potem wybuchnął gromkim śmiechem, przypominającym kwakanie, które przestraszyło połowę obecnych w sali osób.

– Jesteś bardzo zabawnym gościem, Garrett – orzekł, kiedy się uspokoił. – Wybaczę ci nawet, że napisałeś powieść, żeby czerpać korzyści z...

– Zdarzyło się to dziesięć lat temu lub może nieco więcej, nie pamiętam dokładnie – zaczął opowiadanie Serviss, ignorując rozbawienie Anglika. – Zatrzymałem się wówczas na kilka dni w Londynie, aby się zapoznać ze zbiorami Muzeum Historii Naturalnej, co było mi potrzebne do artykułów, które pisałem.

Zrozumiawszy, że jego towarzysz nie stroi sobie żartów, Wells wyprostował się na krześle i starał skupić na tym, co słyszał, a tymczasem czuł, że podłoga tawerny kołysze się z wolna, jak gdyby pili piwo na łodzi płynącej z nurtem strumienia. Czyżby faktycznie widział tego marsjańskiego gościa?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to muzeum, które jak wiesz, zbudowano, aby udzielić schronienia coraz potężniejszym zbiorom skamieniałości i szkieletów, niemieszczącym się już w Muzeum Brytyjskim, w tamtym czasie dopiero zostało otwarte – ciągnął marzycielskim tonem Serviss. – Wszystko było nowe i wystawione z dbałością o dydaktykę, jakby organizatorzy w sposób uporządkowany i zarazem zajmujący chcieli dać zwiedzającym pojęcie o świecie. Mając świadomość, że wielu podróżników ryzykowało życie albo przynajmniej zdrowie, aby damy z West Endu mogły wzdychać z zaskoczeniem na widok żarłocznych wojowniczych mrówek, przemierzałem sale muzeum niczym wdzięczny losowi wędrowiec. Z urn uśmiechało się do mnie nieprzebrane nagromadzenie cudów wzniesionych przez pragnienie przygody, nieodpartą chęć poznania odległych krajów, którą, na szczęście, natychmiast tłumilo wrodzone mi przywiązanie do wygod cywilizacyjnych. Czy warto było tracić cały sezon teatralny, żeby zobaczyć gibona skaczącego z gałęzi na gałąź? Po co wyprawiać się tak daleko, skoro inni gotowi są sprowadzać do domu całą egzotykę świata, wystawiając się na ulewne deszcze, niezdolne zimno i zamorskie choroby? Ograniczyłem się więc do oglądania różnorodnej zawartości witryn, niczym prawdziwy prostak w świecie wielkiej wiedzy. Jednak to, co rzeczywiście przyciągnęło moją uwagę, nie było wystawione w żadnej z gablot.

Wells spoglądał na niego w pełnym szacunku milczeniu, nie chcąc przerywać, póki nie zobaczy, jak kończy się ta historia. Ponadto sam odniósł podobne wrażenie, gdy po raz pierwszy odwiedził to muzeum, toteż sugestywna relacja Servissa nie wywoływała w nim niecierpliwości.

– Drugiego czy trzeciego dnia zacząłem zauważać, że dyrektor placówki od czasu do czasu dyskretnie prowadzi grupki zwiedzających do podziemnej części budynku. I muszę ci powiedzieć, że w grupkach tych rozpoznawałem znanych naukowców, a chyba też jakiegoś ministra. Zwiedzającym oprócz dyrektora muzeum zawsze towarzyszyli dwaj oficerowie Scotland Yardu. Jak sobie możesz wyobrazić, owe dziwne regularne pochody zmierzające do piwnic wzbudziły moją ciekawość, tak że pewnego popołudnia zostawiłem moje sprawy i odważyłem się pójść za nimi. Orszak przemierzył labirynt podziemnych korytarzy, aż dotarł do tajemniczych drzwi, które zawsze pozostawały zamknięte. Gdy się zatrzymał, starszy funkcjonariusz, otyły człowiek z ekstrawagancką opaską na oku, skinął na drugiego. Ten, będący zaledwie chłopcem, skwapliwie sięgnął po klucz, który miał na szyi, otworzył drzwi i wpuścił grupę do sali, po czym zamknął za

sobą. Wystarczyło, abym rzucił kilka pytań wśród pracowników muzeum, by się dowiedzieć, że nikt właściwie nie wie, co się znajduje w tym pomieszczeniu, nazwanym Kryptą Osobliwości. Gdy zapytałem o to dyrektora, jego odpowiedź rozbroiła mnie: „Rzeczy, których istnienia świat nigdy by nie podejrzewał” – powiedział ze znaczącym uśmiechem, a potem zasugerował, abym dalej podziwiał wystawy owadów i roślin, mające granice, na których przekroczenie nikt w świecie nie jest przygotowany. Jak zapewne rozumiesz, taka odprawa oburzyła mnie, podobnie jak fakt, że nigdy nie okazał się na tyle miły, by mi pozwolić na dołączenie do którejś z owych grup, tak regularnie otrzymujących dostęp do nieznanego. Najwyraźniej nie byłem dlań wystarczająco ważny, nie dorównywałem naukowemu sławom, które zasługiwały na oprowadzanie po tajemnych zakamarkach. Schowałem zatem dumę do kieszeni i postanowiłem wrócić do Stanów Zjednoczonych, poznawszy świat jedynie w takim stopniu, na jaki pozwoliła mi garstka niezwykłych ważniaków. Jednak w odróżnieniu od dyrektora muzeum opatrność najwidoczniej uznała, że powinienem poznać zawartość tamtego gabinetu. Gdyby tak nie było, nie udało by mi się tak łatwo do niego wejść.

– Jak tego dokonałeś? – zapytał zdziwiony Wells.

– Widzisz, ostatniego dnia mojego pobytu w Londynie natknąłem się w windzie na młodszego oficera Scotland Yardu i próbowałem wydobyć z niego jakieś informacje o tym, co znajduje się w pomieszczeniu, nad którym polecono mu czuwać. Na próżno się jednak trudziłem, ponieważ młodzieniec okazał się nieugięty. Odrzucił nawet moje zaproszenie na piwo w pobliskiej tawernie pod pretekstem, że pija wyłącznie sarsaparillę. [Sarsaparilla – płynny lek wytwarzany z korzeni kolcorośli (południowoamerykańskich roślin), niegdyś stosowany w leczeniu kity (przyp. tłum.).] Wiesz, kto w dzisiejszych czasach to pije? Ale do rzeczy: kiedy wysiedliśmy z windy, pożegnał się ze mną uprzejmie i skierował do korytarza prowadzącego do wyjścia, nieświadom pełnego głębokiej urazy spojrzenia, jakie mu posłałem. Wówczas, ku swemu zaskoczeniu, ujrzałem, że jego krok staje się niepewny. Młody człowiek zatrzymał się nagle w pół drogi, jakby raptem zapomniał, dokąd idzie, po czym osunął się na podłogę niczym marionetka, której przecięto sznurki. Wystraszyłem się, jak możesz sobie wyobrazić, bo pomyślałem, że umarł na moich oczach z powodu ataku serca czy czegoś podobnego. Natychmiast do niego podszedłem, rozpiąłem mu kołnierzyk koszuli, by sprawdzić, czy jeszcze żyje, i z ogromną ulgą stwierdziłem, że daje się wyczuć puls. Po prostu zemdłał jak panna, kiedy jej zasznurowują gorset. Twarz miał mocno zakrwawioną, ale zauważyłem, że tylko rozciął sobie luk brwiowy, gdy upadł, i to rozcięcie tak krwawi.

– Może przydarzył mu się nagły spadek ciśnienia. Albo udar cieplny – wtrącił Wells.

– Możliwe, możliwe – przytaknął w roztargnieniu Serviss. – Wtedy...

– Albo spadek poziomu cukru we krwi. Choć raczej skłaniałbym się ku...

– Czy to, do cholery, ważne, co mu było, George? Zemdłał i już! – wyrzucił z siebie gniewnie Serviss, nie mogąc się doczekać, by ciągnąć swoją opowieść.

– Przepraszam, Garrett – rzekł Wells, cokolwiek speszony. – Mów dalej.

– Dobrze, na czym skończyłem? – burknął Amerykanin. – A, tak, byłem zakłopotany. Ale moje zakłopotanie trwało krótko, ponieważ nagle, zauważywszy, że oficer ma na szyi dziwny złoty klucz z dwoma ładnymi anielskimi skrzydełkami, pozwoliłem, aby konsternacja zamieniła się w coś bardziej przypominającego chciwość. Od razu uświadomiłem sobie, że tym wymyślnym kluczem otwierano Kryptę Osobliwości.

– I ukradłeś go! – Wells tym razem naprawdę był w szoku.

– Cóż... – Serviss wzruszył ramionami i rozpiął kołnierzyk koszuli, ukazując

łańcuszek, na którym wisiał dopiero co opisany przezeń klucz.

– Nie mogłem się oprzeć, George – wytłumaczył się z teatralnym smutkiem. – I nie było to jak ograbienie z butów nieboszczyka. Oficer był tylko omdlały. O–mdla–ły.

Wells z dezaprobatą potrząsnął głową, co było ryzykownym ruchem, zważywszy na ilość alkoholu, którą dopiero co wlał w siebie tak bez troski. Zawroty głowy przybrały na sile, aż odnosił wrażenie, że go posadzono na konia rozpedzonej karuzeli. Amerykanin kontynuował:

– Właśnie w ten sposób udało mi się wejść do sali, w której ukrywano wszystko to, czego z różnych powodów postanowiono nie pokazywać światu. Nawet sobie nie wyobrażasz, co tam zgromadzono, George. Gdybyś ujrzał zawartość tego pomieszczenia, przestałbyś pisać fantazje, zapewniam cię.

Wells patrzył na niego z rezerwą, prostując się na krześle.

– Lecz wszystko to, w gruncie rzeczy, nie miało znaczenia – ciągnął swój wywód Serviss. – To, co naprawdę ważne, znajdowało się w kącie sali. Na piedestale umieszczono imponującą maszynę latającą. – Przerwał, by się uśmiechnąć przeciągle do rozmówcy. – Była to wyjątkowo dziwna rzecz. Naukowcy mający przywilej badania jej podejrzewali, że jest zdolna do lotu. Wywnioskowałem to z tego, co przeczytałem w piętrzących się na pobliskim stole zeszytach i kartkach, na których zapisano wszelkie szczegóły dotyczące odkrycia. W przeciwieństwie do „Albatrosa”, opisanego przez Verne’a w *Roburze Zdobywcy*, to urządzenie nie miało skrzydeł ani śmigieł. Nie było również wyposażone w żaden aerostatyczny balon. Wyglądało raczej jak talerz.

– Talerz? – powtórzył zdumiony Wells.

Opisana przez Verne’a genialna maszyna latająca, najeżona śmigłami i zbudowana ze sprasowanej masy papierowej, w Stanach Zjednoczonych wywołała istną gorączkę – co rusz ktoś zarzekał się, że widział podobne urządzenie, Wells zaś kwitował sceptycznym uniesieniem brwi, choć była to reakcja przypuszczalnie bardziej spowodowana niechęcią odczuwaną wobec sukcesów Francuza niż niewiarą w działanie jego wynalazku. Ale... talerz?

– Tak, głęboki talerz. Albo dokładniej taki instrument, jakiego używają w orkiestrach – uściślił Serviss, robiąc gest kłaśnięcia, jakby chciał dłońmi zmiążdżyć muchę.

– Latający talerz – podsumował Wells, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu.

– Właśnie. Według tego, co przeczytałem w notatkach, niedawno zakończona ekspedycja do bieguna południowego znalazła tę maszynę w lodach Antarktydy. Najwyraźniej rozbili się przypadkowo na łańcuchu górskim, daleko od morza, dlatego naukowcy przypuszczają, że urządzenie to umie latać, choć nie potrafią go otworzyć, ponieważ nie ma żadnej klapy ani niczego podobnego.

– Rozumiem. Ale dlaczego uznali, że pochodzi z innej planety? – spytał Wells. – Można by je na przykład uznać za wytwór niemieckich fabryk. Niemcy stale prowadzą eksperymenty nad...

– Nie – przerwał mu ostro Serviss. – Wystarczyło spojrzeć na tę maszynę, by się przekonać, że została skonstruowana ze znacznie wyższą znajomością technologii niż ta, którą mogliby dysponować Niemcy, George. Właściwie znacznie wyższą, niż mogłoby mieć jakiegokolwiek ziemskie państwo. Na przykład nic nie wskazuje na to, że napędza ją para. Tak czy inaczej, że pochodzi z kosmosu, nie wywnioskowali wyłącznie na podstawie jej wyglądu.

– Nie? Wobec tego skąd to wiedzą?

Amerykanin dla lepszego efektu zrobił pauzę i wykorzystał ją, żeby pociągnąć łyk

piwa.

– Znaleźli tę maszynę koło „Annawanu”, zaginionego statku, który 15 października 1829 roku wyruszył z Nowego Jorku w celu zbadania bieguna południowego. Jednostkę strawił ogień, a załoga zginęła. Na wpół spalone, zamrożone zwłoki marynarzy leżały rozrzucone dookoła w lodzie. Większość była zwęglona, ale ci, którzy zachowali twarze, mieli na nich wyraz przerażenia, jakby desperacko usiłowali uciec przed ogniem albo... przed nie wiadomo jakim okropieństwem. Było tam też kilka ciał psów, niektóre dziwnie rozerwane. Widok, wedle opisu członków wyprawy, przedstawiał się niczym dantejska scena. Ale prawdziwego odkrycia dokonali dopiero kilka dni później, kiedy w pobliżu znaleźli pogrzebanego w lodzie przypuszczalnego załoganta talerza. Zabrali go do Londynu wraz z jego maszyną. I nie był to Niemiec, George, zapewniam cię: dowiedziałem się tego, gdy tylko otworzyłem urnę, w której go trzymają.

Po raz kolejny zawiesił opowieść, by się uśmiechnąć do kolegi z niemal matczyną czułością, jakby prosił o wybaczenie za to, w jaki sposób go zastrasza. Wells patrzył na niego z całym przejęciem, na jakie mu pozwalało jego zamroczenie.

– Jak wyglądał...? – zapytał cicho.

– Oczywiście nie przypominał Marsjan, których opisałeś w swojej powieści, George. Wydawał mi się raczej kimś w rodzaju bardziej mrocznego i nadnaturalnego Spring Heeled Jacka. Słyszałeś zapewne o tej dziwnej skaczącej postaci, która terroryzowała Londyn jakieś sześćdziesiąt lat temu?

Wells skinął głową, nie rozumiejąc, jakie podobieństwo mogłoby łączyć te dwie istoty.

– Tak, mówiono, że ma sprężyny w stopach, dlatego może sadzić takie wielkie susy, prawda?

– I że pojawia się nagle przed dziewczętami, aby łakomie pieścić całe ich ciało, zanim zniknie. Wiele z nich opisywało go z diabelskimi cechami, takimi jak szpiczaste uszy i ostre pazury.

– Przypuszczam, że to z powodu chwilowej hysterii – zastanawiał się na głos Wells. – Ten typek mógł być nikim więcej, jak cyrkowym akrobatą, który wykorzystywał sceniczne umiejętności w służbie własnych żądz.

– To prawdopodobne, George, prawdopodobne. Ale ten trzymany w muzeum przypominał mi monstrualną wersję tamtego z najbardziej makabrycznych ilustracji w czasopiśmie. W dzieciństwie widziałem kilka egzemplarzy tamtych starych gazet i jego wygląd zmroził mi krew w żyłach. Do dziś nawiedza mnie w najgorszych koszmarach sennych. Ale w porządku, może to wyłącznie moje osobiste wrażenie spowodowane własnymi najgłębszymi lękami.

– Chcesz zatem powiedzieć, że... w Muzeum Historii Naturalnej znajduje się Marsjanin? – spróbował podsumować Wells.

– Tak. Choć oczywiście jest martwy – odparł Serviss takim tonem, jakby to ujmowało kosmicie atrakcyjności. – Właściwie jest czymś w rodzaju wysuszonego humanoida niebudzącego większego zainteresowania. Jedyne, co mogłoby stanowić jakąś ciekawą niespodziankę, to zawartość maszyny. Może jest tam jakaś wskazówka co do jego pochodzenia albo mapy przestrzeni czy coś takiego, kto wie. I nie powinniśmy zapominać o postępie, jaki oznaczałoby to dla ziemskiej nauki, gdyby zrozumiała funkcjonowanie statku. Ale niestety naukowcy nie potrafią go otworzyć. Nie wiem, czy nadal próbują to zrobić, czy też znudzili się do tej pory i zarówno maszyna, jak i Marsjanin pokrywają się kurzem. Jedyne, co pewne, mój drogi George’u, to fakt, że ta rzecz nie pochodzi z Ziemi.

– Marsjanin! – wykrzyknął Wells, swobodnie dając wyraz swej konsternacji, gdy jego

towarzysz wreszcie zakończył opowieść. – Święty Boże... Marsjanin!

– Tak, Marsjanin, George. Brzydki, potworny Marsjanin – potwierdził Serviss. – A ten klucz umożliwia dostanie się do niego. Widziałem go tylko wtedy, ten jeden raz. Od tamtej pory nie używałem klucza. Noszę go po prostu na szyi jak talizman, a jego jedyna rola polega na tym, aby mi przypominał, że żyjemy w świecie, w którym istnieje więcej nieprawdopodobnych rzeczy, niż moglibyśmy sobie wyobrazić my, piszący fantastyczne historie.

Zdjął łańcuszek z szyi i ceremonialnym gestem podał go Wellsowi, jakby mu wręczał jakiś święty przedmiot. Wells przyjrzał mu się z najwyższą uwagą, przejęty podniosłym nastrojem, jaki wprowadził Serviss.

– Jestem przekonany, że prawdziwa historia naszych czasów to nie tu, o której donosi prasa, ani ta, którą spisują historycy – dywagował Amerykanin, podczas gdy Anglik oglądał klucz. – Prawdziwa historia jest prawie niewidoczna, płynie niczym podziemny strumień. Wszystko odbywa się w cieniu i ciszy, George. I tylko nieliczni wybrańcy wiedzą, o co chodzi.

Szybkim, zwinnym ruchem wyrwał klucz z dłoni Wellsa i schował go do kieszeni marynarki.

– Chcesz zobaczyć Marsjanina? – zapytał z przewrotnym uśmiechem.

– Teraz?

– Czemu nie? Wątpię, czy będziesz miał inną okazję, George. Tak jak ci powiedziałem, nas, pisarzy, nie uznaje się za równie ważnych jak naukowców, choć nasza wyobraźnia niemal wybiega przed ich wynalazki.

Wells patrzył na niego z zainteresowaniem. Potrzebował czasu, aby przetrwać wszystko, co usłyszał. Czy raczej dokładniej: potrzebował co najmniej kilku godzin, żeby przestało mu się kręcić w głowie, a umysł oczyścił się na tyle, by mógł ocenić zasłyszana opowieść w racjonalny sposób. Może wtedy uznałby ją za fałszywą, ponieważ to oczywiste, że w błogim alkoholowym rozkołysaniu bardzo sympatycznie było się zgodzić z twierdzeniem, że rzeczy niemożliwe są częścią tego świata. Prawdę mówiąc, w stanie euforycznej pogody ducha, w jakim się znajdował, miał nawet ochotę uczcić to, że – jak się okazuje – rzeczywistość, w której przyszło mu żyć, ma drugie dno, że mury, jakie wznosił człowiek, by ją ograniczyć, runęły pod jednym ciosem, to zaś, co było po drugiej stronie, miesza się z nią i tworzy nową rzeczywistość: taką, w której magia unosi się w powietrzu, a fantazja, do tej pory zamieszkująca książki, staje się wiernym zapisem wydarzeń, których świadkami byli autorzy. Czy to właśnie mówił Serviss? Niczym biały królik, który powiódł Alicję do Krainy Czarów, ten sterany życiem człeczyna zdawał się prowadzić Wellsa do swej nory, by w niej przestąpił próg świata, w którym wszystko się może zdarzyć. Świata rządzonego przez Boga obdarzonego znacznie większą wyobraźnią niż tutejszy. Ale świat nie jest taki, to niepodobna, chociaż w tej chwili wydaje się bardziej naturalny niż ten prawdziwy.

– Boisz się? – zapytał zaskoczony Serviss. – A, rozumiem. Może za dużo tego wszystkiego dla ciebie, George. Może wolałbyś, aby potwory pozostały bezpiecznie zapieczętowane w więzieniu twojej wyobraźni, skąd się nie wydostaną, a co najwyżej wywołają u czytelników ciarki. Może brakuje ci odwagi, aby im stawić czoło w rzeczywistości, poza papierem.

– Jasne, że mogę się z nimi zmierzyć w rzeczywistości – odparł Wells, oburzony wnioskiem, do którego doszedł jego rozmówca. – Nie chodzi o to, Garrett, tylko że...

– Nic nie szkodzi, George, naprawdę. Rozumiem cię, rozumiem – pocieszył go

Serviss. – Ja też lękałbym się zobaczyć Marsjanina. Co innego pisać o nich powieść, a zupełnie co innego...

– Jasne, że mogę się z nimi zmierzyć w rzeczywistości, do cholery! – wykrzyknął Wells, wstając z pokracznym wdziękiem szympansa. – Chodźmy tam w tej chwili, Garrett! Pokaż mi w końcu tego Marsjanina!

Serviss spojrział na niego rozbawiony, po czym podniósł się ze swojego krzesła z takim samym entuzjazmem.

– Zgoda, George, jak sobie życzysz! – ryknął, z największym trudem utrzymując równowagę. – Kelner, rachunek! I szybko, bo muszę zaprowadzić mego przyjaciela do pewnej istoty z gwiazd!

Wells próbował go uciszyć, ale Amerykanin już zwracał się do pozostałych stołów.

– Czy ktoś chciałby nam towarzyszyć? Ktoś jeszcze chce zobaczyć Marsjanina? – wołał, otwierając ramiona ku zdumionym klientom. – Tak, chodźcie ze mną, a ja pokażę wam autentycznego mieszkańca planety Mars!

– Przymknij się wreszcie, pijanico! – zawołał ktoś od stołu w głębi.

– Idź spać i pozwól nam jeść w spokoju! – dodał drugi.

– Widzisz, George? – odezwał się Serviss z rozczarowaniem. Rzucił na stół garść monet i dumnym krokiem ruszył zygakiem do wyjścia. – Nikt nie chce wiedzieć, nikt. Ludzie wolą żyć w zaślepieniu. Niech im będzie! – Zatrzymał się chwiejnie przed drzwiami i godził palcem w biesiadników, balansując, żeby nie upaść. – Zatem wiedźcie swe nędzne żywoty, idioci! Żyćcie nadal w swojej cuchnącej rzeczywistości!

Wells zauważył, że kilku mniej lub bardziej krzepkich mężczyzn zrobiło ruch, jakby mieli wstać od stolików z raczej niezbyt przyjaznymi zamiarami, dopadł więc swego towarzysza truchcikiem i zmagając się z jego mizernym ciałem, zdołał go wywlec za drzwi, jednocześnie gestem prosząc bywalców lokalu o zachowanie spokoju. Na ulicy zatrzymał pierwszą przejeżdżającą dorożkę i wepchnął Servissa do środka, a sam podał woźnicy adres. Amerykanin spadł bokiem na siedzenie i przez chwilę trwał w tej pozycji, z głową opartą o okno, uśmiechając się głupawo do Wellsa, który usiadł naprzeciw niego w niewiele bardziej godnej pozycji. Turkot powozu okrążającego Green Park trochę ich otrzeźwił. Obaj uśmiechali się z żalosego przedstawienia, jakie dali w tawernie, i nadal ożywieni alkoholem, poświęcili czas przejazdu na snucie absurdalnych teorii dotyczących celu wizyt pozaziemskich istot, czy to przybywających z Marsa, czy z jakiegokolwiek innego miejsca. Kiedy dorożka zatrzymała się na Cromwell Road, przed imponującym neogotyckim gmachem o fasadzie hojnie ozdobionej rzeźbami roślin i zwierząt, Wells i Serviss wysiedli i podążyli chwiejnie w stronę wejściowego portyku, odprowadzani osłupiałym spojrzeniem woźnicy. Dorożkarz nazywał się Neal Hamilton i miał około czterdziestu lat. Jego życie nigdy nie będzie już takie samo po tym, co usłyszał z rozmowy owych dwóch dżentelmenów, z wyglądu szanowanych i kulturalnych, a twierdzących, że pochodzące z kosmosu inteligencje, odpowiedzialne za zapładnianie wszechświata i rozszerzanie go, dawno temu sprowadziły na Ziemię życie w ogromnych latających maszynach oraz że istnieją niezaprzeczalne tego ślady w każdym niemal zabytku starożytnych cywilizacji, jak również w wielkiej różnorodności ras, kolorów skóry, budowy ciała i innych cechach fizycznych ludzi rozproszonych na całej planecie. Neal trzasnął batem i skierował dorożkę do domu, gdzie kilka godzin później z kieliszkiem wina w ręce przyglądał się uważnie rozgwieżdżonemu niebu, po raz pierwszy w życiu zastanawiając się nad tym, kim jest i skąd pochodzi, a nawet czemu postanowił zostać dorożkarzem. Niestety, nie mam czasu, by się zająć historią Neala Hamiltona, ponieważ

Wells i Serviss, wmieszani w tłum zwiedzających, przebyli już bramę kolosalnego budynku Muzeum Historii Naturalnej.

Spowity lepką mgiełką Wells pozwolił, aby towarzysz włókł go przez niekończące się galerie. Był w takim stanie, że ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Świat przybrał dla niego nierealną strukturę, rzeczy straciły znaczenie, wszystko było znajome i zarazem nierozpoznawalne. Miał ulotne wrażenie, że przemierza słynną salę wielorybów, wypełnioną szkieletami i olbrzymimi odtworzonymi ciałami waleni, a w pewnym momencie z zaskoczeniem stwierdził, że kłęczy u boku Servissa wraz z grupą ssaków naczelnych, próbując ukryć się pośród nich i umknąć uwadze strażników. I wreszcie znalazł się w piwnicach – chwiejnym krokiem podążał za Amerykaninem przez podziemne korytarze, aż dotarli do drzwi, o których tamten mówił przy lunchu. Istniały. Przynajmniej drzwi istniały. Ceremonialnym gestem Serviss wyjął z kieszeni skradziony niegdyś klucz, przekręcił go w zamku i z cokolwiek rozchwianą galanterią zaprosił Wellsa do królestwa niemożliwości.

– Są rzeczy, które wołałbym oglądać na trzeźwo – uzalał się Wells, z wahaniem wkraczając do pomieszczenia.

Tak jak opowiadał mu Amerykanin, Krypta Osobliwości była przestronną salą, w której bez ładu i składu spiętrzone najniezwyklejsze rzeczy z całego świata, tak że tworzyły oszałamiającą mieszaninę niczym jakiś piracki łup. Wszędzie dokoła leżało tak wiele cudów, że Wells nie wiedział, na czym zatrzymać wzrok, a nieprzyjemne poszturchanie w plecy, którym towarzysz chciał go skłonić do szybszego marszu przez to fantastyczne składowisko, również niczego nie ułatwiało. Zdołał przynajmniej spostrzec, że niektóre ze gromadzonych tu przedmiotów mają etykiety wyjaśniające ich przeznaczenie czy pochodzenie. Z rosnącym zdumieniem Wells patrzył na płetwę potwora z Loch Ness, na coś w rodzaju kotka zwiniętego w kłębek w szklanym słoju z etykietą zapewniającą, iż jest to sierść yeti, na szkielet domniemanej syreny, dziesiątki fotografii przedstawiających maleńkie świetliste wróżki, koronę zrobioną z piór feniksa, olbrzymią byczą głowę podobno należącą do Minotaura, a także setki innych niespodzianek, których w większości nie umiał rozpoznać, aż wreszcie położył kres owej karuzeli fantastycznych artefaktów, zatrzymując się przed obrazem ukazującym zdeformowanego, monstrialnie postarzałego człowieka, z podpisem głoszącym: Portret Doriana Graya.

Nie otrząsnął się jeszcze ze strachu, gdy w swoim otoczeniu rozpoznał kilka znajomych przedmiotów. Był to słoik pełen czerwonego płynu i mała koperta zawierająca coś w rodzaju białej soli krystalicznej. Na etykiecie napisano: „Ostatnia, brakująca część otrzymana z magazynu produktów chemicznych panów Maw, niezbędna do uzyskania eliksiru doktora Henry’ego Jekylla”. Wells z niedowierzaniem wziął do ręki szklany pojemnik. Zrobił to niemal odruchowo – musiał dotknąć czegoś, co się tutaj znajduje, aby sprawdzić, czy owe cuda nie są złudzeniem, wytworem jego własnej osłupiałej wyobraźni, rozpalonej opowieściami Servissa. Potrzebował tego, by się przekonać, że wszystko to istnieje naprawdę, poza książkami, bajkami i legendami. Kiedy tak trzymał słoik, spowity przenikliwą wonią wydzielaną przez ciecz koloru krwi, przypomniał sobie, że według powieści Stevensona, jeśli się rozpuści tę brakującą sól w owym płynie, otrzyma się napój, który przemieniał cywilizowanego doktora Jekylla w potwornego pana Hyde’a. „W kogo przemieniłby mnie, gdybym zażył eliksir? – zapytał sam siebie. – Jaka byłaby moja zła strona? Czy zmniejszyłbym się natychmiast, posiadał

siłę tuzina mężczyzn albo może błyskotliwy umysł i poczuł nieodparty pociąg do perwersyjnych przyjemności, jak wedle słów Stevenson'a przydarzyło się doktorowi Jekyllowi, co zawsze uważałem za czystą fikcję?"

– Chodźmy, George, nie mamy na to całego wieczoru! – ponaglił go Amerykanin, ciągnąc za ramię.

Wells, nagle szarpnięty przez towarzysza, drgnął tak niefortunnie, że szkło wysliznęło mu się z dłoni i roztrzaskało na podłodze. Patrzył ze zdumieniem, jak czerwony płyn rozlewa się po płytkach. Ukląkł z zamiarem posprzątania bałaganu, ale osiągnął tylko tyle, że jednym z odłamków szkła skaleczył się w prawą rękę.

– Rozbiło się, Garrett! – wykrzyknął zmartwiony. – Eliksir doktora Jekylla wylał się!

– Phi, zapomnij o tym i chodź ze mną, George – odrzekł Serviss, przywołując go gestem. – To tylko tanie bibeloty fantazji w porównaniu z tym, co chcę ci pokazać.

Wells podążył za nim, torując sobie drogę pośród nagromadzenia przedmiotów, a jednocześnie niezdarnie próbując palcami lewej ręki zatamować krew płynącą z prawej dłoni. Serviss zaprowadził go do kąta sali, w którym czekał na nich latający talerz. Urządzenie było ustawione poziomo na postumencie i – tak jak powiedział wcześniej Amerykanin – miało kształt ogromnego dysku, spłaszczonego przy brzegach, a pośrodku zwieńczonego kopułą. Tak więc przypominało głęboki talerz, zbudowany, by podać rosół tytanowi, jeśli mi pozwolicie na to niepoważne porównanie. Wells nieśmiało zbliżył się do maszyny, będąc pod wrażeniem zarówno jej wielkości, jak i dziwnego połyskliwego materiału, z którego była zrobiona, a który nadawał jej wygląd zarówno solidnej, jak i lekkiej. Wtem zauważył kilka wyrytych na jej powierzchni nieznanych znaków, emitujących miękki blask w kolorze miedzi. Przypominały wschodnie systemy pisma, ale były nieco bardziej zawiłe. Co miały oznaczać te kreski?

– Wygląda na to, że jeszcze nie udało się go otworzyć – stwierdził Serviss za jego plecami. – Jak widzisz, z żadnej strony nie ma otworu, nie wydaje się też, żeby pojazd był wyposażony w jakiś silnik. Nietrudno jednak przypuścić, biorąc pod uwagę jego wygląd, że w powietrzu charakteryzuje się fantastyczną zwrotnością, i możliwe, że błyskawicznie osiąga wielką prędkość.

Wells skinął głową cokolwiek rozkojarzony. Właśnie spostrzegł stojący z boku maszyny szeroki stół zarzucony po brzegi papierami, w których – jak twierdził Serviss – zapisano wszelkie szczegóły dotyczące tego niewiarygodnego odkrycia. Podeszedł tam i będąc w stanie absolutnego zafascynowania, zaczął kartkować zaścielające blat zeszyty i dokumenty, wśród których wyróżniały się dwa grube albumy zawierające zdjęcia i wycinki prasowe. Przerzucając papiery na chybił trafił, natknął się na dziennik pokładowy spalonego statku, spisany przez kapitana jednostki, niejakiego MacReady'ego. Sądząc po charakterze pisma, zwartym i pozbawionym jakichkolwiek zakrętasów, musiał to być człowiek surowy, obdarzony praktycznym zmysłem, w przeciwieństwie do dowódcy ekspedycji polarnej, noszącego godność Jeremiah Reynolds, którego dziennik okazał się znacznie bardziej zagmatwany i chaotyczny. Wells przejrzał również bogaty zbiór wycinków prasowych umieszczonych w jednym z albumów, a opisujących makabryczny los „Przeklętej Wyprawy” – jak ją okrzyknęły media – która 15 października 1829 roku wypłynęła z Nowego Jorku, biorąc kurs na Antarktydę. Wciąż będąc pod wrażeniem, przeczytał kilka z ponurych pierwszostronicowych nagłówek, którym towarzyszyły fotografie ciał i tego, co zostało ze statku: „Kto lub co zmasakrowało załogę »Annawanu«?”, „Jakie okropieństwa skrywają lody bieguna południowego?”. Jednak z tego, co mógł stwierdzić, w żadnym

artykule nie wspomniano o prawdziwym odkryciu związanym z tą sprawą: o latającym talerzu i Marsjaninie. W drugim albumie znalazł liczne zdjęcia dziwnej maszyny, ukazujące ją na wpół zagrzebaną w śniegu i odcinającą się na tle groźnego ołowianego nieba niczym błyszcząca moneta upuszczona ze znacznej wysokości przez jakiegoś olbrzyma. Oprócz zdjęć było też sporo raportów naukowych, które Wells ledwie umiał zrozumieć, a które najwyraźniej miały pozostać tajne, niedostępne dla dziennikarzy i opinii publicznej.

– Nie trać na to czasu, George. To, co interesujące, znajduje się w tej urnie – ogłosił Serviss, wyrywając towarzysza z rozważań. Jednocześnie skierował się do czegoś w rodzaju drewnianej skrzyni z miedzianymi okuciami, do której dołączono niewielką chłodziarkę. Amerykanin uroczyście położył dłonie na wieku i zwracając się do Wellsa, zapytał z psotnym uśmiechem: – Jesteś gotowy, żeby zobaczyć Marsjanina?

Nie trzeba nawet nadmieniać, że Wells nie był gotowy, jednak skinął głową i przełknął ślinę. Serviss przystąpił zatem do otwierania skrzyni, a robił to irytująco powoli, nie szczędząc intrygujących gestów, podczas gdy z wnętrza urny uciekało kłębam zimne powietrze. Gdy wreszcie odchylił wieko, odsunął się, aby jego kolega mógł zajrzeć do środka. Wells nachylił się nad skrzynią z przesadną ostrożnością i zaciśniętymi szczękami. I przez kilka minut nie rozumiał, na co, u diabła, patrzy, ponieważ to, co miał przed sobą, nie poddawało się żadnej znanej mu klasyfikacji biologicznej. Nie mogąc opisać czegoś, co nieopisane, w swojej powieści Wells usytuował Marsjan gdzieś między amebą a gadami. Przedstawił ich jako lepkie, bezkształtne bryły wykazujące pewne podobieństwo do ziemskich ośmiornic, ale mieszczące się w zakresie ludzkiego pojmowania. Jednakże obca istota zajmująca trumnę urągała wszelkim próbom zoologicznego skatalogowania czy choćby określenia znanymi słowami, ponieważ ewidentnie nie dało się tego zrobić. Mimo to Wells próbował, zdając sobie sprawę, że choćby nie wiedzieć jak precyzyjnie ją przedstawił, jego opis nie będzie bliski ani też daleki od prawdziwego wyglądu tej istoty. Marsjanin był szarawy, w podobnym kolorze jak ćmy, chociaż miejscami ciemniejszy. Jego ciało zapewne mierzyło około trzech metrów wzrostu, jeżeli nie więcej, było szczupłe i wydłużone jak cienie o zachodzie słońca, oraz spowite czymś w rodzaju błoniastego kokonu. Osłona ta zdawała się stanowić część jego fizjonomii, jako że wyrastała z tego, co powinno być ramionami, i okrywała go od głowy po początek nóg, bardzo cienkich i podzielonych na trzy odcinki, jak u modliszki. Z błony wystawały także kończyny górne, równie chude, ale zakończone czymś, co w oczach Wellsa wyglądało na dwa ostre kolce. Jednak najbardziej rzucała się w oczy głowa – schowana w kapturze z tej samej grudowatej chrzęstnej tkanki co wcześniej opisana osłona. Choć ledwie dawała się rozróżnić wśród okrywających ją fałdów, Wells dostrzegł, że ma trójkątny kształt i – co oczywiste – jest pozbawiona rozpoznawalnych rysów twarzy z wyjątkiem widniejących po bokach dwóch szczelin, które mogły być odpowiednikiem oczu. Domniemane oblicze, z wyglądu posępne i straszne, było pokryte guzami, a na wysokości szczęk Wells – jak sądził – widział wiązkę skłębionych biczowatych wici, spomiędzy których wystawało coś w rodzaju szpiczastej trąby podobnej do aparatu gębowego much, teraz zwieszającej się bez ruchu nad długą szyją stworzenia. Rzecz jasna przypomina wszystko, tylko nie postać wspomnianą jako Jack Spring Heels – zauważył pisarz. I nie mogąc się oprzeć, wyciągnął rękę, by pogłodzić jedną z górnych kończyn Marsjanina, zaintrygowany, jakie też wrażenie dotykowe wywiera ta przedziwna skóra. Nie zdołał jednak rozeznaczyć, czy jest gładka czy szorstka, wilgotna czy sucha, odpychająca czy miła w dotyku. Wydawało się, że wszystko naraz,

choć trudno w to było uwierzyć. Przyszło mu do głowy, że przynajmniej jednego można być pewnym: z majestatyczności oblicza i braku błysku w domniemanych oczach wynikało, iż ta przerażająca istota jest martwa.

– Dobra, pora się zbierać, George – ogłosił Serviss, zamykając wieko urny. – Nie powinniśmy zostawać tutaj zbyt długo.

Wells kiwnął głową, wciąż nieco otumaniony, i pozwolił, aby towarzysz odholował go do drzwi, starając się nie zawadzić o żaden z cudów wypełniających salę.

– Dobrze sobie zapamiętaj to, co widziałeś, George – zasugerował Serviss, popychając go do wyjścia. – I uznaj te skarby za autentyczne cuda albo za fałszerstwa, zależnie od śmiałości twojego umysłu, ale nie opowiadaj nikomu o tej sali albo przynajmniej sprawdź, czy masz do czynienia z człowiekiem godnym zaufania.

Serviss otworzył drzwi i upewniwszy się, że korytarz jest pusty, kazał Wellsowi wyjść. Razem przemierzali niekończące się galerie podziemia, po czym niepostrzeżenie wynurzyli się na parterze, gdzie wmieszali się w tłum, nieświadomi tego, że pod ich chwiejnie stąpającymi stopami, we wnętrzu drewnianej urny, skóra gwiazdnej istoty wchłania krople krwi, które Wells zostawił na niej, gładząc ramię Marsjanina, i zarysy postaci niczym u wystawionej na deszcz glinianej figurki zaczynają się rozmywać i przyjmować wygląd nadzwyczaj szczupłego, bladego młodzieńca o ptasiej twarzy, identycznego jak ten, który właśnie opuszcza muzeum jako jeszcze jeden zwiedzający.

Gdy się znaleźli na ulicy, Serviss zaproponował Wellsowi wspólną kolację, lecz ten odrzucił zaproszenie, twierdząc, że droga do jego domu w Worcester Park jest za długa i woli wyruszyć w nią jak najszybciej. Już się przekonał, że posiłki z Servissem charakteryzują się brakiem jedzenia, a był zbyt nietrzeźwy, by pić z Amerykaninem dalej. Ponadto pragnął jak najszybciej zostać sam, aby w spokoju przemyśleć wszystko, co zobaczył. Rozstali się, składając sobie mglistą obietnicę, że się znowu spotkają przy kolejnej wizycie Servissa w Londynie. Zaraz polem Wells złapał pierwszą nadjeżdżającą dorożkę. Podał woźnicy adres, po czym, siedząc już w powozie, próbował oczyścić umysł, aby uporządkować pełne majaków wspomnienia ostatnich zdarzeń, ale otepiała moc alkoholu okazała się zbyt silna i bardzo szybko zmorzył go sen.

I podczas gdy ten Wells, zmęczony i zamroczony, zamykał oczy, wewnątrz skrzyni ukrytej w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie drugi Wells właśnie je otwierał.

II

Ze zdumienia, jakie odbija się w tym momencie na waszych twarzach, wnioskuję, że zaintrygowały was tajemnice, jakie owa opowieść kryje wśród swoich meandrów. Co tak naprawdę przydarzyło się statkowi „Annawan” i jego załodze pod biegunem południowym? Czy Marsjanin z Krypty Osobliwości jest żywy? Ja też byłbym zaintrygowany, gdyby nie moja rola, rzecz jasna, ponieważ znam wszystkie odpowiedzi. Odpowiedzi, które będę wam ujawniał po trochu, z największą przyjemnością, ponieważ jest to jedno z najwdzięczniejszych zadań każdego narratora, jako że mimo dzielącej nas odległości pozwala nam rywalizować z magikami występującymi w teatrach. Na przykład nie ma to nic wspólnego ze żmudnym tworzeniem opisów, pracą bardziej odpowiednią dla robotników. Jednak abym mógł przedstawić wam wszystko w sposób uporządkowany, jak należy, musimy się cofnąć w czasie do prawdziwego początku tej historii, czyli dokładnie do tego momentu, w którym tkwią korzenie małej przedmowy, jaką wam właśnie dałem. Już was przecież ostrzegałem, że punkt wyjściowy jakiegokolwiek opowieści jest zawsze trudny do sprecyzowania, ponieważ każda fabuła ma nieskończenie wiele początków, aleja – na szczęście czy na nieszczęście – widzę je wszystkie. Zrozumiecie zatem mój lęk o to, czy się nie pomyliłem w wyborze. Który z nich powinienem wybrać? Czy istnieje jakiś początek, który może się kwalifikować jako taki? I czy przypadkiem początek nie jest zawsze końcem innej historii? Tak czy inaczej, gdzieś muszę zacząć, i po krótkim zastanowieniu dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie cofnąć się w dziewiętnastym stuleciu do roku Pańskiego 1830, przenosząc się zarazem w przestrzeni aż na lodowe pustkowie Antarktydy. Jak sobie przypominacie – jeżeli zwróciliście uwagę na wycinki prasowe przeglądane przez Wellsa w podziemiu muzeum – chodzi o czas, w którym ugrzązł w lodach smutnej pamięci „Annawan”, oraz o miejsce, gdzie jego dzielni marynarze mieli nieszczęście powitać przybywającego na Ziemię Marsjanina, a więc odegrać rolę, do której żaden z nich bez wątpienia nie był przygotowany.

Przenieśmy się zatem tam i zobaczmy, jak – podczas gdy latająca maszyna w kształcie talerza zbliża się do naszej planety, przecinając ciemność przestrzeni kosmicznej – Jeremiah Reynolds, dowódca owej feralnej wyprawy polarnej, bada krę lodową, która uwięziła ich statek, i zastanawia się, jak się zdołają z niej wydostać, nie podejrzewając, że już wkrótce będzie to ich najmniejsze zmartwienie. Odkrywca uświadomił sobie wówczas, że prawdopodobnie na tej antarktycznej pustce nie spoczęły dotąd oczy żadnej istoty ludzkiej, i pożałował, że nie jest zakochany, bo mógłby ją nazwać kobiecym imieniem, jak to było w zwyczaju. Temu skrawkowi lodu, temu łańcuchowi górskiemu majaczącemu na południowym horyzoncie, tej poznaczonej śniegiem zatoce otwierającej się po prawej, a nawet którejs z gór lodowych, jakich zapewne sporo tutaj pływa – wszystkiemu nadałby tę samą nazwę. Najważniejsze, aby pokazać światu, że jego serce należy do kogoś. Ale niestety Reynolds nigdy nie doświadczył żadnego uczucia, które by choć w niewielkim stopniu przypominało miłość, a jedyne imię, jakim mógł się posłużyć w tym celu, Josephine, należało do zamożnej dziewczyny z Baltimore, do której zalecał się z zupełnie innych względów. I szczerze rzekłszy, nie wyobrażał sobie, jak mówi pannie przy herbatce pitej pod czujnym okiem jej matki: „A przy okazji, najdroższa, nadałem twoje imię lądowi usytuowanemu na odległym kole podbiegunowym. Mam nadzieję, że cię to uszczęśliwi”. Nie, Josephine nie doceniłaby takiego prezentu. Ceniła tylko to, co można założyć na palce, nadgarstki albo szyję, rzecz jasna pod warunkiem że

nie są to kajdany. Do czego miałyby jej się przydać prezent, którego nie da się zobaczyć ani dotknąć? Byłby to dar zbyt subtelny dla kogoś takiego jak ona, daleka od subtelności. A więc tam, pośród lodu, w temperaturze znacznie poniżej czterdziestu stopni – kto by to pomyślał! – Reynolds powziął decyzję, której nie byłby w stanie podjąć w żadnym innym miejscu: przestanie starać się o rękę Josephine. Tak, postanowione. Było raczej mało prawdopodobne, że zdoła wrócić żywy do Nowego Jorku, ale na wypadek gdyby mu się jakimś cudem udało, obiecał sobie uroczyście, że w przyszłości będzie zabiegał wyłącznie o względy osoby obdarzonej wystarczającą wrażliwością, by ją poruszyła wiadomość o istnieniu na biegunie południowym oblodzonej skały nazwanej jej imieniem. Jakby tego było mało, uczciwy praktyczny zmysł kazał mu dodać, że rzeczona dziewczyna powinna mieć wystarczająco dużo pieniędzy, aby mu wybaczyć, iż w razie gdyby nie dopisało mu szczęście, ta odległa wysepka będzie wszystkim, co mógłby zaoferować wybrance swego serca.

Potrząsnął głową, aby przegnać romantyczne medytacje, które w tym miejscu zdawały się odnosić do jakiegoś absurdalnego, jakże odległego świata – trudno było wręcz uwierzyć w jego istnienie tutaj, gdzie wzrok gubił się na bezkresnej, trzymającej ich w okowach lodu równinie, tak oddalonej od cywilizacji, że Stwórca nie pofatygował się nawet, żeby ją ozdobić życiem. Wyruszyli z Nowego Jorku w październiku z zamiarem dotarcia na biegun południowy w ciągu trzech miesięcy, w pełni lata na półkuli południowej, lecz seria niefortunnych zdarzeń, które spadały na nich niemal od początku, fatalnie opóźniła podróż. Tak że kiedy minęli archipelag Sandwich Południowy, kierując się w stronę Wyspy Bouveta, wszyscy, do ostatniego kuchcika, wiedzieli, że będą mieli szczęście, jeśli uda im się tam dotrzeć przed końcem lata. Niemniej ekspedycja pochłonęła ogromne koszty i zaszła już zbyt daleko, aby odwrót miał być satysfakcjonującym rozwiązaniem dla kogokolwiek, dlatego kapitan MacReady rozkazał obrać kurs na Wyspy Kerguelena, ufając, że noszone przez marynarzy królicze łapki okażą się bardziej skuteczne na kole podbiegunowym niż w Ameryce. Stamtąd podążyli na południowy zachód, dzięki sprzyjającym wiatrom płynąc z prędkością jedenastu węzłów, i natychmiast zaczęli wymijać pierwsze pływające bryły lodu strzegące brzegów Antarktydy niczym rozstawieni wartownicy. Korzystając z kanałów otwierających się wśród gór lodowych i grubszych kawałków kry oraz nieustannie znosząc gradobicia, zdołali bez wypadków przebyć spory odcinek, aż wreszcie morze skute niemal litym lodem obwieściło im, że w tym roku zima postanowiła przyjść w połowie lutego, z ponadmiesięcznym wyprzedzeniem. Mimo to zaczęli się przedzierać przez lód z naiwnym entuzjazmem, ośmieleni podwójnym poszyciem z afrykańskiego dębu, którym Reynolds przed wyprawą wzmocnił kadłub starego statku wielorybniczego. Był to długi i desperacki wysiłek, ale w końcu pojawienie się niepokonanego pola lodowego zamieniło ten pojedynek w ułudę. Znalazłszy się w tym punkcie, kapitan MacReady okazał się zaradnym człowiekiem – rozkazał rzucić na więzący ich lód żar węglowy, aby go szybciej topić, kłaść na powierzchni lodu świece, a nawet wysłał oddział ludzi, by kłuli bloki lodu dłutami, łopatami i kilofami oraz wszelkimi ostrymi narzędziami, jakie dało się znaleźć w ładowni. Brakowało jedynie, aby spróbował wydobyć statek z oków lodu sam, niczym bogowie olimpijscy. Na nic się jednak zdały te zmagania – potęgowały tylko żaloszność sytuacji. Byli skazani na porażkę od momentu, kiedy się odważyli wkroczyć na morze usiane pakiem lodowym, a może nawet od chwili, gdy Reynolds zaczął planować wyprawę. Zatem, nie mając możliwości manewru, statek utknął, wmarznięty w bezkresne pole lodowe, a oni z rezygnacją przyjęli do wiadomości

kłeskę. Z tyłu za rufą „Annawanu” ciągnął się jeszcze pasek wolnej od lodu wody, z każdą godziną nieco węższy, jakby zamarzając, uszczuplał ich nadzieje na przetrwanie. Później, kiedy udało im się zejść ze statku, który przechylił się nieco na sterburkę, MacReady rozkazał jednemu ze swych ludzi, aby się wspiał na szczyt najbliższej góry lodowej i poinformował ich, co widzi. Po pokonaniu wydłubanych kilofem małych stopni w lodzie obserwator wyjął mosiężną lunetę i potwierdził to, co Reynolds i tak podejrzewał: dla nich świat sprowadzał się teraz do rozpościerającej się zewsząd niezmierzonej lodowej równiny, tu i tam najeżonej torosami i górami lodowymi, do białej nicości pozbawionej jakiegokolwiek schronienia czy choćby osłony, a oni za jednym zamachem zostali zamienieni w nic nieznaczące byty – obojętne, czy żywe, czy martwe, ponieważ było to zupełnie nieistotne w tym oderwanym od wszystkiego bezmiarze lodu.

Dwa tygodnie później – nie dałoby się zaprzeczyć – sytuacja była taka sama, bez żadnej poprawy. Lodowe okowy więzące „Annawan” nie poluzowały swego żelaznego uścisku ani o milimetr. Przeciwnie, z niepokojących jęków, jakie wydawał lód, można było wywnioskować, że coraz mocniej napiera on na kadłub statku. Zacznie się cofać dopiero za osiem czy dziewięć miesięcy, może więcej, kiedy nadejdzie kolejne lato, i to jeśli dopisze im szczęście, ponieważ Reynolds znał aż nadto wiele podobnych historii, w których wyczekiwana odwilż nigdy nie nastąpiła. W rzeczywistości gdy człowiek zapuszczał się w krainę lodu, choćby nie wiedzieć jak duże miał doświadczenie, wszystko było nieprzewidywalne. Na przykład ekspedycja, którą w 1822 roku sir John Franklin poprowadził poprzez północną Kanadę w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego, nie mogła liczyć na względy Fortuny. Nieszczęsna karawana z konieczności spędziła wśród lodów tyle czasu, że Franklin zmuszony był zjeść własne buty, żeby oszukać dojmujący głód. Ale przynajmniej udało mu się wrócić do domu, a nie wszystkim powiodło się tak dobrze. „Czy skończymy, powiększając sporządzany skrupulatnie przez admiralicję długi spis przeklętych wypraw, zaginionych statków, marzeń pochłoniętych przez nieznanne?” – pytał sam siebie Reynolds z obawą, oglądając własne przemrożone buty.

Melancholijnie przyjrzał się statkowi, który – mimo licznych wysiłków załogi – tak łatwo dał się uwięzić przez lód jako zakładnik „Annawan” był ogromną łodzią wielorybniczą – pamiętał lepsze czasy, kiedy uczestniczył w polowaniach na kaszaloty i humbaki na południowym Atlantyku. Jedyne, co pozostało z owej chwalebnej przeszłości, to kilka harpunów i lanc, które trzymano w zbrojowni jako mrozące krew w żyłach przypomnienie, ponieważ tylko długość tej broni oddzielała olbrzymie wieloryby od dzielnych harpunników, z łodzi nabijających na ostrza wielkie cielska w owych wiekopomnych morskich zmaganiach. Teraz „Annawan” nedorzecznie spoczywał na czymś, co wyglądało jak marmurowy piedestał, przechylony, z dziobem lekko zadartym. Aby nie dopuścić do przewrócenia statku, MacReady rozkazał ściągnąć z masztów żagle i takielunek oraz od strony sterburty spiętrzyć lodowy nasyp, który służył zarazem jako podpora i rampa do schodzenia. Wiszące nisko słońce jeszcze przez kilka tygodni ukazywało się tuż nad horyzontem, przeplatając ciemność półmrokiem, po czym ostatecznie zgasło w kwietniu, aby ustąpić miejsca długiej polarnej nocy i pograćzyć „Annawan” w słabym, zamierającym świetle. Podróżnik pomyślał, że czy mu się to podoba czy nie, ten widmowy statek będzie jego domem przez nieokreślony czas. Być może nawet jego ostatnim domem.

Mając dość poruszania się w ciasnocie pod pokładem, gdzie raz po raz uderzali głowami o sprzęt zwisający u sufitu niczym kiście winogron oraz potykali się o piętrowe

prytcze i zgromadzone wszędzie zapasy żywności, ludzie tworzyli u stóp „Annawanu” zbite grupki – kulili się w nieludzkim mrozie, figlarnie szlifującym diamenty z oddechu wydobywającego się z ich ust. Oprócz Reynoldsa, który figurował w dokumentach jako osoba odpowiedzialna za tę wynikającą z fanaberyjnego uporu wyprawę, załoga dowodzona przez kapitana MacReady’ego składała się z dwóch oficerów, bosmana, dwóch artylerzystów, chirurga, kuka, dwóch kuchcików, dwóch cieśli, dwóch elektryków i tuzina marynarzy, z których jeden, zajmujący się psami pociągowymi, był ogromnym milczącym Metysem, owocem „świętokradczej” alchemii, jaka połączyła Indiankę z plemienia Wron z białym mężczyzną. I jak Reynolds mógł się już przekonać, żaden z nich nie przejawiał nadmiernej troski czy choćby zainteresowania celem podróży, wykazywali tylko coś w rodzaju podyktowanej doświadczeniem rezygnacji. Mimo to dowódca ekspedycji miał nadzieję, że cokolwiek stanie się z węglem i prowiantem, zapas rumu nie wyczerpie się nigdy. Wcześniej, przed wyruszeniem w drogę, słyszał w tawernach portowych, że w takich warunkach nie trzeba się niczym martwić, jeżeli ma się z sobą wystarczająco dużo alkoholu. Kiedy napitek się kończy, wszystko drastycznie się zmienia: szaleństwo, które do tej pory krążyło z daleka niczym nieśmiały konkurent do ręki panny, kusi załogantów i w końcu uwodzi najsłabszych, a ci niezwłocznie przykładają sobie do skroni pistolet i pociągają cyngiel. I niczym w makabrycznym rytuale w różnych częściach statku rozbrzmiewają regularne wystrzały z broni, przekształcając się w jedyne urozmaicenie długiej zimy. Reynolds zastanawiał się, ile galonów rumu mają w ładowni. MacReady, który – sądząc po jego codziennym oddechu – dysponował własnym zapasem brandy, rozkazał Simmonsowi, jednemu z kuchcików, aby wydawał ludziom rum rozcieńczony wodą, tak by starczyło go na jak najdłużej. I w tamtej chwili nikt z marynarzy nie zaprotestował, jak gdyby oni też wiedzieli, że tylko codzienna racja alkoholu może ich ochronić przed nimi samymi.

Reynolds spojrzał następnie na kapitana MacReady’ego, który zdawał się zarażony tą samą wiszącą w powietrzu obojętnością. W tym momencie oficer również znajdował się poza statkiem – siedział na jakimś tobole koło żelaznej klatki, którą Metys Peters sklecił na śniegu, żeby zamknąć psy. Jak większość jego ludzi, był poowijany w kilka wełnianych koców oraz ubrany w płaszcz nieprzemakalny i jedną z tych czapek z klapkami na uszy, z drwiną nazywanych walijskimi perukami. Przyglądając się postawnemu oficerowi, który trwał tak nieruchomo, jakby pozował do fotografii, Reynolds zrozumiał, że powinien natychmiast wydobyć ich z tego marazmu, zanim załoga zupełnie pogrąży się w nieprzewyciężonym letargu. Utknęli, to prawda, ale nie oznacza to, że nic się już nie liczy. Przyszedł czas, aby poprosić MacReady’ego, by uformował ze swoich ludzi grupę w celu zbadania okolicy z zamiarem kontynuowania planu, który zaprowadził ich aż tutaj – planu, który miał im przynieść więcej chwały i bogactwa, niż mogliby sobie zamarzyć – znalezienia wejścia do wnętrza Ziemi.

Jednak mimo swoich zamysłów Reynolds nie przesunął się naprzód ani o milimetr. Został tam, gdzie stał, przyglądając się kapitanowi z daleka i nie mogąc się zdecydować, by do niego podejść. MacReady nie podobał mu się. Dowódca wyprawy uważał kapitana za człowieka nieokrzesanego, cynicznego i pozerskiego, typ mężczyzny, którego nie można sobie wyobrazić, jak pociesza kogoś, kto przeżył zawód miłosny, lecz owszem, ratuje psa złapanego w potrzask. Nie dało się ukryć, że była to wzajemna animozja, awersja, która z powodu hierarchii nieuniknioną koleją losu zaraziła resztę załogi, tak że Reynolds szybko odkrył, iż dowodzi ekspedycją bez ani jednego poplecznika z wyjątkiem

Allana, sierżanta artylerii, który chce zostać poetą. Obaj byli młodszy od pozostałych i może właśnie z tej przyczyny – ponieważ sierżant jako jedyny nie postrzegając go jako humorzystę – zakiełkowało między nimi coś podobnego do przyjaźni. Teraz jednak Allan przypuszczalnie znajdował się w swojej kabinie i przelewał na papier słowa – Reynolds widywał go już przy tym zajęciu – niemal nie dotykając piórem kartki, z taką samą gładkością, z jaką przelotna chmura kreśli coś na wodzie rzeki. Dowódca zaczął więc grzebać w śniegu czubkiem buta, próbując zebrać się na odwagę, by w pojedynkę stawić czoło MacReady’emu, jako że ostatnio jego rozmowy z kapitanem przypominały raczej pojedynki bez broni w ręku, w których oficer usiłował metaforycznie przebić mu serce. Dziesięć minut później zacisnął pięści w kieszeniach swego nieprzemakalnego płaszcza i zdecydowanym krokiem ruszył przez śnieg w stronę kapitana. Po ogromnym wysiłku, jaki włożył w dotarcie do tego punktu, nie zamierzał pozwolić, by jakiś bezczelny, tępy oficer przeszkodził mu w dokończeniu przygody, choćby miał się wychylić i dać pokaz swojej siły, wrywając tamtemu ramię własnymi rękami.

– Kapitanie MacReady – pozdrowił tego człowieka, którego nedorzeczne samozadowolenie zdawało się stanowić ostatnią przeszkodę do osiągnięcia założonego celu.

– Czego pan chce, Reynolds? – zapytał oficer urażony, że mu się przeszkadza w wykonywaniu ważnego zadania, najwyraźniej niepolegającego na niczym innym, jak na odczuwaniu zimna w kościach i pilnowaniu, czy śnieg jest nadal biały.

– Chciałbym, abyśmy dziś rozpoczęli rozpoznawanie terenu – odparł niezrażonym tonem Reynolds. – Nie sądzę, aby to było pożyteczne, byśmy się ograniczali do wyczekiwania odwilży.

Kapitan uśmiechał się do siebie przez kilka sekund. Potem celowo powoli podniósł się z miejsca, na którym siedział, w całej rozciągłości demonstrując młodemu odkrywcy swoje niebezpieczne cielsko.

– Uważa pan, że to właśnie robimy: czekamy na odwilż? – spytał.

– Jeśli robicie co innego, doskonale to ukrywacie, kapitanie – odpowiedział Reynolds, siląc się na ironię.

MacReady wybuchnął pogardliwym śmiechem.

– Zdaje mi się, że nie rozumie pan dobrze sytuacji, Reynolds. Pozwoli pan, że go oświecę. Problem polega nie tylko na tym, że utkneliśmy w tym przeklętym miejscu. Wie pan, skąd pochodzą te powtarzające się trzaski, które nas wrywają ze snu? To lód, Reynolds. Tak, przeklęty lód coraz mocniej napiera na nasz biedny statek i miążdzy jego kadłub, tak że przypuszczalnie kiedy uwolni nas odwilż, o ile w ogóle to nastąpi, „Annawan” będzie tak uszkodzony, że nie da się nim płynąć. Tak dokładnie przedstawia się nasza sytuacja. Nie powiedziałem tego moim ludziom, aby ich nie niepokoić, choć wyobrażam sobie, że większość podejrzewa, iż owe zgrzyty nie obwieszczają nic dobrego. Ale pan jest odpowiedzialny za tę ekspedycję i powinien pan znać prawdę. Ponadto wcale mnie nie obchodzi, czy będzie się pan niepokoić. A co możemy zrobić? Powiem panu, zanim mnie pan zapyta: opuścić statek i wyruszyć po lodzie, aż trafimy na brzeg, który może być oddalony o setki kilometrów, a musielibyśmy zabrać ze sobą sprzęt, żywność, szalupy i co najmniej dwa żelazne piecyki z odpowiednim zapasem węgla, żebyśmy nie zmarzli w drodze. Niech mi pan powie: czy ten plan pana zdaniem ma szanse powodzenia?

Reynolds się nie odezwał. Naturalnie jemu też takie rozwiązanie wydawało się nedorzeczne. Nikt nie wiedział dokładnie, jak daleko ani w jakim kierunku znajduje się

brzeg lodu, a wędrowanie na oślep z wyładowanymi saniami przez równinę najeżoną grzbietami spiętrzonego śniegu wyczerpałoby ich, nie wspominając o tym, że w tej rozpaczliwej drodze donikąd byłoby narażeni na ataki niedźwiedzi polarnych. A kiedy zostawił na boku to szaleństwo, zaraz mu przyszło do głowy kolejne, jeszcze większe. Słyszał, że w podobnych sytuacjach niektórzy kapitanowie rozkazują rozbić tymczasowy obóz na lodowym bloku, aby na tej zaimprovizowanej z kry szalupie dać się nieść prądom morskim, chociaż przypadki, w których ten pomysły plan zdał egzamin, dało się policzyć na palcach jednej ręki: ścinające się lodem fale i burzowe wichry zatapiały większość z owych obozowisk bez najmniejszej litości dla tych zabawnych przejawów ludzkiego geniuszu. Reynolds nawet nie odważył się zasugerować MacReady'emu tej opcji. Mimo wszystko lepiej było pozostać w schronieniu, jakie oferował statek, i pijąc rum, czekać, aż się coś wydarzy, cokolwiek. On jednak nie zamierzał stać z założonymi rękami w oczekiwaniu na cud. Absurdem byłoby nie zbadać okolicy, skoro już tutaj dotarli.

– A misja? – zapytał, chociaż ryzykował, że wzbudzi gniew kapitana. – Nie znajduję żadnego powodu, żeby jej nie kontynuować. Może byłaby najlepszym sposobem na pokonanie nudy, która, sądzę, że pan wie, łatwo przeradza się w obłąd.

– A, tak... pańska misja – rzekł MacReady z sarkazmem. – Pański zamiar znalezienia dziury prowadzącej do środka Ziemi, który według pana jest zamieszkały i oświetlony przez słońce mniejsze niż nasze. Czy raczej dwa?

Słyszając, jak MacReady wyszydza jego idee, Reynolds, chcąc nie chcąc, wrócił pamięcią do swojego kolegi Symmesa i śmiechów, które obaj musieli znosić podczas wyczerpujących objazdowych wykładów na temat teorii pustej Ziemi. Teraz kapitan przeniósł owe docinki z przeszłości do Antarktyki, zmuszając eksploratora, by sobie przypomniał przysłowie: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, które powtarzał sobie do znudzenia jak mantrę i dzięki temu nie poddawał się zniechęceniu.

– Czy pan w to wierzy czy nie, kapitanie, jak pan dobrze wie, taki jest cel tej wyprawy – odparł niezrażony.

Oficer ryknął śmiechem, który zadudnił na białej pustyni.

– Pańska naiwność jest wzruszająca, Reynolds. Naprawdę myśli pan, że nasza ekspedycja ma tak altruistyczny cel? Pan Watson mało dba o istnienie jakiejś polarnej szczeliny, która dawałaby dostęp do wnętrza Ziemi.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał podróżnik.

Kapitan uśmiechnął się wyrozumiale.

– Nie zorganizowaliśmy tego wszystkiego, żeby wykazać, czy pańska bezsensowna teoria jest prawdziwa czy nie, Reynolds. Nasz sponsor pragnie tego, czego chcą wszystkie światowe potęgi: sprawdzić strategiczne znaczenie ostatnich ziem, które nie zostały jeszcze podbite.

Odkrywca spoglądał na oficera z udawanym niedowierzaniem, a tymczasem w duchu uśmiechał się pobłaźliwie. Tymi słowami MacReady upewnił go ostatecznie, że połknął haczyk. On, Reynolds, wiedział, że Watson wierzy w teorię pustej Ziemi, podobnie jak wierzą polityczne potęgi – wspierające go potajemnie instytucje rządowe, tak samo jak garść sponsorów, którzy również woleli zachować anonimowość. Wszyscy jednak postanowili działać ostrożnie i maskować swoje prawdziwe cele, przynajmniej do czasu. Jeśli wyprawa się nie powiedzie i poniesie głośną klęskę, tylko on popadnie w niełaskę, stanie się przedmiotem drwin i szyderstw opinii publicznej. Ci, którzy pozostali w cieniu, przeciwnie, tracą jedynie pewne sumy dolarów; umyją ręce, powiedzą, że mieli inne

zamiary, że nigdy zbyt nie wierzyli temu biednemu szaleńcowi i wykorzystali go tylko do własnych celów. Sprawy tak się przedstawiały, że lepiej było, aby zwykli ludzie nie wiedzieli, iż marnuje się pieniądze na tak nedorzeczne przedsięwzięcia. I Reynolds przyjął zaferowaną mu rolę frajera, chociaż w zamian zawarł tajny pakt: jeśli zdoła znaleźć tamten inny świat i będzie pewien, że go odszuka ponownie, jego aspiracje związane z bogactwem i chwałą zostaną sownie zaspokojone, ponieważ w kancelarii jego adwokatów leżał dobrze zabezpieczony dokument wzorowany na umowie z Santa Fe zawartej między Królami Katolickimi a Kolumbem – gwarancja, w której Reynoldsowi przyrzeczono tytuły admirała, wicekróla i gubernatora wszystkich krajów odkrytych pod skorupą ziemską, a także dziesiątą część wszelkich towarów, jakie się znajdują w odkrytych miejscach. Dlatego MacReady mógł sobie nadal myśleć, że dowódca wyprawy jest tylko marionetką poruszaną przez ukrytych lalkarzy, tak było nawet wygodniej – im mniej kapitan wiedział, tym lepiej. Reynolds mu nie ufał. Właściwie nie ufał nikomu: historia obfituje w przypadki ludzkich miernot, które uzurpowały sobie chwałę odkrywców, odbierając ją podstępnie prawdziwym śmiałkom, przywłaszczały sobie wszystkie laury, a faktycznych bohaterów skazywały na zapomnienie. Reynolds nie chciał podejmować takiego ryzyka. Tak więc im bardziej MacReady uważał go za głupca, tym lepiej, ponieważ to dawało mu nad nim cenną przewagę.

Kapitan milczał z drwiącym uśmiechem, czekając na jego odpowiedź. Reynolds, postanawiając jeszcze bardziej udoskonalić swą rolę naiwnego idealisty, gotów był odpowiedzieć jakąś głupotą na temat przedsięwzięcia. W tym momencie jednak światem wstrząsnął dobiegający z nieba ogłuszający hałas. Zarówno MacReady, jak i Reynolds zaskoczeni podnieśli wzrok. Pozostali członkowie załogi również spojrzeli w górę, przekonani, że taki grzmiący hałas nie może oznaczać nic innego, jak tylko to, iż niebo wali im się na głowy.

I jeśli latający talerz zdołał wywrzeć wrażenie na takim człowieku jak Wells, mającym rozległą wiedzę naukową i wyobraźnię, dzięki której sam potrafił wymyślać podobne rzeczy, wyobraźcie sobie, jaką grozę musiał wywołać w tej garstce zwykłych marynarzy – ci prości ludzie, patrząc, jak dysk spada z nieba, nieświadomie rywalizowali o to, który z nich potrafi zrobić bardziej zdziwioną minę. Talerz niespodziewanie ukazał się na horyzoncie, zbliżył z ogromną prędkością, przeleciał ponad głowami przerażonych mężczyzn, ogłuszając ich iście smoczym rykiem, po czym oddalił się w kierunku odległych gór, kreśląc krętą bliznę światła na mrocznym płótnie nieba. Widzieli go wyraźnie, jak przelatywał nad nimi, ale żaden z nich nie zdołał rozpoznać, czym był ten ogromny, płaski i okrągły przedmiot, który zdawał się wirować wokół własnej osi, gdy z hukiem pędził nad światem. Wkrótce po tym, jak zniknął za oblodzonymi górami, widoczny już tylko jako gorejący punkt na niebie, rozległ się straszliwy hałas, jakby coś bardzo ciężkiego i przypuszczalnie żelaznego albo wykonanego z innego równie dużo ważącego materiału rozbiło się o lód. Jeszcze przez kilka minut słyszeli echo tego grzmotu. Gdy ustał, zapadła cisza zdawała im się nie do zniesienia, jakby się pograżyli w oceanicznej głębinie. Dopiero wtedy kapitan MacReady odważył się odezwać.

– Co to, u diabła, było...? – wymamrotał, nie trudząc się nawet, by ukryć konsternację.

– Święty Boże, nie wiem... Wyobrażam sobie, że meteor – odparł Reynolds, nie odrywając zdumionego wzroku od odległych gór lodowych.

– Nie wydaje mi się – usłyszał zaprzeczenie.

Powiedział to chudy marynarz zwany Griffinem. Reynolds obrócił się w jego stronę z zaciekawieniem, zaskoczony pewnością, z jaką tamten wygłosił to zdanie.

– Jego trajektoria lotu była zbyt... nieprzypadkowa – wyjaśnił marynarz cokolwiek zmieszany tym, że nagle wszyscy zwrócili na niego spojrzenia. – Kiedy się zbliżał do gór, skręcił pod kątem prostym, i próbował się wznieść, jakby chciał uniknąć fatalnego zderzenia.

– Co sugerujesz? – zapytał MacReady, niebędący w nastroju do zagadek.

Griffin zwrócił się do niego i odpowiedział nieco speszony:

– No, wyglądało to, jakby ktoś usiłował celowo nadać mu kierunek, kapitanie. Jakby ktoś tym... kierował.

– Kierował? – wykrzyknął MacReady.

Griffin kiwnął głową.

– To prawda, kapitanie. Mnie też się tak zdawało – poparł go Wallace, inny marynarz.

MacReady spojrział na Griffina bez słowa, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszał. Ludzie, którzy w momencie zderzenia znajdowali się pod pokładem „Annawanu”, wyszli na zewnątrz zaalarmowani hałasem i zszedłszy po śniegowej rampie, skupili się wokół kolegów, wypytując ich o to, co się wydarzyło.

– Może to było coś w rodzaju... obiektu latającego – odważył się wysunąć przypuszczenie Griffin, ignorując zamieszanie i zwracając się do zamyślonego kapitana.

Spostrzeżenie marynarza zaskoczyło Reynolds. Obiekt latający? Ale jakiego typu? Było jasne, że na pewno nie balon. Przemierzał niebo z potępieńczą prędkością, jakby go coś napędzało, choć nie zauważyli, aby był do niego przyczepiony jakiś silnik parowy. Kapitan MacReady jeszcze bardziej udoskonalił wizerunek pogrążonego w zadumie myśliciela i skierował wzrok ku górą, jakby zamierzał zbudować tam dom.

– Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić – orzekł w końcu. – Pójdziemy tam, gdzie spadło.

W niespodziewanym przyplwywie energii, jakby sobie nagle przypomniał, że jest kapitanem tego statku, zrobił przegląd swych ludzi, wywołał kilka nazwisk i w ciągu zaledwie sekund zorganizował grupę badawczą. Porucznikowi Blairowi powierzył tymczasowe dowództwo nad „Annawanem” i pozostającymi na miejscu marynarzami. Następnie z kolejnym drwiącym uśmiechem zwrócił się do eksploratora:

– Może pan nam towarzyszyć, jeśli pan sobie tego życzy, Reynolds. Może po drodze natkniemy się na pańską dziurę.

Reynolds nie potrudził się, by odpowiedzieć na zaczepkę. Potakująco skinął głową i wraz z innymi wyznaczonymi ludźmi ruszył, aby się zaopatrzyć we wszystko, co niezbędne do przemierzania lodowej pustyni. Zszedł pod pokład i starając się ignorować buchające mu w twarz ciepło, pochodzące z ogrzewania oraz z kuchni, wyminął prycze oraz rozwieszane wszędzie hamaki, po czym kierując się słabym światłem olejowych lamp, zdołał przebyć ciasne przejście prowadzące do kabin oficerskich, jak eufemistycznie nazywano klitki, w których cisnęli się dowódcy. Znalazłszy się w swojej maleńkiej norze, kiepsko oświetlonej skąpym blaskiem sączącym się przez brudny świetlik, Reynolds przyjrzał się melancholijnie niewygodnej siedzibie, w której ostatnio spędził dni: wbudowanej na stałe pryczy z brzuchatym materacem z końskiego włosia, malutkiemu biurku, stolikowi i dwóm krzesłom, fotelowi, który uparł się zabrać z domu, wąskiej spizarce, gdzie ledwie mieściło się cokolwiek innego niż butelki brandy i kilka serów, umocowanej w kącie umywalce z zamarznąłą już wodą oraz kilku półkom

zapełnionym książkami, których raczej nie ważył się ruszać, ponieważ odkrył ich funkcję, jakiej nigdy by się nie spodziewał po tak wielkich klasykach – że chronią przed zimnem przenikającym z drugiej strony ściany. Ciasnota nie pozwalała tańczyć walca, czego Reynolds nie miał najmniejszego zamiaru robić, choćby za sprawą magii w kajucie pojawiła się jakaś dama, ale niestety nie umożliwiała także bardziej ambitnych przedsięwzięć, takich jak zwykła ochrona przed zimnem. Gdy wziął to, po co przyszedł, objając się przy tym o wszystkie możliwe rzeczy, wrócił na pokład, dołożywszy starań, aby żadne z utensyliów zwieszających się z sufitu w kubryku nie powaliło go ciosem w głowę.

Dwadzieścia minut później wybrani przez MacReady'ego ludzie znów stali na lodzie, ciepło ubrani i uzbrojeni, z dwojgiem sań i kilkoma psami. Grupa, oprócz Reynoldsa i samego kapitana, składała się z doktora Walkera, sierżanta artylerii Allana i siedmiu marynarzy, z którymi Reynolds do tej pory niewiele miał do czynienia, a byli to: Griffin, Wallace, Foster, Carson, Shepard, Ringwald i Metys Peters. Upewniwszy się, że są wszyscy, MacReady energicznym ruchem głowy wskazał oblodzone góry i bez dalszej zwłoki ruszyli w ich kierunku.

III

Podczas marszu Reynolds trzymał się z dala od kapitana, choć miejsce u jego boku byłoby dlań najbardziej odpowiednie. Nie miał ochoty na wdawanie się w utarczki słowne z MacReadym podczas przeprawy przez lody, ponieważ wynikłoby tylko z tego celowe opóźnianie pochodu, tak więc ostatecznie znalazł się obok Griffina, wątego marynarza, który swoimi uwagami zdążył już wzbudzić w nim ciekawość. Przypomniawszy sobie, że Griffin zaokrętował się na „Annawana” w ostatnim momencie, kiedy załoga była już w komplecie. Jego nalegania, by go przyjęto do Służby Odkrywczej, wygrały z oporem MacReady’ego, co dowodziło zarówno zapалу marynarza dla tej podróży, jak i jego zdolności do pokonywania napotykaných przeszkód, zwłaszcza nieokrzyszanych, nieustępliwých kapitanów. „Ale dlaczego było dlań takie ważne, żeby się tutaj znaleźć i zamarać z zimna?” – zastanawiał się Reynolds.

– Uważam, że ma pan rację, Griffin – powiedział, kiedy się z nim zrównał. – Przypuszczalnie w tych górach znajdziemy jakąś latającą maszynę.

Griffina zaskoczyło, że zwraca się do niego dowódca wyprawy, który prawie nie zadawał się z załogą, i w dodatku mówi w charakterystycznym miłym tonie, jakby chciał przyjemnie pogawędzić. Wyraźnie zakłopotany, marynarz skinął tylko głową, wyglądającą jak zawiniątko z chustek i szali, spośród których wystawał jedynie zziębnięty nos. Jednak jego powściągliwość nie zraziła Reynoldsa – badacz był zdeterminowany, aby nawiązać rozmowę z nieufnym załogantem, czy ten tego chce czy nie.

– Czemu dołączył pan do naszej ekspedycji, Griffin? – spytał bez owijania w bawełnę.
– Wierzy pan w teorię pustej Ziemi?

Marynarz przez kilka sekund spoglądał na niego ze zdumieniem. Miał bujne oszronione wąsy – eksplorator pomyślał, że po powrocie na statek nie pozostanie mu nic innego, jak obciąć zamarańnięte włosy. Właśnie po to, aby uniknąć owego bolesnego, nieprzyjemnego zabiegu, Reynolds golił się regularnie, choć musiał się przy tym posługiwać miską pełną stopionego lodu. Najwyraźniej Griffin wolał nie poddawać się tym torturom co rano.

– To bardzo poetycka idea, proszę pana – odparł wreszcie.

– Bardzo poetycka idea, taak... Ale pan w nią nie wierzy – wywnioskował dowódca, posyłając marynarzowi nieufne spojrzenie. – Przypuszczam, że jest pan tu dla pieniędzy, tak jak wszyscy. Proszę mi jednak powiedzieć, dlaczego tak pan nalegał, żeby się zaokrętować na „Annawan”? Na każdym innym statku płacą tak samo albo nawet więcej, a warunki nie są tak niebezpieczne.

Griffin, coraz bardziej zażenowany tym wypytywaniem, odpowiedział dopiero po kilku sekundach.

– Chciałem się dostać na statek, który nie zapewniał powrotu, proszę pana – odrzekł w końcu.

Reynolds nie potrafił ukryć konsternacji. Przypomniawszy sobie ogłoszenie, które MacReady zamieścił w kilku nowojorskich czasopismach, aby zwerbować załogę. Pamiętał, że gdy je przeczytał, jemu samemu zmroziło krew w żyłach.

Poszukuje się ludzi do podróży na Antarktydę z zamiarem znalezienia wejścia do środka Ziemi. Warunki niebezpieczne: skrajne zimno i nieustanne ryzyko. Nie zapewnia się powrotu przy życiu. W razie sukcesu – cześć, uznanie i hojna premia.

– Nigdy bym nie pomyślał, że to może być dla kogoś zachętą – rzekł, spoglądając na wątłego człeczynę z czymś bliskim szacunku.

Do tej pory sądził, że Griffin nie różni się zbyt od pozostałych śmiertelników – zakładał, że wszyscy zaciągnęli się na „Annawan” zwabieni ostatnim zdaniem ogłoszenia. Lecz ten chuderlawy marynarz zrobił to ze względu na przedostatnie zdanie. Najwyraźniej ścieżki ludzkiego serca są tak samo niezbadane jak wyroki Boże. Griffin wzruszył ramionami i dalej szedł w milczeniu, dopóki pytające spojrzenie Reynoldsa nie zmusiło go do dodania kilku słów.

– Nie wiem, dlaczego zaciągnęli się pozostali, proszę pana – wyznał, nie przestając patrzeć przed siebie – ale ja jestem tu po to, by uciec przed kobietą. Przynajmniej na jakiś czas.

– Przed kobietą? – powtórzy! odkrywca jeszcze bardziej zaintrygowany.

Marynarz podsumował swoje zmartwienie smutnym westchnieniem.

– Chodzi o dziewczynę, do której się zalecałem. Trwało to nieco ponad cztery miesiące i nawet nie wiem za bardzo jak, zaręczyłem się i przyrzekłem, że się z nią ożenię. – Griffin zdawał się uśmiechać z rezygnacją pod licznymi warstwami tkaniny, które skrywały jego oblicze. – I jak pan zapewne rozumie, nie zamierzam się jeszcze żenić. Mam dopiero trzydzieści dwa lata! Zostało mi jeszcze tyle do zobaczenia na świecie!

Reynolds skinął głową, udając zrozumienie.

– Dzień po tym, jak podpisałem zaręczyny, poszedłem do portu i zaciągnąłem się na tę ekspedycję. Nie cierpię zimna, ale jak już panu powiedziałem, „Annawan” był jedynym statkiem, który nie zapewniał powrotu. Dostałem też tyle czasu, że mogłem postanowić, co tak naprawdę chcę zrobić ze swoim życiem.

– Pojmuję – powiedział Reynolds, chociaż go absolutnie nie rozumiał. – A ona? – dodał, uważając za oczywiste, że kobieta zerwała zaręczyny z człowiekiem, który zanim ją poślubił, uznał za stosowne wybrać się na samobójczą wyprawę.

– Jak może pan sobie wyobrazić, niezbyt dobrze to przyjęła, że nasze zaręczyny nagle przeciągają się o kilka miesięcy, a może i lat, ale zrozumiała moją... żądzę przygód.

– Pojmuję – powtórzył mechanicznie Reynolds.

Griffin kiwnął głową, dziękując mu za akceptację, i jakby już nierozważnie roztrwonil większość zapasu słów, jakie zabrał z sobą w podróż, zakończył rozmowę, ponownie pogrążając się w bezdennej ciszy, która odrzucała jakiegokolwiek próby zbratania się, czemu Reynolds ostatecznie się poddał. Nadal szedł obok niego, dzieląc z nim to samo milczenie, tak że wędrowali niczym dwaj przechadzający się po krużganku mnisi, podczas gdy dookoła zaczęła się podnosić uciążliwa mgła, a zimno zdawało się wzmaczać.

Próbując nie zwracać uwagi na pogodę, Reynolds zajmował myśli upadkiem dziwnej maszyny. Wydało mu się szczególnie ciekawe, że wydarzyło się to akurat teraz, kiedy tam byli, jakby ktoś na zamówienie urządził pokaz. Gdyby wcześniej nie utknęli tu w lodzie, nikt by tego nie widział i może pilot – jeżeli to prawda, że urządzeniem kierował ktoś w środku – umarłby bez świadków, błagając o pomoc, której nikt nie mógłby mu zaoferować. Potem eksplorator zadał sobie pytanie: które państwo może dysponować wiedzą i środkami niezbędnymi do wyprodukowania takiego jak ten aparatu, tnącego niebo z tak przerażającą prędkością, ale zaraz potrząsnął głową – snucie tego rodzaju domysłów nie miało sensu. Powiedział sobie, że za godzinę, może nawet wcześniej, sam się o tym przekona, i skupił uwagę na majestatycznym pięknie krajobrazu – otaczającej ich zewsząd czystej bezkresnej bieli, na pozór imitującej pałacowe marmury. Jak na

ironię, cechy, które przesądzały o pięknie tej scenerii, w końcu mogły sprowadzić na nich śmierć.

Mimo konsystencji, jaką zaczęła przybierać mgła, dość szybko dostrzegli maszynę. To, co spadło z nieba, było tak ogromne, że złowieszczo rysowało się z daleka na tle otoczenia, niczym latarnia morska kierująca ich krokami. Gdy wreszcie dotarli na miejsce wypadku, przekonali się, że rzeczywiście mają do czynienia z jakimś latającym sprzętem. Był prawie rozmiarów tramwaju, choć okrągły i płaski jak pensówka, a teraz do połowy wbity w lód wznosił się przed nimi niczym bożek jakiejś nieznannej religii. Nie wyglądało na to, żeby maszyna doznała jakichś uszkodzeń, ale od siły uderzenia lód spękał dookoła w promieniu co najmniej trzydziestu metrów, dlatego podchodząc, trzeba było uważać, gdzie się stąpa. Przekonali się wówczas, że urządzenie jest wykonane z polerowanego, lśniącego materiału. Gładkością przywodziło na myśl skórę delfinów, ponadto nie było widać żadnych drzwi ani klapy. Nieskazitelną powierzchnię kadłuba zakłócały jedynie skupiska dziwnych wyrytych symboli emanujących miękkim blaskiem w kolorze miedzi.

– Ktoś ma jakiś pomysł i powie mi, co to za diabeł? – rzucił MacReady, spoglądając pytająco na zebranych.

Nikt mu nie odpowiedział, a kapitan też nie spodziewał się żadnych wyjaśnień. Wszyscy byli zafascynowani połyskliwą powierzchnią, w której prócz kłębow chmur zdobiących niebo i okolicznych gór odbijały się ich zdumione twarze. Reynolds patrzył na swoje odbicie, jakby się nie mógł rozpoznać. Od tak dawna oglądał się tylko w małym lusterku, które mu służyło przy goleniu, i widział własną twarz wyłącznie w oderwanych fragmentach, że teraz zaskoczył go oplakany rezultat, jaki otrzymał po połączeniu wszystkich elementów układanki. Ogolony był nienagannie, to pewne, ale zmęczone, rozgorączkowane oczy zdradzały brak snu, nie wspominając już o skrajnym wychudzeniu. Ponadto twarz spoglądająca nań z połyskliwej skóry maszyny była taka sama jak zawsze – zbyt chłopcica, aby się mogła bez wysiłku mierzyć ze światem dorosłych. I jeszcze te pełne usta, z którymi tak trudno było uzyskać minę świadcząca o autorytecie.

Westchnąwszy z rezygnacją, Reynolds oderwał wzrok od własnego oblicza i przeniósł go na najbliższe konstelacje znaków. W większości były to utworzone z krętych kresek symbole przypominające nieco orientalne alfabety i otoczone czymś podobnym do figur geometrycznych. Nie mogąc się oprzeć, zbliżył prawą dłoń do jednego z owych symboli z zamiarem pogłazenia falistych, spiralnych kształtów. Choć ciekawiło go, jaki ten zadziwiający błyszczący materiał okaże się w dotyku, wolał nie zdejmować rękawiczki z obawy, że sobie odmrozi rękę. Ale kiedy materiał dotknął symbolu, w powietrze zaczęła się leniwie unosić dziwna smużka dymu. Reynolds przyglądał się temu zjawisku, nie rozumiejąc, co się dzieje, gdy nagle z jego rękawiczki wystrzelił maleńki niebieski płomyk. Zaraz potem eksplorator doświadczył potwornego bólu, który z ręki natychmiast rozprzestrzenił się na resztę ciała. Szybkim ruchem odskoczył od maszyny, nie potrafiąc powstrzymać okropnego wycia, w jakie przerodziła się w jego ustach ogarniająca go męka. Wtem poczuł swąd – przemieszana woń palącej się tkaniny i ciała – i zamroczony bólem nie mógł pojąć, że dotykając rękawiczką tego dziwnego znaku, zajął się ogniem mimo minusowej temperatury. Stojący wokół niego marynarze rozproszyli się przerażeni, a tymczasem Reynolds ze ściągniętą bólem twarzą ciężko opadł kolanami na lód i trzymał przed sobą prawą rękę, teraz spowitą strzępami spalonej rękawiczki,

dymiącą i pokurczoną niczym szponiasta dłoń wiedźmy.

– Mój Boże! – wykrzyknął, podchodząc do niego, doktor Walker.

– Do diabła, niech nikt nie dotyka kadłuba tego czegoś! – ryknął MacReady. – Cholera, niech nikt nie dotyka niczego bez mojego pozwolenia, bo inaczej zadynda na grotmaszcie!

Chirurg polecił Shepardowi, stojącemu najbliżej, by jak najszybciej wydlubał dziurę w lodzie. Marynarz wyjął kilof i pośpiesznie uderzył nim kilka razy kruchą białą warstwę, aż powstało coś w rodzaju nory Walker wsunął do niej rękę Reynoldsa po przedramię. Rozległ się ryk podobny do tego, jaki słychać, gdy się zanurzy rozgrzane do czerwoności żelazo w wiadrze z wodą. Kiedy uznał, że to wystarczy, albo może poczuł, że jego własna ręka zaczyna przemarzać mimo rękawicy, Walker wyjął z lodu kończynę eksploratora, na wpół omdlałego po tym, jak został poddany na przemian działaniu ognia i mrozu.

– Musimy go pilnie zabrać do izby chorych, kapitanie – stwierdził doktor. – Tu nie mam nic do obandażowania ręki.

– Kapitanie MacReady! – zawołał Metys, zanim oficer zdążył odpowiedzieć.

MacReady zwrócił głowę w stronę Petersa, który znajdował się jakieś dziesięć metrów od maszyny i wskazywał na lodowe podłoże.

– Znalazłem ślady, kapitanie!

MacReady otworzył usta ze zdumienia, ale zaraz odzyskał pewniejszy wyraz twarzy i podszedł do Metysa, podobnie jak kilku marynarzy.

– Wygląda na to, że coś wyszło z maszyny – domyślił się Peters.

MacReady spojrzał na niego z rozdrażnieniem, jakby to wszystko było jego winą, choć przecież nie ulegało wątpliwości, że złościł go ten niekończący się łańcuch niespodzianek, z powodu których nie mógł odgrywać przed swoimi ludźmi niewzruszonego spokoju, jaki powinien cechować każdego kapitana. Metys przyklęknął przy śladach i obejrzał je bacznie w milczeniu, po czym wytłumaczył pozostałym, co widzi wśród gryzmołów na śniegu.

– To ogromne odciski stóp, większe niż tropy niedźwiedzia polarnego. Właściwie nawet większe, niż mogłoby zostawić jakiegokolwiek żyjące na Ziemi zwierzę, przynajmniej na ile mi wiadomo – rzekł, wskazując ślady. – Widzicie? Prawie tak duże jak ramię mężczyzny. Poza tym niezwykle owalne i wyjątkowo głębokie, jakby to, co je odcisnęło, ważyło tony. Ale najdziwniejsze, że nie ma śladów palców. Te wgłębienia wyglądają jakby zrobione przez pazury.

– Jesteś pewien, Peters? – wszedł mu w słowo Wallace, również pochylając się nad tropami. – Bardziej mi się wydają podobne do śladów kopyt.

– Kopyt? A odkąd ty umiesz odczytywać tropy, Wallace? – zakpił inny marynarz.

– Nie umiem, Shepard, ale mam kozy, a te ślady są...

– Cicho tam, wy dwaj! – wrzasnął do nich MacReady. Potem zwrócił się do Metysa, który zamiast dyskutować z towarzyszami, wolał przybrać ponurą minę, być może urażony tym, że ktoś kwestionuje jego szerokie doświadczenie w tej materii. – Nie przerywaj sobie, Peters... Mówiłeś, że nie są to ludzkie ślady?

– Obawiam się, że nie, kapitanie – przytaknął Metys.

– Ale to niemożliwe! – wykrzyknął MacReady. – Kto mógłby je zostawić, jeżeli nie człowiek?

– Tropy nie kłamią, kapitanie – odrzekł Peters. – Czymkolwiek było to, co wyszło z tej maszyny, kroczyło na dwóch nogach, ale nie sądzę, żeby to był człowiek.

Zapadła grobowa cisza, w której pozostali też nachylali się nad dziwnymi śladami.

– I zostawiono je niedawno – dodał. – Powiedziałbym, że jakieś dwadzieścia minut temu, może nawet mniej.

Słowa Metysa zaalarmowały wszystkich. Wystraszeni rozejrzeli się wokół siebie, przeskukując wzrokiem białą nicość, w której nagle przestali być sami.

– Dokąd prowadzą następne ślady? – zapytał MacReady, siłąc się na spokój. – Dokąd poszło to... stworzenie?

– To jest już najdziwniejsze, kapitanie – odparł Peters, prowadząc ich kilka metrów dalej. – Następne ślady są tutaj, prawie dwa metry dalej od tamtych. Oznacza to, że ta istota może wielkim krokiem pokonać odległość niemożliwą dla znanych nam zwierząt. A kolejne pewnie są jeszcze dalej, bo ich stąd nie widać.

– Chcesz powiedzieć, że się... przemieszcza susami?

– Na to wygląda, kapitanie. Coraz dłuższymi susami, co utrudniałoby śledzenie tropu, choćby nawet nie było mgły. Bez przeczesania terenu nie da się określić, dokąd się skierowała. Mogła pójść w każdą stronę.

– Widzisz, Wallace? – odezwał się Shepard. – Twoja koza tak by umiała?

Kapitan uciszył go wściekłym spojrzeniem.

– Jak myślisz, co to jest, Peters? – zapytał wówczas inny marynarz, niejaki Carson, jakby w tej sytuacji tropiciel był większym autorytetem niż sam kapitan.

Metys, nim odpowiedział, milczał przez kilka sekund, zastanawiając się niejako, czyjego towarzysze są gotowi na rewelację, którą zamierzał się z nimi podzielić.

– Diabeł – rzekł w końcu posępnym tonem. – A przybył tutaj z gwiazd.

Słowa te wywołały w grupie nieuniknione poruszenie. Kapitan zamierzał podnieść rękę, by uspokoić ludzi, lecz zaraz się powstrzymał. Czy miał lepszą teorię, żeby rozproszyć ich obawy?

– Zgoda – powiedział, próbując zapanować nad sytuacją. – Nie śpieszmy się z klasyfikowaniem tego stwora. Czymkolwiek jest, może uganiać się po okolicy. Sprawdzimy to. Doktorze Walker, pan i Foster wróćcie na statek z panem Reynoldsem, opatrzcie mu rękę i kiedy dojdzie do siebie, przypomnieć mu, że czasami lepiej jest poczekać, zanim się czegoś dotknie. To powinien wiedzieć z dzieciństwa.

Lekarz skinął głową i pomógł wstać rozszochanemu Reynoldsowi, a tymczasem MacReady dalej wydawał rozkazy.

– Najlepiej będzie się rozdzielić, w ten sposób obejmiemy teren dokoła całej maszyny. Peters i Shepard, weźmiecie jedno sanie i skierujecie się na południe. Carson i Ringwald, wy z drugimi saniami przeszukacie północ. Griffin i Allan ruszą na wschód, a ty, Wallace, pójdziesz ze mną. Sprawdzimy teren w promieniu kilku mil, a jeżeli niczego nie znajdziemy, wrócimy tu, to będzie miejsce zbiórki. Jakież pytania?

– Ja chciałbym zapytać, kapitanie – odezwał się Carson. – A co, jeśli spotkamy... diabła?

– Jeżeli go spotkacie i będzie wykazywał agresywną postawę, nie wahajcie się położyć go strzałem z karabinu, Carson. A potem go wykończcie.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Dobrze – podsumował kapitan i głęboko zaczerpnął powietrza. – A teraz ruszamy. Idziemy po tę rzecz!

IV

Z pokładu „Annawanu” Reynolds, ostrożnie obchodząc się ze swą obandażowaną ręką, patrzył, jak zmierzch zabarwia lodowe pole czerwonym fioletem, roztaczając wrażenie, jakby to była powierzchnia planety Mars. Z miejsca, z którego spoglądał, nie dało się odróżnić, gdzie znajduje się granica zamrożonego morza i ziemi, ponieważ śnieg zamazał wszelki ślad ich namiętnego związku niczym idealny szew wykonany przez zręcznego krawca. Reynolds wiedział jednak, że kapitan MacReady zabronił okrążyć statek i podchodzić do lewej burty. Choć na to nie wyglądało, lód był tam znacznie cieńszy, zaledwie dwudziestocentymetrowej grubości, i zbliżanie się do niego niosło z sobą ryzyko, że załamie się pod ciężarem, jako że w rzeczywistości przemierzali kanał – teraz zszyty śniegiem – który ich tu doprowadził. W konsekwencji tego rozkazano, aby marynarze, zahartowani w wypróżnianiu się przez burty, robili to zawsze przez reling bakburty, tak że podziwianie wspaniałego lodowego krajobrazu z tej strony statku okazywało się doświadczeniem niezbyt godnym polecenia.

Odwróciwszy wzrok od zmrożonych równin, Reynolds poniósł głowę ku nielicznym widocznym gwiazdom i przyglądał im się z nabożną czcią, jaką zwykle rezerwował dla majestatycznego dzieła Stwórcy. Jeżeli Metys ma rację, zaryta w lodzie maszyna pochodzi z którejś z gwiazd. W rzeczywistości taka myśl nie jest pozbawiona sensu, rozważał. Przynajmniej nie bardziej niż twierdzenie, że wewnątrz Ziemi to zamieszkała pusta przestrzeń – a Reynolds wierzył w tę teorię. Choć może lepiej byłoby powiedzieć, że pragnął wierzyć, ponieważ jedyna droga do nieśmiertelności, na jaką wpadł, to sława ostatniego wielkiego zdobywcy ostatniego wielkiego nieznanego królestwa. Jednakże teraz nieoczekiwanie przed jego oczyma prezentował się inny nieskończony horyzont, znacznie ambitniejszy w swoich obietnicach wiecznej chwały. Ile planet krążących po firmamencie niebieskim może być zamieszkałych? Ten, kto je podbije, okryje się chwałą.

Tak był pochłonięty tymi przemyśleniami, że o mało nie oparł się o metalową barierkę pokładu. Odsunął się od niej w ostatnim momencie, po czym przez kilka sekund wpatrywał się w nią otępiały, przerażony konsekwencjami, jakie mogło pociągnąć za sobą jej dotknięcie. Mówiono mu, że w niskich temperaturach metal zamienia się w niebezpieczną broń, mimo rękawiczek, i czy była to prawda czy nie, wolał nie sprawdzać. Prychnął ze znużeniem.

Ta przekłeta rzeczywistość, nieprzyjazna i niegościnna, nie dawała mu ani chwili wytchnienia. Zewsząd czaiły się zagrożenia: oprócz tego, że prawie niczego nie można było dotykać, w tym właśnie momencie ekipa robotnicza uzbrojona w kilofy i siekiery usuwała lód narosły na masztach, by nie dopuścić do przeciążenia statku, a odlupane odłamki spadały na pokład z takim hałasem jak pociski artyleryjskie. Dlatego jeśli Reynolds chciał kontemplować rozgwieżdżone niebo, musiał się pogodzić ze śmiercionośnym deszczem lodowych odprysków, które mogły go zranić w głowę. Mimo tego ryzyka eksplorator wolał tkwić tu, jak wystawiony na zimno chochoł, od czasu do czasu drepzcząc po pokładzie, aby odzyskać krążenie w zdrętwiałych nogach, niż w izbie dla chorych, ponieważ trzaski lodu miażdżącego kadłub statku nie dawały mu zasnąć. Owe nieustające zgrzyty zamieniły się w denerwującą kołysankę, która zmuszała go do tego, by bacznie śledził upływ każdej godziny tego mrocznego, niekończącego się zmierzchu, jaki zapadł na Antarktydzie, gdzie słońce nie było niczym więcej jak wytrwałą świecą na próżno usiłującą rozjaśnić wielką salę balową.

Minęło już ponad pięć godzin, odkąd kapitan MacReady wrócił ze swoją grupą z rozpoznania, nie znalazłszy niczego nowego. Nie przybył jeszcze tylko zespół składający się z Carsona i Ringwalda – ci dwaj nie stawili się na miejscu zbiórki. Wyruszyli na północ, a MacReady i pozostali czekali na nich prawie godzinę, aż wreszcie zmęczeni, zziębnięci i głodni postanowili udać się na „Annawan”. Nikt nie wyciągnął żadnych wniosków z ich nieobecności, ale w powietrzu wisiało pytanie: czy ci dwaj nieszczęśnicy natknęli się na to, co reszta załogi zaczęła nazywać „potworem z gwiazd”? Rzecz jasna nie było pewności, choć wydawało się to bardzo prawdopodobne. Kapitan, jak niemal wszyscy na statku, uważał ich już za straconych, lecz Reynolds przypuszczał, że gdy tylko MacReady uzna, że już wystarczająco wypoczęli, zorganizuje kolejną grupę poszukiwawczą.

Początkowo, zamroczony bólem i ciągnięty do statku przez Fostera i doktora Walkera, Reynolds żałował swojego braku roztropności, nie tylko dlatego że wyszedł na głupca przed załogą i dał kapitanowi powód do żartów, lecz także z tego powodu, że uniemożliwił sobie rozglądanie się po okolicy, a tak bardzo tego pragnął od momentu, kiedy utknęli w lodzie. Teraz jednak cieszył się z tamtego nierozważnego gestu, ponieważ jak wyjaśnił sierżantowi Allanowi, przy gęstniejącej mgłę znalezienie upragnionej dziury wiodącej do wnętrza Ziemi byłoby niemożliwe, o ile by w nią nie wpadli. Nie wspominając o zagrożeniu, jakie stanowiło stworzenie, które wyszło z maszyny i które już bez wątpienia położyło kres nędznym żywotom Carsona i Ringwalda. Widzicie więc, że przypalenie własnej ręki wydawało się Reynoldsowi umiarkowaną ceną za to, że nie musiał narażać życia.

Trzeba jednak zauważyć, że wyprawa nie przebiegała tak, jak sobie wyobrażał, a po ostatnich wypadkach trudno było przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń. Odkrywca przypomniał sobie łańcuszek przeszkód, jakie musiał pokonać, aby się tutaj dostać, a także wrogów, których sobie narobił swym uporem. Nie było łatwo znaleźć fundusze na ekspedycję taką jak ta, a to dlatego że ogromna większość ludzkości nawet w najmniejszym stopniu nie dopuszczała możliwości, że Ziemia jest pusta w środku. On zaś owszem, jak najbardziej. I mógł nawet zapewnić, że był w jej wnętrzu, choć stąpał po nim tylko w snach.

Wszystko zaczęło się pewnego odległego już w czasie popołudnia, kiedy zupełnie przez przypadek jeden człowiek na nowo określił jego przeznaczenie. Od tamtej pory Jeremiahs Reynolds przestał błądzić w nieokreślonym kierunku i zaczął żyć z jasno wytkniętym celem, wedle starannie nakreślonego kursu.

Wspomnianego wieczoru przechodził obok jednego z salonów w Pensylwanii, w których odbywały się różnorodne wykłady, kiedy usłyszał dobiegające z wnętrza wrzawę i śmiechy. A jeśli czegoś potrzebował po marnym dniu spędzonym na pracy w czasopiśmie, które prowadził, to właśnie śmiechu. Owszem, potrzebował go rozpaczliwie. Chociaż aby zrozumieć stan ducha, w jakim znajdował się Reynolds tamtego dnia i jaki skłonił go do zatrzymania się, należałoby wiedzieć o nim nieco więcej, zatem pozwólcie mi zrobić małą przerwę w opowieści i pokrótce zmapować duszę naszego eksploratora.

Jak wielu przed nim i wielu po nim, Reynolds dorastał w nędzy i musiał pracować od bardzo małego, by mógł sobie pozwolić na cokolwiek, czego potrzebował: od nowych podeszew do butów po przyjęcie na uniwersytet. Od najwcześniejszego dzieciństwa – choć może to określenie nie będzie najodpowiedniejsze w tym przypadku – był rozmiłowany w czytaniu, lecz bardziej niż powieści pociągały go sprawozdania z podróży

i odkryć. Z zaskakującą zachłannością pochłonął relacje Marca Polo, biografię Krzysztofa Kolumba, niezwykle pochlebną dla odkrywcy, a napisaną przez jego własnego syna, istne eposy o śmiałkach, którzy jako pierwsi wyruszyli do bieguna północnego i południowego oraz w serce czarnej Afryki... I jak łatwo zrozumieć, wszystkie te dokonania kształtowały fantazję dojrzewającego chłopaka do tego stopnia, że Reynolds dorastał, marząc o tym, by rywalizować z bohaterami awanturnych opowieści, którzy – jakby w ich żyłach płynęła heroiczna krew bogów olimpijskich – wyryli swoje imiona na ceramice historii, ale nade wszystko nie można pominąć tego, że wrócili obładowani bogactwami i obdarzeni tytułami, dającymi korzyści zarówno im, jak i ich dziedzicom. Reynolds nienawidził mierności i już we wczesnych młodzieńczych latach zaczął się czuć kimś lepszym od otaczających go ludzi, choć nawet on nie potrafiłby określić, na czym ta wyższość miałaby polegać, ponieważ wystarczyło na niego spojrzeć, by zauważyć, że nie odznaczał się żadnym szczególnym talentem ani cechami fizycznymi czy też ponadprzeciętną inteligencją. Niemniej do tej pory nie dało się powiedzieć, że Reynolds wyróżnia się zbytnio na tle innych młodzieńców, nawet pod względem rozpiekającego mu duszę poczucia wyższości, typowego dla niemal wszystkich ludzi. W czym więc był lepszy od na przykład mieszkającego na tym samym piętrze księgowego, z którym miał zwyczaj wymieniać wyniosłe spojrzenia, gdy go mijał na schodach? Co go odróżniało od tego faceta i reszty sąsiadów, to jego wiara w siebie samego, absolutne przekonanie o tym, że jest przeznaczony do wielkich, emocjonujących czynów, ponieważ Reynolds przeczuwał, że nie przyszedł na ten świat, aby wieść tak skandalicznie pospolitą egzystencję. Mijały jednak lata, a nic nie zachęcało go do odsłonięcia wspaniałego, tajemniczego przeznaczenia, jakie podobno było mu pisane. To prawda, że przewyciężył trudy, ponieważ udało mu się skończyć studia dziennikarskie, a nawet stanąć na czele czasopisma, ale były to osiągnięcia prozaiczne, jakie mogły się stać udziałem kogokolwiek, i nie zaspokajały jego pragnienia chwały. W najgłębszych zakamarkach świadomości czuł, że marnuje życie – jedyne, jakie ma – i że kiedy dobiegnie ono końca, tyle będzie miał za sobą przeżyć, ile miałby wtedy, gdyby umarł na ospę w dzieciństwie. Nikt nie zachowa w pamięci jego nijakiej wędrówki przez świat, a on nie będzie mógł zabrać ze sobą do grobu żadnych radosnych wspomnień. Miał definitywnie dość tarzania się w przeciętności i opiewania wielkich czynów innych ludzi, inwentaryzowania cudów, które zawsze przydarzają się komuś innemu, oraz przeliczania bogactw uprzywilejowanych obywateli dla czytelników, którzy tak jak on mogli sobie o tych wspaniałościach jedynie pomarzyć. Nie po to przyszedł na świat. Nie, urodził się, by występować w czasopismach jako bohater największych dokonań – niemających sobie równych, wywołujących zazdrość mężczyzn i westchnienia kobiet, podziw matron, a nawet szczekanie ich pudli, ponieważ jego nadzwyczajne wyczyny nie pozostaną niezauważone również w świecie zwierząt.

Niestety, nie trafiła mu się żadna okazja, by przeprowadzić wszystko to, co sobie wyśnił, toteż nie zaskoczy was zapewne wiadomość, że jego noce coraz bardziej przypominały niewyobrażalną męczarnię. Leżąc w ciemności, w oczekiwaniu na kojący sen, Reynolds dręczył się przywoływanymi w pamięci najdonioślejszymi odkryciami, o jakich czytał w książkach podróżniczych, a gdy go to zmęczyło, zaczynał ranić czerń nocy westchnieniami ciężkimi jak ostatnie tchnienie, użalając się nad tym, że wszystko już zostało zdobyte. A przynajmniej wszystko to, co warte było trudu eksploratora, ponieważ oczywiście nie wystarczyło, żeby coś po prostu odkryć. Jakaż chwała i bogactwo mogły na przykład przypaść w udziale komuś, kto naniesie na mapę każdą szczerbę ze skutych

lodem brzegów Antarktydy? Żadna. Trzeba być znacznie bardziej przebiegłym i odkryć coś, co zmieni bieg historii, zagwarantuje odkrywcy nieśmiertelność, a przy okazji, jeśli to możliwe, napelni mu kieszenie. Ale musiał zachować ostrożność, ponieważ od powrotu Marcu Polo w 1295 roku do pierwszej wyprawy Kolumba w 1492 dziesiątki eksploratorów dokonało wielkich odkryć, a mimo to ich imiona popadły niemal zupełnie w zapomnienie, przyćmione odkryciem Ameryki, i co gorsza, prawie nikt z owych śmiałków nie miał z tego nic więcej jak marny żołądek i choroby na całe życie. Kto na przykład pamięta o dzielnym bracie Odoryku ile Pordenone, który poprzez Indie i Malezję dotarł do Chin? Albo o Arabie Ibn Battucie, który podróżował przez Azję Południową do Chin, a następnie wędrował przez Afrykę Północną? Ba, nawet sławny Krzysztof Kolumb nie rozegrał za dobrze swych kart. Udało mu się przekonać dwór, że Ziemia jest znacznie mniejsza, niż to obliczył Eratostenes w starożytnej Grecji, i że on będzie w stanie znaleźć drogę do Indii, która zapewni dochodowy handel przyprawami korzennymi, a nade wszystko – Reynolds nie mógł wyjść z podziwu – Genuńczyk wiedział, jak wynegocjować dla siebie godne pozazdroszczenia wynagrodzenie. Niestety, po swoim niewiarygodnym sukcesie zaczął sobie przysparzać potężnych wrogów, którzy nie omieszkali donieść o nadużyciach popełnianych na tubylcach. Żalony rząd wicekróla Kolumba ostatecznie odarł go z prestiżu i wszelkich wpływów. Tak, okazywało się oczywiście, że zawód odkrywcy wiąże się z licznymi zagrożeniami, które nie zawsze kryją się w leśnym gąszczu. Reynolds wierzył, że sam umiałby lepiej pokierować sprawami, gdyby się nadarzyła okazja. Bądź co bądź polegał na swojej dziennikarskiej wnikliwości, swoich kontaktach politycznych, swym drygu do interesów... To prawda, że brakowało mu znajomości geografii i nawigacji, ale bardziej frustrowało go to, że nie było już ziem do odkrycia. Na to niewiele dało się poradzić, mógł tylko czekać cierpliwie na jakiś cud, który odmieni jego pospolicieść. A jeśli nic się nie zdarzy, zawsze zostanie mu ożenić się z Josephine, co nie będzie wyczynem godnym przejścia do historii, ale przynajmniej napelni mu kieszenie. Choć w obecnych okolicznościach Reynolds nie wiedział też, czy będzie mógł na to liczyć, ponieważ panna z każdym dniem okazywała się bardziej odporna na jego mało pomysłowe zaloty.

Takie, pokrótce, rozterki dręczyły go, kiedy przechodził obok sali wykładowej i usłyszał wybuchy śmiechu. Co zrozumiałe, Reynolds stanowczym ruchem otworzył drzwi sali – miał potrzebę, żeby się z kogoś pośmiać, w przeciwnym razie skończyłby, śmiejąc się sam z siebie. Ale gdy tylko wszedł, wielce zdezorientowany stwierdził, że człowiek stojący na scenie i wywołujący w publiczności wesołość wcale nie jest komikiem. Wręcz przeciwnie, był oficer wojskowy John Cleves Symmes najwyraźniej bardzo poważnie brał to, o czym mówił. A mówił, choć zdawało się to nie do wiary, że Ziemia jest ogromną, pustą w środku sferą. A właściwie jajkiem, ze skorupką oraz idealnie od siebie oddzieloną białką i żółtkiem. Do jej wnętrza można się dostać przez któryś z dwóch potężnych otworów znajdujących się na obu biegunach, a w środku mieszczą się równie puste sfery zatopione w czymś w rodzaju rozciągliwego płynu, odpowiedzialnego za siłę przyciągania. Lecz dla Reynoldsa najbardziej zaskakująca była informacja o tym, że w łonie planety również rozwija się życie. Symmes zapewniał, że pod powszechnie znanym zamieszkanym światem istnieje drugi, jeszcze cieplejszy i bardziej urozmaicony, w którym można znaleźć rośliny i zwierzęta, a być może nawet... ludzi. Jak było do przewidzenia, ta rewelacja wywołała wśród zebranych kolejną burzę śmiechu, do której Reynolds, siedzący teraz w ostatnim rzędzie, ochoczo się przyłączył.

Aby uciszyć śmiechy, Symmes próbował dodać swoim pomysłom prestiżu,

wykazując, że mają one oparcie w pismach najznamienitszych dawnych uczonych. Cytował astronoma Edmunda Halleya, który wyśnił Ziemię o pełnym życia wnętrzu, rozjaśnionym czymś w rodzaju świetlistego gazu, czasami wydostającego się na zewnątrz przez cienką skorupę na ziemskich biegunach i malującego wówczas niebo zorzą polarną. Po tym nazwisku nastąpiło wiele innych. Przytaczane urojone teorie tylko podsycaly wesołość słuchaczy. Reynolds śmiał się na swoim miejscu jak szalony, wyrzucając w ten sposób z siebie całą nagromadzoną przez życie frustrację, gdy tymczasem Symmes opowiadał, że w sercu Ziemi mieszkają żywiący się roślinami olbrzymi liczący ponad czterysta lat, istoty za pomocą promieniowania przekazujące sobie nawzajem myśli, albinotyczne karzełki przemierzające się w antygrawitacyjnych pociągach oraz mamuty i inne zwierzęta, które człowiek uważa za wymarłe od niepamiętnych czasów. Zdaniem Symmesa wnętrze Ziemi było miejscem bardzo rojnym. Nagle, podczas gdy publiczność rechotała coraz bardziej hałaśliwie, Reynoldsowi śmiech zaczął zamierać w gardle, i choć na ustach utrzymywał się grymas rozbawienia, oczy poczęły się przymykać, a całe ciało wychyliło się powoli na podobieństwo podciętego drzewa z zamiarem uważniejszego słuchania wywodu tego żalosego czelczyzny. Niczym papierowe strzałki jego słowa ledwie się przebijały przez powszechną wrzawę. Mimo wszystko Reynolds zdołał usłyszeć, niemal na wstrzymanym oddechu i z drżącym sercem, teorie naukowca Trevora Glynna, dotyczące podziemnych złóż. Jak wszyscy wiedzą – wyjaśniał Symmes – człowiek dociera do nich z wielkim trudem, centymetr po centymetrze drążąc twardą skałę, na której przebiega jego żywot. Tworzy kopalnie węgla, diamentów i innych minerałów, i ryzykuje życie w determinacji, by wydrzeć owe cenne kruszce Ziemi, której skorupa wydaje się chronić je z matczyną troską. Jednak gdyby udało się dostać do jej wnętrza przez któryś z otworów usytuowanych na biegunach, dostęp do owych złóż byłby tak łatwy jak przejazdka powozem po alei. Z tego co widać – tu Symmes dla poparcia swej tezy rozpostarł rozliczne plany, mapy i skomplikowane schematy – nasza planeta mieści w swoim wnętrzu setki złóż nieskończenie bogatszych i zasobniejszych niż te, które znajdują się najbliżej skorupy ziemskiej i które okazują się tak niedostępne dla człowieka. Owe głębokie jaskinie dla mieszkańców wnętrza planety są z kolei dosłownie w zasięgu ręki jak dla nas jabłka na drzewie, nietrudno się zatem domyślić, że wykorzystują oni złoto, diamenty i pozostałe kamienie szlachetne z taką samą rozrzutnością jak ich naziemni sąsiedzi glinę. Zapewne budują swe miasta i drogi, a nawet szyją ubrania z owych metali, które na powierzchni byłyby bezcenne. Tak więc znalezienie wejścia do wnętrza Ziemi będzie równoznaczne z otwarciem dostępu do wszystkich tych bogactw.

Ostatnie słowa Symmesa niemal utonęły w ogólnym rechocie, ale Reynolds i tak już nie słuchał. Siedział osłupiały z rękami mocno zaciśniętymi na podłokietnikach fotela i z wyschniętym, palącym gardłem. Oto była odpowiedź na jego gorące modły. Nie wszystko jeszcze zostało odkryte. Może na powierzchni Ziemi nie ma już nic ważnego do odkrycia, lecz pod nią czekał na swojego zdobywcę inny Nowy Świat. Ten, kto przybędzie pierwszy do tego królestwa, będzie mógł wzmocnić swą władzę, a nawet zorganizować nową trasę światowego handlu, trasę, która wydobędzie na zewnątrz szuflami złoto, węgiel, minerały, brylanty, dając początek bodaj największemu komercyjnemu przedsięwzięciu, jakie można sobie wyobrazić. Było oczywiste, że odkrywca owego terytorium obejmie kontrolę nad tym interesem pod flagą swojego kraju, z wszelkimi należnymi przywilejami. Nie zdając sobie z tego sprawy, Reynolds zaczął na swoim miejscu roić sny, ululany śmiechem słuchaczy jak niemowlę w kołysce. Jak ludzie nazwą owe nowe

ziemie? Innym Nowym Światem? Światem Wewnętrznym? Rzecz jasna nie będzie to już handel zamorski. Trzeba będzie na jego określenie ukuć nowy termin: handel spodziemny? Droga Głębinowa? Wyobraził sobie wstrząs, jaki wszystko to wywoła w społeczeństwie – porównywalny z tym, co nastąpiło po odkryciu kontynentu amerykańskiego, do nowych ziem zapragną się wybrać rzesze skuszonych bogactwami awanturników. Ale tylko ten, kto przybędzie pierwszy i będzie umiał sprytnie rozegrać swe karty, zostanie wybrańcem chwały. Nagle dla Reynoldsa nic do zniesienia okazała się myśl, że ktoś mógłby go w tym wyprzedzić. Powinien zbliżyć się do tego człowieka i tak go urobić, aby uzyskać od niego wszelkie informacje niezbędne do wyjaśnienia, czy to jedynie urojenie, czy też istnieje możliwość przekształcenia jego teorii w plan mający szanse powodzenia. Reynolds nie wiedział jeszcze, co o tym wszystkim myśleć, lecz mimo wątpliwości odnosił wrażenie, że przez podeszwy butów wyczuwa łaskotanie pochodzące z wnętrza Ziemi, echo tajemniczego życia, które w tej chwili tętni gdzieś pod spodem, gospodarnie prowadzone w podziemnym zaciszu, nieświadome dyskusji, jakie się toczą na temat jego istnienia.

Tak więc, kiedy zebrani opuścili salę, potrząsając głowami nad stekiem bzdur, jakich musieli wysłuchać, a Symmes – wyraźnie rozbity – zaczął zbierać przedstawiające wnętrze Ziemi rysunki, którymi ilustrował swoją pogadankę, Reynolds podszedł do tego człowieka o pulchnej twarzy, pogratulował mu wykładu i zaproponował pomoc w sprzątaniu materiałów. Symmes przyjął pomoc uszczęśliwiony, chętny do rozwijania swoich idei przed słuchaczem, którego niespodziewanie zesłał mu los. I tak Reynolds dowiedział się, że kapitan już od dziesięciu lat przemierza kraj niczym natchniony kaznodzieja, aby głosić swoją teorię z najróżniejszych ambon, i nie zbiera innych plonów, jak tylko grzmiące śmiechy lub litościwe uśmieszki, o czym sam właśnie miał się okazję przekonać. Symmes przystąpił do gorliwego propagowania swoich idei w świecie, gdy tylko wystąpił z armii, a Reynoldsowi nietrudno było sobie wyobrazić, jakie zamieszanie wywoływał w salonach i teatrach, które odważyły się użyć mu mównicy i pozwolić na wygłoszenie niedorzecznych pomysłów.

– Dowody na prawdziwość mojej teorii są niezbite – stwierdził, zbierając rozmieszczone na licznych stojakach rysunki. – Jakaż inna może być przyczyna huraganów i wichur, jeśli nie zassanie wiatru przez polarne dziury? I dlaczego tysiące tropikalnych ptaków migrują na północ?

Reynolds uznał to za pytania retoryczne i pozwolił, by się rozpląnęły w powietrzu niczym płatki śniegu. Nie było dla niego jasne, czy Symmes chciał zasugerować, że ptaki przedostają się przez polarne otwory, aby założyć gniazda we wnętrzu Ziemi, czy też nawiązywał do czegoś zupełnie innego, ale niewiele go to obchodziło. Wolał przytakiwać z entuzjazmem, udając, że słucha jego denerwującego głosu, a tymczasem gorączkowo przeglądał spiętrzone bezładnie papierzyska, mapy, iluminacje i zestawienia, którymi kapitan starał się podeprzeć swe słowa. W większości wyglądały na poważne rozprawy, wiele z nich firmowały nazwiska szanowanych naukowców, toteż Reynolds nie mógł odżalować, że obrońcą tak niezwyklej teorii musi być ten komiczny niezdara. Wyobraził sobie, co zrobiłby sam, wykorzystując swe dziennikarskie zdolności, z tą pomieszaną gmatwaniną informacji i wiedzy: uporządkowałby wszystko, zorganizował atrakcyjną prezentację, nie tylko dla przypadkowej publiczności, lecz także dla instytucji, które mogłyby im służyć wsparciem – niemal nieświadomie pomyślał „im”, a nie „mu” – i ostatecznie nadałby projektowi połysk wiarygodności, której brakowało cyrkowym występom Symmesa. Tak – powiedział sobie, oglądając rysunki – możliwe, że Ziemia

mimo wszystko jest pusta w środku. Czemu nie? Wygląda na to, że wielu w to wierzy.

– Nie wspominając już o niezliczonych starożytnych mitach, które nawiązują do miejsc znajdujących się we wnętrzu Ziemi – ciągnął swój wywód kapitan, pilnie śledząc reakcje młodzieńca. – Wyobrażam sobie, że słyszałeś, chłopcze, opowieści o Atlantydzie czy o królestwie Agartha.

Reynolds, rozkojarzony, kiwnął głową. Znalazł rysunki Trevora Glyna. Wnikliwie przeczytał adnotacje i skomplikowane obliczenia na marginesach, informujące o odległościach dzielących złoża, o różnych drogach dostępu do nich i szacunkowych ilościach minerałów, a także dane topograficzne i geograficzne przedstawione z taką skrupulatnością, że nietrudno było sobie wyobrazić, jak Glynn osobiście mierzy i mapuje teren, przechadzając się po ukrytych jaskiniach z ołówkiem w ręce. I w tym momencie, jak gdyby doznał szczęśliwego oświecenia, Reynolds zrozumiał, że nie jest to kwestia wiary czy niewiary, lecz tego, czy postawić na daną kartę czy nie. Tak, chodziło tylko o to. A on postanowił postawić. Postanowił postawić na teorię pustej Ziemi. Uwierzyć w nią w taki sam infantylny sposób, w jaki wierzył w istnienie Boga: w razie gdyby mimo wszystko Bóg okazał się oszustwem, konsekwencje wiary w Niego bez wątpienia nie byłyby takie straszne, jak gdyby istniał naprawdę, a on zadeklarował ateizm. Tak więc wierzył weń na wszelki wypadek, aby uniknąć ognia piekielnego, gdyby się jednak pomylił – jeszcze jedna próbka praktycyzmu Reynoldsa. Uwierzyć w teorię pustej Ziemi było mu znacznie łatwiej, jako że jeżeli naprawdę w coś szczerze wierzył, to w swoje przeznaczenie, a tamtego wieczoru wszedł do owej sali właśnie po to, by je spotkać. Rozmyślał nad tym wszystkim, próbując ignorować uciążliwy głos Symmesa. Jeśli jest jakiś świat do odkrycia, on nie zamierzał marnować czasu na dyskusje o jego istnieniu. Niech robią to inni. On po prostu uda się na jego poszukiwanie: stwierdził, że na to postawi, i ostatecznie nie miał nic do stracenia oprócz obrzydłego życia. Tak więc można by powiedzieć, że tego wieczoru przez prosty fakt wejścia do wypełnionej publicznością sali Reynolds znalazł sens swojej egzystencji, do tej pory jakże nieuchwytny. I mógł teraz zrobić tylko jedno: przyjąć go z entuzjazmem.

Głos Symmesa wyrwał go z zadumania.

– Jednakże – mówił kapitan, rozważając, czy ten nieznamy może się stać powiernikiem jego wiedzy, tego wszystkiego, o czym nie wspominał, przemawiając na podiach – główny powód, dla którego mam pewność, że Ziemia jest pusta w środku, jest zupełnie inny.

– Ach, tak?

– Właśnie. Powód czysto ekonomiczny, chłopcze – odrzekł Symmes wyniośle. – Pomysł stworzenia planety pustej w środku, jak kości, oznacza oszczędność na materiale, co nie powinno ująć uwagi Stwórcy.

Reynolds zdołał się powstrzymać od pogardliwej miny, której o mało nie wywołał tak głupi argument, i zamiast niej przybrał zafrapowany wyraz twarzy, jakby stanął przed niezbitym dowodem na to, że zamieszkują planetę, w której łonie tłoczy się cała cywilizacja, a gest ten naturalnie nie zawiódł oczekiwań byłego wojskowego. Młodzieniec zerknął na niego kątem oka, nie bez pewnej litości. Miał świadomość, że jeśli chce przeprowadzić swój plan do końca, powinien – przynajmniej do czasu – przypochlebiać się temu śmiesznemu człeczynie, aby się wkraść w jego łaski.

Reynolds o teorii pustej Ziemi wiedział niewiele albo nawet nic i zapewne mógł wykorzystać wiedzę i kontakty Symmesa, aczkolwiek wyczuwał, że związek z tym jegomościem będzie dla niego ogromnym ciężarem. Tak czy inaczej było za wcześnie, by

o tym wszystkim teraz myśleć. Zobaczy się później. Jeśli dojdzie do tego, że trzeba się będzie pozbyć Symmesa, nie sądził, aby okazało się to szczególnie skomplikowane.

A zatem następnego dnia Reynolds sprzedał udziały, jakie miał w „Obserwatorze”, czasopiśmie, które wydawał w Wilmington, i wolny Juk ptak dołączył do Symmesa w jego krucjacie, przyjmując marzenie byłego wojskowego za swoje. W ciągu niespełna roku objechali kraj niczym dwaj ewangeliści głoszący urojone, ukryte królestwo, z nowym, bardziej uporządkowanym i atrakcyjnym wykładem, odświeżonym przez zręczne posunięcia Reynoldsa. Niemniej wysiłki czynione w celu dodania projektowi wiarygodności raz po raz niweczyła jakaś ekscentryczna brednia wygłoszona przez Symmesa, który nie potrafił nagiąć się do tego, co wcześniej uzgodnili, ani nawet utrzymać języka na wodzy. Mimo wszystko eksplorator próbował nie poddawać się rozpacz i za plecami swego towarzysza realizował własny program. Szybko przyswoił wiedzę, jaką powinien był mieć o różnych teoriach związanych z pustą Ziemią, i potrafił rozróżnić, które będą najatrakcyjniejsze i najłatwiejsze do zrozumienia dla publiczności wypełniającej sale wykładowe, a które okażą się bardziej interesujące dla wpływowych osób zajmujących poważne stanowiska – bo tę właśnie grupę zamierzał kusić. Zachęcony postępami, całe miesiące poświęcił na gorączkową działalność: wysyłał listy do swoich kolegów dziennikarzy, umawiał spotkania z politykami i prosił o przysługi każdego, kto mu cokolwiek zawdzięczał, byle tylko wydrzeć pieniądze chociażby spod ziemi. Stopniowo udało mu się sprawić, że w różnych kręgach zaczęło się mówić o pustej Ziemi jako o teorii naukowej, może nie na tyle spójnej, aby nie powodowała unoszenia brwi, ale wystarczająco respektowanej, żeby nie wywoływała zwyczajowych do niedawna wybuchów śmiechu – pod warunkiem że nie pojawił się Symmes, by swym gadaniem wszystko zepsuć.

Pewnej nocy, gdy świętowali coś, co Symmes uważał za swój ostateczny triumf, a Reynolds za swój ostatni sabotaż, ten drugi przyjął wreszcie do wiadomości, że były żołnierz ma poważne problemy alkoholowe. Jak zwykle spędzili dzień, ujawniając zawartość pustej Ziemi każdemu, kto chciał słuchać, a teraz, po kilku kufkach piwa, na zmianę wyjawiali sobie nawzajem znacznie prostsze zębatki własnych dusz albo przynajmniej temu rytuałowi poddawał się nieodmiennie Symmes pod koniec kolacji, czemu jego towarzysz przysłuchiwał się z mieszaniną litości i znużenia. W ciągu wielu wieczorów, kiedy alkohol rozwiązywał Symmesowi język, Reynolds widział, że były kapitan coraz bardziej gubi się w labiryncie swych złudzeń, co nie omieszkął sklasyfikować jako obłąd. Symmes głębiej i głębiej zapadał się w swój żaloszny patos, a to poważnie zagrażało ich planom. Wyobraził sobie podziemny świat w najdrobniejszych szczegółach i wysnuł wizję czegoś w rodzaju wyidealizowanej oazy, gdzie unoszące się w powietrzu szczęście można wdychać pełną piersią i nie istnieją żadne troski przesładujące ludzi żyjących na powierzchni – krótko mówiąc, świat, w którym nie można nie być szczęśliwym. Jego cuda opisywał Reynoldsowi co wieczór z rozgorączkowanym wzrokiem konającego, oczyma duszy widzącego już rajskie rozkosze.

Jednak noc, która nas zajmuje, mimo że się zaczęła tak samo jak każda inna, potoczyła się w nieoczekiwanym kierunku, co pozwoliło Reynoldsowi zrozumieć szaleństwo towarzysza w całej rozciągłości. Rozparty na swoim fotelu, niebezpiecznie kołysząc w ręce kieliszkiem, Symmes zwierzył mu się bełkotliwie, że jeśli potrafi tak dobrze wyobrazić sobie podziemne krainy, jeżeli jest tak bardzo pewien, że świat, który ma pod stopami, wygląda tak, a nie inaczej, to po prostu dlatego, że tam był. Nieoczekiwane wyznanie byłego wojskowego, co oczywiste, zaskoczyło Reynoldsa –

zdzumiony młodzieniec słuchał urojonej historii o tym, jak Symmes zstąpił do środka Ziemi. Niestety, przytoczenie tyłu jego relacji ze wszystkimi szczegółami odciągnęłoby was od głównej opowieści, dlatego tylko pokrótce zaznaczę, że wspomniane zdarzenie miało miejsce w 1814 roku w pełnym toku wojny z Brytyjczykami. Formacja, w której Symmes służył w stopniu kapitana, wpadła w zasadzkę i szybko stało się jasne dla wszystkich, zarówno szeregowców, jak i dowódców, że nie ma więcej rozkazów, które należałoby wypełniać, oprócz łych podyktowanych instynktem przetrwania. Ścigany przez dwóch żołnierzy brytyjskich, Symmes zdołał się ukryć w jaskini, od której odchodził korytarz. Przez wiele godzin błąkał się w labiryncie tuneli, aż się natknął na schody najwyraźniej wiodące do samego środka Ziemi. Tam znalazł miasto o pięknych kopułach, jakby żywcem wyjęte z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, tak samo zresztą jak relacja, którą zdawał oszołomionemu Reynoldsowi, a która obejmowała rozkochanie w sobie urodziwej księżniczki z owego królestwa, spisek pałacowy, rewolucję i ostatecznie desperacką ucieczkę bohatera zostawiającego za sobą chorą z miłości kobietę. Kiedy Symmes skończył swoją opowieść, wieńcząc ją gorzkim lamentem nad miłością Litiny, księżniczki podziemnego królestwa Milmor, Reynolds – z zimnym dreszczem przebiegającym mu po plecach – uświadomił sobie, że przyszedł czas, aby się kapitana pozbyć. Tak, musiał to zrobić bez dwóch zdań, i to jak najszybciej, bo mając go na karku, straci wszelką możliwość przeprowadzenia swoich planów. Ale niestety, łatwiej było postanowić, niż wykonać, ponieważ Symmes, który mimo swojego żalosego zachowania miewał czasami napady natchnienia, na początku ich znajomości skłonił współnika do podpisania umowy, zgodnie z którą obaj zobowiązali się wspólne odbyć ekspedycję do środka Ziemi, a zarazem dokument ten zakazywał każdemu z nich podejmowania wspomnianego przedsięwzięcia bez uczestnictwa drugiego, z wyjątkiem wypadku zgonu jednej ze stron. I teraz, gdy Reynolds stwierdził, jak trudno mu sobie poradzić z tym człeczyną, mógł tylko przeklinać sam siebie za podpisanie tej zgody.

W ciągu następnych dni nie było takiej chwili, w której nie zastanawiałby się, co może zrobić, by się pozbyć Symmesa. Jego towarzysz pił coraz więcej, nawet za dnia, a szczególnie przed wykładami, jakby uważał, że alkohol pomaga mu wysławiać się z większą swadą, przez co Reynolds żył w nieznośnym strapieniu, bojąc się, że były wojskowy wybierze sobie któreś z ważnych spotkań albo występów na wyjawienie światu swej urojonej historii i w ten sposób zamieni ich obu w doborowych trefnisiów. Biorąc pod uwagę, że zabicie Symmesa własnymi rękami wykraczało nawet poza jego amoralność, Reynolds optował za jak największym zminimalizowaniem krzywdy. Zaczął od odbywania spotkań bez jego wiedzy, a nawet namawiał współnika, żeby więcej pił, aby w ciągu dnia utrzymywać go w stanie łagodnej półprzytomności. W ten sposób mógł pojawiać się na wykładach sam, zostawiając Symmesa śpiącego w pokoju hotelowym.

Pewnego dnia w końcu nadarzyła się wyczekiwana okazja. Był właśnie w trakcie spotkania z dwoma senatorami w pokoju hotelowym, gdy bez uprzedzenia Symmes pojawił się w samej białiznie, kompletnie pijany, i klękając przed szacownymi dżentelmenami, błagał ich o wsparcie dla ich projektu, by dali nieco pieniędzy jego przyjacielowi i jemu, ponieważ dokładnie w tym momencie piękna księżniczka wdycha z miłości pod ich stopami, o czym mogą się sami przekonać, przykładając ucho do dywanu, a cóż innego na tym świecie bardziej zasługuje na trudy walki aniżeli prawdziwa miłość? Następnie opadł u ich stóp na rzezonny dywan i zaczął spokojnie chrapać. Reynolds patrzył na śpiącego współnika z niesmakiem. Bez nadmiernych przeprosin pożegnał senatorów, wciąż zaskoczonych groteskową zjawą, po czym – gdy tylko wyszli – przez

kilka minut przyglądał się uważnie Symmesowi, a tymczasem grymas odrazy na jego ustach z wolna ustępował miejsca złowieszczemu uśmiechowi. Czy odważy się przeprowadzić to do końca? Doszedł do wniosku, że jeśli przepuści okazję, być może drugiej mieć nie będzie. Wobec tego, starając się nie myśleć o prawdziwym znaczeniu tego, co naprawdę robi, przystąpił do otwierania okien z pilnością służącej, która zamierza przewietrzyć pokój. Znajdowali się w Bostonie i był środek zimy, w tym roku szczególnie srogiej. Lodowaty wiatr zaczął potrząsać zasłonami i do wnętrza wpadł rój roztańczonych płatków śniegu, które plamiły na biało dywan, podłogę i kąty niczym wściekła z rozczarowania panna młoda drąca na strzepy swą suknię. Upewniwszy się, że nic nie zdradzi jego interwencji, Reynolds zostawił Symmesa na podłodze, na wpół gołego w zimowych warunkach na świeżym powietrzu, sam zaś poszedł spać do pokoju towarzysza, uprzednio zaznaczywszy w recepcji, aby pod żadnym pozorem nie przerywano mu odpoczynku. I muszę powiedzieć, że natychmiast zapadł w sen, a możliwe konsekwencje owego czynu nie przeszkodziły mu w tym w najmniejszym stopniu.

Następnego ranka Reynolds wrócił do swego pokoju i zastał Symmesa wciąż nieprzytomnego, choć kilka metrów dalej od miejsca, w którym go zostawił, jak gdyby ten w pewnym momencie w nocy ocknął się i próbował dowlec do łóżka w poszukiwaniu przykrycia. Miał rozpaloną, niemal fioletową twarz oraz palącą skórę. Oddychał z wielkim trudem, wydając z siebie udręczone parsknięcia, jak puzon zapchany mokrymi szmatami. Reynolds niezwłocznie przeniósł go do jego pokoju i ułożył w łóżku. Następnie wezwał lekarza, któremu wystarczył jeden rzut oka, by zdiagnozować ciężkie zapalenie płuc. Pacjent nigdy nie odzyskał pełnej przytomności. W ciągu czterech dni pocił się tylko, majaczył i rzucał się w łóżku w rytm gorączki, wzywając głośno Litinę. O świcie swego ostatniego dnia na tej Ziemi, która przyniosła mu tyle upokorzeń, Symmes otworzył oczy i ujrzał siedzącego u wezglowia Reynoldsa, który nie ruszył się stąd przez cały ten czas. Ekszołnierz zwrócił się do niego ochryplym, zduszonym szeptem: „Wszystkie moje wysiłki poszły na marne. Litina nigdy się nie dowie, że padłem ofiarą spisku, że ją kochałem szczerze i że odkąd uciekłem z jej świata, ani na jeden dzień nie przestałem jej kochać”. Reynolds patrzył na niego, czując, jak serce przepelnia mu litość – tyleż zaskakująca, ile niezmierna litość dla tego bezużytecznego życia, które mogło się zakończyć z godnością, gdyby w ostatniej godzinie nie podcięło go szaleństwo. I złapał się na tym, że prawie nieświadomie wziął go za rękę i obiecał – w tym pokoju wionącym lekarstwami i śmiercią – że nie spocznie, dopóki nie dotrze do wnętrza Ziemi, aby przekazać Litinie jego słowa. Tak, zrobi to i wypełni obietnicę, choćby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu. Symmes zdołał przywołać na usta blade uśmiech podziękowania. Mył to pożegnalny gest, ponieważ zaledwie kilka sekund po tym jego oczy straciły blask, a usta otwarły się w pragnieniu zaczerpnięcia oddechu, lecz ten już im się nie należał. W tym momencie Reynolds mógł się przekonać, że nie ma na świecie nic smutniejszego niż patrzeć na śmierć człowieka, który umiera z grymasem przygnębienia, ponieważ nie udało mu się zrealizować własnych marzeń.

Uwolniony w ten sposób od Symmesa, Reynolds czuł gdzieś w duszy słodko-kwaśny posmak, ale wzięwszy pod uwagę, że nie byłoby praktycznie użalać się nad tą sprawą, a tym bardziej do końca swych dni dręczyć się owym wspomnieniem, jak niewątpliwie zrobiłby ktoś o wrażliwym sercu, eksplorator postanowił przesunąć je do zakamarka swojego umysłu, gdzie gromadził wszystkie czyny, z których nie był

szczególnie dumny, i kontynuować swój plan, jak gdyby śmierć współnika wydarzyła się bez jego interwencji. Tak więc, wolny od swego kłopotliwego balastu, Reynolds nadal dawał wykłady na całym Wschodnim Wybrzeżu, tapetując ściany ilustracjami pochodzącymi od Halleya, Eulera i pozostałych, podobnie jak robił to wcześniej wraz z Symmesem. Jako że prezentacje, które urządzał przy zamkniętych drzwiach, najwyraźniej nie przyczyniały się do realizacji planu, desperacja doprowadziła do tego, że brał od słuchaczy po pięćdziesiąt centów za wstęp, aby w ten sposób zarobić na ekspedycję, której były wojskowy nigdy nie zdołał urzeczywistnić. To jednak natychmiast wydało mu się gestem bardziej romantycznym niż użytecznym i orzekł, że przysłała pora, by mierzyć wyżej. Wędrował ze swoim prozelityzmem z miasta do miasta, ze zdwojoną siłą bębniąc do drzwi ważnych urzędów, ale ponosił same porażki. Przyszło mu wówczas do głowy, by wykorzystać kompleks niższości kulturalnej, jaki prześladował Stany Zjednoczone względem krajów europejskich, i próbował sprzedać eksplorację bieguna południowego jako największy patriotyczny czyn, jaki można sobie wyobrazić. Dzięki zdarzeniu, którego nie wahał się uznać za zasłużony uśmiech losu, takie podejście przyciągnęło uwagę Watsona, przedsiębiorcy gotowego zrealizować marzenia odkrywcy. Gdy Watson wyłożył pieniądze, do sprawy zaczęły przykładać rękę inne liczące się osobistości, aż utworzyła się zagmatwana sieć ukrytych interesów i Reynolds z dnia na dzień wyszedł z cienia, by zawrzeć pakt z zamożnymi lotrami śledzącymi każdy jego krok i gotowymi wziąć udział w jego triumfie albo rzucić go na pożarcie w przypadku klęski. I tak „Annawan”, żegnany przez tłumy, wypłynął z nowojorskiego portu ku polarnej dziurze, a marzenie, które zatrulo życie Symmesa, czasopisma ochrzciły Wielką Amerykańską Ekspedycją.

Teraz jednak znajdowali się w miejscu, które zdawało się nie należeć do tego świata, gdzie nie było słycać aplauzu żadnego rozentuzjzmowanego tłumu, tylko spowijającą wszystko ciszę, jakże podobną do zapomnienia. Jak gdyby tego było mało, zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego, czego następstw Reynolds wciąż nie potrafił przewidzieć. Przybyli tu w celu znalezienia otworu prowadzącego do wnętrza Ziemi, a natknęli się na potwora z gwiazd. I choć w tej chwili Reynolds był otumaniony strachem, jego umysł bezwiednie zaczął już igrać z pomysłem, nawet nie bardzo przesadzonym, że to odkrycie też sprowadzi nań glorię chwały i zasypie go górą pieniędzy. Czyż znaczna część wielkich odkryć nie dokonała się przypadkowo? Czy Kolumb nie natknął się na Nowy Świat, gdy poszukiwał nowej drogi do Indii? Tak, przeznaczeniem wielkich ludzi najwyraźniej są cele tyleż ogromne, ile niewiadome. Być może przybycie gwiazdnej istoty okaże się dla ekspedycji nie przeszkodą, ale czymś znacznie lepszym. Gdy odkrywca rozważył sprawę z tej perspektywy, bez trudu doszedł do wniosku, że natknął się na Symmesa, uwierzył w teorię pustej Ziemi i wycierpiał setki ciężkich doświadczeń życiowych tylko po to, by znaleźć się tu w tym właśnie momencie i być świadkiem bodaj najważniejszego zdarzenia w dziejach ludzkości, może nawet bardziej doniosłego niż narodzenie Jezusa Chrystusa. Tak – powiedział sobie – wszystko to nie mogło być przypadkiem. Jego przeznaczeniem było zdobycie chwały, przejście do historii, i nie ulegało wątpliwości, że dokona tego tak czy inaczej.

Reynolds próbował wziąć się w garść. Teraz bardziej niż kiedykolwiek powinien się skupić, by na chłodno rozważyć otwierające się przed nim możliwości i postarać się wyprzedzić wypadki. Jeżeli zdołają schwytać diabła i zabrać go do Nowego Jorku, bezsprzecznie spowodują wstrząs, jakiego świat do tej pory nie zaznał. Nie da się z góry

oszacować, jaki wpływ może mieć na ludzkość odkrycie tego kalibru co dowód na istnienie w kosmosie innych istot. Jeśli ich potwór naprawdę pochodzi z gwiazd, jak zapewnia Metys, zarówno on, jak i jego latający sprzęt oferowałyby człowiekowi możliwość zyskania szerszej perspektywy spojrzenia na zajmowane w przyrodzie miejsce, a nawet zmieniłyby powszechne poglądy na sens życia. Człowiek, ten napuszony cesarz wszechświata, czy tego chce czy nie, będzie musiał przyjąć do wiadomości, że Ziemia jest po prostu jednym z ciał niebieskich rozrzuconych po firmamencie; krótko mówiąc, będzie zmuszony uświadomić sobie swą straszną znikomość. Owszem, gwiazdny potwór będzie rewolucyjnym znaleziskiem, lecz najpierw oczywiście trzeba go schwytać. Ale czy to możliwe? Czy uda im się złapać diabła i wrócić z nim do domu? Wtem przyszło mu do głowy coś innego: a jeśli potwór z gwiazd nie jest złym stworzeniem, jak wszyscy zdają się zakładać, ale przybył na Ziemię w pokojowych zamiarach? Czy dałoby się z nim porozumieć? Tego nie wiedział, ale może należało spróbować, ponieważ przypuszczał, że byłoby to nieskończenie większe osiągnięcie niż przywiezienie głowy stwora do Nowego Jorku. Pierwsze porozumienie z inteligentnym bytem z innego świata! Ileż cudów takie stworzenie mogłoby opowiedzieć ludzkiej rasie? A jak w przyszłych wiekach wspominałoby Reynolds, architekta owych cudownych zdarzeń? Eksplorator musiał powściągnąć swoją wyobraźnię. Wszystko się jeszcze zobaczy. Najważniejsze teraz to znaleźć sposób powrotu do domu, ponieważ na nic się nie zda wiedza o życiu w innych światach, choćby urządzili sobie herbatkę z pochodzącą stamtąd pozaziemską istotą, jeśli zamarną na śmierć.

Z rozmyślań wyrwało go ukazanie się na horyzoncie dwóch sylwetek. Reynolds wyjął z kieszeni płaszcz lunetę i skierował ją na dwa zdążające ku statkowi ciemne kształty. Choć odległość nie pozwoliła mu rozróżnić rysów twarzy, mogli to być tylko Carson i Ringwald, którzy najwyraźniej nie zostali pożarci przez potwora. A ze sposobu, w jaki szli, można było wywnioskować, że nie są ranni. Reynolds zobaczył wówczas sanie, które mieli ze sobą, a na nich ogromny, przykryty kocem toból. Odkrywca nie mógł wyjść ze zdumienia. To mogło oznaczać tylko jedno: Carsonowi i Ringwaldowi udało się schwytać potwora z gwiazd.

V

Przybycie dwóch załogantów uznanych już za martwych wstrząsnęło „Annawanem”, wywołując taki zamęt, jakby pojawił się duch. Reynolds, kapitan MacReady, doktor Walker, bosman Fisk i paru marynarzy, wśród nich Peters, Allan i Griffin, zeszli po rampie na śnieg, żeby przywitać zaginionych towarzyszy, choć większość zdawała się bardziej podekscytowana przypuszczeniem, że ci dwaj upolowali potwora z kosmosu. Zatrzymali się przed saniami w nabożnym milczeniu.

– Spotkaliście go? – zapytał MacReady, postanawiając nie okazywać podziwu tym dwóm ludziom, których w głębi ducha uważał za największe niezdary na statku. Jednocześnie wskazał leżący na saniach toból, który przyciągał spojrzenia wszystkich zebranych.

– Nie, kapitanie – odparł Ringwald – ale znaleźliśmy to.

Dał sygnał swemu towarzyszowi i każdy z nich pociągnął za jeden koniec grubego koca, odsłaniając transportowany na saniach ładunek. Gdy ten ukazał się oczom wszystkich, podniósł się ogólny pomruk. Nie był to diabeł z gwiazd, lecz widok okazał się równie zaskakujący. Ringwald i Carson, przeszukując okolicę, znaleźli okrutnie rozszarpane ciało ogromnego niedźwiedzia polarnego. Zwierzę, olbrzymi okaz, miało rozdarte gardło, zgniecioną czaszkę i rozpruty brzuch z odsłoniętymi serpentynami wnętrzości, które zdążyły zamarznąć i zwieszały się sztywno na zewnątrz. Jak gdyby to nie wystarczało, jedna noga była zupełnie oderwana od tułowia. Rany te wyglądały na tak brutalne, że nikt nie odważył się domyślać, co mogło je zadać. Podczas gdy grupa w zdumieniu przyglądała się trupowi, Ringwald wyjaśnił, że gdy znaleźli martwego niedźwiedzia, jego wnętrzości jeszcze dymiły, zatem musiał zginąć całkiem niedawno, a ponieważ mgła zrobiła się tak gęsta, że uniemożliwiała marsz, postanowili powiększyć rozdarcie brzucha i na zmianę chronili się w jego ciepłym wnętrzu. Dzięki temu nie zamarзли, choć obaj stracili czucie w kilku palcach u nóg. Słyszając to, wszyscy zauważyli – starając się powstrzymać mdłości – lepką, śmierdzącą warstwę, która okleiła i wsiąkła w wierzchnie okrycia obu marynarzy. Co nieuniknione, wyobrazili ich sobie w cuchnącym kokonie, w jaki zamienili martwe ciało niedźwiedzia, z karabinami wycelowanymi w pustkę – można by się nawet zastanowić, czy nie lepiej byłoby wówczas umrzeć, aniżeli resztę dni spędzić w otocze tego okropnego fetoru, którego z pewnością nie zdoła pokonać żadne mydło. Wtem Griffin zwrócił uwagę zebranych, wskazując przednią łapę niedźwiedzia. Reynolds pochylił się nad nią i spostrzegł, że na jednym z pazurów widać resztki jakiejś dziwnej czerwonej skóry.

– Cóż, może nie mamy pojęcia, jak wygląda potwór, ale przynajmniej wiemy, że ma szkarłatną skórę – rzekł, prostując się z powrotem. – Nie będzie mu łatwo ukryć się na śniegu.

– Mówi pan: szkarłatna? – zdziwił się jeden z marynarzy, przyglądając się strzępom tkwiącym na niedźwiedzim pazurze. – Mnie się wydaje bardziej złocista.

– Może powinieneś nosić okulary, Wallace – wtrącił się inny, niejaki Kendricks. – Przecież wyraźnie widać, że jest ciemnoniebieska.

Wallace upierał się, że skóra jest żółta jak siano, a pozostali marynarze nachylali się nad łapą, by stwierdzić, jakiego koloru jest strzęp skóry potwora. Każdy z nich najwyraźniej widział inną barwę.

– Przestańcie dyskutować, do cholery! – ryknął kapitan, mając dość tej absurdalnej kłótni. – Nie rozumiecie, że kolor tego stworzenia jest najmniej ważny? Święty Boże,

ważne jest to, co potrafi ono zrobić!

Marynarze zamilkli, nagle zawstydzeni, i skierowali wzrok na szczątki niedźwiedzia. A ponieważ wyobrażam sobie, że nikt z was w swoim spokojnym życiu nie miał okazji znaleźć się twarzą w twarz z tak mało przyjaznym zwierzęciem, pozwolę sobie wtrącić tutaj dygresję, by was poinformować, że niedźwiedź polarny jest budzącym grozę wrogiem, niemal niemożliwym do pokonania strzałem z broni palnej. Czaszkę ma tak twardą, że może dać odpór karabinowej kuli, podobnie jego płuc nic prawie nie jest w stanie przebić. Do tego trzeba dodać, że serce tego zwierzęcia to narząd trudny do zlokalizowania wśród nagromadzenia mięśni, ścięgien i grubych warstw tłuszczu. Krótko mówiąc, bestia niejako nieustannie ma na sobie średniowieczną zbroję. Jednak potworowi z gwiazd uśmiercenie tego drapieżnika najwyraźniej nie sprawiło większego problemu.

Reynolds wszakże przyglądał się trupowi niedźwiedzia nie tylko z przerażeniem, lecz także z pewnym rozczarowaniem. Sądząc z tego, jak potraktowano zwierzę, nie można było powiedzieć, że gwiazdny diabeł jest wysłannikiem pokoju ani też kimś, kto ponad wszystko przedkłada podstawowe zasady grzeczności, zatem zamiary nawiązania z nim dialogu nagle wydały się Reynoldsowi nieco ryzykowne. Chociaż... może ta istota z kosmosu, o ile faktycznie stamtąd przybywa, musiała się tylko bronić.

Kapitan MacReady przestał z ponurą miną kiwać głową nad ranami niedźwiedzia, oddalił się od ciała i badawczo powiódł wzrokiem dookoła, podczas gdy pozostali patrzyli na niego wyczekująco.

– Słuchajcie uważnie – rzekł, gdy zmrużonymi oczyma dokładnie zbadał otoczenie. – Od tej pory nikt nie opuszcza statku bez mojego pozwolenia. Schronimy się w środku i będziemy na zmianę pełnić straż. Jeżeli to coś tak się rozprawiło z niedźwiedziem polarnym, nie trzeba wam mówić, co może zrobić z każdym z nas.

Rozległ się pomruk jednogłośnego zaniepokojenia. Nie, nie było potrzeby, żeby kapitan im to wyjaśniał.

– Co do niedźwiedzia – dodał – zabierzcie go na statek. Przynajmniej będziemy mieli co jeść, czekając, aż ten stwór przyjdzie po nas. A wiercie mi, prędzej czy później to zrobi.

Wszyscy skinęli głowami i wycofali się na statek, próbując się oswoić z sytuacją oblężenia, na którą nagle zostali skazani. Nie rozległ się przy tym ani jeden protest, choć ten pokaz opanowania przypuszczalnie bardziej wynikał z faktu, że nie wiedzieli, komu by się mieli poskarżyć, niż z czego innego. Czy nie wystarczyło, że mogą zamarznąć na śmierć na tym przeklętym skrawku lodu – trzeba było jeszcze doprawiać ich nieszczęście potworem z gwiazd, który jest w stanie zetrzeć na miazgę niedźwiedzia polarnego? Reynolds, idący na końcu zgnębnego pochodu, zauważył, że Allan zatrzymał się tam, gdzie stali przedtem przy saniach, i z powagą spoglądał w dal, być może zastanawiając się, czy słaby umysł człowieka jest przygotowany na rozważania o istocie z innego świata, która tak bardzo różni się wyglądem od wszystkiego, co żyje na Ziemi, i może się okazać bardziej niepojęta niż przerażająca. W końcu młody artylerzysta odwrócił się i ze spuszczoną głową oraz zaszepionym spojrzeniem dołączył do grupy.

– Jesteśmy sami... – mruknął, idąc obok Reynoldsa. – Sami z „nim”.

Jego słowa zmroziły krew odkrywcy. Nagle ta bezkresna równina wydała mu się przerażająco mała.

Dwa dni później wszystko szło spokojnie. Choć był to, rzecz jasna, spokój pełen

napięcia, ukradkowych spojrzeń i zalęknionych min, w którym każdy niespodziewany głośniejszy dźwięk wywoływał przerażone drgnienie, lekkie wstrząsy statku sprawiały, że co wrażliwsi rozlewali pół rosołu, a kolejnym elementem nakrycia stołu stał się karabin. Był to nieufny, przesadzony bezruch, napinający nerwy do granic, pod błahym pozorem wywołujący sprzeczki, z których większość rozwiązywano, gdy jedna ze stron błyskała nożem albo za pośrednictwem interwencji kapitana MacReady'ego, zazwyczaj wykorzystującego owe spięcia jako pretekst do popisania się umiejętnościami bokserskimi. Było to wreszcie zawieszenie tak denerwujące, że wszyscy skrycie pragnęli, aby potwór z gwiazd zaatakował ich w końcu, do cholery, a oni się przekonają, czy potrafią z nim wygrać, czy raczej ich opór okaże się tak bezużyteczny jak tego niedźwiedzia, którego mięsem zaspokajają głód.

By gwiazdny potwór nie wziął ich z zaskoczenia, MacReady wystawił na pokładzie cztery posterunki, po jednym na każdym krańcu statku, a warty miały się zmieniać co dwie godziny. Reynoldsa zwolniono z tego obowiązku – nie wiedział, czy z uwagi na stanowisko dowódcy wyprawy, czy raczej z powodu zranionej ręki. Czasami jednak wychodził na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, zwłaszcza kiedy po długim przebywaniu w zamknięciu i tak ciasna kabina zaczynała mu się wydawać jeszcze węższa. Tym razem jednak uciekł ze swojej klitki nie z powodu jej skromnych rozmiarów. Postanowił zmierzyć się z panującym na zewnątrz mrozem, ponieważ jego kajuta znajdowała się zbyt blisko izby chorych, usytuowanej na samym czubku dzioba statku, a wiedział, że doktor Walker, który jego przypalonej ręce okazał tyle miłosierdzia, zdecydował o amputowaniu dotkniętej gangreną prawej nogi Carsona. Kilka minut wcześniej słyszał już krzyki Ringwalda – wrzaski wydobywające się z samych czeluści piekieł, a jemu przecież amputowano tylko trzy palce ręki. Owszem, na pokładzie przyjdzie mu znosić ziab, ale przynajmniej nie będą mu z takim okrucieństwem objaśniane ciężkie warunki, w jakich muszą wytrwać ekspedycje polarne jak ta, którą sam tak beztrząsco zorganizował.

Sądząc ze straszliwego zimna, jakie go ogarnęło zaraz po wyjściu, tego wieczoru temperatura musiała spaść poniżej minus czterdziestu stopni. Dziki wiatr wył ponad drzewcami masztów i hulał po rampie, miotając śniegiem na prawo i lewo. Reynolds owinął się ciaśniej płaszczem i rozejrzał dookoła. Ucieszyło go, kiedy odkrył, że jednym ze strażników jest Allan. Sylwetka artylerzysty, którego ciało zdawało się złożone z cienkich, wydłużonych członków, jak u ptaków brodzących, z powodu licznych warstw odzieży i okryć wyglądała na wyjątkowo ciężką. Sierżant z uwagą przebiegał wzrokiem horyzont, piastując w swych rękach poety karabin. Po kilku sekundach namysłu Reynolds postanowił wdać się z nim w pogawędkę. Bądź co bądź, młodzieniec z Baltimore był jedynym członkiem załogi, którego wrażenia z zachodzących wydarzeń mogły coś wniesić do jego wiedzy.

Tak jak podczas rozmowy z Griffinem podczas marszu do latającej maszyny, Reynolds po raz pierwszy zwrócił się do młodzieńca wyłącznie w tym celu, by ten mu wyjawiał, co skłoniło do zapisania się na tę wyprawę kogoś o charakterze wybitnie różnym od reszty załogi, ponieważ Allan niczym ozdobny inicjał odstawał od zwyczajnych liter, jakimi byli prości marynarze, którymi kierowały pospolite pragnienia i zwykłe nałogi. Allan już wtedy, na początku, zaprezentował się jako błyskotliwy rozmówca i okazał się bodaj jedyną osobą, z którą ktoś taki jak Reynolds mógł się dogadać na „Annawanie”, toteż odkrywca starał się spotykać z nim, gdy tylko się nadarzała okazja, niejako aby jego duch mógł zażyć w swej głębi powietrza. Z upływem dni Reynolds zauważył, że Allan

zdaje się również czuć wygodnie w jego towarzystwie, i zaczął otwarcie zapraszać go do swej kabiny, aby mu pomógł zdziesiątkować zapasy brandy, które zakupił przed wyprawą. Eksplorator odkrył wówczas fatalny wpływ, jaki alkohol miał na biednego artylerzystę, ponieważ jeśli pierwszy łyk zamieniał go w wybornego mówcę, to po następnym młodzieniec plótł bez większego sensu i gubił się we własnym wywodzie, po trzecim zaś walił się na stół na granicy nieprzytomności, i szklanka pozostawała prawie nietknięta. Reynolds nigdy nie znał nikogo, kto miałby słabszą głowę niż Allan. Nawet małe dziecko mogłoby wypić więcej. Nie żeby przeprowadził jakieś próby.

Mimo wszystko owe nieregularne, egzaltowane rozmowy pozwoliły odkrywcy bez większych błędów prześledzić życiorys młodzieńcu, a zwłaszcza poznać motywy, dla których artylerzysta zaciągnął się im „Annawan”. Powodem nie było nic innego, jak tylko złe stosunki młodego człowieka z ojczymem. Po kilku latach konfliktów, nieporozumień, a nawet płynących z obu stron gróźb, od których atmosfera w domu stała się nieznośna, Allan, znużony tym wszystkim, postanowił obrać strategię, jaka miała szansę pojednać go z nieustępliwym dyktatorem, któremu przypadła opieka nad młodzieńcem po śmierci rodziców – Allan zaproponował, że wstąpi do West Point. Jak podejrzewał, jego opiekun zgodził się z ulgą, zadowolony, że irytujący młodzieniec nareszcie znalazł sobie ścieżkę, która wyciągnie go z próżniactwa. Jednak w miarę zbliżania się daty wstąpienia do akademii wojskowej, Allan coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że nie ma najmniejszej chęci na naukę w tej uczelni. Pragnął jedynie zniknąć – aby go ziemia pochłonęła, a gdyby to się nie udało, znaleźć sobie miejsce, gdzie czas zatrzyma się jakimś cudem i pozwoli mu wszystko przemyśleć, odzyskać siły i postanowić, co chciałby robić w życiu, a może nawet napisać nowy wiersz, który przeczuwał, zamiast zaprzętać sobie głowę koniecznością zjedzenia ciepłego posiłku w środku dnia. Czy istniało gdzieś takie miejsce oprócz więzienia? Zrozumiał, że tak, kiedy zasłyszał o wyprawie „Annawanu”, która nie obiecywała powrotu, ale owszem, zapowiadała dużą dozę przygody.

„W ten sposób sformowała się ta osobliwa załoga – pomyślał Reynolds – z ludzi, którzy przed czymś uciekają”. W rzeczywistości dla Allana, Griffina i pozostałych osób znajdujących się teraz na „Annawanie” nie miało najmniejszego znaczenia, czy Ziemia jest pusta w środku. Zaczął wręcz zdawać sobie sprawę z tego, że nawet dla niego samego nie jest to ważne. Nie byli niczym więcej niż zbieraniną desperatów uciekających przed własnymi wewnętrznymi demonami, które przybierają postać a to garnącej się do małżeństwa kobiety, a to nieprzejednanego ojczyma, a to – jak w jego przypadku – strachu przed najgorszą ze śmierci: tą przychodzącą lata po naturalnym zgonie, gdy wszyscy, którzy znali zmarłego, też schodzą z tego świata i nie zostaje już nikt, kto wspomniałby jego imię albo wychwalał jego dokonania. Niemniej w owej ucieczce donikąd wszyscy tłoczący się na statku uchodźcy spotkali się z tym samym przeznaczeniem – przyszło im się zmierzyć z prawdziwym demonem i być może ze śmiercią jeszcze gorszą niż zapomnienie.

Pod wpływem tych przemyśleń znowu potrząsnął głową. Zbyt wiele rzeczy brał za oczywiste, przyznał w duchu, gdy ze zrezygnowaną miną kierował się ku Allanowi. Kto mu dał pewność, że ten przedmiot nie pochodzi z Ziemi? Jak można polegać na przypuszczeniach Metysa, który nawet nie umie dobrze tropić? Mimo wszystko coś w rodzaju intuicji podpowiadało mu, że ta istota nie jest z tego świata, choć niewątpliwie jego pragnienie, aby tak właśnie było, ujmowało obiektywności owemu przeczuciu. A co do intencji tego stworzenia lepiej już nie snuć przypuszczeń. On sam, mimo że pragnął nawiązania z tą istotą jakiegoś dialogu, zaraził się strachem załogi: teraz sypiał z

pistoletem pod poduszką i ledwie zmrużył oko, wyobrażał sobie czającego się gdzieś przy statku potwora.

Gdy był już blisko Allana, pozdrowił go życzliwie i przez kilka minut obaj zachowywali pełną szacunku ciszę towarzyszy z łoży, podziwiając rozciągającą się przed nimi usianą nierównościami lodową łąkę. Wiatr kołysał umocowanymi na kijach latarniami, nadając obrazowi niejako magiczny wyraz, jak gdyby w oddali, na śniegowym odludziu odbywało się zebranie wróżek. Czy oni też są obserwowani w tym momencie? – zastanawiał się Reynolds z pewnym zaniepokojeniem. Odchrząknął i wypowiedział pytanie, które chciał zadać artylerzyście od samego początku:

– Jak pan myśli, Allan, czym jest to coś?

Grube zawiniątko będące głową sierżanta przez kilka sekund jeszcze przyglądało się śniegom.

– Nie wiem – odparł w końcu młodzieniec z lekkim wzruszeniem ramion.

Reynoldswi jednak nie wystarczyła ta odpowiedź i sformułował pytanie w inny sposób:

– Uważa pan, że to pochodzi z... gwiazd?

Tym razem młodzieniec odrzekł natychmiast:

– Tak, przyjacielu, przypuszczalnie z Marsa.

Taka dokładność zaskoczyła Reynoldsa.

– Z Marsa?

Artylerzysta skinął głową i zwrócił się w stronę rozmówcy, wbijając weń swoje ogromne oczy, te szare oczy, których odkrywca zawsze starał się unikać ze strachu, że go wciągną niczym wir.

– To wyjaśnienie jest najprostsze – odparł prawie z wyrzutem. – A najprostsze wyjaśnienia zazwyczaj bywają prawdziwe, mój drogi Reynoldsie.

– Dlaczego? – zapytał eksplorator, nie dając jasności, czy pragnie się upewnić w sprawie pierwszego zdania, drugiego czy obu.

– Ponieważ Mars jest planetą usytuowaną najbliżej naszej – wytłumaczył Allan, ponownie skupiając się na lodowym otoczeniu. – Czytał pan raporty Royal Society oparte na badaniach przeprowadzonych za pomocą teleskopu przez Williama Herschela, nadwornego astronoma Anglii? – Reynolds zaprzeczył ruchem głowy i zachęcił towarzysza, by kontynuował. Allan dodał więc: – Zapewniają one, że Mars ma gęstą atmosferę, pod wieloma względami podobną do naszej, zatem to wielce prawdopodobne, że jest zamieszkały.

– Rozumiem, iż nie uważa pan, że to coś i wynalazek, który je tu przyniósł, są na przykład eksperymentem militarnym jakiegoś ziemskiego mocarstwa?

– Oczywiście, że brałem to pod uwagę, ale wydało mi się strasznie skomplikowane. Moim zdaniem byłoby bardzo trudne, żeby nie powiedzieć: niemożliwe, aby jakieś europejskie czy azjatyckie mocarstwo odznaczało się postępowaniem naukowym tak nieproporcjonalnie wyższym niż pozostałe – rzekł Allan. – I by ponadto do tej pory zdołało to utrzymać w sekrecie, nie sądzi pan? To wykluczałoby ziemskie pochodzenie tego czegoś, zatem pozostaje nam jedynie przypuszczenie, że przybyło z kosmosu. A jeśli przyjmiemy wspomnianą hipotezę jako prawdziwą, być może nie pomylimy się, zakładając, że gość nasz przyleciał z Marsa, planety o warunkach dla życia najbardziej zbliżonych do naszych. – Młodzieniec rzucił mu szybkie spojrzenie. – Rzecz jasna mogę się mylić, a może nawet naginam fakty, by pasowały do mojej teorii, u umysłów stosujących dedukcję to tak powszechna tendencja, ale dopóki ktoś nie wykaże mi czegoś

przeciwne, dla mnie wyjaśnienie najprostsze, a nade wszystko najlogiczniejsze brzmi następująco: obca, nietutejsza istota, prawdopodobnie szpiegująca nas z ciemności, to Marsjanin – zakończył z przekonaniem.

To powiedziawszy, Allan uniósł twarz ku niebu i przenikliwym wzrokiem zdawał się spoglądać w jakimś określonym kierunku, być może w stronę Czerwonej Planety. Skulony z zimna u jego boku eksplorator patrzył na niego zdziwiony i oczarowany zarazem, nie wiedząc, co powiedzieć na tę analizę pochodzenia nieznanego stwora, której dokonał artylerzysta. Wiedza Allana zawsze go zaskakiwała. Reynolds nigdy nie znał nikogo o tak szerokiej wiedzy z tak licznych dziedzin, jaką najwyraźniej posiadał jego towarzysz, ani też nikogo, kto byłby w stanie przeprowadzić tak wyczerpującą, jak i kategorię analizę jakiegokolwiek sprawy. Nie na próżno artylerzysta wstąpił na prestiżowy Uniwersytet Wirginii, gdy tylko skończył siedemnaście lat. Choć według tego, co opowiedział Reynoldsowi podczas jednej ze swych przesadzonych pijatyk, szybko się tam zadłużył, a jako że nikt się nie kwapił do spłacenia jego długów karcianych, został stamtąd niezwłocznie relegowany, tyle że zdążył przedtem spalić meble w swoim pokoju. Kolejne przesłanie, którego jego ojczym – przez młodzieńca obwiniany o to, że go wychował jak bogacza, nie dając mu bogactwa – nie umiał albo nie chciał przyjąć do wiadomości.

– Wie pan co, Reynolds? Właściwie zawsze uważałem, że taka wizyta jest tylko kwestią czasu – dodał nagle artylerzysta na wpół marzycielsko, na wpół smętnie, nie spuszczać oczu z rozgwieżdżonego nieba.

– Marsjanin... – powtórzył Reynolds, nie do końca mu wierząc.

Słowa sierżanta wywołały u niego dreszcz emocji. Czuł zarazem euforię, jak i przerażenie. Tutaj, u swego boku, miał umysł tak wybitny jak jego własny, który tak samo jak on uważał, że to stworzenie przybyło z kosmosu. Dokładniej: z Marsa. Konsekwencje tego wszystkiego oszołomiły Reynoldsa do tego stopnia, że poczuł lekki zawrót głowy. Marsjanin... Z nieba spadł Marsjanin... I pierwszymi ludźmi, którzy z nim nawiązali kontakt, byli oni, dzielna załoga „Annawanu”, członkowie Wielkiej Amerykańskiej Ekspedycji zorganizowanej przez niego, Jeremiaha Reynoldsa, wielkiego odkrywcę, pierwszego człowieka, który będzie rozmawiał z gwiazdą istotą, odkrywcą, który być może nigdy nie zostanie wicekrólem podziemnego świata, ale kto wie, czy nie przejdzie do Historii jako ambasador Ziemi poza jej granicami.

– Tak, Marsjanin – podkreślił artylerzysta, spoglądając teraz na niego rozbłysłymi oczami, jakby przesyconymi blaskiem konstelacji, w które przed chwilą patrzył. – A jego istnienie zmienia wszystko, nie sądzi pan? Na przykład jak człowiek będzie mógł nadal wierzyć w Boga?

– Cóż, nie byłbym tego taki pewien. Według *Księgi Rodzaju* Bóg jest Panem wszelkiego stworzenia, Stworzycielem nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych – odpowiedział Reynolds. – Wszystkiego, Allan, wszystkiego. Nie wyłączając Marsjanina. Sądzę, że Bóg wydałby się nam znacznie potężniejszy, gdyby się okazał zdolny do stworzenia istot wykraczających poza ludzką wyobraźnię.

– Jest pan tego taki pewien? – rzekł Allan pobłażliwym tonem. – Proszę się przez chwilę rozejrzeć wokół siebie: „Annawan” to jeden z najbardziej zaawansowanych statków naszej epoki, a jednak po niemal czterystu latach jedyne, co go odróżnia od zwykłej karaweli, to wykorzystanie węgla jako dodatkowego napędu oprócz wiatru i zastąpienie drewna metalem. A zaledwie kilka mil od niego znajduje się urządzenie z innego świata, coś tak niewiarygodnie zaawansowanego, że żaden z naszych geniuszy nie

mógłby go sobie nawet wymarzyć. Pomyśleć, jakiego rodzaju cywilizacja mogła stworzyć coś takiego i jakie inne cuda zapewne ma w zanadrzu społeczeństwo, które potrafiło skonstruować taką rzecz. Szczepionkę przeciwko starości? Zniszczenie wszystkiego, co wywołuje nasze najgorsze doczesne troski? Sfabrykowanie na nasze podobieństwo istot, które wyręczają nas w najcięższych i najbardziej uciążliwych pracach? A może nieśmiertelność? Niech mi pan powie, Reynolds: na co skierują swój wzrok wierzący po tym wszystkim? Obawiam się, że gdy cała ta sprawa wyjdzie na jaw, to, co oferują nam Bóg i Jego niebo, nie będzie już ważne dla nikogo – stwierdził sierżant, jak zawsze skłonny do rzucania takich i podobnych zdań, godnych uwiecznienia w marmurze.

Reynolds nie wiedział, jak odeprzeć jego słowa, między innymi dlatego, że w rzeczywistości zgadzał się z Allanem we wszystkim, co ten mówił, punkt po punkcie. Jeśli wcześniej z przekory zaoponował, to tylko dlatego, że artylerzysta nie wziął pod uwagę korzyści, jakie ta sprawa przyniosłaby na poziomie osobistym, tak jak zrobił on. Nie, Allan skupił się na szacowaniu następstw, jakie przybycie Marsjanina będzie miało dla ludzkości, sprawiając, że Reynolds poczuł się przez to człowiekiem podłym, egoistycznym i interesownym. Obaj zamilkli, przyglądając się tańcowi światła na niebie. Tak czy inaczej, pomyślał Reynolds, wszystko mu jedno, czy ostatecznie za pięćdziesiąt lat człowiek wciąż będzie wierzył w Boga, czy zacznie oddawać cześć skunksom, nie ma więc sensu marnować czasu na jałowe dyskusje na ten temat. Tak naprawdę chciał zapytać Allana o to, czy mimo rewolucyjnego odkrycia, jakim zapewne okaże się ta istota, jego zdaniem dobrze będzie, gdy człowiek, gospodarz na Ziemi, przywitają strzałami? Jeżeli zdoła przekonać młodzieńca, że to byłby błąd, może ten udałby się z nim do kapitana, aby go odwieść od dotychczasowego podejścia do tej sprawy.

Jednak Reynolds nie miał możliwości, aby go spytać o cokolwiek więcej, ponieważ rozmowę przerwała im nagle dobiegająca z wnętrza statku wrzawa. Obaj się odwrócili i po kilku sekundach nasłuchiwania doszli do wniosku, że hałas rozlega się w izbie chorych. Co się tam, u diabła, dzieje? Reynoldsowi wydało się niemożliwe, żeby Carson narobił aż takiego zamieszania z powodu utraty nogi. Podobnie jak pozostali strażnicy, Allan nie odważył się zejść z posterunku, zatem eksplorator, pożegnawszy się z nim wzruszeniem ramion, był jedynym, który zakłócił spokój panujący na oblodzonym pokładzie, i pobiegł do najbliższego włazu, by sprawdzić, co się stało. Zszedł na dolny pokład i skierował się do izby chorych, w której drzwiach tłoczyło się już sporo ciekawskich z przerażeniem wymalowanym na twarzach. Przepchnął się między nimi, a gdy tylko znalazł się w środku, oniemiał na widok dantejskiej sceny, jaką tam zastał, podobnie jak przed chwilą zrobił kapitan MacReady, teraz stojący pośrodku pomieszczenia z pobladłą, stężoną twarzą.

Powodem ich przerażenia było rozerwane ciało doktora Walkera. Chirurg leżał na podłodze niczym zniszczona lalka. Ktoś – czy może raczej należałoby powiedzieć „coś”, ponieważ żaden człowiek nie byłby w stanie zrobić tego w taki sposób – rozszarpał go z niepokojącą drobiazgowością. Wyrwał mu prawe ramię na wysokości barku, wyłamał obie nogi i rozciął gardło tak głęboko, że w ranie widać było kręgosłup. Rozkroił mu też klatkę piersiową i rozwlókł po podłodze jej zawartość – narządy, wnętrzności i kawałki żeber – jak dziecko szukające jakiejś zabawki w pudle. Ściany były szokująco schlapane krwią i lepkiemi szczątkami, a gdziekolwiek spoczął wzrok, napotykał skrwawiony strzęp mięsa lub zagubiony narząd. Reynolds przyglądał się temu zniszczeniu z tak samo stężoną i pobladłą twarzą jak kapitan. Zdawało mu się niewiarygodne, że wszystkie te kawałki, odpowiednio poukładane i scalone, składają się na doktora Walkera, tę samą myślącą,

uśmiechniętą istotę, która zaledwie godzinę temu interesowała się stanem jego ręki, gdy się mijali w korytarzu. A z boku tego odrażającego bałaganu, wstrząsany drgawkami, skulony na swojej pryczy, jakby zobaczył całe okropieństwo tego świata, znajdował się marynarz Carson. Nie było trudno wywnioskować, że za masakrę odpowiada diabeł, który zstąpił z nieba, czy raczej Marsjanin, jeżeli Allan ma rację. Reynoldsowi świadomość, że dla potwora człowiek nie zasługiwał na większy szacunek niż niedźwiedź polarny, a ponadto że najwidoczniej przybysz potrafił niezauważony przeniknąć do statku, zmroziła krew w żyłach. Żołądek mu się przewrócił, a duszę ogarnęło drżenie, które pogrzebało ostatnie cienie euforii czy pozytywnych emocji, jakie mógł odczuwać jeszcze przed chwilą, kiedy przyjemnie teoretyzowali sobie z Allanem na temat przybysza z kosmosu. To, co wypełniało jego myśli teraz, miało inną nazwę: strach, strach, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył, strach ostrzegający przed kruchością człowieka, jego znikomym znaczeniem, smutną słabością i bezbronnością, a w szczególności przed żalonym snuciem snów o potędze.

– Dobry Boże... – wymamrotał kapitan, nie mogąc oderwać wzroku od rozszarpanych zwłok chirurga.

Gdy się otrząsnął, podszedł do Carsona i spytał go, co się wydarzyło, ale marynarz był w stanie katatonii. MacReady potrząsnął nim kilka razy i w desperacji wymierzył mu policzek, ale nie odniosło to skutku. Wreszcie orzekł, że w ten sposób traci czas, toteż nagłym gestem skierował Reynoldsa do drzwi i zwrócił się do swoich ludzi:

– Słuchajcie wszyscy. Najprawdopodobniej to, co urządziło tak doktora Walkera, wciąż jest na statku. Idźcie do zbrojowni, weźcie wszystką broń, jaką dacie radę unieść, i przeszukajcie statek dokładnie z góry na dół.

Wkrótce Reynolds został sam w izbie chorych, Z daleka dobiegały rozkazy, jakie kapitan wydawał załozie, organizując obławę na „Annawanie”. Odkrywca, powstrzymując mdłości, znów zaczął się przypatrywać groteskowemu archipelagowi szczątków pozostałych z rozszarpanego ciała chirurga. Potem przyjrzał się Carsonowi, który, zaszyty w swym kącie, nie przestawał się trząść, i zastanowił się, czy marynarz drży, przeczuwając śmierć własną i całej załogi, ponieważ jego biedny umysł pojął, że żaden człowiek nie może się zmierzyć z tym, co on właśnie widział. Potwór z gwiazd okazał się tak okropny, że wszyscy mogą się już uważać za martwych. Nie są w stanie nic zrobić, żeby się obronić. Rozszarpie ich jednego po drugim na tym odległym od świata kawałku lodu, podczas gdy Bóg odwróci wzrok i będzie patrzył w inną stronę.

VI

Zgodnie z rozkazem MacReady'ego marynarze skrupulatnie przeszukali statek, do ostatniego zakamarka każdej ładowni i kajuty. Z wycelowanymi karabinami, bojąc się, że stwór wynurzy się z dowolnej szpary i rzuci się na nich, przetrząsnęli skład węgla, prochownię, w której proch i amunicja drzemały niespokojnym snem, a nawet wnętrze pieców w kotłowni, nie zapomniawszy o żadnym schowku. Nigdzie jednak nie znaleźli najmniejszego śladu diabła z gwiazd. Po rozszarpaniu chirurga potwór najwyraźniej rozpląnął się w powietrzu. Nie doszukali się także żadnego uszkodzenia w kadłubie, żadnej dziury, przez którą Marsjanin – czy cokolwiek to było – mógłby się dostać na „Annawan”. Zatem wśliznął się na statek i wymknął z niego niepostrzeżenie, choć wydawało się to niewiarygodne. MacReady był skonsternowany i jedyne, co ostatecznie zarządził, to podwojenie straży; rozstawił nawet kilku ludzi na łodzi, wokół statku.

Jednak jego strategia, niestety, nie przepędziła strachu z oczu marynarzy, którzy nieustannie raz po raz przeczesywali statek i wypytywali Carsona o to, co widział. Koniecznie chcieli się dowiedzieć, jak wygląda potwór, który zstąpił z nieba, aby z nimi skończyć. Ale opisy Carsona były rozczarowujące. Marynarz pamiętał tylko, że leżał na jednym z łóżek izby szpitalnej otępiąły od laudanum i zaczął już odczuwać zęby piły, którą chirurg miał mu odciąć lewą stopę w kostce, przypuszczalnie odbierając to jako miłe, niewinne łaskotanie, kiedy do pomieszczenia wtargnął ogromny cień i runął na niczego niespodziewającego się doktora Walkera. W ciągu zaledwie kilku sekund zjawa rozszarpała ciało lekarza, z huraganową siłą rozrzucając po całej izbie skrwawione strzępy mięsa i kawałki kości. Przerażony, nie wiedząc, czy była to halucynacja spowodowana przez laudanum, Carson mimo odurzenia przygotował się na to, że zginie w ten sam sposób, i zastanawiał się, czy może kiedy ten stwór będzie go rozrywał, on nie poczuje nic więcej jak przyjemne łaskotki. Jednakże na jego szczęście krzyki towarzyszy zaalarmowały diabła i wypłoszyły go z pokoju. Jego wygląd marynarz umiał opisać tylko mętnie i niezadowolająco, nie wnosząc nic nowego ponad to, co Peters i tak już odczytał ze śladów. Marsjanin był przerażający i wyposażony w szpony, nie w kopyta. Niczego więcej nie dało się z nieszczęśnika wyciągnąć, nawet koloru jego skóry. Carson był człowiekiem spokojnego usposobienia i chociaż dobrze wiedział, jak rozwinąć żagiel, żeby złapać wiatr, nie miał zbyt zasobnego słownictwa, tym bardziej takiego, aby opisać stworza, który zapewne nie przypominał niczego, co marynarz widział do tej pory. Gdy wyszedł z szoku, zaszyto mu małą ranę, która została na nodze po pile, ale nikt nie odważył się kontynuować amputacji rozpoczętej przez chirurga, i zostawiono chorego w izbie szpitalnej w oczekiwaniu na jakiś cud albo na to, że partia kart rozstrzygnie o tym, kto ma chwycić za pilę i skrócić jego mękę.

Następnego ranka zakopano w łodzi skleconą na tę okazję przez cieśli trumnę ze szczątkami doktora Francisa Walkera. Skrzynka zawierała niewiele więcej niż garść luźnych części ciała, ponieważ po jego śmierci nie było już na statku chirurga, który mógłby ułożyć puzzle, w jakie potwór je zamienił. Grób musieli wykopać za pomocą łopat i kilofów, po czym złożyli w nim trumnę owiniętą we flagę. Miejsce wiecznego spoczynku lekarza zaznaczono prostym nagrobkiem z napisem:

PAMIĘCI DOKTORA FRANCISA T. WALKERA,
KTÓRY STRACIŁ ŻYCIE 4 MARCA 1830 ROKU
NA POKŁADZIE „ANNAWANU”

W WIEKU TRZYDZIESTU CZTERECH LAT.

Metys olbrzymim młotem przybił płytę do lodowego grobu. Ceremonia odbyła się niezbyt daleko od statku i choć próbowano przeprowadzić ją uroczyście, wkradł się w nią słabo skrywany pośpiech, ponieważ nikt nie chciał zbyt długo wystawiać się na okrutny mróz, zwłaszcza kiedy w pobliżu krążył potwór, który to zrobił doktorowi.

Po pogrzebie Reynolds wycofał się do swojej kabiny i leżąc na łóżku z zamkniętymi oczyma, rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami. Choć po obejrzeniu rozszarpanych zwłok lekarza najlogiczniej byłoby uznać, że potwór nie jest zbyt zainteresowany zbrataniem się z nimi, lecz raczej wydaje się skłonny do zadawania śmierci i niszczenia życia w każdej z jego różnorodnych form, czy to będą niedźwiedzie polarne, czy doświadczeni chirurdzy, Reynolds niechętnie myślał o porzuceniu swojego zamiaru pokojowej rozmowy z przybyszem. Czy powinien zapomnieć o tej opcji z tego prostego powodu, że stwór nie okazał szczególnego szacunku doktorowi Walkerowi? Może poczuł się jakoś zagrożony przez słabowitego chirurga? Albo też nie rozumiał, że oni również są istotami inteligentnymi i jeśli zechce, może się z nimi porozumieć. Bądź postrzega ich jak zwyczajne karaluchy i nie ma żadnego moralnego dylematu, kiedy ich rozgniata. Reynolds porzucił tę ścieżkę, gdy sobie uświadomił, że to, co robi, to nic innego jak usprawiedliwianie gwałtownego zachowania przybysza, kiedy trzeba wreszcie przyjąć do wiadomości, że stwór chce ich pozabijać, a ustrzec się tego można tylko w ten sposób, że się zapoluje na niego, zanim on upoluje ich. Choć oczywiście tego też nie mógł być pewien. Właściwie jedyny wniosek, do jakiego mógł dojść, to ten, że na razie nie da się dojść do żadnego wniosku. Brakowało im informacji. Było jasne, że rozstawieni w pobliżu statku, gotowi strzelać do wszystkiego, co by się poruszyło na śniegu, bez względu na kolor, nie znajdą go. Eksplorator westchnął i usiadł na pryczy. Coś w środku powstrzymywało go przed porzuceniem nadziei na porozumienie się z istotą z innej planety. Może najlepiej będzie, jeśli podejda do sytuacji z nieco większym spokojem i nie pozwolą porwać się panice. Mają możliwość ustanowienia pokojowych stosunków dyplomatycznych z innym światem! Powiedział sobie, że nie powinni jej odtrącać tylko dlatego, że nie wiedzą, z kim lub czym mają do czynienia. Wstał i wydzielając tę decyzję każdym swoim porem, skierował się do kajuty MacReady'ego, gotów przedyskutować z nim tę sprawę.

Kapitan przyjął go ze swą zwykłą niechęcią. Jego kabina była prawie cztery razy większa od klotki Reynoldsa – zajmowała całą szerokość rufy i była zaopatrzona w sporą biblioteczkę oraz ogromną spiżarnię, w której cisnęły się szynki, sery, słoje marmolady, worki z herbatą, butelki znakomitej brandy i inne frykasy opłacone z jego kieszeni. A oprócz tego była tutaj prywatna toaleta, w której MacReady mógł do woli dawać ulgę napięciom związanym z jego stanowiskiem – małe pomieszczenie na sterburcie będące przedmiotem zazdrości Reynoldsa, ponieważ uważał je za szczyt luksusu, skrawek cywilizacji tyleż krzepiący, ile niestosowny w ich okolicznościach. Kapitan zaproponował mu szklaneczkę brandy i leniwym ruchem ręki wskazał krzesło, nie zachęcając, aby przedtem skorzystał z wygodnego klozetu, którą to uprzejmość odkrywca przyjąłby z radością.

– A zatem, Reynolds, czemu zawdzięczam honor pańskiej wizyty? – zapytał sarkastycznie, gdy gość już usiadł.

Eksplorator zauważył z żalem, że ten ogromny człowiek usiłuje podpierać swój

autorytet antypatyczną szorstkością, mimo że wie, iż przegrał, a okoliczności bezdyskusyjnie go przerosły. Fakt, że statek uwięźnię w lodzie, był możliwą do przewidzenia przeciwnością – pomyślał Reynolds – na którą kapitana przygotowało długie doświadczenie i któremu mógł stawić czoło z profesjonalną cierpliwością, być może wyobrażając sobie, że z nadejściem wiosny zdarzy się wyczekiwany cud i lód puści. Tak, przekłeta lodowa pokrywa rozpadnie się na niepozorne kawałki kry i „Annawan”, nie tak mocno uszkodzony, jak wszyscy się tego obawiali, będzie mógł w końcu wydostać się stąd, triumfalnie prując fale w kanałach, które się przed nim otworzą. Będzie to apoteoza ludzkiej woli, lecz nade wszystko oddanie czci życiu, w którym wezmą udział kaczkę i maskonury wypełniające niebo radosnymi chmurami, dorsze i śledzie, a nawet wieloryby grenlandzkie, które odprowadzą wracający do domu statek podniosłym pochodem. Ale może nigdy się to nie zdarzy, ponieważ ktoś obdarzony kiepskim poczuciem humoru niepostrzeżenie położył na stole nieoczekiwaną kartę – śmiercionośną, nikomu nieznaną i przez nikogo wcześniej niewidzianą. Reynolds pociągnął łyk ze swojego kieliszka i nie owijając w bawełnę, rzekł:

– Kapitanie, uważam, że powinniśmy omówić strategię postępowania w obecnych okolicznościach.

– Strategię postępowania? – MacReady w zdumieniu zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, jak gdyby jego gość był przebrany za arlekinę. – Co, u diabła, chcesz pan przez to powiedzieć?

– To bardzo proste, kapitanie. Jako organizator tej ekspedycji jestem w najwyższym stopniu odpowiedzialny za rozporządzanie wszelkimi odkryciami, jakie podczas niej poczynimy. I chociaż to oczywiste, że nie jesteśmy ani trochę bliżsi znalezienia wejścia do środka Ziemi, niż kiedy opuszczaliśmy Nowy Jork, owszem, stoimy obecnie wobec jednego z największych odkryć w dziejach ludzkości, dlatego sędzę, że powinniśmy ustalić plan działania, by postępować według jego kryteriów.

MacReady obserwował eksploratora przez dłuższą chwilę z ustami otwartymi jak poidelko dla ptaków, aż w końcu odchylił głowę do tyłu i wybuchnął przesadnie donośnym śmiechem. Gdy zdołał się uspokoić, ocierając serdelkowatymi palcami płynące z oczu łzy, wykrztusił:

– Na wszystkie świętości, Reynolds, pan nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać! Chce pan zatem rozmawiać o kryteriach postępowania... Powiem więc panu, jakie jest moje kryterium: gdy tylko to coś, czymkolwiek jest, wściubi tutaj swój brzydki pysk, moi ludzie i ja wsadzimy mu kulkę w tyłek, odetniemy mu głowę jako trofeum, a jeśli jego mięso nie jest zbyt obrzydliwe, rzucimy je psom na pożarcie. Taki mam plan działania w „obecnych okolicznościach”. Jeśli pan chce, tymczasem może się pan nadal bawić w odkrycia, ale poproszę, by robił to pan w granicach swojej kajuty, żeby nikomu nie zawadzać.

Reynolds musiał się zdobyć na znaczny wysiłek, aby zachować spokój. Przypuszczał, że nie pójdzie mu łatwo z MacReadym, ale przyszedł do niego z wyraźnie wytkniętym celem i nie chciał pozwolić, aby nieustanne prowokacje kapitana odwiodły go od zamiaru, pociągnął więc kolejny łyk brandy i zanim odpowiedział, odczekał kilka minut, po czym uciekł się do pochlebstwa.

– Kapitanie... – zaczął – nie jest pan prostym marynarzem pijanicą jak ci, którzy służą na tym statku. Jest pan dżentelmenem, doświadczonym kapitanem marynarki, zapewne na tyle inteligentnym, aby zrozumieć niebywale znaczenie tego wydarzenia. Rozmawiałem z sierżantem Allanem, człowiekiem, jak pan wie, bardzo wykształconym, o rozległej wiedzy... ee... astronomicznej, i zgadza się on ze mną co do tego, że przybysz ten

prawdopodobnie pochodzi z Marsa. Zdaje pan sobie sprawę, z kim walczymy? Z Marsjaninem, kapitanie! Istotą z innej planety! Nie mogę uwierzyć, że nie chce pan docenić niezmiernie ważnego odkrycia i straszliwej odpowiedzialności, jaka zaciążyła nas, jeśli nie oszacujemy należycie wszystkich rysujących się przed nami możliwości. Pozwoli pan, że przedstawię mu przykład: jeżeli zabijemy tę istotę, zanim zdołamy się z nią porozumieć, jak się dowiemy, skąd pochodzi? I najważniejsze: w jaki sposób po powrocie do Nowego Jorku udowodnimy, że to coś faktycznie przybyło z innej planety? Co pan pokaże światu, kapitanie: głowę dziwnej bestii, tylko tyle...? Na jej podstawie naukowcy nie będą mogli wyciągnąć jasnych wniosków, nie sądzi pan? A to prowadzi do mojej kolejnej prośby: chcę zorganizować nową wyprawę do latającej maszyny.

Straciłeś pan rozum? – obruszył się oficer. – Nie zamierzam wysyłać moich ludzi na zewnątrz. Z tym czymś czającym się gdzieś tam w śniegu byłoby to jak poprowadzić ich na rzeź. Poza tym tej maszyny nie można otworzyć ani nawet dotknąć... Nie pamięta pan, co się stało z pańską ręką? – MacReady wskazał podbródkiem wciąż obandażowaną rękę eksploratora. – Tak czy siak, po kiego czorta mielibyśmy to robić?

– Głównie dlatego, że jeśli zdołamy otworzyć maszynę, prawdopodobnie znajdziemy w niej jakieś informacje na temat atakującej nas istoty – wytłumaczył cierpliwie Reynolds. – To mogłoby się okazać rozstrzygające zarówno w przypadku, gdyby jej zamiary były pokojowe i należałoby po prostu nauczyć się z nią porozumiewać, jak i w przypadku przeciwnym, ponieważ być może we wnętrzu maszyny odkryjemy jakiś klucz czy broń, które pomogą pokonać przybysza. – Stwierdziwszy, że kapitan nadal przygląda mu się w milczeniu z bezbrzeżną obojętnością, Reynolds uświadomił sobie, że musi sięgnąć po inną strategię, i spróbował go skusić. – W tym ostatnim przypadku, to znaczy, jeśli nie pozostanie nam nic innego, jak zapolować na niego, i uda nam się go uśmiercić, a potem lód nas puści, pozwalając na powrót do domu, nie wydaje się panu, że sprawiedliwie będzie dostać odpowiednią nagrodę za wszystko, cośmy przeszli? Bo zapewniam pana, że jeżeli wrócimy do Nowego Jorku z głową Marsjanina i jeszcze jakimś przedmiotem wydobytym z jego maszyny, który poświadczy, że mamy do czynienia z istotą z innej planety, przypadnie nam w udziale więcej pieniędzy i uznania, niż może pan sobie wyobrazić.

– Wciąż nie wiem, czy jesteś pan wizjonerem, czy prawdziwym głupcem, czy może obie te rzeczy naraz, Reynolds – rzucił MacReady. – Zacznę od tego, że nie rozumiem, jak możesz pan nadal wątpić w złe intencje owego „edukowanego” stwora po tym, co nam pokazał na biednym doktorze Walkerze. Zapewniam pana, że ja nie potrzebuję kolejnych prób. Dla mnie jest bardzo jasne, jak powinniśmy się „porozumieć” z tą istotą. Co do latającej maszyny... Jak, u diabła, zamierza pan ją otworzyć? Siłą umysłu?

– Nie wiem, kapitanie – przyznał odkrywca, urażony drwiącym tonem oficera. – Może wysadzić ją dynamitem...

Kapitan potrząsnął głową, jakby miał do czynienia z szaleńcem, i zapadła cisza wynikająca ze zmęczenia obu stron. Reynolds próbował myśleć. Stopniowo zaczynało mu brakować argumentów.

– Nigdy nie rozumiałem takich ludzi jak pan – mruknął nieoczekiwanie MacReady, robiąc nieokreślony ruch ręką z kieliszkiem. – Na czym wam tak zależy, u diabła: żeby wasze nazwiska na zawsze zapisały się w dziejach? Do czego to posłuży dobremu chrześcijaninowi, kiedy robaki zjedzą jego kości? Już panu to kiedyś mówiłem, Reynolds: mało mnie obchodzi pańska pusta w środku Ziemia. Tak samo jak pochodzenie tego stwora. Czy przybył z Marsa, z Jowisza czy z jakiegokolwiek innej planety, dla mnie to

wszystko jedno. Ja za wypełnienie swojego zadania dostanę godziwą zapłatę, a zadanie to polega na tym, żeby ten statek i jego załogę doprowadzić z powrotem do Nowego Jorku. Do tego zostałem umówiony. I tylko tego chcę, Reynolds: uratować własną skórę, żeby odebrać przyrzeczone mi pieniądze.

– Nie chce mi się wierzyć, że nie ma pan w życiu żadnego dodatkowego pragnienia – warknął Reynolds z całą pogardą, na jaką było go stać.

– O, tak, jasne, że je mam. Marzę o domku na wsi i o ogrodzie pełnym tulipanów.

– Tulipanów – powtórzył osłupiały odkrywca.

– Tak, tulipanów – potwierdził kapitan obronnym tonem. – Moja matka była Holenderką i wciąż pamiętam, jak je sadziła w naszym ogrodzie, kiedy byłem mały. Gdy przyjdzie pora na emeryturę, spodziewam się mieć na tyle odłożonych oszczędności, by żyć spokojnie i poświęcić się kwiatom. A zapewniam pana, że nie spocznę, póki nie wyhoduję najpiękniejszego gatunku, jaki można zobaczyć po naszej stronie Atlantyku. Nadam mu imię mojej matki i zaprezentuję na wszystkich konkursach ogrodniczych w regionie. Oto wszystko, czego pragnę, Reynolds: ładnego ogrodu pełnego tulipanów oraz salonu z kominkiem, aby powiesić nad nim głowę potwora, z którym pan teraz zamierza konwersować.

Reynolds przez kilka sekund patrzył na niego w milczeniu, próbując wymazać z umysłu niepokojący obraz kapitana z sekatorem w jednej ręce i koszem tulipanów w drugiej. Czy człowiek tak nieokrzesany jak MacReady byłby w stanie zajmować się tulipanem, nie rozgniatając go? A jeśli nie wygra żadnego konkursu, czy przyjmie to z uśmiechem na ustach, czy zacznie strzelać do sędziów? Eksplorator rozparł się w swym fotelu i starał się uporządkować myśli, tymczasem pociągając łyk trunku. Musiał przyznać, że podczas gdy jego argumenty nie zrobiły na kapitanie najmniejszego wrażenia, MacReady prawie go zdołał przekonać do swoich racji. Co chciał znaleźć w latającej maszynie? Może lepiej byłoby posłuchać rad kapitana i spróbować ratować tyłek, aby wrócić do Baltimore i dalej prowadzić nudne, przeciętne życie. Jeżeli je porównać z warunkami, jakich doświadczał teraz na tym skrawku lodu, nie wydawało mu się aż takie okropne i może okazałoby się bardziej znośne, gdyby się poświęcił ogrodnictwu. Odstawił kieliszek na stół, zaskoczony, że jakaś jego część zapragnęła oddać się takiej codzienności. Inna część jednak, ta zatruta marzeniami o chwale, ta, która go tu przywiodła, znów zatopiła w nim zęby jadowe, niczym wściekła kobra wyskakująca ze swego koszyka. Co on, u licha, wygaduje? Nie po to przebył taki szmat świata, żeby wszystko to miało się skończyć na niczym!

– A niech mi pan powie, kapitanie, nie zdarzyło się panu nigdy rozważać czegoś tak prostego jak możliwość, że ten stwór nie jest świadom tego, iż przejawia złe zachowanie? – wyrzucił z siebie nagle twardo, co wynikało już z desperacji. – Może wzorce myślenia tego stwora są tak różne od naszych, że z jego punktu widzenia robi on tylko coś, co jest odpowiednikiem pozbycia się pająka ze strychu albo wycięcia zielska w ogrodzie. – Przerwał na chwilę, aby jego słowa zapadły w umysł MacReady’ego, po czym dodał: – Tak trudno panu pojąć, co zamierzam zrobić, kapitanie? Czy chcemy porozmawiać z tą istotą, czyją zabić, to oczywiste, że najpierw powinniśmy ją zrozumieć. I jestem pewien, że każdy marynarz zgłosi się na ochotnika, aby mi towarzyszyć do maszyny, gdy pan wyjaśni wszystkim, że tylko w ten sposób uda się nam przeżyć.

MacReady patrzył na niego z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Skończył pan? – odezwał się kilka sekund później, zwracając się do odkrywcy z zaskakującym spokojem. – Dobrze, zatem niech teraz pan posłucha mnie, Reynolds.

Przymknę oko na pańską zawołaną groźbę buntu, za którą mógłbym postawić pana przed sądem wojennym, skazać i zamknąć w ładowni, byś pan w niejgnił. Ale choć nie zasługuje pan na to, będę dla pana pobłażliwy i tylko poinformuję, że ta ekspedycja zmieniła się radykalnie. Znaleźliśmy się w stanie zagrożenia, a ta sytuacja daje mi najwyższą władzę na statku, czy się to panu podoba czy nie. Pan już tu nie dowodzi. Zatem jeśli to panu nie przeszkadza, od tej pory to ja będę ustalać postępowanie wobec bezlitosnego wroga, który nas atakuje: zaczekamy na niego, aż po nas przyjdzie, oto co zrobimy; nie złożymy z siebie ofiary i nie podsunie mu się sami. Jeżeli pan się z tym nie zgadza i chce wrócić do latającej maszyny, proszę bardzo. Wie pan, gdzie ją znaleźć. Zapewniam, że jakoś zniosę tę stratę. Proszę pójść do zbrojowni i zaopatrzyć się we wszystko, co potrzebne do tej absurdalnej wycieczki, ale niech pan bierze wyłącznie tyle, ile jest pan w stanie sam unieść, ponieważ nie może pan liczyć na pomoc żadnego z moich ludzi. My zostaniemy na statku, czekając na to coś.

Reynolds nie wiedział, co odpowiedzieć. MacReady z wyraźnym zadowoleniem pozbawił go jakiegokolwiek władzy czy autorytetu – jedyne, co miał na tym statku, zostawiając mu tylko jedną możliwą ścieżkę dalszego prowadzenia rozmowy.

– Zapewniam pana, że kiedy wrócimy do Nowego Jorku – rzeki – zamierzam pana uczynić bezpośrednio odpowiedzialnym za klęskę poniesioną przez tę ekspedycję: obwinę pana o ugrzęźnięcie w lodzie spowodowane pańskim brakiem kompetencji nawigacyjnych, o odmowę eksploracji okolicy w poszukiwaniu wejścia do wnętrza Ziemi, a przede wszystkim, kapitanie, złożę na pana odpowiedzialność za wszystkie zgony, do jakich dojdzie, począwszy od tego momentu, włączając w to śmierć pierwszego gościa z kosmosu, jaki zawitał na naszą planetę.

To powiedziawszy, Reynolds zamilkł, wpatrując się w kapitana z wściekłością. Ogromnie żałował tego, że musiał się uciec do gróźb, ale ten zaślepiony, bezczelny opętaniec okazał się odporny na wszystko inne. Jednak groźby też najwyraźniej nie robiły najmniejszego wrażenia na MacReadym, bo tylko prychnął, dając do zrozumienia, że ma dość.

– Reynolds, jest pan najgłupszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem – odparł. – I nie zamierzam z panem dłużej dyskutować. Uważam, że ta rozmowa i tak trwała zbyt długo, obaj wyraźnie zaznaczyliśmy swoje stanowiska, balansując na krawędzi szacunku, który jesteśmy sobie nawzajem winni. Nie zaprzeczę, że pańskie urojenia nieźle ubawiły pewnych dżentelmenów i mnie, ale teraz nie pora na śmiechy. Ostatnie, czego potrzebujemy w obecnych okolicznościach na statku, to błazen.

Reynolds ze zdumieniem gapił się na kapitana. „Pewnych dżentelmenów?”

– Życzy pan sobie jeszcze czegoś, Reynolds? – zapytał MacReady. Wstał i odwrócił się doń tyłem. – Jeśli nie, proszę, aby pozwolił mi pan nadal wypełniać moje obowiązki. Pan będzie sobie przeprowadzał swój plan, jeżeli pan chce, ale to nie może przeszkadzać moim ludziom.

Reynolds patrzył na szerokie plecy kapitana, nie wiedząc, co zrobić ani co powiedzieć. Nie było sensu ciągnąć tego dalej. Fuknął z oburzeniem, odstawił kieliszek na stół i podniósł się.

– Jak pan sobie życzy, kapitanie. Ale wobec tego proszę zapomnieć, że pewnego dnia jakiś tulipan będzie nosił imię pańskiej matki – rzucił.

I wyszedł z kabiny, trzaskając drzwiami.

VII

W drodze do swojej kajuty Reynolds znalazł dziesiątki bardziej błyskotliwych i uszczypliwych odpowiedzi niż te, które wymamrotał za plecami kapitana, ale już na nie mu się one zdały. Czy mu się to podobało czy nie, MacReady wygrał to starcie, zmuszając go, by opuścił kabinę niczym biedne rozżłoszczone dziecko. Wściekłość, która zawładnęła odkrywcą, niefortunnie zaciemniła mu myśli, a teraz nie było już większego sensu wracać, aby dać inny finał tej burzliwej wymianie zdań. Prychnął, otwierając drzwi swej kajuty. Z tego co się wydarzyło, w głębi duszy najbardziej żałował, że przez swoje melodramatyczne wyjście musiał poświęcić szklaneczkę znakomitej brandy zaoferowanej mu przez kapitana. Teraz bardziej niż kiedykolwiek miał ochotę poczuć alkohol spływający do gardła jak lawa i uśmierzający gniew duszy, a jednocześnie rozgrzewający żołądek. Ostatecznie przerodziło się to w straszliwą potrzebę upicia się, zatracenia przytomności i zagłuszenia wszelkich wyrzutów sumienia. Żaden postronny obserwator nie mógłby zaprzeczyć, że sytuacja, w jakiej się znalazł Reynolds, doskonale usprawiedliwiała sięgnięcie po jedną z butelek ocalałych z pogawędek z Allanem i opróżnienie jej jednym haustem.

Wziął pierwszą, jaka mu się nawinęła, i rozparł się w skórzanym fotelu, który kazał zabrać ze swojego domu nie tyle dlatego, że go uważał za talizman czy coś podobnego, ile ponieważ podejrzewał, że mebel przynależący do świata, do którego powrót będzie się opóźniał, zadziała jak latarnia morska i uchroni go przed utratą łączności z prawdziwym życiem, jako że wspomnienia o tym życiu przypuszczalnie zatrą się w miarę upływu kolejnych dni na morzu. I nie pomylił się: fotel przypominał mu o domu. Tak, podszeptował mu, że gdzieś tam jest wygodny świat kierujący się wrażliwością i rozumem, gdzie nie włączą się dziwne potwory i gdzie najgorsze, co może człowieka spotkać, to zacięcie się przy goleniu. Chociaż – przypomniawszy sobie – jest to również świat, w którym szanse na okrycie się chwałą są znikome. Swoją drogą, oprócz oświetlenia wątlą blaskiem polarnej nocy fotel pełnił jeszcze inną funkcję i odkrywca był zadowolony z tego, że go zabrał na pokład, ponieważ było to również najwygodniejsze siedzenie na statku, najlepsze do odpoczynku i relaksu – nie licząc oczywiście prywatnej toalety MacReady'ego. Nawet gdyby się rozbili, Reynolds wolałby swój fotel od każdej tratwy.

Pociągnął długi łyk i kaszlnął kilka razy. Co chciał powiedzieć MacReady w swoich ostatnich słowach, kiedy zasugerował, że śmiali się z niego? – rozmyślał. Nie wiedział, czy były to czcze przechwałki czy coś więcej. Czyżby cała ta ekspedycja nie była niczym innym jak wielką zasłoną dymną dla skrytych interesów, o których on nie miał pojęcia? Ale Reynolds był dowódcą wyprawy, nie mogli kłamać również przed nim! Nie znalazł jednak sposobu, aby sprawdzić, czy to faktycznie zrobili czy nie. Tak czy inaczej, bez względu na to, czy faktycznie padł ofiarą złudnych obietnic i pozostający w cieniu mocodawcy zaaranżowali wszystko, ponieważ chcieli, aby Reynolds przybył tutaj z powodu, którego nikt nie pofatygował mu się wyjawić, było oczywiste, że wydarzyło się coś, czego z góry nie przewidzieli: pojawił się potwór. I ten gwiazdny przybysz zaoferował odkrywcy okazję do uwolnienia się od roli błazna, jaką zarezerwowali dla niego jego sponsorzy, oraz możliwość zwycięskiego powrotu do Nowego Jorku z kluczem do wszechświata w ręku. Jeżeli to się uda, wszyscy będą musieli paść mu do stóp. W każdym razie powinien coś zrobić. Jeśli za jego plecami uknuto jakiś spisek, najmądrzej by było wykorzystać okazję i zabezpieczyć sobie tyły. Co mógł jednak uczynić? MacReady dał mu

pozwolenie, by poszedł do zbrojowni i wyprawił się na poszukiwanie latającej maszyny zaopatrzonej we wszystko, co zechce, niewątpliwie dlatego, iż w duchu był pewien, że on tego nie zrobi, że jedynie schroni się w swej kajucie jak wystraszona damulka, a kapitan, gdy będzie już po wszystkim, przyjdzie do niego z szerokim uśmiechem, by mu pokazać głowę potwora. Ale MacReady się myli – powiedział sobie Reynolds, upijając kolejny łyk z butelki. On nie zamierza siedzieć z założonymi rękami! Absolutnie nie! Jeśli kapitan odmawia przydzielenia mu ludzi, o których prosił, pójdzie do marsjańskiej maszyny sam, poleci nią i wróci na statek z informacją potrzebną do tego, aby z powodzeniem stawić czoło demonowi z gwiazd. Tak zrobi, a jak! – postanowił, znów pociągając z butelki. A robi tak, ponieważ więcej ma w sobie mężczyzny, niż kiedykolwiek mieć będzie jakiś miłośnik tulipanów. Jeszcze jeden łyk. A co mógłby znaleźć we wnętrzu latającej maszyny, co by im pomogło? Tego nie wie na pewno. Może jest tam jakaś kosmiczna broń, coś bardziej wymyślnego i potężniejszego niż karabin, podstawowe narzędzie walki, za pomocą którego człowiek toczy swoje małe wojny w zaciszu własnej planety. Znów podniósł butelkę do ust. Chociaż w rzeczywistości pragnął znaleźć co innego, coś, co posłużyłoby mu do nawiązania jakiegoś kontaktu z tą istotą, kiedy się ona pojawi. Zaskoczyłby ją, to pewne. Pokazałby jej, że oni też są stworzeniami rozumnymi. Albo może natknąłby się na coś w rodzaju świętej księgi, w której spisane byłyby dzieje tamtej rasy, jakiś kodeks ujawniający jej koncepcję świata, zbiór mądrości podpowiadający, czy Ziemiańskie należą do jakiejś bardziej godnej kategorii niż zwykłe uprzykrzone szkodniki lub pożywienie.

Dokończył butelkę łapczywym łykiem i przez chwilę gapił się w nicość, przyjemnie kołysany w alkoholowym hamaku, a tymczasem w jego umyśle zaczęło się krystalizować przekonanie, że samotny spacer do latającej maszyny nie jest przedsięwzięciem tak szalonym, jak się z początku zdawało. Czemu, u diabła, miałby tego nie zrobić? Co mu przeszkodzi? Nic, nic mu nie przeszkodzi! Ogarnięty nagłym optymizmem, który natchnął go poczuciem niewspółmiernej mocy, jakby był człowiekiem z żelaza i mógł pokonać kosmicznego stwora własnymi rękami, gdyby ten wszedł mu w drogę, albo też wzruszającym przemówieniem o międzyplanetarnym współistnieniu sprawić, że potwór przemyśli sobie swoje postępowanie, Reynolds wstał z fotela, zdecydowany pokazać MacReady'emu, że nie jest żadnym idealistycznym niezdarą, tylko kimś, kto potrafi wydobyć z siebie to co najlepsze w sytuacji tak ekstremalnej jak ta, w której się znaleźli. Uda się do maszyny, u diabła, i wróci triumfalnie, by uratować wszystkich od pewnej śmierci. Tak zrobi, a jak! Uratuje ich, do cholery, choć na to nie zasługują! Włożył płaszcz, owinął sobie głowę szalem i niczym mumia próbująca znaleźć wyjście ze swej piramidy, wśród potknięć skierował się ku zbrojowni.

W składzie broni zaopatrzył się w tyle sprzętu, ile mógł unieść. Zatknął sobie za pas dwa pistolety, a widząc, że zostało miejsce, dodał trzeci. Przez ramię przewiesił trzy karabiny, przez pierś – dwie maczety i zwinął przygotowania, wypychając sobie kieszenie płaszczem laskami dynamitu. Choć kusiły go legendarne harpuny, odrzucił je ze względu na ciężar i zadowolili się tym, co już wziął. Wydawało się tego mało, lecz okazało się za dużo, gdy spróbował się ruszyć. Taka ilość broni ujmowała naturalności jego ruchom, ale nie chciał się pozbyć żadnej sztuki, mimo że lufa jednego z zatkniętych za pas pistoletów przy każdym kroku uwierała go w prawe jądro. Machnął ręką na to uciążliwe trącanie i zataczając się, ruszył ku drabinie wiodącej do jednego z luków. Chwiejnym krokiem przeciął pokład, kołysząc się od wypitego alkoholu, a także od nadmiaru uzbrojenia, które postanowił taszczyć, był tak zamroczony, że marynarza

pełniącego straż na rufie wziął za Carsona. Ale to było niemożliwe, o ile jego stopa nie odtajała w jakiś cudowny sposób, a przecież ten skrawek lodu, który umknął Bożej sprawiedliwości, nie obfitował w cuda. Potrząsnął głową, żeby się pozbyć nedorzeczonej myśli, i dalej z trudem posuwał się naprzód, raz po raz schylając się po wypadające z kieszeni laski dynamitu albo poprawiając któryś z uprzykrzonych pistoletów. Wreszcie udało mu się dotrzeć do śnieżnej rampy służącej marynarzom do schodzenia ze statku. Teraz on spróbował zejść z najwyższą ostrożnością i... nie dał rady. Raczej zjechał z niej jak na ślizgawce, pociągnięty znacznym ciężarem ekwipunku. Dotarł na lodowe podłoże na wpół uduszony paskami karabinów, które plątały się na jego plecach i zostawały w tyle, podczas gdy on staczał się po pochyłości. Został tam przez kilka minut, zadowolony, że się nie zabił w tak głupi sposób u stóp statku, i próbował odzyskać oddech. Gdy uznał, że jest gotowy, podniósł się z trudem i ruszył w stronę majaczących na horyzoncie gór spowitych strzępami mgły niczym nie do końca rozpakowany prezent.

Przemierzywszy jakieś dwadzieścia metrów, zrozumiał, że nie wystarczy mu sił, by zanieść ten cały arsenał na miejsce, w którym rozbilo się latające urządzenie, tak więc gdy jeden z pistoletów wysunął mu się zza pasa po raz trzeci, Reynolds wołał go zostawić w śniegu, jak człowiek uwolniony od zbędnego balastu. Potem porzucił jeden z karabinów i tak pozbywając się broni, brnął metr za metrem. Starał się przy tym nie tracić z oczu gór, choć stawało się to coraz trudniejsze, gdyż mgła gęstniała z minuty na minutę. Wkrótce przekłęta biała zasłona zakryła je zupełnie i ku rozpaczy Reynoldsa zaczęła robić to samo z resztą świata. W pewnym momencie odkrywca z niepokojem stwierdził, że nic już wokół siebie nie widzi. W jego zamroczonym alkoholem umyśle poczęło świtać, że porwał się na bezsensowne przedsięwzięcie mające bardzo znikome szanse powodzenia. Z powodu tej arcygęstej mgły nie tylko zniknął mu z pola widzenia cel, lecz także droga powrotu na statek. Pełnym znużenia gestem rzucił na ziemię ostatni karabin, jaki mu został. Już nie musiał dłużej udawać bohatera, którym nie był. I co teraz? – pytał sam siebie. Teraz musiał pomyśleć, rozważyć sytuację. Nie mógł tu zostać, wśród lodu, wystawiony na straszny mróz. Niestety, rozsądek był rybą, która wyślizgiwała mu się z rąk za każdym razem, gdy zdesperowany próbował ją złapać. W głowie mu się kręciło, plątały się myśli. I musiał poddać się wobec tego, co oczywiste: znajdował się pośrodku nicości i był zbyt pijany, by zebrać myśli. Ponadto nie powinien zapominać o gwiezdny potworze, który zapewne gdzieś tu krąży, może nawet czai się na niego w tej chwili za zasłoną z mgły, napawając się jego bezradnością. Wiedząc, że znalazł się tutaj na jego łasce, na nowo poczuł przypływ grozy, która ogarnęła go wcześniej na widok rozszarpanego ciała doktora Walkera. Chwycił pistolet, który miał jeszcze za pasem, i na ślepo zaczął celować nim na wszystkie strony. Uświadomił sobie z przerażeniem, że potwór może skoczyć na niego skądkolwiek. Zdawało mu się, że rozróżnia we mgle jakiś cień, ale nie umiał stwierdzić, czy to coś realnego, czy raczej produkt jego niedyspozycji umysłowej. Strach stał się nie do zniesienia, ramię zaczęło mu drżeć i nagle sam nie zauważył, kiedy zaczął biec przez mgłę. Pędził, nie wiedząc czemu ani dokąd. Biegł w jakąś piątą stronę świata, niezaznaczoną na żadnym kompasie, czując na karku oddech potwora i mając świadomość, że panika nie pozwoli mu się zatrzymać, aż nogi nie odmówią posłuszeństwa.

Wtem potknął się o coś i upadł na śnieg twarzą w dół, rozbijając ją sobie boleśnie. Wstał na wpół ogluszony i wystraszył się jeszcze bardziej, próbując dociec, o co zahaczył w tej mgle. Co, u licha, mogło tu tkwić pośród lodowej pustki? Wówczas jego ręce wymacały but, który wystawał ze śniegu niczym groteskowy grzyb. Zdumiony odkrywca

przez dłuższą chwilę trwał z nim w dłoniach, jakby go ogrzewał, nie wiedząc za dobrze, co robić. Następnie wolno, w miarę jak pokonywał własne zaskoczenie, zaczął kopać w śniegu. Szybko odgrzebał goleń, która była połączona z butem, a po kilku kolejnych ruchach – mięsień łydki. Kopał dalej, odsłaniając po kawałku ciało leżące pod metrową pokrywą śniegu. Dopóki w białym wykopie nie ukazała się zamarznięta twarz o rysach zamazanych lodową powłoką przesłaniającą je niczym wdowi welon. Nie bez lęku Reynolds otarł tę twarz jedną ze swych rękawiczek. i ze śniegu, i skądś jeszcze dalej marynarz Carson posyłał mu oszołomione spojrzenie kogoś, komu złożono niespodziewaną wizytę. Reynolds otworzył usta, nie pojmując tego, co widzi. Wówczas zauważył na ciele marynarza znajomą przerażającą ranę – brzuch był rozorany smagnięciem szponów. Zdezorientowany eksplorator próbował zrozumieć, co u licha robi tutaj Carson. Może to rzeczywiście on pełnił wartę na rufie i widząc, jak pijany odkrywca oddala się od statku i idzie Bóg wie dokąd, podążył za nim tak pechowo, że potwór znalazł go, zanim on...

Zrozumiawszy to, Reynolds skoczył na równe nogi i przerażony rozejrzał się dookoła. Diabeł był tam, obserwował go, teraz to wiedział. Wyczuwał go. Wypatroszył biednego Carsona i było tylko kwestią czasu, kiedy się rzuci na odkrywcę, aby go rozszarpać, ponieważ tak właśnie postępuje ten stwór, taki ma sposób na bratanie się z nimi. Ile jeszcze dowodów trzeba, by przyjąć do wiadomości, że nic nie zdaje się gwarantować, iżby ta wyższa istota okazywała biednym niższym rasom z kosmosu łagodność i współczucie? Zdjęty paniką Reynolds mógł w takiej sytuacji zrobić tylko jedno – rzucić się do ucieczki. Pobiegł w nieokreślonym kierunku. Biegł i biegł przez gęstą mgłę. Biegł, jak jeszcze nigdy w życiu. Biegł z nieprzyjemnym wrażeniem, że nie wie, czy ucieka przed potworem, czy zmierza wprost w jego szpony.

VIII

Kiedy Reynolds w oddali dostrzegł bryłę „Annawanu”, słabo oświetloną kilkunastoma latarniami rozwieszonymi na sterburcie, zdołał tylko pomyśleć, że przywiodła go tutaj ręka Stwórcy. Inaczej nie potrafił wyjaśnić tego, że jego obłąkańcza włóczęga wśród śniegu – to biegiem, to wyczerpującym marszem – zaprowadziła go dokładnie tu, gdzie chciał przybyć. Podążył do statku najszybciej jak mógł, nie oglądając się za siebie ze strachu, że w każdej chwili zobaczy potwora. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, wspiął się na śnieżną rampę ostatkiem sił. Griffin, pełniący wartę na prawej burcie, patrzył na jego mozolną wspinaczkę z rozczuleniem. Kiedy odkrywca był już blisko, wartownik uprzejmie wyciągnął rękę i pomógł mu wejść na pokład.

– Carson nie żyje! – wydyszał zasapany Reynolds. – Rozszarpał go potwór!

Lecz ta okropna wiadomość nie poruszyła marynarza, jak się Reynolds spodziewał. Griffin patrzył tylko na niego z twarzą bez wyrazu.

– Nie słyszał mnie pan, Griffin? – Tym razem eksplorator wykrzyknął donośniej. – Powiedziałem, że Carson nie żyje!

– Niech się pan uspokoi – odezwał się w końcu marynarz. – Słyszałem bardzo dobrze, ale uważam, że się pan myli. Carson jest tam.

Reynolds odwrócił się we wskazaną stronę i dostrzegł wartownika stojącego jakieś dwadzieścia metrów od nich, pełniącego wachtę na rufie.

– Czy to Carson? – zapytał zbity z tropu, wbijając wzrok w zwróconą do nich plecami ciemną sylwetkę człowieka skupionego na czujnym wypatrywaniu.

Griffin skinął głową.

– Jest pan pewien?

Marynarz przyjrzał się odległej postaci niemal z żalem.

– Tak, absolutnie pewien, proszę pana – potwierdził. – To on.

Reynolds przez kilka sekund z niedowierzaniem przyglądał się tamtej sylwetce.

– Dobrze się pan czuje? – usłyszał pytanie marynarza.

– Tak, Griffin, nic mi nie jest, proszę się nie martwić... – odmruknął ociężale. – Pewnie za dużo wypłem. I tyle.

– Możliwe, proszę pana. To zrozumiałe – usprawiedliwił go Griffin. – Ta sytuacja dla wszystkich jest trudna do zniesienia.

Reynolds skołowany kiwnął głową i zaraz oddalił się od Griffina lunatycznym krokiem, nie dbając o to, co marynarz o nim pomyśli. Ledwie był nawet świadom jego obecności, mimo że tamten odprowadzał go wzrokiem, gdy szedł przez pokład „Annawanu” – wzrokiem, w którym było coś więcej niż zwykła ciekawość. Jak na ironię, wbrew temu, co Reynolds powiedział Griffinowi, w tej chwili czuł się bardziej trzeźwy niż kiedykolwiek. Długi bieg przez śnieg wyrwał go z zamroczenia i oczyścił umysł. Odkrywca czuł teraz w głowie dziwną przejrzystość. Rozpoczynając łańcuszek nowych wydarzeń, ruszył nieśpiesznie w stronę odcinającej się na tle nieba na rufie ciemnej sylwetki, która w miarę jak się do niej zbliżał, stawała się coraz bardziej przerażająca w swym majestatycznym bezruchu. Griffin zapewnił go, że ten wartownik to Carson, ale odkrywca wiedział, że tak nie jest. Nie, nie mógł to być Carson, ponieważ ciało tego marynarza Reynolds dopiero co znalazł w śniegu. Wystarczyło, by zamknął oczy, a stawał mu przed nimi obraz rysów stężyłych w grymasie zgrozy uwiecznionym w lodzie przez mróz. Eksplorator próbował rozpoznać sylwetkę, ku której szedł, lecz okazało się to trudne z powodu mlecznego półmroku, a przede wszystkim ze względu na liczne warstwy ubrań,

które wszyscy z konieczności nakładali na siebie, wychodząc na zewnątrz. Spośród całej załogi najlepiej dawali się rozpoznać z pewnej odległości olbrzymi Metys Peters oraz Allan, przez tę swoją zatrważającą szczupłość wyglądający na niewiele więcej niż zapach. Lecz ta bezkształtna bryła uważnie wpatrująca się w białą równinę, nieświadoma badawczych oględzin Reynoldsa, mogła być kimkolwiek, od kuka po prezydenta Jacksona, nie wspominając już o jego wysokości Jerzym IV; spotkanie z każdym z nich mniej by go zaskoczyło aniżeli z marynarzem, którego niedawno widział wypatroszonego w śniegu.

Ale... a jeśli ta sylwetka to rzeczywiście Carson, jak zapewniał Griffin? Reynolds zadawał sobie to pytanie, zbliżając się nedorzecznie powoli, jakby na głowie miał dzban pełen płynu. Czy wobec tego powinien zważyć w to, co widział tam w śniegu? Oczywiście, że tak. Co innego mógł zrobić? Najlogiczniejsze wyjście to nie dowierzać własnym zmysłom. Nie może być dwóch Carsonów: jeden tutaj, na wachcie, a drugi rzucony w śnieg z flakami na wierzchu! Nie powinien zapominać, że widział go po pijanemu. Martwy marynarz wydał mu się Carsonem, ale może to nie był on, tylko ktoś do niego podobny. Czy aż tak dobrze miał wyryte w pamięci rysy twarzy wszystkich członków załogi? Jasne, że nie. Święty Boże, na niektórych nie popatrzył nawet dwa razy! Wtem, gdy znajdował się tak blisko wartownika, że wokół jego okutanej głowy widział obłoki zmrożonego oddechu, uderzyła go myśl i trafiła jego duszę jak kamień, każąc mu się zatrzymać zaledwie trzy metry przed strażnikiem: przecież musiał odgrzebać tamtego trupa. Musiał go wykopać, ponieważ zwłoki spoczywały pod grubą warstwą śniegu! Z większą uwagą przeanalizował to, co widział, i zdał sobie sprawę, że były zamarznęte znacznie bardziej, niż gdyby leżały na mrozie zaledwie przez godzinę. Ani porywiste wiatry, ani niskie temperatury nie mogły tego dokonać w tak krótkim czasie, toteż jego wcześniejsza teoria, że Carson udał się za nim, widząc, jak odkrywca opuszcza statek, nagle wydała mu się absurdalna. Czemu nie zauważył tego, gdy go odkopywał? Trup musiał spoczywać tam już od jakiegoś czasu. Może dzień albo dwa. Przygwożdżony do pokładu zaledwie parę kroków od wartownika, Reynolds wyteżył pamięć. Ostatnim razem widział Carsona w izbie chorych, w stanie katatonii po tym, jak nieszczęśnik był świadkiem okrutnego morderstwa dokonanego na chirurgu. Tam odwiedzili go też jego towarzysze, pragnący wydostać z niego informacje o potworze. Ale od tamtej pory nie miał o nim wiadomości. Przypomniał sobie, jak wychodząc ze zbrojowni, miał wrażenie, że rozpoznaje go jako jednego z wartowników, lecz teraz nie był tego taki pewien. Musiał go pomylić z kimś innym, co bez wątpienia przydarzyło się też Griffiniowi. Najprawdopodobniej Carson w którymś momencie uciekł z izby szpitalnej i niepostrzeżenie wymknął się ze statku, Bóg jeden wie w jakim celu. Może popchnęły go do tego majaki gorączki, a może nie mógł już znieść nacisków, jakie nań wywierano. Powód nie był szczególnie istotny. Czy on przypadkiem nie popełnił przed chwilą identycznego głupstwa? Tak czy inaczej, nieszczęśnik natknął się na potwora, który potraktował go tak samo jak chirurga. A Reynolds znalazł jego ciało zaledwie godzinę temu, podczas gdy wszyscy myśleli, że Carson wciąż jest na statku. Ale nie było go, nie mogło go być – mówił sobie odkrywca, wpatrując się w ciemną sylwetkę rysującą się na tle mgły kilka metrów przed nim.

Z wściekle bijącym sercem Reynolds przeklinał tego imbecyla Griffina za to, że go wprowadził w tak nedorzeczne wzburzenie. To oczywiście, że ten mądrała się pomylił. Gdy tylko zrobi cztery czy pięć kroków, które go dzielą od strażnika, dotknie jego ramienia, stanie twarzą w twarz z Kendricksem, Wallace'em czy nawet samym Jerzym IV i –

odetchnie z ulgą. Wówczas, doradziwszy Griffinowi, by sobie jak najszybciej sprawił dobre okulary, poszuka kapitana MacReady'ego, aby go powiadomić o smutnym odkryciu. Reynolds postanowił wreszcie rozwiązać zagadkę i chwiejnie postąpił kilka kroków. Ciemna postać zapewne po chrześcicie podłóża poznała, że ktoś się zbliża, i zaczęła powoli obracać się w jego stronę. Reynolds wstrzymał oddech i patrzył, jak zza wielkiego nausznika czapki uszanki wychyla się zamazany mgłą profil i twarz stopniowo rysuje się coraz wyraźniej, w miarę jak marynarz odwraca się denerwująco powoli... Aż wreszcie przestał się obracać i eksplorator widział go zupełnie od przodu. Na pokładzie „Annawanu” Reynolds i marynarz, który leżał martwy w śniegu, spoglądali na siebie w milczeniu. Twarz odkrywcy odzwierciedlała zaskoczenie i niedowierzanie – był zbyt oszołomiony, aby czuć strach czy nawet wiedzieć, że powinien go odczuwać – mina Carsona zaś wskazywała na lekkie zagubienie, jakby wartownik przysnął sobie na wachcie i przybycie eksploratora zniecka wyrwało go ze snu. A jednak to marynarz pierwszy przerwał spowijającą ich ciszę.

– Życzy pan sobie czegoś?

Reynoldswi głos ten wydał się dziwny, trochę niewyraźny, brzmiał, jakby ktoś od dłuższego czasu nie używał swoich strun głosowych. Zdobył się na nadludzki wysiłek, by zapanować nad ogarniającym go zdumieniem i zaimprovizować odpowiedź.

– Nie, niczego, Carson... Przyszedłem tylko powiedzieć, że cieszę się, widząc pana zdrowego, na nogach.

– Dziękuję panu – odparł uprzejmie marynarz.

Reynolds mimowolnie porównał tę twarz z tamtą, którą odkopał spod śniegu, zsiniałą i wykrzywioną strachem, wrytą w jego pamięci na zawsze, a identyczną z tą, którą miał teraz przed sobą. Twarz Carsona. Ale jeśli tamten nieboszczyk był Carsonem... Odkrywca poczuł, jak serce staje mu w piersi, a umysł przybiera formę mrozącego krew w żyłach pytania: to z kim on teraz rozmawia? Z jakim czartem...?

– Czy mogę panu jakoś pomóc? – powtórzył marynarz.

Eksplorator wolno pokręcił głową, niezdolny wyartykułować ani słowa. Bez wątpienia w tym głosie było coś dziwnego. Owszem, to głos Carsona, ale brzmi odrobinę inaczej. Może to wszystko nie jest niczym więcej jak zwykłą sugestią – pomyślał, chociaż czuł, że coś mu w tym człowieku nie pasuje: jego sposób poruszania się, mówienia, patrzenia... Miał wrażenie, że stoi przed aktorem, który z wysiłkiem odgrywa swą rolę. „Kim jesteś?” – zapytał w duchu, niemal bezwiednie pogrążając się w tych małych pospolitych oczach, które ze swojej strony wydawały się przyglądać mu z przesadną nieufnością, z podejrzliwością, jakiej nigdy nie zauważył u Carsona.

W tym momencie na pokład wychynęła ogromna sylwetka, która mogła być tylko Metysem, i przerwała im wzajemne badawcze oględziny. Peters zszedł zwinnie po lodowej rampie i skulony lekko z zimna, skierował się do psiej klatki, którą codziennie na kilka godzin przykrywał płótnem, aby zwierzęta, zdezorientowane stałym półmrokiem, mogły się pokręcić snem w ciemności. Zarówno Carson, jak i Reynolds spoglądali na poczynania Metysa w milczeniu, zadowoleni z rozejmu, jaki wprowadziło pojawienie się Petersa; z przerwy przede wszystkim ucieszył się eksplorator, rozpaczliwie potrzebujący czasu na uporządkowanie wrażeń. Nie dostał go jednak zbyt wiele, ponieważ gdy tylko Metys podniósł ciężkie płachty, psy wyszły ze swego letargu i zaczęły węszyć, wyraźnie niespokojne. Nagle, jakby posłuszne jakiejś choreografii, zwróciły łby w stronę, gdzie stali we dwóch na pokładzie, i niemal natychmiast zaczęły wściekle szczekać, wspinając się na pręty, a nawet atakując furtkę klatki. Reynolds zszokowany i oszołomiony

przyglądał się temu nagłemu wybuchowi agresji zwierząt, które rzucały się w ich kierunku z wyzywającym ujadaniem i charczeniem. Peters próbował je uspokoić, ale zdawały się tknięte obłędem. Odkrywca zerknął wówczas na Carsona, a ten odpowiedział niewzruszonym spojrzeniem.

– Psy wydają się niespokojne – odezwał się Reynolds, z największym trudem wytrzymując wzrok tamtego.

Carson jedynie wzruszył ramionami. Jednak gdzieś na dnie jego oczu eksplorator dostrzegł złowrogi błysk wściekłości. Przez myśl Reynoldsowi przemknęło wówczas absurdalne podejrzenie, ulotne i prędkie niczym przebiegająca po niebie błyskawica, a jednocześnie zimny pot zrosił mu ciało pod niezliczonymi warstwami ubrań. Przelknął ślinę, odchrząknął i ze spokojem samobójcy, który na kilka godzin przed popełnieniem samobójstwa już uważa się za martwego, znów zwrócił się do marynarza:

– Niech pan po skończonej wachcie przyjdzie do mojej kajuty, Carson. Chciałbym zaprosić pana na drinka. Myślę, że pan na to zasłużył.

– Bardzo panu dziękuję – odrzekł marynarz, z nieoczekiwaną intensywnością wbijając wzrok w oczy Reynoldsa – ale nie piję.

Jego spojrzenie oraz niepokojący ton odpowiedzi przyprawiły odkrywcę o dreszcze. „Choć może ten głos wydaje się taki złowieszczy tylko z powodu okropnego irlandzkiego akcentu” – pomyślał Reynolds, próbując się uspokoić.

– Niech się pan zastanowi. – Zmusił się, aby to powiedzieć, czując w żołądku węzeł narastającego lęku. – Taka brandy, jaką mam do zaoferowania, to okazja, której nie można zmarnować.

Carson przez kilka sekund patrzył na niego w milczeniu.

– Dobrze, proszę pana – odezwał się w końcu, nie spuszczać zeń swego przenikliwego, twardego spojrzenia. – Przyjdę; do pańskiej kajuty, kiedy skończę wachtę.

– Znakomicie, Carson! – ucieszył się eksplorator z największym entuzjazmem, na jaki było go stać, a tymczasem poczuł, jak serce wali mu dziko w piersi. – Będę na pana czekał.

Reynolds odwrócił się następnie, siłąc się na naturalność, i ruszył do najbliższego luku, nie mógł się przy tym pozbyć wrażenia, że wbijają mu się w kark oczy nieżyjącego marynarza. „Kości został rzucone” – powiedział sobie i poczuł ciarki. Podjął tę decyzję prawie bez przemyślenia i teraz nie mógł jej cofnąć. Czy mu się to podoba czy nie, jedyne, co może zrobić, to ciągnąć sprawę do końca. Ale będzie potrzebował pomocy, a tylko jedna osoba na całym „Annawanie” może mu pomóc. Skierował się do swej kajuty, udając beztronski krok, a tymczasem za jego plecami psy wciąż ujadają wściekle.

Allan był pogrążony w pisaniu wiersza, gdy do jego maleńkiej kajutki wtargnął Reynolds ze zmienioną twarzą i przyśpieszonym oddechem. Mimo to młodzieniec rzucił mu ledwie rozkojarzone spojrzenie i na powrót skupił się na swym dziele, jakby natchnienie było garścią piasku, który może się przesypać między palcami, jeśli rozluźnimy uścisk. Eksplorator nie miał zbyt wiele czasu, ale przymusem ugryzł się w język, by nie przerywać poecie. Allan opowiedział mu kiedyś, że kilka lat temu po jednej ze swoich kłótni z ojczymem wyruszył do Bostonu, aby spróbować szczęścia, i tam zdołał wydać swój pierwszy tomik poezji, chociaż niestety nie sprzedał się on w takiej ilości, by autor mógł się uporać z biedą. Zdesperowany, z pustymi kieszeniami, postanowił zaciągnąć się do wojska jako szeregowiec i nawet dosłużył się stopnia starszego sierżanta, zanim uciekł od tamtego brutalnego środowiska, tak niesprzyjającego dalszemu

uprawianiu poezji zgodnie z jego powołaniem. Zawstydzony, nie miał innego wyjścia, jak wrócić do domu swego dobroczyńcy. Działo się to jakiś czas przed tym, nim zaplanował wstąpienie do West Point; stąd Reynolds wiedział, jak ważne było dla Allana, by mógł się utrzymać z pióra. Odkrywca usiadł więc na pryczy i czekał, aż tamten skończy, a tymczasem wykorzystał okazję na uspokojenie oddechu i uporządkowanie myśli. Zamierzał nawet dojść do ładu ze zmysłami, ponieważ przez to całe skołowanie zdawało mu się, że słyszy oczami, a widzi ustami. Jednak trans, w jakim był pogrążony Allan, w końcu zahipnotyzował i jego. Młodzieniec pochylał się nad stołem, a włosy opadały mu na oczy niczym ciemny wodospad. I jeżeli na ogół bladość jego skóry, rysująca się na twarzy melancholia i pełna elegancji wysmukłość zachęcały Reynoldsa, aby mu się przyglądał z nieuniknionym rozczuleniem, teraz artylerzysta sprawiał wrażenie jeszcze bardziej kruchego niż przedtem, jako że jego ciałem zdawało się wstrząsać niemal niedostrzegalne drżenie, niczym cichy bulgot w jakimś alembiku. Choć to nie on był poetą w tym pokoju, zaimprovizowane porównanie nawet mu się spodobało, ponieważ Allan destylował w sobie i przesączał na papier ciemności spowijające jego duszę.

Reynolds kiwnął głową sam do siebie. Nie przestając przyglądać się artylerzyście, powiedział sobie, że przychodząc tu, dobrze zrobił. Tylko tak inteligentny umysł jak Allan mógł zrozumieć to, co zamierzał powiedzieć, tylko dusza tak oddalona od ziemskich spraw mogła dołączyć do przedsięwzięcia, jakie chciał zaproponować, a co najważniejsze: tylko człowiek o władnięty trucizną artystycznej kreacji zgodziłby się dyskretnie odsunąć na drugi plan, gdy nadejdzie moment, by podzielić się ziemską chwałą, którą zostaną nagrodzeni, ponieważ Reynolds podejrzewał, że Allana interesuje wyłącznie sława, jaką może mu przynieść twórczość literacka. Tak, zdecydowanie sierżant jest idealnym towarzyszem, aby go wesprzeć w szaleńczym planie, który zaświtał mu w głowie podczas rozmowy z Carsonem na pokładzie, planie, którego nie byłby w stanie przeprowadzić w pojedynkę. Teraz musi już tylko przedstawić mu swój pomysł w ten sposób, aby artylerzysta nie uznał, że odkrywca zupełnie postradał rozum. Gdy wreszcie Allan skończył pisać, zwrócił się do Reynoldsa z oczyma lekko błyszczącymi jak węgielki w ognisku, lecz eksplorator wciąż jeszcze nie wiedział, od czego zacząć opowieść.

– Przyszła mi do głowy pewna zadziwiająca teoria na temat Marsjanina – rzekł, ponieważ jakoś musiał zacząć tę bzdurę. – Tak zadziwiająca, że jeśli ją ogłoszę, nikt na tym statku nie weźmie jej poważnie.

– Ale potrzebuje pan kogoś, kto to jednak zrobi. – Allan uśmiechnął się i przystąpił do porządkowania przyborów na biurku z dbałością, z jaką lekarz sądowy strzeże swych narzędzi pracy.

Reynolds przytaknął ze śmiertelną powagą.

– Właśnie. I uważam, że tylko pan może to zrobić. Dlatego zamierzam ją panu streścić i mam nadzieję, że może rzucić to nieco światła na delirium, w którym błądzimy, bo obawiam się, że jeśli nie, wkrótce wszyscy zginiemy.

To rzekłszy, odkrywca zamilkł, mając świadomość, że zamierza powiedzieć młodemu artylerzyście coś tak niedorzecznego jak to, że z wody można wyrzeźbić posąg. Lecz Allan, rozbawiony, pokręcił głową i podniósł teatralnie swoje smukłe ręce harfisty.

– Widzieliśmy, jak z nieba przybył Marsjanin w maszynie latającej, Reynolds. Przed czym jeszcze mój biedny rozum mógłby się wzbraniać i nie chcieć przyjąć tego do wiadomości?

– Oby to była prawda, ponieważ sędzę, że odkryłem sposób, w jaki ten potwór dostał się na statek. – Pozwolił, aby wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu jak drobiny

kurzu i powoli zapadły w duszę Allana, po czym dodał: – I co najważniejsze: odkryłem również, że go wciąż nie opuścił.

– Wie pan, gdzie teraz jest? – spytał młodzieniec, nagle prostując się na siedzeniu.

– Jeżeli mam rację i nie straciłem rozumu – mruknął ponuro eksplorator – sędzę, że jest na pokładzie, zaraz skończy wartę. A za dziesięć minut przyjdzie do mojej kajuty, żeby się ze mną napić.

Allan przyjął tę informację w milczeniu. Reynolds patrzył na niego, nie chcąc mu się naprzykrzać – dawał mu czas na przetrawienie wiadomości. Nie mógł się oprzeć i przedstawił ją w zawołany sposób, ale na tyle znał młodzieńca, by wiedzieć, że nie potrzebuje on więcej wyjaśnień. Artylerzysta miał tak wyjątkową zdolność logicznego rozumowania, że Reynolds wyobrażał sobie czasem, iż sierżant spogląda na otoczenie z jakiejś uprzywilejowanej pozycji – niekoniecznie wyższej, ale owszem, skądś z boku – i z tego punktu obserwacyjnego, w którym się znajduje, wszelkie zdobycze ludzkości, jej postępy i triumfy, jakie odnosi ona nad środowiskiem i sama nad sobą, zapewne wydają mu się malowniczą zabawą małp. Z czasem Reynolds zauważył również, nie bez pewnego smutku, że ów talent młodzieńca do upraszczania rzeczywistości, sprowadzania jej do formuły zarówno głupiej, jak i zrozumiałej, nie pozwala mu na odszyfrowanie własnego wnętrza, ponieważ jego buntownicza i delikatna dusza funkcjonowała w sposób zbyt kapryśny nawet dla niego samego.

– Chce pan powiedzieć, że... przekształcił się w jednego z nas? – spytał w końcu artylerzysta.

Słyszając własne podejrzenia padające z ust Allana, odkrywca poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz, jakby stanął bosymi stopami na marmurowej podłodze. Wypowiedziane na głos, zabrzmiały nie tylko obłąkańczo, lecz także przerażająco. Reynolds skinął głową ze słabym uśmiechem. Młodzieniec nie rozczarował go. I sądząc z pytającego spojrzenia, jakie w nim utkwił, domagał się nagrody w postaci szczegółów. Eksplorator odchrząknął, gotów mu je przedstawić, choć postanowił kilka z nich pominąć, aby zachować własną godność, przynajmniej w oczach jedyne go poplecznika, jakiego miał na statku.

– Kilka godzin temu wyszedłem na śnieg z zamiarem ponownego zbadania latającej maszyny, ale zgubiłem się z powodu mgły. Długo chodziłem w kółko, bojąc się, że potwór dopadnie mnie w każdej chwili... aż natknąłem się na trupą marynarza Carsona. Był rozszarpany. Jak niedźwiedź, jak biedny doktor Walker. Leżał na wpół zagrzebany w śniegu, a zaawansowany stan zamrożenia wskazywał na to, że umarł co najmniej dzień lub dwa dni temu. Wróciłem na „Annawan” najszybciej jak umiałem, żeby wszczać alarm, ale kiedy przybyłem, spotkałem się z niespodzianką: Carson stał na pokładzie na warcie ze wszystkimi wnętrzościami na miejscu. – Zrobił pauzę, aby odetchnąć, i uśmiechnął się z rezygnacją. – Jak może pan sobie wyobrazić, początkowo niczego nie rozumiałem, lecz potem przyszła mi do głowy przedziwna myśl. Im dłużej ją rozważam, tym bardziej wydaje mi się ona jedynym możliwym wyjaśnieniem: a jeżeli marynarz, który wrócił z zabitym niedźwiedziem, nie jest prawdziwym Carsonem, tylko czymś, co... przybrało jego wygląd?

– Czymś, co przybrało jego wygląd... – powtórzył z wolna Allan.

– Tak, niech pan sobie wyobrazi, że podczas gdy Carson i Ringwald przeszukiwali okolice latającej maszyny, stracili się nawzajem z oczu we mgle, a moment ten potwór wykorzystał, by zabić pierwszego i, no... zastąpić go.

– I teraz według pana to coś, cymkolwiek jest, znajduje się na pokładzie, stojąc na

wachcie.

– Właśnie tak. I Bóg jeden wie, po co to robi – odparł Reynolds, uśmiechając się z zakłopotaniem do artylerzysty, jakby usprawiedliwiał się z tego, że opowiada bzdury. – Jak pan uważa, Allan? Myśli pan, że wszystko to jest szaleństwem?

Przez chwilę, która dla odkrywcy ciągnęła się w nieskończoność, artylerzysty – ze wzrokiem zagubionym w jakimś nieokreślonym punkcie pokoju – nie odzywał się.

– Sądzę, że pytanie powinno brzmieć nie: czy wszystko to jest szaleństwem – odrzekł w końcu. – W moim odczuciu prosty fakt, że istnieję, od dawna zakrawa na obłąkańczą zagadkę. Powinniśmy raczej zadać sobie pytanie, czy możliwe jest jakieś inne wytłumaczenie, takie, które zwolni nas od rozpatrywania tej oczywistej bzdury. Na przykład czy jest pan całkowicie pewien, że znaleziony przez pana nieboszczyk to Carson? Sam pan powiedział, że była gęsta mgła, a on był do połowy zagrzebany w śniegu. Ponadto... – Allan odchrząknął, sygnalizując niezręczność sytuacji – wybaczy pan, jeśli moje kolejne zdanie wyda się panu niegrzeczne, ale muszę wyznać, że z tego miejsca czuję od pana... ee... woń alkoholu.

Reynolds parsknął ze złością.

– Allan, nie będę zaprzeczał, że sobie wypilem, ale zapewniam pana, że nigdy nie spotkał mnie pan przytomniej myślącego niż teraz. I nic nie pasowałoby mi bardziej, niż powiedzieć panu, że nie jestem pewien tego, co widziałem, bo byłem pijany, a także okropnie przerażony. To uwolniłoby mnie od konieczności obrony poglądu, którego żaden racjonalny umysł nie odważyłby się zaakceptować. Sam oskarżyłbym o szaleństwo kogoś, kto opowiedziałby mi coś takiego. Ale obawiam się, że nie mogę, Allan. Jestem zupełnie pewien tego, co widziałem. Tam na zewnątrz, rzucone w śnieg, leży ciało Carsona.

Po tych słowach zamilkł. Naprawdę wierzył w to, co powiedział? Czy nie miał ani cienia wątpliwości co do identyfikacji ciała? Właściwie nie był zupełnie pewien tego, co tam zobaczył. Był tylko prawie pewien, że leży tam Carson, lecz musiał ukryć przed Allanem owo „prawie”, aby rozmowa nie utknęła w tym punkcie. Ponadto nie miał również pewności, czy to „prawie” nie było późniejszym dodatkiem jego umysłu spowodowanym przez odkrycie na pokładzie owego drugiego Carsona.

– Rozumiem – mruknął artylerzysta.

– Tak czy inaczej, Allan, jeżeli to nie był Carson, to kto? Ze statku nikt nie zniknął. Równie bezsensowne, a nawet bardziej, byłoby przypuszczenie, że leżą tam zwłoki kogoś, kto nie przybył z nami, nie sądzi pan? – Reynolds milczał przez kilka sekund, po czym dodał: – Lecz jest coś jeszcze, Allan. Coś, co mi podpowiada, że moja teoria ma mocne podstawy. Carson, z którym dopiero co rozmawiałem na pokładzie, wydał mi się... Nie wiem, jak to wyjaśnić... Wydał mi się dziwny, inny. Nie wspominając już o tym, że psy, gdy wyczuły jego zapach, zaczęły wściekle ujadać.

– Psy? – wymamrotał Allan.

– Właśnie. Czy panu też wydaje się to dziwne?

Artylerzysta wstał i zaczął chodzić po ciasnej kajucie z wyraźnym wzburzeniem.

– Ale w przypadku gdyby pańskie podejrzenia były prawdziwe, jak mogłoby to coś przekształcić się w Carsona? Mówimy o zduplikowaniu istoty ludzkiej! Zdaje pan sobie sprawę ze skomplikowania naszych organizmów? Musiałby zreplikować każdy z naszych narządów... i nie tylko to, również wykształcenie, język, wiedzę... psychikę, Reynolds, wspomnienia! Carson nie był pustą skorupą, ubraniem, które może włożyć każdy. Carson był człowiekiem, mistrzowskim dziełem stworzenia... Jak można skopiować coś tak

znakomicie wykonanego przez Stwórcę, i to w dodatku w taki sposób, żeby nikt tego nie zauważył?

– O, niech pan da spokój, Allan, rozumiem, jak skomplikowane musi być wytworzenie reprodukcji istoty ludzkiej od nosa po cholerną żołądź, ale zdaje się, że umysł marynarza Carsona nie stanowił aż tak wielkiego wyzwania. Ten irlandzki prostak nie był najwybitniejszym przedstawicielem naszej rasy. Obaj wiemy, że był spokojnym milczkiem o bardziej niż ograniczonej inteligencji. I nie uważam też, że fakt, iż zrobił się jeszcze mniej rozmowny, wzbudził jakieś podejrzenia wśród załogi. Prócz tego są kolejne wskazówki podpierające moją teorię. Wspomniałem już panu o psach, ale jest tego więcej... Nie wydaje się panu dziwne, że Carson bez najmniejszego problemu stoi na warcie, skoro przypuszczalnie ma odmrożoną stopę? Jak to możliwe, żeby istota ludzka, która odmroziła sobie kończynę, cudownie odzyskała w niej władzę, bez interwencji lekarza?

– Tak, muszę przyznać, że to dość dziwne... – przytaknął artylerzysta w zamyśleniu.
– Lecz mimo to nie mogę uwierzyć, że...

– Na litość boską, Allan! – zniecierpliwził się Reynolds. – To przecież pan próbował mnie przekonać, że ta istota może być tylko Marsjaninem, a opierał się pan na tym, że najprostsze wyjaśnienie jest zawsze najbardziej logiczne. Cóż, teraz mamy na Antarktydzie dwóch Carsonów. Jeden leży ciśnień w śnieg, wypatroszony i zamrożony, a drugi stoi na pokładzie, otepiał, lecz żywy. Nie wiem, jak brzmi pańska opinia, ale dla mnie najprostsze wyjaśnienie tego nadzwyczajnego cudu jest takie, że Marsjanin przeobraził się w marynarza. Po tym, jak go rozszarpał, rzecz jasna.

Allan nic na to nie odrzekł. Przez dobrą chwilę trwał bez ruchu, wpatrując się w jedną ze ścian swej kajuty, jak gdyby lada chwila miały się tam pojawić zapisane odpowiedzi, których szukał.

– Zgoda, Reynolds... – mruknął w końcu cokolwiek niechętnie. – Przyjmijmy, że Marsjanin może się przeobrazić w kogoś z nas i że przybrał wygląd Carsona... Po co miałyby to robić? Jaki byłby w tym cel?

I dlaczego rozszarpał doktora Walkera, a nam nie uczynił nic takiego? Czego się spodziewa?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł eksplorator. – Dlatego zaprosiłem go do mojej kajuty: aby poznać jego motyw i spróbować porozumieć się z nim, ponieważ wyznam panu, że żywię podejrzenia, iż tak naprawdę nie chce on nas atakować. Gdyby było inaczej, już by nas wszystkich wykończył, nie uważa pan? Miał sposobność, by to zrobić. Ukryty pod postacią Carsona mógł się swobodnie poruszać po statku i pozabijać nas jednego po drugim. To mi przychodzi na myśl, że śmierć doktora Walkera była dziełem wypadku. Wyobrażam sobie, że Marsjanin zabił go w obronie własnej, że tak to ujmę, gdy doktor zabierał się do amputacji jego nogi.

– Możliwe... – mruknął Allan.

– Nie wiemy, jak nas ta istota postrzega – ciągnął swój wywód Reynolds. – Może czuje się bardziej przerażona niż ktokolwiek z nas i tylko próbuje przetrwać we wrogim dla siebie otoczeniu. Jedyne, co wiemy, to że jej reakcje mogą być skrajnie gwałtowne, i dlatego powinniśmy podchodzić do niej z największą ostrożnością... Myślę, że tylko w ten sposób będziemy mieć możliwość nawiązania dialogu z Marsjaninem. I jeśli na tym statku jest człowiek, któremu mogę zaufać, by zrealizować to przedsięwzięcie, to jest nim pan, Allan.

– Rozumiem pańskie zamiary, Reynolds, ale dlaczego nie poinformował pan o tym

wszystkim kapitana MacReady'ego? Czemu pan chce, byśmy się brali do tego sami?

– Kapitana? Niech pan da spokój, Allan, zna pan „wysokie” mniemanie, jakie ma o mnie MacReady – usprawiedliwił się eksplorator. – To oczywiście, że mi nie uwierzy, o ile sam nie zobaczy zwłok Carsona na własne oczy, a wątpię, czy umiałbym go tam zaprowadzić. Kilka godzin temu, choć teraz wydaje mi się to wiecznością, mieliśmy... małą wymianę zdań w jego kabinie, podczas której zasugerował mi, że zamknie mnie w mojej kajucie na resztę podróży. Zagroził nawet sądem wojennym, jeśli znów będę mu się naprzykrzać swoimi „urojeniami”, a za takie zapewne uzna to, że biegam i rozpowiadam, jakoby Marsjanin przybrał postać jednego z jego ludzi. Ponadto zakładając, że MacReady mi uwierzy, jak pan uważa: co zrobi? Z całą pewnością będzie próbował zastrzelić gwiazdznego gościa, rujnując wszelką możliwość nawiązania z nim dialogu. A właśnie to zamierzam zrobić: porozumieć się z tą istotą. Nie tylko dlatego, że uważam, iż dialog z nią to jedyne, co może nas uratować, lecz także z tego powodu, co znaczy on sam w sobie. Jeżeli mamy rację i na tym statku faktycznie jest Marsjanin, czy nie wydaje się panu fantastyczne, że moglibyśmy z nim pomówić? Z istotą z innej planety, Allan!

Artylerzysta skinął głową ze zrozumieniem, chociaż nie okazywał aż takiego entuzjazmu dla tego pomysłu jak Reynolds, ten drugi więc namawiał go dalej:

– Allan, może to będzie największy krok w dziejach ludzkości! Jeśli nasza teoria jest prawdziwa, stoimy tuż przed okryciem o nieobliczalnej skali. Niech pan nie oczekuje, że zostawimy tę sprawę w rękach tej bandy głupców... Jesteśmy jedynymi osobami na tym statku zdolnymi do przeprowadzenia tego w prawidłowy sposób. Pozostali chcą tylko ratować własny tyłek. Jest naszą powinnością wobec ludzkości i przyszłych pokoleń, byśmy wzięli odpowiedzialność za tę sprawę. Nie przyszło panu do głowy, że wszystko to potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby nie było nas na tym statku? Sprowadziło tu nas nasze przeznaczenie, abyśmy opanowali sytuację i nie dopuścili do tego, żeby przybycie na Ziemię pierwszego gościa z kosmosu zamieniło się w pospolite polowanie.

Artylerzysta kiwnął głową i westchnął, co Reynolds chciał uznać za wyraz zgody, a nie zmęczenia. Następnie obrócił się na swoim krześle i zatopił spojrzenie w nieskończoności.

– Może to lepiej, że maszyna rozbiła się tutaj, zamiast dotrzeć do celu, dokądkolwiek zdążyła... – snuł głośno przypuszczenia Allan, zaczynając odczuwać, wbrew sobie, entuzjazm na myśl, że mają na pokładzie Marsjanina. – A on teraz znajduje się tutaj, na skrawku lodu, i nie wie, jak się stąd wydostać.

– Tak, też tak uważam – zgodził się z nim wielkodusznie Reynolds. – I może uznał nas za rozwiązanie swojego problemu. Dlatego przeniknął na statek, ponieważ uważa, że my wiemy, jak się z tego miejsca wynieść.

– Cóż, obawiam się, że rozczarujemy go jako gatunek inteligentny. – Artylerzysta uśmiechnął się, lecz zaraz potem, jakby sobie nagle uświadomił, że pozwolenie sobie na żarty w takiej sytuacji może go w przyszłości wiele kosztować, przybrał minę posępnej powagi. – Cóż, Reynolds, ma mnie pan po swojej stronie. Proszę mi teraz przedstawić swój plan.

Odkrywca spojrzął nań zdezorientowany. Plan? O, jasne, Allan chce poznać jego plan. On sam też chętnie by go poznał.

– Noo... Muszę panu wyznać, że jeszcze nie przemyślałem sobie zbyt dobrze, jak przeprowadzić to spotkanie... – przyznał. – Chyba będę improwizował w zależności od jego reakcji.

– Czy bierze pan pod uwagę tę możliwość, że jego zamiary mogą się okazać

destrukcyjne? – zapytał młodzieniec. – A jeśli zamierza pana zaatakować?

– Oczywiście, rozważyłem tę ewentualność, że Marsjanin odmówi dialogu i zamiast tego będzie mnie wolał wypatroszyć. Dlatego chcę, aby pan był przy tym obecny, Allan. Chciałbym, aby został pan moją gwarancją, moim ubezpieczeniem na życie – odrzekł Reynolds.

– Ale czy to nie będzie zaskoczeniem dla tego stwora, gdy mnie zobaczy w pańskiej kajucie? – wysunął zastrzeżenie artylerzysty. Najwyraźniej wolał zaczekać na rozstrzygnięcie wywiadu w swojej kajucie.

– Nie zobaczy pana, Allan. Schowa się pan w spizarce, a jeśli sytuacja się pogorszy, wyjdzie pan i strzeli do niego z zaskoczenia, zanim on zdąży mnie zaatakować.

– A, rozumiem... – bąknął Allan blady jak papier.

– Czy mogę na pana liczyć? – zapytał Reynolds niemal błagalnym tonem.

Młodzieniec przymknął oczy i nie odzywał się. Zdawało się, że mija wieczność, w której rozlegały się jedynie trzaski lodu coraz mocniej duszącego statek w mroźnym uścisku.

– Oczywiście, Reynolds. Jak śmiałyby pan w to wątpić? – odparł w końcu z niejakim wahaniem, jakby sam nie był pewien, jaką dać odpowiedź. – Obawiam się, że jestem jedynym członkiem z załogi, który zmieściłby się w pańskiej spizarce.

– Dziękuję, Allan. – Reynolds uśmiechnął się, naprawdę wzruszony gestem artylerzysty, i nie skłamał zbyt długo, gdy dodał: – Ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy, to że znajdę w tym piekle przyjaciela.

– Cóż, niech pan o tym pamięta, kiedy nie będę już panu potrzebny – mruknął Allan.

– A przy okazji, została panu jeszcze jakaś butelka brandy? Sądzę, że jeśli mam zastrzelić istotę z innego świata, musiałbym wychylić kieliszek. Albo nawet dwa.

– Miejmy raczej nadzieję, że wzniesiemy toast razem z Marsjaninem... – pośpiesznie zaproponował Reynolds, myśląc o tym, jak wyjmie butelkę ze spizarki, gdy w środku będzie schowany sierżant.

IX

Reynolds uważnie powiódł wzrokiem po swojej malutkiej kajucie, niczym reżyser teatralny sprawdzający scenografię, jaką dysponuje. Opróżnił szafę, która służyła mu za spiżarkę, szczególną uwagę przywiązując do tego, aby artylerzysta nie zauważył dwóch czy trzech butelek, jakie się w niej ostały, i teraz Allan stał ukryty w jej ciasnym wnętrzu jak nieboszczyk w trumnie, którą grabarz oparł o mur na czas wykopywania grobu, tyle że sierżant w swej ręce poety dzierżył pistolet. Na stoliku zajmującym środek kajutki Reynolds postawił butelkę trunku i dwie szklaneczki, a po prawej stronie nakrycia – niczym mroczne pociągnięcie pędzla zaburzające obraz zwykłej codzienności – położył świeżo naładowany pistolet. Wolał go tu umieścić, na widoku, zamiast chować w kieszeni, gdzie trzymał kule i wycior, ponieważ pomyślał, że w ten sposób wzbudzi mniej podejrzeń, jako że w stanie obłączenia, w jakim się znajdowali, i tak wszyscy chadzali uzbrojeni. Po jednej stronie stołu stało krzesło, a naprzeciwko niego – fotel, który przybył tutaj z odkrywcą z tamtego życia, zapewniając wygodę i ochronę. Brakowało tylko jednego z aktorów, który – jeśli jego teoria jest prawdziwa – przybędzie w przebraniu.

Eksplorator nerwowo skubał bandaż swojej prawej ręki, próbując się uspokoić. Carson stawi się tu lada chwila, a on jeszcze nie postanowił, jak zacząć ten wywiad. Jakie powitanie zgodnie z zasadami grzeczności będzie najodpowiedniejsze dla istoty z innego świata? Przed chwilą dyskutował z Allanem nad sposobem poprowadzenia konwersacji i chociaż mieli na ten temat różne zdanie, udało im się dojść do porozumienia. W zasadzie odrzucili bezpośrednie podejście do sprawy na rzecz bardziej subtelnego. Kilkoma gładkimi frazesami Reynolds powinien wprowadzić luźną atmosferę, a następnie, gdy tamten straci czujność, zasypać go gradem złośliwych pytań, które go przyprą do muru i zmuszą do własnoręcznego zrzucenia maski. Tak, co do tego zgodzili się obaj. Żadnych bezpośrednich pytań. Najpierw, unikając jakiegokolwiek grożącego tonu, należy sprawić, że potwór poczuje się pewnie i spokojnie, aż przyjdzie pora, by mu pokazać, że go przejrzano, a mimo to oferuje mu się możliwość dialogu. Prawdę rzekłszy, owa najwyższa ostrożność, będąca pomysłem Allana, niezupełnie odpowiadała Reynoldsowi, ponieważ nie widział sam siebie rozplywającego się w subtelnościach, podczas gdy stwór będzie mu się przyglądał przez oczy Carsona. Eksplorator zasugerował nagłe przejście do sedna, lecz Allan zwrócił mu uwagę, że Marsjanin, gdy się poczuje nękany, może zareagować gwałtownie. Jego zdemaskowanie powinno być zatem majstersztykiem manipulacji – możliwie jak najbardziej eleganckie i delikatne, aby pokazać tej istocie „wyrafinowaną bystrość ludzkiego gatunku” – podsumował poeta cokolwiek pompatycznie. Następnie przystąpił do wpasowywania się w ciasne wnętrze spiżarki z godnością faraona, który przymierza nowy sarkofag, i zostawił Reynoldsa równie zakłopotanego w kwestii postępowania jak przedtem albo nawet bardziej. Jedyne, co było jasne dla odkrywcy, to to, że w pewnym momencie owej rozmowy on i tamten stwór będą musieli odsłonić swoje karty. A pytanie, które go dręczyło, brzmiało: jak zareaguje Marsjanin, kiedy się dowie, że został zdemaskowany? Zaatakuje go czy okaże gotowość do dialogu? Wówczas uświadomił sobie, że od tego, jak przeprowadzi ten wywiad, zależy wiele rzeczy: na krótszą metę życie jego i wszystkich pozostałych ludzi przebywających na statku, na dłuższą zaś miejsce, jakie jego nazwisko zajmie w Historii, a nawet sama Historia.

Po raz n–ty poprawił na stole szklaneczki i spojrzął na zegar, zastanawiając się, czy Allan słyszy z szafki jego oszalałe bicie serca. Ta mieszanina strachu i ekscytacji, która go

ogarniała, była uzasadniona: zaraz miał porozmawiać z istotą z kosmosu. Kiedy zagadnął Carsona na pokładzie, zupełnie nie uświadamiał sobie niezmierzonej wagi owego spotkania. Wszystko to stało się za szybko. Można by powiedzieć, że Reynolds działał intuicyjnie, powodowany podejrzeniem, które dopiero ledwie kiełkowało w jego głowie, i jeszcze nie miał go czasu przyswoić. Lecz teraz nie chodziło już o podejrzenie: do jego drzwi zaraz zapuka – niemal z wszelkim prawdopodobieństwem – przybysz z innej planety. Istota ta, tak różna od niego samego, tak obca człowiekowi, usiądzie tu, na jednym ze zwykłych ziemskich krzeseł, ukryta pod osłoną ludzkiej postaci, i spróbuje nawiązać z nim konwersację, nie zdradzając mu swojej natury, być może analizując jego reakcje z taką samą uwagą, z jaką on będzie śledził jej zachowanie. Bez względu na to, jakie są ich ukryte cele, ta kajuta stanie się sceną skomunikowania się dwóch różnych gatunków. Porozumieją się dwie inteligencje, jakie powstały na dwóch odrębnych planetach, podtrzymają dialog, dokonają małego cudu za plecami świata. Uświadomiwszy to sobie, Reynolds poczuł dziwny zawrót głowy. Przypomniał sobie wówczas mroczny błysk, jaki ujrzał w małych pospolitych oczkach Carsona, kiedy psy zaczęły ujadać, i zastanowił się, czy teraz, kiedy te oczy będzie miał przed sobą, wystawione na jego badawcze spojrzenie znacznie dłużej, ich prawdziwy właściciel zdoła ukryć wspomnienia obrazów, które widziały. Czy ta istota, która przybyła z gwiazd i w latającym urządzeniu przemierzyła przestrzeń kosmiczną, kierując się ku Ziemi, widziała grupy meteorytów, komety o ognistych warkoczach i wszystko to, co Stwórca trzyma z dala od zasięgu ludzkiego wzroku. Widziała wreszcie rzeczy, w które on by nie uwierzył i których nawet by nie wyśnił. I tego nie mogłaby ukryć, rzekł sobie. A może jednak?

W tym momencie ktoś zapukał delikatnie do drzwi kajuty. Reynolds aż podskoczył. Gdy się otrząsnął z przestachu, rzucił znaczące spojrzenie w stronę spizarki, ponieważ wiedział, że Allan widzi go przez żaluzjowe drzwi. Wolno skinął głową, jakby tym gestem chciał pokazać światu, że rozpoczyna przedstawienie. Następnie, starając się opanować drżenie kolan, skierował się do drzwi kajuty i otworzył je. Carson wszedł do środka, przywitał się nieśmiało, a jednocześnie odwinął sobie z twarzy szalik i zdjął rękawice. I tak jak wcześniej na pokładzie Reynoldsa znowu zaskoczył jego sposób chodzenia: jeśli się przyjrzeć uważnie, wyglądał nienaturalnie. Marynarz poruszał się z pewną niezdarnością, zapewne wymuszoną przez przebranie, jak gdyby nosił niedopasowane buty. Reynolds, starając się nie wpaść w panikę, która Ho ogarniała na myśl, że ten niepokąźny, brzydki mężczyzna być może nie jest człowiekiem, tylko potworem z gwiazd mogącym rozszarpać go w mgnieniu oka, wskazał gościowi krzesło, a sam pośpiesznie usiadł w swoim fotelu, gdzie od razu poczuł się bezpieczny w kokonie z drewna i skóry, po czym z całym spokojem, na jaki było go stać, nalał brandy do dwóch szklaneczek. Marynarz spoglądał na niego w milczeniu, z neutralnym, niemal obojętnym wyrazem twarzy. Odkrywca nigdy nic widział oblicza, które bardziej niż to byłoby niezdolne do odzwierciedlania uczuć, jakichkolwiek. Zdawało się, że Stwórca modelował tę twarz z dogłębną niechęcią, znużony wymyślaniem kolejnych ludzi.

Kiedy Reynolds napełnił obie szklaneczki, wziął swoją i pośpiesznie wznosił ją w geście toastu – tak szybko, jakby wypróbowywał floret – po czym pociągnął łyk alkoholu. Nie mógł się powstrzymać i wykorzystał ten etap pantomimy do tego, by uspokoić nerwy. Carson patrzył na niego beznamietnie, nie biorąc nawet do ręki szkła, które miał przed sobą.

– Niech się pan częstuje bez strachu, Carson – zachęcił go, usiłując poskromić drżenie głosu. – Przekona się pan, że nie kłamałem. To znakomita brandy.

Marynarz wziął szklaneczkę nadmiernie ostrożnym gestem, jakby się bał, że skruszy szkło, jeśli za mocno nacisnie, i podniósł go do ust, aby upić maleńki łyżek. Przybrał następnie wymuszoną minę zadowolenia, która zmieniła nieco tępy, bydlęcy grymas, jaki nosił przyklejony do twarzy, gdy nie musiała ona niczego wyrażać. Potem odstawił szklaneczkę na stół, jakby tym ptasim łyżkiem wypełnił zasady uprzejmości, których od niego wymagano.

– Przypuszczam, że nadal nie może pan zapomnieć tego, co pan zobaczył. To musiała być przerażająca scena – odezwał się Reynolds, próbując sobie przypomnieć, czy przy jakiejś okazji nie widział kiedyś pijącego prawdziwego Carsona, czy może trafił na jedynego abstynenta w załodze i teraz wyciąga pochopne wnioski. – Choć muszę wyznać, że pański opis tej istoty nie pomógł nam zbyt dobrze zrozumieć, z czym walczymy.

To powiedziawszy, Reynolds odniósł wrażenie, że znów dostrzega w spojrzeniu Carsona ów dziwny błysk, i bezwiednie odsunął się nieco od stołu, wyobrażając sobie, że stwór obserwuje go podejrzliwie z wnętrza marynarza.

– Przykro mi, proszę pana, ale wszystko to wydarzyło się tak szybko... – odparł wreszcie Carson, jak gdyby nagle zauważył, że jego rozmówca oczekuje odpowiedzi.

– Niech się pan nie usprawiedliwia, Carson, nie ma takiej potrzeby. To normalne, że nie przejawia pan ochoty, by wracać do tej sprawy. Przypuszczam, że jest pan przerażony... – Eksplorator uspokoił go gestem ręki. Potem przyjrzał mu się uważnie. – Mam rację? Boi się pan... Carson? – Wymówił jego nazwisko z nutą ironii, zastanawiając się, czy dla Allana zabrzmiało to subtelnie, czy zwyczajnie prostacko.

– Chyba tak, proszę pana – odpowiedział marynarz.

– Jasne, jasne, wszyscy się boimy – ciągnął dalej odkrywca, uśmiechając się nieco szerzej. – Nie trzeba się tego wstydzić. Ale powinien pan zrozumieć, że bardziej szczegółowy opis tej istoty byłby dla nas znacznie użyteczniejszy. Proszę pomyśleć, że może ona postrzega nas jako tak przerażających lub groźnych, jak my widzimy ją, albo nawet bardziej. I jeżeli chcę wiedzieć o tym potworze jak najwięcej, to tylko po to, żeby go poznać i spróbować porozumieć się z nim – rzekł, posyłając mu baczne spojrzenie. – Jestem przekonany, że zrozumielibyśmy się nawzajem. Pojmuje pan, co chcę przez to powiedzieć... Carson?

– Myślę, że tak, ale obawiam się, że nie mogę panu pomóc – tłumaczył się marynarz. – Nie pamiętam nic z tego, co widziałem. Przypominam sobie tylko własne krzyki. Ale moim skromnym zdaniem nie wydaje mi się, żeby ta istota się bała, kiedy rozszarpywała doktora, albo przynajmniej nie bardziej niż ja... proszę pana.

Reynolds zmuszony był przytaknąć. Wyglądało to na logiczną odpowiedź rozsądnego człowieka. Naturalnie, o ile nie miało się pewności, że ten jakże rozsądny człowiek w rzeczywistości leży daleko stąd z rozprutym brzuchem. Mając tę informację, można było ową sensowną odpowiedź zinterpretować na wiele innych sposobów...

– Zatem ten stwór nie wydał się panu przerażony... – kontynuował Reynolds, z wysiłkiem przywołując swój najbardziej czarujący uśmiech.

– To z pańskiej strony bardzo ryzykowny osąd, nie uważa pan, Carson? W rzeczywistości kto może znać uczucia istoty tak nam obcej? Tylko ona sama. My moglibyśmy się dowiedzieć, jak się czuje, tylko wtedy, gdybyśmy ją bezpośrednio zapytali, nie sądzi pan?

– Możliwe, proszę pana – przyznał marynarz, cokolwiek wystraszony słowami eksploratora.

– Na przykład pan i ja jesteśmy ludźmi i dlatego wiemy, co oznaczają nasze miny.

Pan widzi, że się uśmiecham, i rozumie pan, że jestem szczęśliwy.

– Bardzo się cieszę pańskim szczęściem, proszę pana – odparł Carson, wyraźnie zmieszany.

– Nie, nie... Nie chcę powiedzieć, że teraz faktycznie jestem szczęśliwy – wyjaśnił Reynolds – tylko że gdyby tak było, pan rozpoznałby mój stan bez problemów, ponieważ obaj posługujemy się tym samym kodem mimiki, podobnie jak ja mogę czytać w pańskiej twarzy jak w książce i nazwać każdą emocję, jaka się na niej odbija. Na przykład taką jak strach albo rozpacz. Emocje, które ja również znam, a nawet doświadczyłem ich kiedyś we własnym życiu... Pojmuje pan?

– Myślę, że tak, proszę pana – odrzekł marynarz z twarzą odartą z wszelkiego wyrazu.

– Dobrze. A teraz niech pan pomyśli o pewnej rzeczy – poprosił Reynolds. – Owa istota zapewne jest tak różna od nas, a my jesteśmy jej tak obcy, że prawdopodobnie wysyłamy do siebie błędne informacje. Nasze obustronne próby porozumienia się, jeśli takie były, mogły zostać zupełnie niezauważone, tak jakby ktoś wywiesił białą flagę przed armią ślepców.

Carson nie odzywał się.

– Co pan o tym wszystkim myśli? – musiał go zapytać Reynolds.

Marynarz patrzył na niego z pewnym zaskoczeniem.

– Że tylko armia idiotów poddałaby się armii ślepców, proszę pana – odparł w końcu.

Reynolds przez kilka sekund przyglądał mu się w milczeniu.

– Tak, to byłoby najbardziej prawdopodobne, gdyby to nie była metafora, Carson. Chciałem panu wyjaśnić, że propozycja zawarcia pokoju nie mogłaby dotrzeć do żadnej ze stron – rzeki. – Rozumie pan teraz?

Carson w najmniejszym stopniu nie okazał, że tak.

– Cóż. Niech pan zapomni o tym przykładzie – westchnął odkrywca wyraźnie zdesperowany. – Martwi mnie co innego, Carson, a mianowicie to, że nie znaleźliśmy w kadłubie statku żadnej dziury umożliwiającej wejście czy wyjście... Nie wzbudza to w panu niepokoju? Ta istota wciąż może być wśród nas.

Usłyszawszy to, Carson zrobił przerażoną minę, która Reynoldsowi wydała się nieco przesadzona.

– Uchowaj Boże, proszę pana – powiedział marynarz wstrząśnięty. – Bo jeśli tak, to niechybnie wszyscy pomrzemy.

Na te słowa Reynolds poczuł zimny dreszcz. „Święci Pańscy – pomyślał – to zdecydowanie brzmi jak groźba”. Czy ten stwór ostrzega go o swojej mocy? Czy mu podpowiada, żeby zostawić sprawy tak, jak są, nie zakłócać obecnego spokoju, a jednocześnie daje do zrozumienia, jak wielkie sam stanowi zagrożenie? Reynolds próbował się opanować. Nie może pozwolić, aby panika zaćmiła mu rozumowanie. Nie teraz, gdy zachowanie zimnej krwi było tak istotne dla prawidłowego prowadzenia tej rozmowy. Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę spiżarki, zastanawiając się, jakie zdanie o słowach Carsona ma Allan. W tym momencie oddałby wszystko, by je poznać.

– Może ma pan rację. Lecz teraz bardziej zajmuje mnie to, jak zdołała się dostać na nasz statek – ciągnął swe rozważania tonem dywagacji, unikając tematu zawołanej groźby. – Co pan o tym myśli, Carson?

– Nie wiem, proszę pana.

– Nie ma pan żadnej teorii na ten temat? Nie wierzę. Kiedy pan leżał w izbie chorych, był pan o krok od poniesienia śmierci z jego rąk. A jego widok tak pana przeraził, że

prawie przez cały dzień nie mógł pan wyjść z szoku. Jestem przekonany, że widzi pan tego stwora za każdym razem, kiedy zamyka pan oczy. Czy się mylę?

– Nie, proszę pana, nie myli się pan – przyznał marynarz gorzko.

– Dobrze. Wobec tego zapewne zadał pan sobie to samo niepokojące pytanie co ja: jak dostał się na statek? I do jakiego wniosku pan doszedł?

– Obawiam się, że nie doszedłem do żadnego wniosku, proszę pana – odparł ten z uśmiezkim świadczącym o podenerwowaniu.

Zachowanie marynarza sprawiło, że Reynolds znów się zawahał. Czy ta istota drwi sobie z niego, czy nieświadomie wkłada w odpowiedzi tego człeczyny złowieszczą nutę, której tam nie ma? Nie mógł się rozeznaczyć. Wiedział jedynie, że tą ścieżką donikąd nie zajdzie. Krążenie wokół tematu nie miało sensu. Przyszła pora, by zrobić krok w inną stronę, obrać bardziej niebezpieczną drogę. Rzucił pośpieszne spojrzenie na szafkę, mając nadzieję, że Allan będzie wiedział, jak je zrozumieć.

– A ja przeciwnie, owszem, mam teorię. Chciałby ją pan poznać? – zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu, jakby w nich trzymał niewidzialną fajkę.

Carson wzruszył ramionami, okazując zmęczenie tym przepytywaniem. Eksplorator odchrząknął.

– Uważam, że wszedł na statek po lodowej rampie, jak każdy z nas.

– A strażnicy? – zdziwił się marynarz. – Nikt nie widział, jak wchodził, prawda?

Reynolds posłał mu uśmiech rozbawienia i politowania.

– Wie pan, że kilka godzin temu przydarzyło mi się coś bardzo ciekawego? – rzekł, ignorując pytanie tamtego i ukradkiem przysuwając rękę do leżącego na stole pistoletu. – Wyszedłem na spacer w śniegu i milknąłem się na trupa.

Przerwał, aby przez dłuższą chwilę przyglądać się swojemu rozmówcy, ten zaś wytrzymał jego spojrzenie. Marynarz nie uśmiechał się, a kiedy jego twarzy nie ożywiały żadne emocje, widniał na niej wieczysty wyraz głupoty. Reynoldsowi znowu się jednak wydało, że w jego oczach coś się wzburzyło, gdzieś na samym dnie, coś czujnego i niespokojnego.

– Zgadnie pan czyjego? – zapytał.

Marynarz patrzył na niego z pewną rezerwą.

– Nie.

– Carsona – oznajmił odkrywca, rzucając mu wyzywające spojrzenie. Pozwolił, aby ta rewelacja przez kilka sekund wisiała między nimi w powietrzu, po czym dodał: – Pomyślałem, że poszedł za mną, kiedy zobaczył, jak schodzę ze statku, i nieszczęśliwie trafił na potwora z gwiazd. Ale po powrocie spotkałem go tutaj. I teraz mam go przed sobą, ewidentnie żywego, choć jakiś czas temu widziałem go martwego w śniegu z pierśią otwartą na oścież. Jaki z tego można wyciągnąć wniosek?

Wieczysty wyraz głupoty na twarzy Carsona uwydatnił się.

– Pomyślałbym, że pan się myli, ponieważ przecież jestem tutaj – odparł zdeorientowany. – Może znalazł pan innego marynarza i pomylił mnie pan z nim.

– Mmm... możliwe – zgodził się Reynolds. – Ale na statku nie brakuje nikogo. Sprawdziłem. Poza tym wiem, co widziałem. Trup, którego znalazłem w śniegu, miał pańskie rysy twarzy, to była twarz marynarza Carsona. – Przerwał, aby opanować drżenie głosu, a tymczasem czuł, jak serce tłucze mu się w piersi z taką gwałtownością, jakby miało mu się z niej wyrwać. – Teraz proszę sobie wyobrazić, że nie mam w tej sprawie najmniejszej wątpliwości. Jak pan myśli, do jakiego doszedłem wniosku? Powiem panu: uważam, że biedny Carson został zabity podczas pierwszej wycieczki

rozpoznawczej, a potwór przybrał jego postać i w ten sposób dostał się niepostrzeżenie na statek. Dlatego nie ma żadnej dziury w kadłubie. I dlatego mógł rozszarpać chirurga, a następnie zniknąć bez śladu.

Marynarz przez dłuższą chwilę patrzył na niego nieprzeniknionym wzrokiem. Nagle wybuchnął gromkim śmiechem. Reynolds patrzył na tę pantomimę z surową miną.

– Pan wybaczy, ale to największa bzdura, jaką w życiu słyszałem – powiedział Carson, gdy przestał się śmiać. Potem wolno pokręcił głową i spojrzał na rozmówcę z nieoczekiwanym zaciekawieniem. – A jakiego zdania o tym wszystkim jest kapitan MacReady?

Reynolds się nie odezwał.

– O, rozumiem. Nie odważył się pan opowiedzieć mu o tym... – wywnioskował marynarz z przygnębioną miną, która eksploratorowi wydała się groteskowa. – Wyobrażam sobie. Musi być bardzo trudno znaleźć kogoś, kto uwierzy w taką brednię. Czyli chce pan powiedzieć, że tylko pan o tym wie, tak? Wyłącznie pan. No i teraz ja, jasne.

Reynolds poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Jeszcze raz rzucił spojrzenie ku spizarce, zastanawiając się, czy artylerzysta tam w środku też czuje podobne napięcie, gotów wyskoczyć, gdy tylko Marsjanin potwierdzi tę groźbę. Na czoło wystąpił mu zimny pot i zaczął spływać po skroniach. Otarł go drążącą ręką, a tymczasem Carson przyglądał mu się z twarzą bez wyrazu i z niewinnym spojrzeniem prostodusznych istot. Jeżeli w tym momencie ktoś miałby zasądzić któremuś z nich dwóch winę na podstawie wyglądu – pomyślał odkrywca – bez wątplenia to on, Reynolds, zostałby skazany. Westchnął z rozdrażnieniem i orzekł, że pora zakończyć tę farsę, zwracając się bezpośrednio do potwora:

– Bądź co bądź, jestem rozczarowany – rzekł, podkreślając swój niesmak, a jednocześnie siłąc się na zrównoważony ton. – Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że oferuję panu możliwość rozmowy, zanim zostanie pan zdemaskowany? – Carson wciąż patrzył na niego w milczeniu. – Nie jesteśmy niższą rasą. Możemy się porozumieć jak równy z równym! – wykrzyknął Reynolds, a kiedy marynarz nie okazał najmniejszego cienia zainteresowania jego propozycją, eksplorator fuknął z rezygnacją: – Z pańskiego zachowania wnioskuję, że pan tak nie uważa. Naprawdę ubolewam nad tym. Szczerze mówiąc, sądzę, że moglibyśmy się wiele nauczyć od siebie, nasza rasa od pańskiej i vice versa.

Carson zachichotał nieprzyjemnie, jakby uważał, że ludzka rasa nie ma nic, czego mógłby się od niej nauczyć. Choć zarazem można to było zinterpretować jako bezradny śmiech marynarza, który nie wie, jak zareagować na urojenia przełożonego. Gdy przestał się śmiać, znów tępo wlepił w niego wzrok. Eksplorator rozparł się w swoim fotelu i przez dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu, zastanawiając się, jak dalej pokierować rozmową. Było aż nadto widoczne, że nie udało urn się prowadzić jej tak umiejętnie i wnikliwie, jak to obiecał Allanowi, wyobrażał sobie nawet, że ten z niesmakiem potrząsa głową w spizarce. Nie bardzo wiedział, jak to się stało, ale konwersacja wyniknęła mu się z rąk i teraz utknął w martwym punkcie. Jak powinien zadziałać? Czy dalej prowokować Marsjanina, aż ten zgodzi się odrzucić przebranie i wysłuchać go? Ale co, jeśli Carson wstanie, wyjdzie z kajuty i uda się prosto na skargę do kapitana? Reynolds nie miał najmniejszej wątpliwości, że MacReady uzna to za doskonałą okazję, żeby go oskarżyć o knucie spisku albo o cokolwiek innego, i zamknie go w ładowni. Rzucił błagalne spojrzenie w stronę szafki. Co więcej mógł zrobić, na miłość boską? Wbił łokcie w blat

stołu, a spojrzenie – w Carsona.

– Może pana zaskoczę, ale nasz gatunek jest znacznie bardziej inteligentny, niż pan sądzi – rzekł z niejaką desperacją. – I zapewniam pana, że moje intencje są na wskroś pokojowe i pełne uszanowania. Chcę tylko skomunikować się z panem, dojść do porozumienia. Lecz jeśli nadal będzie pan trwał w tej postawie, nie pozostanie mi nic innego, jak wydać pana.

– Panie, ja...

– Przestań udawać, Carson, do jasnej cholery!

Marynarz westchnął i oparł się o swoje krzesło. Reynolds pokręcił głową, na wpół z rozczarowaniem, a na wpół z odrazą dla takiego uporów.

– I myli się pan, jeśli myśli, że tylko ja jeden znam pański sekret. Podjąłem środki ostrożności, aby osłonić sobie tyły, zanim wyjawię panu swe odkrycie. Tak więc jeśli coś mi się stanie, ktoś podniesie alarm i zapewniam, że nie znajdzie pan miejsca ni ciała, żeby się ukryć na tym statku. Mamy nad panem przewagę liczebną, a znając pański sekret, osaczymy pana bez zbytej zwłoki. Lecz wtedy nie będzie już mnie, żeby zaoferować panu dialog. Rozszarpią pana na strzępy, może pan być pewien. I choć widziałem, co potrafi pan zrobić z niedźwiedziem polarnym, obawiam się, że nie da pan rady zabić całej załogi, bo wcześniej ktoś skończy z panem – rzekł i poczuł się głupio, wyrzucając to wszystko w twarz człeczynie, którego miał przed sobą.

– O, oczywiście, że nie dałbym rady, proszę pana! – wykrzyknął marynarz, potrząsając głową, wyraźnie ogarnięty desperacją. A potem mruknął cicho: – Tylko potwór z gwiazd mógłby to zrobić...

– Znów mi pan grozi, Carson? – odparował Reynolds bardziej z wściekłością niż strachem. – Potwór, jasne. Potwór mógłby to zrobić. Ale pan nie, bo jest pan prostym marynarzem, tak? – Utkwił w nim twardo wzrok. – Prostem marynarzem, który przybył ze stopą tak odmrożoną, że doktor Walker zarządził jej amputację, a który teraz chodzi sobie z cudownie wyleczoną nogą. Uważa pan, że prosty marynarz mógłby tak po prostu wydobrzeć?

– Widocznie doktor Walker, niech spoczywa w pokoju, pomylił się w tej diagnozie – odrzekł Carson, wzruszając ramionami.

– Bardzo wątpliwe. Doktor Walker nie był żółtodziobem. Miał za sobą lata praktyki lekarskiej.

– Ale wszyscy ludzie się mylą, proszę pana – odpowiedział marynarz z nieśmiałym uśmiechem. – A doktor Walker był tak samo ludzki jak pan i ja. Taki omylny, słaby i śmiertelny jak wszyscy ludzie.

Reynolds ponownie zamilkł, rozłoszczony i wyczerpany. To oczywiste, że jego słowa, czy przyjazne, czy prowokacyjne, okazywały się bezużyteczne. Być może zgodnie z przeznaczeniem nie będzie mu dane okryć się chwałą, lecz ciągnąć tę rozmowę do odwilży, a może aż do Sądu Ostatecznego. Nie uważał jednak, aby ten stwór miał tyle cierpliwości. Właściwie bardziej przypominał kota bawiącego się myszą w oczekiwaniu na moment, kiedy znudzenie każe mu ją pożreć. I odkrywca zrozumiał, że w tej sytuacji pozostawało mu tylko jedno, choć takie działanie definitywnie zmieniałoby wszystko: odrzucić dialog odmiennych międzyplanetarnych gatunków, którego jeszcze niedawno tak bardzo pragnął, a który teraz, w świetle obecnych wydarzeń, wydawał się tyleż absurdalny, ile infantylny. Istota nastawiona na porozumienie nie odrzuciłaby jego propozycji – rzekł sobie. Musiał przyznać w duchu, że MacReady ostatecznie miał rację: istotę, która dała aż nadto dowodów na swoje wrogie usposobienie, najmądrzej byłoby

zastrzelić, gdy tylko znajdzie się w zasięgu broni. Jednakże Reynolds właśnie zrujnował tę możliwość – ostrzegł stwora, na siłę siadając z nim do przyjaznej rozmowy. Rezultat mówił sam za siebie: oto znajduje się we własnej kajucie naprzeciw potwora, ze wszystkimi swoimi kartami odkrytymi na stole, bezsilny, upokorzony, przerażony i zupełnie pewien, że sam zaaranżował tę sytuację jak zarozumiały idiota. Po raz ostatni rzucił spojrzenie ku szafce, mając nadzieję, że Allan zrozumie, iż nadszedł krótki, jedyny moment chwały, do której mógłby aspirować, i modlił się, aby artylerzysta potrafił sprostać okolicznościom.

Spoglądał na stwora z grymasem szczerzego rozczarowania na twarzy. Chciał z nim porozmawiać, dowiedzieć się, co go sprowadza na Ziemię, dokąd zmierza. Niestety, musiał się zadowolić zastrzeleniem go. Nagłym ruchem pochwycił pistolet i wycelował go tamtemu między oczy. Nie nacisnął jednak na spust. Trzymał broń w wyciągniętej ręce, patrząc chłodno na marynarza.

– Żałuję, że nie chce pan rozmawiać, ponieważ zostawia mi pan tylko jedno wyjście.

– Zastrzeli mnie pan? – zapytał Carson osłupiały. – Chce pan zastrzelić jednego ze swoich marynarzy? Skażą pana, postawią przed sądem wojennym i...

– Wzrusza mnie pańska troska, Carson, ale jestem pewien, że gdy pana zastrzelę, zmieni pan postać i wszyscy będą się mogli przekonać, że zabiłem potwora z gwiazd – odpowiedział Reynolds, udając spokój, którego nie odczuwał. – Dałem panu sposobność, by to rozwiązać w cywilizowany sposób, ale pan ją odrzucił. Policzę do trzech i pociągnę za spust. Tyle czasu pan ma, jeśli zechce pan zmienić zdanie.

Carson patrzył na niego z twarzą wykrzywioną strachem.

– Jeden – rzekł Reynolds.

Marynarz poruszył się na krześle ogarnięty rozpaczą i natychmiast wybuchnął niepohamowanym płaczem, jednocześnie składając ręce jak do modlitwy.

– Niech pan nie strzela, proszę, błagam pana...! Pan się myli, trup, którego pan znalazł w śniegu, nie może być mój. Na litość boską, popełni pan szaleństwo...! – zawodził, a po jego policzkach spływały strumieniem łzy uchodzące do groteskowej jaskini półotwartych ust.

Przez duszę Reynoldsa przemknęła straszliwa wątpliwość. Musiał się wysilić, aby powstrzymać od drżenia ramię trzymające pistolet. Na Boga, co on ma zamiar zaraz zrobić? Chce z zimną krwią zabić marynarza? A jeżeli się myli i znaleziony w śniegu trup nie jest Carsonem? W takim razie zastrzeli niewinnego człowieka! Ale on jest pewien, że to Carson! A skomlący przed nim marynarz nie może też nim być. Nie, ma przed sobą Marsjanina. To jest najprostsze wyjaśnienie, a Allan mówił, że najprostsze wyjaśnienia, choćby nie wiedzieć jak szalone... Jednak wszystko opiera się na pewności, że nieboszczyk w śniegu to Carson, a przecież całkowitej pewności nie ma. A może jest?

– Proszę, błagam pana... – szlochał marynarz.

– Dwa – rzucił Reynolds, starając się, aby jego głos nie zdradzał straszliwej wewnętrznej walki.

Marynarz gestem poddania ukrył głowę w ramionach. Całym jego ciałem wstrząsał szloch. Eksplorator przyglądał mu się przez kilka sekund, sam roztrzęsiony, targany niezdecydowaniem. Ogarnięty wątpliwościami, upuścił pistolet na stół. Nie mógł zabić, nie mając całkowitej pewności. Po prostu nie mógł. Nie był żadnym mordercą. Albo przynajmniej nie potrafił zabić z zimną krwią kogoś, kto mógł być niewinny, kto nie zrobił mu nic złego ani nie stał mu na przeszkodzie, jak to było z Symmesem.

– Trzy.

Początkowo Reynolds nie wiedział, skąd dobiegł głos, który zakończył odliczanie. Rzucił zdezorientowane spojrzenie na spiżarkę, myśląc, że to może Allan zachęca go, by wreszcie wystrzelił, zaufał sam sobie i uwiarygodnił to, co – jak sądzi – widział w lodzie, lecz drzwiczki szafki pozostawały zamknięte. Wówczas odwrócił głowę w stronę marynarza. I serce w nim zamarło, kiedy zobaczył, że Carson przygląda mu się uporczywie bez śladu łez na twarzy, za to z uśmiechem nikczemnym jak samo zło. Reynolds wyciągnął rękę po pistolet, ale zanim go zdołał dosięgnąć, marynarz otworzył usta w groteskowy sposób, jakby mu odpadła zwichnięta szczęka, i ze środka wynurzyło się coś w rodzaju zielonkawej macki, po czym wystrzeliło w powietrze jak bicz i błyskawicznie pokonało dzielącą ich niewielką odległość, aby owinać mu się wokół szyi. Zaskoczony zarówno niespodziewanym pojawieniem się owego lepkiego węża, jak i ściskającym mu gardło nagłym bólem, odkrywca wydał okrzyk strachu, który jednak natychmiast został stłumiony z powodu braku powietrza. Przerażony złapał obiema rękami duszącą go mackę i walczył, by się uwolnić, lecz nacisk wywierany przez tę śliską linę okazał się zbyt silny, a ona sama – zbyt trudna do uchwycenia. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, poczuł, jak macka wyrywa go z fotela i unosi nad stołem, niemal pod lufcik kajuty. Po sekundzie niedorzecznie majtał nogami w powietrzu, unoszony przez tego silnego węża, i patrzył z ukosa, jak Carson z nieprzeniknioną miną rozsiada się w jego fotelu, nie zwracając uwagi na makabryczny przydatek, który wyrasta mu z gardła, chwije się ponad głową i utrzymuje w górze wierzgającego człowieka. Potem ujrzał, jak z szafki wychodzi Allan, pobladły i drżący pod wpływem pełnej grozy sceny, jaka się rozegrała w kajucie. Artylerzysta wymierzył broń w kark marynarza, ale nie zrobił tego szczególnie cicho. Ze swej wysokości Reynolds widział, jak Carson obraca się znienacka i wyrzuca lewą rękę w stronę pistoletu Allana – rękę, która pokonując tę małą odległość, zdążyła się przeobrazić w potworny szpon. Młodzieniec zawył z bólu, gdy ostry pazur owinał się wokół pistoletu, rozdzierając mu przy tym skórę, ale zdążył wystrzelić, zanim wyrwano mu broń. Rozległ się dźwięk przypominający szczeknięcie. Kula trafiła marynarza w prawe ramię, a jej impet odrzucił go do tyłu. W tym momencie Reynolds zauważył, że uścisk macki słabnie, a następnie, jako że nic go nie podtrzymywało, runął spod sufitu na stół. Uderzenie na wpół go ogłuszyło, ale gdy rozpaczliwie próbował złapać oddech, zdołał zobaczyć stojącego przed nim Allana, który ze skrwawioną ręką patrzył przerażony w kąt, gdzie upadła potworna istota.

Ze swego miejsca Reynolds jej nie widział, ale wystarczyło spojrzeć na wyraz twarzy artylerzysty, by wywnioskować, że Marsjanin odzyskuje siły. Postrzał z tak bliska musiał być na tyle bolesny, aby odwrócić uwagę stwora od jego przebrania, zatem przypuszczalnie biedny Allan stoi teraz wobec jego prawdziwej postaci, czymkolwiek on jest. Albo może Marsjanin próbuje się tylko podnieść z podłogi i zaatakować ich, dopiero na wpół przeobrażony, z wyglądem Carsona i jednym ze swoich szponów, jakby marynarzowi przeszkadzono w trakcie przebierania się na bal karnawałowy. Jednakże to, co wstało z podłogi, nie było ani jednym, ani drugim. Reynolds bezwiednie otworzył usta, wykrzywiając je straszliwie ze zgrozy na widok Allana stojącego naprzeciw drugiego Allana. Dwa odbicia, między którymi brakowało lustra, jakby je ktoś rozbił kamieniem. Dwóch identycznych ludzi, którzy różnili się tylko odniesionymi ranami. Prawdziwemu Allanowi krwawiła ręka trzymająca pistolet, fałszywy zaś, służący potworowi jako przebranie, krwawił obficie z prawego ramienia, skąd wypływało coś w rodzaju zielonkawej galarety. Ale była jeszcze jedna różnica: podrobiony Allan, dubler artylerzysty, uśmiechał się ze spokojem wobec drżenia, z jakim jego odbicie próbowało

wziąć go na cel.

– Wystrzelisz sam do siebie, Allan? – zapytał przybysz z gwiazd.

Młodzieniec zawahał się, a potwór rozwarł usta, przekształcając swój uśmiech w makabryczny grymas, i postąpił krok w jego stronę.

– Oczywiście, że nie – stwierdził. – Nikt nie umie wystrzelić sam do siebie, choćby nie wiedzieć jakie cienie plamiły mu duszę.

Sekundę później fałszywy Allan otrzymał kulę w pierś i znów zwałił się na podłogę pod wpływem impetu pocisku. Artylerzysta odwrócił się w stronę miejsca, skąd padł strzał, i ujrzał odkrywcę stojącego z dymiącym pistoletem.

– Dziękuję, Reynolds – wymamrotał roztrzęsiony.

– Nie ma za co. Jedyne pokazałem temu czemuś „wyrafinowaną bystrość ludzkiego gatunku”, jak pan doradza! – odpowiedział odkrywca drżącym głosem. Potem odwrócił się do kąta, w którym stwór zaczął jęczeć, a ponieważ ze swojego miejsca nie mógł dobrze wycelować, rozkazał: – Niech pan strzela jeszcze raz, Allan! Zanim znów się podniesie!

Ale zanim młodzieniec zdążył naładować pistolet, stwór smyknął pod stół. Eksplorator z mieszaniną strachu i odrazy patrzył na kłębowisko macek, które skierowało się przez pokój ku drzwiom, w biegu przypominając pająka wielkości psa i porywając po drodze wszystko, na co się natknęło, tak że skromny zbiór rzeczy, których posiadaniem cieszył się Reynolds, ograniczył się wyłącznie do fotela. Zdezorientowany odkrywca ujrzał, jak jego ulubiony mebel leci w powietrzu i rozbija się na kawałki o najbliższą ścianę. W tym momencie drzwi kajuty otworzył marynarz Griffin z pistoletem gotowym do strzału. Jednak zanim zdążył wystrzelić, stwór go odepchnął i uciekł korytarzem.

– Sukinsyn... – zaklął Reynolds, patrząc na swój roztrzaskany fotel i wreszcie znajdując znakomity pretekst, aby wyrzucić z siebie cały strach i całą nienawiść, jakie nagromadziły się w nim w ciągu ostatnich godzin. – Możesz się uważać za nieboszczyka.

X

Wciąż żył. Zdemaskował Marsjanina i wciąż żył. I to napawało go upojną, absurdalną radością, mimo że jego plan okazał się kompletną porażką. Nie udało mu się porozumieć z gwiazdnym przybyszem ani na modłę pokojową, ani w żaden inny sposób, było więc oczywiste, że chwalebna rola ziemskiego ambasadora rozmyła się nieco pod wpływem ostatnich wydarzeń. Właściwie po poniesionej klęsce nie wierzył, że powierzono by mu choćby kierownictwo jakiegoś żalostnego międzyplanetarnego urzędu telegraficznego. Skoro już o tym mowa, nie zdołał Marsjanina ani pokonać, ani też pochwycić. Wręcz przeciwnie: rozwścieczył go tak bardzo, że z wszelkim prawdopodobieństwem ściągnął wyrok śmierci na całą załogę „Annawanu” – podpisany i opieczętowany dokument zapewne spoczywa już w jakimś biurze ludzkiego przeznaczenia. Lecz to nie liczyło się zbyt. Póki co wciąż żył: oddychał, biegł. Czuł życie jako dziki strumień płynący w żyłach i rozbrzmiewający gdzieś we wnętrzu – i chociaż życie zawsze zdawało mu się smutne, marne i mierne, teraz okazało się nieprzecenionym darem. „Żyję, do cholery!” – mówił sobie, pędząc z pistoletem przez dolny pokład za Allanem, który nie przestawał lamentować na tę samą zrzędliwą nutę, a tuż za nimi biegi słabowity marynarz zwany Griffinem, z zaciśniętymi ustami, milczący i spięty. Reynolds zwrócił uwagę na to, jak szybko Griffin przybył im na ratunek. Zdawać by się mogło, że podsłuchiwał za drzwiami. Może zachowanie odkrywcy na pokładzie wydało mu się podejrzane, gdy się najpierw upierał, że Carson nie żyje, a potem przypisał to pijackiemu zamroczeniu, ale Reynolds nie miał też zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanowić. W tej chwili wystarczyło mu, że ten tyleż tajemniczy, ile zdeterminowany człowiek podąża za nim z naładowaną bronią.

Opuściwszy oficcerską strefę podpokładu i puszczając się w pościg za stworem po pomieszczeniach uczęszczanych przez załogę, eksplorator musiał wstrzymać oddech, uderzony odrażającym fetorem – mieszaniną woni lamp olejowych, brudnych ubrań, kubłów z uryną, a nawet strachu, jeżeli strach daje się wyczuć powonieniem, jak zapewniają niektórzy. Marsjanin zostawiał ślad – zielonkawą krew oraz drżących pod ścianami marynarzy, którzy nie mogli uwierzyć w dziwactwo, jakie przed chwilą ujrzeli. Wystrzały, jak Reynolds szybko się zorientował, ściągnęły uwagę całej załogi, od strażników pełniących wartę na pokładzie po cieśli czy kuchcików. Z tyłu dał się widzieć kapitan MacReady – ryczał coś pośród tumultu, domagając się wyjaśnień, co się tu, u diabła, dzieje.

– Potwór jest na statku, kapitanie – odpowiedział ktoś, przekrzykując wrzawę. – Ukrył się w ładowni.

– Na statku? – Zdziwiony MacReady odciągnął kurek swojego pistoletu. – To niemożliwe! Jakby tu wszedł, do diabła?

Nikt jednak na to nic nie odrzekł, oprócz Reynoldsa. Rozgarniając oszołomionych marynarzy, napierających zewsząd niczym popychane wiatrem śmieci na falach, eksplorator wreszcie przepchnął się do dowódcy.

– Potwór może się przemieniać w człowieka, kapitanie – wyjaśnił, nie owijając wiadomości w zagadki, jak to wcześniej zrobił dla Allana. – Przybrał postać Carsona i dlatego mógł zabić doktora Walkera.

– Postać Carsona? Co za bzdury pan plecie, Reynolds? – rzucił MacReady, nie przywiązując wagi do tego, co usłyszał. Skierował się na trap prowadzący do ładowni i trzymając przed sobą wycelowaną broń, zaczął schodzić po drabince.

– Mówię, że ta istota potrafi przyjąć wygląd każdego z nas – nagłąco powtórzył

zasapany odkrywca, postępując tuż za nim. – Musi pan ostrzec ludzi!

– Niech pan zatrzyma swoje urojenia dla siebie, Reynolds – warknął kapitan już z dołu. – Nie zamierzam opowiadać ich moim ludziom.

Reynolds poczuł, jak jego desperacja zmienia się w nieoczekiwaną furję, która rozpała mu krew w żyłach. Niewiele myśląc, wetknął sobie pistolet za pas, a mając wolne ręce, nagle złapał kapitana za kłapy kurtki i przyparł go do ściany. Zaskoczony MacReady patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Niech mnie pan chociaż raz posłucha, do cholery! – rzekł eksplorator, nie rozluźniając uścisku. – Mówię, że to coś potrafi się zmienić w człowieka. Niech pan to powie swoim ludziom, bo inaczej wszyscy zginiemy!

MacReady słuchał go, nie próbując się uwolnić z uchwytu; być może nieoczekiwane zachowanie odkrywcy pasowało mu do zgrubnego portretu, jaki mu przypisał.

– Zgoda – odparł chłodno. – Już pan powiedział, co miał do powiedzenia, a teraz niech mnie pan puści.

Reynolds usłuchał, zaskoczony własną reakcją. Kapitan wolno poprawił sobie ubranie i spojrzał na eksploratora z pogardą. Reynolds, nieco zawstydzony swoim posunięciem, chciał się usprawiedliwić, ale zanim zdążył to zrobić, tym razem to on został przyparty do ściany, z pistoletem MacReady’ego przyłożonym do lewej skroni.

– Niech pan posłucha uważnie, Reynolds, bo nie będę powtarzać – wycharczał kapitan. – Nigdy, nigdy więcej w życiu proszę mnie nie chwytać za kłapy. Bo inaczej zapewniam, że pożałuje pan tego.

Obaj w milczeniu mierzyli się wzrokiem przez kilka sekund.

– Kapitanie... – Głos Reynoldsa zdawał się wydobywać poprzez zaciśnięte zęby. – Jeśli mi pan nie uwierzy, ani pan, ani ja nie pożyjemy na tyle długo, żeby czegokolwiek żałować. Dosłownie przed chwilą Carson był u mnie w kajucie i na moich oczach oraz na oczach artylerzysty Allana przemienił się w potwora z gwiazd. Po tym próbował nas zabić. Udało się nam go postrzelić, ale nie zginął, tylko się przeobraził, tym razem w samego Allana, a zaraz potem w jakiegoś olbrzymiego pająka. Rozumie pan, co mówię? To coś może się przekształcić, w co zechce, nie wyłączając kogoś z nas!

– Chce pan, abym uwierzył, że Carson wtargnął do pańskiej kajuty, żeby zaproponować obląkańczy bal przebierańców? – zakpił MacReady.

– Sam zaprosiłem tego marynarza, bo go podejrzewałem – wyjaśnił odkrywca. – Kilka godzin wcześniej natknąłem się na trupa prawdziwego Carsona, gdy się wybrałem do latającej maszyny.

– Co...? Trupa Carsona? I czemu, do czorta, nie dał mi pan o tym znać?

– Nie uważałem tego za konieczne... – odparł Reynolds, wzruszając ramionami, na ile pozwalał mu uścisk kapitana.

– Nie uważał pan tego za konieczne? – wybuchnął MacReady, wychodząc z siebie. – Za kogo się pan uważa? Wyczerpał pan resztkę cierpliwości, jaka mi pozostała, Reynolds!

– Uwierzyłby mi pan, kapitanie? Sam pan rozkazał, żebym panu nie zawracał głowy, ani żadnemu z pańskich ludzi... – przypomniał mu eksplorator bardziej z ironią niż z wyrzutem.

– Panowie... – wtrącił nerwowo Allan – nie sądzę, aby to była stosowna pora do...

– Pańskim obowiązkiem było poinformować mnie o tym incydencie, Reynolds! Jestem kapitanem! – wykrzyknął MacReady. – Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że pańska próba zgrywania bohatera naraziła nas wszystkich na niebezpieczeństwo?

– Jest pan tego pewien, kapitanie? Dzięki temu mogę teraz zaoferować jedyną szansę

ocalenia, jaką mamy. Gdybym nie odkrył, co ten potwór potrafi zrobić, byłibyśmy zgubieni.

– A gdyby nie wiedział, że my wiemy, mielibyśmy przewagę! – rzucił wściekle MacReady. – Na wszystkie świętości, Reynolds, czemu mnie pan nie ostrzegł, żebyśmy go po prostu schwytali? Na Boga, co panu strzeliło do głowy, żeby go ściągać do swojej kajuty?

– Chciałem nawiązać z nim dialog – przyznał eksplorator nie bez pewnego zażenowania. – Myślałem, że...

– Dialog? – ryknął kapitan, opluwając twarz Reynoldsa deszczem śliny. – Zaprosił go pan na herbatkę, jakbyście byli dwiema paniusiami?

– Kapitanie... – wtrącił nieśmiało Allan – nie wydaje się panu, że...

– Niech się pan zamknie, sierżancie! – uciał MacReady. – Myślałem, że ma pan więcej rozumu niż ten idiota. Reynolds... obiecuję, że gdy to wszystko się skończy, wsadzę pana za kratki za nieposłuszeństwo wobec władzy. Mam prawie ochotę już teraz wpackować panu kulkę między oczy. – Kapitan patrzył na niego w milczeniu, poważnie zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział. – Właściwie może w końcu powinienem to raz, do cholery, zrobić. Czy nie powiedział pan, że to coś może się przemienić w każdego z nas? Kto mnie zapewni, że nie przybrało pańskiej postaci? – rzekł, wodząc palcem po spuście pistoletu.

– Ja pana zapewnię, kapitanie – odezwał się jakiś głos za jego plecami. – Na własne oczy widziałem, jak to coś uciekało przed panem Reynoldsem, zatem proszę, aby opuścił pan broń.

MacReady zerknął z ukosa na wycelowaną w jego głowę z lewej strony lufę pistoletu trzymanego pewnie przez chuderlawe ramię, na końcu którego znajdował się marynarz zwany Griffinem.

– I pozwolę sobie zauważyć, że całkowicie zgadzam się z sierżantem Allanem, kapitanie: tę rozmowę można przeprowadzić w dowolnym innym momencie – uprzejmie ciągnął dalej, trzymając pistolet przy głowie dowódcy.

MacReady, z twarzą zaczerwienioną i nabiegłą krwią, jakby miał zaraz dostać apopleksji, kolejno patrzył na nich trzech. W końcu głośno wypuścił powietrze, zostawił Reynoldsa i odepchnąwszy Griffina, długimi wściekłymi krokami skierował się do ładowni, a tamci trzej deptali mu po piętach. Przy drzwiach czekała na rozkazy grupka zaniepokojonych marynarzy.

– Jesteście pewni, że potwór schował się tam w środku?

– Tak, kapitanie – potwierdził Wallace. – Sam go widziałem, jak wchodził. Wyglądał jak olbrzymia mrówka... Noo, właściwie nie aż tak bardzo. Był wielkości świni, chociaż też nie wyglądał jak Świnia. Raczej jak...

– Oszczędź sobie opisu, Wallace – przerwał mu MacReady z gestem znużenia.

Po tych słowach zapadła cisza, w której załoga zgromadzona w wąskim wejściu do ładowni patrzyła na dowódcę wyczekująco.

– Słuchajcie uważnie – rzekł, otrząsając się wreszcie z zamyślenia i jednocześnie rzucając Reynoldsowi protekcyjne spojrzenie. – Choć brzmi to niewiarygodnie, ten sukinsyn może przyjmować ludzką postać, to znaczy zamienić się w każdego z nas.

To oświadczenie wywołało wśród marynarzy pomruk niedowierzania, ale nikt nie ośmielił się wyrazić go głośno. Reynolds, zaskoczony gestem kapitana, odetchnął z ulgą. Przynajmniej teraz będą mieli minimalną szansę na ocalenie. Podziękował MacReady'emu skinieniem głowy, a oficer wskazał załogę ręką, zachęcając go, aby się

zwrócił do garstki śmiałków, których miał przed sobą. Reynolds stanął więc obok kapitana i odchrząknął, aby oczyścić gardło, zanim zacznie mówić.

– Cóż. Wiem, że wydaje się to szaleństwem, ale kapitan ma rację; ta istota może przybrać wygląd każdego z nas. Nie mam pojęcia, jak to robi, jednak robi. Zabiła Carsona i weszła na pokład pod jego postacią. Dlatego jeśli spotkacie tu Carsona, strzelajcie do niego bez wahania. To nie on. Prawdziwy Carson leży rozszarpany w lodzie.

Zrobił przerwę i odczekał, aż jego słowa trafią do marynarzy.

– Skąd możemy wiedzieć, że nie jest jednym z nas? – ośmielił się zapytać Kendricks, wyrażając na głos strach odczuwany przez wszystkich.

– Nie możemy tego wiedzieć. To może być każdy... nawet ja sam – odparł Reynolds, spoglądając znacząco na kapitana. – Dlatego musimy zachować podwójną czujność.

– Uważam, że najlepiej będzie podzielić się na pary – zaproponował MacReady, znowu zabierając głos. – Tak będzie najbezpieczniej. Nikt nie powinien tracić z oczu swojego partnera, ani na sekundę, choćby nie wiedzieć co się działo. Tylko w ten sposób upewnimy się, że potwór nie zamienił się w któregoś z nas.

– I wobec jakiegokolwiek dziwnego zachowania towarzysza z pary – zwrócił uwagę Reynolds – takiego jak odmienny błysk w oczach, zmieniony sposób mówienia...

– Okropna zielona macka wystająca z ust... – dodał niemal niedosłyszalnie Allan.

– ...nie wahajcie się natychmiast zaalarmować pozostałych – zakończył Reynolds.

– Dobrze. Słyszeliście go, chłopcy – powiedział MacReady, niecierpliwie się, by już rozpocząć polowanie.

Podzielił swych ludzi na pięć par, po czym rozkazał Shepardowi, aby rozdysponował między nimi wiszące na hakach latarnie. Kiedy ostatnią z nich marynarz wręczył kapitanowi, ten rzucił spojrzenie na drzwi do ładowni i znów zwrócił się do swoich ludzi.

– Ten sukinsyn nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca na kryjówkę. Ale nawet jeśli znalezienie go będzie nas dużo kosztować, z tą kryjówką wiąże się też jedna nasza przewaga: to jest jedyne wyjście. Poruczniku, pan i Ringwald zostaniecie na czatach przy drzwiach ładowni. Jeżeli to coś zechce wyjść, podziurawcie je bez sentymentów, rozumiano? Pozostałym – rzekł, wskazując cieśli, elektryka i resztę personelu cisnącego się w przejściu – proponuję, by wrócili na pokład i czekali tam, uzbrojeni w co popadnie.

– A ja, kapitanie? – zapytał Reynolds, nie chcąc, aby go zostawiono przed drzwiami ładowni.

– Pan pójdzie ze mną, Reynolds.

Zaskoczony eksplorator ledwie zdołał skinąć głową. Wyjął pistolet i ustawił się u boku MacReady'ego, udając zdeterminowanie, do którego mu było daleko. Tworzenie pary z kapitanem to coś, na co miał najmniejszą ochotę, przede wszystkim dlatego, że nie wiedział, czy MacReady wybrał go na swego towarzysza ze względu na jego szeroką wiedzę o gwiazdnej istocie – choć tak na dobrą sprawę cała jego znajomość tematu ograniczała się do tego, że wiedział, jak ją rozwścieczyć, a następnie wystrzelić do niej bez namysłu – czy raczej dlatego, że dowódca uważa odkrywcę za bezużytecznego cwaniaczka, który będzie balastem dla każdego marynarza, z jakim znajdzie się w parze. Może nawet zamierza strzelić mu w plecy, gdy tylko znajdą się sami, aby się raz na zawsze pozbyć jego uprzykrzonej osoby. Tak czy inaczej eksplorator powiedział sobie, że powinien stanąć na wysokości zadania, jeżeli chce pokazać, że taki niezdara jak on, Jeremiah Reynolds, zasługuje na podziw i szacunek, jakiego dowódca uparcie mu odmawia.

– Dobrze, teraz chodźmy po tego drania – rozkazał kapitan.

Z gotową do strzału bronią i uniesionymi latarniami grupa wkroczyła do ładowni, znacząc gęste ciemności punktowym blaskiem niczym chmara światełek. Reynolds zaraz poczuł, jak cierpnie mu skóra od panującego w tym miejscu przejmującego ziąbu, jako że temperatura najwyraźniej spadła tu do minus trzydziestu stopni. I choć ładownia była ogromna, szybko zrozumiał, że ledwie da się w niej poruszać, ponieważ poza zasięgiem słabego światła latarni można się było domyślić zagmatwanego labiryntu zbudowanego ze stert skrzynek, worków z węglem, zbiorników z wodą, koszy, beczek, tobołów oraz dziesiątek tajemniczych pakunków okrytych płachtami i spiętrzonych jedne na drugich, tak że niemal sięgały sufitu. Na sygnał MacReady'ego towarzysze, z karabinami wytkniętymi przed siebie, rozproszyli się po zakamarkach ładowni, przemykając się pośród skrzyń ukradkiem jak cienie. Olbrzymi Metys Peters szedł, dzierżąc maczetę wielkości swego przedramienia i rzucając w mrok nieubłagane spojrzenie, którym wyzywał do walki coś, co się tam kryło. Griffin, niewiarygodnie mały i kruchy w porównaniu z Metysem, zapuszczał się w nieprzenikloną czerń z chłodną pewnością siebie. Spośród penetrujących ciemność marynarzy jedynie Allan wydawał się tak jak Reynolds pewny tego, że wszyscy tu stracą życie.

MacReady i Reynolds zajęli środkowe przejście. Kapitan wysunął się naprzód, poruszając się bardzo wolno z gotowym do strzału pistoletem i wzniesioną latarnią, a eksplorator starał się podążać za nim w odległości, którą uznał za rozsądną – ani zbyt małej, aby nie wyjść na przestraszonego, ani za dużej, żeby mogli się wspólnie bronić, w razie gdyby tamta istota nagle na nich skoczyła. On też miał naładowaną broń i szykował się, że wystrzeli na najmniejszy podejrzanym ruch. Był przekonany, że Marsjanin rzuci się na niego prędzej niż na kogokolwiek innego. I było to logiczne podejrzenie – z całej załogi to właśnie on zdemaskował potwora. Jeśli teraz postanowili go osaczyć, to z jego winy. Reynolds stwierdził w duchu, że najwyraźniej nie potrafi zjednywać sobie przyjaciół, czy to z tej planety, czy z innej.

Nagle kilka metrów przed sobą ujrzeli przechodzącą potężną postać. MacReady bez namysłu podniósł pistolet i pobiegł przejściem do miejsca, gdzie zniknęła. Reynolds, przeciwnie, stanął jak wryty, zaskoczony obecnym wyglądem potwora, spowitego ciemnością jak tuniką. Marsjanin przeciął alejkę biegiem, toteż ledwie go było widać, choć owszem, starczyło czasu, by zauważyć, że wszedł w inne stadium swego przeobrażenia. Dała się widzieć istota o posturze z grubsza ludzkiej, bliższa demonowi z jakiejś księgi zaklęć, które napawały go taką grozą, gdy je przeglądał w dzieciństwie, aniżeli rozbrykanemu pająkowi. I choć zdawało się, że biegnie przygarbiona, sprawiała wrażenie znacznie wyższej niż Peters. Tylko tyle mógł o niej powiedzieć. Panujący w ładowni mrok nie pozwalał nawet rozróżnić koloru jej skóry. Z rozmyślań wyrwały odkrywcę dwa wystrzały. Niewielka odległość, z której dobiegł dźwięk, kazała się domyślać, że to strzelał MacReady. Reynolds przełknął ślinę, próbując opanować strach, niczym gęsta wata otulający jego stawy, i po kilku sekundach pobiegł w stronę, w którą przed chwilą rzucił się oficer. Kiedy zziębnięty i zdyszany stanął wreszcie u jego boku, MacReady z wściekłością wbijał wzrok w ciemność rozciągającą się poza kręgiem blasku lampy.

– Ten drań jest bardzo szybki – rzekł.

– Trafiał go pan? – zapytał Reynolds, próbując odzyskać oddech.

– Myślę, że tak, chociaż nie jestem pewien. Widział pan, jak wygląda, Reynolds? Przypomina cholernego orangutana, choć ma coś w rodzaju podwójnego ogona, który...

Zanim MacReady skończył zdanie, gdzieś dalej rozległy się strzały z karabinu, a po nich bezładne wrzaski i odgłos walących się skrzyń. Gdy wrzawa ucichła, Reynolds usłyszał krzyki podekscytowanych marynarzy, którzy zapewniali, że trafili potwora, chociaż ich głosy zdawały się dobiegać z różnych punktów pomieszczenia. MacReady z żalem potrząsnął głową.

– Przegrupujemy się przy wejściu do ładowni! – zawołał, a w świetle latarni jego zmrożony oddech przybrał kształt kukielkowego smoka.

Ruchem głowy kazał Reynoldsowi iść za sobą. Drogę powrotną przebyli prawie truchtem, ale kiedy dotarli na miejsce zbiórki, czekało na nich już kilka osób. Reszta stawiała się niemal natychmiast i zaraz mogli z ulgą stwierdzić, że nikogo nie brakuje. Znajdowali się w ciasnym wlocie utworzonego ze skrzyń wężowu i podczas gdy kapitan próbował wydobyć ze swoich ludzi chaotyczne informacje, aby zdobyć przybliżone pojęcie o tym, co się wydarzyło, Reynolds oparł się o jedną z solidnie wyglądających stert i przyglądał się tej scenie z dziwną obojętnością: oto widział przez chwilę kosmicznego stwora, który wyglądał straszniej i potężniej, niż on wyobrażał sobie w koszmarach, zatem cokolwiek zrobią, by przetrwać, będzie bezużyteczne – ta myśl zaczęła mu krążyć po głowie i stopniowo zacierała euforię, którą odczuwał, gdy uszedł z życiem ze swojej kajuty. Powiedział sobie jednak, że nie może się poddać tym przygnębiającym przemyśleniom, bo wpadnie w rozpacz, a to bynajmniej im się teraz nie przysłuży. Powinien nadal wierzyć, że wciąż mają szansę na przeżycie, choćby bardzo małą.

– Chyba go trafiłem – mówił podekscytowany Ringwald.

Reynolds patrzył na niego z niedowierzaniem, podobnie jak pozostali, ponieważ wszyscy twierdzili to samo. Nagle na czoło marynarza wystąpiła kropla krwi. A po niej druga i zaraz po twarzy pociekła mu czerwona strużka, spływając aż do ust. Ringwald, zdezorientowany, podniósł rękę do czoła, a sprawdziwszy, że krew nie jest jego, tylko kapie skądś z wysoka, zadarł głowę. Wszyscy spojrzeli w górę. Na najwyższej stercie skrzyń dostrzegli coś, co wyglądało jak rozszarpane ciało, chociaż jedyne, co widzieli, to wisząca w próżni noga, wykręcona pod niemożliwym kątem.

– Święty Boże... – wymamrotał przerażony porucznik Blair.

– Czemu go tam położył? – zapytał zaskoczony Kendricks.

Patrzyli jak zahipnotyzowani na wiszącą nogę, która zdawała się kreślić w powietrzu znak zapytania, a tymczasem w ich umysłach zaczynało wzbierać zrozumienie. Następnie morze owiniętych w szaliki głów zafalowało, gdy marynarze, rozejrzawszy się na boki, uświadomili sobie z narastającą grozą, że w grupie nikogo nie brakuje. Paru nawet odsunęło się pośpiesznie od towarzyszy, obok których stali.

– Do cholery! – ryknął MacReady, rozdrażniony, że Marsjanin nie dał się tak po prostu upolować jak pierwsza lepsza bestia. – Kto stracił z oczu swoją parę?

Wszyscy wzruszyli ramionami, wymieniając nieufne spojrzenia. Najwyraźniej nikt nie spuścił z oczu swojego towarzysza. „A jednak ktoś musiał to zrobić” – pomyślał Reynolds. I wtedy z dreszczem zgrozy przypomniał sobie, że to on. Tak, on na kilka minut stracił z oczu MacReady’ego, tuż po pojawieniu się stwora. Jak gdyby jego gest był kontynuacją myśli, obrócił się do kapitana, aby wymierzyć doń z pistoletu, ale najwyraźniej MacReady doszedł do tego samego wniosku, bo już celował w Reynolds’a ze swej broni. Marynarze patrzyli na tę scenę zdjęci grozą. Przez kilka sekund trwała cisza.

– Gdybym to ja był potworem, Reynolds – przerwał milczenie MacReady, podnosząc broń – podstawiłbym się za pana, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Eksplorator uśmiechnął się z obrzydzeniem.

– Tym razem nie będę marnował czasu na rozmowę z tobą, kimkolwiek jesteś – odparł. – Trzy.

Strzał Reynoldsa odrzucił głowę MacReady’ego do tyłu. Gdy wróciła do początkowej pozycji, oficer patrzył na odkrywcę zbity z tropu, jakby wciąż do końca nie wierzył, że ten do niego wystrzelił. W końcu nogi się pod nim ugięły i runął na podłogę, gdzie rozciągnął się jak długi między zebranymi. Reynolds spojrział na niego zaskoczony, nie dowierzając, że tak łatwo unieszkodliwił gwiazdnego stwora.

– Mój Boże, zabił pan kapitana! – zawołał zdumiony porucznik Blair.

Reynolds zwrócił się do zebranych i uciszył ich gestem ręki.

– Spokojnie. To nie jest kapitan MacReady, tylko potwór. Straciłem go z oczu na kilka minut i ta istota wykorzystwała ten moment, żeby go zabić i przybrać jego postać – wyjaśnił pogodnym głosem. Potem wbił wzrok w nieboszczyka, który leżał twarzą do góry otoczony zebranymi dookoła niego ludźmi. – Patrzcie uważnie, a zobaczycie, jak odzyskuje swój prawdziwy wygląd.

Wszyscy wyzbyli się więc wątpliwości i z zainteresowaniem spoglądali na ciało MacReady’ego. Kapitan miał pośrodku czoła dziurkę po kuli, śmierć wymazała wreszcie wyraz niesmaku i pogardy, jaki stale nosił na twarzy – po tej zmianie ukazały się łysy człowieka zaskakująco miłego, niemal życzliwego, znacznie bardziej odpowiednie do przeniesienia się na tamten świat bez wzbudzania niechęci czy lęku zamieszkujących go duchów. Ale mijały sekundy, a martwe oblicze nie ulegało żadnym zmianom, jedynie zaciekawienie załogi zmieniło się w znużenie. „Czyżby stwór zachowywał swoje przebranie po śmierci?” – zastanawiał się Reynolds, czując się coraz bardziej nieswojo pod nieufnymi spojrzeniami rzucanymi mu raz po raz przez marynarzy. Odwrócił się i wzruszył ramionami, nie wiedząc, co robić.

– Cóż, może trzeba poczekać nieco dłużej... – rzucił tonem wymówki.

Allan odchrząknął nieśmiało.

– Pamiętaj pan, że kiedy się przeobrażał w kajucie, był tylko ranny – przypomniał.

– Może to o to chodzi... – Odkrywca posłał grupie uspokajający uśmiech. – Zapewne po śmierci nie może się już przemienić z powrotem.

– W takim razie jak możemy być pewni, że nie ma go już między nami? – spytał nerwowo porucznik Blair.

– Ponieważ tylko ja jeden straciłem z oczu swoją parę – wyjaśnił Reynolds.

– I kapitan MacReady nie widział wtedy pana... – Olbrzymi Metys zrobił krok do przodu; ogromna maczeta chwiała się niepokojąco na końcu jego ramienia, a głos odbił się echem wśród skrzynek jak grom z odległej burzy.

Reynolds zaniepokojony patrzył na grupę, otrzymując w odpowiedzi jedynie podejrzliwe, a nawet rozwścieczone spojrzenia.

– Nie myślicie chyba, że... O mój Boże... – wymamrotał ze strachem. – Nie jestem potworem, do cholery! Allan, na litość, niech pan im wyjaśni, że...

Artylerzysta rzucił mu zaleźnione spojrzenie, oszołomiony nieoczekiwanym zwrotem i szybkością przebiegu wypadków.

– Posłuchajcie mnie, proszę... – zdołał w końcu wykrztusić słabym głosem. – Widziałem, jak ta istota zmienia się w człowieka. W Carsona i we mnie samego. I chociaż potrafi osiągnąć dokładną kopię, mogę was zapewnić, że jest coś, co odróżnia ją od do oryginału. Ten człowiek to Reynolds, wierzcie mi!

– A na czym polega ta różnica, sierżancie? – zapytał porucznik Blair, patrząc nieufnie na Reynoldsa.

– Tego dokładnie nie mogę powiedzieć – tłumaczył się artylerzysta tak słabym głosem, że jego słowa zginęły w nerwowym pomruku, jaki podnieśli marynarze.

– Słuchajcie! Jest znacznie prostszy sposób, żeby to wyjaśnić. – Przenikliwy głos Griffina przebił ciemności niczym delikatny promień światła. – Zdejmiemy trupa na dół i sprawdzimy, kto to jest.

Wszyscy przez kilka sekund milczeli, zaskoczeni, że istnieje tak oczywiste rozwiązanie.

– Zgoda! – zagrział Peters, arbitralnie wskazując marynarzy maczetą. – Niech jedna para znieś tu do nas ciało, ale na miłość boską, niech to będą ludzie, którzy są pewni, że ani na chwilę nie stracili się dotąd z oczu. W tym czasie reszta przypilnuje pana Reynoldsa. Pan wybaczy – usprawiedliwił się, kierując nóż w stronę gardła eksploratora – ale w tej chwili jest pan połową jedynej pary, która się rozłączyła.

Shepard i Wallace wystąpili do przodu jak jeden mąż.

– My się tym zajmiemy – zgłosił Shepard. – Jesteśmy zupełnie pewni, że nie rozdzieliliśmy się nawet na sekundę, prawda, Wallace?

– Zgadza się, Shepard. Byliśmy połączeni przez cały czas – potwierdził zagadnięty, patrząc przed siebie niepokojąco nieobecny wzrokiem.

– Tak połączeni jak bracia syjamscy – zażartował Shepard dziwnym głosem, niby swoim, lecz jednocześnie nieco zniekształconym, jakby język przeszkadzał mu w ustach. I bez żadnego przejścia, ku najwyższej konsternacji wszystkich obecnych, głos ten rozległ się zaraz znowu, ale tym razem pochodził z gardła Wallace'a. – Tak jak powiedziałeś, Shepard. Tak połączeni, jak małżeństwo. A nawet więcej: tak że śmierć nas nie rozłączy...

Reynolds skołowany wodził wzrokiem od jednego z nich do drugiego, aż przerażony zauważył gęstą sieć lepkich włókienek łączących prawy but Shepada z lewym butem jego towarzysza. W tym momencie zrozumiał, że niepotrzebnie zabił MacReady'ego. I poczuł, jak gdzieś w środku, z nieokreślonego punktu, być może z końca rdzenia kręgowego, wytryskuje mu czysty strach i rozprzestrzenia się po całym ciele, płynąc nerwami i zwojami, paraliżując go oraz pozbawiając energii, ducha i wszystkiego, co umożliwia człowiekowi ruch. Pozostali byli tak samo oszołomieni jak on.

Trudno wyjaśnić to, co wydarzyło się potem. Może nie miałby z tym problemu jakiś bardziej biegły w swoim rzemiośle narrator – powiedzmy Wilde albo Dumas – ale niestety ta opowieść przypadła w udziale mnie. Mimo to będę dobierał słowa z największym wyczuciem, ufając, że nie okażą się przynajmniej zbyt mętne. Nagle, zanim ktokolwiek był w stanie zareagować, ciała Shepada i Wallace'a zaczęły się rozpląwać jak gliniane figury pod ulewnym deszczem, aby się zlać w jedno i powoli utworzyć pojedynczą formę. Rysy twarzy obu marynarzy zniekształciły się i stopiły w lepłą płynną masę niczym podgrzane kawałki żółtego sera, aż utworzyły obłąkańczą breję rozłazących się oczu, ust i włosów. Mimo odczuwanego strachu Reynolds nie umiał zrobić nic innego, jak tylko patrzeć niczym zahipnotyzowany na proces przeobrażenia gwiazdnej istoty. Jego niepokój narastał, ponieważ z każdą sekundą owej pośpiesznej galaretowatej przemiany jej rezultat był większy i bardziej potworny. I wkrótce jak ciasto drożdżowe w piecu maziowaty stwór zaczął tężeć, zestalać się w zwartą postać o wydłużonym ciele, obdarzonym silnymi mięśniami, niemal w całości osłoniętym czerwonawą sierścią, jakby był pokryty morskimi glonami. Gdy gwiazdna istota przyjęła właściwą konsystencję, odkrywca mógł stwierdzić, że faktycznie jej ręce i nogi są zakończone długimi ostrymi szponami. Sekundę potem zauważył, że to, co wziął za głowę, po prostu dlatego że znajdowało się między ramionami, wykrystalizowało się w koszarne oblicze, które

wyglądało na wynik przetasowania głowy wilczej i baraniej, ponieważ miało szpiczasty pysk, a po obu stronach imponującej czaszki coś jakby zakręcone spiralnie rogi. Wówczas postać niejako się uśmiechnęła – uniosła wargi, ukazując rząd perfekcyjnych kłów. Następnie zwróciła się ku Fosterowi, gdyż miał nieszczęście stać po jej prawej stronie, i błyskawicznym ruchem zatopiła w jego brzuchu jeden ze swoich szponów, aby go w następnej sekundzie wyjąć, wywlekając garść wnętrzności, które zaraz rozprysły się po podłodze ze stłumionym plaśnięciem. Allan pobladł na widok gradu narządów spadających u jego stóp, lecz nawet nie miał czasu na smutne mdłości – szpon potwora uniemożliwił mu je, chwytając go za gardło i unosząc nad podłogą, jak gdyby był marionetką. Na szczęście Peters przezwyciężył paraliż, który ogarnął całą grupę. Ruszył na potwora ze wzniesioną maczetą i z determinacją spuścił ją na jego ramię. Ostrze zagłębiło się w nim z zadziwiającą łatwością, potwór wydał z siebie przeraźliwy ryk, który odbił się echem wśród skrzynek, i zmuszony był odruchowo zwolnić uścisk, puszczając tym samym artylerzystę. Allan potoczył się po podłodze, z trudem łapiąc oddech, a tymczasem olbrzym wyszarpnął maczetę, rozchlapując na wszystkie strony krople zielonkawej substancji, i znów ją podniósł, by zadać kolejny cios. Jednak tym razem Marsjanin zareagował szybciej. Powstrzymał rękę Metysa, chwytając ją szybko za nadgarstek, i złamał bez wyraźnego wysiłku, jak dziecko kruszące gałązkę krzewu. Peters pobladł gwałtownie na widok własnej ręki wygiętej pod nienaturalnym kątem, z kością wystającą z łokcia, ale jego cierpienie było krótkie, ponieważ drugim niewiarygodnie szybkim ruchem stwor obciął mu głowę. Uderzyła o skrzynki, wydając głuchy odgłos, a potem potoczyła się po podłodze, ukazując grymas niezrozumienia, którym Peters przywitał zawrotnie szybką śmierć. Gwiazdna istota zwróciła się następnie ku pozostałym marynarzom, ale Griffin ze spokojem, który zaskoczył Reynoldsa, podniósł karabin, wycelował i wystrzelił jej prosto w pierś. Z powodu małej odległości impet pocisku odrzucił Marsjanina w tył. To powstrzymało na chwilę rzeź i ci, którzy trzymali się jeszcze na nogach, patrzyli, jak potwór skręca się na podłodze, w mękach usiłując znów zmienić swą postać.

– Dobij go, Kendricks! – rozkazał porucznik Blair marynarzowi, który stał najbliżej Marsjanina.

Kendricks, wciśnięty między skrzynki, z twarzą ochlapaną zielonkawą krwią, zareagował nie od razu. Kiedy to wreszcie zrobił, ruszył na potwora, lecz ten, ponownie w tej samej pająkowatej postaci, w jakiej przedtem uciekł z kajuty Reynoldsa, pobiegł do wyjścia z ładowni i zniknął w ciemności.

– Dokąd to się wybierasz, diabelski sukinsynu? – wrzasnął Kendricks i rzucił się za nim w pogoń.

Porucznik Blair, Griffin i reszta marynarzy pobiegli za nim i Reynolds szybko został w ładowni sam, znów żywy, otoczony ciałami martwych towarzyszy. Przy świetle jedynej latarni, jaka nie potoczyła się po podłodze podczas starcia, stwierdził, że żadnemu z nich nie może już pomóc, z wyjątkiem młodego artylerzysty, który z zagubionym wzrokiem siedział pod ścianą ze skrzyń, nieświadom, co się wokół niego dzieje. W pierwszym odruchu Reynolds chciał stąd uciec i znaleźć sobie jakieś bezpieczne miejsce, zostawiając Allana jego losowi, lecz coś go powstrzymało. Chwilę temu, gdy wszyscy uznali, że to on jest potworem i gotowi byli go zabić z zimną krwią, sierżant wstawił się za nim, stawiając czoło całej załodze. I nie powinien zapomnieć, że wcześniej zgodził się ukryć w jego spizarce. „Ale czy ta lojalność była wystarczającym powodem, aby narażać dla niego życie?” – zastanowił się ze swoim niespożytym zmysłem praktycyzmu. Odkąd to jego

dusza czuje się zobowiązana do takich wzajemnych przysług? Już nie potrzebował Allana, mógł go tutaj zostawić. Jeśli będzie go niósł w jego stanie, obaj staną się łatwą ofiarą dla Marsjanina. W tym momencie artylerzysta podniósł głowę. Najwyraźniej zdołał jakoś przewyciężyć swe otepienie, przynajmniej częściowo, ponieważ udało mu się wbić wzrok w towarzysza i wyszeptać jego nazwisko.

– Reynolds, Reynolds...

Eksplorator uklęknął przy nim.

– Jestem tu, przyjacielu – odparł i podsunął ramię pod jego barki, by pomóc mu się podnieść.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Allan cicho.

– Cóż, pański Marsjanin dokonał już przeglądu ładowni i teraz przystąpił do inspekcji pozostałych części statku. Myślę, że chce sprawdzić, czy bezpiecznie jest z nami zeglować – zażartował Reynolds i udało mu się sprawić, że na twarzy artylerzysty pojawił się nikły uśmiech.

– Może pan wstać?

Allan słabo kiwnął głową, ale gdy się spróbował podnieść z pomocą towarzysza, jego staw skokowy nie wytrzymał i młodzieniec osunął się z potworem, jęcząc z bólu.

– Niech to szlag, kostka chyba skrzyta. Nie wiem, czy mogę chodzić, Reynolds... – oznajmił rwącym się głosem. – Co, u licha, możemy zrobić?

– Nie mam pojęcia – przyznał się eksplorator. Usiadł obok niego zrezygnowanym gestem i czubkiem buta odepchnął nieco od siebie głowę Metysa. – Jeżeli nie da pan rady chodzić, może powinniśmy zostać tu i poczekać... To miejsce jest dobre jak każde inne. Może pozostałym uda się upolować stwora. A jeśli wróci, mamy aż nadto amunicji – stwierdził, wskazując pistolety, które kapitan i Foster wciąż mieli przyrosnięte do rąk.

– Nie, Reynolds. Niech pan idzie im pomóc – zdołał wykrztusić artylerzysta. – Poradzę sobie. Nie jest konieczne, żeby zostawał pan ze mną.

Jednak zanim odkrywca zdążył odpowiedzieć, w oddali rozległ się głos Kendricksa.

– Znalazłem go, poruczniku! – wołał. – Ten diabli syn ukrył się w prochowni!

– Uważaj, Kendricks! – dał się słyszeć głos porucznika. – Nie wolno tam otwierać ognia!

Następnie Reynolds i Allan usłyszeli kilka wystrzałów z karabinu.

– Na miłość boską, Kendricks, mówiłem, że...!

Porucznikowi przerwała eksplozja. Obaj usłyszeli ją w ładowni i niemal natychmiast poczuli, jak wybuch gwałtownie wstrząsa statkiem. Sterta skrzynek, o którą się opierali, zaczęła się chwiać. Reynolds pośpiesznie odepchnął Allana na bok i sam potoczył się z nim, a zaraz potem w miejsce, gdzie przed chwilą siedzieli, zważyło się kilka skrzyń z baraniami żeberkami.

– Niech cię licho, Kendricks – zaklął Reynolds. Wstał i z wielkim móżdżem podniósł artylerzystę, który wsparł się na nim, dusząc w sobie jęki bólu, jaki sprawiało mu stąpanie na zwichniętej stopie. – Chodźmy, Allan – zachęcił. – Musimy iść. Nie jest to już taki dobry pomysł, żeby tu zostawać. Niech się pan o mnie oprze.

Jeszcze nie przebrzmiało echo eksplozji, kiedy rozległ się drugi wybuch, a po nim nastąpił kolejny wstrząs i Reynolds zrozumiał, że znajdujące się w prochowni skrzynie z amunicją i baryłki prochu zaczynają wylatywać w powietrze łańcuchowo. Było już tylko kwestią minut, by owo crescendo huków stało się naprawdę niebezpieczne i rozsadziło statek na tysiąc kawałków. Musieli go jak najszybciej opuścić, tak jak powiedział Allanowi. Mając tego świadomość, pociągnął artylerzystę do kłapy, przez którą

wychodziło się na dolny pokład, gdzie kwaterowała załoga i oficerowie. Czarny dym kłębiący się w wąskim przejściu prowadzącym do prochowni pełził już ku ładowni, przesłaniając wszystko. Marynarzy, którzy udali się w pościg za gwiazdną istotą, Reynolds uznał już za martwych, a nawet ją samą uważał za nieżywą, i jeżeli nie chciał skończyć tak jak oni, nie zamierzał tracić czasu na modlitwy za ich biedne dusze, toteż ponaglił Allana, by ten jak najszybciej wspiął się po drabince. Kiedy dotarli na dolny pokład, gdzie nie było żadnego marynarza, eksplorator próbował się zastanowić nad tym, co robić dalej, ale nie zdążył dać towarzyszowi żadnych instrukcji, ponieważ natychmiast zaskoczył ich kolejny wybuch, znacznie silniejszy od poprzednich. Wstrząs podniósł deski pokładu w kilku miejscach, wykrzywił parę belek i wyrzucił ich w powietrze wraz z garścią narzędzi i skrzynek. Odkrywca uderzył mocno o jedną ze ścian i na wpół ogłuszony runął na podłogę kilka metrów dalej, wśród strzaskanych kawałków wyposażenia. Jego świadomość zaczęła się osuwać w ciemną mgłę.

– Reynolds...

Głos Allana wyrwał go z zamroczenia. Zamrugał kilka razy, zakaszłał i ze zdumieniem przekonał się, że wciąż żyje. Bolały go wszystkie kości, ale najwyraźniej był cały. Podniósł się nieco i poszukał wzrokiem artylerzysty, próbując go zlokalizować wśród spowijającego wszystko gęstego dymu. Eksplozja zrzuciła z haków kilka lamp olejowych, przez co tu i tam płonęły już małe ogniska i lada chwila miały się rozprzestrzenić na wszystkie strony, podsycane drewnem, które z powodu polarnego mrozu było pozbawione najmniejszych śladów wilgoci. Jednak zanim jego oczy namierzyły artylerzystę, Reynolds w głębi pomieszczenia dostrzegł sylwetkę spokojnym truchtem kierującą się wprost do prochowni, niczym skazaniec, który tyle razy odwiedzał piekło, że nauczył się swobodnie po nim poruszać. Uświadomił sobie, że jest to Griffin. Ten dziwny marynarz najwyraźniej nie podążył za innymi do magazynu amunicji i dzięki temu uratował sobie życie, lecz teraz zamiast uchodzić ze statku, jak byłoby logiczne, chciał się zaopatrzyć w broń, jakby rozprawy z potworem nie uważał jeszcze za przegraną. Reynolds wzruszył ramionami. Ten szalenciec mógł robić ze swoim życiem, co mu się podobało, on nie zamierzał o tym dyskutować.

– Reynolds... – jęknął znowu Allan z jakiegoś kąta.

Odkrywca zobaczył go teraz, uwięzionego pod kilkoma kawałkami belki. Widocznie on też trzymał się życia, ale nie zostanie mu na nie wiele czasu, jeśli się go nie uwolni i nie pomoże mu opuścić statku. Tym razem Reynolds, ku własnemu zdumieniu, ani przez sekundę nie zastanawiał się nad możliwością zostawienia artylerzysty w tym piekle. Po prostu wstał i chwiejnie do niego podbiegł. Gdy znalazł się u jego boku, zauważył, że sierżant ma na czole obficie krwawiącą ranę. Nie stracił całkiem przytomności, lecz jego oczy spoglądające spod zmierzwionych włosów błyszczały drżącym blaskiem niczym płomyki świec przy otwartym oknie. Reynolds z niemalym trudem uwolnił go spod drewna, znów postawił na nogi i pociągnął do najbliższego luku. Wspinaczka okazała się rozpaczliwie denerwująca. Kiedy w końcu wyszli na pokład „Annawanu”, panujące na zewnątrz zimno wydało się Reynoldsowi ożywiającym balsamem. Ale tutaj nie byli bezpieczni. Wciąż znajdowali się na statku. Nie tracąc czasu, odkrywca postarał się zorientować w otoczeniu i zlokalizować burtę, przy której była usypana lodowa rampa. Gdy ją namierzył, szturchnięciami pokierował tam Allana, objął go ramionami w pasie i zrzucił po pochyłości, a jednocześnie za jego plecami statkiem wstrząsnęła gwałtownie kolejna eksplozja.

Będąc już na śniegu, Reynolds znowu podniósł Allana i pohołował go byle dalej od

„Annawanu” – na odległość, którą uznał za bezpieczną. Opadli wyczerpani obok klatki ze szczekającymi wściekle psami, i stąd, próbując odzyskać oddech, patrzyli zafascynowani, jakby to był jakiś specjalny pokaz, na wolne, nieuniknione zniszczenie statku. Wybuchy następowały po sobie w intrygujących odstępach i zależnie od swojej intensywności robiły wyrwy w kadłubie lub tylko kołysały łagodnie statkiem na lodowym piedestale z delikatnością niańki. Tymczasem zachłanny, niepowstrzymany ogień rozprzestrzenił się po nadbudówkach. Wyniosłe płomienie ogarnęły forkasztel, a zaraz potem niczym ogniste węże zaczęły się wić pośród masztów i ruchomego omasztowania, tworząc spektakl o niepokojącym pięknem, od którego nie mogli oderwać wzroku nawet wtedy, gdy z przerażeniem dostrzegli ludzi rzucających się z pokładu na lód, wielu płonących jak pochodnie. Ci nieszczęśnicy poukrywali się gdzieś na statku, uciekając przed potworem, i wybuchy nie pozwoliły im opuścić kryjówek na czas. Na szczęście przesłona odległości sprawiała, że do Reynoldsa i Allana nie docierał odgłos łamania kości, jaki niewątpliwie rozlegał się przy upadkach. Wtem eksplorator ujrzał, jak spod pokładu wynurzyła się gęsta masa dymu, skłębiona niczym burzowa chmura, na podobieństwo złowieszczej uwertury do wścieklej eksplozji, która po niej nastąpiła, ciskając na wszystkie strony kawałki drewna, żelaza i ludzkie członki. Odkrywcą rzucił się na śnieg twarzą w dół, zakrywając sobie głowę rękami, a tymczasem Allan siedział u jego boku, podziwiając śmiertcionośny grad odłamków z fascynacją dziecka, które cieszy się z pokazu fajerwerków. Lodowe wzgórza powtórzyły i zwielokrotniły gromki huk do tego stopnia, że nawet samo powietrze zdawało się rozrywać na tysiące strzępów. Kiedy przebrzmiało echo, zapadła ciszę maciło tylko szczekanie psów, ujadających i rzucających się w swojej klatce.

Reynolds podniósł się wolno, z ulgą stwierdził, że żaden z odłamków nie trafił Allana, który wciąż siedział na śniegu, jakby był na pikniku, i przyjrzał się uważnie otaczającemu ich spustoszeniu, mimo wszystko czując, jak zalewa go fala radości na myśl o tym, że w tej orgii zniszczenia musiał też w jakimś momencie zginąć Marsjanin. Koszmar się skończył. Po ostatnim wybuchu statek został sprowadzony do bezładnej sterty drewna i poskręcane go żelastwa, z której unosił się korkociąg dymu. Na śniegu porozrzucone były ciała w najróżniejszym stanie spalenia i udręczenia. Czysty przypadek sprawił, że oczy Reynoldsa spoczęły na jednym z nich, nadal płonącym wolno, jak pochodnia na skraju wygaśnięcia, i znów ogarnęła go absurdalna, niepoohamowana euforia, gdy odkrył, że żyje. Wiedział, że może się cieszyć tym chwilowo ocalonym życiem jeszcze tylko przez parę godzin, nim zimno i głód odbiorą mu je na zawsze, lecz to nie przeszkodziło mu się uśmiechnąć, w środku tej bezkresnej bieli posłać szeroki uśmiech do nikogo z tego prostego powodu, że wciąż żyje.

I wtedy pogorzeliśko, które Reynolds obserwował bez specjalnej uwagi, zaczęło się lekko ruszać. Spojrzał na to z zaciekawieniem, zastanawiając się, jak to możliwe, że ktoś przetrwał w tych zgliszczach. Lecz nagle zauważył, że sylwetka, która podnosi się ze śniegu, jest o wiele za duża jak na człowieka. Czując panikę przemieszana z bezradnością, patrzył, jak Marsjanin powstaje – ogromny, nietknięty, niezniszczalny. Eksplorator uświadomił sobie, że potwór przeżył eksplozję bez najmniejszego zadraśnięcia. Płomienie pełgały po jego kosmatych ramionach, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Stojąc już na nogach, stwór zaczął węszyć w powietrzu i powiódł wzrokiem dokoła, aż go zatrzymał na Reynoldsie i Allanie, którzy siedzieli w śniegu w znacznej odległości od niego – żywi, obraźliwie żywi. Marsjanin ruszył w ich stronę, kulejąc na lodzie. Reynolds spojrzął na Allana. Artylerzysta też spostrzegł zbliżające się monstrum i z twarzą wykrzywioną czymś

znacznie więcej niż strach patrzył, jak ten nadchodzi.

– Niech Bóg ma litość nad naszymi biednymi duszami – szepnął.

Reynolds znów zwrócił oczy na Marsjanina, który lada chwila miał ich dosięgnąć. Obliczył jednak, że wystarczy mu czasu na ostatnią próbę pozbycia się stwora. Wstał i zostawiając Allana, pobiegł do klatki z psami, które czekały wściekle, szarżując na pręty. Rozwalił kłódkę chwytem pistoletu, otworzył drzwi i odskoczył na bok, modląc się, aby zwierzęta ujadły ze złości, a nie ze strachu. Gdy rozsierdzona dwunastka popędziła z charkotem na Marsjanina, poczuł nieskończoną radość. Ta zagrywka odkrywcy zaskoczyła potwora. Zatrzymał się i patrzył, jak zbliża się doń rozszczekana grupa. Pies, który skoczył na niego jako pierwszy, wyrażał całą wściekłość, jaka fermentowała w sforze, odkąd fałszywy Carson wszedł na statek. Marsjanin bez cienia wysiłku szybkim ruchem przeciął zwierzę w powietrzu na pół. To jednak nie powstrzymało pozostałych. Na szczęście w ich mało skomplikowanych umysłach nie zaświtała możliwość, że mogą podzielić los swego poprzednika, a gdyby nawet zaświtała, nie miałyby to znaczenia, ponieważ rzuciły się na potwora z tą samą pierwotną zaciekłością, jak dzielni żołnierze przyjmujący swój los, być może dlatego, że nawet po śmierci człowieka nie potrafiły nie okazać mu lojalności, a może z tego powodu, że zbyt były przyzwyczajone do poprzedniego pana, aby chcieć zmienić właściciela. Reynolds patrzył, jak dopadają ciała Marsjanina swymi potężnymi szczękami, jemu jednakże wystarczyło zaledwie kilka sekund, by je rozerwać i odrzucić daleko albo szybkimi ruchami ściąć im głowy, toteż odkrywca szybko pojął, że atak wiernych psów nie będzie miał większych następstw, jedynie zatrzyma Marsjanina na kilka minut. Rezygnując z prostej ucieczki, podbiegi do artylerzysty i znów go podniósł. Zaczął biec w przeciwnym kierunku, prawie dosłownie wlokąc za sobą Allana i słysząc za swoimi plecami jęki skrupulatnie rozrywanych na strzępy psów. Dwa z nich przeleciały nawet ponad ich głowami, zamienione w skrwawione szczątki, i z głuchym lupnięciem upadły w śnieg.

Wtem Reynolds poczuł, że nie ma już sił, aby biec dalej, i zatrzymał się wykończony. Allan, niepodtrzymywany przezeń, osunął się na lód i klęcząc, spoglądał na niego z udręczoną miną. „Naprawdę warto się trudzić dalszą ucieczką?” – zdawał się mówić. Może lepiej się poddać, raz na zawsze dać się zabić temu stworowi i spoczywać w pokoju? Reynolds popatrzył na bezkresną połać lodu, którą miał przed sobą, a która wydała mu się teraz tak klaustrofobiczna, i uświadomił sobie, że dalsza ucieczka nie ma już żadnego sensu, tylko przedłużyłaby ich agonię. Potwór, najwyraźniej niepokonany, dopadnie ich wcześniej czy później i zabije, tak jak zrobił z resztą członków tej przeklętej wyprawy. Odkrywca zaczerpnął więc powietrza i zrezygnowany odwrócił się w stronę Marsjanina, który szedł ku nim wolno przez śnieg z dwoma martwymi psami wczepionymi w jego ciało niczym makabryczne ozdoby. Reynolds wyjął pistolet zza pasa, spoglądał na niego przez kilka sekund, rozważając możliwość użycia broni po raz ostatni, i ostatecznie upuścił go w śnieg. Już nie potrzebował heroicznych, rozpaczliwych gestów, skoro i tak nikt ich nie widzi. Tę rolę od pierwszego aktu odgrywał bez widzów, w zaciszu oferowanym przez zapomniany skrawek lodu.

Potwór zatrzymał się jakieś dziesięć czy dwanaście metrów przed nimi, popatrzył na nich z przekrzywioną głową i wydał z siebie coś na podobieństwo zwierzęcego krzyku. Teraz, kiedy nie posługiwał się strunami głosowymi żadnego człowieka, jego głos zabrzmiał tak, jakim naprawdę był – czymś w rodzaju skrzeczenia, jak gdyby wyszkolony kruk zamierzał się wprawić w ludzką mowę. Reynolds nie mógł go rzecz jasna zrozumieć, lecz ton wydał mu się triumfalny, toteż przygotował się na śmierć przez

rozszarpanie. Pochylił głowę i opuścił ramiona na znak poddania się, zwykłego wyczerpania czy nawet braku zainteresowania dla własnego losu. Wówczas jego wzrok padł na pistolet, którym tak beztrąsko pogardził kilka sekund temu, i przyszła mu do głowy pewna myśl. Czemu oddawać się długiej, przerażającej śmierci z rąk tego czegoś, kiedy można się odejściem zająć samemu? Strzał w skroń i wszystko skończy się szybko i czysto. Byłby to finał znacznie bardziej litościwy od tego, jaki niewątpliwie zaoferuje mu Marsjanin. Popatrzył na Allana, który leżał rozciągnięty na ziemi z policzkiem przyciśniętym do lodu i spojrzeniem zagubionym gdzieś na horyzontach widzianych tylko przez niego. Potwór tymczasem zbliżał się do nich powoli jak pająk napawający się strachem swej ofiary. Mimo to Reynolds wątpił, czy wystarczy mu czasu, by zastrzelić Allana, wyjąć wycior i woreczek z prochem, naładować pistolet i strzelić sobie w łeb, zanim stwór go dosięgnie. Nie, zdąży tylko zabić siebie. Tak czy inaczej artylerzysta zdawał się już znajdować schronienie gdzieś poza świadomością czy poza zdrowymi zmysłami. Odkrywca z całego serca pragnął, by jego przyjaciel mógł tam pozostać ukryty aż do ostatniej chwili, by przezwycięzył tortury, którymi zapewne zakończy się jego życie.

– Przykro mi, Allan – szepnął, pośpiesznie sięgając po broń i wycelowując ją w siebie.
– Zdaje się, że nawet na końcu nie osiągnąłem chwały, o której tak marzyłem.

Lecz to nie miało już znaczenia. Heroiczny, bezinteresowny akt w ostatniej sekundzie życia zapewne też nie zrobiłby żadnej różnicy. Przystawił sobie pistolet do skroni i gładko, niemal z uczuciem, odciągnął kurek. Spojrzał na Marsjanina, który jakby zrozumiał, że Reynolds zamierza mu zepsuć zabawę, przyśpieszył kroku, a jednocześnie groźnie wyciągnął łapy. I uśmiechnął się. „Nie dotrze na czas, choćby nie wiedzieć jak biegł” – pomyślał eksplorator, czując odór padliny i chryzantem. Woń potwora. Fetor, który wydzielał także wtedy, gdy się zamieniał w człowieka.

– Zobaczmy się w piekle, sukisyniu – wydyszał, gotów nacisnąć spust i rozprysnąć wszystkie swoje marzenia po śniegu.

Lecz nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, w tym jego samego, Marsjanin zatrzymał się, zadarł swoją dziwną głowę i wydał okropny jęk, a zaraz potem z jego piersi raptownie wynurzył się koniec harpuna. Potwór spojrzał nań równie skonsternowany jak Reynolds. Chwycił grot łapami, a odkrywca opuścił broń i w zdumieniu obserwował, jak stwór na próżno usiłuje wyjąć z siebie ostrze, jak wije się przy tym z bólu, gdy tymczasem jego rysy zaczynają się rozmywać. I oto od harpuna próbował się uwolnić Wallace, a potem Shepard, następnie zaś młody artylerzysta, mimo że prawdziwy Allan wciąż leżał na śniegu tuż obok. Tej karuzeli przeobrażeń, łańcuszkowi ciał udręczonych bólem położyła kres postać marynarza Carsona, wyjącego z rozchylonymi ustami i szeroko rozwartymi oczyma. Dopiero wtedy Reynolds zauważył, że ten, kto rzucił harpunem, zadał sobie również trud, by przymocować doń kilka lasek dynamitu. Nie tracąc ani sekundy, rzucił się na Allana, by go osłonić własnym ciałem. W następnej chwili rozległo się ogłuszające wycie i Marsjanin został rozerwany na tysiące kawałków, które poleciały na wszystkie strony. Gdy na zapomnianym skrawku lodu na powrót zakorzeniła się cisza, Reynolds, na wpół ogłuszony, z zatkanymi uszami, odważył się unieść twarz. Wśród z wolna rozpraszającego się dymu na tle polarnego mroku rysowała się niewzruszona sylwetka marynarza zwanego Griffinem.

XI

Wyobrażam sobie, że ci, którzy podążali za moją opowieścią z pewną dozą uwagi, już sobie uświadomili, że mimo mych starań pomyliłem się w wyborze początku tej historii. To w oczywiste, że skoro marynarz Griffin unicestwił Marsjanina, co właśnie zrobił w sposób tak nieoczekiwany dla wszystkich, po latach żadna ekspedycja nie mogła znaleźć gwiazdnego przybysza w łodzi ani sprowadzić do Muzeum Historii Naturalnej, gdzie go odkryje Wells. Obawiam się, że cofając się w czasie, musiałem wybrać początek innej, podobnej historii, jednakże o zupełnie innym zakończeniu. Nie wiecie nawet, jak mi przykro! Ale pozwólcie, że postaram się naprawić tę pomyłkę.

Co mogę zrobić, aby nasza historia pasowała do prologu, który już wam opowiedziałem? To jasne, że jest na to tylko jeden sposób: sprawić, by Griffin nie zabił diabła z gwiazd. Wyobraźmy więc sobie, że ten dziwny marynarz nie zjawił się w odpowiednim momencie. Co więcej, dla większej pewności wyobraźmy sobie, że wcale się nie zaciągnął na „Annawan”. Zgodzicie się ze mną, że ta historia potoczyłaby się zupełnie innym torem, podobnie jak wtedy, gdybyśmy z góry wyeliminowali kogokolwiek innego z załogi, choć oczywiście nie wszyscy mieli tak decydujący wpływ na przebieg wypadków. Gdybyśmy na przykład usunęli z narracji kuka, otyłego ponuraka, któremu nadano dźwięczne nazwisko Dunn, zapewne główne wydarzenia nie ucierpiałyby w żadnym stopniu, zmieniłyby się jedynie jadłospis załogi i nie ubywałoby zapasów rumu za sprawą owego typka, o czym nie wspominałem wcześniej, ponieważ, o ile nie jest to konieczne, wolę nie szargać opinii rodzaju ludzkiego, gdy ją rujnują niektórzy jego przedstawiciele. Podobnie nie zaszłyby żadne istotne zmiany, gdyby nie zaokrętowali się Wallace czy Ringwald, a na ich miejsce przybyliby Potter i Granger, i to w momencie kiedy załoga była już skompletowana, więc w końcu zaciągnęliby się na inny statek, gdzie pierwszy dźgnąłby nożem drugiego podczas gry w karty. Obaj zostaliby potraktowani dokładnie jak ich poprzednicy na tym stanowisku, jestem tego pewien, ponieważ ja, jak już wam wspominałem, widzę pozostałe możliwości kryjące się za welonem tego wszechświata, kwiaty rosnące w ogrodzie tuż obok. Jednak w obliczu faktów, które nas zajmują, obecność Griffina ma niebagatelne znaczenie. Czy Marsjanin skończyłby zamrożony w lodzie, gdyby ten marynarz nie pojawił się w porę, aby go przebić harpunem? Czy Reynolds miałby odwagę, by strzelić sobie w łeb albo wyskrobać z kotła życia ostatnie okrucy, wiedząc, że skazuje go to na okrutną śmierć? Czy zdołaliby się uratować, być może dzięki jakiemuś innemu cudowi, czemuś nieprzewidzianemu i niezależnemu od ich woli albo przeciwnie – dzięki jakiemuś genialnemu pomysłowi, który wyklułyby się w głowie któregoś z nich, dając im klucz do wykonania szach–mata *in extremis* na tej lodowej szachownicy?

Poznajmy odpowiedzi na te pytania, usuwając z opowieści rzeczonygo marynarza, jak ktoś, kto wykrada z gniazda kukułcze jajo, którego nie powinno tam być, i przywraca tym samym prawowity stan Natury. Wyobraźcie sobie, że – tak jak ustaliliśmy – Griffin w ogóle nie odpowiedział na ogłoszenie werbunkowe kapitana „Annawanu”, przez co statek wyruszył ku swojemu fatalnemu przeznaczeniu z jednym załogantem mniej na pokładzie. To nie tylko sprawiło, że Dunn musiał gotować jedną porcję dziennie mniej oraz że rzadziej można było opróżniać kubek z ekskrementami, lecz także, jak podejrzewamy, pociągnęło za sobą poważniejsze konsekwencje. Na przykład bez Griffina nikt nie zauważyłby, że obiekt, który przeciął niebo i rozbił się w górach, był przez kogoś kierowany, Reynolds nie miałby z kim rozmawiać w drodze do latającej maszyny, jakiś

inny marynarz podałby mu rękę i pomógł wspiąć się na pokład „Annawanu” po znalezieniu zwłok Carsona i nikt nie powstrzymałby kapitana MacReady’ego, gdy ten przystawił pistolet do skroni odkrywcy i groził, że go zabije pod pretekstem, że to on jest potworem. Ale nade wszystko – i właśnie to powinno nas obchodzić najbardziej – nikt nie przeszyłby harpunem Marsjanina tuż przed tym, gdy miał on zakończyć nieszczęsne życie Reynoldsa i Allana. Co by się wówczas wydarzyło? Jak rozegrałoby się polowanie, gdyby Griffin w ogóle nie trafił na „Annawan”, uciekając ze szponów kobiety prosto w szpony diabła z gwiazd?

Zapomnijcie o moim błędzie, przypiszcie go może moim marnym zdolnościom narracyjnym i cofnijcie się ze mną o kilka minut do momentu, w którym potwór, uwolniwszy się od psów, z wyciągniętymi szponami zmierza ku Reynoldsowi i Allanowi, i zobaczmy, jak wszystko się teraz potoczy.

Ekspłorator, z pistoletem wycelowanym we własną skroń, patrzył, jak tamten się zbliża – potężny, nieludzki, ogromny, i zauważył, że to napawa go dziwnym spokojem. Nie czuł już lęku ani euforii, ani przygnębienia. Nie czuł nic. Rozrzutnie wyczerpał swą rację emocji w ciągu ostatnich godzin. Teraz był pusty; jedyne, co trzepotało się w jego wnętrzu, to straszna obojętność wobec własnego losu. Zdawać by się mogło, że wszystko to nie przydarza się jemu, on tylko obserwuje wypadki z daleka, jak ptak unoszący się w tym momencie nad sceną i okazujący jedynie nikłe zainteresowanie dla tego, co widać na dole, gdzie na ogół nie dzieje się nic. Odkrywca pogładził cyngiel i pociągnął go lekko. Spojrzał na Marsjanina, który jakby zrozumiał, że Reynolds zamierza mu zepsuć zabawę, i przyśpieszył kroku. Ekspłorator uśmiechnął się z oczyma utkwionymi w zbliżającego się potwora. Chciał je utrzymać otwarte dokładnie do chwili, kiedy wystrzeli, by jak najdłużej napawać się wyrazem porażki, jaki niewątpliwie pokaże Marsjanin, gdy zrozumie, że ofiara, popełniając samobójstwo, wymknęła mu się ze szponów. Próbował przełknąć grudę stężałej śliny, która utknęła mu w gardle. Czy go zaboli, czy nawet nie poczuje nic, gdy kula rozerwie jego mózg w kwiat myśli, rozpryskując jego marzenia po śniegu? Jak łatwo jest zniszczyć człowieka i wszystko, czym on się wydaje! – pomyślał Reynolds. I jakież złudne były założenia, że tę potężną istotę, przewyższającą wszelkie najśmielsze marzenia ludzkości, można unieszkodliwić za pomocą nędznych ziemskich środków! Był ten jest niczym samo Zło, niezniszczalny i wieczny. Postrzelili go przecież niejednym raz, przeżył eksplozję, nie miał się go mróz... Teraz Reynolds był pewien, że nawet uśpiona kula tkwiąca w czole kapitana MacReady’ego nie mogła go unicestwić. Wszystko okazało się bezskuteczne. Absolutnie bezużyteczne. Pozostało mu już tylko pyrrusowe zwycięstwo – zabić się własnoręcznie.

– Zobaczymy się w piekle, sukinsynu – wydyszał, przyglądając się ogromnej posturze, niewiarygodnym proporcjom ciała i krzepkiej muskulaturze oczyma entomologa, który wykazuje się brakiem strachu i jakichkolwiek innych uczuć.

Właściwie bez specjalnego powodu zadał sobie pytanie, ile ton może ważyć to coś. Więcej niż byk? Mniej niż młody słoń? Wówczas, ku jego własnemu zaskoczeniu, przemknęła mu przez głowę absurdalna myśl na podobieństwo nieoczekiwanej błyskawicy i sprawiła, że rozluźnił spoczywający na spuście palec. A jeśli...? Ale czy warto próbować? Spojrzał na Allana, który leżał rozciągnięty na śniegu i niczym złożone w ofierze jagnię jak zahipnotyzowany wpatrywał się w nadchodzącego Marsjanina. Zmiana planów, którą zamierzał przeprowadzić, nie będzie łatwa, lecz może nie powinien się zrażać, skoro dzięki niej zdoła się uratować od śmierci z rąk potwora, choćby tylko po to, by ją zamienić na śmierć bardziej odległą, z wycieńczenia czy odrętwienia na mrozie.

Nagłym ruchem Reynolds odjął sobie pistolet od skroni i wycelował go w Marsjanina, który na ten nieoczekiwany gest patrzył z zaskoczeniem. Strzelił mu w głowę bez wahania czy złudzeń, jakby to była formalność. Trafiony pociskiem olbrzym upadł w śnieg i chociaż Reynolds wiedział, że to go nie wykończy, spodziewał się, że przynajmniej zyska na tyle czasu, by przeprowadzić swój plan. Nie tracąc ani sekundy, ponownie podniósł artylerzystę i zmusił go do biegu, tym razem w stronę zniszczonego statku – okrążali go, aby pokonać diabła.

– Biegnij, Allan, biegnij z całych sił! – ponaglił artylerzystę, a ten niechętnie ruszył truchtem, najwyraźniej dobywając z siebie ostatnich rezerw energii.

Odkrywca biegł obok niego, pilnując, aby młodzieniec nie zboczył z wyznaczonej drogi, i raz po raz oglądając się przez ramię na potwora. Po otrzymaniu strzału Marsjanin podniósł się, jeszcze cokolwiek zdezorientowany, i na nowo podjął pościg, chociaż w tej chwili nie śpieszył się zbyt, jak drapieżnik przekonany, że ofiara nie ma już żadnej szansy na ucieczkę. „Tym lepiej” – powiedział sobie Reynolds. Dotarł właśnie do zniszczonego statku i był na granicy omdlenia. Zatrzymał artylerzystę obok rumowiska, by obaj nieco odsapnęli. Kiedy udało mu się oderwać wzrok od wygodki MacReady’ego, która groteskowo wieńczyła stertę drewna, eksplorator jeszcze raz rzucił spojrzenie za siebie i zobaczył, że Marsjanin wciąż za nimi podąża, sadząc teraz na śniegu coraz dłuższe susy, być może nagle zdjęty niecierpliwością, która kazała mu raz na zawsze położyć kres temu głupiemu polowaniu. Uśmiechając się do siebie, odkrywca ominął resztki statku i popychając Allana, wszedł razem z nim na ten skrawek lodu, który znajdował się po stronie bakburty, czyli tam, gdzie świętej pamięci MacReady zabraniał im się zapuszczać. Artylerzysta spojrział na towarzysza z niepokojem, gdy lód zaczął trzeszczeć pod ich stopami, grożąc, że lada chwila skruszy się jak ciasto francuskie. Ale natychmiast w jego ciemnych oczach zalśnił błysk zrozumienia i skrywająca twarz gruba czerwona maska zamarniętej krwi spękała w kilku miejscach pod wpływem wstrząsu wywołanego cichym śmiechem. Reynolds zachęcił Allana, by szedł dalej, i młodzieniec posłuchał, ożywiony nową energią, a tymczasem lód łamał się coraz bardziej z każdym ich krokiem. Wkrótce mieli zatrwające wrażenie, że stąpają po falującym morzu. Gdy już stwierdzili, że zabrnęli wystarczająco daleko po tej arcykruchej powierzchni, zatrzymali się i zwrócili ku pozostałościom „Annawanu”, dokładnie w tym momencie, kiedy Marsjanin okrążał je, zbliżając się imponującym skokiem i nie dostrzegając, że zmierza w zaimprovizowaną pułapkę zastawioną przez Reynoldsa. Stwór wylądował na lodzie około pięciu metrów od miejsca, w którym stali, i ku uldze jego niedoszłych ofiar, podłoże natychmiast załamało się pod jego niewiarygodnym ciężarem. Patrzyli, jak lód połyka potwora, a on zdumiony, machając ramionami, tonie w morzu ciemnym jak wino, po jego zniknięciu zaś biała powłoka zabliznia się z ogłuszającym hukiem. Jednakże wstrząs, porównywalny do wybuchu dynamitu, wywołał siatkę pęknięć, które rozeszły się na wszystkie strony, krusząc lód w promieniu co najmniej dziesięciu metrów. Pod wpływem nagłego „trzęsienia ziemi” Reynolds i Allan zachwiali się i upadli w śnieg, usiłując trzymać się razem na tym samym kawałku lodu, jednym z wielu, na jakie spękało podłoże. Ze swego miejsca z zamartwym sercem słuchali, jak Marsjanin walczy pod lodem, by się wydostać na zewnątrz – próbuje rozbić grubą, twardą warstwę, pod którą się znalazł. Od jego brutalnych uderzeń pojawiały się kolejne rysy, ale nie zdążył całkiem przebić mocnej powłoki i stopniowo rozpaczliwe stukanie pod lodem oddaliło się od nich, przekształcając się w niepokojące bębnienie, coraz słabsze i bardziej odległe, z czego wywnioskowali, że podlodowy nurt porwał potwora i unosi go, na szczęście w przeciwnym kierunku. Gdy

wreszcie dudnienie ucichło, odkrywca poprosił Stwórcę, czy raczej zażądał od Niego, wzięwszy pod uwagę rozkazujący ton tej modlitwy, aby to zamarznięte morze stało się grobowcem Marsjanina. Tak, jeśli nawet brak tlenu, wychłodzenie i odrętwienie z zimna nic dlań nie znaczyły, podobnie jak kule i ogień, eksplorator miał nadzieję, że potwór znajdzie tam śmierć w taki czy inny sposób, bo przecież choćby wydawał się im niezniszczalny, Reynolds wiedział tyle, że Stwórca nigdy nie przejawiał najmniejszego zainteresowania tym, by swoje stworzenia pobłogosławić nieśmiertelnością. Po tej modlitwie opadł obok artylerzysty na zaimprovizowanej tratwie z kry, która teraz z wolna sunęła wąskim kanałem, jaki powstał po przełamaniu lodu. Obaj byli bez sił, tak wyczerpani i zdyszani, że trudno im było rozmawiać. Mimo to Reynoldsowi wydało się, że słyszy u swego boku słabe tchnienie głosu Allana.

– Dziękuję, że mnie pan uratował, Reynolds. Ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy, to że znajdę w tym piekle przyjaciela.

Eksplorator uśmiechnął się.

– Cóż, niech pan o tym pamięta, kiedy nie będę już panu potrzebny – zażartował, oddychając z trudem. – Jeśli to nie jest właściwy moment, będą inne okazje.

Artylerzysta parsknął śmiechem, który zamarł, ledwie dotknął powietrza. Potem zapadła cisza. Odkrywca podniósł się lekko i stwierdził, że Allan na uczczenie jego żartu poświęcił ostatnie siły, a teraz leży obok niego omdlały. Posłał mu zmęczony uśmiech i z powrotem opadł na śnieg, będąc u kresu sił i rozmyślając o tym, co właśnie powiedział. Dlaczego ciągnie młodzieńca ze sobą z miejsca na miejsce i nawet przez myśl mu nie przejdzie, by go zostawić własnemu losowi? To do niego niepodobne. Ale prawda tak się przedstawiała, że robił to, ponieważ nie mógł się oprzeć zakłęciu, jakie artylerzysta rzucał na niego – za każdym razem kiedy wymawiał jego nazwisko, przywoływał go do swojego boku z taką samą ślepą ufnością, z jaką dziecko wzywa matkę w ciemności. Stawiając się na to rozpaczliwe wołanie, Reynolds odczuwał coś dziwnego i głębokiego – przypominał to sobie poprzez mgłę znużenia – coś, czego nie czuł nigdy przedtem: po raz pierwszy ktoś mu zaufał, ktoś go potrzebował. Allan, artylerzysta, który chce być poetą, wypowiadał jego nazwisko w ładowni, na pokładzie, na lodzie, a on śpieszył mu z pomocą, nie zastanawiając się nad tym, bo wyczuwał, że ratując Allana, w jakiś sposób może również ocalić swoją egoistyczną duszę. Właśnie dlatego to robił, tak. I kto wie, niewykłuczone, że tym gestem, wykonanym w ostatniej godzinie, odkupił swe winy, z prostej drogi do piekła skręcając w stronę nieba. Było bowiem jasne, że jeśli nie wydarzy się cud, okrutne zimno zabije ich w ciągu kilku godzin.

Dziwnie zadowolony z upragnionego odpoczynku, jaki to oznaczało, Reynolds pozwolił się nieść lodowej platformie, która zaczęła torować sobie przejście wśród gór lodowych, z matczyną troską popychana przez północno-zachodni wiatr, dokąd ten ostatni uważał za właściwe nią kierować. Okropne zmęczenie i silne emocje ostatnich godzin wkrótce pogrążyły odkrywcę w czymś na podobieństwo niespokojnego snu, z którego od czasu do czasu wyrывały go tylko ukłucia zimna i niesłabnąca kanonada lodu. W owym stanie otępienia Reynolds nie przejmował się upływem czasu; wpatrywał się tylko w niebo, zafascynowany kłębam ciemnych chmur lub ostro rysującymi się w mroku lodowymi wąwozami, które przemierzali w swej tajemniczej podróży, z ulgą przyjmując, że to, czy się ostatecznie uratują, czy umrą, nie zależy już od ich woli, ponieważ nie mogli nic więcej zrobić, jak tylko leżeć w obliczu groźby głodu i mrozu, aż ktoś, może sam Stwórca, coś za nich postanowi. Wkrótce coraz trudniej było się zorientować, jak długo już dryfują w oczekiwaniu śmierci, ale kiedy Reynolds się ocknął,

z zaskoczeniem odkrył, że nadal kołacze się w nim życie. Następnie wyciągnął rękę w stronę Allana i mimo że artylerzysta spoczywał zabalsamowany w zmrożonej skorupie, towarzysz stwierdził, że żarzący się w nim słaby ogienek życia można by rozdmuchać, gdyby jakimś cudem zdołali dotrzeć do schronienia, ale może też szybko zgasnąć, dyskretnie i cicho. Bądź co bądź, ileż znaczyło ich życie. Jakąż to niezbędną przyprawę musieliby mieć do zaoferowania dla światowego gulaszu. A jednak zapewne mieli coś takiego. Eksplorator doszedł do tego wniosku, kiedy – nie wiadomo ile czasu od zniknięcia potwora – kra wpłynęła na znacznie szerszy kanał, którym wydostała się na otwarte morze, a on, odrętwiały i zamroczony, odniósł wrażenie, że ich tratwa uczepiła się jakiegoś skrawka cywilizacji.

Ukołyszany w stanie półprzytomności, pozwolił, by podniosły go krzepkie ręce, ogrzał łagodny ogień płonący w piecu i ożywił ciepły rosół, który wyrysował mu mapę w gardle. Czuł, jak na nowo budzi się w nim życie, ostrożne i nieufne, aż pewnego dnia, nie wiedząc jak ani kiedy, obudził się w cieplej, wygodnej kajucie obok skromnego łóżka, na którym łączywie chwycił oddech Allan – wciąż zagubiony w labiryncie gorączkowych majaków, lecz żywy. Dlatego kiedy kapitan statku wielorybniczego, człek tak ogromny, że mógłby gołymi rękami urwać łeb Krakenowi, zapytał ich o nazwiska, odkrywca musiał odpowiedzieć za nich obu.

– Jeremiahs Reynolds – przedstawił się – a mój towarzysz to starszy sierżant Edgar Allan Poe. Jesteśmy członkami załogi statku „Annawan”, który wyruszył z Nowego Jorku piętnastego października w stronę bieguna południowego w poszukiwaniu wejścia do wnętrza Ziemi.

XII

Lecz ani tego dnia, ani żadnego z następnych Reynolds nie wspomniał o potworze, który przybył z gwiazd, ani też o masakrze, z której uszli z życiem. Początkowo nie mówił o tym, bo wydawało mu się, że nie istnieją słowa, jakimi mógłby wiernie oddać tamtą grozę, słowa, którymi wyjaśniłby tym ludziom, że piekło nie znajduje się pod ich stopami, ale nad głowami, dalej, aniżeli widziane z ziemi niebo, choć również zamieszkane przez diabły. Potem zaś nie poruszał tego tematu, ponieważ kiedy Allan ocknął się wreszcie ze swojej gorączki, mając w spojrzeniu mroczną melancholię, jak ktoś, kto spacerował pod rękę ze śmiercią, obaj zgodzili się co do tego, że lepiej będzie zatrzymać tamte przeżycia na zawsze w sekrecie. Jak miałyby im się przysłużyć wyjawienie światu prawdy, na którą przypuszczalnie nie był przygotowany? Ponadto nie należy zapominać, że nie posiadali żadnego dowodu na to, że wszystko to faktycznie się zdarzyło. Jeżeli Stwórca wysłuchał ich modlitw, ciało potwora znajduje się pogrzebane pod lodem gdzieś na Antarktydzie, a jego latająca maszyna z powodu nieustających opadów śniegu i zamieci również zniknie wśród bieli, nim w to przekłete miejsce przybędzie jakaś kolejna ekspedycja. I może odkryje tam jedynie zwęglone pozostałości statku otoczone straszliwie zmasakrowanymi zwłokami marynarzy. Znalezisko to może okazać się jeszcze gorsze, bo czyż nie oni dwaj, jako jedyni, którzy ocaleli z jatki, będą pierwszymi podejrzanymi w sprawie niewyjaśnionej orgii zniszczenia? Było oczywiście, że tak, choć może nie dla wszystkich; zawsze znajdzie się garstka niepoprawnych wizjonerów, którzy uwierzą w ich opowieść i popychani czystym fanatyzmem zechcą wykazać jej prawdziwość – udowodnić przybycie pierwszego Marsjanina na Ziemię. Lecz wielu innych oskarży ich o szaleństwo albo oszustwo lub obie te rzeczy naraz. A żaden z nich dwóch nie czuł się na siłach, by mierzyć się z tak nakreślonym życiem, pełnym wyjaśnień, udowadniania własnej niewinności, mów obrończych... Krótko mówiąc: życiem poświęconym na walkę w obronie swoich zdrowych zmysłów czy swojego honoru. Nie po to ratowali je z takim wysiłkiem. Nie, oczywiście, że nie. Skoro uciekli od pewnej śmierci, życie okazało się dla nich niespodziewanym prezentem i każdy z nich niezależnie od drugiego postawił sobie za cel przejść przez nie intensywnie, zakosztować w nim wszystkiego, czego się da – pragnienie bardzo częste wśród tych, którzy przeżyli własną śmierć, o czym może niektórzy z was mają nieszczęście wiedzieć.

Postanowili zatem porzucić apatię i obojętność, z którymi – ich zdaniem – ścierali się do tej pory na co dzień, i obiecali sobie, że się okażą godni drugiej szansy, jaką otrzymali. Allan z nowym zapałem zdecydował, że spełni swoje marzenie i zostanie pisarzem. Chciał się temu poświęcić w spokoju, daleki od wszystkiego, co mu przypominało okres spędzony w piekle. Powziął mocne postanowienie, że zapomni o owych dniach, że przez pozostałą część życia nie poświęci im ani jednej świadomej myśli, ani nawet po śmierci, na wypadek gdyby w zaświaty przybył z nienaruszonym umysłem. Jeśli już o to chodzi, wystarczy mu, że napisze opowieść, która pozwoli mu odegnać od siebie ten horror. Artylerzyście nie przychodził do głowy lepszy pomysł na pozbycie się demona, który domagał się schronienia w jego duszy, jak uwięzienie go na zawsze na papierze. Reynolds z kolei po tym, jak poparzył sobie palce chwałą wielkiego odkrywcy, nauczył się kochać życie z całą jego majestatyczną prostotą. Jego jedyną ambicją było teraz wieść spokojną egzystencję, cieszyć się każdym uderzeniem serca i każdą odrobiną powietrza, jaka trafia do jego płuc, a jednocześnie starać się oczyścić duszę z tego wszystkiego, co mogłoby po jego śmierci przeszkodzić tym, którzy go znali, w stwierdzeniu, że tu spoczywa uczciwy

człowiek. Nie zamierzał, rzecz jasna, przekształcić swojej egzystencji w cyrk, w którym sam byłby głównym klaunem, skazanym na wywoływanie śmiechu i współczucia publiczności. Tamte dni odeszły wraz z Symmesem. Teraz pragnął żyć daleko od tego wszystkiego, skoro wiedział o świecie rzeczy, których niemal nikt nigdy nie poznał, zamierzał jednak zachowywać się tak, jakby on też ich nie znał, i być jeszcze jednym z nielicznych prostych, uczciwych ludzi, którzy bez skargi godzą się na swe miejsce w świecie. Nie, zdecydowanie ani Allan, ani Reynolds nie uważali, że pokonali potwora z gwiazd po to, by żyć w cieniu tego sukcesu. Lepiej było zachować milczenie w tej sprawie.

W skromnej kajucie stateczku wiozącego ich z powrotem do Ameryki Allan i Reynolds postanowili zachować w sekrecie to, co widzieli, i uściśli sobie dłonie, pieczętując umowę, której nikt nie odważyłby się nazwać dżentelmeńską, ponieważ było oczywiste, że jest to umowa tchórzy. Obaj wiedzieli, że ukrywanie transcendentnej prawdy, tak ważkiej dla świata, można uznać prawie za zdradę wobec rodzaju ludzkiego, lecz uznali, że z tym ciężarem na sumieniu poradzą sobie bez problemu. A jeżeli niektórzy z was uważają ich decyzję za naganną, poproszę ich, aby zrobili ćwiczenie z własną wyobraźnią i zastanowili się nad tym, jak stawiliby czoło reszcie swojego życia, gdyby przeszli przez podobny horror. Czy to haniebne czy nie, faktem jest, że Reynolds i Allan zgodnie postanowili kłamać. Czuwając nad swym towarzyszem, eksplorator zbywał pytania wybawicieli nieokreślonymi odpowiedziami, do których artylerzysta, kiedy się już ocknął, dodał co trzeba, aby powstała historia tyleż fantastyczna, ile wiarygodna. Historia, której powtarzaniem zabawiali się co noc, stopniowo wzbogacając ją o szczegóły – większość z nich pochodziła z potężnej wyobraźni Allana – i cerowali swoją dziurawą plecionkę, aż stała się tak solidną i bezdyskusyjną prawdą, że niemal sami w nią uwierzyli.

Podczas podróży w bezkresnej ciszy oceanu Reynolds i Allan nie tylko znajdowali rozrywkę w snuciu owego kłamstwa, które miało chronić ich życie, lecz także wznowili bratnie rozmowy rozpoczęte jeszcze na „Annawanie”, ostatecznie zawiązując przyjaźń, którą los najwyraźniej chciał ich połączyć. Rozmawiali nieraz do białego rana, zachłannie pragnąc pokazać sobie nawzajem swe dusze aż do ostatniego zakątka, dokąd nikt inny nie miał wstępu, i być może w ten sposób ratując sobie wzajemnie życie. I tak oto Reynolds, jakby uznał, że artylerzysta zyskał prawo, by wiedzieć o nim wszystko, pewnej nocy wyznał mu coś, co człowiek powinien zabrać ze sobą do grobu. Równało się to złożeniu własnego życia w ręce młodzieńca, ale eksplorator był pewien, że jeśli na tym świecie istnieje ktoś, kto nie byłby w stanie go zdradzić, to tą osobą jest Allan. A więc pełnym grozy szeptem, jakim czarna nianka opowiadała dziecku historie o cmentarzach nawiedzanych przez zjawy i żywe trupy, Reynolds powierzył przyjacielowi swój najciemniejszy sekret: kapitan MacReady nie był pierwszym człowiekiem, którego zabił; zanim zaokrętował się na „Annawanie”, uśmiercił innego mężczyznę, choć tamtym razem nie posłużył się kulą – tamtym razem ograniczył się do otworzenia okien. Gdy skończył mówić o tym, jak spowodował śmierć Symmesa, wzrok Allana na dłuższy czas zagubił się gdzieś daleko. Reynolds zastanawiał się, czy jego ciemne oczy przyglądają się w tym momencie tamtemu pokojowi w Bostonie, w którym sierżant nigdy nie był, a w którym leżał na podłodze żaloszny człowiek, bezradny i opuszczony, podczas gdy śnieg tkął mroźny płaszcz, aby go nim okryć. Potem Allan ponownie skupił wzrok na Reynoldsie i z

półuśmiechem, który go jednocześnie odmładzał i postarzał, rzekł:

– Mój drogi przyjacielu, jeśli kiedyś osądzą cię za to w niebie, mam tylko nadzieję, że będę u twojego boku, żeby ci pomóc w wymyśleniu jakiegoś dobrego usprawiedliwienia.

Reynolds uśmiechnął się, zadowolony, że Allan nie potępił go za ten czyn. Nikt nie jest zupełnie uczciwy ani też zupełnie niegodziwy, pomyślał zapewne artylerzysta, i choć usilnie próbował sobie wmówić, że wszystko, co się zdarzyło na Antarktydzie, zmieniło jego towarzysza, że po tym, jak został poddany tak okrutnemu katharsis, jest człowiekiem odnowionym, dobrym i godnym zaufania, wiedział, że nikt nie zmienia się nigdy całkowicie, jedynie w kiepskich powieściach. Gdyby myślał inaczej, byłoby to tak bezsensowne, jak uważać, że wyszedł z tego wszystkiego dzięki temu, że umie grać na skrzypcach.

Allan ze swej strony również nie zachowywał zbytnej rezerwy i pod serdecznym spojrzeniem Reynoldsa wyłożył przed nim wspomnienia swojego krótkiego życia z tą samą radosną desperacją, z jaką przelewał stany swej duszy na papier, rysując autoportret, w którym on sam próbował się rozpoznać, rozszyfrować, jakim rodzajem człowieka był w tamtych odległych dniach, kiedy nie znał strachu i mógł go sobie jedynie chorobliwie wyobrażać. Eksplorator słuchał go oczarowany, podziwiając dar młodego sierżanta do malowania słów na płótnie powietrza, używania kolorów tak żywych, że w porównaniu z nimi nawet jego własne wspomnienia bledły. I tak Reynolds widział młodzieńca, jak płynie szczupły niczym traszka sześć mil pod prąd rzeki James, naśladować swego mistrza Byrona; jak zakochuje się w pani Stanard, subtelnej matce jednego ze swych przyjaciół, którą uczynił swoją muzą, aż kobieta utonęła w mętnych wodach obłędu; i jak płacze ze złości w swoim pokoju po każdej sprzeczce z ojczymem, który uparł się, by zrobić z niego prawnika, nie bacząc na to, nad czym jego wychowanek ślęczy co noc przy blasku świecy, że splata wiersze przeobrażające go w poetę; widział go też, jak pisze do młodej Elmiry Royster listy, które – co później odkryje oburzony – jej ojciec przechwytywał, zanim zdążyły rozpalić jej serce żarliwą miłością, jaką były przesycone. Był to portret młodego udręczonego buntownika, któremu rodzice nie zostawili w spadku nic więcej jak krew osłabioną gruźlicą, zachłannego czytelnika i błyskotliwego studenta obciążonego duszą pełną burzy i naporu, człowieka, którego alkohol zatruwał już przy pierwszym łyku i który właśnie skończył pisać długi wiersz pod tytułem *Al Aaraaf*, akurat wtedy gdy Marsjanin przybył z gwiazd, aby posiać w ich nocach koszmary, a przy okazji, ponieważ nie ma tego zła, coby na dobre nie wyszło, zainspirował go do napisania powieści, ta zaś już zaczynała kształtować się w umyśle Allana, wzbudzając w nim pewność, że ostatecznie zostanie pisarzem. Po cóż przeżył to piekło, jeżeli nie po to? No właśnie, po co? – zgodził się z nim Reynolds.

Jak więc widzicie, poznali się nawzajem nawet lepiej, niż każdy z nich znał samego siebie, i w tej przyjaźni znaleźli sposób na znalezienie pociechy w samotności, jaka im przeniknęła pod skórę, kiedy odkryli, że człowiek nie jest jedynym mieszkańcem Stworzenia. Jednak w miarę jak się zbliżali do celu, obaj przestawali rozmawiać o potworze z gwiazd. Początkowo czynili to z ostrożności, aby po powrocie do Ameryki nie wymknęło im się coś niepotrzebnie, a potem dlatego, że przyzwyczaili się do swej wymyślonej historii i bezwiednie przyjęli ją jako prawdziwą. I chociaż Reynolds fantazjował świadomie, zadowolony, że owe straszliwe wspomnienia zacierają się w pamięci z powodu nieużywania, zaczęła go martwić niezdrowa fascynacja, jaką Allan zdawał się oddawać tej farsie; obawiał się nawet o jego zdrowie psychiczne, odkąd ten w jednej z zażyłych rozmów nadmienił, że owa apokryficzna rzeczywistość stała się jakby

autentyczna. Z każdym mijającym dniem artylerzysta wydawał mu się bardziej nerwowy, nieobecny, wręcz przeźroczysty, jakby jego rozum przecierał się niepostrzeżenie niczym dywan w przechodnim pokoju. Niepokoiło to Reynoldsa, ale nie zdecydował się poruszyć tej sprawy bezpośrednio w rozmowie z obawy, by nie wywołać gorszych szkód. Moim zdaniem był to niepokój bardziej zrozumiały dla człowieka tamtych czasów, ponieważ dopiero za ponad pół wieku pewien austriacki neurolog miał wyjawić światu mechanizmy działania ludzkiego umysłu dającego się porównać – jeśli mi na to pozwolicie – do średniowiecznego zamku, którego wytworna kamienna podłoga skrywa gęstą sieć korytarzy i piwnic, one zaś są przechowalnią wszystkiego, czego monarcha nie chce mieć przed oczami.

Tak czy inaczej, kiedy Reynolds i Allan przybyli do Ameryki, obaj bez wahania opowiedzieli swoją wysnutą z fantazji historię przed armią dziennikarzy oczekującą na dwóch członków Wielkiej Amerykańskiej Ekspedycji Polarnej. Całymi godzinami w nieskończoność mówili łamiącym się, rwącym głosem o wszystkim, co przeżyli od momentu, gdy wyruszyli z nowojorskiego portu w poszukiwaniu wejścia do wnętrza Ziemi.

A świat najwyraźniej im wierzył.

Wyczerpani po udzieleniu niekończących się wywiadów, wrócili wreszcie do Wirginii i Reynolds przekonał się z ulgą, że jej powietrze najwidoczniej dobrze robi Allanowi, ponieważ po kilku dniach doszedł zupełnie do siebie, wyłaniając się z poczwarki ich urojonej pantomimy przeobrażony w motyla normalnie trzepoczącego skrzydłami albo przynajmniej na tyle normalnie, na ile to robił, zanim eksplorator go poznał. Wystarczyło jednak, aby Reynolds zajrzał mu w oczy, by dostrzec, jaki ślad groza pozostawiła w jego duszy, toteż nie wiedział, czy Allan pamięta to, co naprawdę wydarzyło się na Antarktydzie, czy raczej pogrzebał to pod tamtą garścią kłamstw. Tydzień po ich przybyciu, nie mogąc już dłużej znieść niepokoju, wołał zapytać go wprost. Młodzieniec spojrział na niego z wyrazem lekkiego zaskoczenia.

– Oczywiście, że pamiętam, co się nam tam przydarzyło, mój drogi przyjacielu. Co wieczór zmuszam się, aby to sobie przypomnieć i nakarmić tamtą grozą moje koszmary, każdego ranka zaś zmuszam się do zapomnienia, by uspokoić puls i móc to spisać – wyznał z łagodnym uśmiechem. – Nie martw się o mnie, Reynolds. Jestem artystą. A artysta nie jest niczym więcej jak człowiekiem porwanym przez wodę: jedno jego wiosło to zdrowy rozsądek, drugie to szaleństwo, ale on nigdy nie zazna odpoczynku od żadnego z nich, będzie płynął pomiędzy nimi dwoma, wleczony przez wodę swej sztuki, daleki od życia toczącego się na lądzie, skąd obserwują go pozostali, nie mogąc mu pomóc, aż umrze w bezkresie morza.

Reynolds wprowadzić nie do końca zrozumiał tę wymyślną metaforę, ale skinął głową – pojął pierwsze zdanie, i to mu wystarczyło. Allan pamiętał wszystko. Doskonale wiedział, że zaatakował ich Marsjanin. Potrafił odróżnić prawdziwe zdarzenia od zmyślonej wersji, wyobrażenie od rzeczywistości. Nie oszalał, czego obawiał się eksplorator.

I Reynolds, zadowolony z odpowiedzi, nigdy więcej już o to nie pytał. Odkąd postawił stopę na błogosławionej amerykańskiej ziemi, zdjął z siebie kostium marzyciela – aby pozostać przy metaforach – spalił go w równie metaforycznym kominku i z euforią powitał swoją prawdziwą praktyczną naturę. Zatem skoro zdrowie fizyczne i psychiczne artylerzysty wyglądało na dalekie od zagrożeń, niedoszły odkrywca zajął się własnymi

sprawami, uważając, że aż nadto dobrze wywiązał się z roli przyjaciela.

W pierwszej kolejności udał się do Josephine, swojej narzeczonej, z zamiarem zerwania tej znajomości, tak jak sobie postanowił podczas ekspedycji. Lecz ku własnemu zaskoczeniu wyszedł stamtąd z ustaloną datą ślubu. Na początku spotkania przyglądał się pannie z enigmatycznym skupieniem, spodziewając się, że wykluje się gdzieś w nim w głębi coś na podobieństwo odrazy, ponieważ po tym, jak poznał niezmierną, nową dla siebie miłość życia, nie chciał spędzić ani jednego dnia dłużej z kimś, kto oddycha, nie doświadczając najmniejszej radości wobec takiego cudu. Przedtem może z rezygnacją zgodziłby się na ten związek, lecz teraz aspirował do czegoś więcej. Już nie potrzebował pieniędzy ani szacunku ze strony bliźnich, ani też chwały, ani wysokiej pozycji społecznej. Teraz pragnął żyć miłością, paść ofiarą nieśmiertelnej namiętności, ponieważ nie chciał umierać, nie zaznawszy tego, co nagle wydało mu się najbardziej wysublimowanym ze wszystkich uczuć. A Reynolds miał pewność, że Josephine nie jest kobietą przeznaczoną do tego, by go inspirować. Jednakże patrząc, jak przed nim siedzi w sukni stosownej do wieczornej pory i słucha o jego przygodach z pogodną uprzejmością, ale nie okazuje najmniejszego zainteresowania światem, który dla niej nie ma żadnej wartości ani spójności, jako że po prostu nie jest jego mieszkanką, zwątpił w istnienie życia we wnętrzu Ziemi czy w głębinach kosmosu. A może dokładniej byłoby rzec, że wołał o tym życiu nie wiedzieć, ponieważ nagle to, co miał przed sobą, ten świat tak oczywisty, pełen rzeczy widzialnych i namacalnych, wolnych od jakiegokolwiek tajemnicy – takich jak stojący przed nim na stole porcelanowy czajniczek czy naszyjnik dziewczyny – ten świat po raz pierwszy okazał się dla niego wystarczający. I Josephine, wyniesiona do roli cesarzowej w tej fałszywie prawdziwej rzeczywistości zamieszkałej przez proste osoby, wydała mu się idealnym schronieniem przed pulsującym gdzieś tam daleko horrorem. Reynolds nieoczekiwanie zrozumiał, że jedyny sposób na pokonanie strachu i szaleństwa, jakie mu grożą, to stać się tak prostym jak ona, chronić się za obojętnością i niewiedzą bezgranicznie pospolitych dusz. I spoglądając na dziewczynę, powiedział sobie, że tylko od niego zależy, czy będzie ją postrzegał jako piękniejszą lub bardziej interesującą, niż jest w rzeczywistości, zatem przystąpił do dzieła z błogosławieństwem własnego niespożytego ducha praktycyzmu i po półgodzinnej egzaltowanej pogawędce zdołał sprawić, że Josephine zapomniała o apatii, z jaką zalecał się do niej do 'tej pory, i oddała serce temu niespodziewanie entuzjastycznemu amantowi, którego zwróciły jej lody. „A jakież może być lepszy sposób zakotwiczenia się w tej nieszkodliwej rzeczywistości, którą człowiek zbudował wokół siebie, aniżeli pełne poświęcenia dogłębne, by dobrze funkcjonowała?” – rozmyślał Reynolds. Tak więc złożony na ustach swojej nowej narzeczonej pocałunek bardziej szczery niż kiedykolwiek dotąd, spakował swe rzeczy do kufra, pożegnał się z Allanem i wyruszył do Nowego Jorku, by studiować prawo.

Jednakże, mimo że się schronił za palisadą zwyczajnego, nudnego życia, nic nie mógł poradzić na to, że wspomnienia tego, co się zdarzyło na Antarktydzie, dopadały go, ilekroć stracił czujność. Wystarczyło popatrzeć na dłoń lewej ręki. Widniało na niej dziwne poparzenie w kształcie marsjańskiej litery czy symbolu, którego znaczenia już nigdy nie pozna i który go ostrzegał, że świat skrywa więcej tajemnic, niż widać na pierwszy rzut oka. W niektóre noce myśli te nie pozwalały mu zażyć pokrzepiającego snu i eksplorator aż do świtu wpatrywał się przez okno w rozgwieżdżone niebo, zastanawiając się nad tym, co stało się z Marsjaninem. Czy rzeczywiście z nim skończyli, czy może przeżył, znalazł sposób, aby podążyć za nim do Ameryki i teraz śledzi go pod postacią

któregoś z towarzyszy ze studiów? Wiedział, że to nieprawdopodobne, ale ta świadomość nie zapobiegała fali strachu, jaka go zalewała, ilekroć któryś z kolegów przyglądał mu się z większą uwagą niż zwykle. Z niejakim Jensenem, który zaprosił go na brandy w swoim pokoju, nawet przestał rozmawiać. Reynolds zdawał sobie sprawę z tego, że odnosi się do ludzi z nadmierną – żeby nie powiedzieć: nedorzeczną – nieufnością, ale nie umiał się pozbyć lęków określających teraz jego życie. Czuł, że jest sam, spowity w samotność tyleż do tej pory nieznaną, ile absurdalną, którą przepłoszyć były w stanie tylko listy od Allana, jedynej osoby, jaka go rozumiała.

Odkąd przeniósł się do Nowego Jorku, jego przyjaciel nabrał zwyczaju wysyłania doń długich listów, w których powiadał go na bieżąco o nowinach ze swojego życia, choć okazało się oczywiste, że nic było to niczym więcej jak pretekstem do zwierzenia się z niepokojów duszy, ponieważ Allan potrzebował go tak samo jak on jego. Dzięki tym listom Reynolds był świadkiem, jak życie jego jedynego przyjaciela zmienia się wolno niczym kształt przeciągającego się kota. Z pierwszego dowiedział się, że artylerzysta siłą wymógł, by go relegowano z West Point, co spowodowało kolejną kłótnię z ojczymem, tym razem tak zajadłą, że Allan postanowił schronić się w Baltimore, w domu swej ciotki Marii Clemm, a zwierzył się przyjacielowi, ponieważ był rozczarowany znikomym sukcesem, jaki osiągnął, wydając *Al Aaraaf* długi wiersz, napisany jeszcze podczas pobytu na „Annawanie”. Reynolds jednak natychmiast zrozumiał, że owe poboczne szczegóły pełnią wyłącznie funkcję wynikającej z dobrych manier przedmowy do tego, o czym Allan tak naprawdę chce mu opowiedzieć: o swoich koszmarach, złowieszczej robótce, którą jego umysł dziurzył w ciemności. Wyznał mu, że śnią mu się wszelkiego rodzaju horrory: statki obsadzone załogą umarłych, damy o pięknych zębach, które przed jego oczami rozkładają się, padając ofiarą tajemniczego zła, a nawet on sam torturowany przez hiszpańską inkwizycję bądź wydłubujący kotu oczy scyzorykiem, a następnie wieszający okaleczone zwierzę bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Czasami wychodzi na ulicę tak poruszony, że wydaje mu się, iż mija sam siebie.

Te mroczne plody, które z taką łatwością zawładnęły moimi snami – pisał z przygnębieniem – sprawiają, że budzę się w środku nocy okropnie zgnębiony, z oszalałym sercem, zlany lodowatym potem. Choć muszę Ci się zwierzyć, że nigdy nie pisałem tak jak teraz. Nie chcę odrzucać tych koszmarów, ponieważ obawiam się, że są one jedynym sposobem, aby stłumić strach dręczący mą nieszczęsną duszę, grozę, którą w końcu nauczyłem się przelewać na papier, i to tak wiarygodnie, jakbym pisał własną krwią.

Reynolds zamknął tamten list ze smutnym uśmiechem. Marsjanin poplamił ich dusze cieniem, ale można się było tylko cieszyć z tego, że przynajmniej w przypadku Allana cienie te okazały się użyteczne. Jemu samemu przysłużyły się tylko do tego, że przestał patrzeć w gwiazdy niewinnymi oczyma i zaczął okazywać nieusprawiedliwioną nieufność każdemu, kto przyglądał mu się ciekawie, lecz Allan znalazł zdumiewająco żyzną ziemię tam, gdzie kielkowały. I cieszył się, wyobrażając go sobie, jeżeli nie szczęśliwego, to przynajmniej spokojnego tam w Baltimore, mającego opiekę ciotki i zajętego wykuwaniem dla swego nazwiska sławy pisarza, a jednocześnie starającego się trzymać swoją niedolę za zamkniętymi drzwiami.

Dwa lata później, gdy jego własne lęki już prawie wygasły, Allan napisał do niego w

końcu z dobrymi wiadomościami.

Drogi Przyjacielu!

Z radością Ci donoszę, że jedno z moich opowiadań otrzymało nagrodę literacką. Wygląda na to, że jednak się oplaca ciężko pracować, w co już zaczynałem wątpić, choć w tym przypadku nagroda jedynie nappełniła mnie szczęściem i natchnęła pewnością siebie, ponieważ nie zdołała wyrwać mnie z kleszczy nędzy, które w ostatnich dniach ze zdwojoną siłą zacisnęły się na mym biednym gardle, musisz bowiem wiedzieć, że mój ojczym zmarł, nie zostawiając mi ani centa. Żaden spadek nie może mnie już uratować z wieczystego stanu rozbitka, jakim jest moja egzystencja. Nie martw się jednak o mnie zbyt, Przyjacielu, ponieważ chociaż nie mam stroju, w którym mógłbym pójść na proszony obiad, życie jeszcze mnie nie pokonało. Jestem ocaleńcem, Ty o tym wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, i za kilka dni będę bezpiecznie uratowany w najlepszym okopie, jaki można znaleźć, a jest nim moja kuzynka Virginia. Tak, drogi Przyjacielu, chcę, abyś dowiedział się o tym pierwszy: Virginia i ja postanowiliśmy się wkrótce pobrać w tajemnicy.

Reynoldsa nie zaskoczyło pośmiertne skąpstwo ojczyma Allana, ale nigdy by nie przypuszczał, że artylerzysta postanowi ożenić się ze swoją kuzynką Virginią, dziewczynką zaledwie trzynastoletnią i – z tego co słyszał – niezbyt rozwiniętą umysłowo. Tak ekstrawagancki ślub jednak najwyraźniej przyniósł Allanowi szczęście, ponieważ młodzieniec wkrótce przeniósł się do Richmond, by objąć zaproponowane mu stanowisko redaktora w przeglądzie literackim „Southern Literary Messenger”. Mimo to Reynolds szybko się dowiedział, że coraz częściej widuje się jego przyjaciela, jak żałośnie pijany wychodzi z najniebezpieczniejszych tawern – z tego powodu jego ciotka i Virginia musiały się przeprowadzić za nim do Richmond, aby go trzymać z daleka od diabelskiej butelki. Dzięki ich uwadze i trosce Allan zdawał się wracać do normalności.

To wtedy Reynolds dostał list, w którym artylerzysta obwieszczał, że korzystając z mody na książki o podróżach morskich, zaczął pisać powieść inspirowaną tym, co się zdarzyło podczas ich polarnej wyprawy. Historia, zatytułowana *Przygody Artura Gordona Pyma*, zaczęła się ukazywać w czasopiśmie kilka tygodni potem i Reynolds czytał każdy jej odcinek z poruszeniem w sercu. Owe stronicę zmuszały go do odkurzenia wspomnień z dni spędzonych na Antarktydzie, lecz nie czuł już przy tym strachu, tylko dziwną melancholię, ponieważ teraz zrozumiał, że tamta groza pozwoliła mu również przeżyć momenty, jakich nigdy by nie zaznał w swoim bezpiecznym przeciętnym życiu dziennikarza: rozmawiał z Marsjaninem, ten ścigał go, a on zdołał mu uciec i wciągnąć go w lodową pułapkę, nie wspominając już, że zabił człowieka i ocalił innego. Nie było to coś, co często przytrafia się ludziom. Jednak on to robił, choć teraz tamte chwile wydawały się prawie snem. A kiedy przyjdzie pora, by go pochować jako przeciętnego prawnika, jego zwłoki na wieczność będą nosić wypalony na dłoni dziwny marsjański znak.

Powieść Allana zaczynała się od podróży brygantyną „Grampus” na morza południowe i oprócz rytmicznej i fonetycznej równoważności nazwisk autora oraz głównego bohatera zawierała również inne elementy autobiograficzne, niektóre bez wątpienia nawiązujące do ich polarnej wyprawy: część akcji przebiega w ładowni tak

duszaco ciasnej, jak gdyby potwór z gwiazd wybrał ją sobie na kryjówkę, a jedną z postaci jest Metys nazwiskiem Peters. Tu jednak kończyły się w powieści echa ich fatalnej w skutkach ekspedycji, ponieważ w drugiej części, opowiadającej o wyprawie do południowego koła podbiegunowego, Allan pozwolił sobie polegać wyłącznie na własnej wyobraźni, być może w obawie, że jego duch rozsypie się na kawałki, jeśli przypomni sobie prawdę: po licznych ciężkich i gwałtownych przejściach, uniknąwszy zderzeń z górami lodowymi i mając część załogi dotkniętą skorbutem, statek zdołał dotrzeć na jakąś wysepkę, gdzie został powitany przez tubylcze dzikie plemię, które zamierzało pochwyć załogantów. W scenie kończącej ten makabryczny festiwal okropności, po skierowaniu się na południe i przepłynięciu oceanu białego jak mleko, w deszczu drobniutkiego popiołu bohaterowie, nim runą w imponujący wodospad, dostrzegają tajemniczą, nieskazitelnie białą postać, znacznie większą od jakiegokolwiek mieszkańca Ziemi.

Reynolds napisał do przyjaciela długi list, w którym wyraził, jak bardzo podobała mu się jego powieść, a także spróbował wyciągnąć z niego, co ma oznaczać to tyleż dziwne, ile aluzyjne zakończenie. Zapytał o to najdelikatniej jak umiał, ale ku jego zaskoczeniu artylerzysta też za bardzo nie wiedział, co czeka jego bohaterów na skraju wielkiego wodospadu.

Raptowny koniec powieści doczekał się najróżniejszych komentarzy, mój drogi Reynoldsie – odpisał. – Niektórzy krytycy twierdzili, że jej nie zakończyłem, porzuciłem w kulminacyjnym momencie być może z lenistwa, gdy wyszło źródło mej ubogiej wyobraźni, albo dlatego, że własna historia mnie przerosła, jak gdyby coś kazało mi zamilknąć. Niech sobie snują przypuszczenia, nieszczęśni biedacy. Prawda jest jednak taka, że nawet ja sam nie znam odpowiedzi, ponieważ ostatnie strony pisałem w stanie, który można by tylko określić jako głębokie olśnienie, w okresie okropnych koszmarów. Nieuniknioną kolejną rzeczy pojawiała się w nich straszliwa istota, a kiedy się budziłem, jedyne, co mogłem sobie o niej przypomnieć, to wrażenie wywoływanej przez nią grozy. Ale nie martw się o mnie, Przyjacielu. Znam Cię dobrze, wystarczająco, aby zgadnąć, co w tej chwili myślisz: obawiasz się, że Twój biedny przyjaciel stracił rozum. Odetchnij spokojnie, jeszcze do tego nie doszło. Jednak przed Tobą nie chcę kłamać: w jakiś sposób, którego nie umiem wyjaśnić, czuję, że coraz bardziej oddalam się od mentalnego zdrowia. Koszmary nachodzą mnie, nawet kiedy nie śpię. Czasami myślę: czy jestem chory? Co ze mną będzie? I wiem, że tylko Ty podejrzewasz odpowiedź.

Reynolds ostatnie słowa przeczytał wstrząśnięty. Odnowiły się wszystkie obawy, jakie żywił względem zdrowia psychicznego Allana podczas podróży powrotnej do Ameryki. Może ten umysł, tak błyskotliwy, delikatny i zawily, nie był w stanie przyjąć życia zbudowanego na fundamentach dobrowolnego zapomnienia. Reynolds nie miał najmniejszego problemu z prowadzeniem życia w taki sposób, ponieważ zmusił się, aby nie przypominać sobie stale tamtego epizodu, a jednocześnie ponownie napełnił głowę najróżniejszymi codziennymi troskami, tak że z upływem lat ostatecznie udało mu się zatrzeć straszliwe wspomnienia z Antarktydy. Być może mógł tak zrobić, gdyż mechanizmy rządzące działaniem jego umysłu są znacznie prostsze niż te u artylerzysty –

uświadomił sobie bez zawstydzienia. Czyż nie zapomniał, że zabił Symmesa? Allan zaś, jako że nie potrafił z własnej woli zapomnieć tamtych wydarzeń, musiał je gdzieś umieścić, ogrodzić kamiennym murem wzniesionym w tym celu, choć nie umiał zapobiec temu, by przez tę skałę przenikała groza i rozlewała się po bezkresnych białych pustkowiach wolnych kartek, które codziennie kładł na swoim biurku. Tak, właśnie tam wysiedlał Allan wszystkie potwory, które chciał wyplenić ze swojego życia. Reynolds jednak podejrzewał, że jego przyjaciel z coraz większym trudem rozróżnia, który z tych dwóch światów jest autentyczny: życie czy pisarstwo. Mimo swoich niepokojących wniosków Reynolds wysłał tylko Allanowi list pełen stereotypowych słów pocieszenia, ponieważ wiedział, że niewiele więcej może zrobić dla udręczonego artylerzysty, jak prosić Boga – w którego wierzył z coraz mniejszym przekonaniem – aby ten biały olbrzym czekający na jego przyjaciela na skraju wodospadu nie okazał się duchem zupełnego szaleństwa.

Następny list od Allana przybył z Filadelfii, dokąd artylerzysta przeniósł się, by spróbować szczęścia, po tym jak nieustanne pijatyki nieodwracalnie pogorszyły jego stosunki w pracy.

Lecz bieda jak wierny pies podążyła za nami – pisał – i muszę zaprzęgać me pióro do prac bardziej przyziemnych, niżbym pragnął. Piszę nawet na zamówienie książkę o badaniach nad muszlami mięczaków; nie muszę Ci mówić, jaką estetyczną przyjemność może mi sprawić coś takiego... Na szczęście wśród tych zleceń nie zostaje mi czasu na pisanie opowieści, mrocznych, chorych opowieści, które przerażają nawet mnie samego. Wiem jednak, że nie mogłyby być inne, Przyjacielu, ponieważ są ulepione z ciemnej gliny, którą czerpię wprost ze swych koszmarów. Nawet moje opowieści o przypadkach Auguste'a Dupina, choć próbowałem uczynić je mniej posepnymi, nie mogą się uwolnić od tej nieuniknionej grozy, która okrywa je jak wilgotny mech. Jedynie moja ukochana Virginia potrafi przesączyć nieco światła do mej ciemnej duszy, gdy codziennie kiedy wracam z pracy, wita mnie bukietem świeżo ściętych kwiatów.

Niestety, światło to okazało się wątłe jak blask świecy, ponieważ szybko zgasło. Kolejny list Allana był straszny i rozdzierający, napisany przez kogoś, kto stracił wiarę w życie.

Mój Przyjacielu, piszę do Ciebie zdruzgotany, na skraju najgłębszej z otchłani, ponieważ nie żywię już żadnych złudzeń co do tego, że zły los za najlepszą igraszkę wybrał dla siebie moją nieszczęśliwą duszę. Virginia, moja delikatna nimfa, podupała na zdrowiu. Kilka dni temu, kiedy raczyła nas śpiewem, akompaniując sobie na harfie przy moich ulubionych melodiach, głos jej się załamał na jednej wysokiej nucie, a następnie, niczym w jakiejś makabrycznej choreografii wymyślonej przez samego diabła, z jej słodkich ust popłynęła krew. To gruźlica, drogi Przyjacielu, dopadła ją gruźlica. Tak, ta niesławna harpia według lekarzy porwie ją w ciągu dwóch lat lub nawet szybciej, nie bacząc na to, że nieobecności mojej ukochanej nie zdoła mi wynagrodzić żadna inna. Co ze mną będzie, kiedy jej zabraknie, Reynolds? Co ze mną będzie, kiedy zacznę wędznąć, gdy jej

młodzieńcza uroda będzie tracić płatki, dzień po dniu zostawiając w moich nieporadnych dłoniach ich rozsnutą garść, z której na próżno będę próbował z powrotem złożyć różę?

Dogłębnie poruszony chorobą dziewczyny, której nawet nie znał, oraz dzikim bólem, jaki to nieszczęście wywołało w jego przyjacielu, Reynolds postanowił pomóc mu w miarę swych możliwości, i zaproponował na pocieszenie pobyt w gospodarstwie w Bloomingdale, na obrzeżach Nowego Jorku, w skromnym raju otoczonym świeżym powietrzem i miękką trawą łąk, aby przyroda tchnęła w Virginię życie, z którego śmierć tak leniwieją okradała. Tam we dwoje znaleźli krótkie wytchnienie, jak powiadomili Reynoldsa, a nawet zdołali wskrobać dla siebie z życia nieco szczęścia, ale sroga zima zmusiła ich do powrotu do Nowego Jorku.

Wkrótce po przyjeździe Allan wstrząsnął literackimi kręgami miasta, publikując *Kruka* – wiersz, nad którym długo pracował i który pozwoliło mu dokończyć spokojne lato. Eksplorator słyszał, że ludzie tłumnie przybywają na odczyty, pragnąc usłyszeć, jak sam poeta wygłasza owe mroczne, przejmujące do głębi serca wersy. Zaintrygowany, wybrał się na jeden z tych wieczorów autorskich i na miejscu przekonał się o efekcie, jaki czytanie artylerzysty – siedzącego sztywno na krześle, z połyskliwie bladym obliczem – wywołuje u zgromadzonej publiczności, szczególnie u wrażliwych dam. Po skończonym występie Reynolds zaprosił przyjaciela na kolację do pobliskiej restauracji i tam artylerzysta, kiedy niczym niezdarny chirurg przeciął swoją pieczeń rzymską, nie wytrzymał i zgnębiony wyznał, że to oscylowanie między nadzieją a rozpaczą, które sprowadza na jego duszę choroba Virginii, jest znacznie gorsze niż sama śmierć jego żony. A on znalazł tylko jeden skuteczny sposób na obronę przed tym stanem ducha: zażywanie alkoholu i laudanum. Rzecz jasna nie rozmawiali o tych dziwnych i jakże odległych dniach, które obaj spędzili na Antarktydzie, walcząc ramię w ramię z zastraszającą kosmiczną istotą, która ich chciała zabić. Tamto wszystko brzmiało teraz nierealistycznie, wręcz jak wyimaginowane i pozbawione znaczenia. I kiedy się żegnali mocnym uściskiem, dla Reynoldsa nie było już nawet ważne, czy artylerzysta postradał rozum czy nie. Umierała miłość Allana, śmierć stopniowo zabierała jego Virginię, odciągała ją od jego boku, i nikt nie mógł nic na to poradzić. Gdzieś ktoś postanowił, że te dwie dobre, szczodre osoby mają cierpieć, nie wiedząc nawet za co, a wybór ten wydawał się bezpodstawny. To, a nie co innego sprawiało, że świat stawał się naprawdę przerażającym miejscem.

Reynolds nie musiał otwierać kolejnego listu, wysłanego z jakiegoś miejsca wiecznej tułaczki Allana, aby odgadnąć bolesną nowinę. Przyjaciel powiadał go również, że w swej chaotycznej wędrówce ostatecznie powrócił do Richmond. Tam dowiedział się, że Elmira, miłość jego dzieciństwa, ta dziewczyna, która nigdy nie otrzymała wysłanych przez niego listów, jest teraz szanowaną wdową, i odszukał ją natychmiast, jak ktoś, kto ma potrzebą zatoczenia koła. Elmira przyjęła jego zabiegi i w ciągu kilku tygodni umówiono małżeństwo. To wtedy Reynolds dostał od Allana ostatni list. Przyjaciel pisał w nim, że zatrzyma się w Baltimore w drodze do Filadelfii, dokąd wyrusza w poszukiwaniu ciotki, by ją sprowadzić na ślub. Reynolds odpowiedział niezwłocznie, proponując, że go odbierze z portu i spędzi z nim godziny oczekiwania na pociąg. Jednakże różne sprawy – tak niedorzeczne, że potem chcąc nie chcąc, wspominał je z gorzką złością – zatrzymały go dłużej, niż to konieczne, i kiedy przybył do portu, Allana już tam nie było.

XIII

Dwudziestego dziewiątego września 1849 roku Baltimore obudziło się otulone okropnym zimnem. Był to dzień wyborów prezydenckich i przy drzwiach tawern, zaadaptowanych na lokale wyborcze, ludzie palili ogniska, żeby sobie jakoś radzić z ziąbem. Nie znalazłszy Allana, Reynolds z drzeniem duszy przypomniał sobie, że powszechną praktyką zwolenników partii politycznych było upijanie bezradnych biedaków i ciągnięcie ich od jednej komisji do drugiej, aby wiele razy głosowali na tego samego kandydata. Nagle zdjęła go obawa, że jego przyjaciel padł ofiarą jednej z takich grup, i zaczął pośpiesznym krokiem przemierzać ulice miasta, rozpytując o artylerzystę we wszystkich spotykanych po drodze tawernach. I gdyby ktoś obserwował peregrynację eksploratora z góry, tak jak ja, przekonałby się z gorzkim smutkiem, że Reynolds przy niejednej okazji już–już miał się natknąć na Allana, ale mijał się z nim, ponieważ w ostatnim momencie przypadek kierował go w tę uliczkę zamiast w tamtą.

Tak więc skoro los nie chciał ich połączyć, Allan wędrował od tawerny do tawerny straszliwie pijany, popychany przez grupkę bezdusznych drani, którzy go oszukali, gdy tylko statek zacumował w porcie. Szedł, zataczając się i obejmując sam siebie, aby się jakoś ochronić przed zimnem, które przenikało pod żebracze łachy, w jakie go przyodziali, żeby z niego zadrwić, a tymczasem wszystko dokoła coraz bardziej zamazywało mu się przed oczami, aż wyczerpanie i zamroczenie alkoholowe kazały mu paść na kolana przed jedną z tawern. Nie był w stanie podnieść się z klęczek i tam grupka prześmiewców zostawiła go własnemu losowi, jak bezużyteczny przedmiot wyrzucony na śmietnik. Oddychając z trudem, wstrząsany dreszczami Allan przyglądał się ognisku płonącemu przed wejściem do tawerny. Pragnął, aby mu posłużyło za kotwicę w tym rozchwianym świecie, ale zawroty głowy sprawiły, że skromny ogień przybrał rozmiary pożaru, a okrutne zimno i frenetyczny taniec płomieni sprzysięgły się, by szarpać jego pamięć.

Przerażony Allan poczuł, jak w jego umyśle pęka mała śluza i wspomnienia, które dotąd powstrzymywała, zalewają mu kaskadą świadomość z tak oślepiającą jasnością, że zaczął je naprawdę przeżywać na nowo: ujrzał „Annawan” okryty buzującą czapą ognia, ujrzał marynarzy rzucających się na lód z płonącego jak szczapa pokładu, ujrzał potwora z gwiazd zbliżającego się do nich ze szponami zbroczonymi krwią, ujrzał sforę psów z poodcinanymi głowami i usłyszał głos Reynoldsa, który każe mu się podnieść, mówi, że muszą biec, jeśli chcą uratować życie, nawet jeżeli będzie trwało tylko kilka minut dłużej. I Allan zaczął desperacko poruszać ramionami, wyobrażając sobie, że biegnie, chociaż klęczał, a przy tym wcale nie czuł, jak zdziera sobie kolana na twardym podłożu. Artylerzysta biegł po śniegu popychany przez Reynoldsa, uciekając przed potworem, który zamieszkiwał jego koszmary, a teraz znowu deptał mu po piętach; potworem, który przybył na Ziemię z Marsa lub jakiejś innej planety wszechświata, ponieważ wszechświat jest zamieszkiwany przez okropne stworzenia, jakich nieudolna ludzka wyobraźnia nie jest nawet w stanie wyśnić; potworem, który go zaraz niechybnie rozszarpie, bo on nie może już biec dalej, bo jest wyczerpany, bo chciałby się tylko położyć tu, na lodzie, i pozwolić, by wszystko się skończyło. Ale nie, jego przyjaciel go ciągnie. „Biegnij, Allan, biegnij, do cholery!” I biegł, biegł w kółko przed ogniskiem, na kolanach, a tymczasem przed jego oczyma rozciągała się biała bezkresna nicość, słyszał ryki potwora za swoimi plecami oraz własne krzyki nawołujące eksploratora, wciąż przyzywające go na pomoc.

– Reynolds, Reynolds, Reynolds!

I nawoływał go dalej w szpitalu uniwersyteckim Waszyngtońskiego Kolegium Medycznego, gdzie Reynolds, po sprawdzeniu wszystkich szpitali w mieście, w końcu go znalazł.

Majaczącego Allana umieszczono w jednym z prywatnych pokoi, jakie znajdowały się w tej placówce – imponującym pięciopiętrowym budynku o ostrołukowych neogotyckich oknach, usytuowanym w najbardziej wyniesionym rejonie Baltimore oraz znanym z przestronności, dobrej wentylacji i doświadczonego personelu medycznego.

Jak poinformowała Reynoldsa pielęgniarka, która prowadziła go na właściwe piętro poprzez sale wypełnione żebakami w różnych stadiach przemrożenia, artylerzysta nie przestał go przyzywać, odkąd został przyjęty do szpitala. Gdy wreszcie przybyli na miejsce jego agonii, Reynolds ledwie zdołał dostrzec fragment wstrząsanego konwulsjami ciała, ponieważ przesłaniała je zebrana wokół łóżka grupka zdumionych studentów medycyny, pielęgniarek i innych wykształconych ludzi, którzy najwyraźniej rozpoznali w chorym znanego pisarza.

– To mnie woła – obwieścił poważnym głosem eksplorator.

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi zaskoczeni. Do Reynoldsa podszedł jakiś młody lekarz.

– Dzięki Bogu! Nie wiedzieliśmy, jak pana namierzyć. Jestem doktor Moran. – Reynolds ostrożnie uściśnął podaną mu dłoń. – To ja przyjąłem na oddział pana Poe... Bo to jest pan Poe, prawda? Choć miał na sobie ubranie żebraka.

Reynolds ze smutkiem spojrział na wskazane przez lekarza cuchnące łachmany, ułożone na krześle z troską, której nie były warte, i nie mógł się oprzeć pytaniu, jaki też kurs obrało życie jego przyjaciela w ciągu tych kilku godzin, gdy go szukał, skoro skończył odziany w ten sposób. Potem popatrzył na wychudzone ciało Allana, teraz okryte jedynie przepoconą koszulą.

– Zgadza się, to on – potwierdził.

– Tak przypuszczałem. Wie pan, czytałem wiele jego opowiadań. I nie mam wątpliwości, że jego dzieła go przeżyją – rzekł doktor, spoglądając na sławnego pacjenta ze współczuciem. Potem przeniósł wzrok z powrotem na Reynoldsa. – Pan Poe przybył do szpitala w stanie otępienia, nie wiedział, kto go tu sprowadził. Od tamtej pory cały czas wykrzykuje pańskie nazwisko i zapewnia, że ściga go potwór.

Reynolds skinął głową z wyrozumiałym uśmiechem, jakby był przyzwyczajony do majaków przyjaciela.

– Mówił coś jeszcze? – zapytał, nie patrząc na lekarza.

– Nie, nic więcej. Tylko powtarza to raz po raz.

I jakby na potwierdzenie słów doktora artylerzysta znów zajęczał:

– Idzie po nas, Reynolds. Potwór idzie po nas...

Eksplorator westchnął, wyrażając bezmierne zakłopotanie, po czym spojrział na krąg ludzi tłoczących się wokół jego łóżka.

– Panowie, czy moglibyście zostawić mnie z nim samego? – poprosił tonem bardziej rozkazu niż prośby. A widząc niechęć lekarza, dodał: – Tylko na chwilę, panie doktorze. Chciałbym pożegnać się z przyjacielem na osobności.

– Pacjentowi nie zostało zbyt wiele życia – sprzeciwił się lekarz.

– Nie traćmy wobec tego czasu – odparł szorstko Reynolds, wytrzymując jego spojrzenie.

Młody lekarz skapitulował, skinął głową i polecił pozostałym, aby za nim wyszli.

– Czekamy na zewnątrz. Niech się pan śpieszy.

Kiedy zostali sami, eksplorator podszedł wreszcie do łóżka.

– Jestem tu, Allan – odezwał się, biorąc go za rękę.

Artylerzysta spojrział na niego, starając się skupić na nim oczy szklane jak u wypchanego zwierzęcia.

– Idzie po nas, Reynolds! – jęknął znowu. – Zabije nas... Zabił wszystkich: Carsona, chirurga, Petersa... a teraz idzie po nas... O mój Boże! Przybył z Marsa, żeby nas wszystkich wymordować!

– Nie, Allan, to już minęło... – zapewnił go Reynolds ze strapieniem, rzucając spłoszone spojrzenie w stronę drzwi. – Zabiliśmy go. Nie pamiętasz? Udało się nam, pokonaliśmy go.

Allan powiódł dookoła nieobecny spojrzeniem i Reynolds zrozumiał, że artylerzysta nie widzi szpitalnej sali.

– Gdzie ja jestem? Zimno mi, Reynolds, bardzo mi zimno...

Eksplorator zdjął swój płaszcz i okrył nim ciało przyjaciela, który wciąż leżał na łodzie, w temperaturze poniżej czterdziestu stopni.

– Wydobrzejesz, Allan, nie martw się. Wyjdiesz z tego i wrócisz do domu. I znów będziesz mógł pisać. Napiszesz wiele książek, Allan, zobaczysz...

– Ale tak mi zimno, Reynolds... – wymamrotał artylerzysta nieco spokojniej. – Właściwie to zimno wciąż jest ze mną, zawsze. Wypływa z mej duszy, przyjacielu.

Reynolds kiwnął głową, czując, jak wilgotnieją mu oczy. Allan najwyraźniej na chwilę odzyskał rozum, jego umysł powrócił z odległych lodów, aby się znów osiedlić w rozedrganym ciele leżącym na szpitalnym łóżku, ale Reynoldsa zmartwił spokój, jaki go zaczął ogarniać.

– Myślę, że dlatego zaokrętowałem się na ten przeklęty statek, żeby sprawdzić, czy istnieje na świecie miejsce zimniejsze od mojego wnętrza.

Artylerzysta spróbował się roześmiać, ale skończyło się na przerażającym ataku kaszlu. Reynolds patrzył, jak przyjaciel rzuca się w konwulsjach na łóżku, i obawiał się, że te brutalne wstrząsy w końcu zgruchocą jego i tak wątłe ciało. Gdy w końcu ustały, Allan został z otwartymi ustami, łapczywie wciągając szpitalne powietrze, które zdawało się zatrzymywać gdzieś w wąskim kanale, zanim zdołało tchnąć życie w jego pierś.

– Allan! – krzyknął Reynolds, potrząsając nim delikatnie, jakby się bał, że go uszkodzi. – Proszę, Allan...

– Odchodzę, przyjacielu. Idę tam, gdzie mieszkają potwory... – wyszeptał ledwie słyszalnie poeta.

Zrozpaczony Reynolds patrzył, jak szyja Allana napina się, a nos wyostrza się straszliwie. Usta chorego przybrały intensywnie ciemnofioletowy kolor. I zrozumiał, że jego przyjaciel umiera. Gorzki szloch ścisnął pisarzowi gardło, lecz zdołał wykrztusić:

– Niech Bóg zlituje się nad moją biedną duszą...

– Nie bój się, Allan. Zabiliśmy go – powtórzył eksplorator, gładząc jego czoło z czułością matki, która próbuje przekonać syna, że w ciemności nie czai się żadna groza. Miał świadomość, że będą to ostatnie słowa, jakie usłyszy jego przyjaciel. – Tam, dokąd idziesz, już nie ma potworów. Już nie.

Allan zdobył się na słaby uśmiech. Potem odwrócił oczy od Reynoldsa, wbił je w jakiś punkt na suficie i opuścił swą udręczoną egzystencję z łagodnym westchnieniem, niemal ulgi. Eksploratora zaskoczyła dyskrecja śmierci, kiedy nie ujrzał, by dusza artylerzysty uniosła się z ciała niczym wzbijająca się do lotu gołębica. Bardziej z powodu zakłopotania niż z grzeczności pozostał przy łóżku jeszcze przez kilka minut z bladą ręką przyjaciela

wciąż we własnych dłoniach, aż wreszcie niezwykle ostrożnie złożył ją na jego piersi. Ironią losu ostatecznie tutaj stał się jedynym świadkiem jego śmierci, skoro nie mógł dopełnić tego na Antarktydzie.

– Obyś wreszcie odpoczął w spokoju, mój przyjacielu – rzekł.

Przykrył twarz Allana prześcieradłem i wyszedł z pokoju.

– Umarł – mruknął, przechodząc obok doktora Morana i studentów, którzy czekali na niego przy drzwiach. – Lecz jego dzieła będą nieśmiertelne.

A w drodze do wyjścia ze szpitala zastanawiał się, czy dzieła Edgara Allana Poe byłyby inne, gdyby jego egzystencja nie skrzyżowała się z przybyciem Marsjanina albo gdyby ta ciemność, która wisiała nad jego duszą, pozwoliła mu pisać w inny sposób. Lecz tego nie wie nikt, powiedział sobie ze wzruszeniem ramion. Mylił się, oczywiście – ja, owszem, wiem, ponieważ sięgam spojrzeniem wszędzie i widzę wszystko, co możliwe i niemożliwe.

W drzwiach szpitala, zanim Reynolds zszedł po schodach prowadzących na ulicę, popatrzył na rozciągający się przed nim świetlisty poranek. Powozy turkoczące po bruku, krzątania ulicznych sprzedawców i ludzie śpieszący chodnikami w te i wewte – wszystko to tworzyło porywającą symfonię życia. Eksplorator westchnął z głębi serca. Ostatecznie mimo wszystko potwór z gwiazd zabił mu przyjaciela. Trzeba przyznać, że pod tym względem zwyciężył. A to, bardziej niż zalew nienawiści czy strachu, podwoiło jego straszliwą samotność. Teraz to on był jedynym ocalałym załogantem „Annawanu” i tylko on wiedział, co się naprawdę wydarzyło na pokładzie. Czy będzie w stanie strzec tego sekretu w pojedynkę? Tak, jasne, że tak – odpowiedział sobie. Da radę, ponieważ nie ma innej opcji. Poza tym w tej sytuacji jakąż pociechę przyniosłoby mu podzielenie się z kimś tajemnicą? I komu mógłby ją powierzyć? Swojej praktycznej, czarującej Josephine? Komu potrzebna jest wiedza, że Ziemianie nie są jedynymi mieszkańcami wszechświata? Woźnicy jadącemu na koźle powozu, kwiaciarce sprzedającej fiołki na rogu ulicy, karczmarzowi przetaczającemu beczki na drugą stronę drogi? Nie, nikt z nich nie ma potrzeby wiedzieć, że z głębin kosmosu Ziemię obserwują zazdrosne oczy bardziej rozwiniętych umysłowo istot, być może snujących plany podboju. Ponieważ jak się już przekonał, takie odkrycie niczemu by nie posłużyło, a tym, którzy poznaliby prawdę, nie przyniosłoby nic innego, jak tylko cierpienie. Niech się dzieje, co chce – stwierdził ze swym niespożytym duchem praktycyzmu, nałożył kapelusz i zszedł po schodach na ulicę. On nie będzie tym, kto pozbawi świat radości życia, które nie wie, co to strach płynący z urzekająco pięknego rozgwieżdzonego nieba.

I w ciągu najbliższych dziesięciu lat, to jest dopóki zdrowie pozwoliło Reynoldsowi czuć, świat nie dowiedział się o Marsjanach. W tamtym momencie, rzecz jasna, eksplorator nie mógł wiedzieć, co się wydarzy. Być może jego dzieci lub nawet dopiero wnuki zobaczą przybywające z nieba dziwne latające maszyny. Lecz za to nie będzie już odpowiadał ani on, ani Allan, ani kapitan MacReady, ani dzielny Peters, ani żaden z marynarzy, którzy na Antarktydzie oddali życie, aby pokonać diabła z gwiazd. Walka z przybyszami przypadnie wówczas innym. Ludzie z „Annawanu” wypełnili swój obowiązek. A po śmierci Reynoldsa nie będzie już na świecie żadnego mężczyzny, który – podczas gdy jego małżonka spogląda w nocne niebo, nieudolnie próbując łączyć gwiazdy w konstelacje – ukradkiem pochyla głowę i tylko przypatruje się dziwnemu znakowi wypalonemu na własnej ręce, obawiając się, że jeśli spojrzy w bezmiar kosmosu, napotka tam czyjś wzrok.

To, czego Reynolds nie mógł wiedzieć – bo gdyby wiedział, przewróciłby się w grobie,

jak to mówią – zdarzy się ponad dwadzieścia lat po jego śmierci. Inna polarna ekspedycja natknie się na zwęglone pozostałości zaginionego „Annawanu”, który w 1829 roku wyruszył z Nowego Jorku na poszukiwanie wejścia do wnętrza Ziemi. Jej członkowie znajdą wrak statku złowieszczo otoczony szkieletami, a w pobliżu, pośród ogromnych lodowych gór odkryją pogrzebaną w śniegu niezwykłą latającą maszynę. Jednak najbardziej zdumiewającym znaleziskiem będzie ukryta w lodzie dziwna istota niepodobna do niczego, co do tej pory widzieli na Ziemi. Pragnąc ją zbadać, w największym sekrecie przewiozą ją do miasta Londyn, gdzie później zobaczy ją Wells. Ponieważ, nie zapominajmy, w tej historii na „Annawanie” nie zaokrętował się żaden tajemniczy marynarz zwany Griffinem. I dlatego nikt nie rozsadził Marsjanina na tysiące kawałków. Potwór z gwiazd po prostu ukrył się w lodzie Antarktydy na zapomnianej wysepce, która po ślubie Jeremiaha Reynoldsa zaczęła figurować na mapach jako Wyspa Josephine.

CZEŚĆ DRUGA

Czy wciąż się uśmiechasz, nieustraszony Czytelniku, czy raczej drżysz po tym, jak stawiałeś czoło grozie w antarktycznych lodach, nie opuszczając zacisza swojego wygodnego fotela?

W razie gdybyś nie miał dość wrażeń, teraz możesz przeżyć autentyczną inwazję Marsjan. Nie omieszkaj tego wykorzystać i zapuść się w głąb dalszych stronic tej książki z charakterystyczną dla siebie odwagą. Tym razem nie ostrzegę cię o żadnych strachach czyhających na twą biedną duszę. Powiem ci tylko, że jeżeli nie odwrócisz wzroku, zobaczysz to, co w człowieku najlepsze i najgorsze.

Niewykluczone, że czytelnicy słabszego serca będą woleli sięgnąć po rozrywkę w postaci łagodniejszej, a nie tak przerażającej lektury.

XIV

Emma Harlow wolałaby, żeby Księżyc był zamieszkanym, aby mogła pieścić jedwabistą grzywę jednorożców pasących się na jego łąkach, przyglądać się, jak dwunogie bobry budują sobie schronienia, lub latać w objęciach człowieka nietoperza, podziwiając z wysoka powierzchnię srebrnego globu, ozdobioną gęstymi lasami, śródziemnymi morzami i szpiczastymi piramidami z jasnoróżowego kwarcu. Ale owej słonecznej, jasnej wiosny 1898 roku Emma, podobnie jak współcześni jej mieszkańcy Ziemi, wiedziała, że nie ma tam życia, co ujawniły nowe, silne teleskopy, które wraz z wieloma innymi postęпами nauki odarły świat z magii, jaką jeszcze niedawno był przesiąknięty. Jednak od ponad szesnastu lat Księżyc był zamieszkanym przez fantastyczne istoty – tak niewiarygodne, że trudno to sobie wyobrazić.

Latem 1835 roku, gdy Emmy nie było jeszcze na świecie, pewien człowiek patrzył na Księżyc i myślał, że mógłby on być schronieniem dla magii, jakiej ludzkość potrzebuje, by radzić sobie z życiem, tej magii, którą postęp tak bezlitośnie stopniowo uszczuplał. Było to miejsce idealne, aby złożyć tam ludzkie sny, ten silny ożywiacz ludzkości, biorąc pod uwagę, że nikt nie mógłby do nich sięgnąć wzrokiem, by zadać im kłam. I kimże był ów obrońca ludzkich marzeń? Nazywał się Richard Adams Locke, a był angielskim dżentelmenem, który po ukończeniu uniwersytetu w Cambridge przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie pracował jako redaktor naczelny czasopisma „The New York Sun”. Jeśli chodzi o jego wygląd, miał ospowatą twarz, ale nie przeszkadzało to zbyt damom, ponieważ nosił się z wielkopańską i był wysoki jak topola. Ponadto jego oczy promieniowały spokojną jasnością, urzekającym blaskiem obwieszczającym istnienie jednego z owych wzniosłych duchów, które zazwyczaj stają się latarniami wskazującymi drogę pozostałym. Jednak bardzo mijało się to z prawdą, ponieważ Locke był mi daleki od osobowości, jaką sugerowało jego spojrzenie. Tak się składało, że angielski dżentelmen z twarzą sympatycznego kaznodziei nie nosił w sercu nic innego jak autentycznego ducha drwiny. Z majestatyczną powagą przesuwając wzrokiem po świecie. I co widział? Tylko głupotę człowieka, jego przytłaczającą niemożność zrozumienia własnych błędów, groteskową rzeczywistość, którą wznosił dokoła siebie, a nade wszystko niezmierny zapal do nadawania dużego znaczenia najbardziej niedorzecznym błahostkom. I choć wszystko to w głębi serca sprawiało mu wielką radość, również burzyło krew w żyłach, gdy zauważał, że gatunek, do którego miał nieszczęście należeć, wciąż bardzo dobrze wychodzi na owej zbiorowej tępotce.

Locke uciekł z Anglii do Ameryki pod wpływem przekonania, że Stany Zjednoczone, po trudnym porodzie i ryzykownych, chwiejnych pierwszych krokach, zdołały utworzyć państwo kierujące się zasadami racjonalizmu i uniwersalnych swobód. Żywił nadzieję, że przekształciły się w najwyższą wizję tego wszystkiego, czym stara Europa, mająca już dość samej siebie, nie zdołała zostać, nawet po korzystnej zmianie kursu, za jaką należało uznać wiek oświecenia i Wielką Rewolucję Francuską. Jednak ku swemu zdumieniu znalazł się w kraju zarażonym duchem religijności, w którym pod nowym sztandarem współistniały tak dobrze mu znane europejskie przesady. Czy po to odkryto Amerykę? – zastanawiał się skonsternowany. – By ją przekształcić w kiepską kopię Anglii? Ponieważ tak samo jak w starej Europie amerykańskie społeczeństwo było przekonane, że wszystko, na czym spocznie oko, jest znakiem dzieła bożego. Na przykład bliskie przybycie komety Halleya nie stanowiło wyjątku. Kto, jeśli nie Stwórca, mógłby urządzić podobny spektakl pirotechniczny na wrześnieowym niebie? Z tego też powodu w

nowojorskich parkach zainstalowano liczne teleskopy, aby wszyscy mogli obserwować pokaz potęgi, którym Bóg potwierdzi swoje istnienie ku uciesze własnych pobożnych stworzeń. Jednak choć brzmi to paradoksalnie, owo przekonanie współlistniało również ze ślepą wiarą w postęp i w naukowców, w rezultacie czego każdy, kto napisał pierwszą urojoną bzdurę, jaka mu przyszła do głowy, mógł liczyć na łatwowierność obywateli. Tak stało się w przypadku wielbego Thomasa Dicka, którego dzieła cieszyły się w Stanach Zjednoczonych ogromną popularnością, gdy przybył tam Locke. W jednej ze swoich poczytnych książek wielbny obliczył, że Układ Słoneczny ma 21 891 974 404 480 mieszkańców, co być może wyda się wam liczbą cokolwiek przesadzoną, chociaż nie była aż taka, jeśli weźmiemy pod uwagę, że wedle tych samych kalkulacji ludność Księżyca określono na 4200 milionów. Z powodu tych i podobnych przykładów naiwności Amerykanie wydali się Richardowi Locke'owi narodem, który się głośno prosi o nauczkę. A kto mógłby ją im dać, jeżeli nie on? Tak więc na początek, zamiast się troszczyć o marzenia ludzkości, Locke umyślił gestem bynajmniej nie wzniosłym dać swoim nowym sąsiadom lekcję, a przy tej okazji ubawić się, ile tylko się da. Postanowił wymyślić tanią sensacyjną historię, która wyszydzi tę i wiele innych dziwacznych teorii astronomicznych opublikowanych do tej pory. To zmusiłoby Amerykanów do refleksji nad marnością ich przekonań, a jednocześnie podniosłoby sprzedaż pisma „The Sun” – najlepszej ambony, jaką sobie upatrzył do swojego celu, ponieważ był to dziennik skierowany do masowego odbiorcy i rozprowadzany w nowatorski sposób, polegający nie na subskrypcjach, lecz na sprzedaży ulicznej: z naręczami gazet uwijał się zastęp dzieciaków wykrzykujących głośno najbardziej zadziwiające wiadomości, za które wystarczyło zapłacić nieznaczną cenę jednego centa.

O czym mogłaby być ta historia? Locke wiedział, że w tym czasie – a był sierpień – naukowiec John Herschel, syn Williama Herschela, uznanego nadwornego astronoma króla Jerzego IV, znajdował się na południu Afryki, dokąd się wybrał w celu dokonania obserwacji astronomicznych. Wyposażony w rozmaite instrumenty optyczne brytyjski astronom wyruszył z Anglii, kierując się na Przylądek Dobrej Nadziei, z zadaniem sporządzenia map nieba widocznego z półkuli południowej, a tym samym dopełnienia dzieła swego ojca, który wcześniej zmapował niebo półkuli północnej. Jednak w ciągu dwóch lat nie było żadnej wiadomości o astronomie, a stamtąd, gdzie obecnie przebywał, korespondencja wędrowała do Nowego Jorku przez co najmniej dwa tygodnie; czas ten wystarczył, by Locke zasypał Amerykę serią artykułów, w których wyliczał rzekome odkrycia Herschela, a o których astronom nie mógł się oczywiście dowiedzieć ani tym bardziej nie miał możliwości zdementowania owych doniesień.

Nie tracąc ani sekundy, Locke – z figlarnym uśmiechem, który burzył zwyczajową powagę jego oblicza – zabrał się do pracy i 21 sierpnia opublikował pierwszy z zaplanowanych reportaży. Artykuł zatytułowany *Wielkie odkrycia astronomiczne* oznajmiał, że pewien wykształcony szkocki dżentelmen podczas swojej wizyty w Nowym Jorku dostarczył redakcji „The Sun” egzemplarz czasopisma naukowego „Edinburgh Journal of Science”, w którym można przeczytać fragmenty dziennika wyprawy spisane przez doktora Andrew Granta, fikcyjnego współpracownika Herschela. Pierwsza część artykułu była poświęcona skonstruowanemu przez astronoma silnemu teleskopowi, wyposażonemu w olbrzymie soczewki pozwalające człowiekowi rozróżnić osiemnastocalowe obiekty na powierzchni Księżyca oraz wyświetlać ich obraz na ścianie pomieszczenia, w którym znajduje się instrument. Dzięki temu niezwykłemu wynalazkowi podobno można było zbadać powierzchnię każdej planety Układu

Słonecznego oraz licznych sąsiednich układów, a także sformułowano solidną teorię dotyczącą zjawisk zwanych kometami i rozwiązano niemal wszystkie problemy astronomii matematycznej.

Po takim przygotowaniu gruntu drugi artykuł skupiał się na Księżycu, który uważnie obejrzano przez wspomniany teleskop i na którym dostrzeżono obszar pokryty ciemnozieloną skałą usianą czymś w rodzaju różowych maków. Po przebadaniu Mare Nubium, opisanego niegdyś przez Ricciolo, odkryto tam piękne piaszczyste plaże – białe i z rzadka porośnięte nieznanymi drzewami, a ponadto wysokie na ponad dwadzieścia metrów piramidy z jasnoróżowego kwarcu. Następnie, kontynuując badania za pomocą cudownych soczewek, astronomowie natknęli się na niezwykle bogactwo życia. Zdumieni zauważyli pierwsze zwierzęta. Na księżycowych równinach dały się widzieć stada stworzeń przypominających bizona, a na szczytach łagodnych wzgórz niczym muśnięcia jasnoniebieskiej farby widniały okazy pełnych wdzięku jednoróżców.

W kolejnym artykule Locke, przeciągając strunę swojego żartu do granic możliwości, przedstawił cały rejestr księżycowych gatunków zwierząt. W jego relacji Herschel i Grant, zdumieni i zachwyceni zarazem, obserwowali coś na kształt małego renifera, następnie rogatego niedźwiedzia i grupę sympatycznych dwunożnych bobrów, które budowały sobie drewniane chaty z wysokimi kominami, a z tych ostatnich unosił się dym. Wszystko tu było dozwolone. Dzięki tym trzem artykułom jego gazeta przewyższyła nakładem londyńskiego „Timesa”.

Locke nie chciał jednak zwolnić kroku. W czwartym reportażu zamieścił najbardziej zaskakującą rewelację: naukowcy dostrzegli mieszkańców Księżyca, których nazwali *Homo vespertilio*, czyli człowiekiem nietoperzem. Jak wyjaśnił, chodziło o istoty nieco ponadmetrowej wysokości, całe pokryte włosami w kolorze miedzi i wyposażone w błoniaste skrzydła, które wyrastały im z ramion i sięgały do łydek. Mając złożone skrzydła, chodziły z godnością i zrównoważeniem ludzi, lecz kiedy je rozpostarły, wykonywały przedziwny podniebny balet. Ich twarze – w których dominowały wydatne wargi, poruszające się, jakby istoty te wymawiały słowa – przypominały oblicze orangutana, choć miały bardziej inteligentny wyraz. Teleskop pokazał ich, jak radośnie baraszkują na trawie, choć robiły to w sposób, który na Ziemi mógłby zostać uznany za nieco nieprzystojny. A po tym doniosłym odkryciu, które zawładnęło wyobraźnią czytelników „The Sun”, Locke przygotował się na ostateczny cios.

W ostatnim artykule doniósł, jak w owym prymitywnym edenie Herschel zauważył coś, co bez wątplenia było ogromną świątynią z polerowanego szafiru, zwieńczoną dachem z żółtego metalu. Jakim bogom oddają cześć te istoty? Ale w momencie największego zainteresowania czytelników „The Sun” poinformował, iż w wyniku godnej pożałowania lekkomyślności astronomowie zostawili swój tak zwany „cudowny teleskop” skierowany w stronę Słońca i promienie słoneczne, spotęgowane przez silne soczewki, spowodowały wypalenie siedmiometrowego kręgu w podłodze, przez co obserwatorium w praktyce stało się bezużyteczne.

Historia, która zadziwiła Stany Zjednoczone, została przedrukowana w czasopiśmie niemal całego świata, a wiele z nich zapewniało, że posiadało dostęp do oryginalnych artykułów z edynburskiego magazynu. To sprawiło, że do redakcji „The Sun” zwrócił się komitet naukowców reprezentujących Uniwersytet Yale z niewinną propozycją, że przybędą i zapoznają się ze źródłowym dokumentem. I chociaż pracownicy czasopisma zwodzili ich, a po kilku dniach odesłali z powrotem, nie pokazawszy oryginałów, naukowcy wrócili do New Haven, nie podejrzewając, że wszystkie zasłyszane wymówki

skrywają oszustwo. Inne czasopisma jednak wykazały się znacznie większym sceptycyzmem i oskarżyły „The Sun” o okłamywanie czytelników. „Herald” zapewnił nawet, że „Edinburgh Journal of Science” nie ukazuje się już od kilku lat. Pod wpływem licznych nacisków „The Sun” parę dni później zamieścił notatkę, w której rozważył możliwość, że historia ta była żartem, chociaż nie przyznał się do opublikowania kaczki dziennikarskiej, dopóki nie obwieściły tego czasopisma angielskie.

Locke nigdy nie przyznał publicznie, że to było oszustwo. Przeraził go ogrom tego, co rozpętał. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, że sprawa może przybrać taki obrót. Chciał jedynie, aby Amerykanie zastanowili się nad słabością fundamentów jakiejkolwiek wiary, lecz większość czytelników okazała się odporna na jego ironię i nadal uważała, że to wszystko prawda, że na Księżycu rzeczywiście mieszka owa wysnuta z fantazji fauna, że satelita Ziemi jest rajskim zakątkiem albo miejscem odpoczynku baśniowych postaci. Jacyś duchowni rozważali nawet możliwość wydrukowania Biblii dla ludzi nietoperzy, a grupa baptystów zaczęła wręcz zbierać pieniądze, żeby wysłać na Księżyc misjonarzy w celu zbawienia dusz zdeprawowanych mieszkańców Srebrnego Globu. I mimo że z biegiem czasu tak zaawansowane teleskopy jak wynalazek Johna Drapera pozwoliły wykonać dagerotypy ukazujące nieskazitelną, niezamieszkaną powierzchnię Księżyca, bez śladu dziwacznej zbieraniny istot wymyślonych przez Locke’a, wielu nowojorczyków wciąż było przekonanych, że naukowcy w końcu dowiodą prawdziwości relacji doktora Granta.

A jeśli kogoś z was ciekawi, jak na tę sprawę zareagował Herschel, muszę wam powiedzieć, że astronom nieprędko dowiedział się o oszustwie, w które został wmieszany, ponieważ jak twierdził artykuł, znajdował się w Kapsztadzie i prowadził tam obserwacje nieba. Gdy w końcu otrzymał o tym wiadomość, przyjął ją z humorem, być może dlatego, iż wiedział, że jego własne obserwacje nigdy nie mogłyby być tak zdumiewające. Niemniej gdy ci, co wierzyli w prawdziwość owej historii, zaczęli go nękać pytaniami, pragnąc poznać nawet najbardziej absurdalne szczegóły, takie jak zwyczaje seksualne *Homo vespertilio*, uśmiech znikł z jego twarzy.

Oto jakie nieoczekiwane efekty żart Locke’a wywołał w amerykańskim społeczeństwie, tak więc to on, a nie kto inny, po uporaniu się z własnym niedowierzaniem wyciągnął z tego wszystkiego nauczkę: człowiek potrzebuje marzeń. Tak, potrzebna mu wiara w złudzenia, wiara w to, że życie jest czymś więcej niż nędzną, wrogą rzeczywistością, która go przydusza. A Locke był wystarczająco zręcznym krawcem, by skroić i uszyć iluzję na miarę tego rozczarowanego człowieka. Na początek owo nieoczekiwane osiągnięcie pomogło mu przetrwać burzę krytyki i zniewag płynących ze strony rywali, ale z biegiem lat wszystko wróciło na dawne tory i jego żart przybrał formę sympatycznej anegdoty, a Locke był coraz bardziej dumny ze swojego czynu: nie na próżno odkrył potrzebę ludzkości i sposób jej zaspokajania. Ludzie potrzebowali marzeń, a on zachęcał ich, by je snuli – ujawniał, że świat jest znacznie piękniejszy niż to, co widzą na własne oczy. Na dobrą sprawę dał im wszystko to, co mogła dać religia, niczego w zamian nie zabierając. Podarował ludziom wyśniony raj, w którym się mogli chronić przed swymi ziemskimi problemami, a zrobił to, nie wydzierając im wolnej woli, nie zobowiązując ich do postępowania według absurdalnych zasad ani nie grożąc potępieniem czy piekłem. Tak, to właśnie zrobił Locke, a fakt, że wykleto go za to, okazał się równie niesprawiedliwy jak ukaranie przewodnika ślepego za opisanie podopiecznemu zachodu słońca za pomocą muzycznych kolorów, chmur zaś – odcieniami smaku owoców. Orzekł, że marzenia innych ludzi nie powinny być udziałem wyłącznie religii czy

artystów. Nie, przy każdym rządzie powinno działać ministerstwo odpowiadające za sny obywateli o lepszym świecie, pełne biur, w których marzyciele tacy jak on mogliby pokrzepiać pozostałych obywateli, obdarowując ich iluzjami. Świat byłby wówczas urządzony jeśli nie racjonalnie, to przynajmniej rozsądnie...

Gdy Locke tak rozmyślał o tych sprawach, czuł się coraz bardziej zadowolony ze swojego dokonania, lecz także coraz mocniej sfrustrowany faktem, że oprócz niego nikt o tym osiągnięciu nie wiedział, aby je docenić. Jak się przekonał, iluzje na wielką skalę mają swe niedogodności i choćby nie wiedzieć jak chciał sobie wyobrazić ludzkość jako dziewczynkę chętną do wysłuchania bajeczki na dobranoc, nie wszyscy są przecież tacy sami. Wielu wolało akceptować rzeczywistość taką, jaka była, zamiast wygładzać ją glazurą wyobraźni. Inni po prostu nie mogli znieść, że ktoś miałby większą władzę niż oni. A wszystkie te głosy razem to było zbyt wiele, żeby dał radę walczyć z nimi pojedynczy człowiek. Jedyne, co mógł zrobić, to rozdawać ów cudowny, przypadkowo odkryty eliksir tym, którzy naprawdę nań zasługiwali. Zajęcie, by tak rzec, dla domokrażcy. Ale mimo że ludzkość jego zdaniem była godna tego eliksiru, żaden z jej poszczególnych członków nie wydawał się nań zasługiwać.

Zmieniło się to jednak tego dnia, gdy wziął w ramiona swoją pierwszą córkę, która patrzyła na niego głębokim, pytającym spojrzeniem noworodków. Locke wiedział, że nareszcie znalazł kogoś, komu przysługuje dar poznania piękniejszego świata. Tak więc kiedy Eleonor skończyła dziesięć lat, dał jej bardzo szczególny prezent. Podarował córce zdolność snucia marzeń, co fizycznie ograniczało się do zwoju papieru przewiązanego szkarłatną wstążką. Dziewczynka rozwinęła go i jej oczom ukazała się mapa wszechświata narysowana przez samego Locke'a. Nie i m mógł już zaludnić Księżyc magicznymi istotami, uniemożliwili mu to naukowcy, ale reszta kosmosu wciąż pozostawała do odkrycia. W miarę upływu dziesiątek lat teleskopy będą wyjawiać jego tajemnice, a człowiek będzie nawet przemierzać przestrzeń kosmiczną w skrzydlatych maszynach cięższych od powietrza, ale od tego wciąż jeszcze dzieliło ich wiele czasu, być może całe wieki. W tamtym momencie wszechświat mógł być taki, jakim go Locke narysował na tym zwoju papieru.

I oczywiście jego córka nigdy nie pomyślała, że jest inny, ponieważ Eleonor okazała się taką samą marzycielką jak jej ojciec. Nie była to jednak jej jedyna cecha. Dziewczynka dała się poznać jako naznaczona impulsywnym duchem, jedna z tych dusz, w których śmiech i płacz wybuchają nagle z taką samą przesadą obfitej krynicy. Nikły promień słońca przecinający niebo po burzy mógł ją wprawić w najgwałtowniejszą z ekstaz i w taki sam sposób zwiędnięta gałąź w wazonie, której zapomniano wymienić wodę, mogła doprowadzić dziewczynkę do nieutulonego płaczu i nikt nie potrafił przewidzieć, jak długo będzie on trwał. Ale ku zaskoczeniu wszystkich mapa nieba podarowana jej przez ojca stała się najskuteczniejszym lekarstwem na powstrzymanie łez. Czasami wystarczyło, że ją rozwinęła i popieściła paluszkami nakreślone tam cuda, aby jej twarzyczkę na nowo rozświetlił uśmiech. A było za co dziękować, ponieważ jak sobie wyobrażacie, biorąc pod uwagę, że od dzieciństwa jej dusza miała predyspozycje do wielkich namiętności i w związku z tym do dramatu nieuniknionych rozczarowań, w miarę jak dziewczyna dorastała, powody do płaczu zdarzały się coraz częściej. Na szczęście mapa zawsze ją uspokajała, czy były to dreszcze wywołane przyjściem na świat martwego szczenięcia, ostatniego w miocie, czy irytacja spowodowana przez jednego z konkurentów do jej ręki, który pozdrowił ją tonem „wyraźnie” zdradzającym, że stracił

nią zainteresowanie. Nieważne, jaki dramat wydarzył się za dnia, wystarczyło, że wieczorem wyszła do ogrodu i wpatrzyła się w nocne niebo, aby natychmiast słyszeć odległą melodię, coś podobnego do radosnego świątecznego zgiełku, obiecującego wszelkie wyobrażalne przyjemności, a jej przypominającego o ruchliwym życiu prawdziwego wszechświata, pulsującym pod osłoną tego ciemnego welonu, którego nie zdołały przebić teleskopy; wszechświata, o którego istnieniu wiedzieli tylko jej ojciec i ona.

* * *

W dniu, w którym Catherine, córka Eleonor, skończyła dziesięć lat, jej matce nie przyszedłby do głowy lepszy prezent niż mapa nieba. Niestety, marzycielski talent, który zdawał się dziedzictwem tej rodziny, nie zaświtał w córeczce. Nie przejawiała ona również żadnych predyspozycji do burzliwych namiętności, które rządziły życiem jej matki, ta ostatnia zaś nie potrafiła uwierzyć, że wydała na świat owoc, w którym sama nie mogła się rozpoznać. Catherine okazała się dziewczynką zbyt prostą, by komplikować sobie życie, co Eleonor – uważająca, że aby żyć intensywnie, trzeba przewycięzać porażki i załamania – uznała za wadę. Jak niestrudzenie powtarzała swojemu mężowi – a został nim ów konkurent, któremu tylekroć zarzucała brak zainteresowania – pogodny uśmiech, jaki ich córka nosiła przypięty na ustach niczym głupią broszkę, nie zdradzał najmniejszej predyspozycji do radości, lecz raczej absolutne niezrozumienie dla tegoż stanu. Niemniej, wbrew temu, co sądziła jej matka, dziewczynie wcale nie było wszystko jedno. W oczach Catherine wszystko wyglądało na idealne, trafne, niezaprzeczone. Nic nie wydawało jej się na tyle nieprzyjemne, by zburzyć spokój jej duszy, choć również nic nie było wystarczająco fascynujące, by drżała ze szczęścia. Jeśli na przykład któryś z konkurentów do jej ręki nie zwracał na nią takiej uwagi, na jaką we własnym mniemaniu zasługiwała, powstrzymywała się od bezużytecznego zamartwiania czy złości, które wyniszczałyby jej duszę, i po prostu bez najmniejszej urazy skreślała go z listy zalotników. Przy takim stanie rzeczy, jak nietrudno wam będzie zrozumieć, mapie dziadka Locke'a nigdy nie było dane stać się dla Catherine żadnym schronieniem podczas burzy uczuć ani też żadnym magicznym talizmanem, który pozwalałby jej odzyskiwać radość życia. Mapa stanowiła dla niej po prostu potwierdzenie, że faktycznie przyszło jej żyć w najlepszym ze światów, ponieważ aż po nieznaną kosmos jest to miejsce pełne życzliwości i harmonijnego pokoju. W rzeczywistości zamieszkiwanej przez Catherine nie było ani jednej nieczysto brzmiącej nuty.

W bezbrzeżnej pewności siebie nigdy nie podejrzewała, że straszny, nieharmonijny dźwięk wyłoni się z jej własnego brzucha. Ale tak się stało.

Od momentu narodzin córka Catherine dawała światu jasno do zrozumienia, że nie jest z niego zadowolona. I najwyraźniej obejmowało to również jego mieszkańców, będących towarzyszami jej ziemskiej podróży, ponieważ jeśli któryś z nich zbliżył się do jej kołyski z pragnieniem podziwiania całej niewinności tego świata zebranej w bezbronnej figurce, ku swemu zaskoczeniu napotykał płonące spojrzenie, grożące, że go stopi i zniszczy. Z twarzą fioletową ze złości Emma płakała, kiedy jej niemowlęcy posiłek okazał się chłodniejszy albo cieplejszy niż zwykle, gdy nazbyt długo pozostawiono ją samą lub jeśli ją kołysano za mało przekonująco. Nic nie wydawało jej się idealne. A te nieliczne chwile, kiedy nie płakała, były jeszcze gorsze, ponieważ poświęcała je na spoglądanie po swym otoczeniu z przejmującą do głębi powagą. Emma odprężyła się

tylko wtedy, gdy morzył ją sen, oferując rodzicom wytchnienie, które jej matka przeznaczała na obserwowanie córki i podziwianie jej delikatnej egzotycznej urody – córki będącej w jej życiu pierwszą niedogodnością, do której nie mogła się odwrócić plecami.

Gdy Emma skończyła dziesięć lat, zgodnie z rodzinną tradycją Catherine podarowała jej mapę nieba, tak jak jej matka niegdyś wręczyła ją jej, pragnąc w głębi serca, by ten rysunek miał na nią jakiś wpływ, a najlepiej, by zdołał ją pogodzić ze światem, w którym żyje. Nie ulegało wątpliwości, że nic, co ją otaczało, nic, co mogła zobaczyć czy osiąść, nie było w stanie jej usatysfakcjonować, więc może mapa pełna cudów i niezwykłości sprawi, że dziewczynka zrozumie, iż świat jest o wiele piękniejszy i znacznie bardziej idealny, niż sugeruje to rozczarowujące otoczenie. I prawdą jest, że początkowo zdawało się to działać, ponieważ Emma nie tylko całymi godzinami przypatrywała się mapie, podobnie jak przedtem jej matka i babka, lecz także nabrała zwyczaju noszenia jej z sobą wszędzie: kładła zwój obok swego nakrycia na stole, zabierała go, gdy szła do parku z guwernantką, i co wieczór ukrywała pod poduszką... Tak jakby mapa stanowiła dla niej skafander niezbędny do tego, żeby otaczające ją powietrze nadawało się do oddychania. Również humor dziewczynki zdawał się nieco poprawiać i choć uśmiechy nadal były u niej tak rzadkie jak słoneczne dni podczas nowojorskiej zimy, kontakt z owym zwojem papieru nadawał jej spojrzeniu wyrozumiałość, za którą zdawały się wdzięczne nawet róże w ogrodzie, w tych latach rozkwitające wcześniej niż zazwyczaj.

Niestety jednak czas nie biegł na próżno i w miarę dorastania Emma zaczęła rozumieć pewne rozmowy dorosłych prowadzone przyciszonym głosem i językiem, który do niedawna uważała za specjalny. Skończyła właśnie dwanaście lat, kiedy się dowiedziała o oszustwie swojego pradziadka Locke'a, domniemanego autora mapy. Stało się to pewnej nocy, gdy zeszła do salonu z powodu migreny, która nie dawała jej zasnąć, i przez lekko uchylone drzwi usłyszała, jak jej matka wspomina tamte zdarzenia przed ojcem niczym ktoś snujący opowieść przy kominku. Dziewczynką wstrząsnęło to do głębi z taką siłą, że musiała się oprzeć o ścianę korytarza, aby nie zemdleć. Usłyszała, że ten wyniosły, dystyngowany człowiek, którego portret wieńczył klatkę schodową, wmówił ludziom, że na Księżycu mieszkają jednorożce, bobry i bizona, a nawet ludzie nietoperze majestatycznie szybujący pod swym niebem, lecz wszystko to ostatecznie okazało się absolutnym fałszem w zderzeniu z rozczarowującą rzeczywistością – oszukał cały kraj. Gdy rozmowa dobiegła końca, Emma z załzawionymi oczyma wróciła do swego pokoju, wzięła mapę i rzuciwszy jej ostatnie, pełne gorzkości spojrzenie, zesłała ją na dno szuflady. Teraz wiedziała, że ta mapa to fałszerstwo, że wszechświat nie jest żadnym idyllicznym miejscem, podobnie jak nie był nim Księżyc. To wszystko kłamstwo, wymysł jej pradziadka, tego człowieka o surowym wyglądzie, w którego oczach pod wpływem miłości, jaką do niego czuła, wiedząc, że narysował mapę, nauczyła się dostrzegać iskrę kpiny kontrastującą z jego pozorną powagą. Teraz jednak odkryła, że z niej zadrwił, tak samo jak przedtem z jej matki i babki oraz z całego kraju. Zwinęła się na swoim łóżku jak zraniona strzałą gazela. I już nie mogła oczekiwać od świata niczego innego jak rozczarowania. Wszystko było tak nieskończenie nudne, liche i niedoskonałe, jak pokazywały oczy, a poza zasięgiem wzroku nie było niczego, co mogłoby zrekompensować tę marność.

Z czasem Nowy Jork zaczął jej się wydawać miastem coraz brudniejszym i bardziej hałaśliwym, pełnym niesprawiedliwości i brzydoty. Lato okazało się nadmiernie gorące, a srogie zimy były trudne do zniesienia. Emma nienawidziła biedaków, którzy żyli stłoczeni

w swoich ciasnych norach, otepiali z nędzy, lecz także gardziła ludźmi ze swojej klasy społecznej za to, że tkwili w gorsecie sztywnych, absurdalnych zwyczajów. Artystów miała za istoty próżne i egoistyczne, intelektualisci okazywali się dla niej zbyt nudni. Nie miała żadnej przyjaciółki godnej tego określenia, ponieważ brakowało jej cierpliwości niezbędnej do podtrzymywania nużących rozmów o strojach, tańcach i zalotnikach, a mężczyźni uważała za prostsze i podatne na manipulację dzieła Stwórcy. Nużyło ją przesiadywanie w domu i nudziły spacerunki po Central Parku. Nie podobała jej się hipokryzja, przejadła się słodycz, dusił gorset. Nic jej nie zadowalało. Życie zdawało się żalosną farsą. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić, a ona nie była wyjątkiem.

Z upływem lat stopniowo godziła się z tym, że rzeczy będą już takie, a nie inne, i niczym bajkowa księżniczka w swej wysokiej wieży żyła nadzieją, nie wiedząc na co, może na jakiś niewyobrażalny cud, który w jej jałowej duszy wreszcie zasiałby złudzenie, a może po prostu na kogoś, kto pomógłby jej się roześmiać. Tymczasem natura, niepomna jej zmartwień, biegła własnym torem i uroda zaznaczająca się w rysach twarzy dziewczynki zaczęła cudownie rozkwitać, a wiecznie goszczący na jej ustach grymas niechęci nie zdołał tej urody zamącić. Nie powinno was to jednak dziwić, że w wieku dwudziestu jeden lat, kiedy większość jej rówieśniczek była narzeczonymi lub nawet mężatkami, Emma wciąż jeszcze nie spotkała człowieka, który zmieniłby jej zdanie o roztargnieniu, w jakim musiał trwać Stwórca w tych dniach, gdy wynalazł świat. Czasami nie mogła się oprzeć i z nostalgią wspominała lata, gdy mapa nieba oferowała jej pocieszenie w postaci promyka nadziei. Lecz teraz nie potrafiła już się do niej zwrócić, ponieważ wiedziała, że jej pradziadek był oszustem. Jednak ku własnemu zdumieniu Emma nie umiała go nienawidzić. Wręcz przeciwnie: z biegiem lat podziwiała go coraz bardziej. A kiedy ów podziw przeszedł przez sito nastoletniego wrzenia, rezultat łatwo się dało przewidzieć: uznała swojego pradziadka Locke'a za jedynego wzorzec męczyzny, do którego mogłaby coś poczuć; kogoś odważnego, obdarzonego wyobraźnią, inteligentnego, tak przewyższającego pozostałych, że byłby w stanie ich oszukać, a ponadto dobrze się przy tym bawić. Wiedziona romantyzmem, nieuniknionym w młodym wieku, Emma miała zwyczaj wyobrażać sobie swojego pradziadka, skądinąd tak poważnego, jak wybucha pogodnym śmiechem za każdym razem, kiedy jeden z jego wyspanych z palca artykułów wywołuje poruszenie w społeczeństwie, a myśl ta z kolei wywoływała u niej uśmiech, który nagle okraszał jej twarz niespodziewaną słodyczą. Jednakże, jak już powiedzieliśmy, Emma nie znała nikogo, kto byłby zdolny do takiego gestu jak jej pradziadek, mijaly więc lata, jej serce pokrywało się kurzem, a mapa nieba wciąż drzemała w szufladzie i tęskniła – jak tylko przedmioty potrafią tęsknić – do drżącego dotyku palców trzech dziewcząt, które muskały jej powierzchnię dawno temu, marząc o cudownym niebie.

Pewnego ranka, gdy Emma szukała czegoś w swoim biurku, natknęła się na ten kawałek papieru, nad którym tyle marzyła, kiedy była mała. Chciała go schować z powrotem, lecz zamiast tego zatrzymała w ręce i obdarzyła spojrzeniem pełnym życzliwej czułości. Nie żywiła już do pradziadka urazy, która kiedyś sprawiła, że skazała mapę na dziewięć lat zamknięcia w szufladzie, i chociaż wiedziała, że to nic więcej jak głupiutki rysunek, pamiętała jego piękno, toteż rozwiązała wstążkę, uśmiechając się na wspomnienie niedorzecznej ekscytacji, jaką czuła, kiedy rozkładała ten zwój w przeszłości. Rozpostarła go następnie na biurku i patrzyła z nostalgią osoby dorosłej oglądającej rzeczy, które uszczęśliwiały ją w dzieciństwie, i bolejącej na tym, że czas

uodpornił ją na ich działanie.

Mapa – być może nadeszła już pora, aby ją opisać – przedstawiała wszechświat obrzeżony ornamentem naśladowującym drewnianą ramę rzeźbioną w bogate arabeski. Ukazywała ciemnoniebieską powierzchnię poprzecinaną żyłkami jaśniejszego błękitu, przez co bardziej przypominała ocean niż niebo. Pośrodku znajdowało się Słońce – kłębek postrzępiony w kilku miejscach, w których wychodziły z niego frędzle ognia. Wokół owego złocistego motka rozrzucona była garść mgławic w kształcie grzyba, ciał niebieskich jarzących się delikatnymi srebrzystymi promieniami i gwiazd, które wyglądały jak zrobione z maleńkich diamentów. W tym łańcuszku światów unosiło się kilka międzyplanetarnych balonów pomalowanych na różne kolory i przewożących w swych koszach podróżnych. Pasażerowie mieli na sobie bardzo grube płaszcze, a większość z nich zasłaniała sobie usta chusteczkami i przytrzymywała kapelusze, aby nie zerwał ich z głów żaden poryw kosmicznego wiatru. Do koszy były przymocowane małe stery i lornetki, z boków zaś pośród kuferków i toreb podróżnych przytroczono liczne klatki pełne myszy – podróżni wypuszczali je po przybyciu na jakąś planetę, aby sprawdzić, czyje powietrze nadaje się do oddychania. Podróżnicy w niektórych balonach uderzeniami wiosł starali się uciec przed czymś w rodzaju olbrzymich os, ale ogólnie na rysunku panowała harmonijna koegzystencja, co odzwierciedlała jedna z ulubionych scen Emmy, rozgrywająca się w prawym dolnym rogu. Przedstawiono na niej, jak pasażerowie balonu zdejmują nakrycia głowy, aby powitać mały pochód istot z innego świata dosiadających czegoś w rodzaju czapli o pomarańczowych piórach – istoty te wyglądały bardzo podobnie do ludzi, z wyjątkiem szpiczastych uszu i długich ogonów o dwóch końcach.

Emma przyglądała się mapie i chcąc nie chcąc, porównywała magiczne wrażenia, jakie każdy z tych szczegółów wywoływał w niej, gdy była mała, z doświadczanymi teraz, przepuszczonymi przez filtr rozczarowania, które w jej przypadku wyprzedziło rozum. Ponieważ magia została wyrwana z jej życia zbyt nagle i przedwcześnie, nie pozwolono jej wygasnąć w rytmie upływu lat, z łagodną naturalnością, z jaką zapada zmierzch. Chociaż w rzeczywistości na tym polega dorastanie – powiedziała sobie, popisując się dojrzałością – na stopniowym postępowaniu ślepoty, która coraz bardziej uniemożliwia nam dostrzeganie rozrzuconych po świecie strzępów magii, zauważalnych tylko dla dzieci i marzycieli.

Ze smutnym uśmiechem z powrotem zwinęła mapę i schowała ją do szuflady. Mimo że teraz mapa była niewiele więcej niż zawada w biurku, Emma nie mogła się jej pozbyć, ponieważ powinna ją wręczyć swojej córce, gdy ta osiągnie stosowny wiek. Tak nakazywała absurdalna rodzinna tradycja. I Emma postanowiła, że ją uszanuje, mimo że dla niej akt ten nie miał żadnego znaczenia, a nawet była przekonana, że nigdy się nie dochowa potomstwa, ponieważ ani nie była zakochana, ani nigdy nie będzie, w związku z czym wyniknęłyby trudności z zapłodnieniem przez jakiegoś mężczyznę, chyba żeby plemniki, tak jak zarodniki, przywiał do niej wiatr.

XV

Dzisiaj jest twój ostatni dzień pracy w tym domu – myślała Emma, podczas gdy nowa pokojówka bez żadnej delikatności szarpała sznurówki jej gorsetu. Jak to możliwe, że to wychudzone dziewczę ma siłę pociągowego wołu? Nie miała nawet czasu, by zapamiętać jej imię, ale to już nieważne. Obojętnie, jak ją tam zwa, Emma i tak poprosi matkę, żeby ją jak najszybciej odprawiła. Gdy pokojówka skończyła ją ubierać, Emma podziękowała

jej uśmiechem, kazała pościelić łóżko i zeszła na śniadanie. Matka już na nią czekała w portyku, gdzie tego ranka z racji ładnej pogody podano do stołu. Łagodny wietrzyk, udomowiony niczym pies, igrał sobie z zasłonami, z kwiatami zdobiącymi stół oraz z włosami pani domu, których jeszcze nie zebrała sobie w klasyczny kok.

– Mamo, chcę, żebyś odprawiła nową pokojówkę – odezwała się Emma na powitanie.

– Ależ córciu, znów? – zdziwiła się matka. – Daj jej szansę. Polecili ją Kunisowie.

– Ma barbarzyńskie maniery: mało mnie nie udusiła przy sznurowaniu gorsetu! – wykrzyknęła Emma, siadając do stołu.

– Na pewno przesadzasz, córciu – odparła matka. – Jestem przekonana, że kiedy się przyzwyczaisz...

– Nie chcę jej więcej widzieć! – przerwała dziewczyna.

– Zgoda, córciu – ustąpiła matka zrezygnowanym tonem. – Odprawię Daisy.

– Daisy, ta grubianka ma na imię Daisy... – wymamrotała panna, upijając nieco soku pomarańczowego. – Jak można zapamiętać takie imię.

– Słucham?

– Nic mamo, nic.

Podczas śniadania pokojówki prezentowały Emmie zwyczajową dostawę prezentów, jakie przybywały co rano od konkurentów do jej ręki: Robert Cullen przysłał wspaniały naszyjnik ze szmaragdów, Gilbert Hardy przepiękną kameę wyrzeźbioną w białej macicy perłowej, Ayrton Coleman dwa bilety do teatru, a do tego tuzin paczków ze śmietanką, zaś Walter Musgrove, wierny swojemu zwyczajowi, życzył jej dobrego dnia bukietem irysów. Matka patrzyła, jak córka apatycznie kiwa głową przy każdym prezencie pokazywanym przez służące. Pomyślała, że Emma ma już to wszystko. Jedyna córka jednej z najzamożniejszych rodzin w Nowym Jorku dorastała otoczona niewyobrażalnym luksusem, toteż niezwykle trudno było ją zaskoczyć jakimś prezentem. Zmuszało to konkurentów do popisywania się pomysłowością, lecz żaden z nich najwyraźniej nie wiedział, jak zadowolić dziewczynę mieszkającą w jednym z niewielu domów w Nowym Jorku mających własną salę balową, do której szło się przez niezliczone salony, gdzie wśród obfitych draperii i zasłon naturalnie prezentowały się różnorodne dzieła sztuki.

– Ach, Emmo... – westchnęła matka. – Co musi zrobić mężczyzna, by zdobyć twe serce? Naprawdę chciałabym wiedzieć. Mogłabym dać któremuś z nich wskazówki. Wiesz, jak bardzo pragnę, abyś mi dała wnuczkę.

– Tak, mamo, wiem – odpowiedziała ze znużeniem córka. – Mówisz mi to codziennie. Każdego przekłętego dnia, odkąd skończyłam dwadzieścia lat.

Matka milczała przez kilka sekund, patrząc ze smutkiem w dal, jak gdyby nagle odkryła, że coś jest napisane na spodniej stronie powietrza.

– O, biegająca tu dziewczyneczka napęłniłaby dom radością, nie sądzisz, moja droga? – powiedziała zaraz, wracając do sugestywnego tonu.

Emma parsknęła.

– Dlaczego jesteś taka pewna, że to będzie dziewczynka? – spytała.

– Nie jestem pewna, Emmo – broniła się matka. – Po prostu wolałabym dziewczynkę. Oczywiście to Bóg nadaje każdemu stworzeniu taką płęć, jaką uważa za stosowną.

– Taak...

Emma wiedziała doskonale, dlaczego matka to powiedziała. Do tej pory wszystkie dziedziczki mapy były kobietami: babcia Eleonor, matka Catherine i ona. Tak jakby sam rysunek z jakiegoś nieznanego Emmie powodu wywierał jakiś wpływ na zarodek dziecka,

które go miało otrzymać, przechylając jego pleć w stronę rodzaju żeńskiego, gdy tylko zaczynał się formować. W ten sposób także ona, jeśli się któregoś dnia zakocha, co wydawało się coraz mniej prawdopodobne, wyda na świat dziewczynkę. A potem jej brzuch tajemniczo wyschnie, jak to się stało i z babcią, i z matką, które po poczęciu swych pierworodnych i zarazem jedynych córek nie były w stanie powtórzyć owego cudu mimo usilnych starań ich mężów. A jednak twierdząc, że do tej pory wszystko było dziełem przypadku, nie rozbudziłam w matce tego samego uczucia romantycznego niepokoju – pomyślała Emma.

– I za dziesięć lat wręcę jej mapę nieba, tak? – spytała ironicznie.

Matka rozpromieniła się.

– Tak, przyjdzie taki magiczny dla niej dzień, jak i przyszedł dla ciebie, Emmo – rzekła, wpadając w rozmarzenie. – Jeszcze nie zapomniałam twojej zachwyconej miny, gdy rozwinęłaś rysunek pradziadka.

Emma westchnęła. Jej matka była odporna na ironię. Po prostu przez myśl by jej nie przeszło, że ktoś może powiedzieć coś, co mogłoby jej nie odpowiadać, a jeśli z jakiejś przyczyny zaczynała to podejrzewać, zwyczajnie przestawała słuchać. Nikt ani nic nie mogło rozdrażnić Catherine Harlow. „Choć ja nie przestanę próbować” – postanowiła Emma, z niesmakiem patrząc, jak jedna ze służących wychodzi z domu na ganek z pocztą na tacy. Po mało pomysłowej paradzie prezentów przyszła pora na zaproszenia na kolacje, bale i inne wydarzenia najbliższego tygodnia. Żywiła nadzieję, że nie istnieje taka ważna uroczystość, której nie można by odrzucić z powodu jakiejś przelotnej niedyspozycji. Miała dość zabaw i kolacji, podczas których krytykowano nieobecnych z taką samą grzecznością, z jaką dbano o dobre maniery przy stole. Na szczęście tym razem na tacy spoczywała tylko jedna zapieczętowana koperta. Emma otworzyła ją ze swą zwyczajową niechęcią i przeczytała wiadomość pięknie, elegancko wykaligrafowaną na umieszczonej w środku kartce:

Droga Panno Harlow, nie wiem, czego Pani pragnie, ale zapewniam
Panią, że mogę to Pani dać, choćby to było niemożliwe.

Montgomery Gilmore

Panna gestem znudzenia włożyła kartę z powrotem do koperty. Jakby mu jeszcze było mało, Montgomery Gilmore przystępował do ataku. Był jej najbardziej spóźnialskim konkurentem, ostatnim, który dołączył do chóru wielbicieli tyleż zamożnych, co nijakich, człowiekiem niewygodnie wysokim, o zaokrąglonej twarzy i miękkich rysach śniegowego bałwana, który zaczyna się topić w słońcu, i majątnym jak pozostali. Lecz Emmę odrzucał tak samo lub nawet bardziej niż reszta, ponieważ nie tylko brakowało mu wsparcia w postaci miłej powierzchowności, lecz także wydawał jej się znacznie bardziej napuszony niż jego rywale. A może, by się wyrazić dokładniej, powinienem powiedzieć, że okazywał się bardziej niezdatny, gdy miał powściągnąć swą zuchwałą naturę. Pozostali byli pełnymi ogłady zdobywcami, ci zaś, którzy nie posiadali doświadczenia, przynajmniej przestudiowali podręcznik idealnego adoratora, a w nim polecenie, by ukrywać zuchwałość pod eleganckim płaszczkiem pokory, podkreślili tak mocno, że podarli papier. Gilmore jednakże zdawał się po raz pierwszy w życiu stawiać czoło innemu inteligentnemu gatunkowi wszechświata znanemu jako kobieta, i zachowywał się wobec niej z zapamiętałą nonszalancją, która przypuszczalnie sprawdzała się w świecie biznesu

rzędzonym przez mężczyzn równie nieokrzesanych jak on. Ale Emma nie była majątkiem, który można nabyć, ani kontraktem, z którego ciągnie się zyski. Mimo że uważała zaloty za ceremonię tyleż męczącą, ile nieuniknioną, przynajmniej umiała je znieść, jeżeli ktoś przeprowadzał je z niejaką maestrią. To sprawiało, że od swoich adoratorów wymagała pewnego minimum, z którego Gilmore uparcie się wyłamywał.

Wystarczyły jej zaledwie dwa spotkania z nim, aby zrozumieć, że choć do któregoś z pozostałych zalotników mogłaby z czasem poczuć coś na podobieństwo słabej sympatii, względem Gilmore'a potrafiłaby rozwijać tylko coraz większe obrzydzenie. Oba spotkania miały miejsce w jej domu pod nadzorem matki, jak to było w zwyczaju, aby zabiegi o rękę zasługiwały na tę nazwę. Podczas pierwszego z nich Gilmore jedynie przedstawił się oraz pochwalił swoim majątkiem i inwestycjami, aby Catherine Harlow nie miała najmniejszej wątpliwości, że ten pretendent do ręki jej córki jest jednym z najzamożniejszych ludzi w Nowym Jorku. Ponadto ledwie wykazał się typowymi bieżącymi gustami i mniej więcej konwencjonalnymi poglądami na politykę oraz te czy inne sprawy natury społecznej, które zaszczerpiła mu matka, by umiał odnaleźć w życiu wartości moralne. Już wtedy bez przerwy przejawiał przytłaczającą, niemal irytującą pewność siebie, a zachował ją również podczas drugiego spotkania, na które ku zaskoczeniu Emmy jej matka przybyła w towarzystwie ojca, mimo że ten na ogół nie zniżał się do tego, by osobiście poznawać jej zalotników. Ale gdy zostawili ich samych, aby odbyli romantyczny spacer po Central Parku, Gilmore nagle stracił całą tę niezmierną swobodę, z jaką malował swoje małe imperium, a na pytania Emmy odpowiadał niezdecydowanie i bez polotu. Potem – co wydało się jej desperacką próbą ponownego zaprezentowania się w charakterze przedstawiciela rzekomo inteligentnego gatunku – uciekł się do próżnych pochlebstw i górnolotnych metafor, ale ani razu nie sięgnął po czule słowa, jakimi mężczyzna zwyczajowo czaruje wybrankę swego serca, kiedy zostanie z nią sam na sam. I Emma nie wiedziała, czy ta uczuciowa nieporadność wynika z tego, że Gilmore nie jest w stanie postrzegać miłości inaczej niż jako transakcję handlową, czy raczej coś w rodzaju nieprzezwycięzonej nieśmiałości nie pozwala mu prowadzić intymnej rozmowy z kobietą. Tak czy inaczej było jej wszystko jedno, ponieważ człowiek ten, tak żenująco oscylujący między najżałośniejszą nieśmiałością a najbardziej irytującym zuchwalstwem, nie budził jej najmniejszego zainteresowania i na pewno nigdy nie wzbudzi. Dlatego gdy szli po jednym z licznych mostków parku do wyjścia, Emma poprosiła, aby odpuścił sobie bezużyteczne starania o jej rękę. Co zdumiewające, nie zrobiło to na nim wrażenia. Pokręcił tylko swoją ogromną głową i uśmiechnął się do siebie, jakby jej zdanie w tej sprawie miało niewielkie znaczenie. Potem, rozbawiony jej pomysłem, rzekł: „Jeśli wycofam się z zabiegów o pani rękę, panno Harlow, to byłby pierwszy raz, gdy nie osiągnąłbym tego, czego chcę”. To usłyszawszy, Emma zostawiła go wrośniętego w ziemię w środku Central Parku, rozwścieczona próżnością tego bezczelnego typu, który nie zna najbardziej elementarnych zasad kurtuazyjnego traktowania dam i na dodatek najwyraźniej wydaje się z tego dumny. Przez następny tydzień nie miała od niego żadnych wiadomości, z czego ostatecznie wywnioskowała, że rozważył sobie sprawę i doszedł do wniosku, iż te zaloty kosztowałyby go zbyt wiele jak na tak marną nagrodę; bez wątpienia znacznie lepiej było poświęcić się mniej skomplikowanym przedsięwzięciom.

Myliła się jednak, jak pokazywała ta spóźniona karta staranną kaligrafią obiecująca jej to, co niemożliwe. Najwyraźniej Gilmore postanowił kontynuować swoje zaloty, nie przejmując się jej lekceważeniem i pokazując jej przy okazji, że można się zachowywać

jeszcze bardziej niezręcznie. Fakt, że na przykład nie pofatygował się nawet, by wybrać dla niej klejnoty lub kwiaty, kryjąc swoje lenistwo za tą odstręczającą brawurą, tylko ją zirytował: znacznie łatwiej było kupić dla niej coś, o co by poprosiła, aniżeli wyprzedzać jej kaprysy. Gilmore, bardziej niż ktokolwiek inny, zasługiwał na elegancką ripostę z jej strony, odpowiedź, która go usadzi, a przy odrobinie szczęścia definitywnie odwiedzie od dalszego ubiegania się o jej względy. Czego jak czego, ale panien na wydaniu z dobrego domu było w Nowym Jorku aż nadto. Gilmore mógł przeznaczyć swój czas na dokuczanie innej dziewczynie, łagodniejszej od niej.

Po herbatce o czwartej Emma poszła do swego pokoju, by zmarnować popołudnie na żmudnej pracy – wypadło podziękować zalotnikom za prezenty, którymi ją tego dnia obdarowali. Podziękowała więc za naszyjnik młodemu Robertowi, którego zamożny ojciec przyuczał do prowadzenia biznesu tak samo twardą ręką, jaką szkolił swoje mastify do polowań. Podziękowała za kameę Gilbertowi, bogatemu chłopakowi, który lubił ją prowokować, wychylając się poza konwenanse, ale płoszył się, gdy udawała, że chciałaby się posunąć dalej. Podziękowała za bilety i słodycze panu Colemanowi, dżentelmenowi o niezwykłym obyciu i kulturze, który uparł się ciągnąć ją po teatrach i galeriach miasta, bo pragnął, by obcowanie ze sztuką wywyższyło jej i tak już zachwycającego ducha. I podziękowała za kwiaty Walterowi, obiecującemu adwokatowi, który miał zwyczaj zanudzania jej swymi politycznymi ambicjami, towarzyskimi plotkami i opisami ich wspólnej przyszłości, ta ostatnia zaś wydawała się Emmie witryną pełną luksusowych przedmiotów, wśród których ona miała zarezerwowane dla siebie wolne miejsce. Dołożyła starań, aby każdemu z nich jednakowo okazać uprzejmość i umiarkowaną serdeczność, ponieważ wiedziała, że wielu kawalerów ma zwyczaj porównywać karty otrzymywane od jednej panny i sprawdzać, czy któregoś z nich nie wolała bardziej od reszty. To niewdzięczne zadanie zajmowało wieczór również jej pokojówkom, którym ledwie starczało czasu na cokolwiek, gdy musiały uganiać się tam i siam z kopertami. Na koniec zostawiła odpowiedź dla Gilmore'a, który prócz tego, że oszczędził sobie snucia domysłów na temat jej gustów, odważył się rzucić jej wyzwanie, zachęcając, aby go poprosiła o coś, czego się nie da zdobyć. Emma przez kilka sekund zastanawiała się, zanim jej nowoczesne wieczne pióro pozęgłowało po bieli kartki przeznaczonej dla tego napuszonego grubasa, który niewątpliwie spodziewał się, że poprosi go o coś, co będzie osiągalne dla jego zasobnej kieszeni. Ona jednak nie zamierzała zniżyć się do tego. Ostatecznie napisała:

To bardzo miłe z Pana strony, Panie Gilmore. Ale tego, czego pragnę, nikt nie może mi dać. A obawiam się, że okazałoby się niemożliwe, abym zapragnęła czegoś, co Pan mógłby dla mnie zdobyć.

Owa odpowiedź usatysfakcjonowała ją niezmiernie, ponieważ prócz tego, że demonstrowała jej talent do gier słownych i rysowała ją jako pannę pragnącą rzeczy znacznie wykraczających poza sprawy materialne, sygnalizowała Gilmore'owi jej słabe zainteresowanie uczestnictwem w grze, którą zaproponował, a co ważniejsze, manifestowała dołąbną pogardę dla wszystkiego, co mogłoby od niego pochodzić. Tym razem przesłanie było jasne. Gilmore nie mógł go ani źle zinterpretować, ani zignorować. Włożyła kartkę do koperty i wręczyła ją ostatniej z zastępu pokojówek, której jeszcze nie kazano przemierzać Nowego Jorku – niezdarnej Daisy, ponieważ matka Emmy nie miała jeszcze czasu jej odprawić.

Służąca żwawym krokiem ruszyła w stronę posiadłości Gilmore'a, gdzie przyjął ją kamerdyner, młodzieniec o wyniosłym, sztywnym wyglądzie. Lekceważącym gestem wyższości kazał jej czekać niemal w drzwiach i poniosł kopertę na srebrnej tacy do gabinetu swego pana.

Gilmore wziął korespondencję niedbałym gestem, ale zauważywszy, że to list od Emmy, spał się cały. Emma, jego Emma zaszczyliła go odpowiedzią! Przeczytał wiadomość, wstrzymując oddech, jakby się znajdował pod wodą. Najwyraźniej dziewczyna miała godzien pozazdrosczenia talent do ironii, co spodobało się Gilmore'owi, mimo że sam był przedmiotem jej kpiny. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie się nudził u jej boku, gdy ona zgodzi się w końcu związać z nim swoje życie. Co więcej, chociaż nieznane mu były arkana zalotów, Gilmore nieraz słyszał od kawalerów w klubach, że kobiety, nie wiedząc z jakiego powodu, są istotami kapryśnymi, niezdolnymi do wyrażenia własnych uczuć, jak tylko za pomocą zagmatwanych zagadek, które oni muszą rozszyfrowywać, marnotrawiąc wysiłki i cierpliwość. Wobec surowej prostoty mężczyzn one, być może aby się poczuć bardziej zaawansowanymi ssakami, lubiły ukrywać swoje prawdziwe pragnienia za tytułem ironii. A liścik Emmy wręcz tryskał ironią, z czego Gilmore mógł tylko wywnioskować, że nawet jeśli prawdziwe przesłanie wiadomości pozostało niestety nieodkryte, przynajmniej jedno było jasne: jej słowa mogły oznaczać cokolwiek, a najmniej to, co rzeczywiście oznaczały. Przeczytał je jeszcze kilka razy, na wypadek gdyby prawdziwe przesłanie miało mu się rzucić w oczy, ale cud się nie zdarzył. Następnie ostrożnie położył otrzymaną kartkę na swym biurku, jakby gwałtowny ruch mógł zburzyć na niej porządek liter i sprawić, że wiadomość stanie się całkiem nieczytelna. Cóż – powiedział sobie, spoglądając na liścik – co mógłby jej odpowiedzieć? Postanowił zagrać na pewniaka i przyjąć wyraźne wyzwanie zawarte w drugim zdaniu. Wziął kartkę i korzystając z tego, że przysłała jego kolej na odpowiedź, sformułował komplement, którego nie miał odwagi powiedzieć jej podczas przechadzki w Central Parku:

Panno Harlow, proszę nie zamieniać czegoś w niemożliwe tylko dlatego, że odmawia mi Pani okazji do uczynienia tego możliwym. Zapewniam Panią, że mogę urzeczywistnić wszystko, o co Pani poprosi, o ile nie pragnie Pani być jeszcze piękniejsza, niż jest.

Zadowolony, wręczył list Elmerowi, swemu młodemu kamerdynerowi, a ten z kolei przekazał go Daisy, która nudziła się przy drzwiach. Pokojówka pokonała drogę powrotną do rezydencji swojej pani w zaledwie kwadrans. Emma otworzyła kopertę przekonana, że w końcu znajdzie uprzejmą rezygnację Gilmore'a. Kiedy stwierdziła, że nic podobnego, fuknęła z desperacji. Co musi zrobić, żeby go zniechęcić? Każdy inny kawaler złożyłby broń, rozumiejąc, że ona nie tylko nie jest nim zainteresowana, lecz wręcz zaczyna uważać jego starania za nieprzyjemne. Ale nie Gilmore. Gilmore upierał się, by ją prowokować. To już nie było zalecanie, tylko walka na siłę woli. I nie zadowolając się rzuconym wyzwaniem, Gilmore dołączył do niego komplement tyleż niestosowny, co niedorzeczny. Emma wzięła drugą kartkę i pisząc, przygryzała wargi, aby nie zszokować służącej litanią złorzeczeń.

Przykro mi Pana rozczarować, ale nie tego pragnę, Panie Gilmore. Moja uroda bardziej uszczęśliwiłaby Pana niż mnie, ponieważ nigdy nie

daje ona szczęścia temu, kto ją posiada, tylko temu, kto może ją kochać i czcić. Życzę Panu lepszej celności komplementów, kiedy postanowi Pan podbić jakieś inne serce, ponieważ moje najwidoczniej okazało się dla Pana niezdożyłą twierdzą.

To powinno zakończyć ich znajomość. Próbowwała postępować jak dobrze wychowana dziewczyna, ale Gilmore wykazał się odpornością na subtelności i nie dał jej innego wyboru jak posłużenie się ciętą uwagą. Zadowolona ze swej wiadomości wręczyła kopertę Daisy, ta zaś dwadzieścia minut później położyła ją na srebrnej tacy Elmera. Zauważywszy zadyszkę dziewczyny i rumieniec na jej policzkach, kamerdyner głosem dopasowanym do okoliczności, lecz sztywnym, polecił, aby w kuchni podano jej szklankę wody. Następnie, posławszy pokojówce spojrzenie, które wydało jej się cokolwiek nietaktowne, udał się na górę, by wręczyć wiadomość swemu panu, a ten sięgnął po nią z niezwykłą skwapliwością.

Nowy liścik ucieszył Gilmore'a, ponieważ oznaczał, że Emma kontynuuje swój flirt. Teraz określiła siebie jako niezdożyłą twierdzą, co w obcym języku, którym się posługują kobiety, mogło oznaczać coś jakby... Dostępny ogród? Źródło, w którym on może się orzeźwić po długiej wędrówce? Nie umiał tego sprecyzować, ale było jasne, że chodzi o miejsce, w którym zostanie miło przyjęty. Więc posuwamy się naprzód. Teraz znów jego kolej. Wziął nową kartę i przez kilka minut jego wzrok błędził zagubiony w nieskończoności, podczas gdy on obmyślał odpowiedź. Czy też ma zawoalować coś za pomocą podwójnego sensu? Nie, jest mężczyzną i jako taki, po męsku wystawiony na światło, powinien bezwzględnie zmierzać do sedna. Zadał sobie pytanie, co chciał uzyskać przez tę wymianę liścików. Móc ją zobaczyć na nowo, żeby spróbować wyrazić, co do niej czuje, nie popadając w bezczelność ani się nie jękać. Tak, właśnie to chciał osiągnąć. Ale by tak się stało, było jasne, że spotkanie powinno się odbyć w jak najbardziej sprzyjających warunkach. A istniało tylko jedno miejsce, w którym przynajmniej można było liczyć na spokój. Gilmore wziął do ręki wieczne pióro i jakby jej niezadowolony był autentyczny, napisał:

Przykro mi, że Panią obraziłem, Emmo. Pozwoli Pani, że Ją przeproszę, podejmując na herbacie w moim domu jutro o porze, która będzie dla Pani dogodna. W ten sposób będę mógł spojrzeć Pani w oczy i zobaczyć, jak pragnie Pani tego, czego nikt nie potrafi Pani zapewnić. Jestem pewien, że Pani pragnienie da mi siłę, bym rzucił je do Pani stóp, choćbym miał po nie zejść do piekieł.

Osuszył atrament i przyjrzał się liścikowi. Wiadomość zdawała się ryzykowna. A jeżeli Emma odmówi? Jeśli odrzuci jego zaproszenie, nie będzie już sensu, by ciągnąć tę grę. Jednak to w głębi serca nie martwiło go zbyt, ponieważ i tak zamierzał ją kontynuować, czy będzie to sensowne czy nie, aż śmierć jednego z nich dwojga położy temu kres.

Elmer wręczył list służącej i dwadzieścia osiem minut później, gdy Emma już zaczynała myśleć, że w końcu udało jej się definitywnie pozbyć Gilmore'a, miała przed swym uroczym noskiem kopertę opieczetowaną barokowym G. Otworzyła ją i przeczytała list z odrazą. „Co za egoistyczny i uparty człowiek!” – wykrzyknęła podczas lektury. Ku jej rozpaczy Gilmore nie tylko pozwolił sobie zignorować jej słowa, lecz także odważył się

posunąć dalej w swoich zalotach, zwracając się do niej po imieniu i zapraszając ją do swego domu. Czy nikt go nie nauczył, jak się traktuje damy? Ta partia szachów już została rozegrana, jego król spadł z szachownicy, czemu nie chce przyjąć do wiadomości, że przegrał? Każdy związek, choćby się nie opierał na emocjonalnych podstawach, wymaga jakiegoś rytmu, odmierzanego taktu i szeregu ceremonii, ale nade wszystko poszanowania reguł. A Gilmore zdawał się tego nie wiedzieć. Irytowała ją ta niekompetencja. Wzięła kolejną kartkę i rozmyślając nad odpowiedzią, bawiła się wiecznym piórem. Było oczywiste, że Gilmore za nic w świecie nie zamierza wycofać się ze swojego obłączenia, choćby nie wiedzieć jak próbowała go od tego odwozić. Jak sam powiedział, jest przyzwyczajony do tego, że osiąga wszystko, co sobie postanowi, a taka bezczelność zasługuje na nauczkę, nauczkę, jakiej nigdy nie zdołałby mu dać nikt w świecie biznesu. Lecz teraz nie ma do czynienia z tym światem. Teraz znajduje się na jej terenie, w świecie, który dla niego jest obcy, więc ona ma doskonałą okazję, by mu pokazać, że nie zawsze można wygrywać, aby go upokorzyć, jak na to zasłużył, choć było oczywiste, że nie mogła tego zrobić słowami, o ile nie uciekłyby się do zniewag. I chociaż przychodziły jej liczne do głowy, nie chciała żadnej użyć, ponieważ dobrze wiedziała, że zniewaga okrywa hańbą tego, kto się nią posłużył, nie zaś tego, kto był jej adresatem. Zatem powinna znaleźć inną formę, bardziej godną jej inteligencji i doświadczenia, aby zawstydzić tego nieznośnego pyszałka do tego stopnia, że zniknie nie tylko z jej życia, lecz także z Nowego Jorku.

Emma przygryzała delikatnie kostkę u lewej dłoni, bębniąc małą stopką o podłogę. Więc Gilmore myśli, że może osiągnąć wszystko, o co ona poprosi... „Cóż, to się jeszcze okaże” – powiedziała sobie, zaczynając dostrzegać rozwiązanie swojego problemu. A jeśli poprosi go o coś absolutnie niemożliwego? Wtedy zostaną mu tylko dwie opcje: poddać się z zakłopotaną miną albo popełnić największe głupstwo i próbować spełnić warunek. Dlatego to, co ona mu zaproponuje, powinno zawierać iskierkę nadziei na powodzenie, tak aby jego klęska okazała się tym bardziej upokarzająca. Tak – doszła do wniosku – to jedyne, co może zrobić: wejść w jego grę, przyjąć jego wyzwanie. Tylko w ten sposób uda jej się pozbyć tego zuchwałego niezdary. Pójdzie do niego i poprosi go o coś, czego nikt nie byłby w stanie dokonać! Chwyliła pióro i napisała:

Zgoda, Panie Gilmore. Czy piąta po południu wydaje się Panu właściwą porą, by się dowiedzieć, że nie może Pan osiągnąć wszystkiego?

Daisy wyruszyła z tym pytaniem do posiadłości Gilmore'a. Przed bramą wejściową zdjęła kapelusik i zadzwoniła dzwonkiem, który dla kamerdynera zabrzmiał jak słowicze trele. Elmer przywitał dziewczynę uśmiechem rozbawionego zadowolenia, który ją ucieszył, ponieważ przegnał z jego twarzy mroczną powagę. Po geście złożenia koperty na tacy, który wykonali z manieryzmem dwojga aktorów teatralnych, Elmer zniknął na schodach wiodących na górę, wcześniej jednak zaproponował jej biszkopty, które polecił położyć dla niej na stoliku.

Gilmore ujął kopertę w dłonie, lecz zwlekał z jej otwarciem. Może nie zawiera odmowy – rzekł sam do siebie, dodając sobie ducha. Odetchnął głęboko i wyjął list ze środka. Musiał go przeczytać kilka razy, by się przekonać, że to nie pomyłka: Emma przyjęła jego zaproszenie! Tak, właśnie to zrobiła, przyjęła jego desperackie zaproszenie. Gilmore pozwolił, aby na jego ustach rozlał się uśmiech nieskończonej radości. Jego podejrzenia okazały się trafne, właściwie odczytał znaki: Emma pragnęła znowu się z nim

zobaczyć. Był pewien, że spodobało się jej, gdy zwrócił się do niej po imieniu. Wyzwanie w rzeczywistości nie było niczym więcej jak wymówką, zabawną i sprytną grą, która miała ukryć jej prawdziwe pragnienie. Emma, specjalistka w sztuce uwodzenia, sfingowała ducha rywalizacji, który zmusił ją do podjęcia rękawicy. „To przecież zachwycające!” – stwierdził Gilmore, czując, że jego miłość do niej nie ma granic. Wziął nową kartkę i z jego ust wymknęło się westchnienie miłości. Znow przyszła jego kolej, ale jedyne, co miał zrobić tym razem, to kontynuować grę Emmy, nie musiał już nawet niczego udawać. Czyż na tym świecie istnieje coś, czego nie mógłby zdobyć? Przypuszczalnie nie. Pochylił się nad kartką i siląc się na wyniosłą urażę, jakiej wymagała sytuacja, napisał:

Obawiam się, że to Pani będzie tą, która się dowie, że nie ma wystarczającej inwencji, aby pokonać zakochanego mężczyznę, Emmo. A piąta wydaje mi się godziną idealną. Tylko śmierć mogłaby mi przeszkodzić w przyjęciu Pani jutro w mych progach.

Włożył kartkę do koperty i wręczył ją Elmerowi, który ruszył po schodach niemal biegiem. W korytarzu czekała na niego wdzięczna Daisy. Biskopki uznała prawie za tak smaczne jak te z cukierni Grazer, słodczyce pełne jagodowej konfitury, na które kiedyś pozwalała sobie w dniu wypłaty. Trzydzieści minut później, z kilkoma okruchami, którymi wiatr ozdobił kołnierzyk jej ubrania, wręczyła list swojej pani.

Gdy Emma dostała go wreszcie w swoje ręce, rozdarła kopertę i przeczytała odpowiedź Gilmore'a, zaciskając usta, aby powstrzymać oburzenie. Jak ten człowiek śmie podawać w wątpliwość moc jej wyobraźni albo ambicję jej pragnień? Wiadomość nie wymagała odpowiedzi, lecz Emma nie mogła się oprzeć, żeby jej nie zripostować z taką samą ironią. Nie było warto dalej marnować atramentu w wiecznym piórze na dyskusowanie o tym, co sama może jutro łatwo odeprzeć w rozmowie, gdy mu wyjawia swe pragnienie. Lepiej więc sięgnąć po humor.

Wobec tego niech Pan do jutra nie uprawia żadnego ryzykownego sportu, Panie Gilmore.

Umieściła kartkę w kopercie i wręczyła ją pokojówce. Daisy powlokła się do domu Gilmore'a, gdzie czekał na nią tuzin biskopków nadziewanych jagodową konfiturą. Nie dając dziewczynie otrząsnąć się z zaskoczenia, Elmer podsunął jej tacę z czułym uśmiechem, a ona złożyła kopertę na jej połyskliwej powierzchni oszołomiona i wzruszona. Zastanawiała się, jak zdążył pójść do cukierni Grazer i wrócić, skoro to tak daleko stąd. Była pewna, że ten usłużny i pilny młodzieniec ma dobre nogi. Elmer natychmiast pożegnał się z pompatycznym gestem wyrażającym uszanowanie i udał na górę do gabinetu pana, zostawiając dziewczynę spowitą w ciężką chmurę wdzięczności, która groziła miłością.

Ujrzawszy wchodzącego kamerdynera, Gilmore porwał z tacy kopertę i otworzył ją niecierpliwie. Emma już w pierwszym zdaniu swojej wiadomości aluzyjnie zapowiedziała dyskusję, a teraz znow za zasłoną ironii ukryła troskę o jego zdrowie. Uśmiechnął się, czując zachwycający dreszczyk. Czy mogło być coś bardziej uroczego? Wziął kolejną kartę i w swojej odpowiedzi też uciekł się do humoru.

Niech Pani będzie spokojna, Emmo, ryzykowne sporty nie są dla mnie żadną pokusą, jeśli nie liczyć starania o Pani rękę.

„Ach, obym umiał popisać się taką ironią twarzą w twarz!” – uzalił się nad sobą Gilmore.

Elmer zszedł po schodach, pożerając każdy stopień niczym niepowstrzymany kornik. Wręczając kopertę Daisy, odważył się musnąć palcami jej dłoń, przez co na twarzy dziewczyny odmalowało się zdziwienie. Starając się nie zemdleć z powodu nagłego uderzenia gorąca, pokojówka podziękowała mu wylewnie za biszkopty i aby przerwać niezręczną ciszę, jaka między nimi zapadła, wyraziła zaskoczenie faktem, że zdołał je zdobyć w tak krótkim czasie. Elmer odkaszlnął i bez najmniejszej żarliwości, jak dziecko recytujące z pamięci Szekspira, odparł: „Nic, czego pani pragnie, nie jest dla mnie niemożliwe do zdobycia, o ile nie pragnie Pani, by moja uroda była jeszcze piękniejsza, niż jest”. Daisy spojrzała na niego zdumiona, nie rozumiejąc, dlaczego uważa, że mógłby się jej wydać niewystarczająco przystojny. Elmer znowu zakaszlał, odwrócił się do dziewczyny plecami, zerknął na to, co miał napisane na spodzie dłoni, znów zwrócił się do Daisy i tym samym beznamiętnym tonem wygłosił: „Nic, czego pani pragnie, nie jest dla mnie niemożliwe do zdobycia, o ile nie pragnie Pani być jeszcze piękniejsza, niż jest”. Dziewczyna gwałtownie spłonęła rumieńcem, pożegnała się niezbyt składnie i pomknęła do domu, w którym służyła, unosząc się nad chodnikiem, a jednocześnie żałując, że nie są jej znane arkana pisma, by mogła wyrazić coraz przystojniejszemu kamerdynerowi, co czuje w tym momencie, ponieważ nie wiedziała, że on już to przeczytał w jej oczach.

Niemal czterdzieści minut później wręczyła list Emmie, która przekonała się przygnębiona, że Gilmore również nie może się oprzeć temu, by mieć ostatnie słowo. Otworzyła kopertę ze znużeniem. „Jak ktoś może być tak bezczelny?” – zastanawiała się, czytając jego odpowiedź. Czy Gilmore nie zna żadnych granic? Westchnęła głęboko i wolno wypuściła powietrze, próbując się uspokoić. Chciała napisać jakąś replikę, ale służąca poruszyła się niespokojnie, jakby bolały ją nogi, a ponowne wysyłanie jej do Gilmore’a nawet Emmie wydało się okrucieństwem. Pocieszyła się myślą, że jak powiedział Wilde, jest coś lepszego, niż zostać z ostatnim słowem – możliwość, że będzie się miało następne.

XVI

Montgomery Gilmore mieszkał w rezydencji w paryskim stylu niedaleko od Central Parku – rozległej zielonej strefy, którą urządzono jako teren rekreacyjny dla nowojorczyków, sprowadzając tony piasku z New Jersey. Obszar ten za czasów dzieciństwa matki Emmy nie był niczym więcej jak otwartą przestrzenią z nielicznymi bogatymi posiadłościami unoszącymi się niczym luksusowe wyspy na oceanie biota, które częste śnieżyce, gdy już przygrzało słońce, pstrzyły splachetkami brudnego śniegu. Ale owe wystawne rezydencje teraz cisnęły się wśród eleganckich domów i szykownych sklepów, w cieniu torów kolejki naziemnej, która pędziła górą z miarowym turkotem.

Kiedy minęło dziesięć po piątej, Emma zadzwoniła dzwonkiem u wejścia, ponieważ dobre wychowanie podpowiadało, by na umówione spotkanie stawić się z opóźnieniem. Towarzyszyła jej pokojówka Daisy, której nie groziło już odprawienie – ułaskawiono ją w zamian za dyskrecję co do tej wizyty. Było absolutnie nie do pomyślenia, aby panna z tej klasy społecznej co Emma pojawiła się w domu kawalera bez żadnej przyzwoitki, ponieważ tak nieodpowiedzialne szaleństwo na zawsze splamiłoby jej reputację, a rzekłbym nawet, że zniszczyłoby opinię również jej potomkom w co najmniej dwóch pokoleniach. Jednakże Emma nie chciała, by w tym spotkaniu towarzyszyła jej matka – to, co zamierzała zaproponować Gilmore’owi, powinno zostać między nimi dwojgiem, matka zaś miała tak niedorzeczne spojrzenie na sprawy, że bez wątpienia natychmiast wysłałaby ją do doktora Bridgelanda, by jej przepisał jakiś silny środek wzmacniający, w obawie, że jej córka cierpi na jakąś dziwną chorobę, która ją wpędza w majaki. Tak więc Emma wbrew sobie musiała skłamać przed matką i zaoferować służącej układ, a ta przyjęła go z radosną miną, która – jak się zapewne domyślacie – nie była spowodowana wyłącznie odzyskaniem zatrudnienia. Gdy tylko zabrzmiał dzwonek, Emma usłyszała, jak ktoś śpieszy do drzwi melodyjnym krokiem, jakby uczestniczył w jakiejś paradzie, i mechanicznie poprawiła sobie kapelusik pasujący do szkarłatnej sukienki, z zaskoczeniem zauważając, że Daisy robi to samo. Zgromiwszy ją wzrokiem, czekała na otwarcie drzwi z uśmiechem tak pełnym hipokryzji, na jaką tylko było ją stać.

Właścicielem owego mruzcanda kroków okazał się szczupły, uśmiechnięty kamerdyner. Powitawszy panie lekkim skinieniem głowy, jakby chciał na coś wskazać nosem, powiódł je do biblioteki, przy okazji oprowadzając po całym domu, przypuszczalnie na polecenie samego Gilmore’a, który zapewne nie zamierzał przepuścić żadnej okazji, by zrobić na swym gościu wrażenie. Emma podążała za przewodnikiem z maską obojętności, walcząc ze sobą, aby ta feeria egzotycznych i luksusowych przedmiotów nie wywołała na jej twarzy najmniejszego śladu podziwu, a tymczasem Daisy za jej plecami sapała z przyśpieszonym oddechem, jakby przemieszczały się biegiem, a nie niemal procesyjnym krokiem. Gdy w końcu wylądowały w bibliotece, obrzeżonej półkami z ciemnego drewna orzechowego oraz okazałymi witrynami pełnymi inkunabułów, Emma dostrzegła, że do tego pomieszczenia przylega małe patio, chłodne i ocienione jak krużganek, i właśnie tam ustawiono stolik herbaciany. W miejscu tym dominował potężny dąb, którego konary, gęsto pokryte listowiem, rozpraszają światło wieczoru, tworząc rozkoszną oazę. Emma nie miała jednak czasu, by przyjrzeć się jej dokładnie, ponieważ natychmiast pojawił się Gilmore. Ubrany był w elegancki ciemnobrązowy garnitur i miał ze sobą psa, który przez kilka sekund obwąchiwał obie kobiety, a przekonawszy się, że pachną odpowiednio, położył się w rogu dziedzińca i obserwował je niechętnie.

– Proszę pana, przybyła panna Harlow! – oznajmił niepotrzebnie kamerdyner, od czego jego pan aż drgnął z zaskoczenia.

– Dziękuję, Elmerze, możesz się oddalić. Sam naleję herbaty – odpowiedział Gilmore, spoglądając z zakłopotaniem na pokojówkę.

– Daisy – poleciła Emma, nie patrząc na nią, ze wzrokiem wbitym w gospodarza, który z kolei spuścił oczy i przyglądał się czubkom własnych butów – idź z Elmerem do służebnej części domu i czekaj tam, aż cię wezwę.

– Tak, proszę pani – wyszeptła oszołomiona dziewczyna.

Kiedy oboje służący wyszli z biblioteki, Gilmore stracił zainteresowanie własnymi butami i wyraźnie zdenerwowany przystąpił do rozmowy z Emmą.

– Dziękuję za przyjęcie mego zaproszenia, panno Harlow – przywitał ją, najwyraźniej nie mając odwagi, by zwracać się do niej po imieniu, gdy nie dzieliła ich spora odległość.

Trzymając się protokołu, jak przystało na dobrze wychowaną damę, którą była, podała mu rękę, a on, pochylając się niezgrabnie, złożył na wierzchu jej dłoni nieśmiały pocałunek. Potem, czując się niezręcznie, kiedy tak stała przed nim, poprosił, aby usiadła.

– Nie pomyślał pan, że śmiałość pańskiej propozycji może mnie przestraszyć? – zapytała Emma, gdy już zajęła miejsce na fotelu, z uśmiechem tyleż formalnym, ile wyzywającym.

– Oczywiście, że nie. I cieszę się, że tak się nie stało – odparł radośnie, a po krótkiej przerwie dodał z przewrotnym uśmiechem: – Choć to może oznaczać tylko jedno: że nie uważa mnie pani za kogoś groźnego.

Nie roześmiała się z żartu. Przyglądała się jedynie w milczeniu temu uprzykrzonemu konkurentowi, którym pokarało ją życie, próbując doszukać się w nim czegoś atrakcyjnego. Ale nic nie znalazła: jego policzki wydały jej się zbyt miękkie i zaróżowione, nos za mały w porównaniu z oczami czy uszami, a wystrzępione wąsy i jasna bródka, plamiące blado jego twarz, jakby się napił z jeziora, w którym przeglądał się zmierzch, wyglądały na nedorzeczną ozdobę.

– Przeoczył pan drugą możliwość, panie Gilmore – odrzekła chłodno.

– Naprawdę? – zainteresował się. Nalewał właśnie do jej filiżanki herbaty, starając się, by nie drżały mu przy tym ręce. – Jaka?

– Że sama chciałam stawić czoło temu, co może mi się przydarzyć w tych murach.

Gilmore postawił imbryk na stole i uśmiechnął się z rozbawieniem, zadowolony z ciekoty jej uwagi.

– Nie wątpię, panno Harlow, nie wątpię. Proszę się jednak nie martwić: jak pani widzi, jesteśmy tutaj okropnie nieszkodliwi. – I wskazał na psa, który drzemał sobie w swoim kącie, w świetle padającym poprzez gałęzie drzewa na podobieństwo tartej skórki z cytryny. – Mój pies jest już zbyt stary i daleki od zajadłości, dlatego traktuje wszystko z absolutną obojętnością. – Potem pokazał drzwi, za którymi kilka minut temu zniknęli kamerdyner z pokojówką. – A co powiedzieć o moim usłużnym kamerdynerze? Elmer jest osobą nazbyt świadomą swojej życiowej misji, aby wykroczyć poza właściwe zachowanie, jakiego oczekuje się od kamerdynera. – Wreszcie, po pauzie, którą zrobił dla lepszego efektu, spojrzął jej prosto w oczy i rzekł: – A ja jestem w pani zakochany, dlatego nigdy nie zrobiłbym pani żadnej krzywdy.

Emma musiała zatuszować zaskoczenie, jakie wywołała w niej zonglerka słów, którą Gilmore wplótł w swoją przemowę, kończąc oświadczeniem tyleż nieoczekiwanym, co żarliwym. Czy miał je przygotowane? Czy na to poświęcił cały ten czas? On z kolei nie

potrafił ukryć swojego oczekiwania. W niezręcznej ciszy, jaka zapadła po jego słowach, patrzył na nią pełen ciekawości, pragnąc jakiejś reakcji z jej strony. Emma pociągnęła łyk herbaty, by zyskać na czasie.

– Zatem nigdy by mnie pan nie skrzywdził... – powtórzyła rozbawionym tonem. – Choćbym panu powiedziała, że nigdy nie odwzajemnię pańskiego uczucia? – Spojrzał na nią zaskoczony. – Jak by pan zareagował, gdybym to oznajmiła, panie Gilmore? – ciągnęła Emma. – Czy zbrodni namiętności nie popełnia się właśnie z tego powodu, że ktoś nie może dostać tego, czego pragnie, i wówczas woli, aby nikt tego nie posiadał?

– Przypuszczam, że tak – przyznał Gilmore, cokolwiek zbity z tropu.

– Wobec tego może pan rzucić się na mnie już teraz i spróbować udusić mnie swymi silnymi rękami – powiedziała ze zmysłowym grymasem roztargnienia. – A ja miałabym na obronę tylko mój biedny kapelusik.

Ledwie to powiedziała, sama zaczęła sobie wyrzucać ten przejaw kokieterii. Po co torturować człowieka w ten sposób, jeśli przyszła tu tylko w tym celu, żeby się go pozbyć? Poczowała muśnięcie litości, widząc, jakie zaniepokojenie wywołała w jego oczach. Było oczywiste, że mimo pozornej swobody on usiłuje powściągnąć pragnienie, które go dręczy i podjudza, aby wstał i uciszył ją w końcu raz na zawsze, bez dalszego owijania tego w słowa. Wyobrazila go sobie, jak ją oplata swoimi grubymi rękami i podobnie jak nieudolnie prowadził zaloty, całuje ją z zachłannością szczeniaka po przedramionach, włosach, kolanach i innych częściach ciała, na których nigdy nie zatrzymałby się żaden doświadczony kochanek, ponieważ nikt Gilmore'owi nie powiedział, że niektóre strefy kobiecej anatomii dostarczają więcej przyjemności niż inne.

– O nie – odpowiedział Gilmore nieco podniesionym głosem – nigdy bym tak nie postąpił, panno Harlow, zapewniam panią.

Jego zakłopotanie trochę ją strapiło, ale nie przyszła tu po to, by dać się ogarnąć współczuciu.

– Rozumiem: nie jest pan jednym z tych impulsywnych mężczyzn, którymi namiętność targa jak wiatr liściem – mówiła dalej, nie dając mu wytchnienia. – Zapewne jeśli odrzucę pańską miłość, będzie pan wolał myśleć o mnie z nieszczęsną obojętnością romantycznych bohaterów. I po krótkim okresie bóleści poszuka pan sobie innej panny i na nią przeniesie swoje uczucia.

Gilmore nagle popatrzył na nią bez żartów.

– Mylisz się, Emmo – odparł z niedorzeczną powagą. – Wciąż bym cię kochał, przez całe życie, w nadziei, że zmienisz zdanie.

Emma udała, że nie zauważyła, iż zwrócił się do niej po imieniu.

– Zaryzykowałby pan życie, stawiając na tak kruchą nadzieję? – spytała, nie wiedząc, czy powinno jej to pochlebić, czy ją zaskoczyć. – Nie ożeniłby się pan na przykład?

– Nie, nigdy – odrzekł tym samym podniosłym tonem. – Czekałbym na zmianę pani decyzji a tymczasem usuwałbym ze swojego życia wszelkie przeszkody, które utrudniałyby mi miłość do pani. Tylko to trzymałoby mnie przy życiu.

– Ale dlaczego? – zapytała, starając się ukryć dziwne poruszenie, jakie zaczynały w niej wywoływać jego słowa. – W Nowym Jorku pełno jest panien równie ładnych lub ładniejszych ode mnie. Każda mogłaby...

– Choćbym dysponował całą wiecznością, aby przebiec świat – przerwał jej Gilmore – podziwiając obrazy i rzeźby w muzeach oraz najwspanialsze krajobrazy stworzone ręką natury, nigdy nie znalazłbym większego piękna, niczego, co zdołałoby poruszyć me serce bardziej niż pani, Emmo.

Nie odezwała się, lekko wstrząśnięta jego odpowiedzią. Nie brzmiało to jak wyuczony dyskurs doświadczonego zdobywcy, lecz jak wyznanie kogoś, kto naprawdę wierzy w to, co mówi. Dokładniej: kogoś, kto zakochał się po raz pierwszy i nie umie wyrazić rozpierającego go uczucia inaczej niż za pomocą górnolotnych, napuszonych, nedorzecznych zdań. Podczas ich dwóch poprzednich spotkań Gilmore nie wysławiał się w taki sposób. Teraz Emma miała przed sobą mężczyznę zupełnie innego niż tamten próżny niezdara, którego zostawiła nagle .samemu sobie w środku Central Parku. Ten, który przyjął ją w swoim domu, był człowiekiem przepelnionym pogodą ducha – jej pochodzenia Emma nie знаła, ponieważ nigdy wcześniej nie widziała podobnej u młodzieńców starających się o jej rękę. Ten mężczyzna patrzył na nią ze szczerym oddaniem, pozbawionym jakiegokolwiek pragnienia, aby ją posiadać czy choćby zafascynować. I zamierzał złożyć u jej stóp miłość tak hojną, że oddałby życie, nie oczekując niczego w zamian, oprócz nadziei, że ona go kiedyś pokocha... Ale czy ów właśnie namalowany portret Gilmore'a jest prawdziwy, czy raczej należy go uznać za dzieło doświadczonego oszusta? Bądź co bądź, jakie to ma znaczenie, skoro ona i tak nigdy nie mogłaby go pokochać?

– Muszę przyznać, że potrafi pan posługiwać się słowami, panie Gilmore – powiedziała. – Umie pan przekonać każdego do jakiegokolwiek rzeczy.

Uśmiechnął się skromnie.

– Przesadzasz, Emmo. Na przykład nie umiem cię przekonać, żebyś za mnie wyszła.

– Ponieważ nie zwiodą mnie słowa, które trwają tylko dopóty, dopóki je słyhać, potem zaś rozwiewają się na wietrze – odparła. – Mnie zdobywa się czynami.

„Ponieważ czynami nie można kłamać” – już miała dodać, ale ugryzła się w język. Gilmore opadł na oparcie swojego fotela i przez kilka sekund bawił się łyżeczką, zanim odważył się zapytać:

– Jeśli zdobędę to, czego pragniesz, czy wyjdiesz za mnie?

Zamyśliła się nad odpowiedzią. Za nic w świecie nie poślubiłaby takiego człowieka jak Gilmore, lecz to, o co zamierzała poprosić, było niewykonalne dla każdego, włącznie z nim.

– Tak – odrzekła z nieudawanym przekonaniem.

– Mam twoje słowo?

– Maje pan. Ma pan moje słowo, panie Gilmore.

– Mmm... to może oznaczać tylko jedną z dwóch rzeczy: albo ma pani pewność, że spełnienie tego warunku okaże się dla mnie niemożliwe, albo to pragnienie jest dla pani na tyle ważne, że nie ma znaczenia tak wysoka cena – zastanowił się na głos z uśmiechem. – Czy może przeoczyłem jakąś trzecią możliwość?

– Nie, tym razem nie ma żadnej innej możliwości – odparła chłodno Emma.

– Dobrze – rzekł Gilmore niecierpliwie. – Wyjawmy wreszcie tajemnicę. Co to za pragnienie? Czego pani zdaniem nie jestem w stanie osiągnąć?

Emma odchrząknęła. Przyszła pora, aby pokazać temu człowiekowi jego miejsce. Gilmore oczekuje, że ona poprosi go o nieobliczalnej wartości klejnot, konia, który nie przegra żadnej gonitwy, a może o rezydencję na rzece albo nawet w powietrzu, unoszoną przez dziesiątki ptaków. Lecz ona nie zamierza prosić go o nic takiego. Zamierza zażyczyć sobie czegoś, czego on nie osiągnie. Czegoś, czego do tej pory dokonał jeden wyjątkowy mężczyzna, którego krew płynęła również w jej żyłach. Zamierza go poprosić, aby sprawił, że świat będzie marzyć. A Gilmore nie potrafi nawet jej skłonić do marzeń.

– Sześćdziesiąt trzy lata temu, w 1835 roku – zaczęła – za sprawą pewnego

dziennikarza z gazety „The Sun” świat uwierzył, że na Księżycu żyją jednorożce, bobry i ludzie nietoperze. Słyszał pan o tym?

– Naturalnie, kto nie słyszał o tym słynnym oszustwie? – odparł zaintrygowany Gilmore. – Była to jedna z najgłośniejszych kaczek dziennikarskich stulecia.

– Właśnie. Ten człowiek nazywał się Richard Adams Locke i był moim pradziadkiem.

– Pani pradziadkiem? – zdziwił się Gilmore.

Emma skinęła głową.

– Wie pan również zatem, że kiedy oszustwo wyszło na jaw, wielu ludzi nadal wierzyło w to, że opisane przez niego rzeczy są prawdą.

– Nie zaskakuje mnie to, panno Harlow, ludzie rozpaczliwie pragną w coś wierzyć – odrzekł Gilmore. – Ale nie domaga się pani, abym zrobił to samo, prawda? Obecnie dzięki nauce wiemy na pewno, że Księżyc nie jest zamieszkały. Nikt nie uwierzyłby w coś przeciwnego. Teleskopy...

– Oczywiście, że nikt by w to nie uwierzył, panie Gilmore – weszła mu w słowo. – Ale wielu myśli, że istnieje życie na Marsie.

– Na Marsie?

– Tak, na Marsie. Słyszał pan o jego kanałach? Niektórzy naukowcy zapewniają, że są to wyraźne dowody na to, iż na naszej sąsiedniej planecie istnieje inteligentna cywilizacja.

– Tak, czytałem o tym co nieco – powiedział Gilmore, wyraźnie zbity z tropu. – Chce pani więc, abym...

Emma znów mu przerwała, kładąc na stole książkę, która wam wyda się znajoma.

– Zna pan tę powieść, panie Gilmore? – spytała, wskazując umieszczony między filizankami tomik oprawny w brązowe płótno, wydany przez Heinemanna.

Zaskoczony Gilmore ostrożnie wziął książkę w swoje ogromne ręce i przeczytał tytuł:

– Wojna światów... H.G. Wells.

– Właśnie. Autorstwa znanego angielskiego pisarza – podkreśliła Emma. – Opowiada o napaści Marsjan na Ziemię.

– H.G. Wells – powtórzył Gilmore jakby do siebie.

– Marsjanie przybywają na Ziemię w kilku potężnych cylindrach wystrzelonych z Marsa. Pierwszy pojawia się pewnego ranka na wspólnych pastwiskach w miejscowości Horsell, koło Londynu. W kraterze powstałym w wyniku zderzenia z powierzchnią Ziemi Marsjanie konstruują maszynę latającą w kształcie płaszczki i kierują się w niej do pobliskiej metropolii.

– H.G. Wells...

– Zdobycie Londynu zajmuje Marsjanom zaledwie dwa tygodnie. – Zrobiła pauzę i uśmiechnęła się. – Chcę, aby odtworzył pan tę inwazję.

Gilmore podniósł oczy znad książki i spojrzał na nią oszołomiony.

– Co pani powiedziała?

– To, co pan słyszał: chcę, aby pan sprawił, by cały świat uwierzył, że Ziemię napadli Marsjanie.

– Oszalała pani? – oburzył się Gilmore.

– Nie musi pan oczywiście przeprowadzać tego do końca – wyjaśniła. – Zadowolę się samym początkiem.

– Samym początkiem...? Ale, panno Harlow, to jest...

– Niemożliwe?

– Tego nie zamierzałem powiedzieć... – mruknął.

– Tym lepiej dla pana, panie Gilmore, ponieważ nie będzie pan miał problemu z osiągnięciem tego. Niech pan zaaranżuje pojawienie się pozaziemskiego cylindra w Horsell, z jego wnętrza niech wyjdzie Marsjanin, a następnego dnia cała prasa świata będzie donosić o przybyciu naszych międzyplanetarnych sąsiadów. Jeśli znajdzie się to na pierwszych stronach kilku gazet, zgodzę się zostać pańską żoną.

– Inwazja z Marsa – wymamrotał Gilmore. – Chce pani, żebym zasymulował inwazję Marsjan...

– Tak, takie jest moje życzenie – potwierdziła Emma. – Niech pan to potraktuje jako hołd dla mojego pradziadka, który przekonał cały świat, że na Księżycu żyją jednorożce i ludzie nietoperze.

Gilmore rozparł się w swoim fotelu i przez kilka sekund przyglądał książce, z niedowierzaniem potrząsając głową.

– Inwazja z Marsa... – powtórzył.

– Jeśli nie czuje się pan na siłach, panie Gilmore, niech pan uzna swoją porażkę – ciągnęła Emma. – I z łaski swojej przestanie przysyłać mi niedorzeczne liściki, zapewniając, że może pan osiągnąć to, co niemożliwe.

Gilmore podniósł na nią wzrok i posłał jej wyzywający uśmiech.

– Marsjanie pojawią się w Horsell, panno Harlow – zapewnił uroczyście tonem deklaracji miłosnej. – Pojawią się, daję pani słowo. Przybędą z Marsa, by pani za mnie wyszła.

– Kiedy? – rzuciła prowokująco.

Gilmore zastanowił się.

– Kiedy? Hmm... niech pomyślę. Mamy początek maja. Mógłbym przygotować podróż do Anglii w ciągu tygodnia, a dotarcie tam zajęłoby mi prawie piętnaście dni. Potem potrzebowałbym co najmniej dwóch miesięcy, żeby przeprowadzić to zadanie... To daje nam sierpień. Tak, sądzę, że wystarczy mi czasu... Zgoda, panno Harlow. Około pierwszego sierpnia, czy wydaje się to pani odpowiednim momentem na inwazję Marsjan?

Emma z uśmiechem kiwnęła głową.

– Odpowiada mi to idealnie, panie Gilmore. Obiecuję, że tamtego dnia będę na pastwiskach w Horsell, aby to zobaczyć – rzekła, wstając i podając mu rękę. – Do sierpnia więc, panie Gilmore.

Podniósł się z miejsca, zaskoczony oschłością pożegnania. Pośpiesznie zadzwonił na służbę, po czym pocałował damę w rękę.

– Do sierpnia, panno Harlow – powtórzył.

Skinąwszy uprzejmie, Emma skierowała się do drzwi biblioteki i pozwoliła poprowadzić kamerdynerowi do wyjścia z rezydencji, rozmyślając nad tym, co się wydarzyło.

Ale zostawmy ich, jak przemierzają nieskończone pokoje, i wróćmy na małe patio, ponieważ tak naprawdę ważne jest nie to, co w tym momencie myślała Emma, a tym bardziej co mógł sobie myśleć kamerdyner czy wielce zauroczona Daisy, która w przestronnym holu czekała na swoją panią, jeszcze nie wiedząc, że już za kilka tygodni nie będzie się musiała obawiać o swoją posadę, gdyż otrzyma nieporadnie złożoną, ceremonialną propozycję małżeńską w postaci ukrytego w jagodowym biszkopcie pierścionka, którego tylko szczęśliwym trafem nie połknie. W rzeczywistości ważne jest to, co myślał w tym czasie Montgomery Gilmore, pogrążony w zamęcie wspomnień. Pożegnawszy się z panną Harlow, usiadł z powrotem i teraz z zamyślonym wyrazem

twarzą pogłaskał książkę, którą mu zostawiła. Grubymi palcami powiódł po wytłoczonych literach nazwiska autora umieszczonego pod tytułem i na wpół z rozbawieniem, a na wpół z niedowierzaniem potrząsnął głową nad godnymi cyrkowego artysty zwrotami, jakie może robić życie. Ma sprawić, by Anglia uwierzyła, że Marsjanie przybyli na Ziemię z zamiarem podbicia jej. Właśnie tego zażyczyła sobie Emma, stawiając to jako warunek do zdobycia jej ręki – aby odtworzył wydarzenia z powieści Wellsa.

– H.G. Wells... – szepnął raz jeszcze. Potem westchnął głęboko, uśmiechnął się z rezygnacją i patrząc na swojego psa, zawołał: – Uwierzyłbyś, Wieczny?

Golden retriever posłał mu spojrzenie, które Gilmore uznał za tak sceptyczne jak jego własne.

XVII

Montgomery Gilmore wrócił do Anglii dwa lata po tym, jak umarł. Zaraz po przybyciu do Londynu skierował się na pewien plac w dzielnicy Soho, gdzie pośrodku stała odlana z brązu figura człowieka, który przeszedł do historii jako Pan Czasu. Nie każdemu dany jest przywilej oglądania pomnika upamiętniającego jego śmierć. Montgomery Gilmore, człowiek niegdyś znany jako Gilliam Murray, porównał się uważnie ze swą podobizną, jakby stał przed lustrem. Prawdą było jednak, że po zmianach, jakim poddał swe ciało, wykazywał zaledwie nikłe podobieństwo do tego posągu. Kiedy się waży sto dwadzieścia kilo, nie trzeba wiele schudnąć, żeby się stać kimś innym, a on do tego zapuścił sobie brodę i wąsy, skrócił włosy, a nawet nauczył się ubierać tak, by mniej rzucać się w oczy. Ucieszył się z różnicy, jaką otrzymał po swojej metamorfozie. I uśmiechnął się rozbawiony czarodziejskim gestem, który jego podobizna wykonywała w powietrzu na wzór magików. Spodobało mu się też rzeźbiarskie odzwierciedlenie wiernego Wiecznego, którego zostawił w Nowym Jorku pod opieką Elmera, aby jego towarzystwo nie zrujnowało mu w Anglii przebrania.

Na głowie posągu wylądowała gołębia kupa i Murray skrzywił się. Już sobie pozwolił na luksus obejrzenia figury, nie było potrzeby, by sterczeć tu dłużej i z pierwszej ręki poznać wszystkie udręki, jakie czekają tę rzeźbę, aż wreszcie ktoś każe ją zdemontować: powoli działające, ale zabójcze deszcze, wiatry i upływ czasu, bazgroły i ataki wandalów, okrutną kanonadę nieskończonych pokoleń tych sympatycznych gołębi. Nie, ta zniewaga była stanowczo aż nadto wystarczająca na przyszłość. Murray posłał pomnikowi współczującą minę i bez pośpiechu skierował się w stronę Greek Street, pozdrawiając mijanych przechodniów przyjaznym skinieniem głowy. Uśmiechnął się z satysfakcją, przekonawszy się, że nikt go nie rozpoznaje, mimo że został unieśmiertelniony w brązie kilka przecznic dalej. Choć prawdą jest też, że nie przejmował się tym zbyt, ponieważ gdyby ktoś dostrzegł w nim jego prawdziwe ja, znając upodobanie Anglików do spirytyzmu, zapewne wziąłby go za ducha Gilliana Murraya. To byłoby im znacznie łatwiej przyjąć do wiadomości niż fakt, że ktoś mógł tak perfekcyjnie sfingować własną śmierć.

Gdy przybył na Greek Street, zatrzymał się przed swym przedsiębiorstwem – tym, za które oddał życie. A był to starodawny teatr, który polecił przebudować, upiększając fasadę motywami nawiązującymi do czasu, takimi jak fryz rzeźbiony w klepsydry czy fronton ozdobiony obdarzonym złowrogim spojrzeniem Kronosem, dzierżącym w ręku zodiakalny krąg. Pomiędzy wizerunkiem boga a nadprożem wyrzeźbione w różowym marmurze pompatyczne litery głosiły: Podróże w Czasie Murraya. Murray wspiął się po schodach i z melancholią spojrział na wiszący obok drzwi wejściowych plakat, który witał podróżnych udających się do roku dwutysięcznego. Jak wiecie, rysunek na nim przedstawiał scenę z wojny przyszłości: dzielny kapitan Shackleton szarżuje zaciekle na swojego arcywroga, króla automatów zwanego Salomonem. Murray zaczekał, aż na ulicy zrobi się pusto, po czym wyjął z kieszeni klucz i niepostrzeżenie wszedł do budynku. We wnętrzu unosiła się woń przeszłości, opuszczenia i wyblakłych wspomnień. Murray zatrzymał się w przestronnym holu i wsłuchał w ciszę, ponieważ tylko ją wydawał teraz zastęp zegarów, które dwa lata temu dręczyły powietrze swym niestrudzonym tykaniem. Zdobiąca westybul rzeźba – ilustrująca upływ czasu za pomocą ogromnej klepsydry, która dawniej obracała się na mechanicznych ramionach – też była sparaliżowana, spowita kokonem pajęczyn. Ten sam kurz, który unieruchomił jej tryby, osiadł też na

łopatkach i zębatkach zabytkowych mechanicznych czasomierzy wystawionych z boku sali oraz na korpusach niezliczonych zegarów ściennych, jakie rozwieszono dokoła. Żaden z owych zegarów nie miał teraz czego mierzyć, ponieważ czas zamarł tam w środku. Ominąwszy drzwi prowadzące do jego gabinetu, Murray skierował się do ogromnego magazynu, gdzie niczym stare zmęczone zwierzę czekał na niego drżący porzucony „Cronotilus”. Był to tramwaj opleciony żelaznymi, chromowanymi rurami – jego tył inżynierowie wyposażyli w silnik parowy, a przód w rodzaj wzmocnionego dziobu lodołamacza. To wraz z zamontowaną na dachu wieżyczką, z której można było wygodnie otworzyć ogień, sprawiało wrażenie, że pojazd jest przystosowany do zapuszczania się w niebezpieczne miejsca, co było prawdą, ponieważ „Cronotilus” podróżował w przyszłość, przemierzał czwarty wymiar – tajemnicze terytorium, gdzie Murraya spotkała śmierć.

Jako Pan Czasu dorobił się milionów. Jednak gdy stwierdził, że jest już wystarczająco bogaty, a dalsze gromadzenie pieniędzy nie robi mu żadnej różnicy, nie wpadł na pomysł innego zakończenia swojej działalności jak sfinansowanie własnej śmierci. W rzeczywistości nie miał innego wyjścia. Nikt nie zaakceptowałby, że tak po prostu zamknięto Podróżę w Czasie Murraya, odbierając światu możliwość odwiedzania przyszłości, a takiego przedsięwzięcia nie można też było przekształcić w sklep z porcelaną czy tawernę. Śmierć rozwiązywała problem w sposób straszliwie prosty, a zarazem nadała pamięci jego nazwiska piękny tragiczny połysk. I zrobił to, umarł, wymyślając śmierć przerażającą i idealną, taką, która poruszyła świat – a ten nie zwlekając, uczcił jego pamięć brązową statuą ustawioną pośrodku placu. Tak, Gilliam Murray odszedł w wielkim stylu, jak to potrafili zrobić tylko wielcy herosi, a tajemnicę podróżowania w czasie zabrał ze sobą do grobu. I podczas gdy ludzkość sądziła, że na powrót została uziemiona w nieprzewyżnionej teraźniejszości, on z kieszeniami pełnymi pieniędzy przepłynął się przez Atlantyk, by zacząć nowe życie w nowoczesnym Nowym Jorku pod nowym imieniem i nazwiskiem: Montgomery Gilmore.

Jego przybycie wywołało małe tsunami na spokojnym oceanie nowojorskiej zamożnej socjety. Miasto było spętane systemem wartości zdominowanym przez kult rodów i tradycjami, które wydały się Murrayowi nieprzyjemnie znane, ale postanowił je uszanować, aby nie ściągać na siebie uwagi. Szybko zrozumiał, że ucieczka zaprowadziła go na grunt tak niepewny i śliski jak ten, który właśnie porzucił, ponieważ pod piękną powierzchnią – na której życie płynęło niczym spokojna rzeka, przez garść archaicznych norm powstrzymywana od wystąpienia z brzegów – pulsuje świat złożony z namiętności i słabości skrupulatnie rejestrowanych przez rzeczników tego szczególnego królestwa pozorów. Murray, obojętny na tę mechaniczną hipokryzję, obserwował, jak po posiłkach zawsze ktoś kładł na stole deser w postaci świeżo upieczonych plotecek – ujawniał czyjś potajemny romans albo ostatnie małżeństwo, które jakaś bogata matrona pobłogosławiła z wysokości swego otoczonego pudłami tronu, aby połączyć dwie zamożne rodziny. Brzydził się tym wszystkim, toteż gdy jego obecność straciła blask nowości, ograniczył swoje udzielanie się w towarzystwie. Pojawiał się tylko na koniecznych obiadach biznesowych, a jego skryte, niemal mnisie życie ostatecznie stało się panczerem chroniącym go przed towarzyskimi hienami, które natychmiast zmęczyły się szukaniem padliny w tym, co uznały za nudną egzystencję, daleką od pokus, jakim ulegają śmiertelnicy. Tak więc Murray zdołał się harmonijnie wpasować w krajobraz nowojorskiej bogatej socjety jako tajemniczy magnat i mizantrop, niestanowiący żadnego zagrożenia dla delikatnej kanwy miejscowych zwyczajów.

Jednak tego modelu życia, który początkowo określał jako żalorny, nie wybrał

dobrowolnie, ale z przymusu. Choćby chciał postępować inaczej, nie mógł – odbywające się w metropolii rozmaite spektakle i wystawy męczyły go i nudziły, ponieważ ten zalew estetycznych emocji zamiast pomóc mu oczyścić i uwznioślić ducha, jedynie ujawniał jego smutne nieokrzeseanie, a uroczyste kolacje, bale i inne rozrywki, jeśli godził się w nich uczestniczyć, tylko pokazywały, jak łatwo gubi się na krętych ścieżkach towarzyskiego życia.

Nie potrafiąc korzystać z przyjemności będących w zasięgu jego fortuny i nie wiedząc, jaki tor nadać swojej egzystencji, kiedy już zrealizował marzenie, które mu do tej pory przyświecało – a nie było nim nic innego, jak stworzenie przedsiębiorstwa zajmującego się podróżami w czasie – milioner Murray przesuwiał markotnym wzrokiem po swoich rozległych włościach i czuł się zmuszony żyć jak skazaniec. Co było go w stanie zafascynować? Co mogło go uwieść? Co mogło wstrząsnąć tą nudną samotnością, która go osaczyła i której nie zdołały ukoić nawet comiesięczne paczki książek sprowadzanych z Anglii? Najwyraźniej nic nie potrafiło sprawić mu żadnej przyjemności ani dać pocieszenia, najprościej więc było zaakceptować zgnębienie, poddać się temu, co oczywiste, i nie robić nic, zupełnie nic. W rzeczywistości jedynym zadaniem, jakie koniecznie wymagało jego uwagi, było podtrzymywanie własnego bogactwa, i realizował je codziennie bez większego wysiłku, lecz także bez najmniejszego entuzjazmu, spotykając się z przedsiębiorcami i inwestując tu i tam, ponieważ jeśli Murray miał jakąś zaletę, to oczywiście był nim godzien pozazdrosczenia szósty zmysł do odkrywania lukratywnych inwestycji – wystarczyło mu spojrzeć przez okno, i nie jest to tylko metafora. Z okna swej rezydencji patrzył, początkowo bez celu, a potem z zainteresowaniem, na tory nadziemnej kolejki, po których od czasu do czasu jeździła zasapana ciuchcia, z wielkim trudem ciągnąca krótki sznur wagonów. Po drodze deszczem drewnianych drzazg i węgla, niekiedy doprawionym jakimś zabłąkanym większym kawałkiem, zasypywała przechodniów, którzy musieli cierpliwie znosić tę żelazną konstrukcję zamieniającą światło słoneczne w cienisty całun. Było oczywiste, że ów pociąg, pozwalający pasażerom zaglądać do wnętrza najbliższych domów, a czasami stający się głównym bohaterem niepozobawionych spektakularności wypadków, powinien kursować pod ziemią, dlatego Murray przeznaczył część swoich pieniędzy na prototyp kolei podziemnej w fazie eksperymentalnej, a ten szybko okazał się rentowny.

Podobnie zainwestował w eksploatację kopalń, statki, hotele i różne inne przedsięwzięcia, nieniosące z sobą ryzyka, a nawet – aby jego zamożni sąsiedzi nie podejrzewali, że jest człowiekiem bez marzeń, ponieważ ktoś powiedział, że ludzie pozbawieni złudzeń posiadają niezachwianą moc – poświęcił się kolekcjonowaniu starożytności, które jego przedstawiciele nabywali na licytacjach i aukcjach całej Europy, a które on umieszczał w salonach swojej rezydencji ku rozpacz Elmera żywiącego naturalną nienawiść do wszystkiego, co podejrzewał o zbieranie kurzu. Lecz chociaż Murray tak wiele wybiegów wymyślił, ażeby zwieść innych, sam znał prawdę: jego życie było przepelnione nudą, niezadowoleniem i smutkiem.

I takie byłoby nadal, gdyby nie pewien fortunny powiew wiatru, który wszystko zmienił, i znów nie jest to tylko metafora. Mam na myśli prawdziwy powiew wiatru. Czym w rzeczywistości jest wiatr? Do tamtej chwili dla Murraya był tym samym co dla każdego z was: masą powietrza przemieszczającą się przez atmosferę. Jednakże po tym, co się wydarzyło owego niedzielnego poranka, wydał mu się czymś innym, czymś znacznie głębszym, o wiele bardziej brzemienym w skutki i doniosłym, może wręcz

tchnieniem Stwórcy. Czy On w ten sposób porusza pionki na swej szachownicy – dmuchając na nie? Z tego co widać, wszystko przemawiało za tym, że tak. Zdarzyło się to, jak już wspomniałem, w niedzielę – w tak jasną niedzielę, że pozostanie tego dnia w domu byłoby niewybaczalnym grzechem, toteż cały Nowy Jork wyległ na zewnątrz, aby korzystać z pogody, rozkoszować się nią i tarzać w niej, niemal bezwstydnie ciesząc się światłem i zapachem. Nawet Murray nie mógł się temu oprzeć – przerwał swoje pustelnicze zamknięcie i sprawił sobie przyjemność, udając się z psem na spacer do Central Parku, który jaśniał szczególnie pięknie, jak gdyby ktoś rozsiał blask w swoim zbiorze egzotycznych drzew i niekończących się trawiastych przestrzeni.

Gdy tylko przekroczył bramę parku, odkrył, że tłoczno jest w nim od ludzi, którzy wpadli na ten sam pomysł. Wielu spacerowało w parach lub grupami, czytało na ławkach, urządzało pikniki na trawnikach albo uczyło swe dzieci puszczać latawce. Murray sunął pomiędzy nimi odmiennym krokiem, jakby słyszał inną niż oni muzykę, nie potrafiąc upodobnić się nastrojem do tego radosnego, hałaśliwego otoczenia, a tymczasem Wieczny biegał szczęśliwy tu i tam, wśród swobodnych podskoków i susów. Ku zaskoczeniu pana najwyraźniej miał skłonność do przynoszenia mu wszystkiego, co ten postanowił mu rzucić, jak każdy pies. A nawet przedmioty, których mu nie rzucono, bo po kolejnym patyku czy kamieniu upuścił u jego stóp ładny różowy kapelusik, jakiego jego pan sobie nie przypominał.

Murray podniósł głowę w poszukiwaniu właścicielki delikatnego nakrycia głowy, które trzymał w dłoni. Daleko, nad sztucznym jeziorkiem, dostrzegł grupkę dziewcząt siedzących na trawie. Jedna z nich wstała i dała mu znak, by się zbliżył. Ona jedyna nie miała kapelusza, zatem nietrudno było wywnioskować, że powiew wiatru strącił go z jej głowy i potoczył po łące jako nieodpartą pokusę dla Wiecznego. A teraz to on go miał. Murray zaklął pod nosem. Z powodu złośliwego spisku wiatru z jego psem musiał tam podejść, by zwrócić kapelusik i przypuszczalnie wdać się w rozmowę z tą kobietą, co go wpędziło w panikę, jako że miał znikome doświadczenie w przestawianiu z damami. Zdenerwowany ruszył w stronę nieznaną, odchrząkując i rozważając w myślach możliwe uprzejmości, które mógł wpleść w nieuniknioną konwersację.

W miarę jak odległość malała, Murray, celowo idąc wolno po miękkiej trawie Central Parku, eskortowany przez swojego psa, zaczął żywić podejrzenie, że dziewczyna, do której niosły go drżące kroki, jest ładna, choć nie mógł ocenić jak bardzo, dopóki nie znalazł się blisko. Dopiero wówczas zrozumiał, że nieznaną nie jest jedynie piękna: owszem, była piękna, ale zarazem tak niepokojąca, że patrząc na nią, człowiek ryzykował utknięcie na zawsze w enigmie jej urody.

Murray wykorzystał ostatnie dzielące go od niej kroki na zmapowanie jej fascynującej twarzy. Jeśli się dobrze przyjrzeć, poszczególne elementy nie były niczym specjalnym – żaden nie odpowiadał kanonom epoki: nos był za duży, oczy trochę zbyt wąskie, a kolor skóry dziwny – ale suma tego wszystkiego dawała wynik zapierający dech w piersi. I wówczas zdarzyło się coś, czego nigdy by u siebie nie podejrzewał: zakochał się. Albo przynajmniej poczuł jeden po drugim wszystkie objawy, o których tyle razy czytał w powieściach opisujących miłość od pierwszego wejrzenia, a które zawsze zmuszały go do zamknięcia takiej książki ze znużeniem i wstrętem, ponieważ był przekonany, że coś tak nedorzecznego i nieopanowanego może się zdarzyć tylko w wyidealizowanej rzeczywistości powieści romantycznych. A teraz sam ich doświadczał! I to wszystkich! Serce zaczęło mu bić boleśnie, jakby klatka piersiowa mu się nagle zwężyła, a ono tłuło się o jej ściany jak zwierzę w pułapce; ubył mu ciężaru ciała, aż odniósł wrażenie, że się

unoszą nad trawą; kolory całego otoczenia stały się intensywne, iskrzące; nawet wietrzyk zdawał się burzyć włosy z nadzwyczajną łagodnością... I kiedy Murray pokonał kilka ostatnich metrów, które go od niej dzieliły, nie miał już najmniejszej wątpliwości, że na świecie nie istnieje piękniejsza dziewczyna od właścicielki tego kapelusza, i wiedział, że pozostałe kobiety z całej Ziemi niepotrzebnie paradowałyby przed nim ze swoimi powabami. Ta irracjonalna lojalność wobec urody nieznanym wydała mu się pierwszą pewną oznaką – tak jak kichanie i łzawienie dla alergika – że właśnie doświadczył błyskawicznego zakochania.

Zatrzymał się przed panną i tak został, owładnięty absolutnym Szokiem, podczas gdy ona leciutko uniosła brwi, czekając, aż ten ogromny osobnik, którego dłonie mogłyby się równać z jej kapelusikiem, wreszcie się odezwie. Ale Murray zapomniał, że człowieka od zwierząt odróżnia dar posługiwania się słowem. Zapomniał, że człowiek jest istotą wyższą, obdarzoną zdolnością mowy, a ponadto chodzenia na dwóch nogach, tworzenia wielkich dzieł, odkrywania kontynentów i wznoszenia miast, ponieważ w tym momencie dla niego istniała tylko jedna rzecz, którą człowiek może robić: podziwiać tę dziewczynę z oddaniem, notować skrętnie każde jej westchnienie i wreszcie zatracić się w ekstazie jej egzystencji.

Ale czy Emma naprawdę była aniołem, który zstąpił z nieba na ziemię? – zastanawiacie się pewnie ze zrozumiałym niedowierzaniem, a niektórzy może nawet z ironicznym uśmieszkiem. I cóż mogę wam odpowiedzieć, jak tylko to, że uroda kobiety nigdy nie jest tak prawdziwa jak w oczach kochającego ją mężczyzny. Dlatego w tym jasnym wiosennym dniu, gdy słońce złociło jej skórę, a włosy łagodnie burzył ten sam figlarny wietrzyk, który przed chwilą porwał jej kapelusz, Emma była bez wątpienia najpiękniejszą kobietą we wszechświecie. Lecz gdyby to wam nie wystarczyło, pozwólcie, że podzielę się z wami swoją opinią – skromną, jak przystoi komuś tak mało skłonnemu do szufladkowania jak ja, oraz bezstronną, jaka powinna wyjść od dobrego narratora. Tak jak ja to widzę, dziewczyna nie była może zniewalająco piękna, ale jakby wymodelowana przez garncarza, który znał gust Murraya lepiej niż on sam. Wszystko, co wydawało mu się atrakcyjne w kobiecie, i wszystko, o czym nawet nie wiedział, że go pociąga, zbiegło się harmonijnie w pannie, którą miał teraz przed sobą, zwiewnej i delikatnej jak łabędzie pióro, jeśli mi pozwolicie na to porównanie. Jej lekki kościec był wyścielony zaokrąglonym ciałem, które zamiast zwyczajowej bledkości wyglądało raczej jak oprószone cynamonem, w twarzy zaś, obramowanej długimi czarnymi włosami, łagodnie strzępiącymi się na czole, błyszczały urzekające oczy, które zdawały się nie tylko widzieć rzeczy, lecz także je ogrzewać, spowijać miłym ciepłem, jak słońce w zimowe popołudnie. I niczym końcowy podpis, matka natura w swej nieskończonej mądrości umieściła pieprzyk w jedynym miejscu, w którym nie mógł zrujnować tej twarzy: ponad krawędzią górnej wargi, jak znak prowadzący do pocałunku. Ale wszystko to miałyby dla Murraya walor czysto estetyczny, gdyby nie oczarowała go również dusza, którą tchnięto w tę całość, sprawiając, że poruszała się w symfonii uroczych gestów, te zaś składały się na cud przemieniający groźną atrakcyjność w zachwycającą piękność.

Jednak w jakimś momencie jego nabożnej kontemplacji ta zachwycająca piękność zaczęła marszczyć brwi, co natychmiast wyrwało Murraya z błogiego zamyślenia. „Kapelusz!” – przypomniał sobie i podszedł jeszcze bliżej, by go jej wręczyć. Wyciągnął rękę i dopiero wtedy zauważył, że trzyma w niej niewiele więcej jak brudny, wymamłany przez psa gałgan. Poczul się okropnie zawstydzony i rozmowa, która się miała nawiązać, okazała się równie krótka co nijaka. Tak bardzo, że teraz nawet jej sobie nie przypominał.

Jedynie, czego nie zapomniał, to aksamitny głos dziewczyny, która zdawała się każde słowo ubierać w koronkę, na co on odpowiadał udręczonym jękiem.

Mimo wszystko wracając do domu z Wiecznym ostrożnie drepającym u jego boku, Murray przyłapał się na tym, że maluje sobie w głowie obraz pełen szczęścia: on siedzi wygodnie z książką przy ogniu płonącym w kominku, a ona przy pianinie, rozsiewając w mieszkaniu garść poruszających nut, gdy tymczasem na piętrze niańka układa do snu owoce ich miłości – dwójkę, może trójkę ślicznych cherubinków, a czemu by nie czwórkę. Poczul, że rozpierają go radość i energia, że mógłby polecieć nad ulicą, gdyby się puścił biegiem. Nie wiedział, czy to miłość, ponieważ nigdy niczego takiego nie doświadczył, ale na pewno było to uczucie, które wyznaczyło nowy kurs jego życiu, uczucie, które po raz pierwszy zdołało go zdetronizować z najważniejszego, centralnego punktu własnej egzystencji, ponieważ teraz – ku jego zaskoczeniu – wszystko obracało się wokół pięknej nieznanym. Jakie było jego życie, zanim natknął się na nią w parku? Już nie pamiętał. Czy kiedyś żył bez wspomnienia jej uśmiechu przed oczyma? I jak mu się to udawało? Teraz chciał tylko wrócić i patrzeć na nią, kierować swoją egzystencją na ten jedyny cel. I nie tylko to: pragnął ją poznać, dowiedzieć się, kim naprawdę jest, jaki ma ulubiony smak herbaty, najstraszniejsze wspomnienie z dzieciństwa, największe marzenie. Pragnął wreszcie rozłożyć jej duszę, jakby była papierowym ptakiem, by sprawdzić, jak została zrobiona. „Czy to miłość?” – pytał sam siebie. Czy ta dziewczyna jest zaginioną częścią jego duszy, osobą przeznaczoną do tego, by go poznać lepiej, niż zna siebie samego, światłem, które go poprowadzi w ciemności, i całą resztą stereotypów, którymi określa się stan zakochania? Murray tego nie wiedział, ale jednego był pewien – nie podda się, póki tego nie sprawdzi. On, Gilliam Murray, podbija każde tajemnicze terytorium, jak podbił czwarty wymiar.

Nigdy nie pragnął czegoś tak bardzo. Nigdy. Dlatego gdy dotarł do swej rezydencji, skierował Elmera do parku z zadaniem śledzenia jedynej panny bez kapelusza, jaką tam znajdzie, aż do jej domu. I następnego dnia na adres zdobyty przez kamerdynera wysłał dostawę kapeluszy wraz z własnoręcznie wypisaną wiadomością, nad którą biedził się w nocy:

Szanowna Panno Harlow!

Jako że nie wiem, w jakich kapeluszach Pani gustuje, przesyłam cały asortyment sklepu. I korzystam z okazji, by wyznać, że byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby pozwoliła mi Pani poznać się na tyle dobrze, abym najbliższym razem mógł przesłać Pani właściwe, ulubione nakrycie głowy.

Montgomery Gilmore,
niewinny właściciel okrutnego psa

Podziękowała mu za prezenty kartką, którą otrzymał tego samego wieczoru. W liściku napisała:

Uprzejmie dziękuję za trzydzieści siedem kapeluszy, Panie Gilmore. Muszę przyznać, że to bardzo skuteczny sposób, abym porzuciła strach przed tym, że jakiś pies pogryzie mój kapelusz w przyszłości. Zarówno moją matkę, jak i mnie ucieszy możliwość podziękowania Panu osobiście,

jeśli zgodzi się Pan napić z nami herbaty jutro po południu.

Emma Harlow

Murray ucieszyła ironia, jaką popisała się dziewczyna, nawet bardziej niż samo zaproszenie. W rzeczywistości w tym ostatnim nie było nic spontanicznego: Emma po prostu postąpiła według protokołu, zapewne z polecenia matki, która nie chciała, by jej córka znalazła się na czarnej liście cywilizowanej nowojorskiej socjety jako ktoś, kto nie umie właściwie wyrazić wdzięczności za trzydzieści siedem kapeluszy.

Mimo wszystko Murray stawiał się w jej domu w porze podwieczorku gotów wykorzystać sytuację w jak największym stopniu. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak się należy zalecać do damy, ale przypuszczał, że nie powinno się to bardzo różnić od dobijania dobrego interesu. Zadziwił matkę zasobnością swojego majątku i rozległością inwestycji, aż tej dobrej kobiecie wydało się zapewne, że ma do czynienia z właścicielem planety i części wszechświata, ponieważ zanim zjedli wszystkie ciasta, zdążyła mu już udzielić zgody, by jeśli sobie tego życzy, starał się o rękę jej córki. Przyzwolenie matki zalało Murraya dziką radością, która trwała do momentu, gdy odkrył, że aby przystąpić do zalotów, należy się zapisać na listę pretendencjantów z ambicjami chóru parafialnego.

Horda wymuskanych, pewnych siebie konkurentów zniechęciła go. Przez chwilę myślał nawet, żeby tym rzucić, lecz potem zmienił zdanie. Wycofanie się nie wchodziło w grę. Zatem stawi czoło tym paniczkom i zwycięży, jasne, że tak! Przyszło mu do głowy, że mógłby kogoś zatrudnić, aby ich usunął jednego po drugim, ale ta metoda, choć szybka i łatwa, na dłuższą metę okazałaby się nazbyt podejrzana: taki łańcuszek śmierci w końcu doprowadziłby do niego, jedyne konkurenta pozostałego przy życiu, a policja nie była głupia, choć czasami taka się zdawała. Ponadto wołał ich pokonać uczciwie. A więc powinien wyostrzyć swój geniusz – tylko to mu pozostawało.

Zatem Murray wyruszył na drugą randkę uzbrojony w optymizm, chociaż niestety nie uniknął przez to klęski. Zahipnotyzował matkę, a także pana Harlowa, który mimo że dotąd nie wykazywał najmniejszego zainteresowania osobistym poznawaniem pretendencjantów do ręki swojej skomplikowanej córki, tego popołudnia zrobił wyjątek i pojawił się w salonie na herbatce zaintrygowany rozemocjonowanym opisem swej żony, a potem tak zafascynowała go pogawędka, że po raz pierwszy w życiu spóźnił się na swą lekcję strzelania. Murray ostatecznie oczarował oboje rodziców panny, opowiadając im o swoich inwestycjach w Afryce, tej wrogiej ziemi, na którą odważyła się zapuścić zaledwie garstka śmiałków. Na Czarnym Łądzie zewsząd grożą niebezpieczeństwa – aby to zilustrować, opowiedział o wudu, o malarii oraz atakach lwów, krokodyli, goryli i innych zwierząt, których nie radziłby im trzymać w domu jako maskotek. Jednak gdy został sam na sam z Emmą, nie wiedział, co powiedzieć. Podczas przechadzki po Central Parku, do której zachęciła ich jej matka, by w ten sposób zwieńczyli spotkanie, przez większą część czasu milczał, jedynie ukradkiem spoglądając z oddaniem na ukochaną. Ona szła obok niego lekkimi kroczkami myszki, osłaniając się małą parasolką przed smugami słońca przenikającymi poprzez gałęzie drzew, i wydawała mu się tak wrażliwa i krucha, jakby jej miał zaszkodzić nawet ruch obrotowy Ziemi. Im dłużej na nią patrzył, tym więcej ukrytych uroków odkrywał i dręczył się, że nie docenił ich wcześniej. Zauważył, że jej oczy ożywia blask niewinności z doskonale pasującą drapieżną iskrą, jakby w jej żyłach płynęła krew pantery, i że pod arogancją dziewczyny niczym podziemne źródło pulsuje obfitość łagodności. Może to owa cokolwiek egzotyczna uroda odróżniała ją od pozostałych panien, przesądzała ojej niepowtarzalności i pozwalała z taką wyniosłością

mierzyć się ze światem. Lecz Murray obserwował to wszystko, niemal dusząc się, spowity pajęczyną jej urody, i nie odzywał się ani słowem. Pogrążony we własnej radości, nie spostrzegł, jak bardzo ten spacer musiał być nudny dla Emmy, aż wreszcie okazała mu to sztucznie przesadzonym ziewnięciem, po którym zadała pytanie, chociaż odpowiedź na nie właściwie jej nie obchodziła.

– Cóż, panie Gilmore... – rzekła celowo lekceważącym tonem. – Podoba się panu Ameryka? Przypuszczam, że skoro jest pan przyzwyczajony do starej Anglii, musimy się panu wydawać niewiele więcej niż barbarzyńcami.

– Bardzo – zdołał wykrztusić Murray, Emma spojrzała na niego zaskoczona i zszokowana.

– Nie, nie chciałem powiedzieć, że... – poprawił się zmieszany milioner. Zajęty szukaniem trafnej odpowiedzi na jej pierwsze pytanie, ledwie usłyszał to, co po nim nastąpiło. – Chciałem powiedzieć, że bardzo mi się podoba Ameryka. Bardzo mi się podoba. Ogromnie. Wspaniały kraj! I oczywiście Amerykanie nie wydają mi się żadnymi barbarzyńcami. A już najmniej pani.

– Wobec tego pana zdaniem moja matka jest bardziej barbarzyńska niż ja? – upomniała go łagodnie dziewczyna. Zakręciła parasolką, a po jej twarzy zawirowała karuzela cieni.

– Och, jasne, że nie, panno Harlow. Ani pani bardziej niż ona... Pozwoli pani, że... – Murray zaplątał się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i doskonale zdając sobie sprawę z tego, że dziewczyna stroi sobie z niego żarty. – Chciałem wyjaśnić, że ani pani, ani pani czarująca mama nie zasługujecie na takie określenie. Barbarzyńskie, mam na myśli. I również nikt z pani szacownej rodziny, rzecz jasna... ani z sąsiadów, ani znajomych...

Po tym zagmatwanym wytłumaczeniu znów zapadło milczenie. Skrępowany, czując, że cisza przedłuża się dramatycznie, Murray próbował wymyślić jakiś temat rozmowy, któryś z tych, jakimi sypie z rękawa każdy fircykowaty zalotnik. Lecz znowu to Emma przerwała milczenie:

– Wyobrażam sobie, że człowiek tak zajęty jak pan, spędzający dni na łączeniu przedsięwzięcia w celu pomnożenia majątku, znajduje niewiele czasu na światowe rozrywki... Przypuszczalnie uważa je pan za frywolne lub nawet odpowiednie dla ludzi kondycji niższej niż pańska. Jestem pewna, że w tej chwili pański umysł znajduje się gdzieś daleko stąd, zagubiony wśród niezliczonych przedsięwzięcia, pan zaś stara się ukryć, że uważa ten spacer za oczywistą stratę czasu. Mylę się, panie Gilmore?

– Jeśli to moje niezręczne milczenie przywiodło panią do takich myśli, błagam, aby przyjęła pani moje najszczerze przeprosiny, panno Harlow – pośpieszył z wyjaśnieniami Murray, coraz bardziej zmieszany. – Nic nie jest dalsze od moich zamiarów niż wywołanie u pani tak mylnego wrażenia, zapewniam panią.

– Och, wobec tego mam rozumieć, że się mylę i że po prostu lubi pan cieszyć się zdrowym ruchem na świeżym powietrzu, nie urozmaicając spaceru żadną inną czynnością, która mogłaby pana rozproszyć w skomplikowanym zadaniu stawiania jednej nogi za drugą?

– Ja... cóż, to prawda, że zazwyczaj bardzo sobie cenię ruch. Nie jestem człowiekiem, który lubiłby trwać bez ruchu, panno Harlow. Spacer dodaje mi... ee... krzepy. I sądzę, że jak pani zauważyła, to... zdrowy nawyk.

– Cóż, w takim razie, skoro tego pan sobie życzy, kontynuujmy spacer pogrążeni w zdrowej, krzepiącej ciszy.

Otworzył usta, by jej odpowiedzieć, lecz zaraz je zamknął, nie bardzo wiedząc, co

rzec. Ze zrezygnowaną miną przyjął nieznośną ciszę, jaka znów zapadła. Podczas gdy rozpaczliwie szukał sposobu na jej przerwanie, uszli kolejny odcinek. Emma u jego boku znużonym gestem kręciła parasolką i od czasu do czasu potrącała stopą zaścielającą ścieżkę kamyki, jawnie okazując swój rosnący gniew. Murray zaś próbował ukryć swą pełną udręki rozpacz. W świecie biznesu bez wątpienia poruszał się z godną pozazdroszczenia łatwością, ale nie potrzebował już więcej randek, by sobie uświadomić, że na polu zalecania się do damy zachowywał się nieskończenie nieudolnie. Zamierzał ją zdobyć, lecz chybiał za każdym ciosem niczym ślepy bokser. Najwyraźniej kiedy próbował rozmawiać z Emmą, miłość, jaką do niej czuł, raczej mu przeszkadzała, niż działała na korzyść. Zdesperowany podjął kolejną próbę.

– Czy mogę panią zapytać o pani zamiłowania, panno Harlow? – odezwał się nieśmiało, obawiając się następstw, jakie może za sobą pociągnąć tak niewinne pytanie.

Emma spojrzała na niego z wyższością.

– To oczywiście, że nie miewa pan wiele do czynienia z dobrze wychowanymi i eleganckimi pannami, panie Gilmore, ponieważ gdyby pan miewał, nie musiałby pan pytać. Wszystkie mniej więcej robimy to samo. Zatem, jak każda szanująca się panna, doskonale się w muzyce, śpiewie i tańcu oraz dokładam starań, by ćwiczyć ducha i wzbogacać swą wiedzę licznymi lekturami, podobnie jak nasz język językiem francuskim, który opanowałam do perfekcji, *mon cher petit imbecile*. Ponadto od czasu do czasu chodzę do teatru, baletu i opery oraz codziennie staram się zapewnić sobie nieco... krzepy zdrowymi spacerami po Central Parku. Jak pan widzi, życie upływa mi na zabawie.

– Tak pani sądzi? Bo niech mi będzie wolno zauważyć, że nie wydaje mi się, by uznawała pani swe życie za szczególnie zabawne, panno Harlow – mimowolnie wtrącił Murray.

– Ach, nie? – Spojrzała na niego z zaciekawieniem. – A co sprawia, że pan tak myśli?

– Cóż... – zawahał się nieco onieśmielony. – Jeszcze nie miałem przyjemności usłyszeć... cudownego dźwięku pani śmiechu.

– Ach, już rozumiem! Wobec tego proszę o wybaczenie, mój wielce szanowny panie Gilmore, za to, że nie zmusiłam się wystarczająco do śmiechu jak jakaś głupia z byle powodu, pozbawiając pana wspomnianej przyjemności. Niech pan jednak nie sądzi, że skoro pan go nie słyszał, mój śmiech nie istnieje. Tak się składa, że wesołość pojawia się u mnie z innych przyczyn niż u reszty ludzi, dlatego przyjęłam zwyczaj śmiać się w samotności lub sama do siebie.

– Smutna forma śmiechu... – mruknął pod nosem Murray.

– Tak pan uważa? – zachnęła się dziewczyna. – Pańska wola, nie będę się spierać. Lecz jeśli dla kogoś jedyną przyczyną wesołości jest nieunikniona głupota ludzka, śmiech w samotności staje się formą wynikającą z dobrego wychowania, nie sądzi pan?

– Czy mam zatem wnioskować, że podczas całego naszego spaceru nie przestaje się pani śmiać sama do siebie? – zażartował Murray pogodnie.

– Dobre wychowanie nie pozwala mi na to pytanie odpowiedzieć, panie Gilmore, a moralność nie pozwala kłamać. Niech pan wyciągnie własne wnioski.

– Właśnie to zrobiłem, panno Harlow – odrzekł z rezygnacją. – I czuję się bardzo dumny z tego, że podsunąłem pani powód do śmiechu. Ale czy nigdy nie śmiała się pani z czego innego niż ludzka głupota? Z jakiejś innej przyczyny lub nawet bez przyczyny, tak po prostu, ponieważ jest piękny dzień, kucharka przygotowała pani ulubioną potrawę...?

– Oczywiście, że nie – ucięła dziewczyna. – Nie rozumiem, dlaczego fakt, że wszystko

funkcjonuje właściwie, miałby być powodem wesołości.

– ...albo ponieważ zakochała się pani?

Emma, zdumiona, uniosła brwi.

– Czy dla pana miłość jest powodem do śmiechu?

– Nie, ale do radości tak – odpowiedział milioner. – Nigdy nie była pani zakochana, panno Harlow? Nigdy nie czuła się pani tak żywa, tak intensywnie żywa, że musiała się pani roześmiać, żeby nie pęknąć ze szczęścia?

– Obawiam się, że to pytanie jest zbyt śmiałe z pana strony, panie Gilmore.

– To mogłaby być odpowiedź od dobrze ułożonej panny, ale także od kogoś, kto boi się ujawnić własną niezdolność do zakochania – odrzekł.

– Próbuje pan insynuować, że nie jestem zdolna do zakochania na podstawie tego prostego faktu, że nie padłam uległa do pańskich stóp? – wybuchła Emma.

– Moje dobre wychowanie nie pozwala mi odpowiedzieć na to pytanie, panno Harlow, a moralność nie pozwala kłamać. Niech pani wyciągnie własne wnioski.

– Panie Gilmore, nie może się pan starać o rękę panny, wygłaszając tak impertynenckie uwagi. Żadna szanująca się dama nie pozwoliłaby sobie, by...

– Nie dbam o to, co robią inni! – wykrzyknął Murray na wpół zapalczywie, a na wpół w udręce, na co dziewczyna zatrzymała się, skonsternowana, na środku mostka, po którym właśnie szli. – Nie obchodzi mnie, co jest właściwe, a co nie. Mam dość tej gry! Ważne jedynie jest dla mnie to, panno Harlow, czego potrzeba pani do szczęścia. Powiedz mi, Emmo, co panią uszczęśliwia? To bardzo szczerze pytanie i mam nadzieję na szczerą odpowiedź.

– Co mnie uszczęśliwia? – zająknęła się lekko. – Cóż, już panu powiedziałam...

– Nie, nie powiedziała mi pani tego, Emmo. A nade wszystko chciałbym wiedzieć, czego pani pragnie – nalegał Murray tak samo twardo i szorstko, jak negocjował klauzule kontraktów, zmęczony już rytuałem, którego absurdalnych reguł nie znał.

Emma spojrzała mu w oczy na wpół speszona, na wpół urażona tą nagłą, obcesową zmianą tonu. A potem coś się zdarzyło: ciemne źrenice dziewczyny niejako spękały i Murray, jak ktoś, kto zagląda przez szpary w murze, w ulotnym mgnienu między dwoma mrugnięciami oka dostrzegł zagubioną dziewczynkę, która patrzyła na niego błagalnie. Dziewczynka ta, rozdrażniona i smutna, miała czarne kędziory, ubrana była w żółtą sukienkę i z całych sił przyciskała do piersi dziwny zwój papieru przewiązany czerwoną wstążką. Milioner zbity z tropu zastanawiał się nad tym, co ujrzał. Czy to Emma była tą dziewczynką? Ale jak on mógł ją zobaczyć? Wyobraził ją sobie jako dziecko? Lecz jeśli tak, jak to możliwe, że ukazała mu się w tak konkretnych, żywych szczegółach? Uczesanie, ubranie, dziwny zwój... Może zobaczył obraz, który – tak wiele razy oglądany w lustrze – wyrzył się na siatkówce dziewczyny? Nie wiedział tego, ale w jakiś sposób poczuł, że sięgnął do duszy Emmy, że zaistniało między nimi coś w rodzaju cudu czy magii, pozwalając na rzecz niemożliwą: Murray ujrzał ją taką, jaka naprawdę była.

Zjawisko było tak ulotne jak piana zostawiona przez falę na piasku. Lecz zanim dziewczynka na powrót zatonała w ciemności i zniknęła za zaszywającym się rozpruciem źrenic, przez które Murray ją dostrzegł, on zdążył dowiedzieć się o niej bardzo wiele: że nie jest szczęśliwa, że nie pamięta tego, jeśli niegdyś była, i że w rzeczywistości nie wie, czy kiedyś będzie. A nade wszystko, że ta dziewczynka się boi, strasznie boi, ponieważ kobieta, w której jest zamknięta, powoli ją dusi i wkrótce nie zostanie już po niej ani śladu. Przebłysk ten trwał zaledwie sekundę, lecz dla Murraya okazał się bardziej przydatny niż wiedza zdobywana przez całe życie. Kiedy dziewczynka zniknęła i źrenice

Emmy odzyskały swą zwykłą surową zuchwałość, Murray oderwał od niej oczy wstrząśnięty do głębi. Tamta dziewczynka błagała o pomoc i zrozumiał z niezaprzeczną pewnością, że tylko on może nie dopuścić do tego, by zniknęła na zawsze.

– Cóż, panie Gilmore – usłyszał słowa Emmy, jakby mówiła do niego z przesłoniętej mgłą dali – skoro tak przejmuję się pan tym, czego pragnę, powiem bez ogródek i spodziewam się, że mówi pan prawdę, twierdząc, że zależy panu tylko na moim zadowoleniu.

Murray wolno podniósł głowę, zaskoczony tą dziwną i nieoczekiwaną więzią, jaka pojawiła się między nim a panną, a której Emma najwyraźniej sobie nie uświadamiała. Musiał sprawić, aby tamta dostrzeżona w głębi dziewczynka uśmiechnęła się, a wtedy uśmiechnie się także kobieta, w której ona tkwi. Musiał jej pokazać, jak cudowny jest świat, jak nieskończenie wiele powodów do szczęścia ma dla swoich mieszkańców, chociaż on sam do niedawna w to wątpił. Ale co to ma za znaczenie, jaki tak naprawdę jest świat. On, Gilliam Murray, posiada wystarczająco dużo pieniędzy i wyobraźni, żeby zbudować świat wyłącznie dla niej, skrojony na jej miarę, świat, w którym wszystko ułoży się idealnie, ponieważ nikt inny, tylko ona będzie w nim dyktowała prawa.

– Pragnę, aby wycofał się pan z tych zalotów – rzekła oschle Emma. – Tego właśnie pragnę. Nigdy nie będę się mogła dostosować do żadnego z pańskich uczuć, a obawiam się, że nie umiałabym też udawać czegoś, czego nie czuję, jak to robi wiele kobiet. Zatem zwracam panu pański czas, panie Gilmore, aby poświęcił go pan jakiejś innej sprawie, bardziej użytecznej, zamiast próbować osiągnąć coś, co, choć pańska duma nie pozwala się do tego przyznać, jest dla pana niemożliwe.

Murray patrzył na nią z uśmiechem, lekko kręcąc głową.

– Jeśli wycofam się z zabiegów o pani rękę, panno Harlow, to byłby pierwszy raz, gdy nie osiągnąłbym tego, czego chcę. I... *depuis notre rencontre, vous êtes mon unique désir* – stwierdził.

Emma popatrzyła na niego wściekła, zdumiona jego bezczelnością, po czym fuknęła z rozpaczy, odwróciła się na pięcie i odmaszerowała energicznym krokiem, zostawiając go samego na środku tego bezsensownego mostka, który sprawiał wrażenie, jakby się miał zaraz zawalić pod jego ciężarem.

Jej reakcja nie wymazała uśmiechu z jego twarzy – Murray patrzył na oddalającą się dziewczynę owładnięty czułością. Wiedział, że gniew Emmy nie wynika jedynie z tego, że on znakomicie mówi po francusku, lecz także z tego, że nie rozumiała prawdziwego znaczenia jego odpowiedzi, choć był przekonany, że kiedyś go zrozumie. Bo chociaż to prawda, że zawsze osiągał to, czego chciał, teraz po raz pierwszy w życiu jego pragnienie nie miało nic wspólnego z jego własnym szczęściem, ale ze szczęściem jej. Dlatego niespodziewanie nie czuł żadnego pośpiechu, żadnego rozpaczliwego, egoistycznego naglenia, by spełnić swoje życzenie. I to była jego przewaga nad resztą konkurentów: on mógł poświęcić swoje życie na oczekiwanie, ponieważ nie należało już do niego. Był jej własnością. A Emma będzie kiedyś jego, miał bowiem do dyspozycji nieskończony czas, żeby poczekać, aż ona go zaakceptuje. Mógł czekać całe życie. Jeżeli trzeba, będzie ją kochał przez kolejne lata, bez wytchnienia, a jego miłość nigdy nie osłabnie. Będzie ją kochał bez potrzeby dotykania, na odległość, jak się podziwia gwiazdy lub witraż w katedrze. Będzie ją kochał, gdy tymczasem życie ich postarzy, patrzył, jak na przeciwległym brzegu będzie rozwijała motek swojej egzystencji, niczym wiekowe drzewo, które czas zostawił, bo nie dał mu rady, w nadziei, że ona spojrzy na niego i zawiedziona, zaciekawiona, owdowiała, rozżłoszczona, rozkapryszona czy cokolwiek, w

końcu otworzy dla niego ramiona. A wtedy on pokaże tej zagubionej dziewczynce, czym jest szczęście.

Ta pewność pomogła mu się pozbierać po porażce drugiej randki, przypomniał sobie Murray, idąc przez opuszczony magazyn, jakby spacerował po labiryncie własnej pamięci. Dzięki niej jego optymizm ożywił się na nowo, ale i tak postanowił zrobić sobie małą przerwę w swym podboju. Ten rozejm pozwoli Emmie otrząsnąć się z oszołomienia, jakie niewątpliwie wzbudziły w niej tak ekstrawaganckie maniery zalotnika, jemu zaś da możliwość dokładnego przemyślenia tej sprawy. Powinien znaleźć skuteczniejszą taktykę, strategię, w której nie wszystko będzie zależało od jego zachowania podczas spotkania sam na sam, a przede wszystkim nie w tak wrogim otoczeniu, za jakie nie wahał się uznać Central Parku, tego piekła i rajy jego życia. Chciał ją uczynić szczęśliwą, ale w tym celu koniecznie należało ją zdobyć, a musiał przyznać, że jak do tej pory robił dokładnie na odwrót – wszystko, żeby jej nie zdobyć. W końcu doszedł do oczywistego wniosku: po co ma dalej strzelać na oślep w nadziei, że niejako przez przypadek trafi w coś, co Emmie podoba się u amantów, skoro można ją wprost o to zapytać? Jak widzicie, Murray znalazł klucz do zrozumienia kobiet, którego reszta świata używała od tysięcy lat, może nawet od czasu, gdy Stwórca wyjął żebro z boku Adama, by zrobić swój ostatni psikus. Zadowolony ze swojej decyzji, wziął kartkę i sprytnie kryjąc się za welonem subtelności, oddał się w jej ręce z zapewnieniem, że może spełnić każde życzenie, jakie jej przyjdzie do głowy. Karta ta pociągnęła za sobą zabawną wymianę wiadomości, która trwała niemal przez cały wieczór. Zakończył ją dopiero wtedy, gdy – coraz bardziej zakochany – uświadomił sobie, że następnego dnia ma przyjąć Emmę w swym domu. I jak sobie wyobrażacie, wpadł w panikę. Wstał gwałtownie zza biurka i zaczął chodzić w kółko po gabinecie. Dobrze, zdołał ściągnąć ją na swój teren, rzekł do siebie. To było najtrudniejsze. Teraz musiał zdecydować, które miejsce będzie najodpowiedniejsze na rozmowę. Oranżeria? Ogród? Patio przy bibliotece? Wybrał to ostatnie, jako że zapewniało najwięcej prywatności i ciszy. Elmer mógłby ją tam zaprowadzić, a on sam nakreślił trasę przez salony, które powinna przy tym zobaczyć. Stół można by postawić pod wielkim dębem rosnącym pośrodku patio, co o tej porze zapewni im orzeźwiający cień – stwierdził. Tak, bez wątplenia był to idealny scenariusz. Tam niewiele lub nic nie mogłoby im przeszkodzić, a to może pozwoliłoby mu zachowywać się podczas spotkania z tak upragnioną powściągliwością.

W nocy dręczyła go bezsenność i nie mogło być inaczej z powodu zdenerwowania, w jakie go wprawiało zbliżające się nieuchronnie spotkanie. Prawie w ogóle nie spał, na szczęście wzięta rano kąpiel zdołała go orzeźwić na tyle, że po południu mógł przyjąć gościa ze spokojem w głowie i nieokreśloną wiarą we własne możliwości. Bezsenne czas poświęcił na wyobrażanie sobie możliwych rozmów ich dwojga, przygotowywał właściwe odpowiedzi na wszelkie pytania, jakie mogła zadać, lecz ostatecznie doszedł do wniosku, że to absurdalne próbować przewidzieć przebieg spotkania do tego stopnia, dlatego powinien się też przygotować na improwizację.

Zegar włókł się, nie mogąc dobrać do piątej po południu, a kiedy w końcu to zrobił, Murray miał już za sobą wszystkie możliwe stany ducha: optymizm, załamanie, apatię, nadzieję, strapienie, strach, a nawet nudności, ponieważ nerwy ostatecznie rozstroiły mu żołądek i zaburzyły trawienie pieczeni podanej przez Elmera. Błady i drżący, prawie rozgorączkowany, usłyszał dźwięk dzwonka u drzwi obwieszczający wreszcie przybycie Emmy, a po nim pełen wdzięku szybki krok kamerdynera. I nie czekając, aż ten

przybędzie i oznajmi wizytę, Murray zszedł do biblioteki, ocierając sobie chusteczką z czoła lodowaty pot. Tuż za nim dreptał Wieczny, który, przynajmniej na ile można to stwierdzić u psa, zdawał się pragnąć dowiedzieć, dlaczego jego pan przez całe rano był taki odmieniony. Jednak mimo mentalnego treningu, jakiemu Murray poddawał się w ciągu dnia, kiedy przybyli do biblioteki, Wieczny zareagował przed swym panem – podszedł do Emmy i jej pokojówki, by je obwąchać. Gdy się przekonał, że obie pachną odpowiednio – co odrzucało możliwość, że Emma przysłała na spotkanie automat – pies skierował się do swego ulubionego kąta i położył tam, by obserwować, czy jego pan będzie potrafił pobić jego spontaniczne powitanie. Ale ustawił poprzeczkę za wysoko. Po głośnym obwołaniu przez Elmera, któremu brakowało tylko trąbki, Gilmore'owi ledwie udało się go odprawić, by ucałować, nadzwyczaj niezdarnie, dłoń, którą podała mu dziewczyna, oraz poprosić ją, aby usiadła, przy czym nie odważył się spojrzeć jej w oczy.

Taki fatalny początek zwiastuje najgorsze – pomyślał. I nie mylił się. Gilmore podszedł do tego spotkania z humorem, lecz Emma odpowiadała na jego żarty tak chłodno, że zaczął wątpić, czy aby jego interpretacja wczorajszej wymiany liścików była właściwa. Skonfundowany, nie próbował przejąć inicjatywy w konwersacji, odpierając zawzięte szarże dziewczyny najlepiej jak umiał, ale gdy tylko uświadomił sobie, że najprawdopodobniej po tej randce nie nastąpi już żadna inna, postanowił postarać się i pod jakimkolwiek pozorem jasno przedstawić Emmie swoje uczucia. Bądź co bądź, taki był jego cel. Jednak spotkanie natychmiast przyniosło mu kilka porażek, jakich nie umiałby sobie wyobrazić nawet w ciągu tysiąca bezsennych nocy, i Murray zrozumiał w końcu, nie bez pewnego zasmucenia, że Emma przybyła do jego domu wyłącznie z jednym zamiarem: by go pokonać w jego własnej grze, pozbyć się go w sposób tyleż zgodny z protokołem, co elegancki – poprosić go o coś, czego on nie będzie w stanie spełnić. A on, gdy się już dostosował do sytuacji, przyjął wyzwanie, udając, że kieruje nim egoistyczne pragnienie zdobycia jej albo też duma, która mu każe pokonać dziewczynę i pokazać, że nic nie jest niemożliwe dla Montgomery'ego Gilmore'a, choć to jedynie potwierdzało obraz nieokrzesanego prostaka, za jakiego go miała. Tak czy inaczej na nic by się to zdało, gdyby próbował zmienić jej zdanie obietnicami, prośbami i zastrzeżeniami, ponieważ z góry wiedział, że okazałyby się bezużyteczne. Emma jasno dała mu do zrozumienia, że jedyne, co ma dla niej jakąś wartość, to czyny, zatem oto co musiał zrobić: zapomnieć o słowach, odstawić je na bok i zdobyć ją za pomocą czynów. Jednakże tylko żeniąc się z nią, będzie miał okazję to zrobić – pokazać jej, że jego życie zmieniło się w niestrudzone poszukiwanie jej szczęścia. Ale aby się z nią ożenić, musiał odtworzyć marsjańską inwazję z powieści Wellsa.

Tak, H.G. Wells. Autor *Wehikułu czasu*.

Znowu on.

Osoba, której nienawidził najbardziej na świecie.

A teraz musiał odtworzyć marsjańską inwazję, o której opowiada jego powieść. Lecz jest ekspertem od tego rodzaju wyzwań – powiedział sobie, patrząc na tramwaj czasu, którym kiedyś przewiercił się w przyszłość. I ogarnęła go niemal bolesna radość, ponieważ pierwszego sierpnia Emma Harlow, najpiękniejsza kobieta świata, zgodzi się zostać jego żoną. A potem zakocha się w nim. Tak, nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Jest przecież Gilliamem Murrayem, Panem Czasu.

I może osiągnąć to, co niemożliwe.

XVIII

Wystarczyły jednakże dwa tygodnie, aby człowieka szczęśliwego zmienić w człowieka zrozpaczonego. Przybył do Londynu na początku czerwca i natychmiast wziął się do dzieła – tylko po to, by stwierdzić, że odtworzenie marsjańskiej inwazji nie jest tak łatwe, jak myślał. Teraz, rankiem piętnastego dnia, Murray szedł do swojego przedsiębiorstwa, aby obejrzeć kolejną próbę, choć podejrzewał, że nie spodoba mu się, tak samo jak poprzednie. Nie zdołał skrzyknąć tej samej ekipy, z którą pracował dwa lata temu, kiedy prznosił chętnych z teraźniejszości do roku dwutysięcznego. I chociaż Martin zarzekał się, że zebrani przez niego ludzie są równie kompetentni, to zapewnienie posłużyło tylko do tego, by uznał, że jego pracownik ma pewną skłonność do przesadzonych twierdzeń. Przybity i przygnębiony, Murray przemierzał ulice w ten jasny letni poranek, z rozdrażnieniem patrząc, jak piękne światło nadaje przedmiotom niezwykłą wyrazistość, bezdyskusyjną autentyczność.

Znalazłszy się na Greek Street, niespostrzeżenie wśliznął się do starego teatru. Martin, rudowłosy wielkolud, niemal tak wielki jak on, wyszedł mu naprzeciw do holu.

– Wszystko już gotowe, panie Murray – oznajmił.

– Masz do mnie mówić „panie Gilmore”, Martin. Biedny pan Murray zmarł dwa lata temu.

– Przepraszam, panie Gilmore, to z przyzwyczajenia.

Murray skinął głową w roztargnieniu.

– Cóż, nieważne... – rzekł rozkojarzony. – Zobaczmy, co się wam udało tym razem.

Martin poprowadził go do magazynu, gdzie miało się odbyć przedstawienie. W kącie ogromnego pomieszczenia stał odsunięty na bok „Cronotilus”, jedyne zachowane świadectwo złotej przeszłości. Murray rzucił mu czułe spojrzenie, po czym wbił wzrok w marsjański cylinder, teraz zajmujący środek magazynu. Tak jak na poprzednich próbach, zatrzymał się jakieś pięć czy sześć metrów od niego, w odległości, na jaką według jego obliczeń zbliżą się zdumieni gapie. Jeśli chodzi o sam cylinder, musiał przyznać, że zespół Martina wykonał świetną robotę, ponieważ przedmiot wyglądał dokładnie tak, jak go opisał Wells: popielaty walec o średnicy około trzydziestu metrów. W powieści, która służyła im jako przewodnik, marsjańska maszyna, wystrzelona z Czerwonej Planety niczym pocisk, przebyła sześćdziesiąt milionów kilometrów niezgłębionej ciemności dzielącej Marsa od Ziemi, wdarła się w jej atmosferę, przeszła niebo nad Winchesterem, kierując się na wschód, aż wreszcie spadła na wspólnych pastwiskach w Horsell, wrywając w ziemi ogromną dziurę, w której potem spoczywała na wpół zaryta w piasku, otoczona pozostałościami rozszczępionej jodły oraz pierścieniem osmalonej trawy i żwiru. To jednak oczywiście przekraczało możliwości Murraya, toteż będzie musiał się ograniczyć do rozebrania cylindra, przetransportowania go do Horsell pod osłoną nocy, ponownego złożenia go na pastwisku i podpalenia zielska dookoła, aby o świcie mógł go pokazać światu, jakby faktycznie walec przemierzył kosmos, aby się tutaj rozbić.

Ale oczywiście sama maszyna nie wystarczała. Powinien z niej jeszcze wyjść Marsjanin. Murray westchnął i dał Martinowi znak ręką, na co ten wykrzyknął w stronę cylindra:

– Dalej, chłopaki, ruszamy z przedstawieniem!

I walec zaczął się odśrubowywać. Robił to powoli, ukazując cienki okrąg lśniącego metalu między pokrywą a krawędzią, a jednocześnie wydał cichutki syk. W powieści Wellsa odkręcanie włazu kapsuły trwało prawie cały dzień, tak że pokrywa odpadła

dopiero wtedy, gdy zachód słońca barwił spokojne angielskie niebo na purpurowo i złoto. Do tamtej pory wokół walca zdążył się zgromadzić tłumek wyczekujących dziennikarzy i gapiów. Murray obliczył już, że musi polecić ukrytym w środku ludziom, żeby otwierali włącz w takim samym tempie, tak by w trakcie długiego oczekiwania wiadomość o przybyciu Marsjan miała czas rozejść się po kraju, a przede wszystkim ukazać w czasopiśmie. Może powinien też wykonać w kadłubie jakieś sprytnie ukryte otwory wentylacyjne, jeżeli nie chce podczas przedstawienia stracić nikogo ze swoich ludzi. I koniecznie trzeba też rozgrzać w jakiś sposób powierzchnię cylindra – nie tyle, by pozorować, że właśnie przemierzył ziemską atmosferę, ile po to, aby ktoś ciekawski nie zbliżył się za bardzo do niego.

Murray porzucił te rozważania, widząc, że ukazało się już prawie pół metra błyszczącego gwintu. Sekundę później pokrywa odpadła, a uderzywszy w podłogę, wywołała niepokojący hałas. Murray wstrzymał oddech, tak jak zrobili w powieści liczni świadkowie zebrani wokół walca, przygotowując się na to, że zobaczą, co ukrywa się w jego wnętrzu. Wszyscy spodziewali się, że wyjdzie stamtąd człowiek, może lekko różniący się wyglądem od nich, ale jednak człowiek. Człowiek z Marsa. Ale to, co poruszyło się w mroku, nie przypominało ludzi. Wystraszeni ciekawscy ujrzeli coś szarego i obłego oraz dwa lśniące krążki, które mogły być tylko oczami, po czym wynurzyła się para macek, te zaś rozwinęły się w powietrzu, a następnie chwyciły krawędzi cylindra, rozpętując burzę okrzyków przerażenia. Wówczas z maszyny powoli i z móżdżkiem spowodowanym ziemską grawitacją, silniejszą niż marsjańska, wychynęła szarawa zaokrąglona masa wielkości niedźwiedzia. Według opisu Wellsa ciało tej istoty lśniło jak mokra skóra, a na obliczu widniało dwoje ogromnych ciemnych oczu oraz dyszące usta w kształcie litery V, z których wydobywał się gęsty, nieprzyjemny śluz. Kilka minut później Marsjanin najwyraźniej celowo rzucił się do dziury, w której zaciszu będzie budował maszynę latającą w formie płaszczki, aby zaatakować nią ziemskie miasta. Lecz najpierw ze swego zaimprovizowanego schronu wystawił coś w rodzaju masztu zwieńczonego parabolicznym zwierciadłem. Po kilku sekundach złowieszczonego drgania z jego polerowanej powierzchni wytryśnieł snop gorąca, który okropnym promieniem omiecił okolicę, paląc na popiół wszystko, co napotka na swej drodze, czy to drzewa, czy zarośla, czy ludzi. Rzecz jasna Murray nie zamierzał zabijać zgromadzonych przy jego walcu gapiów, wśród których będzie się znajdowała panna Harlow. Będzie ich więc musiał wystraszyć, posługując się wyłącznie wyglądem Marsjanina. To powinno wystarczyć, żeby wiadomość o inwazji trafiła na pierwsze strony gazet, które oddadzą serce Emmy w jego ręce albo przynajmniej pozwolą mu ją poślubić.

Murray wziął głęboki wdech i czekał, aż z cylindra wynurzy się zmajstrowana przez jego ludzi postać Marsjanina. Przygotował się na widok całej grozy, jaką zawiera wszechświat, i zaraz poczuł, jak go przepęlnia najokropniejszy strach. Choć niedokładnie z tego powodu, którego się spodziewał, ponieważ to, co się wynurzyło z walca, z takim wyglądem nie wystraszyłoby nawet dziecka: było to coś w rodzaju szmacianej lalki, której doszyto macki z pomalowanej tektury; na głowie migły dwie lampki elektryczne, a pod nimi z rozprucia odgrywającego rolę ust wydobywało się jakby groszkowe piure zmieszane z jakimś innym, gęściejszym obrzydlistwem. Przez kilka sekund rzekomy Marsjanin kiwał się niedorzecznie z boku na bok, udając, że ciąży mu przyciąganie ziemskie, aż w końcu para rąk wyrzuciła go z cylindra. Spadł na podłogę z głuchym pacnięciem, które zdradzało, że jest wypełniony ziemią. Gdy przedstawienie dobiegło końca, Martin nie mógł się powstrzymać od oklasków. Potem spojrzał z

wyczekiwaniem na pracodawcę.

- I jak się panu wydaje?
- Zostawcie mnie samego – rozkazał Murray.
- Co pan mówi? – zapytał Martin.
- Zostawcie mnie samego!

Martin, zbity z tropu, zabębnił w kadłub walca. Otworzył się ukryty właz i z wnętrza wyczołgało się dwóch mężczyzn, którzy przedtem operowali kukłą.

– Podobało mu się tym razem, Martin? – spytał ze złudną nadzieją jeden z nich.

– Szef chce pomyśleć na osobności – odparł zagadnięty, dając im znak ręką, żeby z nim wyszli.

Gdy Murray wreszcie został sam, przygnębiony wydał z siebie westchnienie, a ono zatrzepotało w pomieszczeniu jak liść na wietrze. Było coraz gorzej. Początkowo optował za tym, by któryś z nich przebrał się za Marsjanina, ale strój, zrobiony z malowanej tektury i wełny, nie wywołałby wrażenia spotkania z mieszkańcem innego świata, lecz raczej z owcą ostrzyżoną przez ślepeca. Zniesmaczony rezultatem, zatrudnił dwóch pracowników Muzeum Madame Tussaud, by wymodelowali Marsjanina z wosku, lecz to, co otrzymał, choć bardziej wiarygodne aniżeli przebrany człowiek, przypominało śmiesznego śniegowego bałwanika i oczywiście nie ruszało się, zatem na dłuższą metę okazało się mniej przerażające.

To, co dziś wychynęło z walca, było jeszcze bardziej żalosne. Murray podszedł do szmacianego Marsjanina, który leżał na boku koło marsjańskiej maszyny. Tylko ta kukła stała mu teraz na drodze do poślubienia Emmy. Nie mogąc się powstrzymać, posłał ją gniewnym kopniakiem na drugą stronę magazynu. Bałwanek potoczył się po podłodze, gubiąc jedną z żarówek Robertsona, które mu służyły za oczy. Murray potrząsnął głową. Musiał pomyśleć, znaleźć wreszcie jakieś dobre rozwiązanie, i to jak najszybciej, bo czas zaczynał go naglić.

Wyszedł z magazynu i skierował się schodami na górę, do swojego gabinetu. Tam nalał sobie szklaneczkę brandy. Rozsiadł się w fotelu i wolno pociągnął łyk trunku, pragnąc się uspokoić. Nie chciał się zapomnieć i wpaść w jeden ze swych nieuniknionych, a niczemu niesłużących napadów furii, które po tym, jak się zakochał, uważał już za przeszłość. Lepiej było spokojnie zastanowić się nad sprawą. Jeszcze nie wszystko stracone, zostało trochę czasu. Wziął z biurka jeden z arkuszy brystolu, na których widniały wykonane ołówkiem szkice Marsjanina. Narysował je sam na podstawie opisu Wellsa, aby dać ludziom wzorzec, który mieli przenieść do rzeczywistości. Gdybyż tylko pisarz odmalował coś prostszego... Ale nie, nie da się odtworzyć tak wyewoluowanej ośmiornicy. Przybył do Londynu, sądząc, że bez trudu wywiąże się z zamówienia Emmy – czysta formalność, z którą szybko się upora, po czym weźmie ukochaną w ramiona, ale odtworzenie Marsjanina okazało się skomplikowane. Zdawało się prawie, że łatwiej byłoby polecieć na Marsa i tam upolować tubylca. Musiał przyznać, że jego wyobraźnia, na którą zawsze mógł liczyć, teraz okazała się niewystarczająca. On, który sprawił, że cała Anglia pojechała w podróż do roku dwutysięcznego, nie był w stanie odtworzyć głupiej inwazji marsjańskiej. Zgrzeszył nadmiernym zadufaniem w sobie. Uwierzył w Murraya Wielkiego, czarnoksiężnika niemożliwości. A tak naprawdę pokazał się tylko jako Monty G., smutny władca marionetek. W końcu czara jego wściekłości przepełniła się. Cisnął rysunkiem ze złością i wrzucił go do kosza.

– Dlaczego? – ryknął, wstając z fotela i unosząc ku sufitowi udręczoną twarz, jakby domagał się odpowiedzi. – Dlaczego, do cholery, jest mi tak trudno akurat teraz? Nie

chcę się na tym wzbogacić! Chcę tylko rozkochać w sobie kobietę!

Stwórca nie odezwał się, jak miał w zwyczaju od niepamiętnych czasów. W odpowiedzi na jego przedpotopowe milczenie Murray wydał z siebie żalosne wycie, jak wilk, którego łapa utknęła we wnykach, i jako że nie wpadł na bardziej wyszukany sposób wyrażenia swej frustracji, wściekłym ruchem ręki zmiotł ze stołu wszystko, co na nim było, a kaskada papierów i książek zwała się na podłogę. Gdy sobie tak marnie ulżył, odetchnął głęboko, nieco spokojniejszy. Spomiędzy zębów wyrwał mu się jęk krańcowego niepokoju. Udało im się zmajstrować tylko smutną kukłę, nic więcej, i było jasne, że w ciągu półtora miesiąca, jaki mu został, nie zdoła osiągnąć nic lepszego. Potrzebował pomocy. Tak, potrzebował pomocy, i to szybko. Ale czyjej? Kto mógłby mu pomóc? Udręczonym ruchem obrócił się do okna i napotkał ten sam słoneczny poranek, w którym przemierzał ulice zaledwie godzinę temu. Zdawało się, że jeśli będzie patrzył na niego długo, w końcu zarazi go swoim przygnębieniem – niebo zakryją chmurzyska i rozpęta się burza.

Wtedy go ujrzał. I przez kilka sekund nie mógł uwierzyć własnym oczom. To on, naprawdę on? Tak, bez najmniejszego wątpienia, powiedział sobie Murray, przyjrawszy mu się z uwagą. To on! Przed jego zdumionymi oczami paradował chodnikiem po drugiej stronie ulicy i przypatrywał się fasadzie starego teatru z widoczną urazą nie kto inny jak H.G. Wells. Choć na pewno nie zdołałby go dostrzec z powodu odbłasku słońca na szybach, Murray pośpiesznie ukrył się za zasłoną i śledził pisarza z ciekawością. Co on tutaj, u diabła, robi? Przygląda się budynkowi, owszem, ale z jakim zamiarem? Oczywiście nie mógł podejrzewać, że właściciel jest w środku. Niewątpliwie wyobrażał go sobie w jakiejś innej części świata, jak trwoni zdobytą fortunę, wygodnie ukryty pod fałszywym nazwiskiem, co zresztą wciąż nie mijalo się z prawdą. Było jednak jasne, że stary teatr nadal ucieleśnia dla pisarza znienawidzony sen o Gilliamie Murrayu, ponieważ na jego ptasiej twarzy malował się grymas kogoś, kto przyszedł zobaczyć grób swego najgorszego wroga, żalując, że to nie on go zabił. Ale czemu pojawił się właśnie teraz? Dlaczego tak zorganizował swój dzień, swoje życie, by w tym momencie zajmować właśnie to miejsce, na którym spocznie wzrok Murraya? To skoordynowanie nie może być dziełem przypadku. Czy to nie znak od Stwórcy, który lubuje się w komunikowaniu ze swoim stworzeniem za pomocą tego rodzaju subtelnych wskazówek? Po kilku minutach, w trakcie których Wells zdawał się pogrążony w rozmyślaniach, spojrzął na zegarek kieszonkowy, rzucił ostatecznie spojrzenie na teatr i skierował się na Charing Cross Road, zostawiając za sobą Soho i zmiierzając w stronę Strandu. Najwyraźniej się śpieszył, jakby ktoś gdzieś na niego czekał, co – jak wiecie – było prawdą.

Wówczas Murray z powrotem usiadł przy stole, wyjął papier i przez kilka sekund obracał w palcach swe nowoczesne wieczne pióro. Czy się odważy? Nie. Tak, jasne, że tak, nie ma innej możliwości. Był człowiekiem, który rozpoznaje sygnały. Ale nade wszystko był człowiekiem zdesperowanym. A zdesperowani ludzie są zdolni do każdej rzeczy. Po–

chylił się nad papierem i zabrał do pisania najbardziej upokarzającego listu swego życia.

Szanowny George'u!

Wyobrażam sobie, że nie będziesz zaskoczony, otrzymując list od zmarłego, ponieważ obaj wiemy, że w całej Anglii jesteś jedyną osobą mającą świadomość, że żyję. Zaskoczy Cię jednak, jestem tego pewien,

powód, z jakiego do Ciebie piszę, a nie jest to nic innego, jak prośba o pomoc. Tak, dobrze przeczytałeś: wysyłam do Ciebie ten list, bo potrzebuję Twojej pomocy.

Pozwól przede wszystkim, że nie będę tracił czasu na ukrywanie prawdy. Wiem, że czujesz do mnie absolutną niechęć, podobną do tej, jaką ja żywię do Ciebie. Takie są fakty i o tym wiemy. Nie będzie Ci więc trudno zrozumieć, że kreślenie tych słów jest dla mnie upokorzeniem. Ale upokorzenie, jakiemu postanowiłem stawić czoło, mając nadzieję na uzyskanie Twojej pomocy, da Ci wystarczające pojęcie o moim zdesperowaniu. Jeśli Cię to ucieszy, wyobraź mnie sobie jęczącego przed Tobą na kolanach. Dla mnie to nieistotne. Moja godność nie jest tyle warta, abym jej nie chciał poświęcić. Wiem, że to absurdalne prosić o pomoc kogoś, kogo uważa się za swojego wroga, ale czy nie jest to także przejaw szacunku, sposób uznania własnej niższości? A ja przyznaję się do mojej: zawsze chełpiłem się swą wyobraźnią, wiesz o tym. Lecz teraz potrzebuję pomocy kogoś, kto ma wyobraźnię większą od mojej. I nie znam żadnej osoby, której wyobraźnia mogłaby się równać z Twoją, George. To proste samo w sobie. Jeżeli mi pomożesz, jestem gotów porzucić swą niechęć do Ciebie, choć wyobrażam sobie, że dla Ciebie nie będzie to żadną zachętą. Ale uważam też, że będę Ci wtedy winien przysługę, a jak wiesz, jestem teraz milionerem. Może to byłoby dla Ciebie zachętą. Jeśli mi pomożesz, sam możesz podać cenę tej pomocy. Jaką zechcesz. Masz moje słowo, George.

A do czego potrzebuję Twojej pomocy? – zapytasz. Cóż, to być może rozbudzi w Tobie jeszcze większą niechęć do mnie, ponieważ znowu jest związane z jedną z Twoich powieści, tym razem z *Wojną światów*. Jak niewątpliwie domyśli się Twój błyskotliwy umysł, mam odtworzyć marsjańską inwazję. Zapewniam Cię jednak, że tym razem nie chcę Ci niczego udowodnić ani nie zamierzam się na tym wzbogacić. Musisz mi uwierzyć. Niepotrzebne mi już nic z tych rzeczy. Tym razem moim motywem jest coś, czego potrzebuję nade wszystko i bez czego umrę: miłość, George, miłość najpiękniejszej kobiety, jaką w życiu widziałem. Jeżeli kiedyś byłeś zakochany, zrozumiesz, o co mi chodzi. Zapewne bardzo trudno będzie Ci uwierzyć, a może nawet wyda się to niepojęte, że człowiek taki jak ja może się zakochać, ale gdybyś ją znał, dziwiłbyś się, jeśli bym tego nie zrobił. Ach, George, nie miałem innego wyboru, jak oszołomiony ulec jej wdziękowi, i zapewniam Cię, że nie należy do nich jej olbrzymi majątek, bo jak Ci już wspomniałem, mam więcej pieniędzy, niż mógłbym wydać w kolejnych reinkarnacjach. Nie, George, mam na myśli jej czarujący uśmiech, złocistą skórę, dziką łagodność spojrzenia, a nawet zachwycający sposób, w jaki kręci parasolką, gdy się zdenerwuje... Żaden mężczyzna nie byłby odporny na jej urodę, nawet Ty.

Ale aby ją mieć, George, muszę sprawić, że i sierpnia na wspólnych pastwiskach Horsell pojawi się marsjański cylinder, a z jego wnętrza wyjdzie Marsjanin, jak w Twojej powieści. I nie wiem, jak to zrobić! Próbowałem wszystkiego, ale – jak Ci wspomniałem – moja wyobraźnia ma swoje ograniczenia. Potrzebna mi Twoja, George. Proszę, pomóż mi.

Jeśli mi się uda, ta dama wyjdzie za mnie. I zapewniam Cię, że jeśli tak się stanie, nie będziesz już miał we mnie wroga, ponieważ Gilliam Murray umrze definitywnie. Proszę, błagam, zebrać, abyś pomógł zakochanemu biedakowi.

Z poważaniem,
G.M.

Wyprostował się na fotelu i przyjrzał listowi, krętym liniom świeżego atramentu przecinającym biel kartki, które nakreślił z takim zawstydzeniem. Czy jego słowa odniosą skutek? Przyszło mu do głowy, że może praktyczniej byłoby zastraszyć Wellsa, powiedzieć mu na przykład, że jego Jane może się przytrafić wypadek na rowerze, ale natychmiast odrzucił ten pomysł. Być może tak by postąpił człowiek, którym był przedtem, lecz ten zakochany, którym jest teraz, nawet nie śmiałyby o tym pomyśleć. Taka możliwość wydałaby mu się ohydna. Nie zniósłby, gdyby Emmę spotkała jakaś krzywda, dlatego nie było mu trudno postawić się na miejscu Wellsa i zrozumieć, jak by ten czuł się w przypadku otrzymania od niego takiej groźby. Ponadto nie było także potrzeby, by odgrzebywać stare zbójckie sposoby.

Miał niemal pewność, że Wells mu pomoże. A robi to z tego prostego powodu, że się uważa za lepszego od niego i chętnie mu to udowodni. Tego rodzaju sztuczki zawsze działają na osoby o nieposzlakowanej moralności, a za takiego człowieka Wells bez wątpienia lubił się uważać, czy był nim czy nie. On jedynie straci swoją godność, która i tak wiele dla niego nie znaczy. Od tej pory wraz z Emmą będzie się rekonstruował od nowa, odrodzi się jako ktoś lepszy, odmieniony, nieskazitelny, odkupiony przez miłość. Osuszył atrament dmuchnięciem, włożył kartkę do koperty i zapieczętował ją.

List wysłał pocztą następnego dnia. I czekał.

Czekał.

Czekał.

Aż wreszcie zrozumiał, że Wells nigdy mu nie odpowie. Najwyraźniej pisarz nie miał zamiaru mu pomóc. Jego nienawiść była silniejsza, niż Murray sądził, mąciła mu umysł, zatruwała go. Przez dwa dni milioner rozważał możliwość wysłania do niego drugiego listu, napisanego w jeszcze bardziej służalczym tonie, a nawet myślał, czyby nie odwiedzić pisarza, rzucić mu się do stóp i objąć go za wąż kolana, tak by – jeżeli chciał dalej żyć – nie pozostało mu nic innego, jak udzielić pomocy. Lecz w końcu odrzucił te opcje, ponieważ w głębi duszy wiedział, że okazałyby się bezużyteczne. Człowiek interesu taki jak on miał na tyle wyczucia, aby rozpoznać, kiedy ktoś jest odporny na cywilizowane naciski.

Wells mu nie pomoże, to było jasne, o ile nie porwie go i nie wymusi pomocy groźbą tortur. Potem jednak, co oczywiste, trzeba by się go pozbyć w trakcie działania, aby uniknąć zrozumiałej denuncjacji. Ale jako się rzekło, tamte metody dla Murraya należały już do przeszłości. Zatem jeśli chciał sfabrykować wiarygodnego Marsjanina, musiał go zrobić sam. I to jak najszybciej, bo inaczej pierwszego sierpnia Emma Harlow popatrzy na niego z triumfalnym uśmiechem na wspólnych pastwiskach w Horsell, łagodnie głaskanych letnim wietrzykiem i pograżonych w błogim ziemskim spokoju, którego nie zmąci żadna wizyta z innego świata.

XIX

Ale dlaczego Wells nie odpowiedział na jego list już nazajutrz ani następnego dnia, ani żadnego z kolejnych, pozwalając, aby ten motek pełnych udręki dni zamienił się w miesiąc? Czyżby go nie dostał? A może nie miał najmniejszego interesu w tym, by udowodniać Murrayowi, że jest od niego lepszy, ponieważ wystarczyło mu, że sam o tym wie, więc postanowił go zignorować? Wszystkie te pytania kłębiły się zgiełkliwie w głowie zrozpaczonego Murraya niczym muchy próbujące znaleźć wyjście z jego czaszki. My jednak nie musimy żyć w niepewności, zwłaszcza że aby rozproszyć ową wątpliwość, wystarczy przenieść się do głowy samego Wellsa za pomocą małej narracyjnej wycieczki. Pozwólcie mi zatem, że opuszczę stary teatr i wraz z duszami tych, którzy umarli tej nocy, polecę nad największą metropolią świata do miejsca, gdzie w tamtym czasie znajdował się pisarz.

Ale chwileczkę! Zaraz będzie świt, a spektakl oglądany z wysokości ma pewną dopracowaną choreografię: kominy tysięcy fabryk ciągnących się wzdłuż ulic splatają swe dymy z podnoszącym się znad Tamizy oparem, aby wspólnie stworzyć słynną londyńską mgłę, podczas gdy to tu, to tam daje się słyszeć metaliczny brzęk szufli zgarniających końskie odchody. Są jak pierwsze akordy melodii, do których natychmiast dołącza turkot wozów kierujących się sznurem na targ Covent Garden, tworzących sinusoidalną tęczę złożoną z barwnych ładunków: bzu, marchwi, tulipanów, kapusty i czereśni. Spójrzcie na te ostatnie. Czy nie wyglądają, jakby zatrzymywały w swojej czerwonej skórcie chłód porannej pory? Chciałoby się ich dotknąć, położyć dłonie na tym pagórku świeżości. Ale nie mamy na to czasu. Jeśli zwrócimy wzrok w stronę East Endu – tej zapomnianej części metropolii, dokąd według żartu szeroko rozpowszechnionego wśród kawalerów West Endu nie może nas zabrać nawet agencja turystyczna Thomas Cook i Syn, wożąca swoich klientów do Tybetu czy najczarniejszej Afryki – w jego najmniej zapyziałych dzielnicach będziemy mogli asystować w pobudce zmęczonych rzemieślników, którzy przygotowują się do kolejnego dnia swojej epickiej walki z biedą. Najciekawszy może nawet nie będą mogli się oprzeć, by nie zajrzeć przez okna do czynszowych pokoi, w których tłoczą się rodziny z czworgiem albo pięciorgiem dzieci, nierzadko dotkniętych gruźlicą i cierpiących, ponieważ niezbyt im pomaga wdychanie dymu z lamp i fetoru ze skrzynek z na wpół zgniłymi owocami, których uliczni sprzedawcy nie mają gdzie trzymać jak tylko tam. Biedne duszyczki narodzone do życia w nędzy! Nawet śmierć nie pozwala im opuścić ciasnych piekieł, bo kiedy umrą, zostaną owinięte całunem i będą musiały tam zostać, przenoszone ze stołu na łóżko i z powrotem, zależnie od tego, czy rodzina w danej chwili potrzebuje snu, czy zamierza jeść, aż będzie sobie mogła pozwolić na pogrzeb. A dalej za tymi dzielnicami z poczerniałych cegieł, przemierzywszy ulice zamieszkałe przez kupców żelaznych, szcurołapów, sprzedawców zapalek i szmaciarzy, trafimy do sprośnego ogrodu hańby, upokorzenia i nędzy – Whitechapel lub Aldgate, gdzie skupiają się osoby, których świat nie potrzebuje: mężczyźni zdolni topornie zabić dla paru szylingów, dziewczyny z płucami zdartymi od gręplowania lnu, których uroda stopniowo niszczy na zabłoconych chodnikach, i hordy bladych, anemicznych dzieciaków włóczących się tu i tam w poszukiwaniu czegoś na podobieństwo dzieciństwa. Lecz jeśli spojrzymy w kierunku przeciwnym, przelatując ponad długimi melancholijnymi kolejkami żebraków zaczynającymi krzepnąć przed drzwiami przytulisk – ludzi wyczerpanych i wygłodniałych, którzy spędzili noc na ucieczce przed latarkami policji, z odgórnego rozkazu dbającej o to, aby nikt nie spał na ławkach i placach

metropolii – sięgniemy wzrokiem do czystych ulic West Endu. Tu miasto budzi się z większym entuzjazmem i wigorem, jak gdyby życie zasługiwało na wiążące się z nim trudy. Popatrzmy na morze kapeluszy i parasolek, które wypełniają Strand i przyległe ulice, skupiając się zwłaszcza przy sklepach z produktami krajowymi i zamorskimi. Po wspaniałych brukowanych jezdniach przejeżdżają piętrowe omnibusy, wozy, cysterny, a nawet kominiarze na rowerach, z twarzami uwalanymi sadzą i szczotkami nastawionymi jak kopie szarżujących w turnieju rycerzy, ii na każdym rogu stoi sympatyczny policjant salutujący służącym, które uwijają się tu i ówdzie w swych nieskazitelnie białych fartuszkach – policjant strzegący harmonii świata, którego rewersu nikt nie zna albo znać nie chce.

Ale nie dajmy się zahipnotyzować wolnemu przeciąganiu się miasta i podążmy dalej, ku domkowi na obrzeżach Londynu, dokładniej w Worcester Park. Tu, w sporym pokoju na parterze, półtora miesiąca po tym, jak Murray wysłał do niego desperacki list, w dniu wyznaczonym na przybycie Marsjan H.G. Wells spał, sądząc, że dzień czekający go za zasłoną świtu będzie taki sam jak każdy inny.

Z tego co o nim wiemy, powinniśmy się spodziewać, że spotkamy wspaniały okaz człowieka szczęśliwego: u jego boku spała spokojnie kobieta, którą kochał, a sława, od lat wymykająca mu się niczym ścigany jelonek, w końcu pozwoliła mu się pogłaskać. Tak, życie uśmiecha się do Wellsa, sukces zaczyna mu ogrzewać zziębniętą skórę. Ale okoliczności nigdy nie mogą uszczęśliwić kogoś, kto nie wykazuje naturalnej predyspozycji do szczęścia, a Wells był praktycznym, bojaźliwym stoikiem, toteż zamiast cieszyć się z tej pomyślności, podchodził doń z nieufnością. Skorzystam teraz z tego, że śpi, aby rozwinąć – jak niedający się odcyfrować papyrus – jego biedną, targaną sprzecznościami duszę, coś, czego nie mogłem zrobić do tego momentu, i postaram się odkryć, dlaczego w przeciwieństwie do swojej małżonki, śpiącej błogo niczym syte zwierzę, on śpi niespokojnie, wierząc się na materacu jak ząb ruszający się w ustach dziecka.

Pierwsze, co przyciąga uwagę z licznych wypadków i przypadłości jego duszy, to zdumiewający ogród kompleksów, które starannie pielęgnował i które, według niego samego, przekształciły go w istotę niższą w porównaniu z bliźnimi. Wells żył obsesją własnych braków, ponieważ sprawiały, że czuł się na straconej pozycji, gdy przychodziło do kontaktów ze światem.

W tym łańcuszku małych i niezauważalnych anomalii wyróżniały się głównie dwie: niejednakowa ogniskowa oczu oraz, przede wszystkim, pewna niedoskonałość mózgu, który mimo że wydawał się bystry i światły, gdy wymagała tego okazja, nie tylko okazywał się niesprawny, kiedy trzeba było zapamiętać daty, liczby czy imiona i nazwiska osób, albo zatykał się jak rurociąg, gdy musiał się zmierzyć ze sprawami doczesnymi, którymi potrafił się zająć każdy, lecz także powodował, że jego odbiór rzeczywistości nie był tak kompletny i klarowny jak u reszty ludzi. Mózg pisarza funkcjonował jak uszkodzone sito: zatrzymywał piasek rzeczny, a pozwalał uciec drobinom złota. Nieuchronnie skazywało go to na lekkie rozkojarzenie, a nawet pewną skłonność do gubienia się we własnych myślach, tak że kiedy okazywał zainteresowanie czymś, wydawało się to fałszywe lub nienaturalne.

Jego zdolność do odczuwania empatii wobec bliźniego była zatem żadna. Można by nawet stwierdzić, nie obawiając się, że popadniemy w przesadę, że nie zdobył się na empatię nawet dla siebie samego. I może aby nie postrzegać siebie samego jako nierozwiązywalnej zagadki, Wells dla wspomnianych defektów poszukiwał wyjaśnienia

fizycznego. Konkretnie, żywił podejrzenie, że wady jego mózgu są spowodowane rozmiarem głowy, mniejszej niż normalnie – trzeba było słyszeć śmiechy jego kolegów, kiedy bawili się w wymienianie kapeluszy! – przez co tętnice szyjne nie rozwidlały się wystarczająco, a istota szara mózgu nie była tak hojnie ukrwiona jak należy. Ale czy takie kompleksy nie powinny być błahostką dla człowieka, który zrealizował swoje marzenie, cel, jaki osiąga tylko garstka wybrańców? Owszem, fakt, że się stał pisarzem, powinien mu wynagrodzić wszystkie rzekome słabości. Niestety, Wells był przekonany, że za każdy grzech trzeba zapłacić, jak to mówią, toteż podejrzewał, że z wszelkich zasiedlających świat istot pisarze są najbardziej nieszczęśliwi.

Ale rzecz jasna nie zawsze melancholia przesłaniała mu oczy. Czasami otrzymywał ukłucia strzałami szczęścia prosto w pierś. Ogarniało go wówczas zachwycające spełnienie, dopóki z jakiegoś powodu nie zostało zepsute. Teraz na przykład, gdy się obudził i zobaczył Jane śpiącą ufnie u swego boku, doznał świetlistego wrażenia pomyślności. Tak naprawdę wszystko, co miał, wszystko, czym był, opierało się na filarze o kobiecym imieniu: Amy Catherine Robbins, czyli Jane, jego Jane, kobieta, którą za pomocą czterech szybkich ruchów pióra zamienił w sympatyczną figurkę z rysunekzków, jakimi uwieczniali mało istotne scenki domowe. Pokpiwali sobie sami z siebie i oskubywali swój miłosny związek z podniosłości, aby następnie umieścić te bazgrołki w pudełku, być może po to, by je przeglądać na starość, gdy z czasem nabiorą większej wartości.

Wells dzięki niej był pisarzem, co do tego nie miał żadnej wątpliwości, ponieważ wszystkie te lata spędził w strachu, być może nieświadomie, popychany koniecznością nadania Jane istotnej roli w jego przeznaczeniu, funkcji, która przekształci ją w kogoś niezbędnego mu do życia, uwolnienia jej z przelotnego stanu zwykłego kaprysu, za jaki tak lekkomyślnie uznał ją w ciągu pierwszych dni znajomości. Owszem, przypadkowe ruchy dłuta złożyły się na to, by nadać mu formę pisarza, ale to sprawna ręka jego małżonki dokończyła rzeźbę. Bez niej wszystkie wysiłki jego anioła stróża, raz po raz naprowadzające go na ścieżkę literatury, na nic by się zdały.

Pozwólcie teraz, że wam pokrótce przedstawię szczegóły transformacji Wellsa, co nam pomoże jeszcze dokładniej zarysować profil jego umęczonej duszy. Ziarno literatury zostało posiane w samym jej środku we wczesnym wieku siedmiu lat, może w sposób cokolwiek obcesowy, ale niezwykle skuteczny: przypadek sprawił, że chłopiec ten, przeznaczony do wielkich rzeczy, złamał sobie nogę, dzięki czemu miał znakomitą wymówkę, aby bez przeszkód przez długi czas oddawać się szkodliwej czynności czytania – rzecz jasna, zdaniem jego rodziców – ponieważ pośród zabawek, zeszytów i pozostałych prezentów, jakimi zasypali go sąsiedzi i krewni, znalazły się także książki. Tak, dużo książek, książek, które na zawsze zatrwały George'a literaturą, ćwicząc go w sztuce uciekania od siebie samego, ulatywania daleko, ponad wzgórza, wyspy i odległe morza, podczas gdy jego cielesna powłoka, w której tkwił wciśnięty, pozostawała przykuta do łóżka.

Ale to nie jego matka była tą osobą, która wzięła na siebie zadanie podlewania owego nasionka, by się mogło rozrosnąć w drzewo – wręcz przeciwnie, Sara Wells była przekonana, że najlepszym z przeznaczeń, jakie człowiek ma w swoim zasięgu, jest zawód sprzedawcy tekstyliów, i Wells musiał trwonić swą młodość, tułając się od jednego sklepu sukienniczego do drugiego, a jednocześnie próbował chronić przed srogimi warunkami owo wczesne powołanie, które w tajemnicy wykiełkowało w jego wnętrzu, podczas gdy wszyscy myśleli, że on pracuje jedynie nad zrośnięciem się kości nogi.

W słynnym sklepie tekstylnym Rodgers & Denyer i wielu innych, przez jakie przeszedł młody buntownik, zagubienie w myślach doprowadzało do tego, że mylił obroty, kiedy go wysyłano na kasę. Toteż Wells wystawiał towary w witrynach, czesał koce, układał bele płótna, bawełny i kretonu oraz obrusy i ściereczki – rzeczy dla niego niemające ani pochodzenia, ani celu, artykuły, które zaskakiwały go za każdym razem, gdy ktoś wszedł i o nie poprosił, a ich jedynym przeznaczeniem zdawało się dostarczanie mu smutnego zajęcia, tak by zdobywał się na tytaniczny wysiłek, po którym na świecie nie zostanie żaden ślad z wyjątkiem setki domów z odpowiednimi zasłonami. Z nadejściem nocy jego wyczerpane ciało opadało na słomiany materac w kiepsko woniejącej piwnicy, gdzie tłoczyli się ciasno subiekci. Wells nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest jak jeden z tych zataczających kółka w powietrzu szpaków, które sądzą, że poruszają się z własnej inicjatywy, podczas gdy tak naprawdę lecą tam, gdzie chmara. Postanowił wówczas zaprotestować, zbuntować się, wyjść w umiarkowanie pasywny sposób z kolein losu, w które popychała go matka. Nic tak nie przynosi ulgi w zawrocie głowy jak zakręcenie się w przeciwnym kierunku, powiedział Szekspir. Tak więc Wells spróbował obrotów w drugą stronę i po męczącym kilkuletnim przepychaniu się z własną matką osiągnął to, że jego życie popłynęło korytem nauki, zatem znalazł się na polu znacznie przyjemniejszym i stymulującym, na którym miał pokrzepiające wrażenie, że się nie wypala jak świeca na pustyni. Dostał posadę nauczycielskiego asystenta w szkole w Midhurst, a to kilka lat później pomogło mu, dzięki fortunnie otrzymanemu stypendium, wstąpić do londyńskiego Kolegium Nauczycielskiego Nauk Ścisłych, gdzie pracował nie kto inny jak profesor Huxley, uznany fizjolog, orędownik poglądów Darwina. Pokazał on młodzieńcowi świat jako niewyczerpane źródło wiedzy, któremu nikt nie może się oprzeć i musi się z niego napić. Pod jego kuratelą Wells nauczył się robić sekcje zwłok na królikach oraz budować barometry, uczestniczył w debatach z dziedziny fizyki, które rozpały jego wyobraźnię, a nade wszystko – chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy – dostarczały mu tematów i pomysłów na przyszłość.

To wtedy zaczął pisać, przekonany, że ma w sobie potencjał pisarski, zatem powinien się nauczyć stawiać kroki na papierze, a tymczasem klepać nauczycielską biedę. Lecz owe pierwsze próby literackie nie były niczym więcej jak smutnym naśladownictwem, pozbawionym jakiegokolwiek wdzięku czy wyobraźni, i nawet nie przemknęło mu przez myśl, by je zamarynować w naukowym sosie, którego pełna była jego głowa, tak jak niektórzy mają strych zagracony niepotrzebnymi rupieciami.

Na szczęście przypadek przydzielił mu kolejną chwilę wytchnienia, by mógł się zastanowić nad sobą, ale zrobił to z taką samą bezceremonialnością jak poprzednio: zgniatając mu nerkę podczas meczu futbolowego, gdy był nauczycielem w Akademii Holta w Wrexham. Po tym wypadku miejscowy lekarz bez wahania orzekł, że Wells ma gruźlicę, co w tamtej epoce równało się romantycznemu naznaczeniu śmiercią. Początkowo Wells, przejęty diagnozą, przyjął wiadomość o śmiertelnej chorobie z dużym hartem ducha, czując się jak jeden z tych bohaterów powieści sentymentalnych, owych kruchych, ujmujących istot skazanych na nieoczekiwaną, przedwczesną śmierć, nad którymi tyle łez wylewają damy. Lecz gdy się otrząsnął z pierwszego wrażenia, postanowił zbuntować się przeciw przygnębiającej chorobie, która tak ochoczo obwieściła koniec jego dni, nie tylko dlatego że podcinała w nim chęć życia i pragnienie pokazania światu, na co go stać, lecz także ze znacznie prostszego i potężniejszego powodu: nie chciał umierać w stanie dziewictwa. To sprawiło, że desperacko uchwycił się życia. Można by powiedzieć, że był to bunt seksualny: nieuchronność śmierci

przekształciła fakt zamieszkania z kobietą w doświadczenie tak niezbędne i obłędnie pożądane, że myśl o tym, iż wieko trumny zamknie się nad nim, zanim tego zakosztuje, okazała się dlań nie do zniesienia.

Ale powiedziałem wam, że choroba przydzieliła mu kolejny rozejm w krucjacie jego życia, ponieważ słowo „gruźlica” posłużyło za paszport dający wstęp na czas nieokreślony do Uppark, luksusowej rezydencji usytuowanej za wzgórzem Karting Down, w której jego matka pracowała jako ochmistrzyni. Tam, w słonecznym, wygodnym pokoju, kołysany na huśtawce a to poprawy, a to pogorszenia zdrowia, Wells mógł przeżyć ponowne spotkanie z książkami. W ciągu czterech miesięcy, jakie spędził na kwaterze w Uppark, czytał poezję i wszelkie inne gatunki literackie, jakie mu wpadły w ręce, tyle że nie robił już tego jak zachłanny czytelnik, lecz z uwagą pisarskiego czeladnika, wytrwałego aspiranta do miejsca na literackim parnaisie. Uważnie czytał prozę, chłonął giętkość fraz, wewnętrzną muzykę każdego akapitu, zwroty, przyspieszenia i meandry akcji, wspomnienia, jakie przywoływał odpowiednio dobrany przymiotnik, mądrze wyluskany z łanu pszenicy słownika. Czytał, po raz pierwszy mając świadomość, że pisarstwo to sztuka. Czytał oczyma uczonego, przekonany, że jeżeli dokładnie przeanalizuje każdą stronę, grzebiąc w jej wnętrzościach, jak to robił z królikami w Kolegium Nauczycielskim Nauk Ścisłych, będzie umiał odtworzyć każdy styl. I czytał, mając pewność, że jeśli będzie pisał z tym samym zapałem i posługiwał się tymi samymi środkami wyrazu co autorzy firmujący swoimi nazwiskami te książki, zamiast tworzyć nieskładnie i ślepo, jak robił to do tej pory, przedzierzgnie się w jednego z nich. Tam, w zaciszu wygodnego pokoju, Wells doznał małego, lecz opatrnościowego objawienia, a ono spowodowało zmianę perspektywy, która ostatecznie uratuje mu życie: zrozumiał, że posiada broń niezbędną do tego, by się zmierzyć z papierem, że miał szczęście przyjść z nią na świat; teraz chodziło po prostu o to, by ją wyostrzyć i nauczyć się nią posługiwać, naśladować uniki i zakrętasy stosowane w praktyce przez innych szermierzy słowa.

Ze znacznie jaśniejszym poglądem na to, czym jest pisarstwo, i na to, co mógłby osiągnąć przy odrobinie cierpliwości, ponownie przeczytał swoje dotychczasowe próby, uznał je za groteskowe i wrzucił do ognia. Powinien się jeszcze wiele nauczyć, ponieważ ze zdumieniem odkrył, że nie zna większości zasad pisarskich, tego wszystkiego, co mogą dać z siebie słowa. Musiał przyznać, że do tej pory nie pisał: gryzmolił tylko, bawiąc się w pisarstwo, uważał się za pisarza tylko dlatego, że umiał stawiać litery. Ale nigdy nie stworzył literatury. Snuł owe rozważania pośród porośniętych cisami wzgórz otaczających Uppark i wkrótce poczuł rozpaczliwe, naglące pragnienie odzyskania zdrowia, aby się wydobyć z tego stanu niepełnosprawności i, przygotowany na drugą rundę w nowych rękawicach, wrócić do świata, z którego uciekł tak niegodnie. Można by wreszcie powiedzieć, że wśród wrzosowisk Uppark narodził się ponownie jak feniks z popiołów.

Z odnowionymi siłami, przepelniony euforią, Wells postanowił znaleźć sobie uczciwe zatrudnienie w Londynie, dopóki nie opanuje arkanów pisarstwa. Niestety, wystarczyło kilka miesięcy, aby zgasły nadzieje, jakie pokładał w literaturze, licząc na to, że stanie się ona dla niego źródłem dochodów. Mimo wszystkich wysiłków i poświęceń, mimo że się przemęczał w pracy z uszczerbkiem dla swego delikatnego zdrowia – w tamtych czasach mógł sobie pozwolić tylko na chleb z serem i niekiedy jajko sadzone – jedyne, co zdołał wyrwać życiu w tym ciężkim okresie, to opublikowanie garści esejów, których nikt nie zrozumiał, oraz uzyskanie dyplomu z zoologii i zawarcie niesatysfakcjonującego małżeństwa z własną kuzynką Isabel. W tej sytuacji odnosił smutne wrażenie, że wiośkuje

w błocie, aż pojawiła się Jane, aby mu pomóc oczyścić ścieżkę przeznaczenia.

Jane, jego Jane, wtargnęła w jego życie pewnego poranka tajemniczo jak duch: Wells wszedł do sali, aby udzielić lekcji studentom zaocznego kursu biologii, kiedy wśród chwastów znudzonych słuchaczy dostrzegł delikatną blondynkę o oczach w kolorze mokrej ziemi, uśmiechającą się z podziwem z ławki w głębi klasy. Odporna na ogólną apatię, ta studentka niestrudzenie atakowała go inteligentnymi pytaniami, dlatego gdy ustawiła swój stółek tuż przy jego biurku, aby ją poinstruował w temacie anatomii porównawczej, wydawało się to czymś najnaturalniejszym w świecie. Szybko czas trwania zajęć okazał się niewystarczający i we dwoje przedłużali swoje rozmowy w pustej sali albo po drodze na pobliską stację Charing Cross. Nie wiedząc za bardzo, jak to się stało, Wells poddał się tej słodkiej rutynie i pozwolił, aby jego zainteresowanie dla śmiałej inteligencji dziewczyny przerodziło się w czułą sympatię dla reszty jej osoby. W miarę upływu dni z coraz większą nieuchronnością widział w niej ten rodzaj towarzyski, jakiej pragnął, osobę, u której boku mógł pokonać samotność panoszącą się w jego sercu i osiągnąć równowagę niezbędną do mierzenia się z życiem w innym duchu. Tak więc, jak to się prawie zawsze dzieje w takich przypadkach, owa pogłębiająca się przyjaźń ostatecznie rozbiła jego małżeństwo. W rzeczywistości mimo pozazmysłowego wymiaru, w jaki Wells chciał ubrać swoje zachowanie, to, co się wydarzyło, było straszliwie proste – stanął przed wyborem między dwiema przeciwnymi względem siebie osobowościami: swą chłodną, nijaką kuzynką a czytaną, pogodną Jane. Wybrał to, czego bardziej potrzebował, co jest naturalne. I przy współdziałaniu Jane zaszufladkował sobie to zdarzenie jako uczciwą i nieuniknioną historię miłosną, chociaż podejrzewał, że nie było niczym więcej jak galimatiasem bodźców i kapryśców, może przeprowadzoną w samą porę ucieczką, a może tylko eksperymentem, którego rezultat na dłuższą metę nie był ważny. Uważali się za wyjątkowych, i to sprawiło, że dodali wagi swoim uczuciom, nałożyli przebranie pasji, która nie była niczym więcej jak intelektualną komunią, połączeniem witalnych interesów, czymś dalekim od jakiegokolwiek namiętności. Powiedzieli sobie, że to, co mają w rękach, to przygoda, jakiej dotąd nie znał świat, miłość odmienna od całej reszty, nieodparta namiętność. I to upoważniło ich, by w imię tej mącej im w głowach miłości robili, co chcieli, przewracając do góry nogami moralność przyjętą w każdym obszarze życia.

Zmęczeni tym, że wspólne życie skazywało ich na rolę wyrzutków społecznych, pobrali się, gdy Wells uzyskał rozwód, mimo że się wyrzekli małżeństwa, jakby to była kolejna próba wykazania się duchem wyższości i erudycji, którego czuli się zobligowani pielęgnować. Wells natychmiast przekonał się, że się nie pomylił, spłacając swoje chybione małżeństwo z kuzynką, ponieważ Jane błyskawicznie objęła rolę doskonałej partnerki: zajęła się przepisywaniem na maszynie jego rękopisów, poprawiała jego artykuły, a nawet dawała mu rady, zarządzała domowymi finansami, wypełniała jego deklaracje podatkowe, a wreszcie wzięła na siebie wszelkie trywialne sprawy, które zmuszałyby go do zstąpienia na ziemię z magicznego obszaru rozmarzenia, w którym chronił się przez większą część dnia.

Taka była Jane, tak, jego Jane, zdolna sojuszniczka, współpracowniczka wszystkich jego zbrodni, kapłanka z poświęceniem chroniąca jego zbiory przed chłodem i gradem, tylko czasami uciekająca do swego gabineczku, gdzie się mogła uwolnić od osobowości, którą tak chętnie i skutecznie dla niego odgrywała, i pracować nad własnym skromnym, wyrafinowanym dziełem literackim. Wells z uśmiechem zadowolenia tolerował tę część prywatności swej małżonki, wspierał ją nawet, gdyż wiedział, że Jane jest szczęśliwa,

rywalizując w swoim pokoiku z Edith Sitwell, uprawiając tę miłą fantazję, na którą on był obojętny. W końcu udało im się skonstruować maszynę działającą idealnie, spokojne i stymulujące życie, którego harmonia pochodziła ze wspólnego wysiłku, by się nawzajem rozumieć i wybaczać sobie niedoskonałości, niezniszczalny sojusz utrzymujący się w równowadze ponad tamtym pierwszym przyciąganiem, które oboje milcząco uznali za nieuleczalną miłość.

Sceną, jaką przypadek wybrał na ostateczne przeobrażenie Wellsa w pisarza, był pokój przy Mornington Road, dokąd rzuciła go ucieczka. W tej maleńkiej kwaterze, która zmuszała ich do wykonywania ryzykownej choreografii, jeśli nie chcieli zderzyć się ze sobą, gdy przyszło do korzystania z toalety, Jane – po długich i wyczerpujących rozmowach – pomogła mu zrozumieć, że nie ma po co naśladować innych pisarzy, ponieważ jego wyjątkowe pochodzenie i wykształcenie dają mu świeże, niewykorzystywane dotąd w literaturze podejście do wszystkiego, o czym pisze. Wells, uparty jak zawsze, niełatwo przyjął to do wiadomości, ale kiedy spróbował, zaskoczony odkrył, że miała rację. Jego piarstwo ogromnie na tym skorzystało, gdy zaczął swobodnie wyrażać na papierze samego siebie, ze wszystkim, co przeżył i czego się nauczył, ze wszystkim, co się za nim wlokło, ze wszystkim, czym był. To, co spływało z jego pióra pod hasłem postawionym przez Jane, okazywało się nowatorskie, oryginalne, niewiarygodnie śmiałe. I pod wpływem owego zastrzyku pewności siebie Wells szybko osiągnął godną uwagi biegłość w rozwijaniu historii z naukowych anegdot. Większość londyńskich przeglądów literackich i czasopism poddała się przed tymi przepelnionymi wyobraźnią artykułami i opowiadaniem, które zyskały oddźwięk w całej Anglii. Wells wiedział wówczas, że jego przeobrażenie dopełniło się. Tak, rzeźba została nareszcie ukończona dzięki opatrnościowemu wkładowi Jane, która w ten sposób związała się z nim na zawsze. Już nie tylko ją kochał – teraz zawdzięczał jej także życie, a nawet przyszłość, wszystko to, co jeszcze mu się nie przydarzyło.

Takie były jego drugie powtórne narodziny, definitywna zmiana perspektywy, która doprowadziła go do napisania pierwszej powieści, *Wehikułu czasu*. Dzieło to nie tylko przyniosło mu sto pięćdziesiąt funtów, lecz także pozwoliło porzucić status dziennikarza na rzecz autora publikującego pod własnym nazwiskiem. Dzięki niespodziewanemu i rosnącemu sukcesowi kolejnych powieści przeniósł się do Woking, do bliźniaczego domu przy Maybury Road, gdzie napływające z pól czyste powietrze było balsamiczną pieczęcią dla jego chorych płuc. Tam, przy kuchennym stole, Wells, kołysany turkotem pociągów zmierzających do Lynton, napisał *Niewidzialnego człowieka* oraz *Wojnę światów*, a po okolicznych wrzosowiskach pedałowal na swoim błyszczącym rowerze, wybierając miejsca, które zostaną zniszczone przez Marsjan, zanim nowy przypływ pieniędzy pozwolił Jane i jemu przenieść się do domu w Worcester Park, gdzie mieszkają teraz.

Wstał ostrożnie, aby nie zbudzić Jane, która spała przytulona do jego boku, oddechem naśladowując falowanie morza. Wyszedł z sypialni, oporządził się szybko i rozpoczął swą zwyczajową pielgrzymkę po domu, który w takich momentach był pogrążony w odrętwieniu i ciszy. Wells lubił wstawać przed świtem, kiedy świat nie był jeszcze do końca ukonstytuowany, i krokami intruza dziurawić tę porę wyprzedzającą dzień pracy, gdy mógł się szwendać swobodnie bez żadnego zajęcia. Niczym marszałek przechadzający się dumnie po polu bitwy usianym szczątkami wroga przemierzał każde pomieszczenie, sprawdzając, czy nikt nie wtargnął w nocy na terytorium, które on zdobył

z takim trudem. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku: meble stały nieruszone na swoich miejscach, sączące się przez okna światło brzasku padało pod właściwym kątem, ściany zachowywały swój kolor. Nie był to dom bardzo luksusowy, lecz owszem, większy od tego w Woking i nieskończenie bardziej okazały od nory, którą zajmowali przy Mornington Road, a postęp wyrażający się w rosnących rozmiarach ich domostw dla Wellsa lepiej niż cokolwiek innego odzwierciedlał wzrost jego pisarskiego powodzenia.

Nie był to jednak jedyny powód, dla którego pewnego dnia złoży podziękowania Stwórcy. Fortuna zapewne musiała uważać, że jest jej coś winien, ponieważ prócz tego, że zaoferowała mu mały kęs chwały, przyłożyła mu do szyi miecz Damoklesa, jakim była gruźlica. Jego płuca bez wątpienia swego czasu cierpiały na jakiś proces degeneracyjny, ale nigdy nie zdołano w nich znaleźć żadnego ogniska gruźlicy, toteż jego udręczona tkanka płucna zagoiła się ostatecznie i pomimo wieszczby owego lekarzyny z Wrexham, uzależnionego od sentymentalnych powieści, Wells wciąż chodził po świecie. Być może stracił swą romantyczną aureolę, ale owszem, żył, zajmował przestrzeń, podkradał tlen, rzucał cień, puszczał grzmiące gazy, gdy miał taką potrzebę! I tak zamierzał spędzić jeszcze kilkadziesiąt lat, zwłaszcza teraz, gdy życie zdawało się gotowe zsyłać mu wyłącznie radosne chwile!

W salonie znajdował się regał mieszczący wydania pięciu powieści, które ukazały się do tej pory, namacalne ucieleśnienia jego wysiłku i wyobraźni. Ta garść dzieł przyniosła mu w Anglii pewien prestiż – zaczynał się on rozprzestrzeniać również w Ameryce, chociaż jak już was uprzedziłem, on sam nie był szczególnie dumny z żadnego z nich. I o *Wehikułu czasu*, otwierającego pochod, żywił pewną sympatię, nie tyle z powodu zalet utworu, ile dlatego, że pozwolił mu, dzięki swemu względnemu sukcesowi, żyć z pisarstwa. Wziął z półki *Wojnę światów*, zamykającą pochod, świeżo opublikowaną przez wydawnictwo Heinemanna, i z największą delikatnością trzymał ją w dłoniach, jakby miał do czynienia z koszem jaj. Ta powieść również cieszyła się jego sympatią, choć w tym przypadku wynikało to z tego, że dopiero co ją wydano, nie miał więc jeszcze czasu na rozwinięcie względem niej niechęci, którą z upływem dni nieuchronnie do niej poczuje, ponieważ Wells cierpiał na jedno z przekleństw, jakie najczęściej atakują pisarzy: dręczyło go nieustanne pragnienie dokonania osiągnięć wykraczających poza własne możliwości. I trzeba przyznać, że jakkolwiek by spojrzeć, żadna z tych powieści nie była wyjątkiem, jedynie skromnym i wynikającym z wytrwałości rezultatem wysiłków o tyle ciężkich, o ile niewdzięcznych.

To pewne, że publikował w sprzyjającej epoce, gdy cień Dickensa i Thackeraya zaczął się rozwiewać, a nawyk czytania szerzył się w nowych warstwach społecznych z czystej ludzkiej ciekawości. Wydawcy starali się zaspokoić wymagania nowoczesnego czytelnika, publikując najmłodszych pisarzy, autorów wymyślających powieści na pozór nowe, ale zachowujące pewne nawiązania do dzieł poprzednich pokoleń. Zmiana warty dokonana się pod pełną kontrolą: wszyscy zostali zaprezentowani jako godni dziedzice swych przodków i w większości przypadków musieli nosić etykietę określającą ich jako czyichś następców. Jego samego powitano jako drugiego Dickensa albo nowego Verne'a, a ten ostatni tytuł mierzył go. Jednak mimo że mógł liczyć na przychylność krytyki i odbiorców, co ze względów strategicznych wydawało się bardzo korzystne, jego powieściom można było przypisać wszystko, tylko nie wyjątkowość. A ta wewnętrzna pewność podpowiadała, by zadał sobie niewygodne pytanie: czy nie są wyjątkowe, ponieważ on nie jest zdolny do spłodzenia wyjątkowej powieści, czy dlatego, że mu brakuje warunków niezbędnych do jej napisania? Co zrozumiałe, Wells wolał myśleć, że chodzi o to drugie, i

czasami, podczas przejażdżek rowerowych albo po prostu rozmyślając przed snem, zabawiał się sporządzaniem mentalnej listy warunków z jego punktu widzenia niezbędnych do wydania na świat wyjątkowej powieści.

Przez jakiś czas uważał, że głównym z owych wymogów powinno być odpowiednie miejsce do pisania: dobrze przewietrzony i oświetlony pokój, oddalony od wszelkich źródeł hałasu, z ładnym widokiem za oknem, który w miarę możliwości codziennie by się zmieniał. Czasami nawet Wells dla rozrywki zastanawiał się, która pora roku byłaby najbardziej dogodna dla pisania. Jaka aura powinna panować po drugiej stronie okna tego idyllicznego gabinetu? Wiosenny dzień, który nada pisarstwu wesoły, radosny optymizm? Jesienny wieczór, który nasączy jego słowa przyjemną melancholią? A może zima, okrywająca wszystko kołdrą śniegu, ogoławająca świat z przymiotników? Ale to już na połę osiągnął w tym domu, gdzie za zgodą Jane zawładnął jednym z pokoiów, by go przekształcić w swoje twórcze królestwo, w laboratorium słów. Czy tam będzie mógł spłodzić wyjątkową powieść? Nie sądził, nie dlatego, że widok okazał się zbyt zwyczajny, a wewnątrz nieco ciasne, ale ponieważ doszedł do wniosku, że warunki materialne na nic się zdadzą, jeżeli on nie osiągnie pewnego duchowego spokoju, sprzyjającego stanu, którego nie potrafił określić lepiej niż jako pomyślność duszy. Był pewien, że ta upragniona, platoniczna pogoda ducha nie dopuściłaby do tego, co działo się do tej pory: że jego dzieła okazywały się niedopracowane, napisane w pośpiechu i źle skorygowane.

Lecz jak osiągnąć ów wysublimowany spokój? Jak uniknąć przemęczenia umysłu i codziennych zmartwień, które mu dokuczały, gdy miał się zmierzyć z pisarstwem? Wells żywił przekonanie, że pisarz – tak samo jak malarz, rzeźbiarz, naukowiec i ostatecznie każdy, kto wydaje owoce intelektualnej natury, dokonuje osiągnięć, które przyczyniają się do postępu albo do cyzelowania ludzkiej wrażliwości – nie jest zdolny do prowadzenia normalnego życia, ponieważ po prostu nie jest normalnym człowiekiem. Aby uprawiać twórczość, trzeba koniecznie urządzić sobie drugie życie, usuwające na bok zgryzoty pierwszego, powszedniego, będące przeszkodą dla wyższych zainteresowań. Jednakże, choć nie prowadził beztrudnego życia, jakie wiedli niektórzy jego koledzy po fachu – mieszkający na nędznych poddaszach, bez skrupułów żebrzący o pożyczki bądź pozwalający, aby ich utrzymywały kobiety lub mecenas – Wells nie zdołał uchylić się zupełnie od zobowiązań i zakłócających spokój spraw wynikających z prostego faktu istnienia na tej ziemi. Miał ich aż w nadmiarze, bo chociaż Jane uwolniła go od większości codziennych zobowiązań, nic nie mogła zrobić z jego niepokojami, tym wewnętrznym balastem, który przeszkadzał jego duszy wzbić się do lotu.

Mógł tylko uciekać sam od siebie i od tych okoliczności do jakiegoś miejsca poza światem, może pałacu ukrytego na wysnionym łądzie albo domu unoszącego się w kosmosie, skąd spoglądałby na Ziemię z majestatycznym wrażeniem odosobnienia, mając pewność, że tam nie mogłoby go dotknąć ani rozproszyć nic, co ludzkie. Podejrzewał jednak, że na dłuższą metę taka ucieczka też okazałaby się niewystarczająca, o ile nie zostałby pobłogosławiony darem nieśmiertelności. To definitywnie wyzwoliłoby go od naglących potrzeb, jakie narzucała efemeryczna natura życia, od dręczących przymusów, na które człowiek jest skazany, jeżeli chce żyć, kochać, decydować i, rzecz jasna, również pisać. Dopiero wówczas, przy spełnionych owych nedorzeczenie niemożliwych do spełnienia warunkach, mógłby wydobyć z siebie powieść, którą nosił gdzieś w głębi, powieść, która zdobyłaby mu miejsce wśród klasyków, której nie dałoby się niczego zarzucić; powieść, która byłaby nim, jego formą myślenia i układania sobie stosunków ze światem, jego świadomością, ponieważ każda strona byłaby dopracowana

u podstaw, aby wykluczyć wszelkie inne sposoby, w jakich mogłaby być opracowana. Jednak założenie, że tylko w takich chimerycznych okolicznościach mógłby napisać powieść wyjątkową, nie stanowiło dlań oczywiście żadnej pociechy, zwłaszcza jeśli wziął pod uwagę, że historia literatury jest usiana wyjątkowymi powieściami napisanymi przez autorów, którzy ani nie cieszyli się nieśmiertelnością, ani nie unosili się w kosmosie, przynajmniej na ile mu było wiadomo. Niejeden z nich mieszkał nawet w obskurnych miejscach, nękany długami lub najrzadszymi chorobami.

Wojna światów – wyszeptał uroczyście w panującym w salonie półmroku – H.G. Wellsa. Lubił cicho wymawiać tytuły swoich dzieł, jak gdyby mógł w ten sposób nadać im wyższą egzystencję. W wyobraźni widział londyńczyków powtarzających sobie ten tytuł pod nosem, gdy go zauważają na wystawach, tworzących bezładny chór inkwizytorów, osoby, o których istnieniu nigdy nie wiedział, anonimowe jednostki, które przyjmą tę książkę na swe półki i przynajmniej na krótki czas lektury przyznają jej główną rolę w swoim życiu. Choćby opublikował jeszcze wiele dzieł, Wells nigdy nie zdołał się przyzwyczaić do tego zawrotu głowy, o jaki przyprawiało go wyobrażanie sobie licznych rąk, do których trafi jego książka, dusz, które poruszy albo znudzi, ust, na których jego słowa wymalują podziw lub brak akceptacji. Nie zdołał się też przyzwyczaić do ich fizycznej nietrwałości, ponieważ o ile jego słowa mogłyby trwać w czasie, o tyle nośnik, na którym zostały umieszczone, wciąż był tylko przedmiotem skazanym na ulotność. Dzięki magii druku jego książki rozprzestrzeniały się po świecie, docierały do miejsc, jakich nie mógł sobie nawet wyobrazić, gdzie być może z oddaniem głaskały je piękne damy, kreślili po nich surowi mężczyźni albo sponiewierało je jakieś dziecko; starzały się na zapomnianych półkach, żółkły jak drzewa w objęciach jesieni, złożone na jakimś strychu przeżywały swoich właścicieli, a ostatecznie w ciszy rozpadały się w proch, gubiąc w końcu słowa, które tak długo w sobie więziły. Czy istniał na świecie jakiś inny przedmiot, który gdy jego właściciel przestawał go posiadać, zaczynał należeć do wielu innych ludzi?

Wtem zauważył list wystający spomiędzy kartek powieści. Wyjął go, trzymając za róg, jakby w nim budził obrzydzenie. List przyszedł około miesiąca temu, może nieco więcej, podpisany przez Gilliana Murraya, człowieka, którego Wells nienawidził najbardziej na świecie. Tak, żywił wobec tego typu dogłębną, zadawnioną urazę, co jak na Wellsa było nie lada wyczynem, ponieważ od urodzenia nieustannie dawał dowody swojej niestałości, gdy przychodziło do wytrwania w jakimkolwiek uczuciu, nie wyłączając nienawiści. Przypomniał sobie dreszcz, jaki go przeszedł, gdy w swojej skrzynce pocztowej znalazł list od Murraya, tak jak za dawnych czasów, kiedy podrzucano mu jego zaproszenia do odbycia podróży w przyszłość. Od razu drżącymi palcami otworzył kopertę i zanim jego oczy zdążyły pochłonąć treść listu, umysł na poczekaniu podsunął setki powodów, dla których Murray mógł do niego napisać, co jeden to bardziej niepokojący.

Gdy przeczytał, odetchnął z ulgą. A kiedy zniknął strach, dopadła go nienawiść. Wyglądało na to, że Murray wrócił do Londynu z dziury, w której się ukrywał, i miał czelność prosić go o pomoc, w dodatku pomoc przy odtworzeniu marsjańskiej inwazji, którą on, Wells, opisał w swojej powieści. W liście bez żadnych zastrzeżeń uznał swoją niższość na polu wyobraźni, sugerując możliwe wynagrodzenie za udzieloną pomoc, a nawet zaapelował do jego serca, wyznając, że tym razem nie kieruje się żadnym niegodziwym celem, tylko najszlachetniejszym uczuciem, jakie może żywić mężczyzna: miłością. Jeżeli uda mu się sprawić, że marsjański cylinder pojawi się na pastwiskach w Horsell pierwszego sierpnia, dama, w której się zakochał, wyjdzie za niego.

Czemu miałyby go poddawać tak dziwacznej próbie? – zastanawiał się Wells. Może dlatego, że podejrzewała, iż on się z niej nie wywiąże? Tajemnicza ukochana rzuciła mu to wyzwanie jedynie w tym celu, by poniósł klęskę? Ale nasuwało się jeszcze ważniejsze pytanie: czy faktycznie ta kobieta istnieje, czy może wszystko to jest przebiegłą strategią Murraya, który chce zdobyć jego pomoc? Czy to prawda czy nie, postanowił odmówić. Schował list między kartki książki i zapomniał o nim aż do dzisiejszego poranka. Za bardzo nienawidził Murraya, by mu udzielić pomocy, choćby ten nie wiedzieć jak był zakochany albo udawał, że jest. Odłożywszy książkę na półkę, Wells zdał sobie sprawę z tego, że jeśli to mimo wszystko prawda, akurat dziś jest ten wyznaczony dzień. Czy mu się udało? – pomyślał z nieokreśloną ciekawością. Czy sprawił, że na pastwiskach Horsell wylądował marsjański walec? Nie sądził. To było niemożliwe nawet dla kogoś takiego jak Murray, na pozór będący w stanie osiągnąć wszystko.

Skierował się do kuchni, żeby przygotować kawę, jak miał zwyczaj rozpoczynać dzień pracy, i poczuł, że znów krąży mu po głowie pytanie, które go ostatnio dręczyło: czy odmówił Murrayowi pomocy tylko dlatego, że jest jego wrogiem? Może przyszła pora, by sobie na nie odpowiedzieć – zastanawiał się, nastawiając kafeterkę. Nie, nie zrobił tego tylko dlatego – uświadomił sobie. Były też inne, nie mniej ważne powody, jasne, że tak. Takie jak ten, że od półtora miesiąca był innym człowiekiem. Człowiekiem oszołomionym i przerażonym. Człowiekiem, który codziennie wysiłał się, by podeprzeć swój rozum, bo ten groził zawaleniem po tym, jak się wynurzył z Krypty Osobliwości, z piwnicy londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej, gdzie składowano to, co niemożliwe, fenomeny wprawiające świat w zdumienie, cuda, jakich istnienia nikt by nie podejrzewał. Lecz on je widział, i jak mógł żyć dalej po czymś takim?

W ciągu wielu dni, które nastąpiły po jego wizycie w tamtej piwnicy, Wells trwał pogrążony w osłupieniu. Ogarnęła go konsternacja podobna do tej, jakiej doświadczył w dzieciństwie, gdy odkrył, że planeta rozciąga się znacznie dalej, niż sięga geografia Wysp Brytyjskich – jedyna, której się uczył w szkole. Zdawało się to oczywiście niemożliwe, ale świat nie rozpływał się w powietrzu tuż za brytyjskimi wybrzeżami, za nimi czekały jeszcze: Koloseum, Tadź Mahal, piramidy. Odkrycie to pozwoliło mu ustalić przestrzenne granice planety w taki sam sposób, w jaki wizyta na prehistorycznej ekspozycji w Kryształowym Pałacu, gdzie wystawiono gipsowe rekonstrukcje megaterium i rozmaitych dinozaurów, dała mu możliwość ustalenia jej wieku, czasowego ogranicznika przeszłości, poza którym życie było czystym niedopowiedzeniem. Tak więc przez całe życie Wells uważał, że zamieszkuje świat taki, jaki jest i jaki był, którego czasoprzestrzenne koordynaty zostały starannie nakreślone przez naukę. Teraz jednak wiedział, że ograniczenia te były błędne, że świat rozciąga się znacznie dalej niż fałszywe granice, na które wysiliła się garść władców, postanawiając wyznaczyć, co ludzie powinni wiedzieć, a czego nie.

Po wyjściu z muzeum Serviss powiedział mu, że od niego samego zależy, czy uzna zawartość Krypty Osobliwości za autentyczne cuda czy za sfabrykowane fałszyfikaty. A Wells skłaniał się ku temu pierwszemu, przyjął za prawdę istnienie rzeczy ponadnaturalnych, kierując się logiką, ponieważ gdyby to wszystko było podróbkami, jakież byłby sens trzymania tego w ukryciu pod kluczem? W rezultacie tej decyzji teraz czuł się otoczony tym, co zdumiewające, osaczony magią. Wiedział już, że pewnego pięknego dnia, gdy wyjdzie do ogrodu, żeby zrobić porządek wśród róż, może się natknąć na grupkę tańczących w kole maleńkich wrózek. Tak jakby wszystkie książki planety zostały rozprute, a z tego rozdarcia uciekła fantazja, zalewając świat do tego stopnia, że

stało się niemożliwe rozróżnienie między rzeczywistością a fikcją.

Ale z upływem dni Wells zdołał zapanować nad zamętem myśli, ponieważ na dłuższą metę wiedział, że istnienie tych zdumiewających rzeczy niczego nie zmienia, jako że wróżki bawią się w jego ogrodzie, kiedy on śpi. Jego teraźniejszość pozostała taka sama, jego życie powinno się nadal toczyć wyłącznie w tej rzeczywistości, której można dotknąć, rzeczywistości nijakiej, przeciętnej, przykrej. Pozostałe sprawy były tylko marzeniami, legendami, opowieściami starców. Lecz chociaż zdołał wyjść z konsternacji, w duszy pozostał mu gorzki osad, niewygodne wrażenie, że żyje farsą, porusza się na maleńkiej scenie ustawionej przez ową garść ważniaków decydujących o tym, co powinno zostać ukryte za kulisami. Jakie prawo mieli ci ludzie, by zawęzić świat? Podobnie jak on nie są niczym więcej jak drobinami kosmicznego pyłu, przelotnym złudzeniem w czasie. Jednak jak dyrektor muzeum powiedział Servissowi, są granice, na których przekroczenie nie każdy jest przygotowany. A on zapłacił cenę, ponieważ jedno było jasne: nigdy więcej nie będzie pisał fantazji. Jak miałyby to robić, wiedząc, że w świecie istnieje więcej cudów, niż pisarze mogliby sobie kiedykolwiek wyobrazić? Napisał powieść, w której snuł przypuszczenia o istnieniu Marsjan z tego prostego powodu, że do tamtej pory żadnej pozaziemskiej istoty nie dotknął własnymi rękami. Ale to się zmieniło: teraz już to zrobił, dotknął ramienia autentycznego Marsjanina, który przybył z niebios w latającym talerzu i wydawał się bardziej podobny do mola niż do ośmiornic sprzedawanych w sklepie rybnym. Z tej perspektywy jakież sens miało pomaganie Murrayowi w odtworzeniu tak niedorzecznej marsjańskiej inwazji jak ta, którą on opisał?

Nalał sobie filiżankę kawy i usiadł przy kuchennym stole naprzeciw okna wychodzącego na ogród. Za szybami miękkie pomarańczowe światło nieśpiesznie rzeźbiło świat. Wells spoglądał na roztaczający się przed nim krajobraz z łagodną melancholią, wiedząc, że jest to tylko czubek góry lodowej, której większa część ukrywa się pod wodą przed oczami obserwatorów. Upił łyk kawy i westchnął. Miał już dość. Rzeczł sobie, że jeżeli chce zachować zdrowie psychiczne, najlepiej niech zapomni o tym, co widział w Krypcie Osobliwości. I starał się skupić nad rozwiązaniem problemów z akcją powieści realistycznej *Miłość i pan Lewisham*, którą miał zamiar napisać.

I wtedy coś go oślepiło. Jakiś blask pochodzący z zewnątrz. Wyprostował się nieco i wyteżył wzrok, próbując sprawdzić, co spowodowało taki rozbłysk, że aż musiał zamknąć oczy, może w sekretnej nadziei, że w końcu dostrzeże jedną z wróżek, które widział na fotografiach w Krypcie Osobliwości. Odkrył jednak z zaskoczeniem, że to metalowa ręka zmagająca się z jego furtką. Patrzył na nią zbity z tropu. Proteza należała do młodego, bardzo szczupłego człowieka ubranego w elegancki ciemny garnitur. W końcu z pomocą drugiej ręki udało mu się otworzyć bramkę i Wells widział, jak nieznajomy kamienną ścieżką zmierza do drzwi wejściowych. Z rozczarowania, które odmalowało się na jego ustach, pisarz wywnioskował, że dokuczala mu niezdarność, z jaką posługiwał się sztuczną ręką, połyskującą na końcu prawego rękawa marynarki. Możliwe, że próbował otworzyć nią furtkę dla treningu, z kiepskim rezultatem. Czego ten typek tutaj chce? Wells pobiegł mu otworzyć, zanim zabrzmiał dzwonek i obudzi Jane.

– Czy to pan jest pisarzem H.G. Wellsem? – zapytał nieznajomy.

– Tak – potwierdził ostrożnie zagadnięty. – W czym mogę pomóc?

– Agent Wydziału Specjalnego Scotland Yardu Cornelius Clayton. – Młodzieniec, przedstawiając się, mignął mu przed nosem odznaką. – Przyszedłem prosić, żeby mi pan towarzyszył do Woking.

Wells w milczeniu przyglądał mu się uważnie, tak samo jak tamten jemu. A ponieważ

wiecie aż za dobrze, jak wyglądał Wells, przejdę do opisu agenta Claytona, który będzie z nami prawie aż do końca tej historii. Młodzieniec miał pociągłą, stanowczą twarz, zwieńczoną gęstwiną kręconych włosów, które opadały mu na czoło kaskadą arcyczarnych loków. Nad wąskimi, przenikliwymi oczami widniały gęste brwi, a usta o mięsistych wargach zdawały się marszczyć w grymasie lekkiej niechęci, jak gdyby stale były narażone na powiewy mdlących woni. Wreszcie twarz miał tak szpiczastą, że nietrudno było go sobie wyobrazić załadowanego do lufy armaty gotowej do wystrzelenia w jakimś cyrku.

– Po co? – zapytał w końcu Wells, choć znał już odpowiedź.

Agent złowieszczo utkwiał w nim wzrok.

– Tej nocy na pastwiskach w Horsell pojawił się marsjański cylinder, tak jak opisał pan w swojej powieści.

Trzech godzin dzielących Worcester Park od Woking nie da się zredukować, choćby woźnica siedzący na koźle powozu agenta Claytona nie wiedzieć jak zacinał konie – pomyślał Wells, usiłując udawać, że denerwujący turkot pojazdu nie przeszkadza mu w najmniejszym stopniu. Siedział, zachowując sztywną, napuszczoną równowagę, z rękami ceremonialnie skrzyżowanymi na kolanach, i pozwalał spojrzeniu błądzić po przesuwających się za okienkiem polach, a jednocześnie próbował ogarnąć absurdalną, irytującą sytuację, w którą wpędziła go miłość. Cudza miłość, w tym przypadku – jego własna była tak nudna, że nie sprawiała nadmiernych problemów – bo najwyraźniej Murray osiągnął swoje. I to bez jego pomocy. Wells nie wiedział jak, ale milioner zdołał ozdobić pastwiska Horsell reprodukcją marsjańskiego cylindra, tak jak opisywała jego powieść. I zapewne była to kopia na tyle wierna, że Scotland Yard rozkazał agentowi specjalnemu Claytonowi zająć się tą sprawą – zabrać pisarza i wraz z nim udać się na miejsce zdarzenia, jakby się wybrali na wycieczkę zakochanych. Według wyjaśnień młodzieńca nie widział on rzeczoności przedmiotu osobiście, ale jego opis punkt po punkcie zgadza się z powieściowym, nie wspominając już o tym, że pojazd się pojawił w tym samym miejscu. Jak to możliwe, że z rocznym wyprzedzeniem wiedział, co zrobią Marsjanie? – dopytywał się cokolwiek rozkojarzony agent, podejrzliwie obserwując pisarza. Dla ważniaka z Wydziału Specjalnego, który polecił Claytonowi odszukać Wellsa, było to logiczne pytanie, zwłaszcza jeżeli wierzył w istnienie Marsjan, a pisarz nie miał co do tego wątpliwości, ponieważ na szyi młodzieńca zauważył klucz z dwoma anielskimi skrzydełkami, który wydał mu się znajomy. To jednak nie przeszkadzało mu odczuwać napadu wściekłości wobec zawartego w tym pytaniu oskarżenia, bo pytanie było czysto retoryczne. Czy nie bardziej logicznie byłoby przyjąć odwrotną kolejność: że najpierw była powieść, a potem ktoś ją spróbował skopiować? – odrzekł Wells, nie ukrywając złości. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Przestał wyglądać przez okno i zwrócił się w stronę agenta. Młodzieniec trwał w skupieniu i ciszy, czytając list od Murraya, który Wells wręczył mu na poparcie swych słów. Wiadomość ta usprawiedliwiła go przed wszelkimi oskarżeniami ze strony agenta, choćby była nie wiadomo jak szalona. Pisarz czekał na jego reakcję, starając się wyglądać na spokojnego.

– Zatem Pan Czasu nie umarł... – odezwał się Clayton jakby do siebie, nie podnosząc wzroku znad kartki, którą trzymał w rękach delikatnie jak gołębicę.

– Jak pan widzi, nie – odparł cierpko Wells.

Agent złożył list i zamiast go oddać, schował do kieszeni marynarki, co dla pisarza stanowiło niepodważalny dowód, że został zwolniony z wszelkiej winy.

– Oczywiście ten list podaje pod rozwagę inną perspektywę – powiedział tylko policjant z uprzejmą rezerwą.

„Inną perspektywę? – oburzył się Wells. – A jest jeszcze jakaś?”

– Wybacz pan, agencie – rzekł – ale nie potrafię zrozumieć, że inne wyjaśnienie mogłoby być prostsze i bardziej logiczne niż to, które oferuje tak rozstrzygający dowód jak ten list.

– Nie dyskutuję z tym, panie Wells. – Młodzieniec się uśmiechnął. – Ale wyszkolono mnie, abym rozważał wszelkie możliwości. Absolutnie wszystkie, nie pozwalając, aby ograniczały to logika czy prostota rozumowania, pojęcia nazbyt subiektywne i często przeceniane przez pozostałych. Moja praca nie polega na wykluczaniu możliwości, lecz na ich mnożeniu. To powód, dla którego wzbraniam się przed przyznaniem jakiemuś

faktowi określenia „rozstrzygający”. Istnienie tego listu, by nie zapuszczać się dalej, otwiera w moim umyśle wachlarz nowych opcji: może na przykład napisał go pan sam, niewykluczone, że w celu utrudnienia śledztwa chciał pan skierować podejrzenie na zmarłego...

– Lecz wówczas... – wymamrotał Wells osłupiały. – Czy mam rozumieć, że absurdalna możliwość, iż z rocznym wyprzedzeniem przepowiedziałem marsjańską inwazję, dokładnie z wszelkimi szczegółami, pozostaje dla pana godna wzięcia pod uwagę? Podejrzewa pan, że mam jakiś związek z Marsjanami, że moja książka nie była ćwiczeniem z wyobraźni, ale czymś w rodzaju ostrzeżenia? Sugeruje pan, że zamieszczam w książkach ich ogłoszenia albo jestem dla nich obwoływaczem?

– Proszę się uspokoić, panie Wells, nie ma powodu, żeby się unosić – doradził mu Clayton. – Przecież rozmawiamy sobie tylko jak dwaj dżentelmeni, prawda? I w trakcie tej interesującej rozmowy zaznajomiłem pana jedynie z nudnymi metodami mojej pracy. Nic ponadto. Nikt pana o nic nie oskarża.

– Prosty fakt, że uznał pan za konieczne uspokoić mnie w sprawie rzekomego oskarżenia, wystarczy, by wzbudzić we mnie obawy, zapewniam pana, agencie.

Clayton roześmiał się łagodnie.

– Mimo to pozwoli pan, że będę nalegał, aby zachował pan spokój. Nie jedźcie pan ze mną w charakterze podejrzanego, a tym bardziej zatrzymanego. Przynajmniej w tej chwili – uściślił, posyłając Wellswi spojrzenie tak przenikliwe, że przez chwilę pozostawało w sprzeczności z delikatnym, przyjaznym tonem jego głosu. – Poprosiłem pana, by mi pan towarzyszył do Woking, wyłącznie w nadziei, że pańska obecność okaże się pomocna w wyjaśnieniu tajemnicy, która w tym momencie dotyczy aluzji do pańskiego dzieła. A pan był tak uprzejmy, że się zgodził, za co jestem panu nieskończenie wdzięczny.

– Wszystko to prawda, agencie, ale muszę również położyć nacisk na fakt, że już „okazałem się pomocny”, wręczając panu list, który z mojego punktu widzenia wyjaśnia wszelkie tajemnice, jakie ta irytująca sprawa może zawierać – odparł pisarz z lekką nutą ironii w głosie.

– Miejmy nadzieję, że tak, panie Wells. W ten sposób obaj będziemy mogli przed kolacją wrócić do swoich domów, a pan będzie miał wdzięczną anegdotkę do opowiedzenia swej uroczej małżonce.

To powiedziawszy, Clayton dał się pochłonać kontemplacji krajobrazu, kładąc kres rozmowie. Wells westchnął przeciągle z rezygnacją i zrobił to samo. Przez kilka minut obaj udawali, że z niezmiernym zainteresowaniem studiują monotony ciąg angielskich pól, jaki oferowały im okienka, aż wreszcie milczenie okazało się dla Wellsa nie do zniesienia.

– Niech mi pan powie, agencie Clayton, jakimi sprawami zajmuje się ten Wydział Specjalny Scotland Yardu, do którego pan należy.

– Obawiam się, że nie mogę panu udzielić szczegółowych wyjaśnień na ten temat, panie Wells – odrzekł uprzejmie młodzieniec, nie odrywając wzroku od pejzażu.

– Och, proszę mnie nie zrozumieć źle, agencie. Nie chcę, żeby mi pan wyjawiał zawartość jakichś tajnych akt ani nic podobnego... W rzeczywistości jestem bardziej na bieżąco, niż pan myśli, z pewnymi informacjami, które władze tego kraju ukrywają przed obywatelami – powiedział Wells, nie potrafiąc się oprzeć, aby nie wylać na agenta oburzenia, jakie się w nim nagromadziło po wizycie w Krypcie Osobliwości.

Agent, jakby tknięty skurczem, odwrócił wzrok od okienka i wbił go w towarzysza.

– Co pan insynuuje, panie Wells?

– Nic, agencie – wycofał się pisarz, speszony przenikliwym spojrzeniem młodzieńca.

– Zapytałem tylko, jakiego rodzaju sprawami zajmuje się pański wydział... Jestem pisarzem i zawsze gdy mam okazję, wykorzystuję ją, żeby zbierać informacje do kolejnych powieści. Robię to prawie bezwiednie.

– Rozumiem – odparł nieufnie Clayton.

– Cóż, zatem nie może mi pan powiedzieć, w jakiego rodzaju sprawach prowadzi pan śledztwa? Zabójstw, zbrodni politycznych, szpiegostwa...? Przyłotów i odlotów Marsjan odwiedzających naszą planetę? – zagadywał Wells z wymuszonym uśmiechem.

Agent skierował wzrok na monotony krajobraz i zamyślił się na kilka sekund. Potem znów spojrzął na Wellsa z ustami ułożonymi w ten swój charakterystyczny grymas zadufania, który – celowo czy też nie – zaczynał doprowadzać pisarza do szału.

– Powiedzmy, że zajmujemy się tymi wszystkimi sprawami, które opierają się pierwszemu lepszemu racjonalnemu wyjaśnieniu, aby to jakoś ubrać w słowa – wyjął wreszcie. – Wszystko to, czego człowiek, a zatem i Scotland Yard, nie zdołał wyjaśnić za pomocą rozumu, zostaje wysłane do naszego Wydziału Specjalnego. Możemy powiedzieć, panie Wells, że jesteśmy wysypiskiem, na które trafia to, co niepojęte.

Pisarz potrząsnął głową, udając zaskoczenie. „Wobec tego prawda? – zastanawiał się. – Wszystko, co widziałem w Krypcie Osobliwości, jest autentyczne?”

– Ale niech pan nie ulega fascynacji pod wpływem moich słów – dodał agent. – W większości przypadków nasze dochodzenie wykazuje w tych sprawach nie tyle niezwykłość, ile pomysłową wyobraźnię przestępczych umysłów. Niemal wszystkie tajemnice, które prześwietlamy, mają wyjaśnienie tak proste, że rozczarowałby się pan, podobnie jak sprawiłoby panu zawód odkrycie królika zamkniętego pod wyściółką kapelusza magika.

– Zatem zajmujecie się przesiewaniem światowego kłamstwa, oddzielaniem tego, co prawdziwe, od czystej fantazji – podsumował Wells.

– Ładnie powiedziane. Określenie godne pisarza pańskiego formatu. – Policjant uśmiechnął się.

– Ale co dzieje się z innymi sprawami? – zagadnął Wells, ignorując pochlebstwo. – Takimi, które po przeanalizowaniu przez wasze nadzwyczajne umysły wciąż opierają się racjonalnemu wyjaśnieniu?

Clayton wyprostował się na siedzeniu i z sympatią popatrzył na pisarza usiłującego oddzielić ziarno od plew.

– Cóż... – Wahał się przez kilka sekund, zanim odpowiedział. – Powiedzmy, że te sprawy zmuszają nas, byśmy zaakceptowali to, co niemożliwe, i uwierzyli, że w świecie istnieje magia.

– A jednak nie przechodzą do wiadomości publicznej, prawda? Nikt się o nich nie dowiadyje, nie zauważa się ich... – Wells ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć wszystkiego, co wie, oraz powstrzymać ogarniającą go złość, jak działo się zawsze, gdy ktoś nie doceniał jego inteligencji czy wiedzy.

– To zrozumiałe, że większość z nich nigdy nie przestaje być sprawami ściśle tajnymi, panie Wells. Takie, które gdy pan i ja będziemy już pastwą robaków, staną się przedmiotem śledztwa dla przyszłych pokoleń. I jestem przekonany, że znajdą one logiczne, ludzkie odpowiedzi na wyjaśnienie zjawisk, które nam wydają się powiedzmy... ponadnaturalne. Nigdy nie myślał pan o magii jako o nauce, której jeszcze nie znamy ani nie rozumiemy? Ja tak. Wobec tego po co napawać społeczeństwo strachem przed tym,

co nieznane, skoro wiele z owych tajemnic zostanie wyjawionych przez naukę, która nas czeka gdzieś za chmurami czasu?

– Widzę, że traktuje pan społeczeństwo jak dziecko, które za wszelką cenę trzeba chronić przed zamieszkującymi ciemność potworami w nadziei, że wyrosnie i przestanie w nie wierzyć – odparł Wells z niesmakiem.

– Albo w nadziei, że światło, jakiego dziś nie posiadamy, oświetli ciemność, która teraz, skoro dziecko wie, że mogą się w niej kryć okropności, niewątpliwie je przeraża... – rzekł Clayton. – Aby kontynuować pańską znakomitą analogię, panie Wells.

– A może powinniście przestać uważać obywateli za dzieci i uznać, że są wśród nich inteligentne umysły, które wolałyby same decydować o tym, co chcą wiedzieć, a czego nie, agencie Clayton! – wybuchnął Wells, mając dość i nie mogąc się pogodzić z tym, jak go taktuje młodzieniec.

– Mmm... byłby to interesujący temat do dyskusji, pani Wells – odrzekł Clayton niezmiernie. – Pozwoli pan jednak, że mu przypomnę, iż jestem zwykłym agentem, który wypełnia rozkazy, i oczywiście nie mam żadnego udziału w podejmowaniu decyzji ani w moim wydziale, ani w rządzie co do polityki informowania obywatela. Moja praca polega na prowadzeniu dochodzeń, a w tej konkretnie sprawie polecono mi zbadać, co się kryje za pojawieniem się cylindra, który opisał pan rok temu jako przybyły z Marsa. Nic ponadto.

– Mam więc rozumieć, że posiadacie dowody na to, że Marsjanie istnieją i nie jest to ich pierwsza próba odwiedzenia Ziemi... A może się mylę? – zaatakował pisarz, z wielką satysfakcją zauważając, jak jego słowa po raz pierwszy zaburzają niewzruszony spokój na twarzy agenta.

– Skąd panu to przyszło do głowy? – spytał policjant, patrząc na niego podejrzliwie.

– Prosta logika, agencie Clayton – odparł Wells, naśladując pełen wyższości uśmiezek tamtego. – Gdyby wcześniej nie wydarzyło się coś, co dałoby wam dowód na istnienie Marsjan, napotykając cylinder taki jak z mojej powieści zaryty w ziemię dokładnie tam, gdzie wskazałem, nie bralibyście pod uwagę innej możliwości jak ta, że jest to jakiś głupi żart. A zatem nie byłoby nawet powodu, by wzywać wasz wydział... Mam rację?

Clayton zachichotał śmiesznie, wyraźnie czując ulgę po tej odpowiedzi.

– Byłby pan wspaniałym śledczym, panie Wells, nie ulega wątpliwości. Gdybym nie był wielkim miłośnikiem pańskich dzieł, rzekłbym nawet, że minął się pan z powołaniem.

– Uśmiechnął się. – Ale obawiam się, że takie wydarzenie, jakie pan insynuuje, nie byłoby nam konieczne. Jestem pewien, że autor *Wojny światów* lepiej niż ktoś nazbyt pretensjonalny czy pozbawiony logiki zrozumie twierdzenie, że jesteśmy jedynymi mieszkańcami rozległego wszechświata, czyż nie?

Wells z oburzeniem kiwnął głową. Było jasne, że z tego impertynenckiego młodzieńca nie da się wydrzeć więcej informacji bez ujawniania, że był w Krypcie Osobliwości i widział, a nawet dotknął spoczywającego tam Marsjanina, umieszczonego koło latającej maszyny, która przypuszczalnie przybyła z kosmicznej ciemności. Ale to było coś, co w tym momencie wolał zatrzymać w sekrecie, aby nie dać agentowi powodu do zatrzymania go w areszcie: wszedł na teren czyjejś posiadłości bez pozwolenia, nie wspominając już o tym, że zepsuł niewątpliwie cenny przedmiot należący do muzeum albo do władz, albo do Scotland Yardu, czy kim tam był właściciel tej zwariowanej kolekcji cudów lub falsyfikatów; już nie wiedział, za co je uważać. Stwierdził w duchu, że robienie sobie z agenta wroga nie było zbyt inteligentne. Nie wiedział przecież, jaką bzdurę uknuł Murray

i jak może ona nań wpłynąć, lepiej więc mieć prawo po swojej stronie. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

– Niech mi pan wybaczy moją niedyskrecję, agencie, zachowałem się grubiańsko – przeprosił. – Doskonale rozumiem, że nie może pan rozmawiać o swojej pracy, tym bardziej z nieznanym. Ale na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że powodem mojej niedyskrecji nie było nic innego jak zafascynowanie tym, co pan robi. Choć obawiam się również, że praca ta musi być ryzykowna – zauważył, wskazując sztuczną rękę Claytona. – Czy może stracił pan ją, ćwiartując indyka?

Policjant uśmiechnął się z melancholią, spoglądając na metalowy dodatek, który wystawał mu z rękawa marynarki.

– Ma pan rację, panie Wells – przyznał. – Straciłem ją podczas... misji.

– Mam nadzieję, że było warto – pożałował go pisarz. Amputacja kończyny wydawała mu się traumą nie do przeżycia, krańcowym nieszczęściem, które przypuszczalnie doprowadziłoby go do samobójstwa.

– Powiedzmy, że było to decydujące w tej sprawie – podsumował agent, nie wykazując chęci do ciągnięcia tematu.

Wells kiwnął głową, dając mu do zrozumienia, że nie zamierza więcej wypytywać.

– Wygląda na znakomite urządzenie – rzekł taktownie.

– To prawda. – Clayton uśmiechnął się z widoczną dumą, podsuwając mu sztuczną rękę, by mógł ją dokładniej obejrzeć. – Dzieło chirurga i francuskiego zbrojmistrza.

Udając bardziej zainteresowanego, niż był w rzeczywistości, Wells wziął protezę do ręki delikatnie jak relikwię. Młodzieniec pozwolił mu na to niemal ze znużeniem, wyjaśniając tymczasem, że można ją odkręcić i przymocować w jej miejsce mnóstwo utensyliów o rozmaitych funkcjach, odjedzenia po zabijanie. Wells przypomniał sobie swojego wuja Williamsa, który stracił prawe ramię i do kikuta przykręcano mu hak, w porze obiadu szczęśliwie zastępowany widelcem. Jednak w porównaniu z wymyślną protezą, którą nosił Clayton, tamta od wuja wydawałaby się robótką wykonaną przez ucznia w szkole. Gdy skończył oglądanie, położył dłonie z powrotem na kolanach i obaj na nowo pograżyli się w kontemplowaniu krajobrazu, a w powozie zapadła cisza.

– To absurdalne uważać, że mam coś wspólnego z Marsjanami, ponieważ napisałem powieść, aby obwieścić ich inwazję! – odezwał się nagle Wells na poły do siebie.

Taka niespodziewana skarga zaskoczyła agenta.

– Równie absurdalne jak to, że ktoś odtworzyłby marsjańską inwazję, żeby zdobyć damę – odrzekł z uśmiechem.

– Cóż, wkrótce rozwiejemy wątpliwości – mruknął pisarz, wzruszając ramionami.

Clayton skinął głową i znów się zapatrzył, uznawszy sprawę za zamkniętą. Ale po chwili odchrząknął i ku zaskoczeniu Wellsa oznajmił:

– Tak w ogóle, czy mówiłem panu, że jestem wielkim wielbicielem pańskich dzieł? Wszystkie pana powieści przeczytałem z najwyższą przyjemnością.

Wells obojętnie kiwnął głową. Najmniej go teraz obchodziły pochwały nagle ujawnionego wielbiciela.

– Wie pan, że ja też piszę? – wyznał Clayton z przesadną skromnością początkujących. Znowu odkaslnął i dodał: – Czy mógłbym panu dać jakiś rękopis z prośbą o opinię? Wiele by to dla mnie znaczyło.

– Oczywiście, agencie Clayton. Przeczytam bardzo chętnie. Proszę mi go przysłać do mojej rezydencji na Marsie – odpowiedział Wells i skupił się na przesuwanym się za okienkiem krajobrazie.

XXI

Dwie mile ciszy później powóz wtoczył się na wspólne pastwiska Horsell. Po przebyciu mostu w Ottershaw skierowali się w stronę piaskami i zaczęli napotykać grupy ciekawskich, którzy przybywali z Woking czy Chertsey, aby zobaczyć to samo co oni. Owe niewielkie forpoczty zmieniły się jednak w prawdziwą falę ludzkiego przypływu, kiedy dotarli na miejsce domniemanego lądowania marsjańskiego cylindra. Wyglądając przez okienko pojazdu, Wells mógł się przekonać, że panuje tu absolutny zamęt. Na pastwisku kłębił się tłum gapiów, a rozstawieni tu i tam chłopcy sprzedający najświeższe wydania gazet swymi przenikliwie wysokimi okrzykami tworzyli stowarzyszenie chóralne, wyrzaskując tytuły niepozostawiające żadnych wątpliwości co do tego, co pojawiło się w Horsell: „Czy to najazd Marsjan?”, „Dziwne maszyny w Woking”, „Fikcja stała się prawdą”, „Nie jesteśmy sami!”, „Czy H.G. Wells to Marsjanin?”... Powóz zatrzymał się obok kilkunastu innych pojazdów zaparkowanych na skraju pastwiska; wśród nich wyróżniała się luksusowa landara, która nie uszła uwagi Wellsa. Clayton i on wysiedli i – torując sobie drogę w chaosie rowerzystów, wózków sprzedawców jabłek i stoisk z piwem imbirowym – podążyli w kierunku pióropusza dymu wskazującego położenie cylindra, ledwie widocznego w kłębowisku gapiów, którzy swoim poruszeniem sprawiali wrażenie zgromadzenia wielbicieli jakiegoś bożyszczka.

W miarę zmniejszania się odległości widzieli coraz lepiej, że maszyna jest częściowo zaryta w piasku. Siła uderzenia wyrwała w ziemi ogromną dziurę, rozrzucając na wszystkie strony piasek i kamienie oraz przypaliła okoliczne wrzosowiska, z których ku południowemu niebu pięły się jeszcze pełne wdzięku wstążki dymu. Przepchnęli się przez morze ciekawskich do pierwszego rzędu i Wells przekonał się na własne oczy, że Murray znakomicie wywiązał się z zadania. Rzekomy marsjański walec był niemal identyczny z tym opisanym przez niego w *Wojnie światów*: okrągły, ogromny popielaty kadłub, od którego odbijały się kamienie rzucone teraz przez dzieci siedzące na krawędzi wyrwy. I świat zareagował również tak, jak przewidział pisarz – wokół śmiertelnej maszyny ludzie roztoczyli atmosferę wiejskiego festynu. Niektórzy nawet robili sobie zdjęcia z cylindrem w tle, jakby to był jakiś zabytek.

– Zgodzi się pan ze mną, że wszystko odbywa się jak w pańskiej powieści – odezwał się Clayton, jakby mu czytał w myślach, otwartymi ramionami obejmując otaczający ich zamęt.

– Tak, odtworzenie jest idealne – przyznał Wells z podziwem. – Murray jest największym oszustem na świecie.

– Nie wątpię, panie Wells, nie wątpię. Udało mu się do tego stopnia, że nawet aura zgadza się z pańską powieścią: jest gorąco i nie wieje najmniejszy wietrzyk – rzucił ironicznie Clayton. Potem wyjął z kieszeni zegarek i dodał, udając rozczarowanie: – Czego nie zdołał dokonać, to zatrzymać naszych zegarków. Pamiętam, że w powieści stanęły, a jednocześnie wszystkie kompasy w okolicy wskazywały miejsce upadku cylindra.

– Pominąłbym ten ustęp, gdybym pisał na nowo... – mruknął Wells rozkojarzony.

Jego wzrok padł na ładnie ubraną dziewczynę, która patrzyła na walec nieco oddalona od tłumu. Cień parasolki niczym wdowi welon skrywał część twarzy, ale wzięwszy pod uwagę, że wśród obecnych nie było żadnej innej damy wyglądającej na dobrze sytuowaną, Wells pomyślał, że może to być ukochana Murraya, która przybyła tu w tamtym luksusowym powozie. Jego podejrzenia potwierdziły się, kiedy panna zaczęła

nerwowo kręcić parasolką. A więc ta kobieta istnieje. Murray nie wymyślił jej sobie, choć w liście nakreślił bardzo idylliczny portret ukochanej. Wells przyglądał się jej uważnie, podczas gdy obserwowała cylinder z powagą kontrastującą z beztroską wesołością wszystkich zebranych. I mógł jej tylko współczuć, ponieważ będzie musiała wyjść za Murraya, jeśli ten zdoła wyjąć Marsjanina z żelaznego kapelusza, który tutaj przywłókł. To by zaś znaczyło – rozumował – że on też jest gdzieś w okolicy, może nawet wtopiony w zbiegowisko, i cieszy się z podeksytowania, jakie wywołał swoją zabawką. Skorzystał z okazji, że Clayton poszedł porozmawiać z kapitanem policji, który starał się nie dopuścić ludzi zbyt blisko wyrwy, i szybko powiódł wzrokiem po tłumie, ale nic rozpoznał milionera. „Czy tak zmienił wygląd, że nie da się go zidentyfikować?” – zastanawiał się.

Wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę. Przypuszczalnie w tej chwili Jane wsiada do pociągu, który ją zabierze do Londynu, gdzie ma zostać na lunch z Garfieldami. Wells, zanim wyruszył z agentem, zostawił jej w kuchni liścik, wyjaśniając z grubsza sytuację. Napisał, żeby nie rezygnowała ze swoich planów, bo jemu zajmie to cały poranek. Najbezpieczniej będzie, jeżeli Jane wróci z Londynu wieczorem, mniej więcej wtedy co on, ponieważ Murray nie będzie zbyt długo zwlekał ze swoim następnym ruchem – wyjmie z cylindra Marsjanina czy to, co tam przygotował – a wówczas wyda się wreszcie, że wszystko to było jedną wielką hucpą, Clayton poprosi Wellsa o wybaczenie za swoje niedorzeczne podejrzenia, a on będzie mógł wrócić do Worcester Park i kontynuować swe życie, o ile Murray nie zamierza odegrać *Niewidzialnego człowieka*.

Po rozmowie z kapitanem policji, który najwidoczniej był oddelegowany do tej sprawy, Clayton wrócił do Wellsa, z rozdrażnieniem unikając ciekawskich spojrzeń.

– Kieruje się tutaj kilka kompanii wojska, panie Wells – poinformował. – Najpóźniej za godzinę cylinder będzie otoczony. Regiment z Cardiff rozwija szyki z Aldershot. A druga kompania dostała za zadanie ewakuować Horsell, na wszelki wypadek. Spodziewamy się również działek Maxima... Jak pan widzi, pańska powieść jest wspaniałym przewodnikiem do wyprzedzenia wypadków.

Wells parsknął zmęczony.

– Nie sądzę, by w tym przypadku była konieczna obecność wojska – odparł.

Clayton spojrział na niego rozbawiony.

– Wciąż jest pan przekonany, że to dzieło Gilliana Murraya, prawda?

– Oczywiście, że tak, agencie.

– Cóż, musiałyby się liczyć z bardzo szerokim budżetem na swoje zaloty, ponieważ kapitan Weisser słyszał pogłoski, że inne walce spadły na polu golfowym w Byfleet oraz koło Sevenoaks.

– Spadły? Ma pan wiadomości, że ktoś widział, jak leciały z nieba? Coś takiego chyba nie uszłoby uwadze żadnego obserwatorium, nie sądzi pan? – zapytał ironicznie Wells.

– Nie, nie mam o tym żadnych wiadomości – przyznał Clayton ze znużeniem.

– Można wobec tego powiedzieć, że równie dobrze ktoś mógł rozmieścić je tam, jak bierki szachowe, nie uważa pan?

Agent miał mu właśnie odpowiedzieć, gdy coś zwróciło jego uwagę.

– A cóż to jest, u diabła?! – wykrzyknął, patrząc ponad ramieniem Wellsa.

Obejrzawszy się też w stronę cylindra, pisarz odkrył przyczynę jego zaskoczenia. Z wnętrza wynurzyło się coś w rodzaju stalowej macki i kiwało się w powietrzu tam i z powrotem sinusoidalnym ruchem kobry. Zwieńczone było dziwnym urządzeniem wyglądającym na peryskop, ale mogła to być też przecież jakaś broń. Clayton zareagował błyskawicznie.

– Niech mi pan pomoże zabrać stąd tych idiotów! Najwyraźniej żaden z nich nie czytał pańskiej powieści.

Wells potrząsnął głową.

– Spokojnie, Clayton! – rzekł twardo, łapiąc go za ramię. – Zapewniam pana, że nic się nie stanie. Wszystko to jest zwyczajną farsą, niczym więcej, niech mnie pan posłucha. Murray chce nas jedynie nastraszyć. A jeśli mu się uda...

Agent nie odpowiedział. Utkwił spojrzenie w hipnotyzującym wahadłowym ruchu macki.

– Słyszysz mnie pan? To tylko farsa! – powtórzył pisarz, potrząsając nim. – To coś nie porazi nas żadnym snopem gorąca.

W tym momencie macka zakołysała się lekko, jakby coś brała na cel, a sekundę później z wieńczącego ją urządzenia wystrzelił gorący promień, czemu towarzyszył ogłuszający syk. Następnie w stronę kręgu gapiów otaczających walec poleciało coś w rodzaju strzyknięcia lawą i dosięgło czterech czy pięciu ludzi, którzy zanim spostrzegli, co się dzieje, zajęli się płomieniem. Spalenie trwało zaledwie kilka sekund. Potem zdawało się, że ktoś zdjął okrywającą ich warstwę ognia, zostawiając garstkę powykręcanych spopielałych rzeźb, które natychmiast rozsypały się, delikatnie oprószając trawę. Osłupiały tłum obserwował ten przerażający spektakl, po czym spojrzenia skierowały się na mackę, która znowu wykonywała ruch brania na cel. Ludzie jak jeden mąż rzucili się do ucieczki. Rozbiegli się, byle dalej od wyrwy, pędząc we wszystkich kierunkach jak kości rzucone na obrus ręką paniki.

Nie rozumiejąc, jak to możliwe, że Murray kazał otworzyć ogień do niewinnych osób, Wells biegł, aby znaleźć schronienie pod najbliższymi drzewami, rosnącymi w odległości jakichś stu metrów. Clayton, pędzący tuż obok, krzyknął do niego, żeby biec po skosie i dzięki temu nie być łatwym celem dla macki. Pisarz starał się postąpić według jego rady, popychany z boku na bok przez spanikowany tłum, a tymczasem strach rozlewał mu się po żołądku niczym lodowata woda. Wówczas dał się słyszeć drugi syk i natychmiast kolejny promień uderzył jakieś pięć metrów po lewej, wyrzucając kilka osób w powietrze jak w makabrycznej zabawie. Zanim Wells zdążył się osłonić, w twarz uderzyła go gruda ziemi, na tyle go oszalał, że stracił poczucie kierunku. Zatrzymał się w oszalałym biegu i rzucił okiem dokoła, próbując odzyskać orientację w terenie. Gdy dym się rozproszył, pisarz z przerażeniem ujrzał po swojej prawej stronie leżące bezładnie na trawie zwęglone zwłoki. Za nimi dostrzegł młodą kobietę, którą rozpoznał jako ukochaną Murraya. Pocisk minął dziewczynę tuż-tuż, ale dosięgła ją fala uderzeniowa. Panna klęczała na trawie zbyt wstrząśnięta, żeby nakazać nogom, aby ją podniosły.

Macka znów oscylowała w powietrzu, obierając sobie nowy cel, i Wells skorzystał z chwilowego spokoju między jednym wystrzałem a drugim, by pobiec na pomoc dziewczynie. Omijając zwęglone ciała, wyrwy i grudy ziemi, zdołał dotrzeć do niej, po czym wziął ją za ramiona, żeby podnieść. Pozwoliła mu na to bez oporu.

– Ja tego nie chciałam... Nie chciałam... Powiedziałam mu, że wystarczy... – Ikała wśród paniki.

– Wiem, proszę pani – uspokoił ją Wells. – Ale teraz najważniejsze, żeby się stąd wydostać.

Popędzili w stronę drzew, potykając się i słysząc, jak macka według własnego uznania strzela do przerażonego tłumu. Wells nie mógł się oprzeć pokusie i obejrzał się w biegu przez ramię. Zdjęty zgrozą patrzył, jak kilka promieni przecina powietrze i uderza w zostawione na skraju pastwiska powozy, tworząc prawdziwe piekło, z którego wynurzyły

się dwa ogarnięte płomieniami konie. Skazane na śmierć, ozdobione przez nią złotymi festonami, zwierzęta galopowały bez celu po trawie, wnosząc do ogólnego koszmaru nutę liryzmu.

Jak w jego powieści snop ognia palił pola w sposób raptowny i brutalny, siejąc śmierć i niszcząc wszystko z zimnym brakiem skrupułów. Wells widział zwęglone drzewa, dymiące, otwarte rany w ziemi, uciekających w popłochu ludzi, przewracane wozy, i zrozumiał, że oto nadszedł od tak dawna głoszony dzień Sądu Ostatecznego. Czy to możliwe, że Murray...? Nie zdążył jednak dokończyć w duchu pytania, ponieważ promień trafił w ziemię zaledwie kilka metrów po prawej od niego, przewracając ich oboje na trawę. Oszołomiony, ogłuszony i z przypaloną skórą, jakby go osmalił smoczy oddech, Wells poszukał wzrokiem dziewczyny i z ulgą znalazł ją obok siebie. Leżała z mocno zamkniętymi oczyma, choć nie wyglądało na to, żeby jej się stała jakaś krzywda. Jednak jeśli dłużej zostaną na ziemi, większe będzie ryzyko, że ich dosięgnie kolejny promień albo nawet strątuje spanikowany tłum. Zacerpnął powietrza, przygotowując się, żeby wstać i na nowo podjąć desperacką ucieczkę, kiedy usłyszał głos agenta Claytona.

– Promień zniszczył wszystkie powozy! – wołał tamten, śpiesząc w jego stronę. – Musimy uciekać przez pola! Za mną!

Wells pomógł dziewczynie się pozbierać i oboje pobiegli za agentem, lecz Clayton również najwyraźniej nie bardzo wiedział, gdzie się schronić, wzięwszy pod uwagę, że snopy gorąca mogły spalić dowolny cel. Po kilku minutach mozolnego przedzierania się przez przerażoną cizbę postanowił się rozejrzeć, aby ogarnąć sytuację. W ucieczce oddalili się od największego tłumy, ale też wciąż poruszali się w obrębie ograniczonego płomieniami prostokąta, w którym odbywała się masakra. Jeden z boków owej zaimprovizowanej ognistej klatki tworzyły domy ciągnące się w stronę stacji Woking, płonące teraz jak stos pogrzebowy. Drugim bokiem był rząd drzew rosnących wzdłuż drogi, również przekształcony w rozżarzoną kurtynę ognia. Jedynym sposobem wydostania się z tej pułapki była ucieczka przed siebie, na przelaj przez sąsiednie pastwiska w stronę Maybury, ale jeżeli się na nią zdecydują, staną się zbyt łatwym celem dla macki z cylindra. Wtem, zanim zdążyli coś postanowić, zza drzew wypadł luksusowy powóz z pompatyczną literą G wymalowaną na drzwiach. Pędził wprost na nich, a oni pełni niedowierzania patrzyli, jak się zbliża, zastanawiając się, kto, oprócz szaleńca, mógłby skierować pojazd ku tej rzezi. Woźnica zatrzymał pojazd tuż przed nimi i ktoś otworzył drzwi kabiny. Zdumieni ujrzeni, jak jakiś ogromny mężczyzna wyciąga rękę do dziewczyny.

– Jedź ze mną, jeżeli chcesz przeżyć! – zawołał.

Lecz ona się nie ruszyła. Stała wrośnięta w ziemię, nie rozumiejąc, co się dzieje. Niewiele myśląc, Clayton wepchnął ją do powozu i wsiadł za nią. Wells wspiał się za nimi, słysząc już za plecami odgłos kolejnego promienia. Deszcz kamieni i piasku wstrząsnął brutalnie pojazdem. Szyba okienka roztrzaskała się od wybuchu, a odłamki szkła posypały się po plecach pisarza, który niechcący posłużył pozostałym pasażerom jako osłona. Gdy przebrzmiały echa eksplozji, Wells wstał w miarę możliwości, oddzielając się od sterty ciał towarzyszy, którzy również zaczęli się podnosić, nie bardzo nawet wiedząc, czy są żywi, czy martwi. Przez resztki okienka pisarz spostrzegł wyrwę, jaką wystrzał zrobił w ziemi tuż obok powozu, który w tej chwili znów ruszył z miejsca. Wells, podobnie jak pozostali, opadł na najbliższe siedzenie, wdzięczny losowi, że żaden kamień nie trafił woźnicy. Usłyszał, jak bat smaga wściekle końskie grzbiety, aby zmusić zwierzęta do większego wysiłku. I wtedy rozpoznał człowieka, który ich uratował, a który

teraz siedział naprzeciwko niego. Patrzył na niego w krańcowym zdumieniu. Schudł pokaźnie, ale to był on, bez żadnej wątpliwości. Pan Czasu, osoba, której nienawidził najbardziej na świecie.

– George... – przywitał go Murray lekkim pochyleniem głowy i zmieszanym uśmiechem kogoś, kto spotyka na zabawie swego największego wroga.

– Przekłety sukinsynu! – wrzasnął Wells, rzucając się na milionera i próbując go złapać za szyję. – Jak śmiałeś?

– To nie ja, George! – bronił się Murray. – To nie moje dzieło!

– Co się tu dzieje, do diabła? – wykrzyknął Clayton, próbując ich rozdzielić.

– Nie poznaje go pan? – zapytał pisarz, dysząc. – To Gilliam Murray!

– Gilliam Murray? – wymamrotała dziewczyna. Siedząc w kąci powozu, przestraszona patrzyła na zaimprovizowaną karczemną burdę mężczyzn.

– Mogę to pani wyjaśnić, Emmo... – usprawiedliwił się Murray z zakłopotaniem.

– Będziesz nam musiał wyjaśnić wiele rzeczy, przekłety szaleńcu! – ciskał się Wells, próbując się wyrwać Claytonowi.

– Niech się pan uspokoi, panie Wells – polecił agent. Wyjął zza pasa pistolet i wycelował w pisarza, tak że lufa, z powodu ciasnoty, znalazła się pod jego nosem. – I wróci na swoje miejsce, z łaski swojej.

Wells usiadł niechętnie.

– Dobrze, a teraz uspokojmy się wszyscy – rzekł Clayton. Też zajął swoje miejsce i starał się opanować sytuację, zwracając się do zebranych rzeczowym tonem: – Jestem Cornelius Clayton, agent specjalny Scotland Yardu. – Następnie z uprzejmym uśmiechem zwrócił się do Murraya: – A pan, jak przypuszczam, to Gilliam Murray, Pan Czasu. Oficjalnie od dwóch lat nieżyjący.

– Tak, to ja – odrzekł Murray rozdrażniony. – Wróciłem do życia, jak pan widzi.

– Dobrze, porozmawiamy o tym później – stwierdził Clayton, próbując trzymać się prosto mimo podskoków pojazdu. – Teraz musimy rozstrzygnąć coś pilniejszego. Proszę mi powiedzieć, czy to pan jest odpowiedzialny za to wszystko?

– Nie, oczywiście, że nie! – odparł milioner. – Nie jestem żadnym zabójcą!

Clayton poprosił go o spokój gestem ręki.

– Dobrze, już dobrze. Lecz biorąc pod uwagę, że mam pański list skierowany do pana Wellsa, siedzącego po mojej lewej stronie, list, w którym wyjaśnia pan, że dokładnie dziś ma odtworzyć marsjańską inwazję z jego powieści, aby zdobyć kobietę, którą kocha, a którą przypuszczalnie jest pani, panno...

– Harlow... – uzupełniła cichutko dziewczyna. – Nazywam się Emma Harlow.

– Miło mi panią poznać, panno Harlow. – Clayton uśmiechnął się po dżentelmeńsku, dotykając dłonią kapelusza. Potem znów podejrzliwie spojrzął na milionera. – Więc jak, panie Murray, czy to pan napisał ten list?

– Tak, do cholery! – przyznał Gilliam. – I wszystko, co w nim zawarłem, jest prawdą. Poprosiłem o pomoc pana Wellsa, ale nie doczekałem się odpowiedzi, jak sam to teraz podkreśla. Wobec tego próbowałem odtworzyć inwazję własnymi siłami, ale nie wymyśliłem nic wiarygodnego i w końcu się poddałem. Przyjechałem tu dzisiaj, bo przeczytałem w gazetach, że komuś się to udało.

– Chce pan, żebyśmy uwierzyli w to, że ludzie nie mają nic innego do roboty, jak tylko odtwarzać inwazję z mojej powieści...? – przerwał mu zirytowany Wells.

– Niech pan będzie cicho, panie Wells, proszę – wtrącił Clayton. – Bo inaczej będę zmuszony pana ogłuszyć.

Pisarz spojrzał na niego osłupiały.

– Jak mógłbym narazić na niebezpieczeństwo życie panny Harlow? – zawołał Murray z pełnym desperacji prychnięciem.

– Aby jej przyjść na ratunek, przypuszczam, jak też pan w końcu zrobił – rzucił Wells z obrzydzeniem. – Kto wie, do czego zdolny jest umysł tak spaczony jak pański.

– Nigdy nie naraziłbym życia panny Harlow na niebezpieczeństwo! – wykrzyknął urażony Murray.

Clayton ponownie poprosił o spokój, podnosząc swą sztuczną rękę.

– Cóż – rzekł – jednak na chwilę obecną, dopóki nie sprawdzimy, co się znajduje w cylindrze, obawiam się, że jest pan aresztowany, panie Murray. I pan też, panie Wells.

– Co? – zaprotestował pisarz.

– Przykro mi, panowie, ale sytuacja jest następująca: dziwne urządzenie zabiło dziesiątki osób, jak pan sam napisał rok temu, panie Wells. I mamy list podpisany przez pana, panie Murray, w którym zwierza się pan, że zamierza przełożyć na rzeczywistość inwazję opisaną przez pana Wellsa. Z czymkolwiek mamy do czynienia, jeden z was dwóch powinien udzielić nam pewnych wyjaśnień. – Przerwał na chwilę, aby obaj przyswoili to, co właśnie powiedział. – A teraz, panie Murray, niech pan z łaski swojej poleci swojemu woźnicy, żeby nas zawiózł na stację kolejową w Woking. Muszę zatelegrafować do moich przełożonych.

Milioner niechętnie uchylił klapę w dachu i wydał polecenie.

– Doskonale – ucieszył się Clayton. – Gdy tylko przyjedziemy, powiadomię ich, że mam ze sobą dwóch głównych podejrzanych. A pani zapewne zechce zatelegrafować do swojej rodziny, aby poinformować bliskich, że nic się pani nie stało. Ani się nie stanie. – Posłał jej uśmiech, który chyba miał być uwodzicielski, ale wszyscy odebrali go raczej jako złowieszczy. – Zapewniam panią, że znalazła się pani w najlepszych rękach.

Nikt nie przerwał ciszy, jaka zapadła w powozie, podczas gdy ten mijał wiadukt w Maybury, zostawiając za sobą szeregowe domy znane jako Oriental Terrace, i z równomiernym turkotem kierował się na stację w Woking. Tymczasem zmierzch zasnuwał zasłony dnia i pogrążał świat w fałszywym spokoju. Kto mógł przypuszczać, że kilka mil dalej Marsjanie przystąpili do podboju planety?

XXII

Słabość, wycieńczenie, strach przed nadciągającą śmiercią, napięcie, obawa o Jane, oszołomienie... Niezależnie od tego, czy za tym wszystkim stał Murray, uciekający przed marsjańskim walcem Wells czuł się niczym bohater własnej powieści. Teraz, obserwując przez okienko powozu powoli zapadającą spokojną letnią noc, czując, jak wietrzyk mierzwi mu włosy, i nie widząc najmniejszego śladu Marsjan, miał jednak wrażenie, że wszystko, co wydarzyło się kilka minut wcześniej, było zaledwie snem. W książce nigdy nie użyłby tak banalnego porównania, lecz tak właśnie się czuł. Życie jest sztuką potwierdzania banałów, pomyślał. Wkrótce do poczucia nierealności, które nim owładnęło, gdy turkoczący szaleńczo powóz pędził na stację w Woking, doszło drugie, znacznie bardziej znajome: że znalazł się poza swoim ciałem i patrzy na nie oraz na jego otoczenie z zewnątrz, z tego nieuchwytnego miejsca na skraju czasoprzestrzeni, z drugiej strony tej samej rzeczywistości, która wkrótce straci całą swą autentyczność i cały dramatyzm, a odzyskać je pozwoli jedynie koncentracja i prawdopodobnie fizyczne cierpienie, choć to ostatnie pozostawało dotąd jedynie w sferze domysłów.

Tego brutalnego wyrwania z własnego życia doświadczał regularnie i w najróżniejszych momentach, a ponieważ nie miał pojęcia, czy przydarza się ono także jego bliźnim, bo w rozmowach ten temat nigdy nie wypływał, postanowił obdarzyć tą cechą bohatera swej ostatniej powieści w potajemnej nadziei, że jakiś czytelnik, nie wiadomo jakimi słowami i w jakich okolicznościach, wyzna mu, iż doznaje podobnego uczucia bycia wyrzuconym z własnego życia, które w takich momentach zdaje mu się mirażem, a przynajmniej czymś wysoce niepewnym. By wrócić do rzeczywistości i móc na nowo postrzegać ją jako namacalną, Wells obrał najszybszą z możliwych metod: wbił sobie paznokcie we wnętrze dłoni. Lepsze to, niż prosić Claytona, żeby mu strzelił w stopę. Ból go ocucił. Następnym krokiem było wbicie paznokci w obicie siedzenia. Dopiero potwierdziwszy fizyczność zarówno świata, jak i siebie samego, zdołał pokonać dręczące poczucie odrealnienia. To wszystko działo się naprawdę i przydarzało się właśnie jemu: jechał powozem pełnym ludzi, uciekając przed Marsjanami, i lada chwila mógł zginąć, czego za wszelką cenę należało uniknąć, choć w tym stanie zaćmienia umysłowego nie całkiem pojmował po co, tak jak nie pojmował, czego konkretnie końcem byłaby śmierć.

Nim jednak dotarli do rozjazdu, by obrać drogę wiodącą ku Woking, zdołał w pełni wrócić do rzeczywistości i mógł trzeźwo ocenić sytuację. Podobnie jak pozostałych pasażerów, zdumiał go fakt, że na stacji kolejowej życie toczy się zwyczajnym rytmem. Ludzie przyjeżdżali i wyjeżdżali jakby nigdy nic, a lokomotywy spokojnie niczym juczne zwierzęta ciągnęły swoje wagony. Oniemiali pasażerowie powozu patrzeli, jak nadjeżdża skład z północy, wysadza ludzi na peron, zabiera innych i odjeżdża, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Tylko leciutki czerwonawy poblask barwił horyzont, a gwiazdy przyćmiewał cienki welon dymu – z tej odległości groza wojny jawiła się jako zabawna dekoracja. Jeśli dotarła tu wieść o masakrze, mieszkańcy najwyraźniej niezbyt się nią przejęli. Prawdopodobnie ślepo wierzyli, że potężna brytyjska armia natychmiast pomaszeruje przyspieszonym defiladowym krokiem w miejsce, w którym wylądowały cylindry, i w ciągu godzin zrobi miazgę z Marsjan, tak jak z każdego innego wroga, który ośmielił się zagrozić imperium.

– Nie ma śladów paniki – mruknął Clayton, rozglądając się bacznie. – I dobrze.

Dzięki temu możemy się skupić na kontynuacji naszego planu.

Dyskretnie trzymając zatrzymanych na muszce, poprowadził ich do biura stacji. Tam przedstawił się zawiadowcy i ze stoickim spokojem pokrótce zreferował mu sytuację, po czym poprosił o wypożyczenie niewielkiego magazynu, by móc w nim przechować podejrzanych.

– Postarajcie się zachowywać jak dżentelmeni – rzekł, zamykając tam Wellsa i Murraya, po czym oddalił się w towarzystwie dziewczyny, by zatelegrafować do przełożonych.

Aresztanci z konieczności tkwili w pozycji stojącej w pomieszczeniu wypełnionym stosami skrzyń, prowiantu i narzędzi, lecz pozbawionym czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za siedzenie. W ciągu następnych minut ograniczyli się więc do spoglądania na siebie z urazą, lecz nade wszystko z wyrazem najwyższej niezręczności, jako że w skromnym pomieszczeniu nie znajdowali żadnego pretekstu do odwrócenia wzroku.

– To nie moja sprawa, George – rzeki w końcu Murray niemal błagalnym tonem, choć Wells nie wiedział, czyjego adwersarz chce jedynie nawiązać rozmowę, czy też jest przerażony niemożnością dowiedzenia swej niewinności.

Jakkolwiek było, pisarz skrzywił się sceptycznie, niezadowolony, że sytuacja zmusza go do konwersowania z milionerem, do którego od czasu ich pierwszego spotkania czuł jedynie narastającą nienawiść. Początkowo przez wiele miesięcy marzył o tym, by życie dało mu szansę wyładowania na Murrayu zgromadzonej furii, i musiał przyznać, że w jednym ze swych ulubionych scenariuszy czynił to w pomieszczeniu podobnym do tego, ciasnym, odciętym od świata i niedającym przeciwnikowi najmniejszej nadziei na uniknięcie awantury, którą zamierzał mu zgotować Wells. Czas jednak schłodził jego nienawiść i przysypał ją szronem pogardy, a teraz było za późno, by wracać do tamtej historii, zwłaszcza że znaleźli się w sytuacji niewygodnej i niejako wymuszającej odłożenie na bok prywatnych animozji. Postanowił zatem skoncentrować się na terażniejszości i dociec, co naprawdę się wydarzyło.

– Chcesz mi wmówić, że mamy do czynienia z prawdziwą inwazją z Marsa? – zapytał lodowato.

Murray prychnął z konsternacją.

– Nie mam zielonego pojęcia, z czym mamy do czynienia. To jakieś szaleństwo! – wykrzyknął milioner i pod wpływem wzburzenia próbował chodzić w kółko, na co jednak nie pozwoliła mu ograniczona przestrzeń. – To się nie może dziać!

– Ale się dzieje, Gilliamie. Inwazja, którą opisałem w powieści, naprawdę nastąpiła, tak jak sobie życzyłeś. Pamiętam pewien podpisany przez ciebie list, w którym wręcz prosisz mnie o pomoc w przeprowadzeniu tej akcji – odparł bez cienia litości Wells.

– Czyżbym istotnie tam napisał, że zamierzam uśmiercić setki osób? – zapytał zdesperowany milioner. – Wiesz doskonale, że nie, George! Chciałem jedynie zbudować walec, z którego wyłoni się ta twoja inteligentna ośmiornica, i trafić na łamy paru gazet, by zdobyć miłość najcudowniejszej kobiety na świecie! Uwierz mi, George! Nigdy nie zaryzykowałbym zdrowia Emmy! Nigdy! – Grzmotnął pięścią w jedną ze skrzyń, posyłając w powietrze drzazgi. Wells ponownie doszedł do wniosku, że denerwowanie go w takiej chwili nie byłoby najlepszym pomysłem. Na szczęście zmasakrowanie skrzyni najwyraźniej uspokoiło Murraya, bo ten wsparł się obiema dłońmi o jej resztki i ukrył głowę między rozłożystymi barkami. – Kocham ją, George – szeptał. – Kocham ją bardziej niż siebie samego...

Wells wiercił się niespokojnie, bo na nic więcej nie pozwalała mu wąska jak trumna

klitka. Cała ta historia jawiła mu się równie zuchwałą, co idiotyczną. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę tkwi tu uwięziony w towarzystwie Murraya, który opowiada mu o miłości w jakichś dziecinnych słowach, podczas gdy na zewnątrz ktoś morduje niewinnych ludzi w oparciu o plan zaczerpnięty z jego powieści. I wówczas, z pewnym zażenowaniem przyglądając się milionerowi wyplakującemu swoją komiczną litanie miłosną, Wells pojął, że nie może dłużej ignorować oczywistości: choćby nie wiadomo jak pragnął zrzucić winę na Murraya, ten nie miał z inwazją nic wspólnego. Radosne pojawienie się walca na oczach świadków, a w szczególności na oczach dziewczyny, którą pragnął zdobyć milioner, pograżało go w sposób zbyt oczywisty, by mógł sobie na to pozwolić. Pomyślawszy to, Wells ku swemu niebotycznemu zdumieniu poczuł, jak zalewa go fala współczucia dla człowieka, którego od kilku lat darzył zapiekłą nienawiścią. Współczucia! On, H.G. Wells, współczuł Gilliamowi Murrayowi! Tak, współczuł, bo olbrzym stojący obok niego nie tylko potrzebował obrony przed fałszywymi oskarżeniami, ale w dodatku kiedyś musiał przyznać przed dziewczyną, że zawiódł i że nie jest godzien jej miłości. Dopóki tego nie zrobił, w oczach Emmy był zarówno sprawcą masakry, jak i tchórzem, który dla ratowania życia ucieka z miejsca rzezi w towarzystwie cwaniaka z mechaniczną dłonią i pisarza przypadkowo będącego autorem *Wojny światów*.

Tak, trudno się dziwić, że Wells współczuł Murrayowi. Lecz to samo należało się dziewczynie – być może nawet z identycznego powodu. A także jemu samemu. Z powodu absurdalnej i wysoce niepokojącej sytuacji, w jaką został wplątany, lecz przede wszystkim z racji tego, że jego uczucia do Jane nie wykraczały poza konwencjonalną troskę, jakże odległą od rozpacz, która doprowadzała Murraya do szaleństwa, .lane, jego Jane. Nie miał pojęcia, czy coś jej grozi, ale na razie wolał ją sobie wyobrazić całą i zdrową w Londynie, w domu państwa Garfieldów, którzy z pewnością pocieszali ją teraz i uspokajali, jeśli do metropolii dotarła już wieść o tym, co wydarzyło się w Horsell.

Westchnął. Nie powinien się zadrećzać tymi myślami. Jego życie było w niebezpieczeństwie, a on oddawał się jałowym rozważaniom, zamiast skoncentrować się na dociekaniach, co się tu, u diabła, dzieje, oraz szukaniu sposobu na pozostanie przy życiu przynajmniej do momentu, w którym rozstrzygną się losy ludzkości, a najlepiej jeszcze dłużej.

– W porządku, Gilliamie – rzekł z wymuszoną łagodnością. – Załóżmy, że nie masz z tą inwazją nic wspólnego. Kto w takim razie może się za nią kryć? Niemcy?

Milioner przyglądał mu się zdumiony.

– Niemcy? Kto wie – zareagował w końcu, usiłując się uspokoić i nadać swemu tonowi pewność. – Trudno mi jednak uwierzyć, że jakiegokolwiek państwo mogłoby dysponować technologią umożliwiającą stworzenie czegoś tak skomplikowanego jak ten snop ognia, który omal nas nie zmiotł z powierzchni Ziemi.

– Tak sądzisz? Mnie się wydaje, że mogli w sekrecie opracować podobny wynalazek – mruknął Wells.

– Hm, kto wie... – Milioner powoli odzyskiwał rezon. – Tak czy owak, George, nie ma wątpliwości, że ci, którzy stoją za atakiem, wzorowali się na twojej powieści.

Niestety, pomyślał pisarz. Wygląd walców, miejsce, w którym się pojawiły, snop gorąca... Wszystko mniej więcej zgadzało się z jego wizją. W książce kolejnym etapem była budowa latających maszyn w kształcie płaszczyki, które polecą w stronę Londynu z zamiarem jego zniszczenia. Być może właśnie w tej chwili na opustoszałych pastwiskach Horsell, pośród zwęglonych zwłok i dymiących kikutów drzew, rozbrzmiewał niesłyszalny dla nikogo stukot niestrudzonego młota wykuwającego te pojazdy.

Chwilowo jednak nie dało się dociec, kto odpowiada za całą maskaradę, a biorąc pod uwagę fakt, że żaden Marsjanin nie wychylił jeszcze z walca swej galaretowatej głowy, mogli jedynie stwierdzić, iż mają do czynienia z zabójczymi urządzeniami, którymi może kierować ktokolwiek... a nawet nikt, pomyślał nagle Wells, zadając sobie pytanie, czy byłoby możliwe sterowanie nimi na odległość za pomocą jakichś sygnałów. Każde podejrzenie należało traktować poważnie.

Zaskoczyło go, że nie odczuwa strachu, choć mogło to wynikać z faktu, że nie za bardzo jeszcze wiedział, czego konkretnie powinien się obawiać. Ciekawe, czy pozostanie tak spokojny, gdy napastnicy wykonają na planszy drugi ruch i sytuacja przybierze konkretne oblicze. Dopiero wtedy pozna odpowiedź na pytanie, czy wewnątrz niego kryje się bohater czy tchórz.

Z rozmyślań wyrwał go dobiegający z zewnątrz gwar. Obaj z Murrayem unieśli głowy ku okienku, próbując odgadnąć, co się dzieje, lecz nie zdołali wyłowić z kakofonii głosów nic konkretnego. Jasne było jedynie, że na spokojnej dotąd stacji zapanowało poruszenie. Ludzie zdawali się biegać to w jedną, to w drugą stronę, i choć nie dało się wyczuć, czy są przestraszeni, jasne było, że dzieje się coś niezwykłego. Wells i Murray spoglądali na siebie z powagą, lecz żaden nie zaryzykował wyrażenia stanowiska. W ciągu następnych minut tumult zdawał się narastać: zewsząd dobiegały trzaski zamykanych drzwi, jakieś przedmioty spadały na podłogę, ciągnięto pakunki, a od czasu do czasu ktoś wydawał niezrozumiały rozkaz lub rzucał rozpaczliwe przekleństwo. Aresztanci byli już nieco podenerwowani, gdy nagle drzwi ich prowizorycznej celi stanęły otworem, a do środka weszli agent Clayton i panna Harlow w stanie ekscytacji, która zdawała się nie wróżyć niczego dobrego.

– Cieszę się, że widzę panów całych i zdrowych. – Agent uśmiechnął się ironicznie, pospiesznie zamykając za sobą drzwi, jakby tumult na zewnątrz był czymś wstydliwym. – Mam dwie wiadomości: dobrą i złą.

Spojrzeni na niego wyczekująco.

– Dobra jest taka, że ci, którzy to zorganizowali, nie podziwiają pańskiej powieści tak bardzo, jak sądziliśmy, panie Wells – rzekł Clayton, przyglądając się pisarzowi z przesadnym zaciekawieniem. – Wygląda na to, że Marsjanie nie zbudowali urządzeń w kształcie płaszczy, by zaatakować nas z powietrza. Pamiętam, że w książce wyjaśniał pan, iż latają one dzięki prądom magnetycznym, które wywołują...

– Tak, tak – przerwał mu Wells. – Proszę mówić dalej.

– Cóż, w każdym razie był to naprawdę genialny system – mruknął niby do siebie agent, po czym, zwracając się do rozmówców, dokończył lakonicznie: – Na razie jednak najwyraźniej nieosiągalny, bo tak zwani Marsjanie poruszają się pieszo.

– Pieszko? – zdziwił się pisarz.

– Tak jest. Według moich informatorów tym przeklętym walcom wyrosły nogi... owszem, długie, cienkie ptasie łapki wysokie na jakichś dwadzieścia metrów... Przemieszczając się na nich i deptając sosny, stodoły i wszystko, co napotykają na drodze, nie przestają strzelać swoimi zabójczymi promieniami do przerażonych tłumów. – Agent robił długie, nieznośne przerwy, jakby sam dopiero próbował ogarnąć informacje, które im przekazuje. – Być może podobieństwo początku pańskiej książki i początku inwazji jednak jest przypadkowe... – Znów zamilkł raptownie, w zamyśleniu to ściągając, to wydymając wargi. – W każdym razie – ciągnął dalej pospiesznie – obecnie wypadki przebiegają inaczej, niż je pan opisał, to zaś podaje w wątpliwość pański udział w zdarzeniach.

– Miło mi to słyszeć – mruknął oschle Wells.

– To samo tyczy się pana, panie Murray – zwrócił się do milionera agent. – Jak już wspomniałem, stoimy w obliczu prawdziwej inwazji. Wszędzie pełno jest tych trójnogów i zdaje mi się, że mimo pańskich zasobów i słusznego mniemania, iż panna Harlow – uśmiechnął się do Emmy – nie zadowoli się byle czym, skala przedsięwzięcia przekracza nieco pański budżet. Tak czy owak obawiam się, że muszą panowie pozostać w areszcie niezależnie od tego, co ja na ten temat sądzę. Moi przełożeni, a to oni tu wydają rozkazy, wolą bowiem dmuchać na zimne. Ja mogę jedynie...

– A jaka jest ta zła wiadomość? – przerwał agentowi Murray, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego usprawiedliwienia.

Clayton wbił w niego skonsternowane spojrzenie.

– Zła wiadomość? A, jasne. Zła wiadomość jest taka, że jeden z trójnogów z Horsell zmierza w tym kierunku, niszcząc wszystko na swojej drodze – rzekł.

Wells i Murray zerknęli na siebie z przestraszeniem.

– I co z tym zrobimy? – zapytał milioner.

Agent Clayton uniósł gwałtownie rękę, jakby prosił o ciszę, zacisnął usta, zamknął oczy i chyba nawet pochylił się nieco do przodu. Ten przesadny, niemal teatralny gest zrodził w umyśle Wellsa pytanie, czy młodzieniec rozważa teraz wachlarz możliwości, czy po prostu cisną go buty. Ostatecznie jednak agent podniósł szybko głowę, jakby wyciągał ją spod wody, i oznajmił:

– Już wiem. Udamy się do Londynu, do siedziby Scotland Yardu. Tak, tak właśnie zrobimy. Nie tylko dlatego, że tam muszę panów przesłuchać, lecz także dlatego, że biorąc pod uwagę obrót spraw, prawdopodobnie za parę godzin Londyn stanie się najbezpieczniejszym miejscem w Anglii. Moi przełożeni donoszą, że wojsko otacza stolicę kordonem, przygotowując się do odparcia wroga. Musimy tam dotrzeć, nim kordon się zamknie. Pozostawanie poza jego obrębem byłoby najgorszą rzeczą, jaką moglibyśmy uczynić, bo kilka batalionów już idzie na spotkanie z walcami i w takiej sytuacji wkrótce znaleźlibyśmy się w ogniu bitwy.

– Brzmi rozsądnie – stwierdził Wells, nagle przypominając sobie o Jane.

– Rozsądnie? – oburzył się Murray. – Rozsądnie jest schronić się w mieście, które Marsjanie chcą zrównać z ziemią?

– Tak, Gilliamie – odrzekł pisarz. – Jeśli ruszymy w przeciwną stronę, z całą pewnością...

– Nie zapraszałem panów do dyskusji – przerwał im Clayton. – Poinformowałem jedynie, co zrobimy, czy się to panom podoba czy nie.

– No więc mnie się nie podoba, drogi panie! – uniósł się gniewem Murray. – Ani ja, ani panna Harlow nie zamie...

Przeszkodził mu grzmot, od którego klitka aż się zatrzęsła.

– A to co, u licha? – zapytał przerażony.

– Ten ich snop ognia – odparł pośpiesznie Wells – i to gdzieś niedaleko.

– Boże! – wykrzyknęła dziewczyna, wierząc się nerwowo.

– Proszę o spokój – zaapelował Clayton. – Jak już wspomniałem panie Harlow, znajdujecie się w najlepszych z możliwych rąk. W rękach agenta Corneliusa Lewisa Claytona z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu, wyszkolonego do radzenia sobie z takimi sytuacjami.

– Z inwazją z Marsa? – wymamrotała dziewczyna.

– Owszem, choć trudno w to uwierzyć – odparł Clayton, ledwie na nią zerkając. –

Zaatakowanie naszej planety przez Marsjan czy inne istoty pozaziemskie mieści się w granicach prawdopodobieństwa, więc mój wydział posiada procedury na taką okoliczność.

Jego wywód przerwał ogłuszający grzmot, którego echo rozbrzmiewało w powietrzu przez kilka następnych sekund. Zebrani popatrzeni po sobie z przestachem. Tym razem dźwięk zdawał się dochodzić z bardzo bliska.

– Jest pan pewien? – zapytał z kpiącym uśmiechem milioner.

– Proszę się nie obawiać, panie Murray – odparł z powagą agent.

– Czy jednak niezbyt pochopnie uznajemy ich za Marsjan? – wtrącił Wells. – Może to ziemskie maszyny, wyprodukowane, dajmy na to, przez Niemców?

Clayton całkowicie zignorował jego słowa, popadając w jedno z tych zamyśleń, do których zdawał się tak predysponowany. Tym razem utkwiał wzrok w suficie klitki.

– Zrobimy tak – rzekł po kilku sekundach, wracając do rzeczywistości: – Weźmiemy powóz i pojedziemy do Londynu najszybciej i najostrożniej jak się da, starając się nie przyciągać uwagi i unikać kontaktu z walcami, które napotkamy po drodze, o ile oczywiście coś tak nieprawdopodobnego miałoby się nam przydarzyć. Być może będziemy musieli zakamuflować powóz... Ale to się dopiero okaże. Inwazja jest kwestią godzin. Nie – zaprzeczył samemu sobie, potrząsając energicznie głową. – Potrwa dłużej, jeśli chodzi o całą planetę. Myślą panowie, że to się dzieje wszędzie? Że to początek zagłady cywilizacji? Pewnie wkrótce się dowiemy... Na razie są tu, w naszej ojczyźnie. Najwyraźniej rozumieją strategiczne znaczenie Wysp Brytyjskich. My jednak jesteśmy przygotowani! Jasne, że tak! – wykrzyknął, zwracając się do pozostałych i przywołując na twarz uspokajający uśmiech. – Nie możemy ulegać panice. Wszystko raz–dwa się skończy, oczywiście po naszej myśli. W Londynie na pewno już wdrażają procedury obronne. W tej chwili znajdujemy się w strefie, która nie podlega ochronie mojego oddziału, ale pod moimi skrzydłami nie mają państwo najmniejszych powodów do obaw. Daję słowo, że dostarczę państwa do Londynu całych i zdrowych.

To rzekłszy, przewrócił oczami i osunął się bezwładnie na podłogę. Pozostali wymienili zdumione spojrzenia, po czym z ciekawością przyjrzeni się zwiniętemu w kłębek ciału agenta, nie wiedząc, czy to część planu, sztuczka czy zwykłe omdlenie.

– Co jest? – wykrzyknął w końcu Murray, widząc, że Clayton nie wstaje.

Już miał podejść i go kopnąć, lecz Wells pospiesznie przykląkł przy agencie i szukał pulsu.

– Żyje – stwierdził.

– Ale co mu się stało? – zapytał zdenerwowany milioner. – Zasnął czy co?

– Wygląda na to, że stracił przytomność – odparł Wells, przypominając sobie słowa Servissa. – To może być spadek poziomu cukru, choć skłaniałbym się raczej...

– „W najlepszych z możliwych rąk”? – przerwał mu Murray, unosząc zdesperowaną twarz ku niebu. – Musiał mieć na myśli tę sztuczną!

Wells wstał i z niezadowoleniem przyglądał się leżącemu na ziemi policjantowi.

– Co teraz? – słabiutkim głosem zapytała dziewczyna.

– Sądzę, że najlepiej będzie zrealizować plan udania się do Londynu – zasugerował Wells, pragnący jak najszybciej odnaleźć Jane.

– George – zaprotestował Murray – nie mam zamiaru zawozić panny Harlow do Londynu.

– Za pozwoleniem, panie Gilmore, Murray, czy jak tam się pan naprawdę nazywa, wolałabym sama decydować o tym, dokąd pojedę – rzekła chłodno dziewczyna. – A tak

się składa, że chcę jechać do Londynu.

– Co? Ale dlaczego, Emmo? – przeraził się Murray. – To jakby z własnej woli udać się w paszczę lwa!

– Dlatego że wszystko trzeba robić we właściwy sposób – odparła Emma, odzyskując arogancką pewność siebie, którą demonstrowała w salonach swego domu i podczas spacerów po Central Parku, a która teraz wydała się Murrayowi zupełnie nie na miejscu. Dziewczyna najwyraźniej kompletnie zapomniała, w jakim położeniu się znajdują. Już miał okazać niezadowolenie, lecz ona spiorunowała go wzrokiem i kontynuowała: – Jako że nie wpadł pan na pomysł zapytania mnie, gdzie nocuję, proszę pozwolić sobie poinformować, że właśnie tam. A konkretnie w domu mojej ciotki Dorothy w Southwark, skąd rankiem wyjechałam, nikogo nie uprzedzając, by obejrzeć pański żaloszny spektakl, przyjąc do wiadomości pańską gorzką porażkę, a potem wrócić na obiad do ciotki, która nie zdążyłaby zauważyć mojego zniknięcia. Niestety wyszło inaczej – mruknęła, rozglądając się po magazynie z konsternacją osoby, która zbudziła się z głębokiego snu. Szybko jednak wzięła się w garść i ciągnęła zdecydowanym tonem: – Jeśli wieść o inwazji dotarła do stolicy, biedna ciotka, która z pewnością już odkryła moją nieobecność, odchodzi od zmysłów, więc muszę czym prędzej ją uspokoić. Poza tym zostawiłam tam cały swój dobytek, wszystkie kuferki z sukniami, a także dwie służące, które przyjechały ze mną z Nowego Jorku i za których bezpieczeństwo ponoszę odpowiedzialność... Czyżby pan sądził, że ucieknę gdzieś z panem tak, jak jestem, zapominając o bożym świecie?

– Emmo, proszę mnie posłuchać. – Murray odezwał się ze źle skrywanym zniecierpliwieniem, jak ktoś, kto usiłuje przemówić do rozumu rozkapryszonemu dziecku. – Zaatakowała nas armia pojazdów niewiadomego pochodzenia, które chcą nas zetrzeć w proch, i obawiam się, że żadnego z nich nie będzie zbyt obchodzić pani ubiór, gdy wyceluje w panią swój snop ognia. Nie sądzi pani, że w tej sytuacji kuferki są najmniejszym zmartwieniem?

– Nie martwię się wyłącznie o kuferki! Czy z całej mojej wypowiedzi zrozumiał pan tylko jedno słowo?! – wykrzyknęła Emma, zgrzytając zębami z wściekłości. – Pan jest najbardziej nieznośnym człowiekiem, jakiego znam! Mówię, że mam w Londynie rodzinę i że chcę jak najszybciej się z nią połączyć. Poza tym wysłałam telegram do rodziców, a oni na pewno już odpisali na adres ciotki i pytają, czy jesteśmy bezpieczne. Mam obowiązki, rozumie pan? Ależ skąd! Cóż mógłby wiedzieć o obowiązkach ktoś, kto z czystego egoizmu sfiingował własną śmierć, odbierając światu możliwość podróży w czasie, z całą pewnością będącego największym odkryciem w historii, tylko dlatego, że dostatecznie już się wzbogacił i chciał się w spokoju nacieszyć swoją fortuną? I taki ktoś ośmiela się robić mi wymówki, że przejmuję się swoimi sukniami! Wciąż pan wierzy, że oddałabym panu rękę? Wyłącznie z pańskiej winy znalazłam się w środku tego szaleństwa!

– Z mojej winy? – zaprotestował milioner, dotknięty do żywego niesprawiedliwym oskarżeniem. – O ile pamiętam, to pani postawiła warunek, że bym spróbował odtworzyć marsjańską inwazję opisaną przez pana Wellsa, jeśli chcę się z panią ożenić, choć pani mnie nie kocha... Ale ja kocham panią, Emmo. I zapewniam, że gdybym wiedział, co się wydarzy, nie pozwoliłbym pani przyjechać do Londynu. Przyjąłem wyzwanie wyłącznie dlatego, że chciałem cię uszczęśliwić, Emmo, lecz tobie chodziło jedynie o to, by mnie upokorzyć! Które z nas jest większym egoistą?

– Zabraniam panu zwracać się do mnie po imieniu, panie Murray! – wykrzyknęła Emma. Potem wzięła kilka głębokich oddechów i dodała znacznie spokojniejszym, choć

zarazem ostrym jak brzytwa tonem: – A zanim udam się do Londynu, bo to właśnie zamierzam zrobić, skoro pan Wells i pan Clayton uważają to za najrozsądniejsze wyjście, chcę postawić sprawę jasno: nie tylko jest pan ostatnim człowiekiem na ziemi, za którego bym wyszła, lecz także ostatnim, z którym chciałabym przeżyć śmierć naszej planety.

Słowa dziewczyny podziałały na Murraya jak uderzenie pięścią w żołądek. Sposepniał tak bardzo, że przez chwilę można było odnieść wrażenie, iż zaraz wybuchnie, ale potem spuścił głowę, zbyt przygnębiony, by wytrzymać wściekłe spojrzenie dziewczyny, której oczy zdawały się zdolne do rażenia ognistymi promieniami jeszcze potężniejszymi niż te marsjańskie.

– Rozumiem, panno Harlow – wymamrotał. – Chyba już wszystko jasne.

Wbrew swojej woli Wells posłał milionerowi współczujący uśmiech.

– Daj spokój, Gilliam – rzekł. – Dokąd, na litość boską, mielibyśmy się udać, jeśli nie...

Murray westchnął z rezygnacją, nie podnosząc głowy.

– Dobrze – mruknął. – Jedźmy do Londynu.

W tym momencie ścianami zatrzęsła kolejna, jeszcze głośniejsza od poprzedniej eksplozja, a z sufitu posypał się tynk.

– Nie wydaje wam się, że powinniśmy się stąd wynieść, nim one tu dotrą? – zapytał pisarz, gdy wybrzmiało echo wybuchu.

– Racja – poparł go Murray. – Uciekajmy.

Zrobił krok ku drzwiom, lecz zatrzymał go głos dziewczyny.

– A co z nim? – zapytała, wskazując zemdlonego agenta.

– Do jasnej anielenki! – wykrzyknął zdesperowany Murray. – Co niby mamy z nim zrobić, panno Harlow?

– Nie możemy go tu zostawić – zaproponował Wells. – Jeśli to urządzenie zniszczy stację, zginie przysypany gruzami... Musimy go zabrać.

– Co? – zniecierpliwiał się Murray. – Zwariowałaś? Przecież on chciał nas zamknąć, jak tylko dotrzemy do Londynu!

– Mamy go zostawić na pastwę losu?! – wykrzyknął zbulwersowany pisarz.

– Ależ skąd, panie Wells. Pan Murray bynajmniej nie ma zamiaru go tu zostawić. Nie jest aż takim egoistą. Prawda, panie Murray? – zapytała drwiąco Emma.

Przedsiębiorca przyglądał jej się w oszołomieniu, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

– Tak właśnie myślałem – zażartował Wells, chwytając agenta pod pachy i ciągnąc. – Nie bądź taki pamiętliwy, Gilliam. Chwyć go za nogi i pomóż mi stąd wynieść.

Po spokoju, który przywitał ich na stacji, nie było śladu. Tak jak się domyślili, gdy jeszcze siedzieli w celi, ludzie biegali w popłochu to w jedną, to w drugą stronę albo zbierali się w zdezorientowane i coraz bardziej przerażone gromadki.

– Marsjanie idą! – krzyczeli, ciągnąc walizy we wszystkich możliwych kierunkach, jakby nigdzie nie widzieli dla siebie schronienia przed tak potwornym niebezpieczeństwem. – Marsjanie idą!

Zrozpaczony ludzki potop usiłował się dostać do jedyne go pociągu stojącego na peronie, tworząc przy każdych drzwiach zaporę, która zmuszała innych do wdzierania się do wnętrza przez rozbijane szyby. Niektórzy próbowali się przepychać, nie bacząc na to, kto stoi obok, co zaowocowało brutalnym odpychaniem od drzwi, a nawet przewracaniem kobiet i dzieci bez cienia troski o to, co się z nimi stanie. Obserwowane z pewnej odległości barbarzyństwo stanowiło fascynującą na swój sposób ilustrację tego,

jak pod wpływem przerażenia rozsądni skądinąd ludzie potrafią nagle przemienić się w dzikie zwierzęta, których jedynym celem jest egoistyczna chęć przetrwania.

– Chodźmy do mojego powozu – rzeki Murray z taką melancholią, jakby obserwował zamknięte w klatkach małpy usiłujące naśladować ludzi.

Z trudem przedzierali się przez oszalały ze strachu tłum – dwaj mężczyźni niosący nieprzytomnego agenta i dziewczyna torująca sobie drogę parasolką, gdy wymagała tego sytuacja – póki nie wydostali się ze stacji. Dotarłszy do parkingu dla powozów, napotkali jednak dalszy ciąg tego samego szaleństwa, które panowało na stacji. Luksusowy powóz Murraya, podobnie jak inne, otoczony był wianuszkami podekscytowanych ludzi, którzy zdążyli właśnie zrzucić z kozła woźnicę i entuzjastycznie zabierali się do bicia wijącego się na ziemi nieszczęśnika. Wykorzystując fakt, że większość z nich jest zaabsorbowana tą brutalną rozrywką, Wells puścił Clayтона o kilka metrów od powozu, pozostawiając go opiece milionera, a sam pomógł dziewczynie wsiąść przez drzwi po stronie przeciwnej do tej, po której trwała bijatyka. Ledwie jednak Emma postawiła nogę na stopniu, jakiś mężczyzna chwycił ją za ramię i bez pardonu zrzucił na ziemię. Pisarz odruchowo złapał agresora za marynarkę i dopiero wtedy z przestraszeniem zauważył, że tamten jest znacznie potężniejszy od niego.

– Czy tak się traktuje...

Cios pięścią w twarz uniemożliwił mu dokończenie pytania. Wells zatoczył się i padł na plecy obok prawego koła powozu. Ogłuszony ciosem, z ustami pełnymi krwi patrzył, jak dwaj wielcy mężczyźni blokują drzwi pojazdu, a leżąca zaledwie o metr od niego dziewczyna z trudem próbuje wstać. Krewki osobnik, który powalił Wellsa prawym prostym, i jego koleżka mieli na sobie mundury bagażowych. Jeszcze godzinę temu obaj służalczo dźwigali walizki takich ludzi jak on i liczyli na napiwek, dzięki któremu będą mogli zjeść kolację. Inwazja Marsjan odmieniła jednak sytuację, tworząc porządek, w którym rządziła brutalna siła, i póki najeźdźcy szli naprzód, takie typy jak te nie tylko miały rządzić ludźmi, ale być może nawet decydować o tym, kto ma prawo żyć, a kto nie. Nie bardzo wiedząc, jak pomóc dziewczynie ani jak odzyskać powóz, pisarz splunął krwią i wstał, opierając się o koło, co wywołało uśmiech na twarzy typa, który go powalił.

– Mało ci? – rzucił, unosząc groźnie pięść. – Powtórzysz?

Wells oczywiście nie życzył sobie powtórki. Jasne jednak było, że walka o powóz nie będzie polegała na zadawaniu sobie zagadek z biologii, więc zacisnął pięści i uniosł ręce niczym karykatura boksera, szykując się do oddania ciosu na miarę swoich możliwości. O tym, że są one nader skromne, wiedział i on, i przeciwnik, lecz przecież jakąś walkę trzeba było podjąć.

Ledwie zdążył unieść pięści, rozbrzmiał strzał. Wszyscy wokół wzdrygnęli się i unieśli głowy. Wells rozejrzał się i zobaczył Murraya celującego w gwiazdy z rewolweru Clayтона, który wciąż leżał zwinięty w kłębek u jego stóp. Stojący w rozkroku milioner z uśmiechem na ustach oddał kolejny strzał, po którym horda odskoczyła nieco od pojazdu. W głowie Wellsa zrodziło się niemądre pytanie, dokąd trafi wycelowana w niebo kula; gdzie spadnie, gdy wytraci prędkość i powróci na ziemię. Powoli, jakby to była gałąź uginająca się pod ciężarem śniegu, Murray opuścił rękę i wycelował w motłoch.

– Ten powóz, panowie, jest moją własnością. Jeśli ktoś się do niego zbliży, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu – ogłosił stanowczo, podchodząc sprężystym krokiem do grupy, której przewodzili tragarze.

Nie przestając w nich celować, wyciągnął rękę do dziewczyny.

– Proszę pozwolić, że pomogę, panno Harlow – rzekł szarmancko.

Dziewczyna namyślała się przez kilka sekund, ale ostatecznie wstała z jego pomocą. Oddaliła się nieco i otrzepywała suknię z błota, rozglądając się wokół z lekkim oszołomieniem. Wciąż mierzący do osiłków Murray gestem nakazał pisarzowi i pannie, by wsiedli do powozu.

– Gilliam? – szepnął zza jego pleców pisarz.

– Tak, George?

– Chyba zapomniałeś o agencie Claytonie.

Nie opuszczając broni, Murray obejrzał się przez ramię i zobaczył ciało agenta leżące na ziemi dokładnie w miejscu, w którym je porzucił. Zmełł w ustach przekleństwo. Potem przeniósł wzrok z powrotem na napastników, którzy odpowiedzieli mu rozbawionymi uśmiezkami, a na koniec zmierzył spojrzeniem swoich towarzyszy, na dłużej zatrzymując je na skonsternowanej dziewczynie.

– Zgoda – mruknął do siebie i podając rewolwer Emmie, zapytał łagodnie: – Panno Harlow, czy mogłaby pani z łaski swojej celować w tych dzentelmenów, kiedy pan Wells i ja będziemy wnosić agenta do powozu? Proszę wybaczyć, że zlecam pani takie zadanie... Czy czuje się pani na siłach je wykonać?

Emma z pewną kontuzją przyjrzała się broni, a potem jemu. Murray uśmiechał się do niej tak tkliwie i zachęcająco, że na oblicze dziewczyny natychmiast powróciła furia.

– Na siłach? Naturalnie, że czuję się na siłach, panie Murray! – odparła, delikatnymi dłońmi ujmując rewolwer. – Myśli pan, że to takie skomplikowane? Powinien pan spróbować nosić gorset.

Patrząc, jak broń przechodzi w ręce dziewczyny, osilek, który wcześniej ją zaatakował, wybuchnął śmiechem i zrobił krok w jej kierunku. Zatrzymał się, gdy w niego wycelowała.

– Nie radzę robić kolejnego kroku, przyjacielu, bo nie ograniczę się do przewrócenia pana w błoto – wycedziła wściekle.

– Ale się boję! – zakpił chłopak, zwracając się do swoich. – Ta damulka próbuje nam wmówić, że jest zdolna do...

Nie dokończył, bo Emma gwałtownym ruchem opuściła broń i strzeliła mu w stopę. Kula przeszła przez czubek buta, upuszczając niewielką strużkę krwi. Osilek z wykrzywioną bólem twarzą przykląkł i przycisnął dłoń do buta.

– Przekłęta dziwka – jęknął.

– Następnemu strzelę w głowę – oznajmiła Emma, spoglądając na pozostałych.

Zaskoczony odwagą dziewczyny Murray przyglądał jej się z fascynacją. Wells musiał go szturchnąć w ramię, żeby mu pomógł podnieść Clayтона. Zawlekli agenta do powozu, po czym milioner podszedł do Emmy i z uśmiechem zadowolenia wyciągnął rękę po broń.

– Świetna robota, panno Harlow – pogratulował. – Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, iż postawiłem ją w tak niewygodnej sytuacji.

– Bardzo pan uprzejmy, panie Murray – odparła ironicznie, oddając mu rewolwer – choć zdaje mi się, że obawiał się pan raczej tego, iż te zbiry mogą mi wyrwać broń.

– Och, byłem pewien, że do tego nie dojdzie – uśmiechnął się Gilliam. – Zapomniała już pani, jak piliśmy razem herbatę?

– Ehem, ehem – chrząknął z wnętrza powozu Wells. – Żałuję, że państwu przerywam, lecz muszę przypomnieć, że nadciągają Marsjanie.

– Prawda, prawda – mruknął Murray, pomagając dziewczynie wsiąść do powozu. Potem przeniósł wzrok na zgromadzonych i skłonił się. – Dziękuję za wszystkie

uprzejmości, dżentelmeni. Niestety ten powóz jest zbyt luksusowy dla waszych zadków.

To rzekłszy, spokojnie wsiadł na kozła i trzasnął z bicia.

– Przeklęty zarozumialec – mruknął Wells, gdy powóz ruszał.

– Owszem – zgodziła się Emma. – Choć to dzięki niemu odzyskaliśmy powóz – przyznała niechętnie.

Racja, pomyślał Wells, obserwując przez tylne okienko, jak oddalają się od napastników. Gdyby Murray nie zachował zimnej krwi, prawdopodobnie on sam zostałby zбитy na kwaśne jabłko i wszyscy troje wciąż tkwiliby na stacji, patrząc, jak gromada pomyleńców ucieka ich powozem. Jeśli Marsjanie, czy cokolwiek to jest, zostaną pokonani i wszystko wróci do normy, świat będzie zadowolony, że stracił kilku brutalni, którzy potrafili jedynie dać się postrzelić w stopę przestraszonej kobiecie, a nie ich, którzy mieli mu do zaoferowania nieporównanie więcej.

Niemal galopem ruszyli drogą wiodącą przez Chertsey do Londynu, wskutek czego ciało Clayтона, które posadzili przed sobą, zsunęło się z oparcia i leżało na ławce. Gwałtowne podskoki powozu sprawiały, że ręce tańczyły mu na piersi, a bezwładna głowa latała w tę i z powrotem. Wyglądał jak pijak w stanie silnego delirium. Wells i Emma robili wszystko, by na niego nie patrzeć, zawstydzeni, że muszą być świadkami tak wstydlivej sytuacji.

Zerknąwszy przez okno, pisarz zauważył coś, co w ogniu walki całkowicie mu umknęło: gdy tkwili zamknięci w magazynie, zapadła noc. Większość krajobrazu za oknem spowijał teraz mrok; tylko horyzont płonął czerwienią, a na gwiazdziste niebo leniwie wspinała się chmura dymu. Z odległych lasów ciągnących się w kierunku Addlestone dobiegał ogłuszający huk artylerii, z którego Wells wnosił, że wojsko musiało się gdzieś zetrzeć z trójnogami.

– Boże! – wykrzyknęła Emma, jak zahipnotyzowana wpatrując się w okno. Przerażony tym wybuchem paniki Wells pochylił się w stronę dziewczyny i zmrużył oczy. W pierwszej chwili zobaczył jedynie sosnowy bór otoczony całunem ciemności, lecz z czasem zaczął dostrzegać także inne kształty i zrozumiał, co tak zatrwożyło Emmę: ze wzgórz schodził szybko ogromny kształt i kierował się w tę samą stronę co powóz. Po dalszym wyteżaniu wzroku pisarz stwierdził, że ma do czynienia z gigantycznym wehikułem sadzącym wielkimi susami dzięki trzem szczupłym, podzielonym na segmenty nogom przypominającym nieco odnóża pajaka. Z ogłuszającym metalicznym zgrzytem, groźnie kołysząc się z boku na bok, genialne urządzenie z połyskującego metalu niezdarne, lecz zdecydowanie przedzierało się przez las, bez wysiłku tratując sosny na swojej drodze. Zauważył, że górna część pojazdu bardzo przypomina opisany przez niego walec, lecz reszta struktury jest zupełnie inna: przywodzi na myśl raczej ogromną zaokrągloną skrzynię pokrytą skomplikowanym układem płytek, który kojarzył mu się z pancerzem raka pustelnika. Z brzucha wehikułu zwisał pęk giętkich szczupłych macek, które poruszały się, jakby żyły własnym życiem. Większa niż przeciętny dom machina maszerowała nieubłaganie do Londynu, odbijając lśniąca powierzchnią blask księżycy i torując sobie drogę przez gąszcz sosen.

Nagle górna część wehikułu obróciła się ku powozowi, jakby mu się przyglądała. Sekundę później nie było już wątpliwości: machina lekko zmieniła kierunek i zaczęła zbliżać się do szosy. Z gwałtownego podskoku powozu pisarz wywnioskował, że Murray także zauważył prześladowcę i postanowił go wyprzedzić, jeszcze bardziej poganiając konie. Przełknął ślinę i podobnie jak Emma, chwycił się mocno siedzenia, by nie wypaść

z pędzącego pojazdu. Przez tylne okienko zobaczył, jak z pobocza wyłania się jedna z nóg maszyny i staje na drodze. Po niej, ciągnąc za sobą płataninę połamanych sosen, pojawiły się dwie pozostałe. Stanąwszy z powrotem na trzech odnóżach, walec ruszył w dalszy pościg za powozem. Jego kroki brzmiały w nocy jak seria grzmotów, narastających w miarę skracania dystansu przez metalowego dziwołaga. Wells, z sercem walącym mu w piersi, patrzył bezradnie, jak macka wystająca z górnej części maszyny rozpoczyna znajomy taniec kobry, celując w nich.

– Zaraz do nas strzeli! – zawołał, chwytając dziewczynę za ramiona i powalając na podłogę powozu. – Kryć się!

Kilka metrów w prawo od powozu rozbrzmiał głośny wybuch. Fala uderzeniowa była tak silna, że powóz na kilka sekund wzbił się w powietrze, po czym opadł na drogę z takim łomotem, jakby miał się rozpaść. Zdumiony, że wciąż żyje, Wells podniósł się niezdarnie, by ponownie wyjrzeć przez tylne okienko, i usiłował utrzymać równowagę mimo podskoków pojazdu. Zastanawiał się, czy Murray wciąż siedzi na koźle czy spadł, a spłoszone konie same pędzą ku zgubie. Przez okno zobaczył niewielki krater utworzony przez ognisty snop na skraju drogi. Za nim maszerował nieubłagane trójnóg, nieustannie skracając dzielącą go od powozu odległość, która w tej chwili wynosiła jakieś dwadzieścia metrów. Wells zauważył ze zgrozą, że jedna ze strzelających promieniami macek znów się kołysze, celując w nich. Prędzej czy później musieli zostać trafieni. W tym momencie powóz gwałtownie się zatrzymał i pisarz runął na plecy, lądując na bezwładnym ciele agenta Clayтона. Oszołomiony próbował się podnieść, pomagając w tym samym dziewczynie. Powóz tymczasem zaczął manewrować. Patrząc przez tylne okienko, pisarz upewnił się, że skręcają. Nic nie rozumiejąc, wychylił się przez lewe i zobaczył, że Murray ustawił pojazd przodem do trójnogu, który kontynuuje swój niezdarny pochód w ich stronę.

– Co ten imbecyl robi?! – wykrzyknął.

Odpowiedziało mu trzaśnięcie bicia. Konie ruszyły z kopyta i powóz z potwornym klekotem wystrzelił na spotkanie z trójnogiem.

– Oszalałeś, Murray?! – wrzasnął.

– To coś na pewno nie umie skręcać tak szybko jak my! – odkrzyknął milioner.

Widząc, że powóz z maksymalną prędkością pędzi na spotkanie dziwołaga, Wells pojął, że Murray chce spróbować przejechać pod brzuchem kolosa, jakby to był most.

– Boże... on zwariował... – wymamrotał, patrząc, jak trójnóg zatrzymuje się i celuje.

Usiadł z powrotem i mocno objął Emmę.

– Chce przejechać pomiędzy odnóżami – wychrypiął przez ściśnięte gardło.

– Co? – wymamrotała.

– Oszalał...

Emma przylgnęła do niego rozpaczliwie, drżąc na całym ciele. Czuł jej kruchość, ciepło, zapach, kobiece kształty odcinające się w glinie jego ciała, i żałował, że osobnik jego pokroju ma okazję przytulić kobietę taką jak ona jedynie wtedy, kiedy uciekają razem przed marsjańską inwazją. Była to jednak zaledwie ulotna myśl, kompletnie nieprzystająca do sytuacji, w której pędzili na spotkanie z metalowym monstrem mającym za chwilę porazić ich smugą ognia i zmienić w dwie kukły z popiołu. W ciągu tych kilku nadspodziewanie długich sekund, które im pozostały, Wells zdążył pomyśleć, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, potrafi zmienić człowieka nie tylko w bohatera lub tchórza, lecz także w szaleńca.

XXIII

Kiedy serce tego Wellsa biło ze strachu jak oszalałe, serce drugiego Wellsa, którego istnienia tamten nawet nie podejrzewał, pulsowało spokojnie w rytm delikatnej melodii ksylofonu, bo kierowana przez pisarza inwazja rozwijała się dokładnie tak, jak sobie życzył. Za parę godzin trójnogi dotrą do rogatek Londynu, gdzie czeka na nie brytyjskie wojsko, dumne i blade pośród swych działek Maxima, by umrzeć w potworny sposób, zmiażdżone przez niewyobrażalnie wielką siłę, która zetrze żołnierzy i ich broń niczym karaluchy. Wells uśmiechał się na myśl o przyszłej masakrze, wpatrzony w mapę Ziemi zawieszoną na ścianie gabinetu.

Mam nadzieję, że choć upłynęło tyle czasu, nie zapomnieliście o osobniku, który przybrał oblicze Wellsa i teraz, niczym dyrygent, z ukrycia kieruje inwazją. Pewnie się zastanawiacie, jak do tego wszystkiego doszło. Cofnijmy się o kilka tygodni, do punktu, w którym porzuciliśmy naszą opowieść, by się udać w lody Antarktydy, i rzućmy okiem w głąb drewnianej trumny, którą pozostawiliśmy w podziemiach Muzeum Historii Naturalnej. Co się tam dzieje, ukryte przed wzrokiem wszystkich z wyjątkiem mojego? Oto pośród pracowitych ruchów mięsa i ścięgien istota z innego świata odbudowuje się, naśladując fizjonomię pisarza znanego jako H.G. Wells, który przed chwilą uciekł z Krypty Osobliwości, popychany przez innego pisarza, niejakiego Garretta P. Servissa, który, acz mniej sławny, lepiej się odnalazł w sytuacji. Obaj autorzy – ten doceniany i ten mierny – opuścili budynek nieświadomi zgubnych skutków swych działań, w szczególności pieśczości, jaką złożył Wells na ramieniu pozaziemskiego stworzenia. Ten godny podziwu gest pozostawił na skórze istoty najcudowniejszy prezent, jaki mogła sobie wyobrazić: małą kropelkę krwi, nieistotną, lecz zawierającą wszystko, czego potrzebował Marsjanin, by powrócić do życia pod postacią H.G. Wellsa.

Samotny w swojej trumnie niczym gąsienica w kokonie, pracowicie przybierał ludzką formę, ożywiany i napędzany krwią Wellsa. Jego kręgosłup rozciągał się, aż uzyskał długość zapisaną we krwi, a kiedy w górze wykształcała się czaszka, w dole tworzyła się wąska miednica, z której, kruche jak gałązki, wyrastały dwie niezbyt długie kości udowe, natychmiast połączone z piszczelami przez rzepki. I tak, z cierpliwością stalaktytu, istota budowała delikatny kościec, a potem pokrywała go falistym płaszczem mięsa, nerwów i ścięgien. Za kratownicą żeber pojawiły się gąbczaste płuca, które poprzez świeżo wyrosłą rurkę tchawicy wypełniły trumnę ciepłą nowinką oddechu. I kiedy jedna ręka modelowała wątrobę i wybrzuszała skórę żołądka, jakby bawiła się gliną, na kośćcu, niczym elementy zbroi, pod którą rysowały się żyły i tętnice, wyrastały mięśnie naramienne, bicepsy, tricepsy i pozostałe mięśnie. Pośród tych skomplikowanych wzorów płynęła niewidoczna krew, napędzając pulsujące leciutko serce. Z masy skóry pokrywającej twarz wyłoniły się w końcu ptasie rysy, jakby idealna kopia twarzy Wellsa na kalce, na której wcześniej nabazgrano rysy kilku marynarzy z „Annawana”, a nawet innego pisarza – Edgara Allana Poe. Świeżo wymodelowane usta wygięły się w triumfalnym, niemal zwierzęcym uśmiechu, z którego przebijało narosłe przez dekady pragnienie zemsty, a blade, wąskie ludzkie dłonie ścisnęły krępujące ciało łańcuchy i rozerwały je nadludzką siłą.

Pokrywa trumny się uniosła, złowróżbnym zgrzytem rozdzierając ciszę spowijającą pomieszczenie. Gdyby jednak przypadkiem ktoś akurat się tam znajdował i zobaczył cud zmartwychwstania, nie ujrzałby przerażającej istoty z kosmosu, lecz Wellsa odzyskującego przytomność po jakiejś okropnej pijatyce, którą nie wiadomo jakim

sposobem zakończył w tym miejscu. Mimo ludzkiej postaci to, co wstało z trumny, było stworzeniem śmiercionośnym, przepotwornym, a jeśli już naprawdę chcecie wiedzieć, było czystym złem, złem w pełnej krasie, po raz kolejny wdzierającym się do świata ludzi rozumnych, tak jak kiedyś wdarło się pod postacią Frankensteina, hrabiego Draculi czy jakiegoś innego monstrum, które stworzył człowiek, by nadać kształt prześladowanemu go od narodzin abstrakcyjnemu złu, tej niepokojącej ciemności, jaka naznaczyła jego nieszczęsną duszę w momencie, gdy niania zdmuchnęła świecę przy kołysce.

Jak ślepiec, który nagle odzyskał wzrok, fałszywy Wells rozejrzał się po sali pełnej niezidentyfikowanych bibelotów, elementów fantastycznego folkloru zrozumiałego wyłącznie dla Ziemiaków. Trudno się zatem dziwić, że poczuł ogromną ulgę, ujrawszy w końcu pośród tej oszalałej masy znajomy obiekt: jego pojazd, który umieszczono na piedestale, najwyraźniej uznając za coś równie wartościowego jak cała reszta obecnych tu przedmiotów. Na pierwszy rzut oka machina wydawała się sprawna: wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy zostawił ją na śniegu, by się przesiąść na ziemski statek, lecz jednocześnie widać było jak na dłoni, że przez cały ten czas nikt nie zdołał jej uruchomić, a nawet otworzyć.

Fałszywy Wells podszedł do pojazdu i zatrzymał się kilka metrów przed podwyższeniem, przemykając oczy i koncentrując się. Wtedy w wypukłej pokrywie urządzenia powoli pojawiła się szczelina. Sobowtór pisarza wszedł do środka, by po kilku sekundach wyjść stamtąd z cylindryczną szkatułką barwy kości słoniowej, gładką, jeśli nie liczyć maleńkich, emitujących słaby miedziany poblask znaczków na pokrywie. Wewnątrz znajdowało się to, co zmusiło obcego do przemierzenia kosmosu w poszukiwaniu Ziemi, planety ukrytej na spiralnym ramieniu galaktyki o ponad trzydzieści tysięcy lat świetlnych od jej środka, wybranej przez Radę na nową kolonię jego rasy. I choć potrwało to dłużej, niż planował, w końcu mógł kontynuować swoją misję.

Fałszywy Wells otworzył drzwi sali i opuścił muzeum jako jeden z wielu ludzi, wtapiając się w strumień ostatnich wieczornych gości. Gdy wreszcie znalazł się na ulicy, wziął głęboki oddech i rozejrzał się wokół, wypróbowując zmysły swego nowego ciała, a zarazem usiłując zignorować dźwięk przypominający bzyczenie roju pszczoł, wytwarzany przez mózg imitowanego przezeń Ziemiaka. Zdumiał go gwar myśli, znacznie intensywniejszych niż te emitowane przez mózgi innych tubylców, w których wcielił się na Antarktydzie. Nie miał jednak czasu zagłębiać się w obrazowe dywagacje, więc próbował je wyłączyć, koncentrując się na obserwowaniu świata własnymi przyrządami, nie zaś prymitywnymi zmysłami człowieka, którego imitował. Wówczas ogarnęła go nagle wielka błogość, podniosła i poruszająca nostalgia podobna do tej, którą czułby człowiek wspominający wakacje z dzieciństwa: odkrył, że znajduje się w miejscu, w którym przed wiekami założono kolonię. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był lód zamykający się nad jego głową jak wieko trumny, a teraz, uniknąwszy śmierci poprzez redukcję poziomu energii do niezbędnych zahibernowanemu ciału wibracji, po latach wegetowania w nicości obudził się w Londynie, dokładnie tam, dokąd się wybierał, nim jego pojazd rozbił się na Antarktydzie. Nie miał pojęcia, komu dziękować, lecz jasne było, że ktoś uratował go z lodowej krainy i na pohybel ludzkości przywiózł tutaj.

Wszedł na jedną z wież Muzeum Historii Naturalnej i znalazłszy się dostatecznie wysoko, przymknął oczy, skoncentrował się i kazał umysłowi wysłać sygnał. Dźwięk, którego nie mógł usłyszeć żaden człowiek, przemierzył noc, podróżując na słodkim wietrze przez całą stolicę.

Niemal natychmiast w gwarnej tawernie w Soho Jacob Halsey przestał zmywać naczynia, uniósł głowę ku sufitowi i stał tak przez kilka minut, nie słysząc żądań klientów, aż w końcu z jego oczu powoli zaczęły płynąć łzy. To samo stało się z sanitariuszem Bruce'em Lairdem, który z niezrozumiałych dla nikogo powodów zatrzymał się pośrodku korytarza szpitala Guy's, jakby kompletnie zapomniał, gdzie się znajduje, i rozplakał z radości. Płacz ogarnął też piekarza z Holborn, Sama Delaneya, i Thomasa Cobba, właściciela zakładu krawieckiego położonego w pobliżu opactwa Westminster, a także służącą pilnującą dzieci bawiących się w parku Mayfair, staruszka spacerującego powoli ulicą w Bloomsbury, małżeństwo Connellów karmiące wiewiórki w Hyde Parku i lichwiarza prowadzącego zakład przy Kingly Street. Wszyscy oni wznosili wzrok ku niebu i trwali w ekstatycznym milczeniu, jakby słyszeli melodię, której nie wychwyciły uszy nikogo innego. Porzucali to, co robili – naczynia w zlewie, otwarty zakład, dzieci, mieszkania oraz pracę – i przemierzali ulice niczym rosnące mrowisko złożone z nauczycieli, sklepikarzy, bibliotekarzy, dokerów, sekretarek, parlamentarzystów, kominiarzy, urzędników, prostytutek, złotników, węglarzy, emerytowanych wojskowych, woźniców i policjantów, kierując się w stronę miejsca, do którego wzywał ich długo wyczekiwany sygnał obwieszczający to, czego tak bardzo pragnęli ich rodzice i dziadkowie: przybycie Wysłannika.

Pastor Gerome Brenner, opiekujący się niewielką parafią w Marylebone, z powagą przejrzał się w lustrze wiszącym w zakrystii. Starannie się ogolił, niesforne siwe włosy skropił mnóstwem wody kolońskiej, pieczołowicie wyrównał koloratkę i sumiennie wyszczotkował sutannę, a wszystko to powolnymi, ceremonialnymi ruchami, jakby odprawiał jakiś obrzęd, którego nie nakazał mu nikt z wyjątkiem powagi sytuacji. Odetchnął z ulgą, stwierdziwszy, że zmarszczki przecinające suchą skórę twarzy nadają mu wygląd raczej szlachetny niż starczy, i choć podrobione ciało było dość zmarnowane i słabowite, przynajmniej głęboki błękit oczu budził podziw bliźnich, zwłaszcza płci pięknej. „W ojca oczach odbija się obietnica nieba” – powiedziała mu kiedyś pewna parafianka, nieświadoma faktu, że to niebo pełne jest stworzeń bynajmniej nie boskich, mimo iż fałszywy proboszcz czasami lubił sobie wyobrażać swoją rasę jako bogów, do których modlą się ludzie. Gdyby tak było, nie unicestwilibyśmy ich, jak zamierzamy – pomyślał z gorzkim uśmiechem. Żaden bóg nie zrobiłby tego swoim wiernym.

Raz jeszcze przygładził włosy i skierował się ku wyjściu z zakrystii, mając nadzieję, że jego wygląd zadowoli Wysłannika.

– Witam, ojcie Brenner. A może wolałby ojciec wrócić w końcu do prawdziwego nazwiska swego rodu?

Głos dobiegł od strony drzwi, w których rysowała się sylwetka chudego człowieczka obserwującego go z rękami w kieszeniach spodni. Postać przybrana przez Wysłannika skonstruowała pastora nie tyle swoją mizernością, ile tym, że nie była to postać anonimowa, lecz ktoś, kogo każda w miarę odczytana osoba od razu rozpoznawała.

– Panie, muszę wyznać, że po upływie pięciu pokoleń my, potomkowie pierwszych kolonizatorów, nawet między sobą używamy ziemskiej mowy i ziemskich imion. Obawiam się, że kiedy nadejdzie szczęśliwy czas, trudno nam będzie na nowo przywyknąć do naszego starego, ukochanego języka, mimo iż z pietyzmem przekazywaliśmy go swoim dzieciom wraz z odwieczną mądrością naszej rasy – odparł proboszcz.

Trzeba wam wiedzieć, że ojciec Brenner nie tylko wypowiedział te słowa ze

spuszczoną głową i dłońmi ułożonymi w trójkąt na czubku głowy, co nam, ludziom, zapewne wydałoby się gestem idiotycznym, a wśród jego rasy stanowiło tradycyjny sposób okazywania szacunku, lecz ponadto przemawiał w swoim ojczystym języku, więc gdyby przypadkiem w zakrystii znalazł się wówczas jakiś człowiek, usłyszałby jedynie chaotyczną symfonię krakania, gwizdów i zbolących jęków, których wolę nie odtwarzać z obawy o to, aby wam, drodzy czytelnicy, nie popękały bębni.

– Rozumiem, że ludzkie struny głosowe utrudniają posługiwanie się naszym językiem, ojcie – rzekł wspaniałomyślnie Wysłannik. – Jeśli wolisz, możemy rozmawiać w ludzkiej mowie. Ja też mogę w niej wygłosić przemówienie powitalne do naszych braci i sióstr.

– Jestem niezmiernie wdzięczny za wyrozumiałość, panie – odparł proboszcz, starając się zapanować nad głosem drżącym z podekscytowania, ale i ze strachu. Wyprostował się, podszedł do Wysłannika i mimo pewnego zawstydzenia wyciągnął doń rękę, pozdrawiając go tym dziwnym i nadmiernie intymnym sposobem, w jaki robili to mieszkańcy tej planety. – Witamy na Ziemi.

Wysłannik przyglądał mu się w milczeniu, a na jego ustach powoli wykwiłał drwiący uśmiešek.

– Dziękuję, ojcie – odparł w końcu, prostując niedbałą sylwetkę i bez pośpiechu podchodząc do pastora, by uścisnąć tę zawieszoną w pustce dłoń. – Obawiam się, że nie przyswoilem jeszcze ziemskich zwyczajów. Choć, szczerze mówiąc, nie za bardzo mnie to obchodzi, bo chyba nie mam powodu ich przyswajać, prawda?

Przez kilka sekund ścisnął dłoń pastora, nie przestając intensywnie się w niego wpatrywać, jakby go prowokował do zanegowania swoich ostatnich słów. Gdy w końcu puścił, ojciec Brenner, nieco spłoszony arogancką wyższością Wysłannika, chrząknął kilkakrotnie i niczym dobry brytyjski gospodarz próbował realizować nakreślony wcześniej plan.

– Może filiżankę herbaty, panie? – zaproponował. – To bardzo popularny w tych stronach napój i zapewniam, że dla ciała, które przywdziałeś, okaże się niezmiernie pokrzepiający.

– Oczywiście, ojcie – zgodził się z uśmiechem Wysłannik. – Nie ma powodu, by się nie rozkoszować tutejszymi zwyczajami, póki jeszcze istnieją.

Na dźwięk tych słów pastora przeszły ciarki. Wysłannik najwyraźniej znajdował upodobanie w ciągłym przypominaniu mu, że wszystko, co zna i kocha, w ciągu kilku dni przestanie istnieć. Istota, którą miał przed sobą, przybyła tu bowiem z misją zniszczenia jedynego świata, jaki pastor pielęgnował w duszy, a nawet ośmielała się go deprecjonować, nie biorąc nawet pod uwagę możliwości, że warto by uronić łzę nad jego śmiercią.

– Proszę za mną – rzekł, usiłując powściągnąć uczucie bezradności, bo przecież był tu po to, by ułatwić Wysłannikowi zadanie.

Zaprowadził go do niewielkiego stolika postawionego obok okna wychodzącego na tylne podwórze kościoła, gdzie rósł pieczolowicie przezeń pielęgnowany ogródek. Powoli zmierzchało i pomarańczowe światło rzucało ciepłą poświatę na tych kilka drzewek, którym proboszcz poświęcał swoje nieliczne wolne chwile, a wieczorna bryza przywiewała do zakrystii ich zapach. Poczł ukłucie tęsknoty na myśl, że jego ogródek zginie wraz z resztą planety, a razem z nim znikną narzędzia, rękawice i spokój, który on sam odczuwał, doglądając roślin. Ciekawe, pomyślał, czy ten spokój bierze się ze mnie, czy też jest to uczucie typowe dla Ziemiaków zajmujących się tymi bezproduktywnymi

zadaniami, na które mówią „hobby”. Podając herbatę, próbował ukryć głęboki żal pod służalczym uśmiechem. Tymczasem korytarzowy kurant jak co dnia zaczął wygrywać swoją melodię, całkowicie nieświadom możliwości, że gra ją po raz ostatni.

– Masz rację – rzekł Wysłannik, upiwszy łyk herbaty i ostrożnie odstawiwszy filiżankę na spodek. – To bardzo smaczny eliksir. Nie wiem jednak, czy to jego zasługa, czy też elementów ludzkiego ciała pozwalających się nim rozkoszować: węchu, podniebienia, gardła... Teraz na przykład czuję ciepły ślad, jaki herbata pozostawiła w moim gardle, i to, jak płyn się gromadzi w żołądku.

Proboszcz uśmiechnął się, patrząc, jak Wysłannik z zachwytem gładzi się po brzuchu. Był niczym dziecko bawiące się nową zabawką. Ostrożność, z jaką odstawił filiżankę, jakby to była próbówka, czy też staranność, z jaką wycierał się serwetką, zdradzały brak wprawy w posługiwaniu się pożyczonym ciałem, dramatyczną niemal delikatność, którą mógł wymazać jedynie upływ lat.

– To dobre ciała – pochwalił szczerze ojciec Brenner. – Ograniczone w percepcji świata przez prymitywne zmysły, lecz zdolne do ogromnego delektowania się tymi niewielkimi przyjemnościami, jakich są w stanie zaznać. A cejlońska herbata jest pyszna. Poza tym teraz można ją pić bez ryzyka. Do niedawna z powodu wylewanych prosto do wody ścieków można się było nabawić tyfusu, zapalenia wątroby lub cholery, pijąc z takiej niewinnej filiżanki. Oczywiście żadnego z nas te choroby nie mogą zabić, ale zapewniam cię, że każda dolegliwość zamieszkiwanych przez nas ciał jest dość nieprzyjemna.

Wysłannik machinalnie pokiwał głową i flegmatycznie rozejrzał się wokół, oglądając kielichy, mszały i szafę, w której wisiały ornaty oraz sutanny.

– Niezależnie od tego, co przecierpiałeś, wygląda na to, że dochrapałeś się całkiem niezłej pozycji w ziemskich strukturach społecznych – stwierdził po tych oględzinach, niedbałym ruchem ręki zakreślając całe pomieszczenie. – Spójrz, dokąd dotarłeś: na szczyt Kościoła anglikańskiego, reprezentującego oficjalną religię Anglii i Walii. A może informacje zapisane w umyśle mego gospodarza są błędne?

– Nie, nie, panie. Wszystko się zgadza – pospieszył z zapewnieniem proboszcz, nie wiedząc, czy komentarz Wysłannika był wyrzutem czy pochwałą.

Przypomniał sobie wówczas dzień swoich ludzkich „narodzin”, o którym opowiedzieli mu jego rodzice żyjący w Marylebone jako skromne małżeństwo sklepikarzy.

Tydzień po tym, jak matka go urodziła – z pomocą akuszerki równie mało ludzkiej jak oni, która po porodzie obwieściła sąsiadom, że dziecko przyszło na świat martwe – ojciec dowiedział się o przybyciu do parafii młodego pastora i jego ciało natychmiast uznał za idealne dla nowo narodzonej larwy ukrytej w sypialni na strychu. Ściągnął duchownego do domu, mówiąc, że jego matka jest bliska śmierci i potrzebuje ostatniego namaszczenia. „Co o nim sądzisz, moja droga? – zapytał. – Ma młode, zdrowe ciało, a w dodatku zajmuje w społeczeństwie pozycję, która postawi nas w dobrym świetle” – rzekł do małżonki ku konsternacji pastora, a gdy ten zapytał, co ma na myśli, kobieta odparła: „Nic, co mogłoby ojca obchodzić”, po czym zaprosiła go na górę, gdzie rzekomo umierała jej teściowa. W rzeczywistości, rzecz jasna, znajdowała się tam larwa wyczekująca niecierpliwie ciała, w którym miała spędzić swój ziemski żywot. Ledwie młody proboszcz rzucił okiem na ów niespodziewany i przerażający widok, poczuł, jak w jego plecach aż po rękoność zanurza się ostrze noża. Po wykorzystaniu krwi zakopali ciało w ogrodzie, a po upływie zaledwie godziny, której potrzebował na zapoznanie się z ludzką powłoką, nowo narodzony pastor Brenner udał się do kościoła, by nim zarządzać, zgodnie z życzeniem

swego ojca oferując pozaziemskim kolonistom nowe miejsce spotkań, lecz nie zapominając o pełnieniu funkcji tradycyjnego proboszcza. Z tej ostatniej pracy był szczególnie dumny, nie była bowiem łatwa, i bardzo chciał to okazać Wysłannikowi, który po raz kolejny pograżył się w wyczekującym milczeniu.

– Muszę przyznać, że od pewnego czasu sprawy się komplikują – wyjaśnił pouczającym tonem, nalewając mu kolejną filiżankę herbaty. – Na obszarach zajmowanych przez irlandzkich emigrantów rośnie siła Kościoła katolickiego. Prawdziwym zagrożeniem jest jednak kryzys wiary. Z powodu nieścisłości historycznych coraz trudniejsza staje się dosłowna interpretacja Biblii, księgi, w której zawarte są wszystkie ludzkie wierzenia.

– Naprawdę? – zapytał ze znużonym uśmiechem Wysłannik, unosząc filiżankę do ust.

– Tak. Biblia zakłada, że świat istnieje zaledwie od sześciu tysięcy lat, co może podważyć każdy geolog. Dopiero jednak teoria ewolucji ogłoszona przez człowieka o nazwisku Darwin uderzyła w serce chrześcijańskiej doktryny, desakralizując sam akt stworzenia. – Wysłannik przyglądał się pastorowi z uśmiechem pełnym pychy, lecz milczał, więc duchowny postanowił kontynuować. – Teologowie naszego Kościoła próbują pokazać, że są bardziej otwarci na teorie naukowe, a nawet domagają się reinterpretacji biblijnych tekstów. Na próżno: zło już zostało wyrządzone. Stopniowa sekularyzacja społeczeństwa dzieje się na naszych oczach i musimy się z nią pogodzić. Codziennie pojawiają się nowe rozrywki, które kradną nam wiernych. Słyszałeś o rowerze. Wyobraź więc sobie, że nawet ten głupi grat stał się naszym wrogiem. Kiedy przychodzi niedziela, ludzie wolą się udać na przejażdżkę za miasto niż słuchać moich kazań.

Wysłannik odstawił filiżankę na spodek, jakby ważyła tonę, i przekrzywił głowę, rozbawiony niesmakiem pastora.

– Bierzesz to sobie do serca, jakbyś był prawdziwym proboszczem – zauważył z odrobiną udawanego zdziwienia.

– A czyż nim nie jestem? – odparł ojciec Brenner i natychmiast pożałował swojej śmiałości. – To znaczy... cóż, panie, nie znam innego świata niż ten. Gdyby nie fakt, że mój prapradziadek nie narodził się na tej planecie, mógłbym się uważać za Ziemięanina. – Na widok surowego oblicza Wysłannika uśmiech zamarł pastorowi na ustach, a dłonie zwilgotniały. – Może nie potrafiś sobie wyobrazić tej sytuacji, panie – kontynuował służalczym tonem – ale długie i bolesne oczekiwanie zmusiło nas do wtopienia się w ich społeczność do tego stopnia, że trudno nam dziś... być kosmitami.

– Kosmitami – powtórzył z uśmiechem Wysłannik.

– Tak nas nazywają – wyjaśnił duchowny.

– Wiem – uciął gniewnie przybysz, jakby chciał powiedzieć, że od teraz koniec z pobłażliwością wobec ludzkich przywar. – I muszę przyznać, że arogancja tej rasy nie przestaje mnie zadziwiać.

To rzekłszy, przymknął oczy, jakby się modlił. Proboszcz zrozumiał, że jego zwierzchnik słyszy napływających do kościoła przybyszów.

– Nadciągają nasi bracia – powiedział bez potrzeby.

– Tak, ojcie, czuję rozemocjonowany gwar ich umysłów.

– Trudno się dziwić – usprawiedliwił współbraci duchowny, który pomimo potwornego zdenerwowania zachowaniem Wysłannika poczuł się w obowiązku bronić swoich. – Zbyt długo czekaliśmy. Konkretnie od XVI wieku według ziemskiej rachuby,

kiedy to przybyli na Ziemię nasi przodkowie.

– Twoim zdaniem to długo? – zapytał Wysłannik nieodgadnionym tonem, który mógł oznaczać szczerą ciekawość lub też zawierać ukrytą groźbę. Pastor podejrzewał to drugie. Mimo to nie mógł się powstrzymać od kontynuowania wymówek, choć był na tyle ostrożny, by czynić je z wielkim szacunkiem w głosie.

– Tak, panie. Jak wspominałem, jesteście piątym pokoleniem – oznajmił z powagą. Rozumiesz zapewne, że planeta, z której przybyli nasi przodkowie, stała się dla nas niemal legendą. Moja matka umarła, nim jej ziemski żywot nabrał sensu. Podobnie mój dziadek... My jednak mamy szczęście – dodał pospiesznie. – Ziszczą się nasze marzenia o przybyciu Wysłannika i sprowadzeniu na Ziemię naszej rasy.

Wysłannik tylko uśmiechnął się sarkastycznie, jakby nie wzruszały go ani cierpienia, ani rozkosze ziemskich towarzyszy. Wtedy pastor porzucił całą ostrożność.

– Mój prapradziadek dla zdobycia ciała zabił Ziemię, który nosił ryngraf! – wykrzyknął, jakby ten ozdobnik noszony pod szyją lepiej niż cokolwiek innego ilustrował długość wyczekiwania. – Od tamtej pory żyjemy ukryci pośród nich, rozmnażając się potajemnie między sobą, by przetrwać, a przede wszystkim pilnując machin wojennych, które ukryli pod ziemią nasi przodkowie.

– Ojciec Brenner – przerwał mu pojednawczo Wysłannik – zapewniam cię, że nie musisz mi opowiadać wszystkich waszych przygód. Jestem świadom ogromnej pracy wykonanej przez ziemską kolonię, gdyż osobiście zajmowałem się oceną niektórych raportów o warunkach panujących na planecie, które tak regularnie nam przysyłałicie. I bądź pewien – dodał, złowrogo świdrując proboszcza wzrokiem – że gdybym nie był zadowolony z waszych dokonań, zaproponowałbym Radzie eksterminację tutejszej kolonii i wysłanie nowej grupy.

– Oczywiście, oczywiście – odparł pospiesznie przestraszony ostatnią sugestią duchowny. – Każdego wyznaczonego dnia zbieraliśmy się tutaj, w moim kościele, i łączyliśmy umysły, by posyłać wam wieści poprzez kosmos. To był nasz obowiązek, panie, i skrupulatnie go wypełnialiśmy. – Zrobił przerwę, z całą pewnością zastanawiając się, czy coś dodać, czy może lepiej zachować to dla siebie. W końcu, głaszcząc z wahaniem filizankę, dokończył nerwowo: – Choć muszę przyznać, że cały czas karmiliśmy się nadzieją, iż za którymś razem otrzymamy odpowiedź z ojczywej planety. Tak się jednak nie stało... Mimo to wypełnialiśmy swoją powinność, posyłając raporty o planecie, którą się opiekowaliśmy, do milczącego świata, w nadziei że świat ów wciąż istnieje i odbiera butelki, które regularnie wrzucamy w ocean uniwersum. Czy nie na tym polega wiara?

– Jak ci wiadomo, badacze kosmosu są ochotnikami. Dla dobra rasy godzą się na taki los ze wszystkimi jego konsekwencjami – odparł z lekką irytacją Wysłannik, oddalając pretensje proboszcza. – Muszą też uczulać swych potomków, by nie żywili tak bardzo widocznego u ciebie żalu, który jednak wybaczam, biorąc pod uwagę fakt, że jak wspominałeś, należysz do piątego pokolenia.

– Jestem ci wdzięczny za zrozumienie – odparł posłusznie pastor, dochodząc do wniosku, że zbyt wiele już ryzykował, zarówno skargami, jak i tak wyraźnym okazywaniem swojej sympatii dla ludzkości. Bardzo niebezpiecznie było irytować Wysłannika, a poprzez niego Radę i samego Imperatora. Kimże był, by się na to porywać? Ochotnikiem w piątym pokoleniu; nikim. Kontynuował więc najpokorniejszym z możliwych tonów: – Zapewniam, panie, że nie zamierzałem wywoływać takiego wrażenia. W ostatnich raportach informowaliśmy jednak o naszym trudnym położeniu.

Jak zapewne wiesz, dogorywamy. Coraz trudniej nam się rozmnażać i coraz częściej umieramy młodo. Powietrze tej planety zawiera coś, co nam szkodzi, lecz nie wiemy, co to takiego, bo jak zapewne rozumiesz, brak nam wiedzy pozwalającej na zbadanie tego.

– Rozumiem twoją desperację – przerwał mu Wysłannik z miną sugerującą, że ma tej dyskusji serdecznie dość. – Okazujesz jednak wielką naiwność, sądząc, że dramatyczna sytuacja kolonii zdoła poruszyć ojczystą planetę. Cóż znaczy garść istnień wobec losu całej rasy? Wiesz przecież, że nasze przemieszczanie się wynika z procesu selekcji: pierwszeństwo mają najlepsze planety, a Ziemia nigdy do nich nie należała.

– W takim razie sprawy muszą wyglądać bardzo źle, skoro obecnie uznaje się ją za najlepszą opcję – zauważył z goryczą proboszcz. – Czyżby nie pozostała nam już żadna z tych lepszych planet?

– Obawiam się, że nie – nieco posępnie przyznał Wysłannik. – Niszczą się coraz szybciej. To prawie nieuniknione, biorąc pod uwagę naszą ciągłą ewolucję.

– Cóż, najważniejsze, że przybyłeś w odpowiednim momencie – podsumował pojednawczo proboszcz. – Nie tylko dlatego, że to uratuje naszą kolonię. Ziemską nauka czyni zadziwiające postępy. Jeszcze parę wieków i podbój planety mógłby się okazać niezmiernie trudny.

– Nie przesadzaj, ojcze. Tak zwana „rewolucja przemysłowa” to jakieś żalosne wymysły. Nie mam wątpliwości, że bez trudu zetrzemy tubylców w proch – oznajmił zdecydowanym tonem Wysłannik. – Tak czy owak, jak pewnie wiesz, powinienem był przybyć znacznie wcześniej.

– W istocie. Twój sygnał odebraliśmy przed sześćdziesięcioma ośmioma laty – przytaknął pastor. – Liczyłem wtedy zaledwie kilka miesięcy... Potem jednak sygnał umilkł. Nie mieliśmy pojęcia, co się stało. Zdumieliśmy się, słysząc go ponownie, i to tutaj, w Londynie.

– Jestem tego świadom, lecz podróżowałem z przygodami – wyjaśnił Wysłannik. – Jeden z silników mego statku zepsuł się po wejściu w atmosferę ziemską, zmuszając mnie do awaryjnego lądowania na Antarktydzie. Tam próbowałem się dostać na ludzki statek, by dotrzeć nim do cywilizacji, ale przekłety Ziemianin, niejaki Reynolds, pokrzyżował mi plany i zostawił mnie zamrożonego w lodzie. Dlatego przestałem nadawać.

– Rzeczywiście ostatnim, co słyszeliśmy, było twoje wołanie o pomoc – rzekł proboszcz, w głębi duszy podziwiając człowieka, który przynajmniej na kilka dekad wyłączył Wysłannika z walki.

– To był okrzyk furii, ojcze – odparł szorstko jego rozmówca. – Ten cały Reynolds próbował ze mną pertraktować. Zarozumialec jeden! Nie miał pojęcia, że jego ziomkowie potrzebują jeszcze tysięcy lat ewolucji, by móc z nami rozmawiać. Czy oni rozmawiają ze swoimi karaluchami, zanim je rozdepczą? Śmiem wątpić! – huknął Wysłannik, uderzając pięścią w stół. Potem prychnął i uspokoił się nieco. – Zapomnijmy jednak o tym przykrym zdarzeniu. Wygląda na to, że inni ludzie wydobyli mnie z lodu i przywieźli tu wraz z moim pojazdem. Dlatego udało mi się odzyskać to.

Wyjął z kieszeni marynarki cylindryczną szkatułkę, położył na stole i delikatnie pogładził umysłem. Pokryte symbolami wieczko uniosło się, ukazując coś przypominającego maleńkie klejnoty o turkusowej barwie.

– To uruchamia maszyny wojenne?

Wysłannik przytaknął z teatralnym smutkiem.

– A więc za kilka dni niebo spadnie nam na głowę – mruknął ponuro proboszcz.

– W istocie, ojczu, w istocie.

Patrzeli na siebie jak sfinksy w niezręcznym milczeniu.

– Ciekawi mnie jedno, ojczu – odezwał się w końcu Wysłannik, w którym uległość duchownego obudziła chęć dalszej konwersacji. – Czy Ziemianie podejrzewają, że w kosmosie istnieje życie, czy też są jedną z tych ras, które uważają się za pępek wszechświata?

Proboszcz uśmiechnął się gorzko.

– Mając na względzie naszą sytuację, z prawdziwym zainteresowaniem przyglądałem się tej kwestii i mogę powiedzieć, że człowiek od najdawniejszych czasów podejrzewa istnienie życia na innych planetach, choć jego pragnienie badania kosmosu jest, by tak rzec, stosunkowo nowe. Jeszcze kilka wieków temu zadowalał się marzeniem o nim, lecz teraz, dzięki postępom techniki, zaczyna je uważać za możliwe, na co wskazują coraz liczniej ukazujące się powieści o tematyce kosmicznej, których lekturze, jak sobie zapewne wyobrażasz, nie zdołałem się oprzeć. – Wstał, podszedł do witryny z książkami, które Wysłannik pomylił z mszałami, wybrał kilka i położył na stole. – To jedna z pierwszych książek zdradzających ludzki niepokój związany z kosmosem. Opowiada o olbrzymiej armacie, która wystrzelała w kierunku Księżyca pocisk z załogą.

Wysłannik wziął podany mu tom i przyjrzał mu się bez wielkiego zaciekawienia.

– Juliusz Verne, *Z Ziemi na Księżyc* – przeczytał.

Proboszcz skinął głową i wskazał stosik książek na stole.

– Jak widzisz, panie, lubię trzymać rękę na pulsie pragnień Ziemian, a przede wszystkim być na bieżąco z ich wyobrażeniami o nas. Zapewniam cię, że wiele z tych powieści rozbawiłoby cię do łez.

– Nie wątpię – mruknął sceptycznie Wysłannik.

– Być może też zainteresuje cię wieść, że nasza inwazja nie będzie dla nich całkowitym zaskoczeniem – rzekł z uśmiechem proboszcz, po czym zamyślił się, wpatrzony w zwierchnika. – Zresztą może już to wiesz. Tak, pewnie tak.

– A niby dlaczego tak sądzisz?

Na twarzy duchownego odmalowało się zdziwienie.

– Można powiedzieć, że wiele osób bierze pod uwagę inwazję dzięki człowiekowi, którego nazwisko musi ci się wydać znajome – powiedział, biorąc inną książkę ze stosu.

– H.G. Wells, *Wojna światów* – przeczytał Wysłannik, nie pojmując, do czego zmierza proboszcz.

– Nie rozpoznajesz tej książki, panie? Napisał ją człowiek, którego postać przybrałeś! – wyjaśnił.

– Ja jestem autorem tej książki?

– Jest nim człowiek, w którego się wcieliłeś – poprawił Brenner. – H.G. Wells. Postać bardzo w Anglii znana i ceniona. Czyjego umysł nie zawiera tych informacji?

– Muszę ci wyznać, że umysł tego człowieka wywołuje we mnie wielki... niepokój – powiedział z pewnym zawstyżeniem Wysłannik. – Ma w sobie coś dziwnego, czego nie odczuwałem w przypadku poprzednich powielonych umysłów. Staram się więc nie wnikać w jego wspomnienia głębiej, niż to konieczne... tym bardziej że nie wydają mi się zbyt ciekawe – zakończył buńczucznie.

– To istotnie dziwne... Choć znam przypadki naszych współbraci, którzy nie potrafili się odnaleźć w zajętych ciałach do tego stopnia, że musieli je zmienić na inne. To rzadkość, ale się zdarza – uspokajał go pastor. – A więc nie wiesz także, że wcieliłeś się w pierwszego Ziemianina, który ośmielił się rzucić wyzwanie popularnej opinii.

– Jak to?

– W przeciwieństwie do większości swoich kolegów po fachu nie opowiada o Ziemianach przybywających na inne planety jako zdobywcy i znajdujących tam jedynie prymitywne, niezdolne się im przeciwstawić formy życia. W *Wojnie światów* Ziemię najeżdżają Marsjanie, mieszkańcy sąsiedniej planety.

– Marsa? – roześmiał się Wysłannik. – Przecież tam nie ma życia.

– Ale oni tego nie wiedzą... Jeszcze nie – odparł proboszcz. – Ich prymitywne teleskopy odkryły na powierzchni planety dziwne linie, które nazwali kanałami. Wielu astronomów sądzi, że Marsjanie są dogorywającą rasą, która wykorzystywała owe kanały do transportu wody z biegunów na pustynny równik.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiedzą, iż średnia temperatura na planecie jest zbyt niska, by woda nie zamrzła? – zdziwił się Wysłannik.

Proboszcz tylko wzruszył ramionami. Fałszywy Wells potrząsnął głową, po trosze rozbawiony, a po trosze rozczarowany, i zaczął przerzucać kartki trzymanej w ręku książki.

– I jak nas opisuje ten cały Wells? – zapytał po chwili. – Czy choć w minimalnym stopniu wyobraża sobie, jacy jesteśmy?

– Ależ skąd! – odparł pastor, po czym dodał z pewnym zażenowaniem: – Prawdę powiedziawszy, w jego oczach jesteśmy podobni do pewnego gatunku ziemskiej fauny morskiej.

Wysłannik znów pokiwał głową, zafascynowany tym wszystkim jak dziecko.

– Jak więc twoim zdaniem nas postrzegają, ojcze? – zapytał.

– Jak nas...?

– Kiedy nie przyjmujemy ich własnych postaci, myślisz, że widzą nas takimi, jacy naprawdę jesteśmy?

– Bardzo w to wątpię, panie. Obawiam się, że nasz wygląd jest dla nich niezrozumiały. Pamiętaj, że nigdy nikogo takiego nie widzieli. Nie jesteśmy ani zwierzętami, ani roślinami, ani minerałami, ani nawet kombinacją tego wszystkiego; jesteśmy dla nich czymś zupełnie nowym. Po prostu wymykamy się parametrom ich pojmowania.

– Ale w jakiś sposób muszą nas widzieć, prawda? Zajmujemy miejsce, emitujemy dźwięki, zapach... – tłumaczył Wysłannik.

– Przypuszczam, że aby uniknąć popadnięcia w szaleństwo, porównują nas do tego, co najbardziej im przypominamy – spekulował ojciec Brenner. – A ponieważ jesteśmy dla nich czymś nieznanym, z pewnością nie jest to zbyt przychylna wizja. Tworzą sobie obraz czegoś potwornego, ze szponami, mackami, kłami... Musimy być ohydną mieszkanką wszystkiego, czego się boją. Możliwe nawet, że każdy z nich widzi nas inaczej w zależności od tego, co go najbardziej przeraża. Zdziwiłbyś się, panie, jak różne lęki potrafią zaważać ludzkim sercem: jedni boją się pajaków, inni gadów, jeszcze inni smoków... Potrafią się nawet obawiać papki z groszku, jeśli w dzieciństwie niania zmuszała ich do jej spożywania. Tak działają ich umysły.

– Możliwości są nieskończone – mruknął Wysłannik – lecz zawsze potworne...

– Oczywiście. Dlatego nasi naukowcy tak nas przygotowali, byśmy mogli przybierać postać dowolnego człowieka, pobierając dane z jego krwi.

Wysłannika wyraźnie bawił fakt, że Ziemianie postrzegają go jako najgorszą z możliwych do wyobrażenia rzeczy. Jemu bowiem tymczasowi mieszkańcy tej planety jawili się jako równie przerażający w swojej potwornej, zarozumiałej nijakości.

– I udaje im się, ojczy? Udaje się tym Marsjanom podbić Ziemię? – zapytał, wskazując książkę Wellsa.

– Tak – odparł pastor. – Dysponują technologią znacznie przewyższającą ludzką. Na podobój planety wystarcza im kilka dni.

– W takim razie ten cały Wells jest najrozsądniejszym Ziemianinem, jakiego do tej pory poznałem – stwierdził z podziwem Wysłannik.

– Jakież to poetyckie, że się w niego wcieliłem.

– To nie koniec, panie. Wells odgadł również, gdzie są ukryte nasze maszyny – wyjawiał Brenner. – Wyobraź sobie, co czułem, gdy przeczytałem, że Ziemianin odkrył położenie większości z nich.

– Cóż, ojczy, chyba lepiej niż ktokolwiek zdajesz sobie sprawę, że Ziemianie nie nauczyli się jeszcze w pełni wykorzystywać swoich umysłów. Obecnie korzystają jedynie z ułamka mózgu; dlatego potrzebowaliby tysiące lat ewolucji, by móc wykorzystać cały swój potencjał i nam dorównać. A my, rzecz jasna, nie damy im takiej szansy. Podejrzewam jednak, że owa niedoskonałość nie przeszkadza niektórym nieco bardziej rozwiniętym ziemskim umysłom całkiem nieświadomie wyczuwać części kosmicznej energii, którą my swobodnie wykorzystujemy od tysiący lat. Dla naszej rasy przetwarzanie energii kosmosu jest czymś wrodzonym. Jak inaczej moglibyśmy się komunikować poprzez niezmierną przestrzeń albo tworzyć projekcje mentalne pozwalające ukazywać im się w innej postaci? Tak czy owak, wszystko to oczywiście wymyka się ludzkiemu pojmowaniu, choć jak już powiedziałem, niektóre ziemskie umysły mogą od czasu do czasu wylapywać zagubione fale naszej energii w sposób, którego same nie potrafią określić.

– To znaczy, że mogą na przykład przechwytywać nasze raporty? – zdumiał się pastor.

– Możliwe, choć następowałyby to w sposób zupełnie przypadkowy. Poza tym odczytaliby je jako inny rodzaj informacji: przecucia, obsesje, własne pomysły... Może to właśnie te przypadkowe przechwyty są dla nich źródłem natchnienia.

– Tak, to całkiem prawdopodobne – odparł duchowny, nie potrafiąc ukryć entuzjazmu, który odczuwał, ilekroć miał sposobność opowiadać o pewnych cudach czy osobliwościach, jakie zaobserwował u swoich ukochanych ludzi. – Ciekawi mnie na przykład, że często jakiś prąd filozoficzny, gatunek literacki czy teoria naukowa pojawia się jednocześnie w kilku różnych punktach Ziemi, choć inicjujące go osoby nigdy się ze sobą nie komunikowały. Thomas Edison, wielki amerykański wynalazca, zapytany o to, skąd czerpie pomysły, powiedział, że unoszą się w powietrzu i gdyby on ich nie wylapał, zrobiłby to ktoś inny. „Pomysły unoszą się w powietrzu”... Nie wydaje ci się, że to poetycki sposób na opisanie energii kosmosu?

– Być może, choć nasz drogi Wells wydaje się nie żywić do tego całego Edisona ani krzty sympatii – odparł Wysłannik, dając rozentuzjazzowanemu rozmówcy znak, by pozwolił mu pomyśleć. – Ciało, w którym teraz mieszkam, posiada naprawdę osobliwy umysł, niezwykle interesujący jak na zwykłego Ziemianina. Z całą pewnością Wells przechwycił część naszych rozmów i z niej zaczerpnął pomysł na swoją powieść.

– Tak myślisz, panie? Wątpię, czy jest zwykłym medium. To człowiek inteligentny i tak utalentowany, że...

– Nawet jeśli – przerwał mu Wysłannik – to nie potrzeba wielkiej inteligencji, by odkryć kryjówkę naszych maszyn. Wystarczy być dobrym strategiem. Gdzie niby mielibyśmy je ukryć, jeśli nie wokół największej metropolii planety, którą zamierzamy

podbić?

– Pewnie masz rację – odparł zrezygnowany proboszcz.

– Cóż, ojcie, mam nadzieję, że nie odgadnie położenia naszej kryjówki, która pewnie już wkrótce i tak przestanie nam być potrzebna.

– Oczywiście, panie – przytaknął pospiesznie Brenner. – Mieliśmy dość czasu, by się przygotować.

– Doskonale, ojcie. Stamtąd będę dowodził atakiem. A potem na zgliszczach zbudujemy na nasz obraz i podobieństwo nowy Londyn. Londyn, który stanie się stolicą nowego imperium. Olśniewający Londyn, który będzie czekał na przybycie Imperatora.

Proboszcz przytaknął w zamyśleniu. Kilka sekund milczał, po czym zapytał, starając się nie okazywać niepokoju:

– Zabiłeś go?

– Kogo?

– Wellsa.

– A. Nie, nie mogłem – odparł Wysłannik, machając lekceważąco ręką. – Przypadkiem zdobyłem odrobinę jego krwi.

– Cieszę się – rzekł z ulgą ojciec Brenner. – Jak sam zauważyłeś, to jeden z najbardziej... wyjątkowych umysłów na Ziemi.

– Owszem, choć nie w tym sensie, który masz na myśli – zauważył tajemniczym tonem Wysłannik.

– Jak to?

– Nie wiem, jak to wyjaśnić... – Wysłannik pełnym zadumy gestem przyglądał wężom.

– W tym umyśle jest coś dziwnego. Coś, czego nie miały umysły innych ciał, które powieliłem. Jakby miał jakąś dodatkową funkcję. Guzik, którego dotąd nie nacisnął. Nie mam zielonego pojęcia, do czego służy, ale budzi we mnie niepokój, obawę przed zagłębianiem się w meandry umysłu tak bardzo, jak bym chciał. Ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że to poczucie zagrożenia, gdyby nie fakt, że żaden Ziemianin nie może nam zagrozić.

Proboszcz przyglądał mu się z zaciekawieniem, nie wiedząc, co odrzec.

– Cóż, jutro to i tak przestanie być ważne – podsumował wreszcie, wstając i zabierając książki. – Zapewne mimo swojego zagadkowego mózgu zginie podczas inwazji wraz z większością ludzi.

Wysłannik przyglądał się, jak duchowny z żalem ustawia książki z powrotem w gablocie, a nawet uśmiechnął się z aprobatą, gdy ten wrócił na miejsce.

– Zalecałbym ci zmianę perspektywy, ojcie – rzekł. – Nie zapominaj, że kieruje nami instynkt przetrwania całej rasy.

– Nie zapominam – mruknął ponuro Brenner.

Wysłannik z powagą pokiwał głową.

– Ponadto dzięki temu Ziemianie nie rozleżą się po całym kosmosie jak szkodliwy wirus – dodał wesoło.

Proboszcz powstrzymał gorzki śmiech.

– Pewnie oni postrzegaliby tak nas, gdyby wiedzieli o naszym istnieniu: jako wirus ukryty w tkance świata.

– Chyba za bardzo się do nich przywiązałeś – ofuknął go surowo Wysłannik.

– To nieuniknione – wymamrotał proboszcz, wzruszając ramionami jak dziecko, które po wysłuchaniu zbyt długiej reprymendy nie ma już nic do stracenia. – Urodziliśmy się i dorastaliśmy wśród nich. A oni mimo swych ograniczeń są tacy... wyjątkowi. Są

moimi owieczkami.

– Ja tam widzę tylko, że są wytrzymali – odparł Wysłannik, nie przejmując się lamentami pastora. – Będą świetnymi niewolnikami. A ich umysły aż buzują od energii. Będą bardziej przydatni, niż sami mogliby sobie wyobrazić. Nie rozpaczaj po nich, ojcze. Ile stuleci mogliby przetrwać, nim wyczerpią swoje zasoby i sami doprowadzą się do zguby? Trzy, cztery? Cóż to jest w porównaniu z wiekiem wszechświata?

– Może z tej perspektywy to tylko mgnienie oka, ale dla nich oznacza wiele pokoleń, całą historię – odparł uparcie ojciec Brenner.

– Uratowaliby się jedynie ucieczką do innego świata, tak jak my – rzekł Wysłannik, starając się powściągnąć zniecierpliwienie. – Myślisz, że ich nauka zdąży się dostatecznie rozwinąć, by wynieść ich w kosmos? A jeśli tak, to co tam znajdą? Tylko zgliszcza, zniszczone planety, doszczętnie wyeksploatowane światy. Okruchy z bankietu. Dobrze wiesz, że inne rasy robią to samo co my. W gruncie rzeczy pytanie jest bardzo proste: my czy oni? i nie ma żadnego boga, który mógłby zdecydować, którzy z nas zasługują na zwycięstwo. Cokolwiek mogłoby się komuś wydawać, jesteśmy sami. Bezbronni. Nikt nie wie, co mamy robić, jaką partię szachów rozgrywamy ani dla kogo.

– My czy oni – mruknął z goryczą proboszcz.

– Tak, ojcze: my czy oni – przytaknął Wysłannik. Potem przyjrzał się duchownemu z zaciekawieniem. – Czyżbyś uważał ich za modelową cywilizację, której zagłada będzie niepowetowaną stratą?

Ojciec Brenner ociągał się z odpowiedzią.

– Nie – odparł z nutką bólu w głosie. – Toczą ze sobą wojny, popełniają zbrodnie, dokonują mordów w imię absurdalnych ideologii i wymyślają mściwe bóstwa, by czuć się mniej samotni.

– W takim razie musimy to być my – podsumował Wysłannik, wstając energicznie. – I wolałbym nie myśleć, że stoisz po ich stronie. Wiesz, że tak czy owak podbijemy Ziemię. A wtedy możesz liczyć na dobrą posadę... pod warunkiem że wystawię ci pozytywną opinię. Pamiętaj o tym.

– W takim razie masakrujemy ich – mruknął zrezygnowany proboszcz, pochylając głowę i w geście szacunku łącząc dłonie na jej czubku.

– Nie, ojcze – odparł niemal słodko Wysłannik, odwracając się doń plecami i powolnym krokiem zmierzając ku łukowatemu przejściu wiodącemu do kościoła. Przystanął, zamknął oczy i nasłuchiwał. Gdy znów się odezwał, głos miał odległy i słaby, jakby przynosił go wiatr. – Nie zapominaj, że będzie to masakra jedynie z ich punktu widzenia. Kosmos nie kieruje się absurdalną ziemską moralnością.

Proboszcz opuścił dłonie i z przygnębioną miną położył je na kolanach. W zakrystii zaległa podniosła cisza, która nie zdołała jednak wyłączyć gwaru wytwarzanego przez umysły kolonistów. Wysłannik wciąż stał z przymkniętymi oczami, a na jego pożyczonych wargach powoli wykwitał melancholijny uśmiech.

– Przyszli już wszyscy, panie – oznajmił nieśmiało proboszcz. – Czekają niecierpliwie.

Wysłannik skinął głową i obrócił się z powrotem do niego, otwierając oczy.

– Chodźmy zatem. – Uśmiechnął się i zapiął marynarkę. – Dość już kazaliśmy im czekać, prawda?

Duchowny niechętnie odwzajemnił uśmiech. Wstał z za stołu i poprowadził Wysłannika do kościoła, udając podekscytowanego tym, na co się przygotowywali, odkąd pierwszy z ich braci dotarł na Ziemię, a co teraz się ziściło. Gestem przepuścił

zwierzchnika – ten uniósł głowę i odsunawszy zasłonę, przeszedł z zakrystii do kościoła z największą godnością, na jaką pozwalała mu ziemską powłoka. Ponownie rozległ się gwar, tym razem wydobywający się z setek gardeł zgromadzonych tam rozradowanych ludzi. Ławki i przejścia zajmował szeroki wachlarz osób różniących się przynależnością klasową i indywidualnymi cechami, lecz połączonych identycznym nabożnym spojrzeniem. Wysłannik powoli uniósł rękę, a czerwony poblask witraży przydał temu gestowi patosu. Potem mężczyzna ceremonialnym krokiem podszedł do ołtarza, oparł na nim dłonie i zwrócił się do kolonistów:

– Przede wszystkim, bracia i siostry, proszę was o wybaczenie mego niemal siedemdziesięcioletniego spóźnienia. Niełatwo było tu dotrzeć, lecz w końcu się udało. Wam zaś przypadła w udziale realizacja marzenia waszych przodków: jutro zdobędziemy Londyn!

XXIV

Wróćmy jednak do prawdziwego Wellsa, z którym rozstaliśmy się w chwili, gdy obejmując mocno pannę Harlow wewnątrz luksusowego powozu z pompatycznym „G” widniejącym na jednych drzwiach, podążał na spotkanie marsjańskiego trójnogu z szalonym zamiarem przejechania pomiędzy jego odnóżami. Mam nadzieję, że zdołacie mi wybaczyć, iż pozostawiłem go w tak niezręcznej sytuacji; uznajcie to, proszę, za pokorny hołd złożony przeze mnie wytycznym popularnej w czasach Wellsa powieści w odcinkach, mającym na celu zmuszenie czytelników do zakupu kolejnej części, jeśli chcieli znać zakończenie sceny, które za moment, rekompensując anielską cierpliwość, wam opowiem. Gdy podskakujący gwałtownie powóz skracał dystans dzielący go od zabójczej maszyny, pisarz zacisnął zęby w obawie, że lada chwila dosięgnie ich snop ognia. Zdażył jednak zadać sobie pytanie, czy poczują ból, czy też spalą się tak szybko, że nie zdążą zrozumieć, iż giną. Pieszczota śmierci jednak nie nadchodziła. Zaskoczony, że machina nie strzela, Wells otworzył oczy i spojrzał w boczne okienko, przekonany, że to jego ostatnia chwila – ale ujrzał za szybą nogę pojazdu mijającą ich w tak bliskiej odległości, że wyrwała jedną z lewych lamp. Sekundę później usłyszał za plecami ogłuszający huk. Powóz podskoczył, a Murray wydał dziki okrzyk triumfu. Wells obejrzał się przez ramię i zobaczył w tylnym okienku wielki lej utworzony w drodze przez promień. Z mieszaniną ulgi i euforii pojął, że macka zbyt długo zwlekała ze strzałem. Szybkość, jaką milioner narzucił koniom, zaskoczyła wehikuł, nie dając mu dość czasu na przymierzenie się do strzału. Jasne było, że z każdą chwilą maleją szanse trójnogu na oddanie drugiego strzału, bo zgodnie z przewidywaniami Murraya nie potrafił manewrować tak szybko jak oni. Pisarz zauważył, że zabójczy artefakt usiłuje zawrócić na środku drogi niczym niezdarny tancerz, i pojął, że zanim to uczyni, powóz już dawno zniknie mu z celowników. Wycieńczony stresem, obrócił się na siedzeniu i delikatnie unióś głowę wtulonej wciąż w niego dziewczyny.

– Udało się, panno Harlow, udało się... – bełkotał zdławionym głosem.

Dziewczyna wyprostowała się i wciąż przestraszona wyjrzała przez okno. Przekonała się, że istotnie zdołali przejechać pomiędzy odnóżami trójnogu, który zrezygnował z pościgu i oddalał się w kierunku Woking, malejąc z każdą chwilą.

– Nic wam nie jest? – zawołał Murray.

– Nic, przekłety wariacie! – odkrzyknął Wells, nie wiedząc, czy powinien się wściekać, czy wybuchnąć histerycznym śmiechem, który narastał mu w gardle.

W końcu nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Po prostu opadł ciężko na ławkę i usiłował uspokoić rozszalały puls. Stanęli oko w oko ze śmiercią, lecz nie zginęli. To był, a przynajmniej powinien być, powód do radości. Wells zerknął na agenta Clayтона, wciąż rozciągniętego jak długi na przednim siedzeniu i wyglądającego, jakby śnił przyjemny sen, kompletnie nieprzystający do koszmaru, jaki przeżyło jego ciało. Pisarz odetchnął parę razy i wymienił porozumiewawcze spojrzenia z dziewczyną. Milczeli przez kilka minut, usiłując dojść do siebie, zdyszani i wdzięczni losowi, jakby udało im się odzyskać dusze, które omal nie wyfrunęły z piesi niczym przestraszone gołębie. Powóz tymczasem kontynuował jazdę, już spokojniej, skoro nie ścigał go żaden marsjański walec.

Potem, gdy już mogliby się odezwać, chęć odebrał im widok rozpościerający się za oknami. Mimo ciemności dało się zauważyć, że trójnog pozostawił za sobą obraz nędzy i rozpacz. Z mieszaniną przerażenia i fascynacji patrzeli, jak spopielone bory przeplatają się z tymi na wpół spalonymi, w których tu i ówdzie widać było jeszcze zagubione w

mroku małe ogniska barwiące powietrze na bursztynowo. Na skraju drogi zwalone domy od czasu do czasu ustępowały miejsca dymiącym, między którymi znienacka pojawiał się nienaruszony budynek, uratowany w wyniku niepojętego kaprysu maszyny. Po kilku minutach podróży przez monotonne pustkowia natknęli się na wykolejony pociąg, którego wagony, w większości spustoszone i płonące, przypominały ogromnego węża leżącego na trawie. Wokół widniało kilka dymiących lejów. Pasażerowie powozu nie potrzebowali światła, by wiedzieć, że garść rozrzuconych wzdłuż pociągu kształtów to pasażerowie, których ognisty snop dosięgnął podczas próby ucieczki.

Ledwie oddalili się od makabrycznego widoku, usłyszeli z daleka oddawane w regularnych odstępach strzały armatnie. Pewnie ścigający ich wcześniej trójnóg natknął się na baterię dział. Zastanawiając się, kto wygrywa, Wells spoglądał na ciąg zrównanych z ziemią domów, startych w pył szklarni i spalonych lasów świadczący o okrucieństwie, a może tylko obojętności kosmicznego wroga wobec człowieka.

Objechali Chobham i znów obrali kurs na Londyn. Zaczynało świtać. Tutaj nie było widać śladów pożogi. Najwyraźniej żaden trójnóg jeszcze tu nie dotarł, pomyślał z ulgą Wells. Londyn wciąż jest wolny.

Chwilę później, zobaczywszy w pobliżu drogi na Addlestone jakąś farmę, Murray zaproponował przerwę, sugerując, że jeśli konie nie odpoczną, mogą paść w najmniej oczekiwanym momencie. Oni też musieli się trochę przespać, a farma wydawała się odpowiednim do tego miejscem. Wszyscy się zgodzili, więc milioner zatrzymał powóz przed domem. Szybko się zorientowali, że właściciele nie ma: obok niewielkiej stodoły zobaczyli dwa powozy bez koni, a od wejścia do domu ciągnął się sznur narzędzi i przedmiotów osobistych, takich jak buty, łyżeczki, zegar ścienny i zdeptany kapelusz, jakby mieszkańcy uciekli w wielkim popłochu.

Wells i Murray pozostawili Emmę przy śpiącym jak dziecko Claytonie, a sami poszli na rekonesans. Dom był skromny, dwukondygnacyjny, ubogo umeblowany, z trzema sypialniami na piętrze. Obeszli wszystkie pokoje i nie znaleźli znaku życia, to zwolniło ich z nieprzyjemnej formalności proszenia o nocleg i konieczności dzielenia przestrzeni z mieszkańcami, bez wątplenia pragnącymi wymienić pogłoski o inwazji albo podzielić się z podróżnymi swymi lękami, na co Wells czuł się zdecydowanie zbyt zmęczony. Po obejściu domostwa napoili konie i zanieśli Claytona do głównej sypialni, gdzie znajdowało się największe łóżko. Postanowiono, że Wells zostanie z nim, na wypadek gdyby agent w którymś momencie się przebudził, a Emma i Murray będą spać w sąsiednich pokojach. Potem we troje zeszli do kuchni, by zaspokoić głód. Nieobecność mieszkańców miała jednak pewną istotną wadę: spiżarnia została doszczętnie opróżniona. Po wielkich poszukiwaniach podróżni zdołali znaleźć jedynie trochę czerstwego chleba i odrobinę na wpół spleśniałego sera, do którego spróbowania nikt się nie zniżył, jako że oznaczałoby to uznanie, iż znaleźli się w sytuacji gorszej niż ta, która rzeczywiście była ich udziałem. Rozczarowani rozeszli się do swoich sypialni, by spróbować przespać choć kilka godzin przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Wells wszedł do pokoju, który dzielił z agentem, raz jeszcze zbadał tamtemu puls i przekonał się, że żyje, zwałił się na posłanie obok niego. Zapomniał zasłonić okno, zza którego raziło go teraz ostre światło. Zbyt zmęczony, by wstać, próbował zasnąć mimo denerwującej jasności. W oczekiwaniu na sen przyglądał się nielicznym przedmiotom, które gospodarze zdecydowali się tu zostawić: rozklekotanej szafie, skromnej komodzie, poznaczonemu plamkami lustrem, lampce i świeczkom stojącym przy łóżku. Ta smutna próbka zapomnianych przedmiotów tak się różniła od tego, co na co

dzień go otaczało, że był zdumiony, iż ktoś mógł się wśród nich czuć swojsko i bezpiecznie. Istniały jednak osoby zmuszone walczyć z życiem tylko takim orężem, osoby zdążające ku śmierci w otoczeniu przedmiotów zionących wrogością. Pisarz leżał sztywno na materacu po swojej stronie łóżka, z rękoma przy ciele, starając się nie dotykać pościeli bardziej, niż było to konieczne, jakby i ona, i reszta osieroconych gwałtownie przedmiotów były parzącymi pokrzywami. Leżąc tak w otoczeniu oswojonej biedy, musiał przyznać, że inną rzeczą jest wyobrazić sobie niedostatki niższych klas, a inną stanąć oko w oko z posepną brzydotą, z którą ci ludzie żyli na co dzień, a o której on ani razu nie wspominał w garści artykułów domagających się praw dla tej sfery społecznej.

Jego wzrok spoczął na stojącym na komodzie zdjęciu ukazującym małżeństwo z dwójką małych dzieci patrzących w obiektyw z tą specyficzną podejrzliwością kogoś, kto nie do końca jeszcze porzucił przeświadczenie, że w wynalezieniu fotografii maczał palce diabeł. Mażonkowie o pospolitych twarzach i skromnym ubiorze trzymali dzieci za ramiona, jakby pokazywali najlepsze owoce ze swego ogrodu. Nieszczęsne dzieci mogły się były narodzić gdziekolwiek indziej, lecz koło fortuny rzuciło je na łono tej rodziny, skazując na harówkę na ziemi, na której pracowali ich przodkowie, a im nigdy nie przyszłoby do głowy zakwestionować taki bieg wypadków. Szczerze powiedziawszy, pomyślał Wells, ów brak aspiracji może im służyć jako doskonała ochrona przed mnóstwem innych nieprzyjemności, które ma do zaoferowania życie, a których one nigdy nie zaznają. Zadowolając się tym, co mają, nigdy nie wpadną na pomysł przeprowadzki do stolicy, gdzie bez wątpienia byłoby im znacznie ciężej, choćby dlatego, że na wsi mają przynajmniej czyste powietrze i ciepłe słońce. W mieście gnieździłyby się z podobnymi sobie w wynajętym mieszkanku w East Endzie i w każdej chwili mogłyby paść ofiarą gruźlicy, bronchitu lub tyfusu, a ich błyszczące oczy wiejskich dzieci gasłyby z każdym dniem harówki w fabryce za głodową pensję, zaś jedyną przyjemnością, na jaką mogłyby sobie pozwolić, byłaby pijatyka w obskurnej tawernie. Na swoje szczęście ci dwaj chłopcy, teraz będący zapewne zdolnymi, prostolinijnymi młodzieńcami, trafili do przyjemniejszej części piekła, bo to zapewne oni zajmowali dwie pozostałe sypialnie.

Oderwał wzrok od zdjęcia, zadając sobie pytanie, co skłoniło gospodarzy do opuszczenia domu – niewątpliwie jedyne miejsce na świecie, które mogli nazwać swoim. Czy przeraziły ich pogłoski o inwazji, prawdopodobnie podkoloryzowane przez sąsiadów? A jeśli tak, to jak przyjęły ich biedne umysły wieść, że wróg, który zaatakował ich kraj, przybył z kosmosu, z tego rozgwieżdżonego nieba, które zawsze uważali za czysto dekoracyjne tło? Zresztą teraz, niezależnie od pochodzenia społecznego i nagromadzonego majątku, wszyscy mieszkańcy Ziemi zostali sprowadzeni przez agresorów do poziomu uciekających szczurów.

Zasnął, myśląc o Jane.

Gdy się zbudził, agent Clayton wciąż spał obok. Wells podniósł się powoli, rozciągając zdrętwiałe mięśnie, i wyjął z kieszeni zegarek. Przespał około trzech godzin, choć nie czuł się tak wypoczęty, jak by chciał, być może dlatego, że sen na tym materacu nie był prawdziwym snem, lecz czymś w rodzaju jego parodii, kwalifikującej się co najwyżej jako niespokojna drzemka. Z drugiej strony trudno się było spodziewać, że ostatnie wydarzenia nie przenikną jakoś do snu i nie przeobrażą go w karuzelę niepokojących obrazów, które mogłaby rozszyfrować jedynie podświadomość. Teraz nie pamiętał żadnego z nich, choć spokój duszy już mąciło mu znajome nieprzyjemne uczucie spadania. Pamiętał natomiast, że słyszał przemierzający jego płytki sen niczym prąd

powietrza głos agenta Clayтона, nakazujący mu się zbudzić. Zdziwił się więc, widząc, że młodzieniec wciąż śpi u jego boku. Przyjrzał mu się z mieszkanką litości i zniecierpliwienia, zastanawiając się, czy długo jeszcze będą musieli go taszczyć, a nawet rozważając możliwość zbudzenia go na siłę, choć ostatecznie uznał to za niewskazane. Jeśli agent cierpiał na jakąś chorobę, która wywoływała gwałtowne epizody snu, lepiej było ich nie przerywać. Pozwolił mu dalej spać, przyczesał włosy przed poplamionym lustrem i wyszedł na korytarz.

Drzwi pozostałych pokoi były otwarte, co świadczyło o tym, że jego towarzysze już wstali. Zszedł więc na dół, lecz w salonie ich nie zastał. Zaniepokojony faktem, że spał najdłużej, co taki złośliwiec jak Murray mógłby uznać za pożałowania godną beztroskę w obliczu otaczającego ich koszmaru, ruszył do kuchni, ale ta okazała się równie pusta. Przez chwilę się przeraził, że przekłety milioner zdołał przekonać dziewczynę, iż najlepiej będzie zostawić go tu z Claytonem. Zaraz jednak dostrzegł przez okno stojący obok koryta powóz Murraya. Pozbawiony jednej z lamp pojazd z pompatycznym „G” na drzwiach stał dokładnie w miejscu, w którym go zostawili po przybyciu. Jeśli towarzysze Wellsa nie wpadli na pomysł ruszenia do Londynu piechotą, musieli gdzieś tu być. Pisarz skarcił się za podejrzliwość: milioner był skąpy i zdradliwy, ale w ekstremalnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, wydawał się gotów zakopać topór wojenny, by mogli ubezpieczać się wzajemnie. Stanowili teraz zespół, czy mu się to podobało czy nie.

Wells wyszedł frontowymi drzwiami w ciepło poranka. Spokój przerywała jedynie kanonada dobiegająca z południowego wschodu w formie przerywanych pomruków, zdradzających, że gdzieś tam brytyjska artyleria usiłuje stawić czoło trójnogowi. Po drugiej stronie dostrzegł gruby warkocz dymu, unoszący się z za odległych wzgórz zasłaniających Epsom i pnący w niebo. Zastanawiał się z niepokojem, ile trójnogów ruszyło na Londyn. Clayton wspominał, że oprócz tego z Horsell pojawiły się inne – na polu golfowym w Byfleet i w pobliżu Sevenoaks – lecz jeśli to prawdziwa inwazja, musiało ich być jeszcze więcej.

W tym momencie usłyszał głosy swych towarzyszy dobiegające ze stodoły stojącej o kilka metrów od domu. Ruszył w tamtą stronę. Musieli jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę, bo jeśli jego podejrzenia były słuszne, trójnogi przegrupowywały się, by wejść do stolicy w szyku bojowym, gdy tylko pozbędą się drobnego utrudnienia w postaci rozsianych po strefie brytyjskich baterii. Podróżni powinni się więc pospieszyć, by zdążyć przed nimi. W przeciwnym razie dostanie się do Londynu będzie wymagało przedarcia się przez szyki wroga.

– To trudniejsze, niż myślałam! – dobiegł ze stodoły rozpaczliwy okrzyk Emmy.

– Sądzę, panno Harlow, że klucz leży w rytmie – odparł spokojnie Murray. – Proszę spróbować to zrobić krótszymi, bardziej energicznymi mchami.

Wells stanął jak wryty, zdumiony słowami, które padły z ust milionera. Co oni tam robią? – zastanawiał się, a jego umysł zalewały obrazy równie wyraziste, co nieprzyjemne.

– Jest pan pewien? Nie zrobię mu krzywdy? – zapytała Emma.

– Tak delikatne dłonie nie mogą uczynić żadnej krzywdy, panno Harlow – schlebiał jej Gilliam.

– No dobrze. Spróbuję to zrobić tak, jak pan mówi – zadeklarowała dziewczyna.

Przez kilka sekund panowała cisza. Zaintrygowany Wells stał w miejscu.

– No i? – zapytał w końcu Murray.

– Tak też chyba nie działa – odparła rozczarowana Emma.

– Może jest pani zbyt gwałtowna – ośmielił się ją skrytykować Murray.

– Tak pan myśli? – oburzyła się. – To dlaczego sam pan nie spróbuje, zamiast mnie pouczać?

– Nie chciałem pani pouczać, panno Harlow – ukorzył się Murray.

– Ja po prostu sugerowałem, żeby... – Nie dokończył, jakby dalszy ciąg zdania utknął mu w gardle.

Znów zaległa cisza. Wells stał w miejscu, nie mogąc się zdecydować, co robić. To niemożliwe, żeby oni...

– Może powinniśmy zawołać pana Wellsa? – zaproponowała Murrayowi Emma. – A nuż ma większe doświadczenie niż my.

Wells poczerwieniał jak burak. Do czego oni, u licha, chcieli go wołać?

– Pozwolę sobie w to wątpić, panno Harlow – odparł pospiesznie Murray.

Wells poczuł się urażony faktem, że milioner nie wierzy w jego doświadczenie, choć nadal nie wiedział w czym.

– Może chwyci pani trochę wyżej? – zaproponował Gilliam.

– Poddam się! – wykrzyknęła nagle ze złością Emma. – Niech pan sam to zrobi!

– Dobrze, dobrze – próbował ją udobruchać Murray. – Ale niech się pani tak nie zżyma, panno Harlow. Po prostu pomyślałem, że skoro lubi pani wyzwania, chętnie spróbuje pani i tego...

Cisza, która zaległa tym razem, przeciągała się bardziej niż poprzednie. Stojący jak kołek Wells poczuł się w końcu tak głupio, że zgodnie z pierwotnym postanowieniem postanowił wejść do stodoły, choć teraz starał się robić jak najmniej hałasu: nie zamierzał anonsować swojego przybycia, nie będąc pewien, co zastanie za uchylonymi drzwiami. Niemal na palcach dotarł do wejścia i ukradkiem zajrzał do środka, bojąc się, że zobaczy jakąś potwornie zawstydzającą scenę, która na zawsze odcisnie się w jego duszy. Zaraz jednak kamień spadł mu z serca. Murray i dziewczyna, zwróceniem tyłem do drzwi, wciąż go nie dostrzegali. Milioner lekko pochylony siedział na taborecie, miętosząc w dłoniach wymioną ogromnej krowy, która przyjmowała jego wysiłki z wyraźnym niezadowoleniem, a stojąca obok z założonymi rękami Emma wydawała się surowo oceniać nieudane próby wyciśnięcia choć kropli mleka.

– I co, panie Murray? – kpiła. – Jakies postępy? Może powinien pan wykonywać krótsze i bardziej energiczne ruchy.

Wells uśmiechnął się, rozbawiony sytuacją, ale postanowił im nie przerywać, żeby nie psuć sobie zabawy. Stał cicho za drzwiami, obserwując niezdarne próby milionera mające na celu udowodnienie ukochanej kobiecie swego doświadczenia nawet w najbardziej nietypowych dziedzinach życia.

– Krowy są wspaniałomyślne, panno Harlow – oznajmił z patosem. – Proszę spojrzeć na ten okaz: nie pragnie niczego z wyjątkiem zaspokojenia naszego pragnienia darem swego mleka, a my musimy jedynie poruszać jej wymionami z szacunkiem i starannością, tak jak, na przykład, ja...

W tym momencie najwyraźniej wykonał jakiś nierozważny, a może nawet drażniący ruch, bo krowa obróciła się tak gwałtownie, że zrzuciła go z taboretu. Zaklął szpetnie, a z gardła Emmy wydobył się najpiękniejszy śmiech, jaki Wells słyszał w życiu; śmiech brzmiący w jego uszach niczym perlisty szmer strumyka spływającego z gór, nuty fletu poprzecznego unoszące się w powietrzu, delikatny podzwitek sznura srebrnych dzwoneczków pieszczonych przez wiatr albo inny cudownie melodyjny ton stworzony przez naturę lub ludzki geniusz. I nie było to tylko jego zdanie, bo pobłogosławiony

śpiwnym śmiechem dziewczyny Murray spoglądał na nią z ziemi z ekstatycznym uśmiechem świętego, który doświadcza cudu we własnej celi.

– Cóż, chyba odkryłem coś, co wychodzi mi równie kiepsko jak odtwarzanie marsjańskiej inwazji – mruknął, podnosząc się z uśmiechem zawstydzenia.

Emma znów wybuchnęła perlistym śmiechem. Murray jej zawtórował i przez chwilę, która jawiła się Wellsowi magiczna, wydawali się nie pamiętać, że uciekają przed śmiercią, a może nawet czuli się nieśmiertelni w tych oparach szczęścia, które pojawiły się nagle i w najgłupszy z możliwych sposobów. Nim zdążyli spojrzeć w jego kierunku, Wells odsunął się ostrożnie od drzwi i ruszył z powrotem do domu. Ta chwila należała tylko do nich dwojga i nie chciał, by się dowiedzieli, że ich obserwowal. Wsluchany w cichnące śmiechy, poczuł zazdrość wobec Gilliama, wiedząc, że rozśmieszenie dziewczyny jest najlepszym sposobem na zdobycie jej serca. Owszem, pomyślał, rozśmieszenie damy jest zdecydowanie skuteczniejsze niż reprodukcja marsjańskiej inwazji. Każdy to wie.

Usiadł w kuchni i cierpliwie czekał na ich powrót, co jakiś czas zerkając przez okno na drzwi stodoły. Planował bowiem, że na widok wychodzących towarzyszy niby przypadkiem wyjdzie im na spotkanie, aby potem, w drodze do Londynu, móc z czystym sumieniem zapomnieć o absurdałnej scenie, w której niechcący wziął udział. Miał jedynie nadzieję, że po wymianie wesołości nie nastąpiło jedno z tych znaczących spojrzeń, które poprzedzają pocałunek, bo nie wiedział, czy starczyłoby mu cierpliwości, by znieść amory swoich towarzyszy w stodole, gdy w Londynie czekała na niego Jane. Stał oparty o stół i z rękami w kieszeni wpatrywał się bacznie w okno.

I nagle ze zdumieniem ujrzał dwóch nieznanym zmierzających w stronę stodoły. Skromnie odziani mężczyźni skradali się tak samo jak przedtem on, lecz ze znacznie gorszymi zamiarami, jako że obaj trzymali w rękach metalowe szpikulce. Gdy pisarz otrząsnął się z szoku, zrobił kilka niezdecydowanych kroków i znów stanął. Szybko odrzucił przypuszczenie, że ma do czynienia z właścicielami domu: nie byli ubrani jak farmerzy, lecz jak hołota z miasta. Musieli być szabrownikami gotowymi wykorzystać każdą okazję, by się obłowić. Jasne również było, że zamierzają zaskoczyć jego towarzyszy, nie podejrzewając, że sami są obserwowani. Dawało to Wellsowi sporą przewagę, którą ktoś bardziej zdecydowany i odważny z pewnością spróbowałby wykorzystać. On jednak najwyraźniej do takich ludzi nie należał, bo wpadł w panikę kompletnie uniemożliwiającą osiągnięcie jasności umysłu, znalezienie czegoś mogącego posłużyć jako broń, zajście intruzów od tyłu, zaatakowanie i wyeliminowanie przy pomocy kilku szybkich, pewnych ciosów.

Nie. Z całą pewnością nie należał do takich ludzi. Serce waliło mu jak młotem, a zdenerwowanie było tak wielkie, że po prostu wyszedł z domu bez najmniejszej ostrożności, wręcz z hałasem, postanowiwszy głośnym okrzykiem ostrzec towarzyszy, zrzucając w ten sposób ze swych barków odpowiedzialność wymuszoną przez okoliczności. Nim jednak zdążył wydać jakikolwiek okrzyk, głośny czy cichy, poczuł na szyi dotyk czegoś zimnego i ostrego.

– Spokojnie, koleżko – szepnął mu do ucha jakiś głos. – Chyba nie chcesz zepsuć przyjaciołom niespodzianki, co?

A więc jest ich trzech, pomyślał z goryczą, gdy szturchańcami popychali ich w kierunku domu jak stado zbłąkanych owiec. Zdawało mu się, że gdzieś już ich widział. Dwaj mężczyźni, którzy zaskoczyli jego towarzyszy w stodole – jeden wyszedł stamtąd, trzymając dziewczynę za delikatną szyję, a drugi brutalnie popychając milionera – wyglądali jakoś znajomo, lecz nie mógł sobie przypomnieć, kim są, póki ten trzeci nie wcisnął go w kąt salonu. Dopiero wtedy Wells mógł zobaczyć jego twarz. Była brodata i szorstka, z oczami wąskimi niczym szpary skarbonki i płonącymi zwierzęcą furią. Pisarz rozpoznał go jednak dzięki prowizorycznemu bandażowi na lewej stopie – brudnej szmacie poznaczonej plamami w różnych odcieniach czerwieni.

Gdy jeden z kumpli, energiczny typ o małpim wyglądzie, podał mu rewolwer zabrany Murrayowi, kulawy zmierzył ich złowrogim spojrzeniem. Przez kilka sekund milczał, czekając, aż uświadomią sobie swoje położenie i zrozumieją, że sytuacja uległa zmianie od czasu spotkania na stacji i bijatyki, która pozostawiła pamiątkę w postaci kuli w jego lewej stopie. Potem uśmiechnął się mściwie, zadowolony, że życie stworzyło mu sposobność do takiego traktowania ludzi, którym na co dzień służył. Wells kątem oka obserwował Murraya stojącego z zaciśniętymi zębami i lekkim wyrazem niezadowolenia na twarzy, jakby bardziej niż perspektywa rychłej śmierci przeszkadzało mu to, że te rzeźmieszki mają więcej władzy niż on. Sądząc po przybranej przezeń pozie, bał się raczej o Emmę niż o siebie: przysunął się do dziewczyny tak bardzo, jak tylko było to możliwe, jakby w razie niebezpieczeństwa chciał ją zasłonić własnym potężnym cielskiem.

– No, no – odezwał się w końcu kulawy. – Cóż za przyjemna niespodzianka! Nie ma nic miłszego niż w podróży spotkać starych znajomych i spędzić z nimi parę chwil. Prawda, chłopcy?

Jego kumple zarechotali głośno, na siłę przedłużając rzenie, aż upodobniło się bardziej do ryku osła. Murray jeszcze mocniej zacisnął zęby i ukradkiem zrobił krok w stronę Emmy.

– Tak, na każdym zakręcie życia czekają niespodzianki – kontynuował filozoficznie kulawy. – Nie mówiłem wam, chłopcy? „Jeśli pojedziemy drogą na Chobham, w końcu natkniemy się na naszych przyjaciół”. I proszę bardzo. Pewnie byśmy was nie zauważyli, gdyby nie powóz z wielkim „G”. Szkoda by było, co, chłopcy? – zwrócił się do kamratów z wyrazem udawanego żalu na twarzy, wywołując dalsze salwy śmiechu. – Ale nie, nasi przyjaciele przezornie zostawili powóz na widoku, co oznacza, że oni też mieli ochotę się z nami spotkać. Prawda, panienko? Miała pani ochotę się ze mną spotkać? Ależ oczywiście! Wszystkie kobiety, które zetknęły się z uroczym Royem Bowenem, zawsze chcą więcej. Żadna nie ma dość. A stary Roy nie lubi zawodzić dam. Co to, to nie. Choć muszę przyznać, że maniery panienki pozostawiają sporo do życzenia. Jeśli stary Roy ma panienkę zabawić, najpierw musi ją nauczyć dobrych obyczajów.

Ostatnie słowa wypowiedział, świdrując wzrokiem dziewczynę, która drżała jak liść na wietrze – prawdopodobnie żałowała, że wcześniej popisała się odwagą i strzeliła mu w stopę. Teraz wszyscy drogo zapłacimy za jej brawurę, pomyślał Wells, mimo strachu z antropologicznym zaciekawieniem obserwujący tego prymitywnego typu, który udał się w pościg za nimi z chęci zemsty za doznaną zniewagę, w najmniejszym stopniu nie przejmując się tym, że świat wokół niego wali się w gruzy. Jego kompani – facet o małpiej twarzy i rudzielec o zębach czarnych jak po zjedzeniu garści jagód, który

pomagał mu w walce o powóz na stacji – też nie wydawali się przejęci losami świata.

– Zastanówmy się, jak możemy rozwiązać problem – kontynuował z przerażającym spokojem kulawy, nie odrywając wzroku od Emmy. – Ja panią przewróciłem w błoto, a pani strzeliła mi w stopę. Czym mogę się zrewanżować, panienko? – Celowo lubieżnym spojrzeniem zlustrował jej ciało. – Mmm... Chyba już wiem. I jestem pewien, że pani towarzysze bez najmniejszego trudu odgadną, co mi przyszło do głowy. My, mężczyźni, rozumiemy się bez słów. Prawda, panowie? – Uśmiechnął się kpiąco do Murraya i Wellsa, po czym powrócił do rozbierania dziewczyny wzrokiem. – Jak pójdziesz ze mną z własnej woli i oddasz mi się bez oporu, obojgu nam będzie przyjemniej.

– Jeśli choćby tkniesz ją palcem, zabiję cię – przerwał mu lodowatym głosem Murray.

To nie brzmi jak czcze pogrożki, pomyślał Wells. Murray naprawdę był gotów zabić tego opryszka. Niestety, biorąc pod uwagę sytuację, nie zanosilo się na to, by znalazł sposobność do realizacji swych gróźb.

– Zabijesz? Mnie? – Kuternoga roześmiał się wrednie. – Obawiam się, że żyjesz w innej rzeczywistości, wielkoludzie. Kto trzyma rewolwer w ręku?

– To bez różnicy, Roy – odparł niezrażony Murray, ku zaskoczeniu oprycha zwracając się doń po imieniu, jakby chciał pokazać, że nie czuje wobec niego ani szacunku, ani strachu. – W porządku: zabij mnie, a potem ja zabiję ciebie.

– Serio? Niby jak chcesz to zrobić? Potrafisz zatrzymać kulę w locie? – Kuternoga spojrział na kompanów, a oni zaśmiali się posłusznie. – Wygląda na to, że mamy tu prawdziwego bohatera, chłopcy. – Przeniósł wzrok na Murraya i przyglądał mu się z odrobiną sympatii.

– Więc mnie zabijesz, jeśli tknę tę pannę?

– Cieszę się, że się rozumiemy, Roy – pogratulował mu wnikliwości milioner, uśmiechając się spokojnie, jakby rozmawiał ze słabym na umyśle dzieckiem.

– W takim razie wkrótce będziesz mógł się wykazać – wycedził przez zęby kulawy – bo zamierzam zrobić znacznie więcej.

Potem umilkł, obserwując Murraya z mieszaniną wściekłości i zaciekawienia. Milioner beznamiętnie odwzajemniał spojrzenie, aż w końcu tamten prychnął pogardliwym śmiechem, jakby ten pojedynek wydał mu się głupkowaty lub nudny. Potem rozejrzał się po pokoju, po kolei mierzając wzrokiem każdego z jeńców ze zde gustowaną miną niczym dowódca lustrujący swoich żołnierzy. Nagle opuścił wzrok i zmarszczył brwi, jakby liczył w myślach.

– Chwila – odezwał się – a gdzie tamten facet?

– W stodole nikogo więcej nie było, Roy – odparł usłużnie człowiek z małpią twarzą. – Tylko te gołębiczki.

Kuternoga powoli pokręcił głową, niezadowolony z odpowiedzi.

– Był z nimi jeden pijany gość, nie pamiętacie? Sprawdź na górze, Joss – rozkazał rudemu, ruchem głowy wskazując sufit.

Rudzielec ruszył ku schodom ze służalczą psą. Im wolniej wdrapywał się po stopniach, bez większego sukcesu starając się, by nie skrzypiały pod jego okazałym ciężarem, i mocno ściskając szpikulec w ręku na wysokości pasa, gotów zatopić go w piersi każdego pijaka, który mu stanie na drodze, tym szybciej bilo serce w piersi Wellsa. W końcu rudy dotarł na piętro i zniknął mu z oczu, cichutki jak słoń w składzie porcelany.

Wszyscy czekali niecierpliwie ze wzrokiem wbitym w górną partię schodów. Wells

przypuszczał, że oprych wkrótce zawoła, iż znalazł Claytona, który z całą pewnością wciąż spał, o ile nie obudził go hałas czyniony przez rudego. Po kilku minutach Joss zbiegł jednak ze schodów pewnym truchcikiem.

– Nikogo tam nie ma, Roy.

Na twarzy kuternogi odmalowało się zdziwienie. Wells usiłował ukryć fakt, że sam jest równie zaskoczony. Serce waliło mu jak młotem. Clayton nie tylko się obudził, ale nawet zdążył się ukryć! Na to przynajmniej wyglądało. A więc nie wszystko było jeszcze stracone. Agent specjalny Scotland Yardu, doskonale wyszkolony w radzeniu sobie z takimi sytuacjami, musiał się znajdować gdzieś na górze, dobrze ukryty i prawdopodobnie opracowujący już plan uwolnienia ich. Wells z wielkim trudem powściągał euforię, słuchając, jak kuternoga z rozgniewaną miną przepytuje rudego kumpla.

– Jesteś pewien? Przeszukałeś wszystkie pokoje?

– Tak. Nikogo tam nie ma – zapewnił go Joss.

Kulawy zamyślił się, kręcąc z niedowierzaniem głową, po czym nagle zwrócił się do Murraya:

– Gdzie on się podział, wielkoludzie?

– Był dla nas balastem – odpowiedział swobodnie Gilliam. – Nic, tylko pił i pił, więc w końcu zostawiliśmy go w rowie. Na pewno już się obudził.

Opryszek przez chwilę przyglądał mu się podejrzliwie. Wells na szczęście uniknął podobnych pytań. Był pewien, że nie zdołałby opowiedzieć wymyślonemu naprędce kłamstwa z takim spokojem jak Murray.

Po czasie, który zdawał mu się wiecznością, kuternoga wybuchnął śmiechem.

– Nie za dobrze traktujecie przyjaciół – mruknął, gdy już się uspokoił. – Ale dość pogawędek. O czym to my... A, mam pewne sprawy do załatwienia z panienką. Jeśli dobrze pamiętam, miała mi się panienka zrewanżować.

Nie odrywając od nich wstrętnego spojrzenia, leniwym gestem kawalera, który podaje zarządcy domu swoje rękawiczki, kulawy wręczył rewolwer małpiemu koledze.

– Mike – rzekł prosząco – czy mógłbyś popilnować przyjaciół panienki, gdy pójdę z nią na górę?

Mike przytaknął z powagą dziecka, które pragnie w życiu tylko jednego: by ojciec mógł być z niego dumny. Chwycił rewolwer i powiódł po jeńcach groźnym wzrokiem.

Bez dalszych dywagacji kulawy zrobił krok ku bladej, drżącej Emmie i wyciągnął do niej rękę, wykonując groteskowy ukłon.

– Czy byłaby panienka uprzejma zatańczyć ze mną na osobności w mojej komnacie?

Ledwo dokończył pytanie, Murray wykonał ruch w stronę dziewczyny, chcąc ją zasłonić własnym ciałem, lecz obserwujący go bacznie Mike przyłożył mu rewolwer do skroni.

– Spokojnie, wielkoludzie – rozkazał ochryple. – Nie zmuszaj mnie do marnowania kul.

Milioner wpatrywał się w niego przez kilka sekund, w ciągu których serce Wellsa omal nie pękło, lecz w końcu posłuchał: wrócił na miejsce, rozumiejąc, że martwy nie pomoże dziewczynie. Kuternoga uśmiechnął się, rozbawiony jego posłuszeństwem, i gwałtownym szarpnięciem pociągnął Emmę ku sobie.

– Świetnie. Teraz jestem zadowolony, panowie – obwieścił, trzymając uniesiony szpikulec o kilka centymetrów od szyi dziewczyny. Potem spojrział wymownie na Murraya. – Mam zostawić otwarte drzwi, wielkoludzie, żebyś mógł sobie słuchać jej

jęków rozkoszy?

Murray milczał. Obrzucił go tylko zaskakująco spokojnym, a nawet pełnym wyższości spojrzeniem, jakby to wszystko wydawało mu się nieśmieszną zabawą, choć Wells dostrzegł w jego wzroku chłodną determinację. Był to wzrok człowieka, który zrozumiał, że w jego życiu wszystko się zmieniło; że nie liczy się to, co dotąd zrobił ani co zamierzał zrobić w przyszłości, gdyż od tej chwili jedynym jego celem będzie zemsta. Zrozumiał, że milioner spełni swą obietnicę: zabije kulawego. A jeśli w trakcie walki sam zginie, czy to zabity z premedytacją, czy przypadkiem, i tak powróci z zaświatów, by wykończyć wroga, bo nienawiść zrodzona w jego duszy rozwiesi most pomiędzy światami.

W tym momencie zauważył przez okno obok schodów spadający cień, który natychmiast się podniósł i zniknął. To mógł być tylko Clayton. Na szczęście porywacze byli odwrócen i nie mogli go dostrzec. Dzięki temu agent mógł ich zaskoczyć. Pisarz spojrział z ukosa na Murraya, sprawdzając, czy i on widział ich potencjalnego wybawcę, lecz milioner wciąż wpatrywał się w kulawego, który wciąż wchodził po schodach przerażoną dziewczynę. Kiedy zniknęli na piętrze, zamknął oczy, jakby chciał się pomodlić, przygotowany, że za chwilę usłyszy, jak jego ukochana jęczy z bólu i furii, bezczeszczona przez tragarza kolejowego, który złośliwym zrzędzeniem losu stał się jej oprawcą.

– Och, och. Nie popadajmy w rozpacz, panowie – rzekł z okrutną ironią Mike, udając, że próbuje rozładować atmosferę. – Co możemy zrobić, żeby się rozerwać i zapomnieć o tym, co się dzieje na górze?

– Możemy ich zmusić do tańca – zasugerował rudy, odsłaniając w uśmiechu zepsute zęby. – Wystarczy postrzelać w nogi.

Mike zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Jak myślisz, Joss, ile kul ma rewolwer?

– Nie wiem, Mike.

– Sześć. Tylko sześć cholernych kul. Chcesz je w ten sposób zmarnować?

Sześć kul. Do tej chwili Wellsowi nie przyszła do głowy możliwość, że w rewolwerze mogłaby się skończyć amunicja. Po szybkich obliczeniach stwierdził, że nie mają tyle szczęścia: podczas awantury na stacji wystrzelili trzy, dwie w niebo i jedną w stopę tego typu, więc pozostały trzy – dość, by wykończyć ich wszystkich.

W tym momencie z kuchni dobiegł jakiś rumor. Pewnie Clayton dostał się tam przez okno i chciał przyciągnąć uwagę porywaczy, by uratować towarzyszy; tak przynajmniej wolał myśleć pisarz, zamiast się martwić, że agent przypadkiem na coś wpadł. Obaj prześladowcy spojrzeli w tamtą stronę, a Wells odruchowo napiął mięśnie, gotów do natychmiastowego działania. Tylko Murray wciąż tkwił bez ruchu, wpatrzony w górną partię schodów.

– Co to było? – zapytał Mike, nie przestając do nich celować. – Idź sprawdzić, Joss.

– Czemu ja? – zaprotestował rudzielec.

– Bo ja muszę tu zostać i pilnować tych dwóch debili!

Joss otworzył usta, by się sprzeciwić, lecz powstrzymało go surowe spojrzenie towarzysza. Westchnął z niesmakiem, ale uniósł szpikulec i ostrożnym krokiem ruszył do kuchni. Zatrzymał się, zajrzał do środka, lecz najwyraźniej nic nie zobaczył, bo w końcu, nastawiając szpikulec, odważył się przestąpić próg. Wells zastanawiał się, czy agent Clayton zdoła powalić tego rosłego typu, niegrzeszącego wprawdzie inteligencją, ale z pewnością doświadczonego w burdach ulicznych. Przez kilka minut nic się nie działo. Mike, który raczej nie był wzorem cierpliwości, już miał wrzasnąć, gdy nagle rozległy się kolejne hałasy, zdławione jęki i uderzenia garnków o podłogę, dość jasno dające do

zrozumienia, że w kuchni doszło do konfrontacji.

– Joss, kurwa, co jest? – zawołał Mike.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, facet z małą twarzą powoli ruszył w stronę kuchni, posuwając się tyłem i nie przestając mierzyć do nich z rewolweru. Wells przełknął ślinę i napiął się jak sprężyna. Był podobnej postury jak Mike, więc gdyby go zaskoczył, być może zdołałby wyrwać mu broń. Ledwie jednak to pomyślał, zaraz wydało mu się kompletnie absurdalne, biorąc pod uwagę jego całkowity brak doświadczenia w bójkach. Tak czy owak prawdopodobne było, że Clayton będzie potrzebował pomocy, a wpatrzony w szczyt schodów Murray nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie jej udzielić. Jeśli ktoś miał wesprzeć agenta w odwróceniu losów tej konfrontacji, musiał to być Wells. Westchnął zatem głęboko i począł ukradkiem obracać się przodem do Mike'a niczym biegacz szykujący się do startu.

W tym momencie przez drzwi kuchni wypadły dwa splecione ciała, które natychmiast runęły na podłogę, przetoczyły się parę metrów i wylądowały u stóp Mike'a. Zaraz potem agent Clayton wyprostował się, odsłaniając nóż rzeźnicki zatopiony po rękę w piersi przeciwnika. Wells pojął, że jego towarzysz nie zdąży nic zrobić, bo Mike, ani na moment nie straciwszy rezonu, już mierzył do niego z rewolweru. Przez głowę pisarza przemknęło kilka myśli: że nie będzie lepszej okazji, by rzucić się na małpoluda, niż teraz, gdy uwaga tego skupiona jest na Claytonie; że jeśli Mike wyeliminuje agenta, z pewnością będzie musiał skończyć także z nimi, świadkami mimo woli; przede wszystkim zaś, że choć nie ma żadnego doświadczenia w ulicznych bójkach, grywał w piłkę nożną, gdy był nauczycielem w Wrexham, więc mimo wszystko wie, jak przewrócić przeciwnika. To zadecydowało. Zaciśnął pięści i pędem ruszył w stronę Mike'a dokładnie w momencie, w którym ten wystrzelił do Claytona. Kula trafiła agenta, który przewrócił się na plecy i uderzył głową o podłogę. Małpolud nie zdążył jednak strzelić ponownie, bo Wells rzucił się na niego i wykorzystując siłę pędu, przygwoździł go do ściany. Mike wypuścił z ręki rewolwer, który potoczył się po podłodze. Obaj patrzeli, jak zatrzymuje się pośrodku kuchni, zbyt daleko od nich, lecz nie od Murraya, który wpatrywał się weń z lekkim zaciekawieniem, jakby się budził z głębokiego snu. Czując, że Mike próbuje się oswobodzić i złapać go za szyję, Wells pokładał całą nadzieję w milionerze, który powoli ruszył ku broni, podniósł ją z podłogi, obejrzał, jakby nie miał pojęcia, co to takiego, spojrzał na schody i po chwili wahania potruchtał na górę z wyrazem złowrogiej determinacji na twarzy.

– Gilliam, do cholery, pomóż mi! – wrzasnął Wells, robiąc wszystko, by nie dać się udusić.

Ale Murray zniknął już na piętrze, wprawiając cały dom w vibracje swoim ciężkim truchtem – biegł ku scenie, której tak naprawdę nie chciał oglądać. Wiedział, że to, co zobaczy, rozbije mu psychikę, na zawsze odcisnie się w jego pamięci i sprawi, że jego serce zgnije niczym zbyt długo ściskany w dłoni owoc. A jednak biegł do Emmy, pokonując metry korytarza, by powstrzymać to, czego nie można już było powstrzymać i co na zawsze pozostawi cień w duszy kobiety, którą kochał; to, co nie powinno być się nigdy zdarzyć, lecz właśnie się zdarzało. Nie zatrzymywał się, bo mimo wszystko miał do spełnienia obietnicę. Musiał zabić kuternogę.

Wpadł do pokoju zdyszany, z oczami płonącymi furją i bezradnością. Nie zastał jednak tego, czego się spodziewał. Kuternoga klęczał na podłodze z wykrzywioną bólem twarzą, trzymając się za krocze i jęcząc. Po drugiej stronie pokoju stała Emma z podartym dekoltem, z furją ściskając w rękę wyrwany napastnikowi szpikulec. Na widok

wbiegającego Murraya odetchnęła ukradkiem.

– Witam, panie Murray – rzuciła niemal jowialnie, starając się nie okazywać strachu, który z pewnością wciąż ją trawił. – Jak pan widzi, wszystko jest pod kontrolą. Zdążył jedynie poszarpać mnie trochę za suknię. Mężczyźni są naiwni. Wystarczy udać roztrzęsioną, a już zaczynają się czuć pewnie.

Murray gapił się na nią z niedowierzaniem, wdzięczny losowi, że nic jej się nie stało, a zarazem oszołomiony nieoczekiwanym zwrotem akcji. Nic z tego, co sobie wyobrażał, nie zaszło, a kobieta, która stała przed nim, miała jedynie naddarty dekolt, jakby zahaczyła o gałąź. Żyła, a co więcej, bynajmniej nie miała ochoty umierać. Obdarzyła go spokojnym, zawadiackim uśmiechem. Jedynie kropelka krwi lśniła jej na wargach.

– Skąd ta krew? – zapytał łagodnie.

– A, to. – Machnęła ręką. – Zdążył mnie zdzielić pięścią, zanim...

Murray obrócił się gwałtownie do kulawego, który przestał jęczeć i przyglądał im się ze strachem, skulony w kącie.

– Uderzyłeś ją, Roy? – zapytał Murray.

– Nie, co pan, nie uderzyłem jej, skąd... – zarzekł się oprych.

Milioner przyglądał mu się przez chwilę, wykrzywiając usta w grymasie obrzydzenia.

– Nigdy nie oskarżaj kobiety o kłamstwo...

Kulawy milczał, rozważając zapewne, czy lepiej kontynuować obraną strategię, czy przyznać prawdę. W końcu wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty ani sił na znoszenie przesłuchania, w którym i tak stoi na straconej pozycji.

– A więc uderzyłeś damę... – wycedził milioner, mierząc do niego z rewolweru.

Roy gwałtownie podniósł głowę.

– Co pan wyprawia?! – wykrzyknął, blady jak ściana. – Chyba nie strzeli pan do bezbronnego, prawda?

– Zapewniam cię, Roy, że w innych okolicznościach nigdy bym tego nie zrobił – spokojnie, wręcz z odrobiną teatralnej rezygnacji w głosie oznajmił Gilliam. – Ale dałem słowo, pamiętasz? Powiedziałem, że cię zabiję, jeśli ją tkniesz. A moje słowo jest słowem dżentelmena.

Gdy rozbrzmiał strzał, Emma odwróciła głowę. Kiedy znów spojrzała, kuternoga leżał na podłodze z dziurą w czole, która wydawała się maleńka, lecz silnie broczyła krwią. Jak na pierwszego trupa, jakiego dziewczyna widziała w życiu, i to w dodatku zabitego z broni palnej, wyglądał wyjątkowo mało spektakularnie.

– Przykro mi, panno Harlow – rzekł z zawstydzoną miną Murray – ale nie mógłbym żyć w tym samym świecie co ktoś, kto panią uderzył.

Emma przyglądała mu się w milczeniu, a on odpowiedział spojrzeniem tak zbolalym, że omal się nie roześmiała: wyglądał jak dziecko, które coś spocilo i teraz czeka na karę lub przebaczenie. Tyle że Murray nie był dzieckiem, a jego psota polegała na zabiciu z zimną krwią nieuzbrojonego człowieka. Emma przygryzła wargę i poczuła w ustach metaliczny, słonawy smak własnej krwi. Raz jeszcze spojrzała na ciało. Ten zbir mnie uderzył, pomyślała, czując wzbierającą w gardle wściekłość. Owszem, zdołała go na chwilę unieszkodliwić, ale Bóg jeden wie, jak by to się skończyło, gdyby nie pojawił się Murray. Raz jeszcze zlustrowała wzrokiem milionera, który stał pośrodku pokoju w oczekiwaniu na słowo, spojrzenie, uśmiech, cokolwiek, co pozwoliłoby mu odgadnąć jej myśli. Tyle że sama nie wiedziała, co myśleć. I niepokoiło ją to. Zazwyczaj potrafiła błyskawicznie ocenić sytuację. Miała jasną hierarchię wartości, a jej system katalogowania osób i zdarzeń nie uwzględniał wyjątków. Jak już nam wiadomo, zdaniem

Emmy świat pozostawiał wiele do życzenia, lecz będąc przewidywalny i nudny, był przynajmniej łatwo zrozumiały. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Świat zatracił swoją logikę i nic nie było takie, jakie się zdawało, a Emma nie wiedziała już, co myśleć ani o zabójstwach z zemsty, ani o miłości od pierwszego wejrzenia, ani tym bardziej o stojącym przed nią olbrzymie, wobec którego kilka dni wcześniej czuła głęboką pogardę i wciąż nie do końca się jej pozbyła. Ku jej zdumieniu jednak ten wir emocji, który przewrócił do góry nogami dotychczasowe zasady i poglądy, bynajmniej nie wydawał się nieprzyjemny. Raczej... wyzwalający.

Murray opuścił głowę, udając, że przygląda się z uwagą rewolwerowi, ale zerkał na nią z ukosa, tak niezdarnie to kamuflując, że Emma poczuła, jak wściekłość i zdenerwowanie, które momentami ścisnęły ją za gardło, ustępują, a na ustach wykwita uśmiech.

– Muszę przyznać, że ma pan nad wyraz oryginalny sposób zabiegania o względy damy. Ale już mówiłam, że niełatwo się zakochuję – powiedziała, z rozbawieniem patrząc, jak milioner przełyka ślinę w oczekiwaniu na wyrok. – Będzie się pan musiał bardziej postarać.

Murray uśmiechnął się, a błogość rozchodziła się falami po jego ciele niczym słodki trunek.

– Będę zaszczycony, jeśli pozwoli mi pani robić to nadal, panno Harlow – odparł z wdzięcznością.

– Nie sądzi pan, że może już zacząć nazywać mnie Emmą bez obaw, iż będzie musiał znosić moje humory?

Milioner skinął głową i wydał długie westchnienie ulgi, lecz zaraz potem zaprotestował:

– Och, pani humory... to znaczy twoje humory, Emmo, nigdy mi ani trochę nie przeszkadzały. Zapewniam, że...

– A co z pozostałymi? – przerwała mu nagle, zaniepokojona dobiegającym z parteru hałasem.

– Z pozostałymi? – wymamrotał Murray, jakby nie wiedział, o kim mowa. – Na Boga, Wells! – wykrzyknął po chwili.

Dopiero teraz przypomniał sobie, w jakim położeniu zostawił towarzyszy, sprowadził dziewczynę po schodach. Ku jej przerażeniu zastali Wellsa szamoczącego się na podłodze salonu z jednym z napastników. Szybko jednak się zorientowali, że biorąc pod uwagę wyrównane siły i zmęczenie walczących, przypomina to raczej bijatykę chłopców: Mike bezskutecznie próbował dusić pisarza, ten zaś bronił się jak mógł, bijąc go na oślep w twarz, ciągnąc za uszy i wyrywając włosy. Tym, co naprawdę przeraziło Emmę, był widok leżącego w ich pobliżu rudzielca z nożem wbitym w pierś. Obok niego ujrzała agenta Claytona. Najpierw zadała sobie pytanie, skąd się tam wziął, a zaraz potem, czy żyje. Wnosząc z wykrzywionego dziwacznie ciała i twarzy wciśniętej w podłogę, jakby wachał drewno, zdawało się to mało prawdopodobne. To on musiał być adresatem strzału, który słyszała z góry i który tak odwrócił uwagę kulawego, że zdołała go kopnąć kolanem w krocze.

– Poczuję się zmuszony do zastrzelenia kulawca – odezwał się Murray, rzucając dziewczynie porozumiewawczy uśmiech. – Wyobraź sobie, że zamierzał zaatakować pannę Harlow swoim szpikulcem.

Na dźwięk jego głosu Wells i Mike przestali się siłować i wstali pospiesznie, jakby ich przyłapano na czymś niestosownym. Pisarz od razu zauważył rozdarty dekolt

dziewczyny.

– Panno Harlow... ten człowiek... czy on... czy nie pani...? – pytał oględnie.

– Nic mi nie jest, panie Wells! – odparła wesoło. – Czuję się lepiej niż kiedykolwiek. To było doprawdy nieostrożne z panów strony, że nie uprzedzili tego typu, jaki charakter mają dziewczyny z Nowego Jorku!

– Cóż... zatem... jakże się cieszę! – Wells odetchnął z ulgą, po czym gwałtownie obrócił się w stronę milionera. – Gilliam, ty draniu! Ten facet omal mnie nie udusił! – wykrzyknął, wskazując oprycha o małej twarzy.

– Zdawało mi się, że panna Emma jest w większej potrzebie, George – odrzekł z uśmiechem Murray.

– Musi pan jednak przyznać, że i przed pańskim przybyciem radziłam sobie całkiem nieźle – zauważyła Emma, wygładzając suknię.

– Ależ tak! Oczywiście, panno Harlow\ Pani odwaga zasługuje na wielką pochwałę, lecz pani z kolei musi przyznać, że kiedy wszedłem do pokoju, hm... powiedzmy, że obrona pani cnót zmusiła mnie do zastrzelenia tego nikczemnika.

– Bez wątpienia, bez wątpienia – przytaknęła pospiesznie dziewczyna, kątem oka obserwując osłupiałego Wellsa. – Pańska interwencja była absolutnie wymuszona, panie Murray. Gdyby się pan nie zjawił, nie zdołałabym powstrzymać tego szaleńca ani sekundy dłużej.

– Najdroższa panno Harlow, nigdy się tego nie dowiemy. Nie chcę powiedzieć, że nie dałaby pani rady. Jeśli postanowiłem interweniować, to dlatego, że czekanie na efekt tych zmagañ nie wydawało mi się właściwe... – odparł z najwyższą kurtuazją Murray, także zerkając na Wellsa, który obserwował ich podejrzliwie. Potem przeniósł wzrok na Mike'a, nie przestając uśmiechać się tak błogo, jak na ogół potrafią tylko palacze opium. – Nie spierajmy się jednak przy naszym gościu, panno Harlow. Co on sobie o nas pomyśli?

– Jja... – zająknął się mężczyzna o małej twarzy.

Milioner uśmiechnął się doń współczująco.

– Cóż, teraz to ja mam rewolwer. Niesamowite, jaką władzę daje ten niewielki przedmiot, prawda, Mike? Sam doskonale to wiesz – powiedział przyjaźnie, ważąc rewolwer w dłoni. – Jeśli się nie mylę, ten egzemplarz to webley z mechanizmem podwójnego działania. Pewien jestem, że kiedy trzymałeś go w rękach, czułeś się potężny i uważałeś, że możesz rozporządzać naszym życiem według własnego widzimisię. Prawda, Mike? Chciałeś nawet, żebyśmy dla ciebie zatańczyli.

– Gilliamie, czy to konieczne? – zapytał Wells.

– A twoim zdaniem nie, George? – odparł milioner. – Nie sądzisz, że Mike powinien wynieść z naszego spotkania przynajmniej jedną nauczkę?

Wells tylko prychnął.

– Dobrze zatem, graj czarny charakter.

Milioner uśmiechnął się ujmująco i przeniósł wzrok na oprycha.

– Jak by tu się z tobą zabawić, Mike?

– Nie wiem, nie wiem – bełkotał tamten. – Ja wcale nie chciałem was ściagać, to Roy nam kazał...

– Umiesz doić krowy? – przerwał mu w nagłym olśnieniu Murray.

– Tak – odparł zaskoczony Mike.

– Serio?

– Serio.

– Doskonale! Prawda, panno Harlow? – emocjonował się milioner, wyraźnie nie potrafiąc powściągnąć rozradowania faktem, że dziewczyna stoi u jego boku nietknięta, jedynie z pękniętą wargą. – Idziemy do obory!

– Co? – wymamrotał oszołomiony Wells.

Nikt jednak nie zwracał nań uwagi. Murray i dziewczyna, prowadząc ze sobą Mike'a, skierowali się radośnie do tego samego budynku, z którego wcześniej rzezimieszki wywlokły ich siłą. Pisarz pokręcił głową. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Rozejrzał się wokół, omiół wzrokiem leżące na podłodze trupy, po czym przeniósł go na schody wiodące do sypialni, w której miał się znajdować trzeci trup. Niełatwo było ułożyć sobie to wszystko w głowie: dopiero co wszyscy mieli umrzeć, a przynajmniej dostać solidne baty od trzech oprychów, lecz ocalili dzięki interwencji nieszczęsnego agenta Claytona. Jako że nikt inny najwyraźniej nie zamierzał tego zrobić, pisarz pogratulował samemu sobie kluczowej akcji. Zastanawiał się, czy powinni zabrać ciało policjanta do Londynu, czy też lepiej będzie urządzić mu chrześcijański pochówek na miejscu. Westchnął ciężko: nie miał wątpliwości, że ciężar decyzji spoczywa na nim, jako że Murray był zbyt zaabsorbowany dojeniem krowy.

W tym momencie Clayton podniósł głowę, omal nie przyprawiając go o zawał.

– Pan żyje! – wykrzyknął pisarz, gdy już zdołał wydobyć z siebie głos.

– Jest warta swojej ceny – rzekł agent, podnosząc uszkodzoną przez kulę protezę. Podniósł się powoli i zaczął masować szyję. – Musiałem stracić przytomność po uderzeniu o podłogę – wymamrotał.

– Cieszę się, że przynajmniej jeden z nas potrafi zatrzymać kulę – zauważył Wells, z niedowierzaniem przyglądając się protezie.

– Na tym świecie wszystko jest możliwe, panie Wells. Jeszcze się pan przekona.

Arogancka odpowiedź zirytowała pisarza. Mimo wszystko był zadowolony, że agent przeżył, nie tylko dlatego, że ryzykował życie, by ich uratować, ani dlatego, że dzięki temu nie mieli dylematu, czy taszczyć go do Londynu, czy pochować na miejscu, ale także dlatego, że Clayton przejął dowodzenie, uwalniając go od nieprzyjemnego obowiązku pogonienia pozostałych, żeby ruszyli w dalszą drogę.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał Clayton, wyraźnie zdziwiony, że w salonie znajdują się tylko jedne zwłoki.

– Można powiedzieć, że całkiem nieźle sobie poradziliśmy, agencie – rzekł Wells. – Kulawy jest u góry. O ile mi wiadomo, nie żyje.

– Świetnie. A ten, który do mnie strzelał? – pytał dalej agent.

– Cóż. – Pisarz nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. – Jest w oborze – przyznał w końcu. – Doi krowę.

Clayton wytrzeszczył oczy.

– Kpi pan sobie?

– Jakżebym śmiał – burknął zirytowany Wells. – Murray wziął go do niewoli i... Może się pan przekonać na własne oczy. Proszę ze mną.

Wyszli z domu i skierowali się w stronę obory, podziwiając urocze wiosenne niebo rozpościerające się nad głowami jakże nieadekwatne do marsjańskiej inwazji.

– Myślałem, że dla stróżów prawa zabijanie jest ostatecznością – zauważył pisarz, mając na myśli śmierć rudzielca.

– Owszem – odparł Clayton z ponurą miną, dając do zrozumienia, że użycie noża było absolutnie konieczne.

– Rozumiem – mruknął Wells, coraz gorzej czujący się z tym, że nie udało mu się

nikogo zabić.

Gdy weszli do obórki, przekonali się, że tym razem dojenie się udało. Najwyraźniej oprych o małych rysach nie kłamał dla ratowania skóry, a teraz, ukończywszy robotę, stał wyczekująco, nie ośmielając się przeszkodzić milionerowi i dziewczynie, którzy z rozkoszą popijali mleko.

– Agent Clayton! – wykrzyknęli unisono Murray i Emma. – Pan żyje!

– W rzeczy samej – potwierdził nie wiadomo po co policjant, po czym zlustrował zebranych zadowolonym spojrzeniem. – Cieszę się, widząc państwa w dobrym zdrowiu. Szczególnie panią.

– Pani ma się świetnie – oznajmił chłodno milioner, podając agentowi miseczkę z mlekiem. – Proszę sobie łyknąć. Z pewnością jest pan spragniony.

– Dziękuję – rzekł Clayton, unosząc naczynie do ust. Potem podał je Wellsowi i nie patrząc na nikogo konkretnego, dodał: – Zdaje się, że zemdlałem na stacji.

– W rzeczy samej – potwierdził z ironicznym uśmiechem Murray.

– Ale jak pan widzi, nie pozostawiliśmy pana na pastwę losu, choć jesteśmy pańskimi więźniami.

– Dzięki temu żyjemy, Gilliam – wtrąciła Emma, piorunując milionera wzrokiem.

Murray wzruszył ramionami, nie dodając nic więcej. Clayton tymczasem podszedł do zwoju lin leżącego na stercie narzędzi przy drzwiach, wybrał jedną i po odrzuceniu możliwości związania więźnia jedną ręką, podał linę pisarzowi.

– Mógłby pan...?

Wells niechętnie wziął od niego linę i zaczął wiązać pojmanego, który potulnie mu na to pozwalał.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie się znajdujemy? – zapytał Clayton.

– Na opuszczonej farmie w drodze do Addlestone – poinformował go usłużnie więzień.

– Doskonale – odparł Clayton, po czym wyciągnął do Gilliama zdrową rękę. – Będzie pan uprzejmy oddać mi broń, panie Murray?

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym... – próbował protestować milioner.

– Gilliamie! – ostrzegła go Emma z rozbawioną matczyną słodyczą, sięgając po odstawioną przez Wellsa miseczkę, by pociągnąć kolejny łapczywy łyk.

– Oczywiście – rzekł milioner, ze zniecierpliwioną miną podając agentowi rewolwer. Clayton sprawdził bębenek.

– Hm... Została tylko jedna kula. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli nikogo zabijać w drodze do Londynu. Jeśli państwo dostatecznie wypoczęli, chciałbym niezwłocznie wyruszyć – oznajmił, popychając więźnia w kierunku powozu. – Przy okazji, miło, że nie zostawiliście mnie na stacji – dodał przez ramię, nie przerywając marszu.

XXVI

Szosa na Addlestone miała w sobie ów przerażający spokój, jaki można zaobserwować u topielców pływających w śluzach. Brak jakichkolwiek zniszczeń kazał podróżnym przypuszczać, że trójnogi jeszcze się nie przegrupowały, by ruszyć frontalnie na Londyn. Chwila ta nieuchronnie nadciągała, lecz na razie łatwo było zapomnieć o inwazji, bo sporadyczne wystrzały całkiem umilkły, a w dodatku w powietrzu unosił się swojski aromat siana. Pasażerowie powozu mogliby swobodnie uchodzić za grupę przyjaciół udających się na piknik, gdyby nie brak koszy z jedzeniem i to, że jeden z nich związany był liną.

Wells z urazą przyglądał się siedzącemu przed nim typowi, którego palce wciąż miał odciśnięte na szyi. Usadowiony obok pisarza Clayton trzymał rewolwer na kolanach jak niebezpieczne zwierzątko, co ani trochę nie uspokajało jego sąsiada. Wszyscy wiedzieli, że w magazynku pozostała tylko jedna kula, na razie bezimienna, bo Mike nie zdradzał najmniejszych zamiarów ucieczki. Po co miałyby to robić, skoro zmierzali do jedyne miejsca, w którym będzie bezpieczny? Z pewnością doszedł do wniosku, że lepiej dotrzeć do Londynu powozem niż piechotą. Tak czy owak agent z czasem przestał mierzyć do opryszka, co stawiało przeznaczenie jedynej kuli pod złowróżbnym znakiem zapytania. Mike spoglądał przez okno powozu melancholijnym wzrokiem, może żałując tego, co musiał zrobić w ciągu minionych godzin za namową przekłętą kuternogi, a może przestraszony bliskością śmierci. Opowiedział im, że po nieskutecznej próbie zawładnięcia powozem Murraya jego szajka zdołała porwać inny i uciekła ze stacji w Woking zaledwie kilka minut przed tym, jak ta została zniszczona przez trójnog. Żaden z nich nie widział maszyny, lecz z pobliskiego wzgórza zobaczyli płonące zgliszcza pozostałe po stacji, na której przenieśli tyle walizek i kufrów.

Na tej opowieści małpoliccy zakończy! swój udział w rozmowie, pograżając się w zadumie romantycznego męczennika, która doprowadzała Wellsa do szoku. Co to miało znaczyć? Dlaczego ten człowiek zachowywał się, jakby jego śmierć miała być dla ludzkości wielką stratą, skoro w rzeczywistości urodził się tylko po to, by zajmować miejsce? Ktoś przecież musiał ginąć w inwazjach, nadawać im koloryt. Tym, co naprawdę przeszkadzało pisarzowi, był fakt, że obaj muszą uciekać przed śmiercią, bo agresorzy nie czynią rozróżnień między ofiarami i nie obchodzi ich, czy strzelają do kogoś, kto przyszedł na ten świat, by wegetować, czy do kogoś, kto się zrodził, by tworzyć. Przymknął oczy, nie mając ochoty dłużej oglądać tej idiotycznej twarzy cierpiącej małpy.

Wtedy poprzez terkotanie powozu usłyszał paplaninę siedzących na koźle Murraya i dziewczyny. Nie rozumiał słów, lecz rozmawiali tak radośnie, że musiał przyznać, iż choć to niewiarygodne, w tej nietypowej sytuacji milionerowi udało się wyrzucić na dziewczynie wrażenie, którego w zwykłych okolicznościach nigdy by nie wywarł. Nie było wątpliwości, że – tak jak wyznał w liście do pisarza – jest w dziewczynie szczerze zakochany.

Opis Emmy z tamtej korespondencji także z grubsza odpowiadał rzeczywistości. Była urocza i gdyby nie to, że zbyt piękne kobiety go onieśmiały, pewnie sam straciłby dla niej głowę i podobnie jak Murray, byłby gotów nawet zasłonić ją własnym ciałem przed kulami.

Wmawiając sobie, że jest zbyt zmęczony na takie rozważania, próbował się uchylić od odpowiedzi na pytanie, czy zrobiłby to samo dla Jane. Być może jego miłość była jedynie fasadą, ciepłym, lecz płytkim uczuciem, które jednak ona uznała za dość ważne, by za

niego wyjść, już od ich pierwszej rozmowy przyjmując, że książkowy romantyzm nigdy nie zawładnie jego pragmatycznym sercem.

Gdy tak rozmyślał, dotarli do Weybridge i zobaczyli, że miasto jest właśnie ewakuowane przez jakichś dwudziestu pieszych i konnych żołnierzy. Polecali mieszkańcom pakować najcenniejsze rzeczy i jak najszybciej opuszczać okolicę. Murray i spółka musieli ominąć pochód powozów, dorożek, małych kabrioletów i innych prowizorycznych środków transportu, w których podskakiwali mężczyźni w strojach do gry w golfa albo wystrojeni na rejs łódką, podobnie jak ich wypacykowane małżonki nie kryjący zniecierpliwienia tą absurdalną ewakuacją. Mimo to prawie wszyscy zdecydowali się współpracować z wojskiem, znosząc swoje bagaże również do przysłanego specjalnie w tym celu omnibusu, choć większość z nich wydawała się nieświadoma grozy sytuacji.

Przejazd przez miasteczko zajął im sporo czasu, a później, gdy już minęli Sunbury, trafili na wielką karawanę pojazdów i pieszych, niczym w biblijnym Exodusie zmierzających powoli do Londynu. Zatroskani ludzie targali walizy i kufry, pchali taczki, a nawet wózki wyładowane rzeczami osobistymi. Tylko dzieci wyglądały na rozbawione niezwykłą sytuacją. Śmiały się do rozpuku, siedząc na stosach usypanych ze zwiniętych materaców i małych mebli i nieświadomie stając się heroldami tragedii.

Nikt jednak nie wątpił, że potężne brytyjskie wojsko rozprawi się z domniemanymi agresorami, w ciągu kilku dni kończąc niespodziewaną wojnę, która sprawiła wszystkim tyle niewygód. „To tylko garnki na szczudłach!” – wołał jakiś staruszek, ciągnąc wózek wyładowany bezużytecznymi meblami, kompletnie nieświadom piekła, które rozpętało się na Ziemi.

I gdy powóz z pompatycznym „G” przedzierał się przez ten tłum, Wells kręcił głową, oczarowany każdym szczegółem rozgrywającego się na jego oczach spektaklu. Przeklinał się za to, że nie ma pod ręką zeszytu i nie może robić notatek. Ponieważ w jego powieści Marsjanie zbudowali latające maszyny i od razu wyruszyli nimi, by zniszczyć Londyn, nie czuł potrzeby opisywania dramatycznej wędrówki mas. Teraz jednak, widząc jej epicki potencjał, uznał, że gdyby miał okazję od nowa napisać książkę, zastąpiłby zabójcze pojazdy latające w kształcie płaszczy – które wymyślił jedynie po to, by zredukować okręt Robura z powieści Verne’a do rangi niewinnej zabawki – takimi trójnogami, które posuwając się wolno niczym pająki, nie tylko wywołują niepokój, ale i sieją znacznie większy postrach, bo przechodzą przez ogrody mieszkańców, zamiast latać wysoko nad ich głowami.

Wysforowawszy się przed nieszczęsną procesją, dotarli do pogrążonego w niesamowitej ciszy Hampton Court, objechali Bushy Park, gdzie jelenie brykały pod kasztanami równie bez troski jak co dnia, pokonali rzekę i skręcili na Richmond. W końcu ujrzeni na horyzoncie otaczające miasto wzgórze i odetchnęli z ulgą, mając w pamięci słowa agenta, że to tam utworzono jedną z linii obrony.

– Na pewno czekają tam na wroga dziesiątki dział – uspokajał towarzyszy Clayton. – Trójnogi nie będą miały łatwego zadania.

– Nadal pan uważa, że to Marsjanie? – zapytał Wells. – Murray też nie sądzi, żeby to byli Niemcy, aleja...

– Na miłość boską, panie Wells, co pan ma do tych Niemców? – zniecierpliwiał się agent. – Zapewniam pana, że nie całe zło na tym świecie jest ich dziełem. Tak czy owak nie powinniśmy trwonić czasu na bezsensowne spekulacje o pochodzeniu wroga. Gdy nasze działa powalą pierwszą machinę, i tak się wszystkiego dowiemy.

– Oby – mruknął posępnie pisarz.

– Więcej wiary w rodzime wojsko, panie Wells – odparł protekcjonalnie młodzieniec.
– Pan nie widział trójnogu – zauważył cierpko pisarz. – My tak. Prześliznęliśmy się między jego nogami, gdy pan słodko sobie spał.

– Czasem najstraszniejsze nie jest to, co widzieliśmy, panie Wells, tylko to, co musimy sobie wyobrazić – mruknął w zamyśleniu agent.

Wells prychnął zniecierpliwiony, zadając sobie pytanie, czy nie powinni byli jednak zostawić w jakimś rowie tego niewyczerpanego źródła górnołotnych sentencji.

– Zapewniam, panie Clayton, że to nie przypominało teatru marionetek – burknął. – I wbrew temu, co sugerował ów starszy pan, te graty z całą pewnością nie przypominają garnków na szrudłach.

– Ależ oczywiście. – Agent uśmiechnął się pobłaźliwie. – Muszę panu przyznać, że jestem ogromnie ciekaw widoku tych potworów. Do czego by je pan porównał? Biorąc pod uwagę pański talent, jestem przekonany, że wymyśli pan coś znacznie trafniejszego niż tamten staruszek.

– Hm – mruknął pisarz, zły, że musi przyjąć absurdalne wyzwanie agenta. – Powiedziałbym, że są jak...

– Jak taboret do dojenia? – podsunął niespodziewanie więzień.

– Coś w tym rodzaju – przytaknął Wells, niezadowolony, że małpiaty się odezwał.

– A z górnej części zwisa coś podobnego do macki? – kontynuował opryszek.

– Tak. Z tego właśnie wystrzela snop ognia – odparł zirytowany pisarz.

– No to mamy problem – rzekł Mike, wskazując brodą tylne okno.

Wells i Clayton obrócili się gwałtownie i zobaczyli to, co więzień obserwował już od jakiegoś czasu. Za nimi tą samą drogą podążał trójnóg. Choć był jeszcze daleko, sadził tak długimi susami, że z przerażeniem skonstatowali, iż wkrótce ich dogoni.

– Może pan go sobie obejrzyć, agencie – mruknął z przekąsem Wells.

– Boże najświętszy! – wykrzyknął Clayton.

Przez chwilę wyglądał na zahipnotyzowanego szokującym widokiem.

– Ta splota chyba za bardzo się panu nie przyda – stwierdził fatalistycznym tonem oprych.

Nie zważając na jego komentarz, Clayton otworzył klapę w dachu i krzyknął:

– Widział pan, co nam depcze po piętach, Murray? Smagnij pan konie! Niech pędzą co sił, do diaska!

Po kilku sekundach, w ciągu których, jak mniemał Wells, zakochani przerwali rozmowę i odwrócili głowy, by z przerażeniem ujrzeć biegnący w ich kierunku trójnóg, pasażerowie poczuli gwałtowne szarpnięcie i musieli mocno schwytać się siedzeń – to milioner z całej siły smagał batem konie, jakby dzięki temu miały się wznieść w powietrze. Koniec romantycznej przejażdżki. Rozpoczął się rozpaczliwy bieg ku wzgórzom, do których musieli dotrzeć, nim trójnóg zacznie na nich polować. Uwięziony między policjantem a Mikiem Wells stęknął boleśnie, patrząc przez tylne okienko, jak machina wielkimi susami pochłania kolejne metry, rozrzucając na wszystkie strony piach i kamienie, ilekroć zanurza w ziemi swoje potężne nogi.

– Szybciej, Murray! – wrzasnął przy uchu pisarza Clayton.

Po kolejnym skoku, po którym zadrżała ziemia, trójnóg znalazł się zaledwie dwadzieścia metrów za powozem. Patrząc na kołyszącą się w powietrzu mackę, Wells poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach i przeobraża w gęstą melasę paniki. Wiedział, co oznacza owo znajome kołysanie, i rozumiał, że tym razem nie ujdą z życiem. Zrezygnowany patrzył, jak macka celuje w nich, i przygotował się na śmierć w ciągu

najbliższych sekund w towarzystwie opryszka i najbardziej aroganckiego agenta Scotland Yardu.

W tym momencie usłyszeli wybuch. Ku ich zdumieniu jednak to nie oni zostali trafieni, lecz trójnóg. Ogromna głowa zatrzęsła się spektakularnie, a jej część rozprysła się na szereg metalowych fragmentów różnej wielkości, które spadły na ziemię niczym zabójczy pył. Jeden z nich uderzył w tył powozu – ten niebezpiecznie się zachwiał, lecz Murray szybko odzyskał panowanie nad końmi. Wtedy rozbrzmiał kolejny wystrzał i machina znów zadrżała, choć tym razem uderzenie ledwie musnęło jej prawy bok. Na oczach Wellsa macka przestała celować w powóz i zwróciła się w kierunku napastników – prawdopodobnie dział, o których wspomniał Clayton, rozstawionych między drzewami, ku którym pędził podskakujący powóz, oddaliwszy się już nieco od ścigającego go olbrzyma. Macka wystrzeliła i promień z niepokojącym świstem wyrysował w powietrzu po ich lewej stronie ognistą linię, wysadzając w powietrze kilkanaście drzew. Pisarz odniósł wrażenie, że strzelała na oślep, co wzbudziło w nim nadzieję na pomyślne zakończenie pojedynku. Tymczasem powóz niespodziewanie przekroczył linię obrony, bo nagle wszędzie dookoła widzieli oszałamiający pokaz militariów: dziesiątki działek Maxima, przy których dwoili się i troili artylerzyści; wozy z amunicją, mnóstwo żołnierzy ukrytych za drzewami i skałami. Wszystko to tworzyło jeden wielki chaos, choć Wells bardzo chciał wierzyć, że panuje tam jakiś niewidoczny na pierwszy rzut oka porządek. Gdy minęli ostatni rząd dział, Murray zahamował gwałtownie i zwinnie zeskoczył z kozła, by pomóc zejść dziewczynie.

– Wszystko w porządku? – zawołał, próbując przekrzyczeć ogłuszającą kanonadę.

Wells, Clayton i więzień przytaknęli, lecz pozostali w środku, obserwując przez tylne okno rozwój wypadków. Widzieli, jak znajdująca się w stosunkowo bezpiecznej odległości macka ponownie strzela, tym razem celniej niż poprzednio. Promień lawy wyrzucił w powietrze pół tuzina działek wraz z tymi, którzy je obsługiwali i którzy teraz obracali się w pył, nim uderzenie cisnęło nimi o drzewa. W powietrze uniósł się gęsty odór palonych ciał. Wszystko wskazywało na to, że trójnóg nie zamierza złożyć broni. Nagle ktoś, kto dowodził obroną, a może po prostu wyjątkowo bystry artylerzysta, strzelił mu w nogi i trafił w jedną, a ta natychmiast się roztrzaskała. Trójnóg wykonał coś w rodzaju przykłęku, po czym, przechylając się wolno, zarył olbrzymim łbem w ziemię o kilka metrów od wstrząśniętych żołnierzy.

– Mój Boże, pokonali go... – mruknął Wells, zachwycony brutalną malowniczością rozgrywki, lecz przede wszystkim jej wynikiem.

– Stwórca z pewnością umieściłby na Ziemi jakąś istotę o trzech łapach, gdyby uważał taki kształt za odpowiedni – wygłosił kolejną sentencję Clayton.

Pokonawszy wrogą machinę, działka umilkły i okolica pogrążyła się w takiej ciszy, że pasażerowie bali się wyrzec słowo. Wtedy w rozbitej, dymiącej głowie trójnogu otworzyła się kłapa i wyszedł z niej kierowca.

W pierwszym odruchu Murray pomyślał, że to, co mają przed sobą, wygląda jak łyżka groszkowej papki. Po chwili zmienił zdanie: istota przypominała raczej ogromną glistę o podzielonym na segmenty ciele, poruszającą się tak elastycznie, jakby płynęła po ziemi, z czego wniósł, że nie posiada kości ani żadnego wewnętrznego pancerza. Rozmiarami przypominała nosorożca, a jej skóra przywodziła Gilliamowi na myśl niektóre muchomory. Wydało mu się, że w pewnym miejscu tego bezkształtnego cielska dostrzega archipelag otworów i rowków. Przyjął, że to tam znajduje się głowa. W różnych częściach rozwlekłej sylwety widział też coś, co przypominało pęk drobnych ramion emitujących

niebieskawy poblask i od czasu do czasu strzelających iskrami. Po paru metrach galareta się zatrzymała, przewróciwszy się na coś, co mogło być plecami, jeszcze przez kilka sekund drżała, a potem zastygła makabrycznie. Wszystko wskazywało na to, że wyzionęła ducha.

– Mówiłem, że to nie Niemcy, panie Wells – mruknął Gilliam, z obrzydzeniem wspominając łyżki wstrętnej papki, którymi na siłę karmiła go niania.

– W istocie – zgodził się Wells, w oszołomieniu przyglądając się cielsku, którego wygląd monstrualnej glisty wydawał mu się przerażająco znajomy.

– Wiem, że to fascynujący widok, panowie – wtrącił Clayton – ale jeśli podniesiecie wzrok, zobaczycie coś znacznie bardziej poruszającego.

Wells i Murray spojrzeli w górę i na tle dymu dostrzegli sylwetki co najmniej tuzina trójnogów, potężnymi krokami zmierzających ku rozczłonkowanej linii obrony.

– Mój Boże! – wykrzyknął Wells. – W nogi!

Milioner natychmiast posłuchał – chwycił lejce i pogonił konie. Chwilę później podskakujący niemiłosiernie powóz pędził drogą w kierunku Sheen, pozostawiając żołnierzy na pastwę losu. Przejeżdżając przez Putney, pasażerowie ponownie usłyszeli wystrzały armatnie, co znaczyło, że trójnogi dotarły na wzgórze. Zaraz potem rozległy się złowróżbne gwizdy marsjańskich promieni ognia. Zmierzchało już, gdy powóz przemknął galopem przez most na Tamizie i wjechał w King's Road, kierując się ku siedzibie Scotland Yardu. Przepelnieni trwogą pasażerowie w grobowej ciszy przemierzali ciemne ulice miasta, które wciąż żyło naiwną nadzieją na pokonanie Marsjan.

XXVII

Londyn sprawiał wrażenie, jakby wstrzymywał oddech. Zarówno w Fulham, jak i w Chelsea powóz z pompatycznym „G” musiał torować sobie drogę wśród skupisk utworzonych przez zgromadzonych na ulicach ludzi. Wystający na rogach londyńczycy prowadzili niezobowiązujące rozmowy albo w skupieniu palili fajki, spoglądając wyczekująco w niebo, które powoli zaczynała spowijać czerń. Nikt nie chciał przegapić najdrobniejszego detalu związanego z inwazją; nawet ci, którzy zgodnie z zaleceniami policji pozostali w domach, wychylali się z okien w oczekiwaniu, że rozgrywająca się na przedmieściach bitwa wreszcie się skończy i będą mogli wrócić do swoich zadań. Z wnętrza powozu Wells z towarzyszami dostrzegli kilka naprawdę zaniepokojonych twarzy, lecz widzieli też osoby pijące, śpiewające albo grające w karty w tawernach, jakby chciały powiedzieć, że żadna inwazja nie zmieni ich przyzwyczajień. Niezglębiona jest ludzka natura.

Oczywiście nikt z tu obecnych nie widział trójnogu. Nieliczne osoby, które miały tę sposobność i przeżyły, nie dotarły jeszcze do miasta, by o tym opowiedzieć, a co za tym idzie, cały ten ocean ludzi prawdopodobnie nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że tymi, którzy zaatakowali wszechmocne imperium brytyjskie, są Marsjanie. Londyńczykom polecono nie przekraczać strzeżonych przez wojsko granic miasta i sądząc po spokoju, z jakim to przyjmowali, nie mieli pojęcia o zagrożeniu. Emanująca z tych biednych duszyczek pewność wzbudzała w Wellsie niemal współczucie. Co jednak on i jego towarzysze mieliby zrobić? Uświadomić mieszkańcom grozę sytuacji? To tylko wzbudziłoby panikę. Najlepiej było zastosować się do poleceń Clayтона: jechać do Scotland Yardu, by przekazać więźnia i zasięgnąć informacji, choć wszyscy doskonale wiedzieli, że cała ta normalność jest jednym wielkim oszustwem.

Po drodze jednak zatrzymali się w uliczce niedaleko miejsca budowy katedry westminsterskiej. Wells uprosił Clayтона, by mu pozwolił pójść po Jane, która właśnie tam przebywała z wizytą u znajomych, choć czuł się trochę nieswojo, wiedząc, że Emma będzie musiała jeszcze długo poczekać na spotkanie ze swoją rodziną, bo Southwark leżało dość daleko od ich trasy. Wysiadł z powozu, wszedł do budynku i wbiegł po schodach na piętro Garfieldów, modląc się, by Jane wciąż tam była. Nim zdążył zapukać do drzwi, dostrzegł przyklejony do nich zaadresowany do niego liścik. Rozpoznając pismo żony, zerwał go błyskawicznie. Jane pisała, że nic jej nie jest, lecz muszą opuścić mieszkanie, by zasięgnąć wieści o tym, co się dzieje za miastem, bo martwią się o niego. Wyrażała nadzieję, że jej małżonek powróci do Londynu cały i zdrowy, i informowała, że cokolwiek się stanie, będzie na niego czekała o świcie następnego dnia na Primrose Hill.

Schowwał liścik do kieszeni i wymierzył drzwicom sążnistego kopniaka, przeklinając fakt, że Jane opuściła mieszkanie po to, by się dowiedzieć o jego los. Dokąd mogli się udać? Nie przychodziło mu do głowy żadne miejsce, a włóczenie się po ulicach i nawoływanie jej wydawało się równie romantyczne, co nieskuteczne. W podłym humorze wrócił do powozu i poinformował pozostałych o liście.

– Cóż – rzekł Clayton – w takim razie do chwili wyznaczonego spotkania trzymajmy się planu. Proszę się nie obawiać, panie Wells, nie sądzę, by trójnogi zdołały się wdrzeć do miasta przed jutrzejszym porankiem. Pańskiej żonie włos z głowy nie spadnie.

Pisarz skinął głową. Oby agent miał rację, bo jasne było, że spokój potrwa jedynie dopóty, dopóki trójnogi nie przedrą się przez linię obrony. Potem już nikt, nawet oni, nie będzie bezpieczny. Chciał podziękować agentowi za słowa pociechy, ten jednak odwrócił

się już od niego i z ciekawością spoglądał w głąb ulicy, gdzie grupa czterech czy pięciu osób włamywała się do sklepu z rowerami. Był to pierwszy i z pewnością nie ostatni akt bezprawia, który mieli zaobserwować, lecz uwagę Claytona przykuł nie tyle sam wybryk, ile trzech policjantów przyglądających się temu spokojnie z przeciwległej strony ulicy. Jednym z nich – i jedynym nieumundurowanym – był młody cherlawy inspektor o bladej twarzy, którego agent wydawał się znać. Poprosił, by na chwilę zatrzymać powóz, i zaintrygowany podszedł do funkcjonariuszy.

– Inspektorze Garrett...?

Chłopak odwrócił się i patrzył na niego zaskoczony. Przez chwilę sprawiał wrażenie, że go nie rozpoznaje.

– Agent Clayton... – wyszeptał w końcu, jakby wydobył to nazwisko z mroków wspomnienia odległych czasów, w których codziennie widywali się w siedzibie Scotland Yardu.

Potem znów zamilkł, przyglądając się z niepokojącą intensywnością Claytonowi, który spodziewał się czegoś zgoła innego: może podekscytowanej wymiany wrażeń, a może propozycji połączenia sił i opracowania wspólnego planu; czegokolwiek z wyjątkiem tej denerwującej obojętności. Jego umundurowani koledzy, stojący w odległości kilku kroków, spoglądali na Claytona z tym samym chłodnym wyczekiwaniem. Nie wiedząc, co na to odrzec, agent ruchem głowy wskazał rabusiów po drugiej stronie ulicy.

– Potrzebuje pan wsparcia? – zapytał.

Garrett rzucił na wandali rozkojarzone spojrzenie.

– Skąd – zapewnił – wszystko jest pod kontrolą.

– Świetnie – mruknął bez przekonania Clayton, znów zmuszony znosić drażniące obojętne spojrzenie inspektora. – W takim razie ruszam w dalszą drogę do Scotland Yardu.

– Po co? – zapytał ostro młodzieniec.

– Muszę dostarczyć więźnia – odparł skonsternowany tym nadmiernym zainteresowaniem Clayton.

Garrett skinął powoli głową, wykrzywiając ponuro wargi, po czym, uznając rozmowę za zakończoną, dał znak towarzyszom, a ci somnambulicznym krokiem skierowali się ku sklepowi rowerowemu. Widząc, że się zbliżają, złodzieje przerwali kradzież, wymienili z policjantami parę słów, po czym uciekli w dół ulicy. Inspektor Garrett obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy Clayton wciąż tam jest, i odkrył, że ten go obserwuje. Przyłapany agent odwrócił się i ruszył do powozu, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na sklep i zobaczywszy, że policjanci zbierają rowery i odnoszą je do sklepu z tą samą obojętnością, z jaką przyglądali się kradzieży.

Odchodząc, głowił się nad przyczyną dziwnego zachowania agentów, zwłaszcza młodego inspektora. Słabo go znał, lecz wiedział, że uchodzi za jeden z najtęższych umysłów Scotland Yardu. Liczba spraw, które zdołał rozwikłać – podobno nawet bez wychodzenia z biura – była równie wielka jak fobia, którą przejawiał na widok krwi. Być może owo zamknięcie się w sobie jest po prostu reakcją wrażliwej duszy na inwazję, pomyślał Clayton. Tak, z pewnością winę za ten stan ponosiły okoliczności, które wymknęły się eleganckim ścieżkom jego rozumowania, wyprowadzając go na manowce szaleństwa i czyniąc niezdolnym ani do reagowania, ani do wydawania rozkazów podwładnym.

Agent wzruszył ramionami i wszedł do powozu. Ruszyli do siedziby Scotland Yardu,

mijając po drodze tłumy równie niemrawych ludzi. Gdy dotarli na Great George Street, zaparkowali powóz przed budynkiem i ruszyli do środka niczym barwny korowód: agent Clayton z częściowo roztrzaskaną, zwisającą bezwładnie protezą ciągnął zdrową ręką człowieka o małym obliczu, za nim włókł się zmęczony, ponury i zamartwiający się o Jane Wells, a Murray i Emma spoglądali na siebie z zachwytem i rozmawiali z godnym lepszej sprawy entuzjazmem niczym para, która wybiera sobie prezenty na ślub.

Ku zaskoczeniu wszystkich pomieszczenia okazały się puste. Ani w dużej sali, ani w przylegających do niej biurach nie było nikogo, a panująca wokół cisza podpowiadała, że najprawdopodobniej w całym budynku nie znajdują żywej duszy. Skonsternowani rozglądali się podejrzliwie po sali, tu i ówdzie dostrzegli ślady walki: przewrócony stół, maszynę do pisania, która rozbiła się w kawałki po uderzeniu o ścianę, wgniecioną szafkę. Bardziej jednak zdenerwowały ich plamy krwi, które zaczęli znajdować na ścianach i podłodze; setki makabrycznych sygnałów, których nie mieli odwagi interpretować.

– Co się tu, do diabła, stało? – zapytał w końcu milioner, w oszołomieniu przyglądając się ogromnej plamie przypominającej Australię, która szpeciła jedną ze ścian.

– Nie mam pojęcia – wymamrotał Clayton.

– Co to za smród? – odezwała się nagle Emma.

– Faktycznie – przyznał Wells, wężąc – strasznie cuchnie.

– Jakby z góry – zauważył Clayton i wskazał schody prowadzące na piętro, gdzie znajdowały się biura inspektorów.

Spojrzeni po sobie z niepokojem, rozumieli jednak, że jeśli chcą wiedzieć, co się wydarzyło, muszą tam wejść.

Clayton przekazał więźnia Murrayowi, a sam wyjął rewolwer i ruszył na czele roztrzęsionego pochodu. Pozostali szli za nim jak stado mrówek. Z każdym pokonanym stopniem ohydny smród coraz mocniej uderzał w nozdrza. Dotarli na górne piętro, ale ono również okazało się opuszczone, a odór stał się wręcz nie do zniesienia. Idący przodem agent z wyrazem obrzydzenia na twarzy posuwał się korytarzem, od którego odchodziły drzwi gabinetów. W końcu fetor doprowadził go do ostatnich drzwi, wiodących do gabinetu inspektora Colina Garretta. Zachodził w głowę, co myśleć o tym zbiegu okoliczności. Drzwi były zamknięte, lecz smród bez wątpienia wydobywał się zza nich. Agent przełknął ślinę, położył sztuczną dłoń na klamce i rzucił towarzyszom poważne spojrzenie, jakby mówił, żeby się przygotowali na najgorsze. Wszyscy z identyczną powagą pokiwali głowami i patrzeli, jak Clayton próbuje otworzyć drzwi protezą, w zdrowej ręce dzierżąc rewolwer. Przez kilka sekund żałośnie szamotał się z klamką, wystawiając na próbę cierpliwość pozostałych, ale w końcu sobie poradził. Fetor rozniósł się po korytarzu niczym zabójcza bryza, wywołując we wszystkich odruch wymiotny. Z Claytonem na czele wkroczyli jednak do biura – zastali tam obraz masakry przekraczający wszelkie wyobrażenia.

To, co wcześniej było biurem, teraz przypominało rzeźnię. Pośrodku leżało kilkanaście częściowo rozczłonkowanych ciał zrzucanych na stertę niczym wory mąki. Elegancko ubrani inspektorzy, umundurowani agenci, a nawet kilku oficerów z galonami tworzyło przerażający miszmasz pełen powykrzywianych twarzy i wybebeszonych ciał krwawiących z licznych ran. Czerwone strużki łączyły się leniwie i spływały razem na podłogę niczym imitacja strumienia o zachodzie słońca. Wszyscy zginęli okrutną śmiercią – poderżnięte gardła, odcięte kończyny, zmiżdżone kości, rozprute brzuchy –

jakby padli ofiarą kata nieznanego litości, za to doskonale orientującego się w okrucieństwie. Wokół makabrycznego pomnika walały się ręce i nogi, jakby ten, kto dokonał tej rzezi, robił to w różnych punktach budynku, a potem starannie zebrał wszystkie cząstki ciał aż po najmniejszy skrawek płuca i przywłókł je tu w celu ich ukrycia.

– Boże święty – wymamrotał Clayton z wyrazem odrazy na twarzy. – Kto mógł zrobić coś takiego?

– Nie mam pojęcia – odparł Wells, z trudem powstrzymując wymioty.

Omijając leżący na podłodze kawałek wątroby, agent pochylił się, by zbadać ranę w twarzy jednej z ofiar. Od podbródka do czoła biegły trzy głębokie bruzdy. Wyglądały na pamiątkę po spotkaniu ze szponem, który nie zadowolając się zderciem skóry, wyrwał przy okazji oko i pół nosa. Clayton pokręcił powoli głową, po czym bezradnym spojrzeniem zlustrował otaczającą go posępną scenerię. Pochylony nad stertą ciał Wells przyglądał się ranom z pewnym zaciekawieniem naukowym, a Murray wywłókł Emmę na korytarz i otworzył okno, by otrzeźwiła ją nocna bryza. Błady i roztrzęsiony więzień stał przy drzwiach. Clayton tymczasem zatrzymał wzrok na zwłokach spoczywających w fotelu Garretta, odwróconych twarzą do ściany i wykrzywionych pod tak nieprawdopodobnym kątem, jakby zabójca skręcił mu kark, obracając głowę niczym bączkiem. Oprócz tego trup miał wyprute flaki, które wylały się na nogi niczym spuszczone szelki. Z całą pewnością to zabójca zadał sobie trud posadzenia go na krześle, zamiast rzucić na stos pełen innych trupów. Zaintrygowany Clayton obrócił mu głowę, by sprawdzić, kim był osobnik, którego morderca potraktował tak wyjątkowo.

– Do diaska! – wrzasnął przerażony.

Wbili w niego pytające spojrzenia.

– Co jest? – zapytał Wells, ostrożnie, by uniknąć wdepnięcia w zaścielającą podłogę szczątki, podchodząc do miejsca, w którym stał agent.

– To Colin Garrett – wyjaśnił oszołomiony Clayton. – Inspektor, z którym rozmawiałem zaledwie pięć minut temu przed sklepem rowerowym.

Wyszedł na korytarz, nie mogąc dłużej walczyć z mdłościami, które w nim wywoływał zarówno fetor, jak i szokujący widok. Pisarz podążył za nim.

– Jest pan pewien, że to ten sam młodzieniec? – zapytał Murray.

Clayton już miał odpowiedzieć, gdy na korytarzu rozbrzmiał mrozący krew w żyłach głos.

– Nie nauczono pana szacunku dla zmarłych, agencie Clayton?

Wszyscy spojrzeli w kierunku, z którego dobiegał ów lodowaty głos, i zobaczyli postać przyglądającą im się z głębi korytarza. Gdy zrobiła kilka kroków w ich stronę i weszła w krąg światła rzucanego przez jedną z lamp, okazało się, że mają przed sobą tego samego bladego, cherlawego młodzika, który siedział na krześle w swoim gabinecie ze skrzyżnym karkiem i rozoraną twarzą. Zgromadzeni spoglądali po sobie, usiłując zrozumieć to niepojęte rozdwojenie.

– To niemożliwe – wymamrotał agent.

– Zdawało mi się, że dla pana nie ma rzeczy niemożliwych – odparł fałszywy Garrett całkowicie odartym z ludzkich uczuć głosem.

Agent zareagował na prowokację, zbliżając się i celując weń z rewolweru.

– Stać! Kimkolwiek jesteś, ani kroku dalej! – rozkazał przesadnie teatralnym tonem.

Fałszywy Garrett przez chwilę przyglądał mu się sennie.

– Nawet nie miałem takiego zamiaru, Clayton.

Otworzył groteskowo usta, z których jak z katapulty wyskoczyło coś w rodzaju czerwonego języka podobnego do tych, jakie mają ropuchy i kameleony, niczym promień przeleciało przez korytarz i przywarło do ręki Claytona. W ten samej chwili, w której agent poczuł, jak oślizły jęzor owija mu się wokół nadgarstka, mimowolnie nacisnął spust, jakby jego broń sama postanowiła wystrzelić. Choć nawet nie celował, kula trafiła fałszywego Garretta w głowę i ucisk na nadgarstku policjanta natychmiast osłabł. Inspektor padł na podłogę, a jego monstrualny jęzor błyskawicznie zaczął się zwijać w kulkę i wracać do ust. Nim ktokolwiek zareagował, leżącym pośrodku korytarza ciałem zaczęły wstrząsać potworne drgawki.

Wówczas agent specjalny Scotland Yardu Cornelius Clayton, stojący pomiędzy wijącym się w konwulsjach ciałem a swymi towarzyszami, zobaczył, jak wygląd inspektora zaczyna się zmieniać i coraz bardziej przypominać tego samego dziwoląga, którego widzieli wyczołgującego się z obalonego trójnogu na przedmieściach Londynu – dwunożną gadzią istotę, która przeczłgawszy się kawałek po trawie, na ich oczach wyzionęła ducha. Głowa niewydarzonego Garretta zwęziła się, jakby nagle została sprasowana, a szczeka rozszerzyła się jak u kajmana. Dłonie przybrały kształt straszliwych szponów o palcach połączonych czymś w rodzaju elastycznej membrany, skóra stopniowo pokrywała się zielonkawymi łuskami, a całe ciało nabierało monstrualnych rozmiarów. Nim straszna metamorfoza się zakończyła, wciąż odrobinę przypominający inspektora Garretta stwór podniósł się gwałtownie, jakby go wypchnęła sprężyna, i ponownie wystrzelił jęzor w kierunku Claytona, wciąż celującego doń z rewolweru, w którym nie pozostała już ani jedna kula. Agent w ostatniej chwili rzucił się na podłogę i stamtąd ze zgrozą patrzył, jak kleisty wypustek uderza w pierś więźnia, a ten zatacza się do tyłu. Chwilę później język pociągnął nieszczęśnika ku olbrzymiej paszczy pełnej kłów. W desperackim odruchu więzień zdołał się zaprzeć o framugę otwartego okna, co na moment zahamowało proces, a nawet zachwiało monstrualną istotą, która wciąż się przeobrażała. Śmiertelnie przerażony Mike wyskoczył przez okno i zawisł nad przepaścią, trzymając się dolnej części framugi i ze wszystkich sił opierając się obrzydliwemu jęzorowi, który z kolei robił wszystko, by go wciągnąć z powrotem do korytarza.

Clayton podniósł się i znów zasłonił swoim ciałem zdjętych trwogą towarzyszy. Nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, po prostu przyglądał się w osłupieniu metamorfozie Garretta, który z każdą sekundą upodabniał się do dwunożnego płaza, płatami zrzucając skórę fałszywego inspektora.

W tym momencie, zaskakując wszystkich, milioner gwałtownie wyskoczył przed grupę, podbiegł do okna i brutalnie naskoczył na dłonie biednego Mike'a, a ten odruchowo puścił framugę i spadł z okrzykiem grozy. Język napiął się i pod ciężarem ofiary zaczął ciągnąć ku oknu bezwładne monstrum. Ono zaś rozpaczliwie próbowało pochwycić Murraya, który zdołał się uwolnić, sycząc z bólu, a potem chciało się schwycić framugi, lecz na szczęście jego szpony nie były jeszcze dostatecznie wykształcone. Wypadło na ulicę w ślad za więźniem, połączone z nim jęzorem przypominającym groteskową pepowinę.

Towarzysze niedoli, oniemiałi wskutek interwencji Murraya, która uwolniła ich od ohydnej bestii, powoli budzili się z oszołomienia i docierało do nich, że niebezpieczeństwo grożące im jeszcze kilka sekund temu minęło.

– Żałuję, że musiałem go poświęcić – rzekł w końcu z zawstydzoną miną Murray – ale inaczej wszyscy byśmy zginęli.

– Nie musisz się tłumaczyć – odparła Emma, starając się powstrzymać drżenie głosu i okazać hart ducha. – Gdyby ta poczwara ukończyła przemianę, zabiłaby nas wszystkich.

– Właśnie. Nie przepraszaj, Gilliam – wtrącił Wells, wciąż odrobinę blady, lecz już nie potrafiąc sobie odmówić leciutkiej ironii. – A pani, panno Harlow, tym razem nie musi go usprawiedliwiać.

Podeszli do okna i wyjrzeni. Wychodziło na zaśmiecony zaułek, gdzie zobaczyli leżącego w nienaturalnej pozie Mike’a. Obok, wciąż połączona z nim swoim długim jęzorem, leżała w kałuży zielonej krwi kreatura. Wyglądało na to, że w końcu wyzionęła ducha.

Zbiegli na ulicę i wpadli do zaułka, w którym leżała istota. Zastali już jednak tylko zwłoki Mike’a. Po bestii pozostała jedynie ogromna zielona plama.

– Niech to szlag! Gdzie to cholerstwo się podziało? – zapytał Murray, masując sobie ramię, na którym pod podartą marynarką widniała niewielka rana.

– Nie mam pojęcia. Ten zaułek wygląda na ślepy – mruknął Clayton, krążąc wokół nich. – Do diaska, przecież przed chwilą tu było!

Ze złością wdepnął w zieloną kałużę, rozpryskując krople na wszystkie strony. Wells z miną męczennika patrzył, jak kilka z nich ląduje na jego spodniach.

– Myśli pan, że zdążyło wybiec na ulicę? – zapytał milioner.

– Kto wie? – odparł zamyślony agent.

– Wątpię – wtrącił Wells. – Nie widzę żadnych śladów krwi, czy co to tam jest, które by prowadziły w tamtą...

Umilkł raptownie, widząc, jak obojętny na jego słowa agent biegnie ku ulicy, pochylając głowę i obracając ją to w prawo, to w lewo. Nagle stanął, cofnął się o kilka kroków, dramatycznym gestem wsparł się pod boki i z nerwową zachłannością zlustrował fasady graniczących z zaułkiem budynków, mlaskając odruchowo. Wells prychnął z irytacją. Nie wiedział, co bardziej go drażni: flegmatyczna wyższość, którą agent okazywał w chwilach spokoju, czy dramatyczne gesty towarzyszące jego domysłom w momentach napięcia.

– Myślicie, że to potrafi się wspinać... albo latać? – zapytał Clayton.

– Gdyby umiało latać, zrobiłoby to, zanim rozbiło się o ziemię, nieprawdaż? – zauważył Wells.

– Może uniemożliwił mu to ciężar więźnia – zastanawiał się agent.

– Kpi pan? – zaśmiał się Wells. – Ta bestia wyglądała na dwa razy cięższą od...

– Zamknijcie się! – zawołała nagle Emma i byłaby zemdląca, gdyby Murray jej nie podtrzymał. Wsparła się na jego ramieniu z lekkością kolibra. – Boże, czy wyście tego nie widzieli? Nie widzieliście, jak inspektor zmienia się w... w to coś? To wyglądało jak... – Głos jej się załamał i wybuchnęła niepokonanym płaczem. Murray musiał ją chwycić za ramiona, by nie upadła.

– Emmo – szepnął – spójrz na mnie! Nie możesz się teraz załamywać, słyszysz? Nie teraz.

– Ale co my zrobimy, Gilliam? Co to w ogóle jest? – pytała, oddychając ciężko.

– Spokojnie, Emmo – szeptał Murray. – Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Przysięgam ci to, rozumiesz? Klnę się na własne życie.

Dziewczyna wpatrywała się w niego zapłakanymi oczyma, z drżącymi, wykrzywionymi przez strach ustami, szukając pociechy w tym ciepłym głosie, bez którego wpadłaby do studni rozpacz i być może pozostała w niej na zawsze.

– Klnę się na własne życie – powtórzył milioner. – Wierzysz mi?

Emma powoli przestawała szlochać, patrząc na mężczyznę, który kołysał ją w swoich szerokich ramionach. Trwoga ulatywała z jej twarzy jak stado jaskółek, a spojrzenie odzyskiwało ostrość. Kilkakrotnie przełknąwszy ślinę, dziewczyna zdołała wykrzesać z siebie cichutki głos.

– Ale Gilliamie... jak mogę wierzyć komuś, kto klnie się na własne życie, będąc od dwóch lat martwy? – zapytała, próbując odzyskać rezon.

– Emmo... – skarcił ją słodko Murray, jakby jej imię było kufrem, w którym starał się zmieścić wszystkie swoje emocje.

– Ehem, ehem... – Clayton chrząknął z zażenowaniem. – Z pewnością nic nie osiągniemy, poddając się panice. Spróbujmy zachować zimną krew – zaapelował, wznosząc entuzjastycznie ręce. – Wszystko ma swoją dobrą stronę! Wszystko! – Umilkł, głaszcząc się po brodzie.

– Niestety ma też złą... ale co tam! Ważne, że teraz wiemy więcej niż przedtem. Wiemy, że Marsjanie potrafią przybrać postać każdego z nas. I jestem przekonany, że ta wiedza da nam nad nimi wielką przewagę...

– Wiemy też, że nie tylko są na przedmieściach i próbują się wdrzeć do miasta – dodał Wells, ignorując zamyśloną pozę agenta. – Są też tutaj i ukrywają się pośród nas.

– Pośród nas – wymamrotał Murray, usiłując oswoić grozę sytuacji.

– Boże – jęknęła Emma.

– I tylko Bóg wie, od jak dawna – podchwycił Wells, wspominając zwłoki, które od dwudziestu lat spoczywały w podziemiach Muzeum Historii Naturalnej, a zarazem rzucając znaczące spojrzenie agentowi, który oczywiście go nie zauważył.

– Hm... cóż... – mamrotał. – Nie ma sensu trwonić czasu na zgadywanki. Teraz, gdy znamy prawdę... a przynajmniej jej część... musimy się udać w bezpieczne miejsce, by w spokoju podsumować wszystko, co wiemy, i nakreślić plan...

– A nie mówił pan czasem, że pański oddział jest przygotowany na takie sytuacje? – zapytał kpiąco pisarz. – Sądziłem, że plan od dawna istnieje.

– Moja ciotka! – przypomniała sobie nagle Emma. – To niedołączna staruszka... Musimy ją ratować! Ją i moje służące! Na Boga, musimy je uprzedzić, żeby nikomu nie ufały!

– Proszę się uspokoić, panno Harlow – rzekł agent, ignorując słowa pisarza. Oczywiście niezwłocznie udamy się po szanowną ciocię i niezastąpione służące. A potem... Ale nie traćmy czasu na jałowe pogawędki; resztę wyjaśnię po drodze. Jedziemy! – zakończył, klaszcząc głośno i ruszając przodem. Zdążył jednak rzucić Wellsowi zirytowane spojrzenie. – Człowiek ma tysiąc planów dla siebie, a Przeznaczenie tylko jeden dla każdego – mruknął sentencjonalnie.

Murray i Wells wymienili zrezygnowane spojrzenia i poszli za nim. Gdy wyszli na ulicę, zauważyli czerwony poblask i kilka kolumn dymu wzbijających się w niebo nad dachami od strony Chelsea. I jakby to nie wystarczyło, nocny wietrzyk przyniósł im znajomy dźwięk marsjańskiego promienia ognistego. Emma przywarła do ramienia Murrraya, a on mocno ścisnął ją za rękę.

– Wygląda na to, że weszli do miasta – rzekł Wells, starając się powściągnąć lęk o losy Jane.

XXVIII

Emma odczekała chwilę, by się upewnić, że na jej twarzy nie pozostał najmniejszy ślad wstydu sprzed kilku minut. Kiedy uznała, że jest wystarczająco spokojna, odwróciła się do trzech mężczyzn, którzy czekali za jej plecami pośrodku luksusowego salonu, i uśmiechnęła się z wystudiowaną obojętnością.

– Cóż, dom bez wątpienia jest pusty! – oznajmiła, wruszając ramionami. – Przeszukaliśmy cały, od pomieszczeń służbowych po ostatni salon. Ciotka Dorothy i jej cała służba, w tym moje dwie pokojówki, zniknęli. Z pewnością opuścili dom w poszukiwaniu lepszego schronienia... – Udała, że wygładza mankiety sukienki, a w rzeczywistości usiłowała ukryć gorycz, która zaczęła pobrzmiwać w jej głosie. – Cóż, najwyraźniej nie martwili się o mój los, skoro nie zostawili mi żadnej przekłetej wiadomości o tym, dokąd się udają...

– Nie myśl tak, Emmo – pocieszył ją pospiesznie Murray, nieswój w obliczu rozżalenia dziewczyny, która zaciągnęła ich do Southwark w obawie o mieszkańców domu, a teraz poczuła się przez nich porzucona.

– Może uciekli w pośpiechu. Pomyśl, jakie przerażenie musiała wzbudzić w twojej ciotce wieść o inwazji. W końcu to starsza pani, która...

– Moja ciotka ma tyle ze starszej pani co pan z misjonarza, panie Murray – przerwała dziewczyna, w końcu poddając się wściekłości. – Lepiej niech ją pan nazwie egoistyczną starą panną, której nigdy nie obchodziło nic ani nikt, a w szczególności, jak panowie widzą, jedyna bratanica... – Emma uśmiechnęła się smutno, dzielnie odwzajemniła spojrzenia trzech mężczyzn i parsknęła gorzkim śmiechem. – Wiedzą panowie, czym mi groziła matka, ilekroć odmawiałam jakiemuś absztyfikantowi? „Skończysz jak siostra twego ojca – stara, samotna i zgorzkniała”. Mnie osobiście taka perspektywa nigdy nie przerażała. Przeciwnie, doprowadzałam matkę do rozpacz, odpowiadając, że taka przyszłość bardziej mi się podoba. Ale teraz... teraz... – Zdumiona dziewczyna poczuła, jak na wspomnienie matki wilgotnieją jej oczy. Nagle ujrzała ją siedzącą w rześście oświetlonym saloniku muzycznym i przyglądającą jej się znad okularów w złoconej ramce tym zaniepokojonym spojrzeniem zarezerwowanym specjalnie dla niej, w świecie, który obecnie wydawał się Emmie tak odległy i nierealny; w świecie bez Marsjan, gdzie najgorszym, co mogło ją spotkać, było zostanie zgorzkniałą starą panną. – Teraz dałabym wszystko, żeby nie przysparzać jej tyłu zgryzot – dokończyła, kierując smutny wzrok ku wielkiemu oknu wychodzącemu na miejscowy kościół.

– Nie martw się – zaklinał dziewczynę Murray, podchodząc do niej ostrożnie. – Obiecuję, że jeszcze wiele razy będziesz miała okazję przysporzyć zgryzot swojej uroczej mamusi. A nawet swojemu ojcu. Nie wiem jeszcze jak, ale odwiozę cię do Nowego Jorku całą i zdrową. Obiecuję. I mówię całkiem poważnie, Emmo.

Wells kątem oka zauważył, jak Clayton wykonuje teatralny gest niedowierzania, co jeszcze wzmogło w nim niechęć do młodzieńca. Co ten pajac sobie, u diaska, wyobraża? Choć pisarzowi było to nie w smak, musiał przyznać, że jak dotąd Murray okazał się bardziej przydatny w walce z Marsjanami niż ten napuszony agent oddziału specjalnego Scotland Yardu. Prawdę powiedziawszy, nie licząc jednej szczęśliwej interwencji na farmie, trudno było znaleźć jakikolwiek powód do wożenia ze sobą nieznośnego młodzieńca. Na szczęście pozostali nie zauważyli jego wyglądu, skoncentrowani na dramatycznej scenie, którą z patosem odgrywali, a która swobodnie mogłaby się znaleźć na witrażach widocznego za oknem kościoła, ilustrujących sztuki Szekspira.

Emma uśmiechnęła się do Murraya przez łzy.

– Wiem, że mówisz poważnie, Gilliamie.

Milioner energicznie pokiwał głową.

– Chciałaby pani zapytać sąsiadów o ciotkę, panno Harlow? – podsunął Wells, wykorzystując chwilę ciszy. – Może w zakrystii będą coś wiedzieć?

– Nie mamy czasu na chodzenie po sąsiadach, panie Wells! – skarcił go zniecierpliwiony Clayton. – Nie słyszycie wystrzałów z Lambeth? Trójnogi już wkraczają do miasta. Musimy natychmiast jechać, bo...

Jakby na potwierdzenie słów agenta horyzont za oknem rozświetliła seria eksplozji, a w powietrzu rozbrzmiały stanowczo zbyt głośne huki.

– Nie zamierzam szukać ciotki po całym Londynie. Sądzę, że zrobiłam już to, co do mnie należało – oświadczyła stanowczo Emma, gdy gromy umilkły. – Jeśli jednak pan pozwoli, panie Clayton, chciałabym pójść do swego pokoju, żeby się przebrać w wygodniejszy strój. Mam lekki kostium do jazdy konnej, który wydaje mi się odpowiedniejszy do ucieczki przed Marsjanami... To potrwa tylko parę minut.

– Proszę bardzo, niech się pani przebiera – odparł zrezygnowany agent. – Tylko szybko, błagam!

Dziewczyna dygnęła leciutko i wybiegła z salonu. Rosły i wierny Murray podążył za nią ja cień.

– Mogę pani potowarzyszyć, panno Harlow? – zapytał. – Oczywiście tylko do drzwi.

– Ależ oczywiście – odparła. – Jeśli nagle z jednego z moich kuferków wyskoczy Marsjanin, wpadnie pan do środka i wyrzuci nas oboje przez okno.

– Jakżebym śmiał, Emmo... Może zrobiłbym to z Wellsem albo z agentem, ale z panią...

Wells i agent przysłuchiwali się cichnącym słowom milionera, po których nastąpiła seria skrzypnięć. Potem Clayton klasnął w dłonie, omal nie przyprawiając pisarza o zawał.

– Świetnie! Niech mi pan pomoże znaleźć coś do pisania – poprosił, po czym zaczął otwierać szuflady i przeglądać ich zawartość, jakby chciał ukraść biżuterię staruszki. – Wykorzystajmy ten czas na ustalenie najbezpieczniejszej trasy z tej dzielnicy do miejsca, do którego chcę was zawieźć. Spróbujmy przewidzieć, którędy pójda trójnogi, choć musimy się w tym celu posłużyć logiką ludzkiej strategii. Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę rozmiary tych machin. Tak, chyba wiem, jak zdołamy przed nimi uciec! Będziemy się przemieszczać wąskimi uliczkami, które oddalają się od... Na Boga, czy nikt w tym domu nie pisze? Może w bibliotece... Zna pan tę okolicę, panie Wells?

– A czyja wyglądam na woźnicę? – zapytał z wyraźną irytacją pisarz, ze spokojem idąc ku filigranowemu sekretarzykowi stojącemu w rogu salonu, gdzie oczywiście znalazł to, czego szukał. – Oto papier i atrament, agencie. Nie będzie pan musiał dziurawić ścian ani rozbijać posadzki.

– Dobrze, dobrze. To już coś – odparł Clayton, bezpardonowo wrywając mu z rąk znalezione przedmioty. Podszedł do stołu zajmującego środek salonu i bez mrugnięcia okiem zrzucił z niego wszystkie świeczniki. – Skoro żaden z nas nie zna dzielnicy, będziemy musieli wytyczyć trasę z pamięci... Pomyślmy: jeśli katedra jest tu, a most Waterloo gdzieś tu...

– Panie Clayton – przerwał mu z powagą Wells – pan nie wierzy, że wyjdziemy z tego żywi, prawda?

Agent spojrzał na niego zdumiony.

– Dlaczego pan tak sądzi? Na pewno przy odrobinie szczęścia i...

– Proszę dać spokój. Widziałem pańską reakcję na słowa Murraya, że odwiezie pannę Harlow całą i zdrową do Nowego Jorku...

– Pomyłka, przyjacielu – uśmiechnął się Clayton. – To nie był wyraz sceptycyzmu wobec naszych szans na ujęcie z życiem, tylko wobec przekonania, że Nowy Jork wciąż jest bezpieczny.

Wells przyglądał mu się przez moment w oszołomieniu. Szybko jednak uświadomił sobie, że od dawna brał pod uwagę tę przerażającą możliwość. Być może wszyscy oni o tym myśleli, tylko żadne nie ośmieliło się powiedzieć tego na głos ani nawet przyznać w skrytości ducha. Żadne z wyjątkiem agenta Clayтона. Tylko on potrafił zaakceptować myśl, że nie ma dokąd uciekać.

– Chce pan powiedzieć... Boże drogi... że Marsjanie mogą zaatakować także Nowy Jork? I inne miasta?

– Istnieje taka możliwość – odparł Clayton, gapiąc się na kartkę, którą przyciskał protezą do blatu. – I dlatego musimy brać ją pod uwagę... Nie, most jest wyżej...

– Ale wtedy – wymamrotał Wells, czując potrzebę zwerbalizowania grozy sytuacji mimo braku zainteresowania ze strony agenta.

– Wtedy wszystko, co robimy, nie ma sensu... Jeśli zaatakowali całą planetę, po co uciekać?

Clayton podniósł wzrok znad papieru i spiorunował pisarza wzrokiem, połyskując wąskimi oczkami zza zasłony czarnej grzywki.

– Każda sekunda życia ma sens, panie Wells. I z każdą uratowaną sekundą zwielokrotniamy szanse na uratowanie kolejnej. Radzę panu nie myśleć o niczym innym – rzekł z patosem, po czym przeniósł wzrok z powrotem na mapę. – Gdzie, do diaska, jest ten most Waterloo?

Kiedy Murray stał na warcie za drzwiami, Emma przebierała się w zaskakująco szybkim tempie. Zniecierpliwiona koniecznością robienia tego bez pomocy służącej, postanowiła bowiem rozciąć suknię srebrnymi nożyczkami. Efekt tego rozczłonkowania ukryła pod łóżkiem, nie bardzo wiedząc dlaczego, i włożyła strój do hippiki, przywieziony z Paryża i złożony z lekkiego zakietu z wcięciem w talii oraz spódnicy podzielonej na dwie szerokie nogawki i przewiązanej w pasie jasnozielonym sznurkiem. Następnie upięła włosy w niski kok i przejrzała się w lustrze, zadając sobie pytanie, co powie Murray, gdy jego ukochana wyłoni się z pokoju pod postacią delikatnego chłopca. Już miała wyjść, gdy jej uwagę przykuło coś wystającego z jednego z kufrów.

Natychmiast to rozpoznała, lecz na chwilę zawahała się z ręką na klamce, a potem pospiesznie rzuciła się na kufer i wyrwała przedmiot, jakby w obawie, że rozplynie się w powietrzu. Przez kilka sekund kołysała go w dłoniach, klęcząc na podłodze; potem rozwiązała czerwoną wstążeczkę i z ceremonialną starannością rozwinęła arkusz. Mapa nieba, którą jej pradziad narysował dla swojej córki Eleonory, pozwoliła się otworzyć bez oporu, z przyjemnym szelestem przypominającym trzask iskier w kominku. Nie wydawała się żywić urazy za lata zamknięcia. Emma przypomniała sobie tę jakże odległą chwilę, gdy postanowiła zabrać mapę ze sobą, szykując się do odwiedzin u starej ciotki. Po co to zrobiła, skoro od lat uważała ją wyłącznie za sympatyczną głupotkę? Do czego mogła jej się przydać w tej podróży, której jedynym celem miało być poniżenie najbardziej nieznośnego z mężczyzn? Nie знаła odpowiedzi na te pytania, lecz teraz cieszyła się, że jeszcze raz, być może ostatni, może podziwiać tę niezwykłą mapę.

Rozłożyła ją na podłodze i jak w dzieciństwie zaczęła wodzić palcami po znajomym krajobrazie, rysując na nowo każdą z żyłek nadających granatowemu tłu przepiękny charakter gwiazdnego oceanu. Podążając za jedną z nich, dotarła do Słońca i poczuła, jak koniuszek palca rozgrzewa się przyjemnie tym samym delikatnym, intymnym ciepłem, które wywoływał dotyk grzbietu jej ukochanego kotka; potem podążyła ku jednej z mgławic, wyobrażając sobie lepki dotyk waty cukrowej, a na koniec dotarła do skupiska gwiazd, których lodowate wrzenie wywołało w niej dreszcze. Uśmiechając się poufale do oszołomionych widokiem olbrzymiego palca pasażerów latających kul, przesunęła dłoń w róg mapy, gdzie sympatyczne ludki o szpiczastych uszach i rozdwojonych ogonach leciały na pomarańczowych czaplach ku krawędzi, za którą musiało się znajdować jakieś cudowne miejsce... cudowne miejsce...

Tkwiała bez ruchu z palcem utkwionym w rogu mapy i uroczo wygiętą szyją, jakby szukała swojego odbicia zatopionego na dnie rzeki. Czas płynął. Chciała zwinąć mapę, lecz coś zmuszało ją do klęczenia nad nią w wielkim skupieniu, jakby chciała wnikać w jej strukturę. A potem, bardzo powoli, głęboko w jej trzewiach zaczął się rodzić gęsty, ciepły szloch, niczym bąbel wrzącej melasy, która za chwilę wykipi. Emma oparła cały swój ciężar na rękach, pochylając się nad podłogą, jakby chciała zwymiotować. Otworzyła usta i wzięła głęboki haust powietrza, z dziką zachłannością wciągając cały ból, który unosił się wokół niej; całą frustrację, cały strach, cały bezsens życia. A kiedy poczuła się pełna, kiedy jej serce na moment przestało bić, przepełnione melancholią i rozpaczą, osunęła się na mapę niczym ścięty kwiat, pozwalając, by wstrząsał nią szloch, by rwący prąd niepohamowanego płaczu zabrał ją w siną dal, wyrывая z tego bezwolnego, targanego konwulsjami ciała.

Wtedy drzwi otwarły się raptownie i do pokoju wpadł zdenerwowany, gotów do walki z najpotworniejszym złem Murray.

– Co jest, do diabła? Co z tobą, Emmo? – pytał, potwornie zaniepokojony, rozglądając się czujnie wokół w poszukiwaniu wroga, którego miałyby wyrzucić przez okno.

Kiedy się zorientował, że w pokoju nie ma nikogo oprócz dziewczyny, przykląkł przy niej i nieśmiało dotknął jej drżących pleców. Emma wciąż płakała, choć z każdą chwilą słabiej, uspokajając się, jakby ukołysał ją własny szloch. Murray podniósł ją delikatnie i objął opiekuńczo, opierając jej głowę na swym ramieniu. Jego wzrok padł na mapę rozpostartą na podłodze niczym koc piknikowy. Przez chwilę oboje na nią patrzeli.

– Co to za rysunek? – zapytał Murray w końcu z wielką łagodnością, bojąc się, że dziewczyna znów się rozpłacze.

Ona zaś westchnęła i otarła dłonią mokre policzki.

– To mapa nieba – odparła cichutko. – Rysunek wszechświata zrobiony przez mojego pradziadka, Adama Locke'a. Dał go mojej babci, ona matce, a matka mnie. Wszystkie kobiety w rodzinie w dzieciństwie myślały, że tak właśnie wygląda wszechświat...

– Dlatego płakałaś? Marzenia są piękne – rzekł Murray Emma podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że Gilliam poczuł słony zapach łez, a nawet zobaczył wilgoć na policzkach.

– Tak, teraz to wiem. Czy to nie straszne, Gilliamie? Dopiero teraz – powiedziała, a on poczuł jej słodko-kwaśny oddech, oddech dziewczynki, która właśnie przebudziła się ze snu, tak niewinny, że niemal roztopił mu serce. – Nie płakałam z tęsknoty za czasami, w których myślałam, że taki jest wszechświat... ani dlatego, że kilka godzin temu moje marzenia zostały wymazane na zawsze. Płakałam nad swoją głupią

nieodpowiedzialnością. Gdybym wiedziała, że przyjdzie czas, w którym nie będzie już można marzyć, nigdy nie przestałabym tego robić. A teraz nie wiem, jak odzyskać stracony czas. Dlatego płakałam. Płakałam za straconymi marzeniami. Dokąd odchodzą porzucone marzenia, Gilliamie? Dokąd? Czy jest dla nich jakieś miejsce we wszechświecie?

Zauważył, że tęczęwki dziewczyny nie są całkowicie czarne, jak to się wydawało z daleka. Od źrenic, niczym niteczki złota unoszące się w nieprzeniknionej ciemności kosmosu, odchodziły żyłki koloru miodu.

– Donikąd. Myślę, że zostają w nas – odparł. Potem westchnął i uśmiechnął się czule.
– Widziałem cię, Emmo – dodał. – Widziałem cię jako dziecko.

– Jako dziecko? Jak to?

– Po prostu. Nie pytaj jak, bo nawet ja tego nie wiem. Ale tak było. Widziałem cię – obstawał przy swoim, wzruszając ramionami. – Wiem, że uznasz to za szaleństwo, ale w dniu naszego drugiego spotkania, podczas spaceru po Central Parku, zanim odeszłaś oburzona, pozostawiając mnie samego pośrodku mostu, w pewnej chwili spojrzałem ci w oczy... i cię zobaczyłem. Mogłaś mieć dziesięć, jedenaście lat. Byłaś w żółtej sukience...

– Chyba nigdy takiej nie miałam.

– Miałas głowę pełną loków.

– Boże, Gilliam, nigdy nie miałam...

– I przyciskałaś do piersi tę mapę – dokończył, wskazując rysunek Locke'a.

Patrzyła mu w oczy w milczeniu, usiłując z nich odczytać, czy kłamie. Dowiedziała się, że mówi prawdę. Zajrzała w głąb jego duszy i ujrzała zapisaną tam dziewczynkę.

– Widziałem cię, Emmo. To byłaś ty. Wewnątrz siebie. Pilnowałaś swoich marzeń – zapewnił ją Murray z tą samą konsternacją, którą odczuwała i ona.

I wtedy, jeśli możliwe jest spadanie w górę, jeśli grawitacja potrafi czasem się pomylić i przestaje przytrzymywać nas przy ziemi jak przycisk do papieru, Emma spadła. Spadła w górę, rzuciła się w niebo. Niczym kropla spływająca po liściu popłynęła ku twarzy Murraya, który spoglądał na nią z tak ujmującą powagą, z tak płomienną intensywnością, że miała wrażenie, iż leci ku słońcu i zacznie płonąć przy pierwszym zetknięciu z jego ustami. Żadne z nich nie zdążyło się jednak przekonać o właściwościach zapalnych skóry Gilliamia, bo właśnie wtedy z korytarza dobiegł ich głos Wellsa:

– Panno Harlow! Gilliamie! Gdzie jesteście?

– Tutaj! Pokój na końcu korytarza! – odkrzyknęła dziewczyna, podnosząc się gwałtownie i ocierając łzy. Murray wciąż klęczał, jakby oczekiwał, że Emma pasuje go na rycerza. – Wstawaj! – szepnęła.

Do pokoju wpadł Wells, a za nim Clayton. Obaj stanęli jak wryci, zdumieni niecodziennym widokiem: przebrana za młodzieńca Emma stała ze spuchniętymi, poczerwieniałymi oczami, a milioner klęczał groteskowo u jej stóp.

– Co jest, Murray? Przewrócił się pan? – zapytał zdumiony Clayton.

– Niech sobie pan nie dworuje – burknął tamten, wstając pospiesznie. – Co się dzieje, do licha?

– Jak to „co się dzieje”? – zniecierpliwził się agent. – Proszę wyjrzeć przez okno. Nie widzi pan tych pożarów na horyzoncie? Trójnogi nadchodzą od strony Lambeth. Musimy uciekać!

Murray musnął horyzont roztargnionym wzrokiem, jakby ta sprawa zupełnie go nie dotyczyła. Agent westchnął ciężko.

– Już się pani przebrała? – zapytał pannę Harlow.

Dziewczyna rozłożyła ręce, uznając odpowiedź za zbędną.

– Aha – powiedział, lustrując ją nieco niepewnym wzrokiem. – Ruszajmy więc. Zawiozę was w bezpieczne schronienie. Tam przenocujemy, a rano udamy się na miejsce spotkania z małżonką pana Wellsa na Primrose Hill – perorował.

– Zaraz, zaraz! – zaprotestował gniewnie Murray. – Nie zamierzam nigdzie wieźć panny Harlow, póki nam pan nie powie, dokąd się udajemy. Czy w Londynie istnieje jeszcze jakaś bezpieczna kryjówka? Chyba nie myśli pan o kościele? A może jednak pan sądzi, że Bóg nas ochroni? – zakpił.

– Podejrzewam, że ma zbyt wiele na głowie, by się nami przejmować, panie Murray. Pojedziemy w miejsce, które nie podlega Jego jurysdykcji – odparł agent, ruszając długimi krokami przez korytarz.

Wells wyszedł za nim z pokoju, potrząsając głową. Murray powielił jego gest, po czym puścił przodem Emmę, która przed wyjściem zerknęła przez ramię na mapę nieba.

– Nie chcesz jej zabrać? Zostawisz ją tu? – zapytał nieporadnie milioner. – Może ją zwiniemy i...

– Nie trzeba – odparła z uśmiechem dziewczyna. – Już ją mam... w sobie. Sam to widziałeś, pamiętasz?

Przytaknął z tkliwością i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, jakby chciał uszanować sen mapy, która spoczywała na podłodze, ukazując wszechświat dobrotliwy, lecz z całą pewnością nieprawdziwy.

XXIX

To jest pańskie wyobrazenie bezpiecznego miejsca? – zapytał Murray, wodząc wokół rozczarowanym spojrzeniem. – Chyba zbyt wysoko ceni pan własny dom, panie Clayton.

Znajdowali się w skromnym budynku przy Euston Road, złożonym z salonu i niewielkiej pracowni na parterze oraz kilku sypialń na wyższych piętrach, z których każde było jeszcze mniejsze od poprzedniego, dzięki czemu domek piął się ku niebu, zwiężając się jednocześnie.

Wells znał te wąskie chatynki tworzące zbity i chwiejny szereg w północnej części Bloomsbury lepiej, niżby chciał, jako że tam właśnie zamieszkiwał w czasach studenckich. Zawsze uważał je za najwierniejszy portret całego Londynu z jego idiotycznym brakiem jakiegokolwiek planu budowlanego.

W drodze do tego miejsca pokonali Tamizę przez Blackfriars Bridge, potem jechali wzdłuż Victoria Embankment, a dalej przez Covent Garden i Bloomsbury. Wybierali wąskie uliczki, a jedynie wówczas, gdy było to absolutnie nieuniknione, wyjeżdżali na główne arterie wypełnione przestraszonymi, biegającymi w tę i z powrotem ludźmi. Eksplozje tymczasem rozbrzmiewały coraz bliżej. Londyńczycy najwyraźniej zrozumieli, że wbrew zapowiedziom miasto nie jest już niedostępną fortecą. Żaden z nich nie widział jeszcze trójnogu, lecz uciekali co sił w nogach, jakby ścigała ich najpotworniejsza groza. Patrząc, jak spieszą nie wiadomo dokąd, Wells pomyślał, że ci nieszczęśnicy uciekają w istocie przed płodami własnej wyobraźni zrodzonymi z huku eksplozji. Clayton miał rację, mówiąc, że czasem wyobraźnia podsuwa nam obrazy gorsze od rzeczywistości. Kiedy na horyzoncie pojawią się marsjańskie maszyny, depcząc po dachach i burząc domy snopami ognia, mogą nawet niektórych rozczarować. Na razie jednak, gdy powóz z wielkim „G” przedzierał się przez tę falę uciekinierów, a pisarz rozglądał się wokół ze szczerą nadzieją na ujście Jane, pasażerowie zdążyli usłyszeć sporą garść plotek potwierdzających ich podejrzenia. Dowiedzieli się na przykład, że zabito królową. Ktoś wdarł się do zamku Windsor i bezlitośnie zamordował strażę oraz służbę. Nikt nie pozostał przy życiu. Podobne rzeczy wydarzyły się w głównej siedzibie straży pożarnej, w parlamencie, w szpitalu królewskim w Chelsea i w innych miejskich instytucjach. Mówiono również, że ktoś uwolnił wszystkich więźniów osadzonych w Pentonville i Newgate. Londyńczycy zachodzili w głowę, jak ktokolwiek może w ten sposób wykorzystywać sytuację, bo uwalnianie więźniów i mordowanie ministrów sprawiały wrażenie działań wywołanych czystą ludzką złośliwością.

Pasażerowie powozu oczywiście wiedzieli, w czym rzecz. Rozumieli, że ataki nie były ani przypadkowe, ani tym bardziej ludzkie. Bezlitosnych mordów dokonywały takie istoty jak ta, którą spotkali w siedzibie Scotland Yardu. Prawdopodobnie przez lata obmyślały plan destabilizacji miasta od środka. Trójnogi były jedynie zasłoną dymną, heroldami zniszczenia, symbolem najbardziej topornego oblicza wojny posiadającej również subtelniejszą stronę.

Teraz, w domu Clayтона, słyszeli ogłuszające wystrzały trójnogów, zdające się dobiegać z wielu kierunków jednocześnie – z Chelsea, Islington, Lambeth, a nawet zza Regent's Parku, od strony Kilburn. Zgodnie z podejrzeniami agresorzy z kosmosu przerwali szyki obronne nie tylko w Richmond, lecz także w innych punktach, i teraz wdzierali się do miasta zewsząd. Wkrótce cała stolica będzie zdana na ich łaskę i żadne miejsce nie pozostanie bezpieczne, a gdyby nawet takie istniało, z pewnością nie będzie nim dom Clayтона, wyglądający jak kartonowa zabawka. Agent, rzecz jasna, nie podzielał

tej opinii. Gdy Murray ją wyraził, gospodarz tylko uśmiechnął się enigmatycznie i poprosił, by szli za nim. Poprowadził ich do słabo oświetlonej zatęchłej piwnicy, w której znajdowały się kuchnia i komórka na węgiel, i nie przestając się uśmiechać, zaczął coś grzebać przy piecyku.

– Co jest, do diabła? – zniecierpliwził się Murray. – Będzie nam pan robił herbatkę czy co? Bardzo to miłe, Clayton, ale zapewniam, że żadne z nas nie będzie się nią w spokoju rozkoszować, słuchając, jak te przeklęte trójnogi podchodzą coraz...

Nie dokończył, bo w tym właśnie momencie Clayton pociągnął niewielką dźwignię umieszczoną wewnątrz piecyka i jedna ze ścian kuchni zaczęła się poruszać. Goście patrzeli w zdumieniu, jak wprawiana w ruch jakimś ukrytym mechanizmem, przesuwa się niczym kurtyna w teatrze, odsłaniając przestrzeń wielkości szafy, w której podłodze widniała kłapa. Clayton z uprzejmym uśmiechem zachęcił ich do wejścia, a kiedy wszyscy stanęli tam ściśnięci, zaczekał, aż ściana wróci do pierwotnej pozycji, otworzył kłapę i zaczął schodzić po wąskich schodach w mrok.

– Proszę za mną – rzekł. – I niech ostatnia osoba zamknie kłapę.

Ku zdumieniu wszystkich schody prowadziły do ogromnego salonu o kamiennych ścianach, umeblowanego i udekorowanego tak luksusowo i egzotycznie, jakby miał się tu schronić jakiś monarcha. Pod ścianami stały regały pełne książek w tłoczonych oprawach, podłogę pokrywały mięciutkie perskie dywany, kąty zdobiły niebieskie chińskie wazy, a w gablocie połyskiwały kryształy weneckie. Tu i ówdzie stały różnorakie fotele i kanapy, sprawiające wrażenie stada, które rozpierzchło się w ucieczce przed burzą. Był nawet majestatyczny marmurowy kominek, którego przewód musiał przechodzić przez mieszkanie w górze albo piąć się zygzakiem przez skałę i wypluwać swój dym Bóg wie gdzie, by co bardziej bogobojni mogli go wziąć za jedną z wielu bram do piekła. Gdy Clayton po kolei zapalał rozmieszczone w luksusowym salonie lampki, pozostali rozglądali się wokół z mieszaniną podziwu i niedowierzania. Pomieszczenie wyglądało na utworzone z myślą o takich sytuacjach i wyposażone we wszystko, co potrzebne do spędzenia w nim sporej ilości czasu: obok salonu widniała spiżarnia pełna jedzenia i innych rzeczy niezbędnych do przeżycia.

– Jak państwo widzą, do rana będziemy tu bezpieczni – rzekł Clayton, zapaliwszy wszystkie światła.

– Moglibyśmy tu nawet spędzić wakacje – odparł z rozbawieniem Murray, przyglądając się eleganckiemu zegarowi w stylu Ludwika XIV, melodyjnie odmierzającemu sekundy na drewnianej półce nad kominkiem.

Agent roześmiał się z zadowoleniem.

– To nie ja zbudowałem ten dom – wyjaśnił. – Odziedziczyłem go po właścicielu, którego zatrzymałem w jednej ze swoich najgłośniejszych spraw. W nagrodę za dobrze wykonane zadanie zwierzchnicy sprezentowali mi dom.

– A kimże był ów właściciel? – zapytał Wells, oszołomiony, że istnieją zawody, w których można się dorobić takich miejsc.

– Obawiam się, że nie wolno mi tego panu zdradzić.

Pisarz spodziewał się podobnej odpowiedzi. Nie nalegał więc, tylko z rezygnacją pokiwał głową i rozejrzał się po gościnnym salonie. Kimkolwiek był jego budowniczy, mogli tu bezpiecznie odpocząć – a raczej mogliby, gdyby nie to, że on sam z pewnością nie zmruży oka, myśląc o Jane, która być może biega teraz po ulicach wśród zatrwożonego tłumu. Ponieważ jednak chwilowo nie mógł dla niej nic zrobić, postanowił mimo wszystko odpocząć i coś zjeść. Musieli przecież odzyskać siły, by stawić czoło temu,

co nadejdzie jutro. Dziewczyna już buszowała w spiżarni, wygłodniała – jak sądził – po wielogodzinnej ucieczce. Ku jego rozczarowaniu wyszła stamtąd jedynie z małą apteczką, po czym poprosiła agenta o zgodę na opatrzenie Murrayowi rany, którą zadała mu pozaziemska istota, a na którą pisarz w ogóle nie zwrócił uwagi.

– Oczywiście, panno Harlow. Rozgoście się – odparł Clayton, wskazując fotele. Potem przeniósł wzrok na pisarza. – Proszę za mną, panie Wells. Chcę panu pokazać coś, co powinno pana bardzo zainteresować.

Wells zacisnął zęby i ruszył za nim, zdegustowany nie tylko koniecznością pohamowania w obliczu entuzjazmu gospodarza czegoś tak trywialnego jak głód, lecz także faktem, że musi znowu gdzieś iść, zamiast usiąść w miętutkim fotelu i rozprostować kości. Clayton poprowadził go korytarzem, od którego po obu stronach odchodziły drzwi. Zatrzymał się przed żelaznymi drzwiczkami zamkniętymi na kłódkę i przytrzymując ją uszkodzoną protezą, próbował otworzyć. Wells nie miał cierpliwości czekać, aż agent zdoła włożyć klucz do dziurki, więc wyszarpnął mu go i sam umieścił w zamku. Potem gestem hotelowego portiera zaprosił Clayтона do środka.

Agent nieco zirytowany wszedł do ciemnego pomieszczenia. Kiedy Wells ruszył w ślad za nim i obaj zniknęli Murrayowi z oczu, ten podziękował im w duchu za możliwość spędzenia z dziewczyną chwili na osobności w tak przyjemnym wnętrzu. Emma poprosiła, by usiadł w jednym z foteli, a on z przyjemnością posłuchał. Potrzebowali odrobiny prywatności w miejscu, z którego nie będą musieli za moment uciekać w popłochu. Przyglądał się, jak dziewczyna otwiera apteczkę i wyklada na stoliczek bandaż, gazę i nożyczki. Uśmiechnął się pobłaźliwie, udając, że rana na ramieniu nic a nic go nie obchodzi.

– Ależ nie przejmuj się, Emmo – rzekł łagodnie. – Prawie nie czuję bólu.

– To wygląda na paskudną ranę – odparła.

– Jak to paskudną? – zaniepokoił się.

Zaśmiała się.

– Bez obaw, to tylko draśnięcie – uspokoiła go. – Nie sądzę, by miało cię zabić.

– Co za ulga! – uśmiechnął się psotnie milioner.

– To znaczy nie sądzę, żebyś miał umrzeć po raz drugi – uściśliła z nagłą powagą Emma, dezynfekując ranę.

Milioner przygryzł wargę, klnąc w duchu.

– Chyba jestem ci winien wyjaśnienie – rzekł, żałując, że tej chwili spokoju nie mogą poświęcić na coś przyjemniejszego niż roztrząsanie nieporozumień.

– Chyba tak – odparła z nutką smutku dziewczyna, bandażując mu ramię. – Chętnie poznam prawdę przed śmiercią.

– Nie umrzesz, Emmo, jeśli tylko będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia – zapewnił ją pospiesznie Murray. – Przyrzekłem ci to na własne życie.

– Przestań trwonić czas na pocieszanie mnie, Gilliamie – mruknęła z rezygnacją dziewczyna. – Zbyt mało go mamy.

– Co ty mówisz? Mamy go pod dostatkiem! Do licha, w końcu jestem Panem Czasu! – zaprotestował patetycznie Murray. – Ledwie zaczęliśmy się poznawać! Mamy przed sobą całe życie!

– Całe życie? Gilliamie, przypominam ci, że Marsjanie właśnie podbijają Ziemię – odparła, rozbawiona jego naiwnością. – Nie przyszło ci do głowy, że to może nam pokrzyżować plany?

– Może i tak, może i tak... – przyznał zasmucony. – Że też to musiało się stać właśnie

teraz...

Oczywiście miał pełną świadomość położenia, w jakim się znaleźli. Nie był idiotą. Wiedział, że Marsjanie zaatakowali Ziemię, ale aż do tej chwili kompletnie się tym nie przejmował, jakby ta inwazja nie dotyczyła ich dwojga. Był tak zachwycony zażyłością, jaka wytworzyła się między nim a ukochaną, że najeźdźcy wydawali mu się jedynie drobną niedogodnością, którą nie miał czasu się zajmować. Emma sprawiła mu przykrość, przywiązując do inwazji tak wielką wagę. Zrozumiał, że przyjmowała z uśmiechem jego obietnice ratunku nie dlatego, że w nie wierzyła, lecz wyłącznie po to, by mu sprawić przyjemność, co jednocześnie go wzruszyło i zasmuciło. Ostatecznie jednak musiał jej przyznać rację: inwazja przekreślała wszystkie plany, w tym ich własne, bo trudno było sądzić, że wyjdą z niej cało.

– Istotnie bardzo to niefortunne... – przytaknęła Emma, po czym, obserwując go z czułością matki patrzącej na zawiedzione dziecko, dodała z uśmiechem: – Nie zdążę się w tobie zakochać.

Musiał odwzajemnić uśmiech.

– Jesteś pewna? Jak sądzisz, ile potrzeba na to czasu?

Wzruszyła ramionami.

– Chciałabym wiedzieć, ale nigdy nie byłam zakochana – przyznała melancholijnie. – I obawiam się, że umrę, nie zaznawszy tego uczucia...

Zamilkła, zaskoczona własnym wyznaniem. Po raz pierwszy okazała słabość przed mężczyzną. Prawdę powiedziawszy, po raz pierwszy zrobiła to przed kimkolwiek. Była słaba jak dziecko i nie przejmowała się, że Gilliam to zobaczył – przeciwnie, odczuła niewysłowioną ulgę. W tej sytuacji udawanie niewzruszonej nie miało sensu, ale zrzuciła maskę nie tylko dlatego, że odgrywanie kogoś, kim się nie jest, straciło sens w obliczu zagłady świata, lecz także dlatego, że ten potężny mężczyzna udowodnił, iż ją kocha – ją, tylko ją i wbrew niej samej. Tak, ten mężczyzna, który wszystkich traktował z pogardą i wyższością, a nawet okrucieństwem, a który do niej zwracał się z niewysłowioną delikatnością i próbował wydoić krowę, by zaspokoić jej pragnienie, zasłużył sobie na jej szczerość. Wkrótce miała umrzeć, zapewne straszną śmiercią, a nie chciała odejść, udając kogoś, kim nie jest. Pragnęła, by choć jeden człowiek na Ziemi poznał prawdziwą Emmę: kruchą dziewczynę, która marzyła o tym, by świat był taki, jakim go narysował jej pradziad, i która bardzo chciała się zakochać. Taka była Emma Catherine Harlow... a ten człowiek, człowiek mający ujrzeć ją taką, jakiej nie widział dotąd nikt, otworzył usta, by powtórzyć, że nie pozwoli jej umrzeć... lecz zaraz je zamknął. Nie – pomyślał – nie mogę jej okłamywać. Po co to robić, skoro jest jasne, że wszyscy zginiemy? Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się nad nimi ogłuszający huk. Wstrząśnięci unieśli głowy. Trójnogi musiały już dotrzeć do Bloomsbury. Może nawet maszerowały zwycięsko po Euston Road na swoich trzech nogach, strzelając na chybił trafił do budynków, siejąc zniszczenie i odbierając istnienia, jakby ludzie padający pod ich promieniami byli zwykłymi karaluchami, a nie istotami pełnymi marzeń i pragnień, w szczególności zaś jednego pragnienia: by przeżyć i doczekać wzajemności umiłowanej kobiety.

– Jak mam sprawić, żebyś się we mnie zakochała? – zapytał łagodnie Gilliam, gdy wybrzmiało echo eksplozji. – Może zdążę tego dokonać, zanim zginiemy...

Odpowiedziała uśmiechem, wdzięczna, że nie skłamał ponownie, zapewniając, iż wyjdą cało z tej czy innej opresji. Każdy inny by to zrobił, ale on nie. Cieszyła się, że ten rosły mężczyzna także w tym aspekcie zachowuje się inaczej niż większość przedstawicieli swojej płci.

– Już się przekonałam, że potrafisz dla mnie zabić, a nawet wyrzucić potwora przez okno – powiedziała z rozbawieniem. – Innej mogłoby to wystarczyć, ale ja potrzebuję czegoś więcej, choć jeszcze nie wiem czego. Zresztą i tak niewiele zdążysz już zrobić. – Spojrzała na niego z mieszanką czułości i rezygnacji, ujmując go za ręce i głaszcząc. Westchnęła na widok jego zbolącej miny, lecz zaraz oczy jej rozblęły. – Musisz mnie w sobie rozkochać czymś, co już zrobiłeś! Tak! Co takiego zrobiłeś w życiu, żeby mnie do siebie przekonać, Gilliamie?

Westchnął. Uwielbiał, jak dziewczyna wypowiada jego imię – w jej ustach przypominało kawałek tortu albo cząstkę pomarańczy.

– Obawiam się, że nic – odparł z goryczą. – Gdybym wiedział, że będę musiał cię do siebie przekonywać swoją przeszłością, zapewniam, że byłaby ona całkiem inna. Nie sądziłem jednak, że będę musiał olśniewać swoim życiem jakąkolwiek damę, a zwłaszcza taką jak ty.

Odchylił się w fotelu i patrzył na nią smutno. Może dzięki miłości, którą ją darzył, znał dziewczynę tak dobrze, choć zarazem tak słabo. I kochałby ją nadal, nawet gdyby mu wyznała, że kogoś zabiła lub okradła. Kochał ją całą i nic nie mogło tego zmienić. Jego miłość była tak silna i irracjonalna, że uniemożliwiała mu nawet ocenę ukochanej. Kochał ją za to, kim była, niezależnie od wszystkiego, co robiła lub czego nie robiła. Kochał ją za jej piękno, choć to słowo nie oddaje istoty rzeczy – być może lepiej byłoby powiedzieć, że kochał ją za sposób, w jaki szła przez życie: za jej oczy, uśmiech, gesty; za słodycz, z jaką zabijałaby i kradła. Ale ona nie kochała go za to, kim był. Jakżeby mogła? – pytał siebie, przyglądając się odbiciu niezdarne go olbrzyma w lustrze. Poruszał się po świecie gorzej niż kaktus. Emma mogłaby pokochać go jedynie za jego wnętrze, za to, co mógłby zrobić, lecz niestety teraz było za późno, a jego przeszłość nie kryła żadnego szlachetnego gestu będącego powodem do dumy, żadnego bezinteresownego czynu, który mógłby posłużyć za kartę przetargową w staraniach o miłość tej kobiety.

– Co musiałby zrobić mężczyzna, by cię do siebie przekonać? – zapytał chyba jedynie z ciekawości, pewien, że cokolwiek to jest, nie dokonał tego nawet przez pomyłkę. – Czy ktoś kiedyś zrobił coś, co pozwoliło ci sądzić, że mogłabyś się w nim zakochać?

Przymknęła oczy i pogрузzyła się w tak słodkiej zadumie, że Murray żałował, iż nie może uwiecznić tego spojrzenia na płótnie. Skoro jednak jego umiejętności malarskie były, delikatnie mówiąc, żadne, mógł jedynie starać się zapamiętać każdy szczegół jej twarzy, by przechowywać go starannie w miękkiej ściółce wspomnień.

– Mój pradziadek – powiedziała w końcu Emma.

– Richard Adams Locke? Uzurpator? – zdziwił się Murray.

– Nie nazywaj go tak! – skarciła go. – Wiem, że oszukał świat, mnie, wszystkich – urwała i uśmiechnęła się w zamyśleniu. – Dawniej nawet mnie bawiło, że ich przechrzył, wiesz? Tak, byłam dumna, że moja krew jest lepsza od krwi tych wszystkich głupich naiwniaków. Ale to był tylko jeden punkt widzenia. Teraz patrzę na niego z innej perspektywy. Myślę, że potrafiłabym pokochać kogoś, kto zrobiłby to co on... Bo dzięki niemu ludzie zaczęli marzyć.

Murray przez chwilę przyglądał się dziewczynie w milczeniu. Potem na jego ustach powoli zaczął wykwitać uśmiech. „Dzięki niemu ludzie zaczęli marzyć”... Właściwie dlaczego nie? Emma miała rację: wszystko zależy od punktu widzenia.

– W takim razie opowiem ci pewną historię. Coś, o czym nikt nie wie. A ty nie będziesz miała innego wyjścia, jak tylko się we mnie zakochać.

– Naprawdę? – wykrzyknęła częściowo rozbawiona, a częściowo zdumiona

dziewczyna.

Przytaknął.

– Co wiesz o Podróżach w Czasie Murraya?

– Wszystko, co udało mi się przeczytać w gazetach – odparła zdziwiona. – Oraz to, że firmę zamknięto akurat w momencie, w którym udało mi się przekonać matkę, żebyśmy pojechały do Londynu i wzięły udział w trzeciej wyprawie do roku dwutysięcznego. Zamknięto ją, bo rzekomo umarłeś.

– W takim razie cię zaskoczę – obwieścił Gilliam.

Błagam szanownych czytelników o wybaczenie, że im przerywam w tak arcyważnym momencie, ale choć rozmowa tych dwojga budzi wielkie zaciekawienie, równie interesujące jest to, co w tej samej chwili dzieje się w pokoiku, w którym znajdują się Wells i Clayton. „Chcę panu pokazać coś, co powinno pana bardzo zainteresować” – powiedział do pisarza agent. Czyżby to był pretekst, by dać zakochanym trochę czasu na osobności? Znając wrażliwość agenta w tych sprawach, śmiem wątpić. Może więc chciał po prostu poprosić Wellsa na stronę, nie urażając pozostałych? To bardziej prawdopodobne. Tylko w jakim celu? A jeśli to, co się tam dzieje, jest ważniejsze od tego, co dzieje się w salonie? Chciałbym mieć dość talentu, by opowiedzieć wam obie historie naraz, lecz niestety pośród moich nielicznych zalet nie ma miejsca na tę; muszę więc poświęcić rozmowę w salonie na rzecz tej w pokoiku, modląc się, by Wells i Clayton nie dyskutowali o wyższości muszki nad krawatem ani o tym, kiedy najlepiej zbierać fasolę.

Pokoik, w którym się znajdowali, nie był tak duży jak salon, lecz oczywiście większy od spizarni, i na pierwszy rzut oka Wells nie zdołał dociec, czy Clayton używa go jako magazynu broni, laboratorium czy zwykłej graciarni, bo były tam i dziwne urządzenia, i wszelkiego typu broń, i wreszcie przedmioty związane z okultyzmem, czarami, nekromancją i innymi rodzajami czarnej magii, które pisarzowi zdawały się zwykłym szwindlem.

Gospodarz podszedł do stojącej w kącie gabloty, gdzie starannie ułożonych leżało co najmniej pół tuzina sztucznych dłoni wykonanych z różnych materiałów, wśród nich dominowały drewno i metal. Niektóre starały się jak najdokładniej imitować prawdziwą ludzką dłoń – prawdopodobnie agent używał ich, gdy musiał iść na uroczystą kolację czy inne wydarzenie, podczas którego dłoń służyła mu jedynie do używania sztuców, trzymania papierosa lub, jeśli miał szczęście, trzymania za rękę jakiejś kobiety – podczas gdy inne przypominały śmiertcionośne narzędzia: jedna miała paznokcie ostre jak sztylety, inna wyglądała jak skrzyżowanie ręki z rewolwerem wiązkowym, a co najmniej dwie robiły wrażenie jakichś dziwacznych mechanizmów, których przeznaczenia pisarz nie był w stanie się domyślić. Clayton odkręcił zniszczoną protezę, odłożył ją ostrożnie i dokładnie przyjrzał się swojej kolekcji dłoni, które wsparte na palcach przywodziły na myśl bezwłose ptaszniki.

Wells tymczasem przechadzał się po tym osobliwym bazarze. Na jednym ze stołów obok średniowiecznego bestiariusza z pięknymi ilustracjami gryfów, harpii, bazylijszków, smoków i innych czarodziejskich stworzeń, na marginesach którego Clayton porobił maczką komentarze, pisarz zobaczył tabliczkę do wywoływania duchów.

– Nie wiedziałem, że praktykuje pan spirytyzm – rzekł, głaszcząc literki alfabetu wyżłobione w wysokiej klasy drewnie.

– Proszę się tak nie dziwić – odparł agent, nie odwracając głowy.

– Duchy są najlepszymi informatorami, jakich może sobie wymarzyć policjant:

wszystko widzą i nie trzeba im płacić, choć od czasu do czasu proszą o wykonanie jakiegoś dziwnego zadania, którego nie zdążyły wykonać za życia.

– Rozumiem – powiedział ostrożnie Wells, nie wiedząc, czy Clayton sobie z niego dworuje, czy mówi poważnie.

Potem przyjrzał się paru osobliwym urządzeniom rozmieszczonym obok stołu. Jego uwagę przykuł zwłaszcza przedmiot wyglądający jak krzyżówka gramofonu z maszyną do pisania. Ustrojstwo najeżone korbowodami i dźwigniami wyrastającymi zeń niczym kolce kaktusa było wyposażone w cztery kółka i ukoronowane czymś w rodzaju rogu z chromowanej miedzi.

– Co to jest?

– Metafon – powiedział agent, ledwie na niego zerkając.

Wells czekał na ciąg dalszy, a nie doczekawszy się, uznał za stosowne zapytać:

– Ale do czego to diabelstwo służy?

– Teoretycznie powinno nagrywać głosy i dźwięki z sąsiednich wymiarów, lecz biorąc pod uwagę kiepskie wyniki, można powiedzieć, że do niczego. – Clayton wciąż nie mógł się zdecydować na wybór protezy. – Próbuje z jego pomocą zlokalizować chłopca o nazwisku Owen Spurling, który pod koniec ubiegłej zimy zniknął w miasteczku Stafford. Matka wysłała go po wodę do studni i już nie wrócił. Kiedy poszli go szukać, ze zdziwieniem odkryli, że ślady na śniegu znikają nagle kilka metrów przed studnią, jakby go porwał orzeł czy inny ptak. Szukali w okolicy, ale nie znaleźli. Nikt nie mógł zrozumieć, co się stało, zwłaszcza że siedząca przy oknie matka tylko na moment spuściła go z oka. Chłopak dosłownie się rozpląnął. Najprawdopodobniej przeniósł się w inny wymiar i nie może wrócić. Jeśli w końcu uda mi się nagrać na metafon coś więcej niż tylko trele ptaków ze Staffordu, może się z nim skontaktuję i udzielię mu wskazówek.

– A po co chce go pan ściągać z powrotem? Może ten cały Owen jest szczęśliwszy w tamtym świecie, bawiąc się z pięcionogimi psami – zażartował pisarz.

Agent zignorował pytanie. Wybrał w końcu jedną z protez, z grubsza imitującą ludzką dłoń i na oko niewyposażoną w nic nadzwyczajnego, choć na wysokości nadgarstka posiadała coś w rodzaju kółka czy przycisku.

– Chyba nadszedł czas, by cię wypróbować, moja droga... – mruknął, z melancholijnym uśmiechem głaszcząc protezę. Potem zaczął ją starannie przykręcać, a gdy skończył, obrócił się w stronę pisarza, kręcąc powoli głową.

– Rozumiem pański opór wobec wiary w takie rzeczy, panie Wells – rzekł. – Sam wielokrotnie widywałem tę sceptyczną minę, spoglądając w lustro. W końcu jednak zniknęła. Proszę mi wierzyć, człowiek potrafi przywyknąć do wszystkiego. Kiedy już pogodzi się pan z myślą, że na tym świecie nie wszystko da się wytłumaczyć, uwierzy pan, że niemożliwe jest możliwe. Tak, wtedy będzie pan mógł uwierzyć w magię.

– Hm... – bąknął Wells.

Clayton milczał przez chwilę, przyglądając mu się z sympatią.

– Proszę pozwolić mi opowiedzieć o czasach, kiedy byłem taki jak pan; kiedy byłem po prostu agentem Corneliusem Claytonem, a nie agentem specjalnym Corneliusem Claytonem. Może to pana przekona. Niecałe dziesięć lat temu byłem zwyczajnym człowiekiem. Człowiekiem, który wierzył, że świat jest taki, jaki jest. Mój obraz świata był równie płytki i ograniczony jak pański, chociaż wtedy przynajmniej bez trudu potrafiłem nabicić groszek na widelec, bo miałem dwie ręce z krwi i kości.

Ostatnie słowa wypowiedział żartobliwie, lecz Wells miał wrażenie, że jego głos niczym jesienny wiatr niesie ze sobą suche liście posępnej melancholii, jak gdyby z jednej

strony podobało mu się to, o czym opowiada, z drugiej jednak uważał, że zbyt wiele rzeczy musiał po drodze poświęcić. Tak wiele, że nie chciał ich wyliczać w obawie, iż ostateczny wynik przemówi na niekorzyść decyzji podjętej zbyt dawno, by mógł dziś rozpoznać się w tym młodzieńcu, który tak beztrudnie wybrał swoją przyszłość.

– Mój ojciec był agentem policji. Poszedłem w jego ślady i wstąpiłem do Scotland Yardu, by walczyć z przestępczością. Moje poświęcenie i nauki ojca pomogły mi szybko osiągnąć doskonałe wyniki, a te w połączeniu z moją niesłychaną młodością wzbudziły taki zachwyt przełożonych, że nabrali zwyczaju entuzjastycznego poklepywania mnie po plecach. Po paru latach mojej pracy w policji jeden z nich, nadinspektor Thomas Arnold, wezwał mnie do swego gabinetu, informując, że ktoś bardzo pragnie mnie poznać. Czekał tam najdziwniejszy osobnik, jakiego widziałem w życiu, przynajmniej do tamtego momentu. Gruby, energiczny, mniej więcej pięćdziesięcioletni, z osobliwą przesłoną na prawym oku. Początkowo nie wiedziałem, czy je stracił, czy też tkwi ono pod tym kółkiem o żłobionym brzegu podtrzymywanym przez przecinający czoło pasek. W środku kółka widniało mniejsze kółeczko emitujące lekki czerwony poblask. Niezrażony moją konsternacją mężczyzna podał mi pulchną, lecz silną dłoń obwieszoną pierścieniami pełnymi nieznanymi symbolami i przedstawił się jako Angus Sinclair, kapitan oddziału specjalnego, o którym nigdy nie słyszałem. Nadinspektor szybko się ulotnił, pozostawiając mnie sam na sam z tym przedziwnym oficerem, który bez namysłu zasiadł za jego biurkiem i łagodnym gestem wskazał mi krzesło. Gdy już usiadłem naprzeciw niego, uśmiechnął się i z zadowoleniem przewertował leżące na biurku dokumenty, które okazały się moim dossier.

„Ma pan doskonałe wyniki, agencie Clayton. Moje gratulacje” – rzekł z całkowitą powagą.

„Dziękuję” – odparłem, przyglądając się nietypowemu symbolowi, który nosił wpięty w klapę czarnego garnituru: małemu skrzydlatemu smokowi.

„Biorąc pod uwagę pański wiek i inteligencję, myślę, że daleko pan zajdzie. Bardzo daleko. Z czasem dorobi się pan stopnia pułkownika i umrze szczęśliwy w wieku siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu lat, równie gruby jak ja, siwowłosy, zadowolony z życia, mając za sobą godną pozazdroszczenia karierę pełną rozwikłanych spraw i schwytanych zbrodniarzy”.

„Dziękuję za wróżbę” – mruknąłem, rozdrażniony obraźliwym tonem, jakim podsumował nie tylko wszystko, co w życiu osiągnąłem, ale i to, co miałem osiągnąć.

Kapitan uśmiechnął się, rozbawiony moją młodzieńczą brawurą.

„Och, mój drogi, każdy inny byłby z takich osiągnięć dumny. Jestem jednak przekonany, że pan ma znacznie wyższe aspiracje”. – Przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Sztuczne oko świeciło teraz mocniej i wydawało mi się, że soczewka brzęczy cichutko. „Problem polega na tym, że nie wie pan, co jeszcze mógłby zrobić. A może się mylę?”

Nie mylił się, ale wolałem mu tego nie mówić. Milczałem, coraz bardziej ciekaw, czego chce ode mnie ten dziwny gość.

„Owszem, osiągnie pan stopień pułkownika albo co innego, co sobie zaplanuje. Pańska przenikliwość i pracowitość predysponują pana do tego. Wciąż jednak, mój drogi, nie będzie pan nic wiedział o świecie. Zupełnie nic, choćby się panu zdawało, że zjadł pan wszystkie rozumy”.

– Z buńczuczным uśmiechem przechylił się przez biurko. „Mogę panu zaoferować bardziej ekscytującą przyszłość”.

„To znaczy jaką?” – zapytałem, zaniepokojony egzaltowanym tonem ekscentrycznego osobnika.

„Chciałbym, aby wykorzystywał pan swoje talenta w służbie innych śledztw. Śledztw nietypowych” – wyjaśnił. „Tym właśnie się zajmujemy, agencie Clayton. Rozwiązywaniem nietypowych spraw. Niestety jednak, nie wystarczy do tego doskonałe dossier. Potrzeba pewnej... cechy”.

„Nie rozumiem”.

„Potrzeba otwartego umysłu, agencie Clayton. Czy pan go posiada?”

Myślałem przez chwilę, nie wiedząc, co odrzec. Potem przytaknąłem zdecydowanie. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale skoro nic nie wskazywało na to, że jest inaczej, mój umysł musiał być otwarty. Kapitan Sinclair uśmiechnął się z zadowoleniem.

„Przekonajmy się!” – rzucił z teatralnym entuzjazmem, wyjmując z aktówki wycinek z gazety i kładąc na biurku przodem do mnie. „Proszę to dokładnie przemyśleć i przekazać mi wszystkie wnioski, jakie przyjdą panu do głowy, nawet te najbardziej niewiarygodne. Jak pan myśli, co go zabiło?”

Wycinek pochodził sprzed kilku lat i informował o śmierci pewnego żebraka. Jego zwłoki znaleziono na hałdzie śmieci na przedmieściach, mocno nadgryzione przez bezpieczeństwa psy. Przyczyna zgonu pozostawała tajemnicą, bo sekcja niczego nie wykazała. Dziennikarz redagujący notkę musiał być człowiekiem nad wyraz wrażliwym, na zakończenie wspominał bowiem, że zabójstwa dokonano podczas pełni księżyca i że ofiara zdążyła narysować na piasku wokół siebie wiele krzyży, jakby próbowała odpędzić diabła. Przeczytawszy wycinek kilkakrotnie z wielką uwagą, wymieniłem kapitanowi wszystkie możliwe przyczyny śmierci, jakie mi przyszły do głowy. Powiedziałem, że biorąc pod uwagę fakt, iż nikt nie daje się zagryźć psom, jeśli ma choć odrobinę siły, by je odgonić, a ponadto psy nie mają w zwyczaju zagryzać żywych ludzi, najprawdopodobniej tego człowieka otruto i zawleczono tam, po czym sam zabójca z jakiegoś powodu narysował na piasku krzyże. Dodałem, że mogło to również być zabójstwo przypadkowe, które sprawca próbował zatuszować, i dorzuciłem kilka innych możliwych interpretacji.

„I tyle?” – zapytał mnie kapitan Sinclair z przesadnym rozczerowaniem. „Prosiłem, żeby mi pan wymienił wszystkie możliwości, nawet te najbardziej niewiarygodne”.

Wtedy uśmiechnąłem się chytrze.

„Mógł to także zrobić wilkołak. One przeobrażają się właśnie podczas pełni. Zaatakował żebraka na hałdzie i zagryzł, a zanim to nastąpiło, ofiara na widok wilka zbliżającego się na tylnych łapach narysowała na piasku krzyże, próbując go zawrócić do piekła, skąd jak sądziła, przybył”.

Kapitan Sinclair wciąż wyglądał na zawiedzionego.

„To wszystko?”

„Nie – odparłem z uśmiechem. „Skoro zbrodni dokonano nocą, możemy również mieć do czynienia z wampirem. To także wyjaśnia narysowanie krzyża. Ponadto mógł to być wampir udający wilkołaka w celu rzucenia podejrzeń na swoich odwiecznych wrogów, z którymi jego rasa od zarania dziejów walczy o panowanie nad światem. Tak, teraz to wszystko. Trafiłem, kapitanie?”

„Nie jest pan jeszcze gotów na poznanie odpowiedzi”. Odchylił się w fotelu i przyglądał mi się z chłodnym zaciekawieniem. „Proszę jednak powiedzieć: czy chciałby pan wstąpić do oddziału, w którym takie odpowiedzi są możliwe? W mojej pracy nieprawdopodobne rozwiązania czasem okazują się słuszne. Członkowie mego oddziału

nie ograniczają swojej wyobraźni i kontynuują dociekania tam, gdzie zwykle umysły się poddają”.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Na szczęście kapitan dodał, że daje mi kilka dni na zastanowienie, przedtem zaś uprzedził, że wszystko, co usłyszałem w tym gabinecie, musi zostać zachowane w ścisłej tajemnicy i że jeśli moja odpowiedź będzie negatywna, najlepiej zrobię, zapominając, iż ta rozmowa w ogóle się odbyła. Było to pierwsze ostrzeżenie, lecz nie ostatnie i nie najbardziej zdumiewające. Potem podał mi kartkę z adresem oddziału specjalnego, gdzie miałem się stawić w przyszłym tygodniu, jeśli zdecyduję się przyjąć propozycję.

Wyszedłem z biura i wróciłem do domu. Wystarczyła jednak pierwsza bezsenna noc, bym sobie uświadomił, że choćbym nie wiem jak się starał, nigdy nie zdołam zapomnieć o tej rozmowie. Mój los został przypieczętowany już w momencie przejścia przez drzwi gabinetu. Byłem ambitnym i zadowolonym z siebie młodzieńcem, więc dowiedziawszy się, że istnieją osoby mające dostęp do informacji niedostępnych reszcie śmiertelników, siłą rzeczy zapragnąłem do nich dołączyć. Nie czekałem do następnego tygodnia. Już nazajutrz zjawiłem się pod wskazanym adresem i poprosiłem o spotkanie z kapitanem Sinclairem, który bynajmniej nie okazał zdziwienia moim przybyciem. W ten sposób na zawsze przypieczętowałem swój los.

* * *

Agent zakończył opowieść posępnym uśmiechem, po czym spojrzał na Wellsa.

– Gratuluję wiary w wilkołaki i wampiry, panie Clayton – niemal z litością odrzekł mu pisarz.

– Ależ myli się pan: bynajmniej w nie nie wierzyłem. Po prostu mówiłem kapitanowi to, co chciał usłyszeć. Nie, chłopak, którym byłem wówczas, nie wierzył w wampiry ani wilkołaki. Po prostu chciał zostać członkiem elitarniej grupy wybranej spośród śmietanki londyńskich agentów. Odkąd dowiedział się o jej istnieniu, przestało go interesować rozwiązywanie zwykłych spraw i łapanie pospolitych przestępców. Gdyby uznał to za konieczne, powiedziałby, że żebraka zabił elf. – Agent uśmiechnął się gorzko. – Ale to było dwanaście lat temu, panie Wells. Dwanaście lat. Teraz mogę jedynie pana zapewnić, że wierzę w więcej, niżbym chciał.

– Ach tak? Więc wampiry istnieją? – dopytywał się pisarz, wykorzystując okazję.

Clayton przyglądał mu się z satysfakcją dorosłego ucieszonego faktem, że zdołał zaciekawić dziecko.

– Ten dom należał do jednego z nich – wyznał i z rozbawieniem patrzył, jak brwi pisarza wędrują w górę. – Przynajmniej on tak sądził – dodał z uśmiechem. – Nazywał się lord Railsberg i cierpiał na zaburzenia pigmentacji objawiające się zaczerwienieniem skóry w wyniku długiej ekspozycji na słońce, nie znosił czosnku, a do tego miał wystającą kość krzyżową, czyli posiadał wszystkie cechy, które legendy i powieści przypisują wampirom. Jak zapewne panu wiadomo, dzieła Polidoriego, Presketta i Sheridana Le Fanu, a przede wszystkim jakże popularna powieść Stokera tak bardzo rozpowszechniły postać wampira, że każdy, kto posiada wymienione wyżej cechy, może się za takiego uważać. Lord Railsberg kazał wybudować dla siebie ten dom i zamieszkał w nim z grupą wyznawców, którzy podobnie jak on uciekali przed słońcem. Wychodzili na powierzchnię tylko po to, by porywać służące, które następnie zabijali bez cienia litości i wypijali ich krew lub nawet kąpali się w niej, jak to podobno czyniła węgierska hrabina Elżbieta

Batory. Kiedy odkryliśmy ich kryjówkę, pełna była trupów i żywych ludzi śpiących w trumnach, lecz mogę pana zapewnić, że żaden z domniemanych wampirów, nawet sam lord Railsberg, nie zdołał pod postacią nietoperza umknąć przed sprawiedliwością. Nie umiem więc panu powiedzieć, czy wampiry istnieją, choć gdyby istniały, pewnie bardziej przypominałyby biedne bestyjki ze słowiańskich legend niż uwodzicielskich arystokratów, za których przebrali ich pisarze.

– Rozumiem – odparł Wells, udając, że to nie o nim.

– Oczywiście mamy do czynienia nie tylko z szaleńcami – dodał Clayton. – Czasem, jak już wspomniałem, stykamy się z niemożliwym.

Wypowiadając te słowa, wbił zbolące spojrzenie w zawieszony na ścianie portret. Wells podążył za jego wzrokiem i ujrzał płótno w misternie rzeźbionej mahoniowej ramie, przedstawiające piękną i bogato odzianą damę przyglądającą się światu z mieszaniną smutku i arogancji. Miała ciemne, nieco drapieżne oczy, a na jej ustach, niczym kropla rosy na płatku róży, igrał nieodgadniony uśmiech, który Wellsowi wydał się odrobinę złowieszczy.

– Kto to? – zapytał.

– Hrabina Valerie de Bompard – odparł młodzieniec, bezskutecznie starając się powstrzymać drżenie głosu.

– Piękna – rzekł pisarz, nie mając pewności, czy to właściwe słowo.

– Tak, Valerie potrafiła przekonać każdego mężczyznę, który na nią spojrział, że jest najpiękniejszą kobietą świata – przyznał agent głuchym, potwornie zmęczonym głosem, jak ktoś będący pod wpływem środków uspokajających.

– Nie żyje? – zapytał pisarz, zwracając uwagę na czas przeszły.

– Zabiłem ją – odparł ponuro Clayton.

Wells spojrział na niego zdziwiony.

– To była moja pierwsza sprawa – dodał agent. – I jedyna, którą rozwiązywałem, mając obie dłonie.

Znów zerknął na portret. Poruszony jego wyznaniem Wells także przeniósł nań wzrok. Czyżby utrata dłoni przez Clayтона miała jakiś związek z tą kobietą? Przyjrzał się bacznie jej wizerunkowi i po raz kolejny pomyślał, że przymiotnik „piękna” niezupełnie do niej pasuje. Owszem, była ładna, lecz jej oczy płonęły mrocznym, zwierzęcym, niepokojącym blaskiem, jakby ich źrenice kryły coś większego od niej, coś nieogarnionego, tak jak kieliszek wina kryje smak ziemi, słońca i przelotnego deszczu. Gdybym ją znał, pomyślał, pewnie nie potrafiłbym zachowywać się naturalnie w jej obecności, nie mówiąc już o staraniu się o jej względy. Nie miał pojęcia, co zaszło między nią a agentem, lecz cokolwiek to było, tak naznaczyło Clayтона, że do dziś się z tego nie otrząsnął i być może nigdy otrząsnąć się nie miał. Zdradzały to jego gesty, wyraz twarzy, cała postać; niczym klucz, który kołysze się na haczyku, sugerując, że przed chwilą ktoś go używał.

Przez moment pisarz rozważał zapytanie agenta o to wprost, myśląc, że może tego właśnie oczekuje od niego rozmówca. Może w ten niezręczny sposób dawał do zrozumienia, że pragnie z kimś porozmawiać o tym, co przeżył z kobietą, której portret ukrywa w piwnicy. Zwłaszcza że świat lada chwila miał się skończyć. Ostatecznie jednak Wells porzucił ten pomysł, nie chcąc, by Clayton ponownie go upokorzył stwierdzeniem, że istnieją rzeczy, na które nie wszyscy są gotowi. Myśl o tym zirytowała go nieco i przypominała mu, że kiedy jechali do Horsell, ukrył przed Claytonem informację o swojej wizycie w Krypcie Osobliwości, obawiając się oskarżenia o przebywanie w

niedozwolonym miejscu. Od tamtego odległego poranka wiele się jednak zmieniło i pisarz doszedł do wniosku, że opowiedzenie o tym będzie idealną metodą powstrzymania agenta od dalszych irytujących uwag i jedynym możliwym sposobem na zrównanie się z nim w kwestii nadprzyrodzonych doświadczeń.

– W istocie żyjemy w świecie pełnym tajemnic – rzekł, uśmiechając się do portretu. – Pan jednak zna je wszystkie. Wiedział pan nawet, jak wyglądają Marsjanie, zanim się na nich natknęliśmy w siedzibie Scotland Yardu, prawda?

Agent odwrócił wzrok od obrazu i wbił w Wellsa nieco skonfundowany wzrok, jakby się budził z głębokiego transu.

– Nie wiem, do czego pan zmierza – odparł w końcu chłodno.

– Och, proszę mnie nie traktować jak głupca. Doskonale wiem, co otwiera kluczyk, który nosi pan na szyi.

– Naprawdę? – odparł zaskoczony agent, instynktownie głaszcząc klucz.

– Pewnie – potwierdził Wells, rzucając mu buńczuczne spojrzenie. – Byłem tam.

Zdumiony Clayton przez chwilę mu się przyglądał, po czym uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Fascynujący z pana człowiek, panie Wells. A zatem widział pan Marsjanina i jego statek...

– Oraz całą resztę. Wszystkie te cuda, które ukrywacie przed światem – wyznał z żalem pisarz.

– Zanim pańska uraza wzrośnie do tego stopnia, że każe panu rzucić się na mnie, kładąc kres naszej cywilizowanej rozmowie, proszę pozwolić sobie przypomnieć to, co panu powiedziałem w dniu, w którym się poznaliśmy: wszystkie te cuda są, by tak rzec, poddane kwarantannie. Nie ma sensu informować o nich społeczeństwa, skoro najprawdopodobniej zdecydowana większość to falsyfikaty.

– Ach, tak? Cóż, Marsjanin i jego statek wydali mi się dość realni.

– W tym przypadku rząd uznał, że ujawnienie sprawy światu byłoby zbyt niebezpieczne... – tłumaczył się Clayton.

– Gdyby to zrobił, inwazja mniej by nas zaskoczyła – przerwał mu Wells.

– Tak pan sądzi? Osobiście nie jestem pewien... Nie wiem, jak udało się panu wejść do Krypty Osobliwości, ale z pewnością uczynił pan to kilka dni przed moim przybyciem do pańskiego domu. W przeciwnym razie nie zobaczyłby pan Marsjanina, jako że został on skradziony na kilka dni przed rozpoczęciem inwazji.

– Skradziony?

– Owszem, panie Wells. Szczerze mówiąc, odwiedziłem pana właśnie z powodu podejrzenia, że to pan go skradł.

– Na miłość boską, panie Clayton! Po jakie лихо miałbym kraść martwego Marsjanina?

– A bo ja wiem, panie Wells? W moim zawodzie trzeba podejrzewać każdego – odparł z uśmiechem agent. – Aczkolwiek muszę przyznać, że później bardziej prawdopodobne wydało mi się, iż to pan Murray skradł Marsjanina, by ten mógł się wyłonić z jego walca.

– Może pan być pewien, że skradłby Marsjanina, gdyby wiedział, że jest autentyczny – nie zdołał się powstrzymać Wells.

– Tak czy owak nie zrobił tego żaden z was. Jestem natomiast pewien, że kradzież ma jakiś związek z inwazją. To nie może być zbieg okoliczności.

– Gratuluję przenikliwości, agencie. Gdyby nie pańska irytująca mania

zachowywania informacji dla siebie, być może zdołałbym panu pomóc...

– Najwyraźniej nie jestem jedynym, który ma złe nawyki, panie Wells. Gdyby pan nie ukrywał przede mną swojej wizyty w Krypcie Osobliwości... ale nie trwómy czasu na wymówki. Co się stało, to się nie odstanie. Ponadto pańska bytność w tamtym miejscu może panu znacznie dopomóc w zrozumieniu tego, co zaraz powiem, a co jest niezmiernie istotne dla rozwoju wypadków.

– Kolejna tajemnica? – zakpił pisarz. – Nie wydaje się panu, że już wystarczy?

– Ta szczególnie pana dotyczy, panie Wells, więc lepiej niech się pan uspokoi i słucha. Może pan nie zauważył, ale gramy teraz w tej samej drużynie.

Wells tylko wzruszył ramionami.

– Cóż – kontynuował agent – pewnie zadaje pan sobie pytanie, dlaczego pozwoliłem panu to wszystko zobaczyć, a nawet zdradziłem sekrety swojej służby, których w myśl kodeksu zawodowego nie powinienem ujawniać nikomu. Ma pan jakąś hipotezę?

– Jeśli odrzucimy możliwość, że zrobił pan to z sympatii do mojej uroczej osoby – odparł z ironią pisarz – jedynym, co mi przychodzi do głowy, jest to, że w obliczu nadciągającej śmierci przestał się pan przejmować zakazami.

Clayton zareagował salwą szczerego śmiechu.

– Zapewniam pana, że nawet w obliczu śmierci nie naruszyłem kodeksu – rzekł, gdy się uspokoił. – Wolno nam to czynić jedynie w przypadku spotkania z istotą o nadprzyrodzonych mocach.

Wypowiedziawszy te słowa, zamilkł i przyglądał się zniecierpliwionemu Wellsovi.

– Co pan chce przez to powiedzieć, do diaska?! – wybuchnął wkrótce pisarz.

– To, że odkryłem pańskie... niezwykle właściwości.

Wells gapił się na niego jak ciele na malowane wrota.

– Mam rozumieć, że jestem wampirem? – zapytał wreszcie z kpiącym uśmiechem. – Mogę pana zapewnić, że moja kość krzyżowa jest całkiem zwyczajna. Proszę mi nie kazać się rozbierać, by tego dowieść.

– Nie potrzebuję takich dowodów – odparł agent, nie zadając sobie trudu odwzajemnienia uśmiechu. – W salonie odbijał się pan w lustrze.

– Hm... Czym więc jestem?

– Jest pan... Podróżnikiem w Czasie – wyjaśnił z powagą agent.

Wells spojrział na niego z konsternacją, po czym parsknął śmiechem.

– Niby dlaczego? Bo napisałem *Wehikuł czasu*? Chyba przywiązuje pan zbyt wielką wagę do moich książek, agencie.

Clayton uśmiechnął się chłodno.

– Jak już wspominałem, w swojej pracy zajmuję się niemożliwym – rzekł.

– Na przykład ludźmi, którzy przybywają z przyszłości w urządzeniach rodem z mojej powieści?

– I tak, i nie. Owszem, zetknąłem się z kilkoma Podróżnikami w Czasie. Obawiam się jednak, że przemieszczają się w inny sposób. Opisany przez pana wehikuł wydaje się prawdopodobny, lecz w przyszłości wszystkie próby podróżowania w czasie metodami naukowymi zawiodą – wyjawiał Clayton. – Podróże będą się odbywały za pomocą umysłu.

– Umysłu?

– W rzeczy samej. A ja miałem, powiedzmy... pewien kontakt z tymi Podróżnikami. Wystarczający, by wiedzieć, że w przyszłości okaże się, iż ludzki mózg posiada coś w rodzaju guzika, który po naciśnięciu pozwala na przemieszczanie się w dowolnym kierunku na osi czasu, choć niestety niemożliwy jest wybór konkretnego celu podróży.

Pisarz przyglądał mu się nieufnie.

– Oczywiście to bardzo uproszczony opis – dodał agent. – Z grubsza jednak celny.

– Przyjmując, że mówi pan prawdę – zapytał Wells – dlaczego pan sądzi, że akurat ja to potrafię?

– Bo widziałem, jak pan to robi – odparł młodzieniec.

– Niech mi pan tu nie opowiada banialuk! – zdenerwował się pisarz. – Zaczynam mieć dość pańskich...

– Pamięta pan naszą przygodę na farmie? – przerwał mu agent.

– Pamiętam – burknął Wells – i raczej szybko jej nie zapomnę.

– Świetnie. Jak panu wiadomo, zbudziłem się w kluczowym dla wszystkich momencie. Nie wie pan natomiast, że kiedy w sypialni na piętrze wyteżałem słuch, by dociec, co się dzieje na dole, na łóżku pojawiła się pańska śpiąca postać, choć jednocześnie wciąż tkwił pan na dole w rękach intruzów. Innymi słowy, znajdował się pan w dwóch miejscach naraz.

– Co takiego? – wymamrotał Wells.

Clayton gestem poprosił go o ciszę.

– Jak zapewne pan sobie wyobraża, zdumiał mnie widok pana miotającego się na łóżku. Z całą pewnością śnił się panu jakiś koszmar. Trwało to kilka minut, co w zupełności wystarczyło mi do zrozumienia, że przeniósł się pan w czasie! Na moich oczach! Podszedłem i próbowałem pana zbudzić, lecz pan zniknął, pozostawiając w domu tylko jednego Wellsa.

– Nic nie rozumiem – wyznał pisarz, potrząsając głową.

– W gruncie rzeczy to bardzo proste, panie Wells. O ile mi wiadomo, Podróżnicy w Czasie potrafią przypadkowo uruchomić przycisk, o którym wspominałem, w chwilach silnego napięcia. Większość z nich w ten właśnie sposób odkrywa swój... hm... swój osobliwy talent. Podejrzewam, że kiedy zasnął pan na łóżku obok mnie, musiało się panu przyśnić coś potwornego. To włączyło przycisk i sprawiło, że przeniósł się pan w czasie o co najmniej cztery godziny i pojawił w pokoju, kiedy nasłuchiwałem przy drzwiach, czym śmiertelnie mnie pan przeraził, bo w tym samym momencie pańskie przyszłe ja znajdowało się na parterze. Potem mechanizm ponownie się uruchomił i tym razem, równie przypadkowo, wyłądował pan w przeszłości, prawdopodobnie kilka minut po swoim zniknięciu, w tym samym łóżku, w którym ja leżałem nieprzytomny, i spał pan dalej, nie mając pojęcia, że podróżował w czasie, jako że uczynił pan to we śnie. Jak wspominałem, przyczyną tego było prawdopodobnie napięcie. Podróżnicy w Czasie, z którymi miałem do czynienia, nie musieli przeżywać żadnych napięć, by się przenosić, bo poprzez ćwiczenia tak udoskonalili technikę, że mogą to robić, kiedy zechcą. W przyszłości powstanie rządowy program szkolenia Podróżników w Czasie. Pan jednak nie ma nikogo, kto mógłby pana uczyć. Szczerze mówiąc, jest pan najstarszym Podróżnikiem, jakiego znam. W gruncie rzeczy to logiczne...

Pisarz otworzył usta, by zadać ze sto pytań, które nagromadziły się w jego głowie, lecz zrobienie tego oznaczałoby akceptację słów Clayтона: przyznanie, że istnieją Podróżnicy w Czasie i że jest jednym z nich. W to zaś Wells nie zamierzał uwierzyć ot, tak sobie.

– Bzdury – powiedział.

– Skoro tak... – Clayton wzruszył ramionami, jakby zdanie pisarza ani trochę go nie obchodziło. – Nie musi mi pan wierzyć. Ja zrobiłem to, co do mnie należało: poinformowałem pana. Na osobności.

To powiedziawszy, wyszedł z pokoiku i skierował się do salonu. Wells ruszył za nim,

po części skonfundowany rewelacją Claytona, która zredukowała jego własną – odkrycie w Krypcie Osobliwości – do rozmiarów efektownej sztuczki, a po części zirytowany jego arogancką obojętnością. Wtedy przypomniał sobie koszmar, który przyśnił mu się na farmie. Kiedy się zbudził, nie pamiętał z niego nic z wyjątkiem głosu agenta: „Panie Wells, panie Wells, niech się pan zbudzi!”. A przecież Clayton oprzytomniał dopiero cztery godziny później. Jak więc pisarz mógł słyszeć jego głos? Wspomniał słowa kapitana Sinclaira, przełożonego Claytona: „Proszę to dokładnie przemyśleć i przekazać mi wszystkie wnioski, jakie przyjdą panu do głowy, nawet te najbardziej niewiarygodne”. Westchnął. Musiał przyznać, że podróżowanie w czasie, choć niewiarygodne, stanowiło jakieś wyjaśnienie – być może jedyne wyjaśnienie. Co jeszcze powiedział ten cały Sinclair? „Nieprawdopodobne rozwiązania czasem okazują się słuszne”. Wells masował nasadę nosa, usiłując powstrzymać narastającą migrenę. Na litość boską, jakże mógłby uwierzyć w coś takiego? I to jeszcze usłyszanego z ust takiego dziwaka jak Clayton? Napisał *Wehikuł czasu*, by odkryć, że sam jest Podróżnikiem w Czasie? Napisał *Wojnę światów*, by teraz uciekać przed Marsjanami? Co będzie następne? Niewidzialność?

Na szczęście te szalone myśli przerwało wejście do salonu, gdzie ujrzał zupełnie nieoczekiwaną scenę. Gdyby siedział naprzeciw kapitanowi Sinclairowi, wymieniłby mu ją wśród najbardziej niewiarygodnych przypuszczeń. Miłość jednak sama w sobie jest sferą magiczną, w której zdarzają się rzeczy pozornie niemożliwe: wciśnięty w wąski fotelik milioner z zabandażowanym ramieniem leciutko przechylał głowę ku ustom dziewczyny, która w drugim foteliku z romantycznie przymkniętymi oczami czekała na dotyk jego warg. Wejście Claytona i Wellsa zniweczyło ich plany. Murray wyprostował się gwałtownie, odkaslnął i przywitał ich szorstko, usiłując ukryć zawstydzenie. Dziewczyna dzielnie mu w tym sekundowała, zapewne zadając sobie pytanie, czy Wells już zawsze zamierza psuć ich wzniosłe chwile i czy przypadkiem nie umyślił sobie, że w ramach zemsty na Gilliamie będzie strzegł jej cnoty.

Obojętny na ich amory, a może nawet ich nie zauważając, agent spojrział na zegarek.

– Wkrótce zaświta – obwieścił. – Pojadę z panem Wellsem na Primrose Hill, by mógł się spotkać z małżonką. Myślę, że najlepsza trasa wiedzie przez Regent’s Park.

– Ależ nie musi mi pan towarzyszyć, panie Clayton – zaproponował Wells, nienawykły do wciągania osób trzecich w swoje sprawy, zwłaszcza zaś w sprawy natury sentymentalnej.

– Kpi pan sobie? – oburzył się agent. – Bóg jeden wie, co czeka tam na zewnątrz. Za nic w świecie nie puszcę pana samego.

– Wszyscy pojedziemy – dodał Murray, wstając. – Prawda, Emmo?

– Oczywiście, panie Wells – przytaknęła dziewczyna. – Wszyscy pomożemy panu odnaleźć miłość.

Pisarz przyglądał im się w zdumieniu. Niezwykle rzadko spotykał się z tak poruszającymi aktami bezinteresownej przyjaźni i trzeba przyznać, że sam również nie był do nich skory. Czyżby rację mieli ci, którzy mówili, że w najtrudniejszych sytuacjach człowiek potrafi wykrzesać z siebie to, co najlepsze? Nie, to uczucie nie mogło być szczere. Każda z obecnych tu osób musiała mieć jakiś ukryty powód, by mu pomagać, ryzykując własne życie. Tak, z pewnością je mają, pomyślał, nie potrafiąc zrozumieć, że człowiek naprawdę jest zdolny do tak wspaniałomyślnych gestów, jako że on sam nigdy by się na nie nie zdobył.

A jeśli naprawdę chcieli mu pomóc? Zlustrował wzrokiem każdego po kolei. Aroganckiego agenta specjalnego Corneliusa Claytona, który wydawał się gotów z

narażeniem życia chronić to prowizorycznie zebrane stadko. Emmę Harlow, która demonstrowała niezłomną odwagę w obliczu zaistniałej sytuacji, a jej oczy błyszczały niczym krople rosy w promieniach długo wyczekiwanego słońca. I wreszcie Gilliama Murraya, Pana Czasu, człowieka, którego nienawdził najbardziej na świecie, póki miłość do kobiety nie przemieniła go tak bardzo, że gotów był pomóc adwersarzowi. Może się myłę, pomyślał. Może żadnego z nich nie obchodzi, czy odnajdę Jane, ale jakże uroczo jest wierzyć w ich szlachetne zamiary!

– Dziękuję – wymamrotał drżącym z emocji głosem.

W tym momencie agent specjalny Cornelius Clayton padł na podłogę jak kłoda, a oni mogli jedynie z niesmakiem patrzeć, jak jego ciało zwija się w kłębek i zastyga.

– Nienawidzę, kiedy to robi – mruknął Murray.

XXX

Noc z typowo angielską flegmą ustępowała miejsca świtowi. W nędznym półmroku oszołomiony i zbolący Londyn podnosił się ostrożnie niczym szczeniak, który pierwszy raz w życiu zebrał cięgi. Trójnogi przeszły przez Euston Road, burząc po drodze część budynków, w tym dom Claytona. Na szczęście gruzy nie przeszkodziły ukrywającym się w piwnicy ludziom w otwarciu kłapy. Wokół nich rozpościerała się posępna panorama: wiele domów zmieniło się w sterty dymiących gruzów, a pomiędzy nimi pełno było przewróconych lub zmiażdżonych powozów. Jedyńm, który jakimś cudem się uratował, był powóz Murraya – jego konie stały niewzruszenie w miejscu, gdzie je przywiązano. O tym, że mamy do czynienia z apokalipsą, świadczyły jednak nie zburzone domy czy zrujnowane powozy, lecz walające się wszędzie trupy – z trudem przypominające ludzi spopieliałe figurki rozsypujące się na wietrze, które nasi bohaterowie musieli omijać, gdy szli do powozu z pompatycznym „G” obarczeni ciałem Claytona, z wielkim trudem przeciągniętym przez kłapę.

Długo jeszcze dyskutowaliby, co zrobić z agentem, gdyby nie bliskość świtu. Najbardziej praktyczne wydawało się pozostawienie go w piwnicy, wygodnie ułożonego na tapczanie, z liścikiem u wezglowia na wypadek, gdyby się zbudził. Napisaliby, że zemdlął i że muszą go zostawić, by udać się na wzgórze, lecz wrócić po niego niezwłocznie, gdy tylko się przekonają, czy Wells został wdowcem czy też nie. Spędzone razem godziny, których każda minuta zdawała się skrywać niespodziewane, odmieniające ich los zdarzenia, zepchnęły jednak rozważania praktyczne na dalszy plan. Nie wiedząc, co się wydarzy podczas wyprawy na wzgórze i czy będą mogli wrócić do piwnicy po Claytona, ostatecznie zdecydowali się zabrać go ze sobą. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Wbrew logice, którą większość z nich kierowała się do chwili przybycia Marsjan, wynieśli więc agenta z kryjówki, nie zapomniawszy zabrać jego kapelusza.

Choć trójnogi już tędy przeszły i na ulicy zapanował osobliwy spokój, z oddali wciąż dobiegały wystrzały i eksplozje dające do zrozumienia, że w sąsiednich dzielnicach walka trwa w najlepsze. Murray zasiadł na koźle i ruszyli w stronę Regent's Parku. Wells pozwolił sobie wówczas na tęskne westchnienie. Za kilka minut miał się dowiedzieć, czy Jane przeżyła inwazję. Siedząca z przodu Emma, która niczym zmęczona i bardzo ludzka Matka Boska trzymała na kolanach głowę agenta, rzucała pisarzowi pokrzepiające spojrzenia, lecz bez wątpienia była równie jak on świadoma faktu, że prawdopodobieństwo, iż Jane wciąż przebywa wśród żywych, jest znikome. Może nie żyła już od paru godzin i leżała pogrzebana pod gruzami albo zmieniła się w jedną z tych przerażających lalek z popiołu, którymi zasłana była Euston Road, a on nie uronił nad nią nawet łzy. Czy jednak możliwe było, że zginęła, a on nic nie poczuł? Że wszechświat nie miał sposobu, by go o tym poinformować? Czy uświęcona miłość nie powinna być jak pajęczyna, która ich oplata, a jeśli jedno opuści sieć, ta za pomocą wibracji przekazuje drugiemu wiadomość o tym? Wziął głęboki oddech i zamknął oczy, starając się nie zwracać uwagi na turkot pojazdu, by skupić się na wewnętrznej melodii ciała w poszukiwaniu jakiegoś fałszywego akordu, którym być może od dawna organizm próbował dać mu do zrozumienia, że Jane nie żyje. Wciąż jednak nic takiego nie znajdował. I może właśnie to stanowiło niepodważalny dowód, że jego małżonka żyje, Wells bowiem absolutnie nie potrafił uwierzyć, że ktoś, kogo kocha najbardziej w świecie, mógłby przestać istnieć, a on by tego nie poczuł, ba! – nie umarłby solidarnie sekundę

później w wyniku zatrzymania akcji serca, zsynchronizowany z ukochaną w sposób jeszcze bardziej niepojęty niż ten, który łączy bliźnięta. Bał się o Jane od chwili znalezienia liściku od niej na drzwiach mieszkania Garfieldów, lecz starał się o tym nie myśleć, i powinien pozostać przy tej strategii, nie dopuszczając do siebie fali rozpacz, póki po trzech czy czterech godzinach bezskutecznego czekania na wzgórzu towarzysze nie spojrzą na niego ze współczuciem i nie powiedzą, że im przykro. Wiedział jednak, że nawet wtedy jego serce nie zaakceptuje tej śmierci. Dopiero kiedy będzie trzymał w ramionach jej zimne ciało, z którego uciekła dusza, przyzna, że Jane umarła w innej części miasta, gdy on wierzył, że zjawi się na Primrose Hill z paroma zadrapaniami i rozemocjonowanym uśmiechem kogoś, kto zdołał uniknąć mnóstwa niebezpieczeństw, by się z nim spotkać.

Płaszcz zatrważającej ciszy spowijający Euston Road rozciągał się także na Regent's Park. Wokół nie było nikogo, choć sam park wydawał się nienaruszony. Każde drzewo, każdy kamień, każde źdźbło trawy uparcie trzymały się powierzchni planety. Jeśli przeszedł tędy jakiś trójnóg, ta enklawa przyrody w sercu stolicy musiała go tak poruszyć, że postanowił ją uszanować. Jedyne, co przypomniało pasażerom powozu o marsjańskiej inwazji, był przebiegający przez drogę pies, który trzymał w pysku coś wyglądającego na ludzką rękę. On przynajmniej odnosi z tego wszystkiego jakąś korzyść, pomyślał Wells, gdy Emma z odrazą odwracała wzrok. Oprócz tego makabrycznego epizodu jechali bez przygód, aż ujrzeli przed sobą zarys Primrose Hill.

Zaparkowali powóz u stóp niewysokiego wzgórza i nie ośmieliwszy się zostawić Clayтона w środku, wnieśli ciało na szczyt i oparli o drzewo. Z tej wysokości mieli dobry widok na ogrom zniszczeń. W dole dogorywał zmasakrowany Londyn. Na północy domy Kilburn i Hampstead zmieniły się w rafy z gruzów, między którymi wóczyły się leniwie trzy czy cztery trójnogi. Na południu, za zielonymi falami Regent's Parku, płonęło Soho. Po jego ulicach ze sztywną elegancją czapli także kręciły się trójnogi, od czasu do czasu otwierając ogień. W oddali obserwatorzy dostrzegli gigantyczne budowle Brompton Road, niemal wszystkie zburzone, i zrównane z ziemią opactwo westminsterskie. Jeszcze dalej, za kurtyną dymu, wciąż mogli zobaczyć sylwetkę katedry św. Pawła, ale w jej kopule widniała dziura wypalona przez marsjański promień. Wells przyglądał się zrujnowanemu miastu bardziej w poczuciu upokorzenia niż strachu. Tyle czasu budowano to ogromne mrowisko, w którym tysiące dusz wiodły swoje żywoty, nie wiedząc, że wszechświat zupełnie się o nie nie troszczy, a wystarczył dzień, by zrównać je z ziemią.

Jego posępne milczenie przerwał nagle okrzyk kobiety.

– Bertie!

Pisarz odwrócił się i zobaczył, jak wbiega na wzgórze, zgrzana, rozczochrana, rozhisteryzowana, lecz przede wszystkim żywa! Przetrwała hekatombę, uniknęła śmierci i choć, podobnie jak on, mogła w każdej chwili zginąć, na szczęście ta chwila jeszcze nie nadeszła.

Opierał się pokusie wybiegnięcia naprzeciw żonie i utonięcia w jej ramionach, bo zawsze hołdował pragmatyzmowi, który kazał mu się wystrzegać sentymentalnych gestów, zwłaszcza że Jane żądała ich od niego nawet w sytuacjach codziennych, kiedy zachowania rodem z romansów wydawały mu się idiotyczne i brzmiały niczym fałszywy akord w prozaicznej partyturze domowej rutyny. Tym razem jednak ów gest był wyjątkowo uzasadniony, może nawet konieczny, nie mówiąc już o tym, że towarzysząca

pisarzowi publiczność poczułaby się oszukana, gdyby scena zakończyła się inaczej. W obawie przed rozczarowaniem towarzyszy Wells ruszył powolnym, wymuszonym truchtem ku Jane, ku żonie, ku osobie, która była dlań najważniejsza na świecie. Jane krzyczała, frunęła po trawie, nie posiadała się ze szczęścia, że widzi go żywego. I pisarz zrozumiał, że to właśnie jest miłość – ta bezinteresowna, niepohamowana radość, konsternacja, że dla kogoś jesteśmy ważniejsi niż on sam, a zarazem akceptacja faktu, że istnieje ktoś ważniejszy od nas samych. Wells i Jane, mąż i żona, pisarz i muza, wpadli sobie w objęcia pośrodku spustoszonej krainy, złamanej planety oczekującej na ostateczny cios.

– Żyjesz, Bertie! Żyjesz! – wykrzykiwała przez łzy kobieta.

– Żyjemy, Jane – odpowiadał.

– Melvin i Norah zginęli – wydyszała. – To było straszne.

Wtedy dotarło do niego, że i ona cierpiała; że dźwięka na swych barkach historię podobną do jego własnej, emocjonującą przygodę, o której będzie słuchał z czułym uśmiechem i ulgą, wiedząc, że choć chwilami zdawało się to niewiarygodne, najeżony niebezpieczeństwami dramat znalazł szczęśliwy finał.

Murray i Emma uśmiechali się radośnie, uradowani tym nieprawdopodobnym zakończeniem, poranek rozlewał po trawie słodkie promienie słońca i wszystko było tak uroczne, tak świetliste, że Wells poczuł się nagle nieśmiertelny i tak potężny, iż mógłby w pojedynkę kopniakami przepędzić wszystkich Marsjan. Ledwie jednak spojrzął na zrujnowane miasto u swoich stóp, zrozumiał, że są zgubieni; że najeżdźcy lada chwila zadadzą ostateczny cios temu wielkiemu ceglanemu smokowi i zaczną polować na niedobitków. Tak, ten chwilowy optymizm nie był niczym innym jak rozpaczliwym połyskiem rosy na moment przed rozplnięciem się i wsiąknięciem w ziemię. Ale co go to obchodziło – był szczęśliwy i już. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

Nagle usłyszeli oklaski i odwrócili się zdumieni, by o kilka metrów od siebie ujrzyć opartego o drzewo, rozemocjonowanego radosnym powitaniem młodzieńca.

– Zaczynam wierzyć, że miłość jest najlepszą rzeczą, jaką wymyślił człowiek – powiedział chłopak. – A przynajmniej lepszą niż armaty.

Wszyscy obserwowali go w milczeniu.

– Jakże się cieszę, widząc państwa żywych – rzekł, podchodząc do Wellsa i Jane i uchylając kapelusza. – Pamiętają mnie państwo? Jestem Charles Winslow.

Pisarz natychmiast rozpoznał bogatego panicza, który kilka lat wcześniej wpadł do ich domu w Woking i mierzył do niego z pistoletu, sądząc, że Wells naprawdę dysponuje wymyślonym przez siebie wehikulem czasu. I choć teraz – rozczochrany, w brudnej i podartej marynarce – Winslow nie prezentował się tak nieskazitelnie, wciąż roztaczał wokół siebie specyficzny blask.

– Oczywiście – rzekł pisarz, podając mu rękę.

Młody mężczyzna przeniósł wzrok na Murraya i zbladł jak ściana.

– Wygląda pan, jakby zobaczył ducha, panie Winslow – zażartował milioner.

– A nie jest tak? – zapytał ostrożnie Charles.

– Przekona się pan, jeśli uściśnie mi dłoń. – Murray wyciągnął rękę. Przywitali się przyjaźnie. – O moim zmartwychwstaniu pomówimy później. Na razie proszę pozwolić, że panu przedstawię pannę Harlow.

– Bardzo mi miło – rzekł Charles, całując dziewczynę w rękę i uwodząc ją uśmiechem przewrotnego archanioła. – W innych okolicznościach zaprosiłbym panią na kolację, obawiam się jednak, że w Londynie nie pozostała żadna otwarta restauracja. A

przynajmniej żadna zasługująca na to, by pani wstąpiła w jej progi.

– Cieszę się, widząc pana w tak dobrym humorze mimo inwazji – wtrącił pisarz, nie czekając, aż Murray zareaguje jakąś uszczypliwością.

– Moim zdaniem nie ma powodów do obaw – oznajmił chłopak, zamaszystym gestem obejmując otaczające ich ruiny. – Z całą pewnością wyjdziemy z tego żywi.

– Czyżby? – zapytał sceptycznie Wells.

– Ależ tak! – zapewnił go Charles. – Doskonale przecież państwo wiedzą, że w roku dwutysięcznym będziemy mieć problem z automatami, a nie z Marsjanami. Jasne więc jest, że ta wojna musi się dobrze skończyć.

– Rozumiem. – Wells westchnął z rezygnacją. – Co zatem powinniśmy zrobić?

– Oddać sprawy w ręce bohaterów – odparł chłopak.

– Bohaterów? – nie wytrzymał Gilliam. – Ma pan na myśli siebie?

– Ależ skąd, panie Murray. Czuję się zaszczycony, lecz nie o sobie myślałem. Oto prawdziwy bohater – rzekł Charles, dając znak czekającemu kilka metrów dalej mężczyźnie, by się przybliżył. – Ktoś, kto przybył z przyszłości specjalnie po to, by nas uratować.

Mężczyzna podszedł nieśmiało, rzucając im uśmiech, który chyba miał być pokrzepiający.

– Panie i panowie, przedstawiam wam dzielnego kapitana Dereka Shackletona.

CZEŚĆ TRZECIA

Tak oto, drogi Czytelniku, dotarliśmy do ostatniej odsłony naszej pasjonującej opowieści!

Czy bohaterowie zdołają pokonać Marsjan, czy też zdaje wam się to wyczynem równie nieprawdopodobnym jak podbój serca wyniosłej damy? Wkrótce poznacie prawdę o jednym i drugim.

Mili panowie i urocze damy, którzyście mi towarzyszyli w tej długiej podróży, dziękuję za wspólnie spędzone chwile. Liczę, że spodobała wam się ta niezwykła przygoda, choć z racji nagromadzenia w niej wypadków tak odległych od zwykłych ludzkich doświadczeń pewnie nieraz unosiliście brwi. Nie winię was, ale obawiam się wielce, że bieg czasu nieuchronnie odbierze tym zdarzeniom posmak niezwykłości.

XXXI

Charles Winslow chciałby, żeby czas był rzeką, nad której brzegami można podziwiać niezmienny krajobraz złożony z pięknie wyrzeźbionych gór, jezior z łagodnymi zachodami słońca, wzgórz o zmysłowych grzbietach czy czegokolwiek innego. Nieważne, co to będzie; najistotniejsza była niezmienna natura tego pejzażu, który miałby trwać na swoim miejscu nie tylko wtedy, gdy on się zatrzymuje, by go podziwiać, lecz także wówczas, kiedy postanawia odpłynąć, walcząc z prądem w swojej łódce lub pozwalając mu ciągnąć się w swoją stronę. Cokolwiek by się działo, krajobraz powinien tak tkwić w uroczystym bezruchu, przywiązany do brzegów rzeki nicią, której nie sposób odwiązać. Wszystko jednak wskazywało na to, że czas wcale nie jest rzeką. Jeśli ktoś się oddalał i sądził, że wszystko pozostanie niezmiennie, był w błędzie. Charles nigdy by w to nie uwierzył, gdyby się o tym nie przekonał, podróżując do roku dwutysięcznego dzięki firmie Murraya, będąc świadkiem krwawej wojny ludzi z nikczemnymi automatami o panowanie nad światem, a potem wracając do swojej epoki, w której automaty uważano za niegroźne zabawki. Jego terażniejszość nosiła już w trzewiach groźny wirus ponurego jutra. To, co wydarzyło się dwa lata później, zmieniło jednak terażniejszość tak znacząco, że przyszłość, którą Charles uważał za nieuniknioną, stała się niemożliwa. Jego obecny świat poszedł inną drogą, ignorując tę wiodącą do roku dwutysięcznego ukazanego przez Murraya. Nie wiadomo, dokąd zdąży, ale z pewnością nie tam, myślał młodzieniec, wstając z posłania i niechętnie, z drzeniem zbliżając się do drzwi celi. Ponurym wzrokiem zlustrował znajdujący się na zewnątrz świat i westchnął: a więc i tego ranka nie zbudził się z koszmaru, który od jakiegoś czasu władał jego życiem. I jakby na potwierdzenie tego, pogłaskał żelazną obręcz na szyi.

Świt jeszcze nie nadszedł, ale ciemność na horyzoncie zaczęła ustępować i słabe światło o jakby miedzianym odcieniu flegmatycznie wydobywało z nicości równinę, na której wyrastała gigantyczna budowla z żelaza wznoszona dla Marsjan. Wszyscy od dawna wiedzieli, że agresorzy w rzeczywistości nie przybyli z Marsa, ale ponieważ ich pochodzenie wciąż było nieznanne, większość ludzi ich tak nazywała, być może wierząc, że w ten sposób obrażają wroga.

Charles przyglądał się piramidzie z tępą złością, bo tylko na tyle pozwalało mu zmęczenie, które tak się z nim zrosło, że odczuwał je jako część swego jestestwa. Podobno stawiana przez nich budowla miała być urządzeniem do przetwarzania ziemskiego powietrza w coś o składzie, który mniej będzie szkodził Marsjanom niż dotychczasowy. Miał to być jeden z wielu etapów przeobrażania planety, którą najeźdźcy przygotowywali na przybycie swojego ukochanego Imperatora, planującego przylecieć z pozostałymi członkami rasy w karawanie olbrzymich statków powietrznych wiozących w ładowniach wszystkie ich dobra. Garstka, która bez najmniejszego trudu podbiła Ziemię, była zaledwie forpocztą.

W oddali, w pobliżu ruin tego, co do niedawna było największą metropolią świata, znajdowało się marsjańskie osiedle – skupisko dziwnie rozmieszczonych okrągłych blaszaków zamieszkiwane przez niewielki oddział pilnujący obozu pracy, w którym więziono Charlesa. Nie wiedział, gdzie mieszka kosmita, który dowodził inwazją, lecz był świadom, że takie osiedla są rozrzucone po całej Anglii, a także po reszcie świata, jako że teraz, dwa lata po rozpoczęciu podboju, praktycznie cała Ziemia była pod rządami najeźdźców. Po zmienienu Londynu w hałdę gruzu Marsjanie zabrali się za inne miasta, a ich bracia robili to samo z Europą i pozostałymi kontynentami, nie napotykając

większego oporu niż ten, który stawilo im potężne imperium brytyjskie. Jedno po drugim padały Paryż, Barcelona, Rzym, Ateny... aż skapitulowała cała planeta. W wielkiej wojnie zginęły miliony ludzi, a nieliczne niedobitki, wśród których Charles miał wątpliwą przyjemność się znajdować, zostały niewolniczą siłą roboczą, bez cienia litości eksploatowaną, póki nie wyzionie ducha.

Po raz kolejny zadał sobie pytanie, jak to się mogło stać. To niemożliwe, to się nie dzieje naprawdę, powtarzał z narastającą bezradnością i niedowierzaniem. Co się stało z przyszłością, którą odwiedził? Coś musiało pójść nie tak. Nikt nie zdawał się podzielać zdania Charlesa – nawet kapitan Shackleton, który znajdował się w tym samym obozie co on i którego Winslow odwiedzał w celi, ilekroć mógł, jakby wierzył, że ten zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Najczęściej kapitan ograniczał się do wzruszenia ramionami albo do spoglądania nań z politowaniem, ilekroć Charles nalegał, że to, co się dzieje, jest zwyczajnie niemożliwe.

– Przecież trwa już od dwóch lat, do cholery! – wykrzykiwał czasem ponuro, kiedy męczące pytania młodzieńca wyprowadzały go z równowagi. To zwykle kończyło rozmowę.

Charles potrząsnął głową, usiłując odpędzić te myśli. Nie miało sensu torturować się przekonaniem, że żyje w niewłaściwej rzeczywistości, zwłaszcza tego dnia, gdy nie mógł sobie pozwolić na zmarnowanie choćby minuty cennego czasu. O bladym świetle Marsjanie wyciągną ich z celi i posła do żmudnej pracy przy budowie urządzenia do oczyszczania powietrza. Została mu zaledwie godzina. Podeszedł do stojącego w kącie celi stolika, usiadł, wyjął papier listowy i pióro, które kupił za pięć spośród swoich najmniej zepsutych zębów. Nie wiedział, po co Ashton ich potrzebuje, ale jemu samemu i tak wkrótce przestałyby być potrzebne. Papier i pióro miały posłużyć Charlesowi do napisania czegoś, czego na razie nie potrafił nazwać – czegoś w rodzaju dziennika, choć zamierzał opisywać nie tyle dni, na których zrelacjonowanie wystarczyłoby kilka linijek, ile wydarzenia, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Niezależnie jednak od nazwy, jasne było, że musi to napisać, nim umrze, co zapewne nastąpi całkiem niedługo. Jakby na potwierdzenie tych obaw chwycił go atak kaszlu, jeden z wielu, jakie go nawiedziły w ostatnich tygodniach, a gdy minął, pozostawił po sobie drapanie w gardle i obolałe płuca. Po bezskutecznej próbie rozluźnienia przekłetej obręczy na szyi tym samym gestem, którym w innych czasach rozluźniał krawat, Charles skoncentrował się i po kilkuminutowym namyśle przystąpił do pisania.

DZIENNIK CHARLESA WINSLOWA

12 lutego 1900 r.

Nazywam się Charles Leonard Winslow, mam 29 lat i jestem więźniem marsjańskiego obozu pracy w Lewisham. Nie chcę jednak trwonić cennego czasu na pisanie o sobie. Wspomnę tylko, że przed inwazją miałem wszystko: uprzywilejowaną pozycję, cudowną żonę oraz idealną kombinację cynizmu i końskiego zdrowia pozwalającą mi w pełni rozkoszować się przyjemnościami, jakie oferował mi każdy dzień. Teraz jednak zabrano mi to – zarówno dobra materialne, jak i duchowe, nie wyłączając wiary w siebie. Nie pozostało mi nic z wyjątkiem przekonania, że umrę w ciągu najbliższego tygodnia. Piszę więc, by to, co wiem o najeźdźcach, nie odeszło wraz ze mną. Posiadam bowiem informacje, które nie są udziałem wszystkich, i choć po śmierci ta

wiedza na nic mi się zda, być może inni zdołają zrobić z niej użytek.

Świadom jestem, że mój wysiłek może się okazać daremny. Wystarczy się rozejrzeć, by to pojąć. Wbrew rozsądkowi jednak cień uludy każe mi żywić nadzieję, że wcześniej czy później pokonamy Marsjan. A jeśli to nastąpi, być może przyczynią się do tego wieści, które tu zawrę. Gdybym się mylił i moje przeczucia okazały się próżnymi nadziejami biednego głupca, być może ten dziennik pozostanie jedynym dowodem, że Ziemia nie zawsze należała do Marsjan, czy kimkolwiek oni są. Przez wiele wieków panował na niej człowiek, który z czasem poczuł się właścicielem całego wszechświata.

Tylko wyjątkowe umysły, takie jak pisarz H.G. Wells, którego pamięci dedykuję te stronicę, przeczuwały, że nie jesteśmy samotni w kosmosie – co więcej, być może nie jesteśmy najpotężniejsi. Wykrzyczał to w powieści *Wojna światów*, którą jego współcześni w swej arogancji uznali za naiwną fikcję. Nikt nie wierzył, że coś takiego mogłoby wydarzyć się naprawdę. Muszę przyznać, że ja także należałem do niedowiarków, choć nie z powodu przekonania, że jesteśmy jedyni i potężni, tylko dlatego, że widziałem przyszłość, jaka miała czekać nasze wnuki. Tak, widziałem rok dwutysięczny i nie było w nim najmniejszego śladu Marsjan.

Inwazja zastała mnie w domu uciech Madame M***, ekskluzywnym sanktuarium rozkoszy, w którym bywałem co najmniej raz w tygodniu. „St. James’s Gazette” w kolejnych specjalnych wydaniach anonsowała pojawienie się dziwnych pojazdów w Horsell, na polu golfowym w Byfleet oraz, jeśli dobrze pamiętam, w pobliżu Sevenoaks, Enfield i Bexley. Donoszono, że są to maszyny wojenne – niektóre z nich bowiem otworzyły ogień do ciekawskich – i że na nogach przypominających szczudła zmierzają w stronę Londynu, niszcząc wszystko na swej drodze straszliwymi snopami ognia. Dalej zaś gazeta przekonywała, że nie mamy się czego obawiać, gdyż potężna brytyjska armia da wrogowi bezprecedensowy odpór. Miasto zostało otoczone działami polowymi, z Woolwich i Aldershot wciąż docierała nowa artyleria oraz potężna amunicja, a po Tamizie paradowały zwarte i gotowe torpedowce i niszczyciele.

Wszystko to wywołało w społeczeństwie raczej zaciekawienie niż strach. Wielu mieszkańców udało się na obrzeża miasta, by na własne oczy obejrzyć zapowiadaną spektakularną walkę, w której nasze wojska zmiażdżą wroga, przez wielu nazywanego Marsjanami, jako że podobno przybył z kosmosu. Cały ten tłum ciekawskich został jednak zawrócony do miasta przez żołnierzy i musiał obejść się smakiem. Ze względów bezpieczeństwa nikomu nie pozwolono opuścić miasta; nawet stacje kolejowe na rozkaz władz zostały zamknięte. Można było jedynie wjeżdżać, jak to czynili uciekinierzy z Molesey, Walton, Weybridge i innych pobliskich miejscowości, blokując ulice karawaną pojazdów wyładowanych po brzegi walizami i wartościowymi przedmiotami. Mówiono o potwornej dewastacji w okolicznych wsiach, lecz nadal nikt nie przypuszczał, że możemy przegrać zbliżającą się bitwę. Ostatnie wydanie „St. James’s Gazette” doniosło o przerwaniu linii telegraficznych, wskutek czego zostaliśmy odcięci od wieści o dalszym rozwoju wypadków.

Jak można przypuszczać, wywołało to w ludziach pewien niepokój, lecz wciąż jeszcze nie był on nadmierny. Co do mnie, muszę przyznać, że nie odczułem nawet najlżejszej obawy. Dlaczego miałbym ją czuć, skoro byłem przekonany, że nasze potężne wojsko zniszczy dziwne maszyny, nim zdołają się wdrzeć do stolicy? Marsjanie, czy kto to tam był, z całą pewnością zostaną pokonani. Nie mogło być inaczej, i to nie dlatego, że ich pojazdy maszerowały na nas na idiotycznych szczudłach zamiast – zgodnie z opisem Wellsa – latać. Nie; musiały przegrać, bo świadczyła o tym przyszłość. Musiały przegrać,

bo było im to pisane. Niezależnie od tego, jak straszne i potężne się nam zdawały, znałem już finał tej sztuki i nie potrafiłem wykrzesać z siebie najmniejszej obawy o jej przebieg, czułem jedynie pogardliwą litość dla tych, którzy, niezdolni dodać dwa do dwóch, bez potrzeby drżeli o życie. Skoro zaś się nie bałem, nie widziałem powodu, by zmieniać codzienną rutynę.

Niestety, moja małżonka Victoria ku mojej rozpaczy nie podzielała tego spokoju, mimo iż wraz ze mną odwiedziła rok dwutysięczny i doskonale wiedziała, że nie było w nim ani śladu marsjańskiej inwazji.

Postanowiła się udać do domu mego wuja na Queen's Gate, by czekać na wynik bitwy w towarzystwie mego kuzyna Andrew, swojej siostry i kilkorga naszych przyjaciół. Żadne z nich nie chciało zrozumieć, że nie ma się czego obawiać, bo wojsko rozbija Marsjan w pył, gdy tylko zbliżą się do miasta. Nie było co do tego wątpliwości, bo... to już się stało.

Niezdolny ukrywać się w towarzystwie tych tchórzliwych dzieciaków bez poczucia, że robię z siebie głupca, wyszedłem z domu i wyruszyłem w kierunku przeciwnym do tego, który obrała małżonka. Ludzie tłoczyli się na ulicach i w tawernach, gromadzili w niespokojne skupiska na placach, lecz wciąż wyglądali na bardziej zaciekawionych niż przerażonych tym, co się dzieje na przedmieściach. Wędrując bez celu, zobaczyłem, jak grupa żądnych wieści osób otacza wóz jakiegoś uciekiniera i z przestachem słucha jego chaotycznej opowieści o rzezi, której cudem uniknął. Fakt, że ci prostaczkowie nie widzieli roku dwutysięcznego, w jakiś sposób usprawiedliwiał ich groteskowe lęki. Ja jednak, znając przyszłość, spokojnie udałem się do burdelu Madame M***, jednego z moich ulubionych ze względu na egzotyczny towar. Nie przychodziło mi do głowy żadne lepsze miejsce, w którym mógłbym czekać na pokonanie agresorów. Gdy to nastąpi, zamierzałem pojechać na Queen's Gate i z uśmiechem na ustach odebrać Victorię, z trudem powstrzymując się od poniżenia jej uszczypliwym komentarzem. Może nawet zabrałbym ją na kolację, by jej zrekompensować niepotrzebny strach.

Dotarwszy do burdelu, przeszedłem przez duży, przeładowany ozdobami salon, w głębi którego wisiała karykatura *Narodzin Wenus*, znacznie mniej wysublimowana, za to zdecydowanie bardziej zmysłowa niż ta, która wyszła spod pędzla Botticellego. Wyperfumowane, klimatyczne pomieszczenie było puste, co wydało mi się dziwne: na licznych fotelikach i przy stołach zwykle zasiadały pracownice przybytku i konwersowały, śmiały się lub popalały z klientami opium z długich fajek. Za zasłonkami, przez które czasem można było dostrzec sylwetkę jakiegoś znamienitego obywatela dryfującego po spokojnym morzu krągłości i wypukłości, nie zauważyłem żadnego ruchu. Żadna z dam nie przechadzała się nawet po salonie, kręcąc biodrami i z wystudiowaną powolnością demonstrując ukryte pod przezroczystą tkaniną wdzięki. Większość siedziała w złowróżbnym milczeniu i mimo kolorowych pióropuszy przypominała raczej osoby czuwające przy zwłokach. Smutna atmosfera nieco wybiła mnie z rytmu, lecz postanowiłem przynajmniej wykorzystać koniunkturę i skorzystać z usług dwóch najbardziej rozchwytywanych panien, które nie rozumiały, jak mogę w tej sytuacji skupiać się na ziemskich rozkoszach. Odpowiedziałem uśmiechem. „Cóż może być lepszego, niż skonać w waszych ramionach?” – zażartowałem.

Zaznawszy upojenia, wziąłem z koszyka stojącego obok łoża jabłko, ale jego smak wydał mi się nieco cierpki. Podobne wrażenie wywołały same igraszki – choć przyjemne, wyraźnie dawały odczuć, że dziewczęta zbyt są zaabsorbowane czym innym. Nawet te biedaczki nie mogły przestać myśleć o inwazji.

Wtedy usłyszeliśmy pierwszy wystrzał. Dobiegł z oddali, od strony Chelsea.

Przestraszone dziewczęta pospiesznie zaczęły się ubierać. Po pierwszej eksplozji rozbrzmiała kolejna. Mimo pewnego oddalenia wydawało się, że strzelający są już w obrębie miasta. Trójnogi musiały przerwać linię obrony. Trzeci strzał zabrzmiał jeszcze głośniej, a lekkie drżenie, w które wprawił budynek, potwierdziło moje obawy. Otoczony rozhisteryzowanymi panienkami wyjrzałem przez okno. Ludzie biegali niespokojnie po ulicach, lecz ponad dachami nie było widać nic z wyjątkiem czerwonej łuny pozostałej po zachodzie słońca. Ubrawszy się pospiesznie, opuściłem przybytek w towarzystwie nielicznych klientów dokładnie w chwili, w której zaczęły bić dzwony chyba wszystkich kościołów w Londynie. Na ulicy usłyszałem krzyki, że Marsjanie atakują, ale też że jedną z ich machin pokonano w Richmond. Uśmiechnąłem się na tę wieść. Wkrótce się okazało, że mimo tego bohaterskiego czynu nasze potężne wojsko zostało błyskawicznie rozniesione w pył. Z krążących po mieście chaotycznych pogłosek wydedukowałem, że Marsjanie przedarli się przez szyki obronne przynajmniej w Richmond i Kingston. Sądząc zaś po kolejnych wybuchach rozbrzmiewających w okolicy, wyrw w ochronnym kordonie było coraz więcej. „Przecież to niemożliwe!” – powtarzałem w duchu z ogromną konfuzją, w ostatniej chwili uskakując przed pełnym uciekinierów powozem. Nawet jeśli owe maszyny naprawdę były tak potężne, wojsko powinno się z nimi rozprawić.

Usiłując zrozumieć, dlaczego wszystko nie toczy się zgodnie z planem, płynąłem z prądem uciekającego tłumu, aż dotarłem do jakiegoś placu i roztrzęsiony usiadłem na ławce. Potrzebowałem czasu do namysłu. Nie miałem możliwości pełnej oceny sytuacji, lecz jasne było, że eksplozje są coraz częstsze i coraz bliższe. Zawsze brzmiały tak samo: najpierw ostry świst, potem grzmot wystrzału, a na końcu wybuch, który wyrzuca w powietrze jakiś budynek. Najgorsze jednak było to, że ta makabryczna symfonia zdawała się dobiegać ze wszystkich stron Londynu, od Ealing po East Ham.

Wyjąłem papierosa i zapaliłem, by uspokoić nerwy. Przebiegające obok osoby patrzyły na mnie zdumione, najpewniej uznając, że mają do czynienia z samobójcą. Patrzyłem na nie z wyższością, choć panika, której się opierałem, zaczynała już palić mnie w gardle, nadając tytoniowi kwaśny, metaliczny posmak. Powoli wydmuchiwałem dym, starając się pojąć sytuację. Dlaczego wciąż nie wydarzyło się to, co powinno zapobiec rozprzestrzenianiu się inwazji, cokolwiek to było: genialne zarządzanie któregoś z ministrów, potężna tajna broń, nieoczekiwane zjawisko przyrodnicze, grupa żołnierzy wyszkolonych do walki z takimi przypadkami, a może bohaterski czyn pojedynczego człowieka? Coś przecież musiało powstrzymać najazd Marsjan.

Z zaciekawieniem przyglądałem się przebiegającym tłumom. Mijali mnie karczmarze w fartuchach, służące w mundurkach, matki ciągnące za sobą dzieci, żebracy i bankierzy biegnący ramię w ramię, jakiś człowiek na koniu. Trudno było się spodziewać, by pośród tych zdezorientowanych i przerażonych duszyczek znalazł się ktoś zdolny uratować Londyn, nie mówiąc już o całej planecie. Wnioskując z pogłosek potwierdzonych zbliżającymi się wybuchami, nasza dzielna armia także nie była na to gotowa. Ja jednak wiedziałem, że ktoś musi to zrobić, i to jak najszybciej. „A jeśli to mam być ja?” – pomyślałem nagle. „Jeśli to ja mam sprawić, by historia wróciła na właściwą ścieżkę?” Myśl ta wydała mi się jednak równie egoistyczna, co absurdalna. Bo w końcu cóż mogłem zrobić, by wyprostować rzeczywistość? Niewiele lub nic, podobnie jak ci nieszczęśnicy, którzy biegali w przerażeniu to tu, to tam, zależnie od tego, gdzie akurat rozbrzmiała eksplozja.

Gdy tak rozmyślałem, usłyszałem w odległości kilku zaledwie przecznic wybuch, po nim zaś ogłuszający rumor. Zerwałem się gwałtownie, drżąc na całym ciele. Wówczas z

przeciwległej ulicy z makabrycznym świstem wyskoczyło coś, co mogę opisać jedynie jako błyskawicę obłaskawioną przez jakieś bóstwo, która zamiast utworzyć zygzak w powietrzu, biegła prosto i równoległe do ziemi niczym światło latarni. Dziwny promień przemierzył plac, podpalając po drodze korony kilku drzew, i uderzywszy w budynek, roztrzaskał go na tysiąc fragmentów i brutalnie zdmuchnął z powierzchni planety znajdujące się w pobliżu osoby oraz dorożki jak ktoś strzepujący niedbale okruszki z płaszcza.

Patrzyłem na ogrom zniszczeń, nie wierząc własnym oczom, gdy nagle za plecami usłyszałem metaliczny szczęk, najpierw cichy, potem coraz głośniejszy, wreszcie ogłuszający. Ziemia pod moimi nogami drżała. Wraz z innymi obecnymi na placu osobami wbiłem przerażony wzrok w ulicę, z której wcześniej nadleciał promień, wiedząc, że to, co nadchodzi, nie może być niczym innym jak tylko jednym z trójnogów, o których mówili uciekinierzy. I rzeczywiście, poprzez gęstą chmurę pyłu udało nam się dostrzec złowrogą sylwetę nieco podobnej do pająka maszyny. Była wprost gigantyczna. Kilka sekund później wyszła zza kurtyny mgły i stanęła przed nami, trzymając się mocno na trzech potężnych łapach. Wielu uciekało w trwodze, podczas gdy inni, wśród nich ja, tkwili wrośnięci w ziemię jak zaczarowani.

Do dziś drzę na wspomnienie chwili, w której po raz pierwszy ujrzałem marsjański pojazd. Wydał mi się potężniejszy od wszystkiego, co mógłby kiedykolwiek zbudować człowiek. Mierzył trzydzieści albo i więcej metrów. Na szczupłych, składanych niczym szprychy parasola nogach kołysało się coś przypominającego kosz balonu, tyle że nieco większe i zamknięte jak nieprzenikniony pancerz. Z jego przedniej części zwisała macka zrobiona prawdopodobnie z tego samego materiału co maszyna, lecz bardziej giętka. Oscylowała zabawnie w powietrzu, zakończona dziwnym urządzeniem przypominającym broń. Jakby na potwierdzenie moich podejrzeń w tym właśnie momencie wystrzelił z niego drugi promień i uderzył w ziemię u stóp wehikułu. W miarę unoszenia się macki promień zmieniał jednak kierunek, by po chwili przeciąć ukośnie plac, jakby to był weselny tort, i obrócić w pył wszystkich na swej drodze. Potworna ognista kosa przepołowiła znajdujący się na skraju placu budynek, a ten rozpadł się z westchnieniem na stertę gruzów.

Wszystko to wydarzyło się o jakichś piętnaście metrów od miejsca, w którym stałem. Żar ognia wywołał na mojej skórze bolesne mrowienie, które zbudziło mnie z transu. Zrozumiałem, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo i że snucie jałowych rozważań nad tym, jak mogło dojść do marsjańskiej inwazji, nie pomoże mi przed nią uciec. Niezależnie od tego, czy najeźdźcy ostatecznie zwyciężą, czy też zostaną pokonani, byłem jedynie pionkiem w tej grze i w każdej chwili mogłem zostać spalony, przysypany gruzem czy przejechany przez spłoszone konie. W tamtej chwili jak nigdy przedtem świadom byłem swojej niewysłowionej kruchości. Mogę zginąć lada chwila, powtarzałem sobie. Równie dobrze już mogłem być martwy.

Patrzając, jak maszyna przygotowuje się do kolejnego wystrzału w kierunku domów, pomyślałem nagle o Victorii oraz o moim kuzynie i jego małżonce, którzy byli równie śmiertelni jak ja i z równym prawdopodobieństwem mogli zginąć, gdy trójnogi dotrą na Queen's Gate. Musiałem natychmiast stąd uciec i biec do nich!

Zburzony budynek tworzył dymiącą barykadę blokującą drogę do ulic wiodących w stronę Queen's Gate. Częściowo z własnej woli, częściowo zaś popychany przez oszalały tłum pobiegłem w kierunku bocznej uliczki, oddalając się od trójnogu, który wdarł się na plac, i od drugiego, który właśnie się nań wdierał. Ciągnięty przez labirynt ulic nie

wiedząc dokąd, skoncentrowałem się na utrzymaniu się na nogach, by nie zostać zdeptany. Wokół rozbrzmiewały eksplozje zmieszane z ludzkimi krzykami, hukami armat i natrętnymi gwizdami machin, niebo nad głową rozświetlały czerwone błyski, a powietrze pachniało ogniem.

Dopiero gdy wydostałem się na Chelsea Embankment, zobaczyłem, że biegłem w kierunku przeciwnym do South Kensington, gdzie zamierzałem się dostać. Dyszałem i kaszlałem, stojąc na nabrzeżu w otoczeniu dziesiątek innych, podobnie jak ja powalanych pyłem londyńczyków. Wyglądaliśmy jak grupa śpiewaków operowych ewakuowanych z teatru przez policję. Nagle potwornie zakreśliło mi się w głowie i zgiąłem się, opierając dłonie na kolanach. Stałem tak przez chwilę, wpatrzony w czubki własnych butów i skoncentrowany na jednym wysiłku: powstrzymać wymioty. Zdradzenie się ze słabością przed całym tym tłumem było ostatnią rzeczą, na jaką miałbym ochotę. Kiedy w końcu, wciąż nieco oszołomiony, odważyłem się podnieść wzrok, zauważyłem, że przy pomocy przycumowanych jest mnóstwo barek i łodzi, nie wiadomo, czy zamierzających odpłynąć, czy właśnie przybyłych. Prostując się powoli i czując, jak na mojej twarzy odmalowuje się groza, pojąłem nagle przyczynę tej hysterii. Patrzyłem na połyskującą, przeciętą mostami wstęgę Tamizy. Najbliżej znajdował się Albert Bridge. Jego utrzymywana przez dwa mocne betonowe filary struktura wydawała mi się zawsze świadectwem ludzkiej potęgi, lecz teraz, w obliczu złowrogiego stada trójnogów kroczących południowym brzegiem, wyglądała nad wyraz krucho. Machiny na tle rozświetlonej ogniem nocy niczym mroczni rycerze przemaszerowały przez Battersea, pozostawiając za sobą pobojuwisko płonących zgliszczy, i zbliżyły się do Tamizy, bez cienia wątpliwości z zamiarem przejścia przez nią na swoich szrudłach, by kontynuować bezlitosne dzieło zniszczenia na drugim brzegu.

Nim jednak pierwsza z nich dotarła do rzeki, do akcji śmiało wkroczył niszczyciel, który niczym dzielny lewiatan wpłynął pomiędzy trójnogi a zebrany na nabrzeżu tłum. Usiłując coś dostrzec ponad głowami otaczających mnie ludzi, odkryłem, że w innych punktach rzeki pojawiły się kolejne łodzie, starające się powstrzymać hordy trójnogów, które dostawszy się do stolicy od południa, zrównały z ziemią Lambeth i okoliczne dzielnice. Sądząc po hukach dobiegających od strony niszczycieli, niektóre z nich otworzyły nawet ogień do najeźdźców. Z kruchym poczuciem bezpieczeństwa podobnym do tego, które ma widz patrzący z łoża na płonącą scenę i zastanawiający się, czy ogień do niego dotrze, patrzeliśmy, jak na naszych oczach rozpoczyna się pojedynek: niszczyciel odgradzający nas od marsjańskich machin w tym właśnie momencie otworzył do najeźdźców ostry ogień. Następujące szybko po sobie hałaśliwe wystrzały armatnie zniszczyły wiele budynków za rzeką, lecz nie dosięgły żadnego z trójnogów, które unikały kul, uchylając się jakby od niechcenia. Nie odpowiadając ogniem, kontynuowały bezlitosny marsz ku rzece. W końcu kula trafiła jeden z nich. Pancierz maszyny rozprysnął się na kawałki, a chwilę później pojazd runął na budynek niczym ścięte drzewo. Rozemocjonowani biliśmy brawo, lecz nasza euforia trwała zaledwie sekundy, do momentu brutalnego odwetu Marsjan. Co najmniej trzy potężne snopy ognia wystrzelone przez znajdujące się najbliżej brzegu maszyny dosięgły niszczyciela, który gwałtownie zakołysał się na wodzie i choć gęsta chmura dymu i pary na moment zasłoniła walczących, wszyscy słyszeliśmy potworne huki, a nawet widzieliśmy, jak z chmury wystrzela deszcz metalowych części i fragment jednego z bliźniaczych kominów. Nagle strzały umilkły, a chwilę później chmura się rozwiała, ukazując okaleczonego, dymiącego niszczyciela unoszącego się na wodzie niczym martwy ptak. Kilka trójnogów wystrzeliło w kierunku Albert Bridge, ścinając go snopami ognia i zrzucając do Tamizy

grupę uciekających w stronę Chelsea osób niczym wysypujące się z torebki winogrona. Resztki mostu stworzyły coś na kształt barykady, oddzielając nas od krwawej bitwy rozgrywającej się w dalszym biegu rzeki. Zaraz potem zauważyliśmy, że trójnogi wchodzą do spienionej wody, balansując na swoich szczydach niczym widmowi starcy. Nie mieliśmy wątpliwości, że teraz, gdy żaden okręt nie może im stanąć na drodze, mimo niepewnego kroczenia po dnie Tamizy wkrótce nas dosięgną.

Najbardziej niecierpliwym wystrzelił w naszą stronę, uderzył w nabrzeże o jakichś piętnaście metrów od miejsca, w którym stałem, i obrócił w pył zgromadzonych tam ciekawskich, a pozostałych zmusił do chaotycznej ucieczki ku najbliższym ulicom. Kilka kroków przede mną jakaś dziewczynka upadła pod naporem ślepego motłochu i nim się spostrzegłem, niezdolny zahamować poczułem pod stopami trzask miażdżonych kosteczek. To doświadczenie kazało mi dołożyć wszelkich starań, by się wyrwać z tego ludzkiego potopu, który mnie porwał. Pragnąc odzyskać panowanie nad sobą, przykleiłem się do ściany i przepuściłem oszalałą horde, by wkrótce zostać na ulicy sam, jeśli nie liczyć kilku rozdeptanych trupów. Rozejrzałem się, a gdy już z grubsza wiedziałem, gdzie jestem, ruszyłem biegiem w kierunku South Kensington, ze wszystkich sił starając się powstrzymać panikę. Przystając od czasu do czasu, by nasłuchiwać, skąd dobiegają wybuchy, zdołałem uniknąć spotkania z trójnogami, a nawet z falami uciekinierów. Ostrożnie przemieszczałem się przez dzielnicę wzdłuż niemal całkiem opustoszałych uliczek, aż dotarłem na Cromwell Road. Nie wiem, ile czasu zajęła mi wędrówka, lecz miałem wrażenie, że minęła wieczność. Wyczerpany i rozedrgany, z ulgą spostrzegłem, że na Queen's Gate panuje spokój, a rząd luksusowych kamienic stoi nietknięty.

Potwornie zdyszany wpadłem do domu wuja. Ku swemu zdumieniu na parterze nie zastałem żywej duszy, więc wbiegłem po okazałych marmurowych schodach na piętro, ale ono także okazało się puste. Nim zawróciłem, skorzystałem z prezentu, który tak bezinteresownie oferowały mi wielkie okna: omiotłem wzrokiem potworną panoramę Chelsea i Brompton z tuzinem wzbijających się w niebo słupów dymu, za to bez swoich najbardziej rozpoznawalnych budynków, które zmieniły się w stertę gruzu. Uświadamiając sobie ogrom zniszczeń, jakie już dokonały się w mieście, zachodziłem w głowę, czy naprawdę ktoś zdoła zatrzymać ten proces. Dalej, za Tamizą, widać było falującą kurtynę płomieni. Trójnogi rozprzestrzeniały się niczym niepohamowana plaga. Wkrótce tu dotrą, pomyślałem, i obrócą wniwecz te wyniosłe budowle. Westchnąłem bezradnie, wmawiając sobie, że jeszcze nie wszystko stracone. Prędzej czy później ktoś musi zmienić bieg wypadków. Prawdopodobnie ten ktoś na razie się ukrywa, czekając na właściwy moment.

W końcu zszedłem na parter i zacząłem krzyczeć co sił w płucach, licząc, że ktoś mnie usłyszy, lecz pośród huku eksplozji i bicia dzwonów sam ledwie słyszałem własny głos. Nagle pochwyciłem swoje odbicie w jednym z luster wielkiego salonu. Zdumiał mnie widok brudnego Charlesa o niespokojnych ruchach i malującym się w oczach szaleństwie. Gdzieś po drodze zgubiłem kapelusz, włos miałem rozwiany, a marynarkę powalaną pyłem i rozdartą na ramieniu. Nigdy nie sądziłem, że w takim stanie wrócę z burdelu, by zaprosić Victorię na kolację. Odwróciłem się od lustra i przeszukiwałem parter, rozmyślając, gdzie się podział mój kuzyn i jego goście. Czyżby wiedzeni strachem lub ciekawością wybiegli na ulicę? Bardzo w to wątpiłem.

Wtedy się zorientowałem, że nie zajrzałem do miejsca, które z pewnością było najlepszą kryjówką w przypadku marsjańskiej inwazji czy podobnej katastrofy: do

piwnicy, gdzie znajdowały się pokoje służby. Prawdopodobnie spłoszeni eksplozjami mieszkańcy i goście postanowili się tam schronić. Choć podczas żadnej z dotychczasowych wizyt w domu wuja nie ośmieliłem się zejść do podziemi, wiedziałem, że wiodą do nich dyskretne drzwiczki znajdujące się w sąsiedztwie kuchni. Otworzyłem je i zszedłem po schodach, czując się jak intruz i zadając sobie pytanie, czy moje przypuszczenia nie były chybione, póki nie usłyszałem głosu dobiegającego z jednej z izb. Ruszyłem w jej kierunku skromnym korytarzykiem. Wkrótce zacząłem rozumieć słowa, wypowiedane niewątpliwie przez starszego człowieka przemawiającego z wielkim spokojem i ogromną kulturą, jakby nawykłego do traktowania innych z najwyższym szacunkiem. Domyśliłem się, że to Harold, posłuszny woźnica mego wuja.

– Wtedy pojąłem, że aby odstraszyć łapserdaka, muszę znaleźć grabie, co jednak nie było łatwe, jako że z powodów, którym już wyłuszczyłem, nie miałem na sobie spodni – opowiadał, wywołując wybuchy szczerego śmiechu. Wniosłem z nich, że publiczność jest równie liczna co życzliwa; prawdopodobnie złożona zarówno ze służby, jak i z gości. Nie pomyliłem się: otwarłszy drzwi, zza których dobiegały te przyjazne śmiechy, ujrzałem skromny salonik z krzesłami rozstawionymi w kręgu, pośrodku stał woźnica z uniesionymi rękami niczym czarownik zaskoczony w połowie zaklęcia. Pomiędzy służbą z ulgą odnalazłem moją małżonkę i jej siostrę Madelaine z mężem, moim kuzynem Andrew, którzy byli w tej chwili gospodarzami domu, jako że inwazja nastąpiła, gdy wujostwo wraz z mymi rodzicami przebywali w Grecji. Ponadto ujrzałem uroczę przyjaciółki naszych żon: Lucy Nelson i Claire Haggerty. Nie dostrzegłem małżonka pierwszej, inspektora Scotland Yardu Garretta – zapewne był na służbie i usiłował zaprowadzić porządek na ulicach, o ile oczywiście było to możliwe – podczas gdy Claire towarzyszył mąż, John Peachey, którego do tej pory nie miałem okazji poznać.

Zwróciłem uwagę, że wszyscy trzymają w dłoniach kieliszki, a na ustach niektórych błakają się zamyślane uśmiechy znamionujące kogoś, kto wychylił już pierwszą kolejkę. By jeszcze bardziej rozweselić zebranych, gramofon w kąciu wypełniał izbę wesołą melodyjką zagłuszającą wybuchy. Victoria chyba się ucieszyła, że widzi mnie żywego, choć z racji chowanej urazy pozwoliła sobie jedynie na uśmiech triumfu: mój oplakany stan nie pozostawiał wątpliwości, że inwazja zgodnie z jej przewidywaniami zbiera żniwo niezależnie od tego, co zobaczyliśmy w roku dwutysięcznym. Ja ze swej strony mimo ogromu zniszczeń wciąż byłem pewien, że lada chwila Marsjanie zostaną pokonani, choć nie miałem pojęcia jak. Zacietrzewieni w odmiennych opiniach, nawet nie próbowaliśmy się objąć, bo jak powszechnie wiadomo, urażona duma niemal zawsze wygrywa z czułością. W końcu mój kuzyn Andrew wstał i przywitał się ze mną, burząc symetrię kręgu.

– Na Boga, Charles, wreszcie! – wykrzyknął, szczęśliwy, że widzi mnie całego i zdrowego. – Baliśmy się o ciebie.

– Nic mi nie jest, Andrew – odparłem, z niesmakiem obserwując, jak niektóre spośród służących komentują żalony stan mego ubioru.

– Słyszeliśmy wybuchy, więc zesłaliśmy tu, żeby się tak nie denerwować – wyjaśnił kuzyn, zamaszystym gestem ogarniając izbę. – Harold zaczął nam nawet opowiadać zabawne historyjki, żebyśmy za dużo nie myśleli o tym, co się dzieje na zewnątrz.

Woźnica machnął niedbale ręką, jakby mówił, że nie gniewa się o moje wtargnięcie.

– Dokończę kiedy indziej, sir.

Zarządca domu usłużnie podsunął mi tackę z kieliszkami.

– Proszę się częstować. Sądząc z pańskiego wyglądu, kieliszek brandy nie zaszkodzi.

– Co tam się dzieje, Charles? – zapytał Andrew, ledwie pociągnął łyk. – Czy to... inwazja?

Wszyscy wbili we mnie spojrzenia.

– Obawiam się, że tak. Marsjanie weszli do Londynu i... – urwałem, nie wiedząc, jak opisać katastrofę, której byłem świadkiem, lecz nie istniało na nią łagodne określenie. – No cóż, niszczą miasto. Nasze wojsko zostało rozbite i jesteśmy skazani na łaskę najeźdźców.

Odpowiedział mi pomruk konsternacji. Kilka służących uderzyło w lament. Victoria i jej siostra padły sobie w objęcia, a pan Peachey objął swoją małżonkę, która wtuliła twarz w jego pierś niczym przestraszona dziewczynka. Andrew oddychał ciężko.

– Boże Wszchemogący... Marsjanie nas atakują... – wymamrotał słabym głosem.

Najwyraźniej do tej pory nie wierzył w inwazję mimo wybuchów, których wesoła muzyka nie zdołała zagłuszyć. Widząc, jak nagle zrzędła mu mina, zrozumiałem, że choć postanowił się schronić w domu wuja, wciąż liczył na to, że mam rację i że do inwazji nie dojdzie. Teraz był nie tylko zatrwożony, lecz i rozczarowany, jakby poczytywał mi za zdradę błędne przewidywania. Rozejrzałem się po zgromadzonych: wszyscy najwyraźniej uznali moje słowa za zgodę na to, by wreszcie zacząć się bać.

– Mój Boże! – mamrotali na kształt nerwowej litanii niektórzy służący, wymieniając spłoszone spojrzenia.

– Nie ma powodów do obaw – uspokajałem ich, choć po tym, co zobaczyłem na powierzchni, nawet mnie trudno było w to uwierzyć. – Jestem przekonany, że wszystko dobrze się skończy.

Victoria potrząsnęła głową, układając usta w kombinację ironii i smutku, jakby myślała: „Kiedyż on wreszcie się podda?”.

– Dlaczego pan tak sądzi, panie Winslow? – zapytała z nadzieją Claire, wynurzając się z objęć małżonka.

Wziąłem wielki haust powietrza. Wiedziałem, że muszę się wysilić, by ta przypadkowa zbieranina ludzka mnie zrozumiała, tym bardziej że sam już wątpiłem w trafność przepowiedni. Mimo to starałem się jak najjaśniej przedstawić swe założenia, udając, że nie dostrzegam urażonego spojrzenia Victorii.

– Jak pani wiadomo, kilka osób z tu obecnych, w tym pani, wzięło udział w wyprawie do roku dwutysięcznego i widziało przyszłość, w której jedynym zagrożeniem dla ludzi będą automaty. To zaś musi oznaczać, że obecna inwazja się nie powiedzie. Pewien jestem, że wkrótce wydarzy się coś, co położy jej kres, choć nie wiem jeszcze, co to będzie. Przyszłość pokaże.

– Osobiście nie przywiązywałbym wielkiej wagi do przyszłości, bo jak sama nazwa wskazuje, jest to coś, co jeszcze się nie wydarzyło – wtrącił jej małżonek, ten cały Peachey.

Zniecierpliwiony uwagą spojrzałem na niego badawczo, teatralnie unosząc brwi. Claire natychmiast mi go przedstawiła. Nawet w ekstremalnych sytuacjach należy zachować maniery.

– Mój mąż, John Peachey – powiedziała. – Charles Winslow.

Małżonek pospiesznie wyciągnął rękę, jakby się bał, że kilka sekund zwłoki zaszkodzi jego reputacji. Nie zmieniło to jednak niechęci, którą miał wypisaną na twarzy.

Przyznaję, że podczas tego pierwszego spotkania Peachey nie wzbudził mojej sympatii. Nie tylko dlatego, że ośmielił się rzucić mi wyzwanie. Zawsze cierpiałem na nieuleczalną niechęć do ludzi, którzy nie są świadomi swego potencjału i nieustannie go

trwonią, a on był jednym z nich, może nawet najbardziej zawziętym. Wysoki, silny młodzieniec o regularnych rysach, baczny spojrzeniu i wyniosłym podbródku sprawiał wrażenie kogoś, kto swoją poranną toaletę poświęca na kamuflowanie tych cech, by dzięki sumiennemu sabotażowi uzyskać obraz mężczyzny szarego, przygarbionego i nieśmiałego, z przyklejoną do czoła grzywką i ogromnymi okularami. Zupełnie jakby mu brakło osobowości, której domagał się jego wygląd; pewności, która pozwoliłaby mu korzystać z tężyzny fizycznej. Wszystko w nim było mdłe, przeciętne, sprzeczne z predyspozycjami. Choć nigdy wcześniej oficjalnie się nie spotkaliśmy, wiedziałem, że Peachey jest honorowym dyrektorem banku Barclays, w którym ojciec Claire był jednym z głównych akcjonariuszy – a wystarczył rzut oka na niego, by zdać sobie sprawę, że nie zajmuje luksusowego gabinetu na Lombard Street dzięki genialnym umiejętnościom zarządzania.

– Skoro już się znamy, panie Peachey, czy mógłbym wiedzieć, co pan insynuował swoim banalnym spostrzeżeniem? – zapytałem z przesadną uprzejmością.

– Że przyszłość dopiero nadejdzie, panie Winslow – pospieszył z odpowiedzią. – Że nie jest namacalna. A opieranie swoich założeń na czymś, co jeszcze się nie wydarzyło, wydaje mi się bardzo...

– Och, najwyraźniej jest pan specjalistą w tej dziedzinie, panie Peachey! – przerwałem mu z tą idealną kombinacją ironii i kurtuazji, którą potrafi wyczarować jedynie ktoś o arystokratycznym rodowodzie. – Był pan w roku dwutysięcznym? Ja tak, i zapewniam pana, że to, co tam zobaczyłem, wydało mi się całkowicie namacalne. Nie przypominam sobie jednak, bym pana tam spotkał. W której wyprawie wziął pan udział?

Peachey wpatrywał się we mnie w milczeniu, być może skonsternowany cudowną dwuznacznością mego tonu.

– Cóż... nigdy nie byłem w przyszłości – wyznał niezręcznie.

– Nigdy? A to szkoda, szanowny panie! W takim razie sądzę, że zgodzi się pan ze mną, iż wypowiadając się na temat czegoś, czego się nie widziało, podejmuje się ryzyko, jak na mój gust zbyt duże, popelnienia błędu i wyjścia na ignoranta – zauważyłem z przyjaznym uśmiechem. – Zanim więc pójdzie pan dalej tą drogą, pozwolę sobie poinformować, że przyszłość, co Claire z pewnością potwierdzi, istnieje. Tak, w pewnym punkcie ta przyszłość dzieje się właśnie teraz i jest równie realna jak chwila, w której z panem rozmawiam. Mogę pana o tym zapewnić, ponieważ w przeciwieństwie do pana byłem w roku dwutysięcznym. W roku, w którym rodzaj ludzki omal nie wyginął z powodu przeklętych automatów, nie zaś Marsjan. Automatów, które jednak zdołamy pokonać dzięki niejakiemu Derekowi Shackletonowi.

– Szkoda, że tego Shackletona tu nie ma – mruknął za moimi plecami Harold.

Peachey zerknął na niego z nagłym zaciekawieniem.

– Nie sądzę, żeby jeden człowiek mógł coś poradzić – stwierdził chłodno, wzruszając ramionami.

Tym komentarzem bankier zdołał mnie zirytować jeszcze bardziej niż poprzednim. Nie dość, że moja pogarda spływała po nim jak woda po kaczce, to jeszcze ośmielał się wyrokować, co może, a czego nie może zrobić Shackleton.

– Kapitan Shackleton to nie byle kto, panie Peachey – odparłem, starając się nie okazywać złości. – To bohater. Bohater, rozumie pan?

– Mimo to bardzo wątpię, czy w obecnej sytuacji...

– Obawiam się, drogi Peachey, że absolutnie się z panem nie zgadzam – przerwałem mu znowu z wystudiowaną protekcjonalnością. – Niestety nie mamy czasu, by się

zagłębić w jakże zajmującą dyskusję, którą w innych okolicznościach z radością bym podjął, jako że nic na tym świecie nie pociąga mnie bardziej niż równie inteligentna co jałowa wymiana zdań. Powiem tylko, że gdyby pojechał pan w przyszłość, wiedziałby pan, co to prawdziwy bohater i do czego jest zdolny. – I uśmiechnąwszy się kurtuazyjnie, nie odmówiłem sobie dodania: – Ojej, właśnie się zorientowałem, że popełniłem wobec pana okropny nietakt. Przypuszczam, że przed dwoma laty nie piastował pan tak intratnej posady jak dziś, w związku z czym cena biletu była poza pańskim zasięgiem.

Peachey zacisnął zęby, by nie wybuchnąć i nie zniszczyć uprzejmej fasady, jaką sobie narzucił. Gdy już powściągnął impuls, przekrzywił lekko głowę w poszukiwaniu grzeczniejszej, lecz równie uszczypliwej odpowiedzi. Pojąłem, że mimowolnie wdaliśmy się w pojedynek na słowa, ten specyficzny sport wymagający demonstracji talentu w dziedzinie ironii i ciętych ripost, co bynajmniej mnie nie zmartwiło, bo – nie chwając się – z umiejętnej wymiany obelg słyszałem w całym Londynie. Peachey, ze swej strony, mimo nieugiętej postawy z całą pewnością nie dysponował ani moim talentem, ani doświadczeniem. Byłem oczywiście świadom, że nie jest to odpowiedni moment na dialektyczną batalię, lecz pewnym pokusom nijak nie potrafię się oprzeć. Kiedy bankier rozmyślał nad odpowiedzią, szybko rozejrzałem się wokół. Wszyscy przerwali rozmowy i patrzyli na nas. Spośród służby na zorientowanego w szczegółach dyskusji wyglądał jedynie Harold, stojący niedaleko Lucy, Madelaine i mojej żony, które podniosły się z krzesel, zaniepokojone niebezpiecznym obrotem sprawy. Obok nas, napięci niczym struny skrzypiec, stali Claire i Andrew. Uśmiechnąłem się do Peacheya, uradowany w dwójnasób, że mam przed sobą tak skupioną publiczność. Gramofon kolorował ciszę swoją skoczną melodią.

– Co pan może wiedzieć o moim życiu w tamtych czasach? – zapytał w końcu mój konkurent, z trudem powstrzymując wzburzenie.

Pokręciłem powoli głową, zawiedziony ripostą. Peachey nie mógł się bardziej pomylić. Popełnił błąd nowicjusza: nawet dziecko wie, że odpowiadając pytaniem, całkowicie zdaje się na łaskę inwencji przeciwnika.

– Tylko to, co trzeba, panie Peachey – odparłem spokojnie, bawiąc się trzymanym w dłoni kieliszkiem. – Że pojawił się pan znikąd, dosłownie znikąd, bez nazwiska i grosza przy duszy, by poślubić córkę jednego z najzamożniejszych londyńczyków.

– Co ty insynuujesz? – wtrąciła Claire.

Obróciłem ku niej głowę gestem równie teatralnym, co eleganckim.

– Insynuuję? Niechże mnie Bóg broni! – odparłem, rzucając jej czarujący uśmiech. – Insynuacja bywa zwykle bezużyteczna dla tego, kto się jej dopuszcza, jako że zmusza niewinnego do obrony, winnemu zaś umożliwia bezkarne udawanie, że go to nie dotyczy. Dlatego, moja droga, wolę być uznawany za bezczelnego niż za hipokrytę. Nie żeby mnie obchodziło, co o mnie myślą inni. Po prostu lubię, kiedy wszyscy wiedzą, co myślę ja.

– Och, wiemy doskonale, w jaki sposób wyrażasz swoje zdanie, Charles. Pozwól jednak, że ci przypomnę, iż w tej chwili wypowiadasz się o kimś, o kim nic nie wiesz – zauważyła wyraźnie zdenerwowana Claire. – A sam przed kilkoma zaledwie minutami ostrzegłeś Johna, że wypowiadając się na temat czegoś, czego się nie zna, podejmuje się ryzyko, jak na twój gust zbyt duże, popełnienia błędu i wyjścia na ignoranta.

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

– Ależ ja pierwszy przyznaję się do niewiedzy, Claire! – wykrzyknąłem, rozkładając ręce i wodząc wokół niewinnym spojrzeniem. – Nie kryję się z nią i niczego nie pragnę bardziej niż oświecenia. Najdroższa Claire, zgadywanie, skąd się wziął twój tajemniczy

małżonek, od dwóch lat jest ulubioną rozrywką całego Londynu! Bez przesady mogę powiedzieć, że to najgorętszy temat dyskusji w salonach i klubach od czasu niefortunnej śmierci pana Murraya.

– Myślę, Charles, że wszyscy obecni zgodzą się ze mną, iż między pewnością siebie a bezczelnością przebiega subtelna granica, którą dziś uparcie próbujesz przekroczyć – usłyszałem głos swojej żony, która wprawdzie uważała naszą wzajemną urazę za zbyt poważną, by sobie pozwolić na czuły gest, lecz gdy chodziło o uczynienie mi wymówki, nie miała skrupułów.

– Najdroższa, interesowanie się cudzym życiem bez popadania w bezczelność jest absolutnie niemożliwe – zwróciłem się do niej. – W przeciwnym razie popada się w hipokryzję. Powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek. A może postawisz mnie w niezręcznej sytuacji, zmuszając do przypomnienia ci przed tu obecnymi, że masz najbardziej cięty język ze wszystkich, gdy chodzi o komentowanie tej sprawy za plecami swej drogiej przyjaciółki?

Przyznaję, że strzała, którą jej posłałem, była odrobinę zbyt zatruta, lecz nie zawsze da się odpowiednio odmierzyć ilość jadu. Victoria przygryzła wargę, czym wzbudziła we mnie odrobinę litości, lecz w tamtej chwili byłem święcie przekonany, że nie mogę sobie pozwolić na luksus tego sentymentu.

– Szczęści się pan doskonałym wykształceniem, panie Winslow – wtrącił Peachey, uwalniając się wreszcie spod skrzydeł żony, by stawić mi czoło – lecz najwyraźniej nie wie pan nawet, jak należy traktować własną małżonkę, nie mówiąc już o tym, by ją pan uszczęśliwił tak, jak ja uszczęśliwiłem moją drogą Claire.

Obróciłem się gwałtownie, by odeprzeć atak, lecz celność ciosu tak mnie zaskoczyła, że popełniłem błąd, który sporadycznie może się zdarzyć nawet najlepszemu szermierzowi: odpowiedziałem pytaniem.

– Czyżby? Cóż skłania pański błyskotliwy umysł do takiego wniosku?

Peachey wykorzystał moje potknięcie lepiej, niż mógłbym się po nim spodziewać. Jak lustro odwzajemnił mój uprzejmy uśmiech i rzekł:

– To, że jak wszyscy zauważyliśmy, zostawił ją pan tu samą, by oddać się sprawom, jak mniemam, ważniejszym.

Musiałem zacisnąć pięści, by nie okazać, jak mnie dotknęły te słowa, i muszę przyznać, że podczas udzielania odpowiedzi trudno mi było zachować dotychczasowy spokój.

– Nie wiem, panie Peachey, czy jest pan odpowiednią osobą do oceny wagi moich spraw. Ja przynajmniej mogę zdecydować o tym, co robię lub czego nie robię, mając na względzie swoje uczucie do Victorii, nie zaś strach, jaki mogłoby wywołać rozgniewanie osoby, której zawdzięczam swoją pozycję.

Peachey zacisnął wargi.

– Ośmiela się pan kwestionować moją miłość do żony? – zapytał, nie kryjąc wściekłości.

Uśmiechnąłem się. Nadszedł czas zadania ostatecznego ciosu.

– Nie mógłbym tego uczynić, nie uchybiając godności jednej z najznamienitszych dam w tym mieście, drogi panie Peachey. Proszę jednak nie mieć złudzeń: gdybym ośmielił się zakwestionować pańskie uczucie do naszej drogiej Claire, uznając, że interesowało pana coś innego niż jej liczne zalety, w istocie to pański honor podawałbym w wątpliwość.

Peachey zazgrzytał zębami, z najwyższym trudem powstrzymując gniew, i tylko

prychnął lekko, jak to czynią niektóre zwierzęta.

– Charles – zaprotestowała bohaterka mych słów – nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Droga Claire, wy, kobiety, macie zwyczaj wierzyć w to, co wam pasuje – odparłem, odwracając się do niej, kątem oka zaś przyglądając się, jak Peachey zdejmuje okulary, składa je i chowa do kieszeni marynarki, wszystko to czyniąc pieczołowicie, jakby odprawiał liturgię.

– Proszę się tak nie zwracać do mojej żony, panie Winslow – rzekł spokojnie, sprawdzając, czy okulary są bezpieczne.

Bardziej niż jego słowa rozwścieczyło mnie to, że nawet nie raczył spojrzeć mi w oczy.

– Rozkazujesz mi, John? – zapytałem, uśmiechając się w obliczu zawołowanej groźby i rozkładając ręce w geście zdziwienia.

– Mam nadzieję, że wyraziłem się dość prosto, by nie pozostawić najmniejszych wątpliwości, mój drogi i bezczelny Charlesie – odparł.

Dalej wypadki potoczyły się tak gwałtownie, że nie potrafię ich szczegółowo opisać. Pamiętam jedynie, że nagle Peachey z niewiarygodną szybkością chwycił mnie za prawy nadgarstek i w ułamku sekundy wykręcił mi rękę. Chwilę później coś mnie podcięło i nim zdążyłem zrozumieć, co się dzieje, pokój przechylił się niczym tonący statek, a ja wylądowałem z twarzą wciśniętą w dywan. Peachey przygniótł mnie stopą do ziemi i unieruchomił chwytem, z którego nie sposób było się wysliznąć. Na całą rękę promieniował silny, zapierający dech w piersiach ból.

– Wystarczy, John – usłyszałem stanowczy głos Claire.

Jak ujarzmiona przez głos swojej pani pantera Peachey natychmiast puścił mój nadgarstek i wstał, podczas gdy ja tkwiłem z wtuloną w dywan twarzą, ukrywając przed świadkami upokarzający ból wywołany skurczami ręki.

– Charles – z matczyną niemal łagodnością odezwała się Claire – przyznam ci rację tylko w jednej kwestii: kapitan Shackleton jest bohaterem, człowiekiem wyjątkowym, zdolnym uratować naszą planetę z rąk automatów...

– Claire, proszę... – szepnął jej mąż, drepcząc nerwowo w miejscu o kilka centymetrów od mojej twarzy.

– Nie, John – przerwała mu. – Pan Winslow jest naszym starym przyjacielem i musi być świadom swoich błędów, by móc je naprawić, co zapewne zechce uczynić ze względu na swój honor dżentelmena.

– Ale... – wymamrotał nieśmiało Peachey.

Claire znów zwróciła się do mnie, lecz ja wciąż na nią nie patrzyłem.

– Jednakże, drogi Charlesie, jest więcej rzeczy, które powinieneś wiedzieć o kapitanie. – Nie podnosiłem głowy, przeczuwając, że cokolwiek powie Claire, nie istnieje odpowiedź, która by mnie uratowała.

– Derek Shackleton jest nie tylko wielkim bohaterem. Jest też człowiekiem zdolnym wyrzec się chwały na rzecz ukochanej kobiety i przenieść się w czasie, by z nią być... choćby wymagało to ukrywania się pod postacią szarego dyrektora banku.

Odklepiłem twarz od dywanu z największą godnością, na jaką było mnie stać, i wymamrotałem do jej butów:

– Co ty, u diabła, gadasz, Claire?

Jej głos spłynął na mnie niczym opadające piórko.

– Że twój ulubiony kapitan Shackleton stoi przed tobą.

– Co? – wybelkotałem w oszłomieniu.

Powoli podnosiłem wzrok, najpierw zobaczyłem jego umięśnione nogi, potem talię,

obok której zwisały dwie potężne dłonie, dalej szeroką pierś i wreszcie twarz, z której pod nieobecność okularów patrzyły na mnie duże oczy o głębokim spojrzeniu. Przez czas, który wydał mi się wiecznością, ogłupiały wpatrywałem się w jego spokojne, zdecydowane oblicze, z tej pozycji zdające mi się twarzą olimpijskiego boga. Wreszcie, niczym odbicie wyłaniające się z zaporowanego lustra, na obraz człowieka, który kilka minut wcześniej próbowałem upokorzyć, nałożyło się wspomnienie dzielnego kapitana Shackletona, przyszłego zbawcy rodzaju ludzkiego. Nikt nie wiedział, jak wygląda kapitan, bo hełm zasłaniał wszystko z wyjątkiem podbródka, lecz musiałem przyznać, że był to podbródek równie dumny jak ten. Czyżby Claire mówiła prawdę? Czyżby ten przyziemny, nijaki bankier był wielkim Shackletonem? Wyciągnął do mnie tę samą dłoń, która chwilę wcześniej przyciskała mnie do podłogi. Chwyciłem ją, wciąż nie wierząc, że mam do czynienia z bohaterem, i półprzytomny pozwoliłem się podnieść.

– Kpicie sobie ze mnie – powiedziałem. – Pan nie może być kapitanem Shackletonem.

– Ależ jest nim, Charles – zapewniła Claire, patrząc na mnie z zamyślnym uśmiechem. – Poznałam Dereka przed dwoma laty... Choć tak naprawdę nasze pierwsze spotkanie jeszcze nie nastąpiło, jako że miało miejsce w roku dwutysięcznym... Tak czy owak wszystko zaczęło się podczas jednej z wypraw z biurem Murraya, ale Derek musiał przybyć do naszej epoki, żeby...

– Zaraz, zaraz – próbowałem jej przerwać, nic z tego nie pojmując.

– Wyjaśnię ci to kiedy indziej – odparła, nic sobie nie robiąc z moich próśb. – W każdym razie zakochaliśmy się w sobie. Derek postanowił rzucić wszystko i zostać ze mną w naszych czasach.

– Ale... ale to niemożliwe, Claire – mamrotałem, niezdolny objąć tego rozumem.

– Owszem, Charles, możliwe. Dlaczego mielibyśmy cię okłamywać? – powiedziała, ze szczerą czułością przyglądając się mojej konsternacji. – Mój mąż jest Derekiem Shackletonem, bohaterem z przyszłości, zbawcą rodzaju ludzkiego.

Przeniosłem wzrok na uśmiechniętego skromnie Peacheya. Czy naprawdę miałem przed sobą kapitana Shackletona? Świdrowałem bankiera wzrokiem, oceniając barczystą sylwetkę i wyobrażając ją sobie w zbroi Shackletona, by ostatecznie dojść do wniosku, że wymiary pasują. Szybko przypomniałem sobie, że Peachey pojawił się znikąd w londyńskim świątku wkrótce po tym, jak biuro Murraya zamknęło podwoje, co rzeczywiście zakrawało na osobliwy zbieg okoliczności... Do tego dochodził fakt, że żaden z wytrawnych plotkarzy mimo wielomiesięcznych starań nie zdołał się niczego dowiedzieć o jego przeszłości. Czy właśnie poznałem wyjaśnienie? Czy ten człowiek nie miał przeszłości z prostej przyczyny, że jego przeszłość leżała w naszej przyszłości? Skonfundowany spojrzałem na Claire, a ona odwzajemniła moje spojrzenie z taką szczerością w oczach, że wyzbyłem się wszelkich wątpliwości. Nagle zrozumiałem, że nie kłamie; że nie ma powodu kłamać. Przedemną stał sam kapitan Shackleton, bohater z roku dwutysięcznego. Tak, pomyślałem, czując narastającą euforię. Choć to nieprawdopodobne, Shackleton znajdował się tu, w naszych czasach, do których przeprowadził się z miłości.

– Mój Boże... proszę wybaczyć moją bezczelność, kapitanie. Ja... pańskie przebranie było tak... – Przystałem bełkotać, odkaszlnąłem i skłoniwszy się groteskowo, oznajmiłem: – To dla mnie wielki zaszczyt pana poznać. Proszę pozwolić, że panu podziękuję w imieniu całego rodzaju ludzkiego za uratowanie naszej planety z rąk złowrogich automatów.

– Dziękuję, panie Winslow – odparł z pokorą Shackleton – ale każdy inny na moim miejscu uczyniłby to samo.

– Och, doskonale pan wie, że nie. – Uśmiechnąłem się, rozbawiony jego skromnością. – Ja na przykład bym tego nie zrobił.

Przez kilka następnych sekund przyglądałem mu się w zachwycie, uświadamiając sobie, że za moimi plecami narasta zdumiony pomruk. Andrew chyba nawet powiedział coś do mnie, lecz tego nie dosłyszałem, bo cała moja uwaga skupiona była na kapitanie. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że Shackleton żył wśród nas od dwóch lat, schowany za fasadą szarego człowieczka, dzień po dniu zmuszając się do ukrywania faktu, że jest zbawcą ludzkiej rasy, udawania, że nie wie, co kryje przyszłość. A przecież to z niej przybył. Z czasów, które dla nas jeszcze nie zaistniały. Przemierzył lata, by móc dzielić życie z Claire Haggerty. Nieważne zresztą, co nim kierowało, pomyślałem niespodziewanie: liczy się to, że teraz jest wśród nas, w mieście nękanym niemożliwą inwazją, którą ktoś musi stłumić. Tym kimś mógł być tylko on.

Wszystkie fragmenty układanki nagle stworzyły kształt tak wyraźny i oczywisty, że omal nie zemdląłem z wrażenia.

– Pańska obecność w naszej epoce – oznajmiłem w euforii – może oznaczać jedynie, że to pan nas uratuje. Pan zapobiegnie rozprzestrzenieniu się inwazji. Tak, to dlatego pan tu jest! Nie może być inaczej.

Peachey z rozbawieniem potrząsnął głową.

– Nie, Charles – przerwała mi Claire. – Derek jest tutaj, bo mnie kocha.

Kiedy mężczyzna kocha kobietę, zrobi dla niej wszystko z wyjątkiem wytrwania w tej miłości, napisał dla potomnych Oscar Wilde, a każdy obeznany z tematem mężczyzna mógł to potwierdzić. Nie, miłość nie mogła być prawdziwym powodem obecności Shackletona w naszej epoce. Przybył tu z przyczyn znacznie ważniejszych niż ten ulotny sentyment. Przybył tu, bo tak chciało przeznaczenie. To on był ostatnią niewiadomą mojego równania, wyczekiwany bohaterem. Jego odwaga i inteligencja znane były aż nazbyt dobrze; nie na próżno już raz uratował tę planetę, choć z chronologicznego punktu widzenia dopiero miał to zrobić. Tylko on był w tych sprawach dość doświadczony, by pokonać Marsjan, tak jak to uczynił z automatami. Tylko on. I dlatego tu przybył.

– Oczywiście, Claire. Oczywiście, że jest tu z miłości do ciebie – przytaknąłem. – Nie wolno nam jednak zapominać, że kapitan Shackleton to bohater, a teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy bohatera.

– Dziękuję za zaufanie, panie Winslow, ale już powiedziałem, że w takiej sytuacji jeden człowiek nic nie poradzi – wtrącił Shackleton.

– Pan nie jest zwykłym człowiekiem, kapitanie – upierałem się.

Westchnął i potrząsnął głową. Zdumiewała mnie jego skromność.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu wsparcia, pewien, że je otrzymam, lecz z niesmakiem odkryłem, że pozostali nie wyglądają na przekonanych do mojej wersji. Służący gapili się na mnie cielejącym wzrokiem, najwyraźniej nie nadążając za tą sekwencją niewiarygodnych zdarzeń: marsjańska inwazja, upadek potężnego imperium, obecność w ich skromnym saloniku bohatera z przyszłości, który w naszych czasach jeszcze się nie narodził... Wszystko to zmieniło ich w słup soli, lecz trudno się dziwić tym prostaczkom, że sytuacja ich przerosła. Znacznie bardziej zawiodłem się na własnej żonie, która stała ze zbolaną miną, wyraźnie dając do zrozumienia, że nawet marsjańska inwazja nie jest tak straszna jak znoszenie ekstrawagancji własnego małżonka. A co z

kuzynem i jego uroczą żoneczką? Andrew i Madelaine wyglądali na całkowicie skonsternowanych i absolutnie niezdolnych do udzielenia mi choć krzty wsparcia. Czyżby nikt w tym pokoju nie rozumiał tego co ja?

Zrozpaczony przeniosłem wzrok z powrotem na Shackletona.

– Kapitanie, na własne oczy widziałem, jak pokonał pan w pojedynku wodza automatów – nalegałem. – Jest pan zbawcą ludzkości! Nie mógł pan tu trafić w żadnym innym celu jak tylko po to, by ponownie przyjść nam z odsieczą.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić – mruknął Shackleton, jakby nie potrafił do reszty zrzucić przebrania i wciąż odgrywał rolę dyrektora banku odmawiającego kredytu któremuś z klientów.

– Ależ może pan! – wykrzyknąłem i spojrzałem na kuzyna w poszukiwaniu wsparcia.

– Czy można w to wątpić, Andrew? Obaj widzieliśmy, jak pokonał Salomona. A teraz, gdy najbardziej go potrzebujemy, jest tutaj. Nie wydaje ci się, że to niewiarygodny przypadek? Do diaska, powiedzże coś!

– N...nie wiem, co twoim zdaniem miałyby zrobić pan Peachey – wymamrotał Andrew. – To znaczy pan Shackleton...

– Pański kuzyn ma rację, panie Winslow – poparł go kapitan. – Kiedy walczyłem z Salomonem, nie byłem sam. Miałem swoich ludzi, potężną broń...

– Więc pojedźmy do roku dwutysięcznego i przywieźmy to wszystko! – zaproponowałem. – Tak, udajmy się w przeszłość po pańskich ludzi i pańską broń, a potem roznieśmy tych przeklętych Marsjan!

– Jak? – zapytał Shackleton, wzruszając ramionami.

– Co? – zdziwiłem się.

– Jak mamy się udać w przyszłość? – powtórzył, a ja wbilem w niego ogłupiały wzrok.

– Nie wiem – przyznałem. – Myślałem, że... a jak pan tu przybył z przyszłości, kapitanie?

– W tym problem, Charles – wtrąciła Claire. – Derek przybył w pojeździe, który następnie został zniszczony.

Zdumiały mnie jej słowa, gdyż nie sądziłem, że istnieje inny pojazd do podróżowania w czasie niż „Cronotilus”, choć powinienem rozumieć, że w przyszłości, z której przybył Shackleton, coś takiego jest wielce prawdopodobne. Tak czy owak, skoro ten pojazd uległ zniszczeniu, na nic by się nam nie przydał. Pozostawał tylko jeden sposób.

– Jedźmy więc do Podróży w Czasie i użyjmy „Cronotilusa”! – wykrzyknąłem triumfalnie.

– Przecież Podróże w Czasie zamknięto przed dwoma laty, zaraz po śmierci pana Murraya! – przypomniał mi Shackleton.

Oczywiście nie musiał tego robić. Byłem w pełni świadom, że po tragicznym zgonie właściciela biuro zamknęło podwoje.

– Wiem, wiem. Ale jak pan sądzi, co się stało z dziurą prowadzącą przez czwarty wymiar do roku dwutysięcznego? Nadal jest otwarta?

– Nie sądzę – ze zdumiewającą pewnością odparł Shackleton.

Przyglądałem mu się badawczo, rozmyślając, jak by tu przełamać jego niechęć.

– A ja sądzę. Jestem wręcz przekonany, że możemy się przenieść w przyszłość tą drogą. Nie mamy innego wyjścia, rozumie pan, kapitanie? W przyszłości, z której pan pochodzi, nie ma śladu po Marsjanach, co oznacza, że w nieznanym mi jeszcze sposób zdołamy ich pokonać. Inaczej nigdy nie zobaczylibyśmy takiej przyszłości, jaką

widzieliśmy.

– Znów powiodłem wzrokiem po zebranych i wydało mi się, że dostrzegam na twarzach mego kuzyna i jego małżonki, a może nawet Harolda i niektórych służących, leciutki uśmiech zrozumienia. To dodało mi entuzjazmu. – Wreszcie to do was dotarło! Pojedziemy do biura Murraya, przeniesiemy się w przyszłość i pokonamy Marsjan. Wiecie, dlaczego nam się uda? Bo już to zrobiliśmy!

– Nie możemy być pewni, że to ja położę kres inwazji – upierał się Shackleton. – Może z odsieczą przyjdzie nam jakiś ościenny kraj albo coś jeszcze innego...

Rozejrzał się w poszukiwaniu aprobaty, lecz jego dalszą wypowiedź zagłuszył zbiorowy pomruk zachwytu. Moje entuzjastyczne słowa i proste wyjaśnienie skomplikowanej kwestii wywarły na zebranych większe wrażenie niż nieporadne tłumaczenia kapitana. Kilkoro ze służących jak w transie postąpiło ku niemu, oczarowanych, że mają w swoich skromnych progach wielkiego bohatera, który uratuje ludzkość przed wyginięciem, wcześniej pokonując Marsjan i niszcząc ich potężne maszyny równające z ziemią ich miasto.

– Może on ma rację, Derek? – zwróciła się do męża Claire. – Może nie znalazłeś się tu tylko dlatego, że mnie kochasz? A jeśli istnieje jeszcze jeden powód twojej obecności?

– Claire... – zaprotestował kapitan.

Pogłaskała go po rękę.

– Myślę, że powinieneś spróbować – nalegała z błaganiem w oczach.

W milczeniu odwzajemnił jej spojrzenie, a wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu na decyzję bohatera.

– Dobrze, Claire – rzekł w końcu. – Spróbuję.

– Wspaniale! – wykrzyknąłem w zachwycie, a zebrani zaczęli wiwatować, niekiedy nawet obejmując się triumfalnie. – Jedziemy do roku dwutysięcznego!

Zauważyłem, że Harold ukradkiem ociera łzy, a służba radośnie poklepuje się po plecach, jakby wygrała najważniejszy mecz w sezonie. Tylko moja żona wciąż marszczyła brwi, nic sobie nie robiąc z powszechnego zachwytu.

– Pojadę z wami – wtrącił podekscytowany Andrew.

– Nie, kuzynie – odparłem z uśmiechem. – Tylko kapitan i ja. Samo wyjście na zewnątrz jest niebezpieczne. Nie zapominaj, że kapitan odgrywa w tym spektaklu kluczową rolę: to on musi powstrzymać inwazję, a przyszłość pokazuje, że tego dokona, więc siłą rzeczy nie może zginąć, póki tego nie zrobi. Nie znaczy to jednak, że jego towarzysze także są niezniszczalni. Zostań zatem i opiekuj się kobietami, Andrew. Jestem przekonany, że uroczę siostrzyczki Keller nie zniosłyby zostania wdowami w tym samym czasie – zażartowałem. Kuzyn próbował protestować, lecz powstrzymałem go pojednawczym gestem. Potem zwróciłem się do woźnicy: – Haroldzie, przygotuj powóz.

Harold zerknął ukradkiem na Andrew, a ten skinął głową.

– Za pięć minut powóz będzie gotów, panie Winslow – rzekł woźnica.

– Za dwie – poprawiłem z uśmiechem.

Kiedy wyszedł, kapitan i ja – uczestnicy szalonej, a przecież skazanej na sukces misji – zaczęliśmy się żegnać z tymi, którzy mieli pozostać w piwnicy. Claire błagała Shackletona o ostrożność, a ja poprosiłem Andrew, by się troszczył o wszystkich jak tylko potrafi. Victoria nawet do mnie nie podeszła: pokręciła jedynie głową, rozczarowana, a ja wzruszyłem ramionami. Tak się rozstaliśmy. Ona nie rozumiała, że próbuję uratować Ziemię; ja nie miałem pojęcia, że więcej jej nie zobaczę. Chociaż czy zachowalibyśmy się inaczej, gdybyśmy to wiedzieli?

XXXII

Dmuchał leciutko na ostatni akapit, by wysuszyć atrament. Potem zamknął zeszyt, położył na nim pióro i patrzył na nie niewidzącym wzrokiem. Minęły dwa lata, odkąd po raz ostatni widział żonę, i bardziej niż cokolwiek bolała go świadomość, że tamtego dnia uniósł się honorem i nie pożegnał jej romantycznym pocałunkiem w usta, którego wymagały okoliczności, a gdyby na to zabrakło mu odwagi, to choćby mniej lub bardziej czułym, mniej lub bardziej szczerym uściskiem.

Kiedy tak siedział, usłyszał trzask obręczy ściskającej mu gardło i niemal natychmiast poczuł znajome łaskotanie, które zdawało się zaczynać dokładnie w miejscu, gdzie obręcz wpijała się w skórę jak kleszcz za pomocą cieniutkich macek: mniej więcej na wysokości czwartego kręgu szyjnego. Kilka sekund później ciarki rozprzestrzeniły się na cały kręgosłup niczym strumień gorącej lawy, paląc kości i dopiero po dotarciu do stóp rozładowując się w serii silnych skurczów. Charles zacisnął zęby, czekając, aż tortury przeminą, jak co dnia pozostawiając po sobie ból brzucha, osłabienie ciała i drżenie nóg. Na szczęście wyładowanie trwało zaledwie kilka sekund i zdążył już niemal doń przywyknąć. Choć początkowo miał wrażenie, że ten ognisty podmuch stopi mu szpik lub wnętrzości, w istocie skończyło się na kilku pękniętych wskutek zaciskania zębach i odrobinie wstydu, który miał mu towarzyszyć do śmierci, jako że więcej niż raz puściły mu zwieracze i musiał iść do pracy z upokarzającym balastem w pasiastych spodniach.

Tymi niepotrzebnymi fanfarami obręcz obwieszczała mu, że może już opuścić celę. Gdy skurcze minęły, Charles wstał i ukrył zeszyt pod materacem, gratulując sobie, że zdążył zanotować pierwszą część historii. Wyszedł z nory rozczochrany, udając, że dopiero co się zbudził.

Jego cela była jednym z najwyższych położonych sześcianów w wielkiej metalowej konstrukcji, dzięki czemu z wąskiej platformy, na którą wylewali się zaspani więźniowie z jego piętra, można było podziwiać panoramę całego marsjańskiego obozu. Charles dał sobie kilka sekund na przyjrzenie się miejscu, w którym miał doczekać kresu swych dni; scenarii, która w wyniku niedostrzegalnych gołym okiem zmian z każdym dniem stawała mu się bardziej obca. Ogromna piramida pośrodku, choć jeszcze niegotowa, już porażała ogromem. Teraz, gdy wschodzące słońce wyglądało zza jednej ze ścian i odbijało się od chromowanej powierzchni pomarańczowymi promieniami, wydawała się wręcz piękna. Charles wiedział jednak, że ta ogromna budowla posłuży potwornym celom. Od kilku miesięcy najniższe poziomy piramidy obiegały poziome zielonkawe, brzęczące promienie. Budowla była tak szeroka, że obiegnięcie jej zajmowało im godziny, a jeśli któryś z robotników akurat pracował w pobliżu, gdy owa fosforescencja uderzała w chromowaną ścianę, czuł w płucach silny ból wywołujący atak kaszlu. Czymkolwiek była ta gigantyczna piramida, miała coś wspólnego z przeobrażaniem ziemskiej atmosfery, i już zaczęła to robić. Za nią znajdowały się skupiska okropnych marsjańskich domków – jasnoróżowych bulw, z dachów których wystawały rury zrobione z czegoś przypominającego zaskakująco giętkie szkło i spływały po ścianach jak śliskie macki, przez co całe budowle wyglądały jak ogromne odwrócone meduzy. Rury ciągnęły się po podłożu w stronę piramidy i w pewnej odległości od skupiska domków zagrzebywały się w ziemi. Na lewo od obozu, niedaleko domków, ziała ogromna dziura w kształcie leja. Wrzucano tam ludzkie zwłoki, które staczały się powoli po jej pochyłych brzegach, by na końcu zostać wessane przez wąski otwór. Do tej potwornej studni wpadały jednak nie tylko trupy. Jeśli Marsjanie uznali, że któryś z więźniów z jakiegoś powodu zasługuje na

karę albo jeśli miał nieszczęście rozchorować się w stopniu uniemożliwiającym pracę, obręcz na szyi wydawała zgrzyt, a po nim nieszczęśnik zaczynał iść w stronę leja, niezdolny temu zapobiec, niczym marionetka na niewidzialnych sznurkach, by ostatecznie zacząć spadać, zrazu wolno, a potem coraz szybciej, aż malał w głębi i wreszcie z mrozącym krew w żyłach wyciem znikał w wąskim otworze.

Charles wzdrygnął się i oderwał wzrok od leja. Nie było dnia, w którym ta przekłeta dziura nie pochłonięłaby jednego z nich, żywego czy martwego. Jak zawsze zadał sobie pytanie, kiedy nadejdzie jego kolej, czy w jakimś momencie obręcz nie przejmie kontroli nad jego nogami i nie zmusi go do pójścia w tamtą stronę w sposób, który można by uznać za dobrowolny, gdyby nie malująca się na twarzy groza.

Przeniósł wzrok na horyzont. Choć na pierwszy rzut oka obóz nie wydawał się ogrodzony i każdy mógłby spróbować ucieczki, w istocie otaczał go niewidzialny mur. Nikt dokładnie nie wiedział, w którym miejscu przebiega śmiertelna bariera, lecz jeśli ktoś miał czelność oddalić się zbyt daleko od centrum obozu, obręcz na szyi zaczynała się nagle zaciskać, uniemożliwiając oddychanie i zmuszając do szybkiego powrotu. Oczywiście nie przeszkadzało to niektórym desperatom zapominać o barierze lub sądzić, że zdołają ją pokonać, nim obręcz się zaciśnie, ale w ciągu tych dwóch nieznośnie długich lat Charles nigdy nie był świadkiem takiego zdarzenia. On sam nawet nie próbował uciekać. Dokąd miałby się udać, skoro cały świat był jednym wielkim więzieniem? O ile bowiem wiedział, nigdzie nie pozostał ślad wysnionego przezeń oporu. I wystarczyło jedno spojrzenie na idących szeregiem do pracy niewolników, by wiedzieć, że tutaj również nie ma co liczyć na jakikolwiek bunt.

Zszedłszy po schodach, wraz z pozostałymi więźniami oddalał się od wieżowca, który widziany z dołu przypominał olbrzymi, przewrócony na bok metalowy kontener. Jak co rano szli w kierunku bliźniaczych automatów z jedzeniem stojących nad brzegiem leja. Wyglądały niemal tak, jakby z niego wyrastały, więc naiwnością byłoby sądzić, że ich położenie jest przypadkowe, choć Charles już dawno zabronił sobie snuć przerażające przypuszczenia. Ktoś o bujnej wyobraźni mógłby powiedzieć, że maszyny wyglądają jak kilkumetrowej wysokości grzyby. Wieńczyło je coś w rodzaju kapeluszy pokrytych lśniącymi łuskami, a za łodygę służył długi walec, tak wąski, że człowiek mógłby go objąć rękoma. Jakby tego podobieństwa było za mało, posiadały metalowe korzenie wyrastające z ziemi o zaledwie kilka centymetrów od skraju leja, z których co najmniej tuzin wspinał się po łodydze niczym metalowe pnącze. Druty owe, wyposażone w setki maleńkich węzłów, oscylowały w powietrzu w połowie wysokości grzybów i kończyły się czymś w rodzaju zębatego ust. Kiedy więźniowie podsuwali miski pod te groteskowe krany przywodzące na myśl drapieżne rośliny, macka wibrowała lekko, po czym wyrzygiwała zielonkawą papkę służącą im za posiłek.

Po kilku minutach stania w kolejce Charles wypełnił miskę, po czym usiadł na samotnym kamieniu i szybko pakował do ust łyżkę po łyżce, by nie zdążyć poczuć smaku. Był to jedyny znany mu sposób na uniknięcie zwymiotowania wyprodukowanych przez Marsjan pomyj. Jadł jedynie dlatego, że zaczął pisać dziennik i nie chciał, żeby śmierć zaskoczyła go przed jego ukończeniem. Zmuszając się do przełknięcia ohydnej papki, powiódł wokół zmęczonym wzrokiem, lecz nie dostrzegł Shackletona ani w żadnej z grup, ani jedzącego w samotności. Pomyślał więc, że zabrano go do obozu kobiet, by zapładniał swoim zdrowym jeszcze nasieniem ich łona.

Na zjedzenie śniadania mieli zaledwie kilka minut. Potem Marsjanie pędzili ich do pracy przy budowie urządzenia przetwarzającego atmosferę. Charles wylizał miskę i

wrzucił ją do odpowiedniego zlewu, po czym ruszył ku piramidzie, przyglądając się obserwującym ich ruchy strażnikom z czymś na kształt lekkiej urazy. Choć częściowo ukryci za mającymi filtrować ziemskie powietrze maskami z miedzianych płyt powiązanych sznurkami, zasłaniającymi twarze i nozdrza, po obozie zwykle poruszali się w ludzkich ciałach. Uważał to za urocze, dopóki ktoś mu nie powiedział, że Marsjanom chodzi nie o to, by ich nie straszyć, tylko o to, by byli rozumiani, gdy wydają rozkazy i rzucają obelgi.

Tego dnia pracował na jednym z górnych pięter piramidy, wraz z tuzinem innych więźniów nosząc długie i ciężkie stalowe pręty. Harował bez wytchnienia, wyjąwszy chwile, w których atak kaszlu zmuszał go do oddalenia się od grupy, by splamić ziemię odrobiną zielonkawej krwi. Gdy to się działo, współwięźniowie zerkali nań współczująco lub obojętnie, a on nie potrafił czuć wobec nich niczego z wyjątkiem głębokiej pogardy. Uważał się za innego od pozostałych, lecz nie dlatego, że pochodził z wyższej warstwy społecznej. Dwa lata niewoli wystarczyły, by zrównać bogaczy z biedakami, czyniąc z nich stado pokonanych, cuchnących istot różniących się jedynie manierami, a czasem nawet nie tym, jako że rozmowy wyczerpanych ludzi coraz częściej zastępowało milczenie, monosylaby i stękania. Jeśli Charles czuł się inny, to dlatego, że nie schwytano go na ulicy, jak większość pozostałych, a o tym, co właściwie się dzieje, wiedział nie tylko z kursujących w obozie pogłosek. Nie: zanim go tu zamknięto, należał do grupy śmiazków dowodzonej przez bohaterskiego kapitana Shackletona, która – choć teraz wydawało się to snem – w pewnym momencie bliska była zabicia głównodowodzącego Marsjanina.

Wydobycie tamtych zdarzeń z najgłębszych odmętów pamięci, zarówno w wymuszonych przerwach od pracy, jak i wieczorem, gdy wracał do celi po wyczerpującym dniu, wymagało ogromnej koncentracji.

Do zachodu słońca została ledwie godzina, więc mimo przemęczenia i mdłości wyjął spod materaca dziennik i pisał dalej, rozwijając kłębek wspomnień, który przechowywał na samym dnie pamięci.

DZIENNIK CHARLESA WINSŁOWA

13 lutego 1900 r.

Kiedy wyruszyliśmy, na ulicy panował spokój. Podobnie było na sąsiedniej Exhibition Road, w którą skręciliśmy. Najwyraźniej trójnogi nie dotarły jeszcze na Queen's Gate, co przyjąłem z ogromną ulgą nie tylko dlatego, że nasi najbliżsi pozostawali bezpieczni, lecz przede wszystkim dlatego, że nie pałałem chęcią do ponownego spotkania z potwornymi machinami mimo towarzystwa dzielnego kapitana Shackletona, którego ukradkiem obserwowałem. Siedział z zaciśniętymi ustami, pogrążony w myślach. Nad czym tak dumał? Czy robił przegląd znanych sobie taktyk, by wybrać tę najwłaściwszą? To niesamowite, jak łatwo ulegamy sugestii, pomyślałem: siedzący obok mnie człowiek był tym samym nudziarzem, który zaledwie kilka minut wcześniej wywoływał we mnie ogromną niechęć. Teraz, wiedząc, że mam do czynienia z wielkim kapitanem Shackletonem, postrzegalem go jako bohatera, a to, co wcześniej uważałem za nieśmiałość, jako powagę wywołującą w każdym, kto na niego spojrzał, niepohamowane pragnienie podążenia za nim nawet do samych bram piekła. Ten człowiek już raz uczynił cud. Był legendą. W dodatku legendą uzbrojoną, jako że przed wyjściem zaopatrzył się przezornie w trzy rewolwery pożyczone z kolekcji mego wuja: colta dla siebie,

remingtona dla Harolda i Smitha & Wesson dla mnie, dzięki czemu udawaliśmy się na misję z bronią za pasem i kilkoma paczkami amunicji w kieszeniach marynarek. Byłem świadom, że odgrywam w tym wielkim przedsięwzięciu skromną rolę giermka, lecz choć paraliżował mnie strach, wierzyłem w zwycięstwo: moje spotkanie z Shackletonem musiało być dziełem opatrności, bo gdyby nie ja, kapitan nigdy by nie pomyślał, że to on powinien pokonać Marsjan. Nie wierząc w zbieg okoliczności, pojąłem, że to los nas prowadzi; że wszystko, co robimy pozornie z własnej woli i bez namysłu, w istocie zostało zaplanowane przez Stwórcę na długo przed naszymi narodzinami.

Powóz powoli i rytmicznie przejechał wzdłuż Hyde Parku i ruszył przez Piccadilly w kierunku Soho. Z ulgą odnotowałem, że na razie panuje tam spokój. Jedynie z oddali dobiegały nieprzerwane eksplozje, którym wtórowało patetyczne bicie dzwonów. Ponieważ londyńczycy schronili się w domach, ulice były niemal puste. Wkrótce po wjechaniu w nienaruszoną Shaftesbury Avenue natknęliśmy się na tłum przerażonych ludzi uciekających w przeciwnym kierunku. Był to ten sam amalgamat społeczny, który mnie wessał podczas ucieczki w stronę Tamizy: obdarci żebracy biegli obok eleganckich dżentelmenów, połączeni identycznym wyrazem trwogi na twarzach. Przez okienka powozu zauważyliśmy, że niektórzy z uciekinierów uskakujących przed jadącymi w tę samą stronę pojazdami mają na ubraniach krwawe plamy. Stało się jasne, że zmierzamy prosto na spotkanie z trójnogiem. Zakląłem pod nosem, szukając wzrokiem jakiejś bocznej uliczki, w którą moglibyśmy czmychnąć, lecz wszystkie były zablokowane przez gruzy i skupiska zdezorientowanych ludzi. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko jechać trójnogowi naprzeciw, co wcale nie zniechęciło Harolda, który wciąż poganiał konie, z najwyższym trudem unikając zderzenia z licznymi powozami mknącymi w przeciwną stronę. W miarę narastania huku Shackleton stawał się coraz bardziej nerwowy, a i ja, zarażony jego nastrojem, wyprostowałem się jak struna, mocno ściskając w rękę chwyt rewolweru i czując, jak serce kołacze mi w piersi. W odróżnieniu od moich towarzyszy miałem już okazję widzieć pokaz marsjańskiej siły i wątpiłem, czy ujdziemy z życiem ze spotkania, ku któremu tak nieubłaganie podążaliśmy.

W końcu go zobaczyliśmy. Pośrodku alei, mocno oparty o ziemię swymi trzema nogami, stał wehikuł, który wywołał tę szaleńczą ucieczkę. Kołysał się leciutko, silny i pewny siebie, a za nim, niczym szereg przeżartych próchnicą zębów, rysował się rząd na wpół zburzonych budynków. Shackleton, podobnie jak ja, gdy go ujrzałem po raz pierwszy, wydawał się wstrząśnięty rozmiarami trójnogu. Nagle jedna z macek strzeliła ogniem, który uderzył w grupę uciekających ludzi, w mgnieniu oka zmieniając ją w kukły z popiołu.

– Boże jedyny... – wymamrotał Shackleton.

Przekonawszy się, co potrafią Marsjanie, Harold natychmiast spuścił z tonu i pospiesznie zawrócił konie, by pognać w przeciwnym kierunku. Niestety przed nami utworzył się już korek, utknęliśmy więc bez szans na wydostanie się. Powozy, dorożki i małe kabriolety walczyły o uwolnienie się z tej plątaniny, lecz nam wystarczył rzut oka, by wiedzieć, że to próżny trud. Nim zdążą uciec, trójnog i tak ich dosięgnie, a nas razem z nimi. Wkrótce zmienimy się w kupkę popiołu na gruzach. Zdruzgotany Harold opuścił bicz, nie mając pojęcia, co robić. Shackleton i ja spuściliśmy głowy, a trójnog zrobił krok w stronę blokującej ulicę kotłowniny, wskutek czego ziemia pod nami zafalowała jak grzbiet wyprężonego kota. Chciałem podnieść rewolwer, lecz zaraz porzuciłem ten zamiar. I tak nie zrobiłbym krzywdy marsjańskiej maszynie.

– Zostawmy powóz i uciekajmy pieszo! – zawołałem do Shackletona, który jak

zahipnotyzowany wpatrywał się w kroczący powoli pojazd.

Kapitan pokręcił głową i ku naszemu zdumieniu ruszył biegiem w przeciwną stronę. Oniemiały patrzyłem, jak pędzi ku maszynie, która nawet się nie zorientowała, że pomiędzy mrowia uciekinierów wyłoniła się i zmierza ku niej jakaś postać. Dopiero kiedy tłum się przed nim rozstał, kapitan ukazał się Marsjaninowi. Wyteżalem wzrok, starając się pojąć, co – u licha – próbuje osiągnąć, i przyszło mi do głowy tylko jedno: chce przebiec między nogami pojazdu, by uciec w przeciwnym kierunku, zapominając o nas wszystkich. Ale który bohater ratuje własną skórę, nie troszcząc się o towarzyszy? Gdy znajdował się tuż przed trójnogiem, pozornie zmienił zdanie i zamiast przebiec pomiędzy jego nogami, skręcił w prawo i chciał go ominąć. Macka przestała celować w kłębiący się tłum i oscylując w powietrzu, śledziła nieprzewidywalne ruchy kapitana. Ze swego miejsca, w którym dzielnie walczyłem o to, by nie zostać stratowany przez przepychającą się między powozami horde, widziałem, jak marsjański pojazd spycha Shackletona ku prawdopodobnie administracyjnemu budynkowi o pięknej neoklasyczej fasadzie i wejściu składającym się z kilku wdzięcznych luków wspartych na kolumnach.

Wraz z garścią ciekawskich, którzy wstrzymali ucieczkę, by obserwować coś, co wyglądało na samobójczy krok szaleńca, patrzyłem na kapitana, który stał jak wryty, kontemplując ruchy macki niby taniec kobry. W końcu ta zatrzymała się o kilka metrów od niego, by sekundę później wystrzelić w jego stronę. Już położyłem na nim krzyżyk, lecz w ostatniej chwili Shackleton jakby się ocknął i gwałtownie uskoczył, a promień uderzył w kolumnę za jego plecami, rozrzucając odłamki na wszystkie strony. Fasada budynku zdrzała niepokojąco i pokryła się zygzakowatymi szczelinami. Przez kurtynę dymu zobaczyłem, jak kapitan wstaje, by kontynuować ucieczkę. Trójnóg jednak ani myślał go wypuścić. Wyprostował się na długich łapach i znów wystrzelił. Shackleton rzucił się na ziemię, a promień uderzył w kolejną kolumnę, posyłając w powietrze deszcz odłamków. Sekundę później kapitan wstał i co sił w nogach począł się oddalać od trójnogu, ale ten znów doń wystrzelił i zniszczył kolejne kolumny jak ktoś, kto jednym uderzeniem siekiery ścina cały las, próbując dopaść nieuchwytną ofiarę. Straciwszy kilka punktów oparcia, budynek z ogłuszającym hałasem zaczął się walić. Shackleton zatrzymał się pod ostatnim lukiem i mógł tylko patrzeć, jak ogromna budowla spada na niego i na ulicę. Nim Marsjanin zdążył pojąć, co się dzieje, porwała go lawina gruzów. Trójnóg się zakołysał, a pozbawiona kontroli macka zamiatała ulicę ognistym snopem, niszcząc fasady większości okolicznych domów. Ta nagła, chaotyczna destrukcja zaowocowała śmiertelnie deszczem gruzów, belek, cegieł i sztukaterii, uderzającym w nas z najbardziej niespodziewanych kierunków. Harold i ja zdołaliśmy się ukryć za swoim powozem, który mimo przyjęcia wielu ciosów utrzymał się na kołach, ale inni mieli mniej szczęścia: z przerażeniem patrzyliśmy, jak ciężki gargulec spadający nie wiadomo skąd rozdziera dach jednego z pojazdów i brutalnie miażdży pasażerów – przerażone małżeństwo, które nie zdążyło się nawet chwycić za ręce. Po tym krótkim potopie nastąpiła grobowa cisza, zmacona jedynie niestrudzenie bijącymi dzwonami.

Kaszląc, usiłowałem coś dostrzec przez spowijający ulicę gęsty pył. Gdy ten począł rzednąć, z ulgą spostrzegłem, że nic nam nie grozi: trójnóg zniknął pod hałdą gruzów. Niestety, ten sam los spotkał Shackletona. Zdenerwowany przyglądałem się ogromnemu dymiącemu kurhanowi, z którego na kształt makabrycznego krzyża wystawały nogi maszyny. Tu leży pogrzebany zbawca ludzkości, pomyślałem wstrząśnięty i dezorientowany, nie mając pojęcia, co myśleć o tym niespodziewanym zdarzeniu, które przewróciło do góry nogami całe moje rozumowanie.

Niebem nad naszymi głowami wstrząsała muzyka dzwonów i odległe eksplozje, lecz prowizoryczny grobowiec wciąż spowijała cisza. Ktoś zaproponował modlitwę, jednak większość nielicznych ocalałych była zbyt oszołomiona, by się przyłączyć. Nagle posłyszeliśmy stukot i zobaczyliśmy, jak ze szczytu kurhanu stacza się kamień. Wbiliśmy badawcze spojrzenie w stertę gruzów, która zaczynała się ruszać, lecz nogi maszyny wciąż były bezwładne. Po pierwszym kamyku spadły kolejne dwa, a po nich dalsze i potoczyły się po zboczu kurhanu niczym niewielka lawina. Potem czyjaś ręka odsunęła ogromny kamień, a ten powoli spadł w ślad za tamtymi, i wreszcie, jakby z wielkim trudem wydobywał się z kamiennego brzucha, spod gruzów wyostał się – jakimś cudem cały i zdrowy – Shackleton.

Wpatrywałem się weń, nie mogąc uwierzyć swemu szczęściu. Boże... to było nieprawdopodobne! Kapitan przeżył! Po kilku sekundach świadkowie ocknęli się z otępienia i zgotowali mu owację. Kilku śmiazków i ja podeszliśmy bliżej hałdy gruzów. Zachodziłem w głowę, jak kapitanowi udało się uniknąć zmiżdżenia, ale spojrzawszy z bliska na kamienny kurhan, pojąłem wszystko: łuk utworzył niszę, która niczym matka przygarnęła bohatera do łona i ochroniła. Wszystko wokół przysypały kamienie, a on przetrwał w bezpiecznej bańce jak ptaszek w gnieździe.

Ocalona garstka w euforii otoczyła grobowiec, a ja z zadowoleniem przyłączyłem się do świętowania, równie jak pozostali zachwycony wyczynem kapitana, ostatecznie rozpraszającym wszelkie wątpliwości, jakie mógłbym jeszcze żywić co do jego osoby. Ze szczytu piramidy Shackleton pozdrowił nas drżącą dłonią, po czym zaczął powoli schodzić, otrzepując garnitur z pyłu. Zataczając się lekko, ruszył w stronę powozu, odprowadzany przez sznur wielbicieli, którzy koniecznie chcieli ucisnąć mu dłoń lub wręcz entuzjastycznie poklepywali go po plecach, czym wzniecali coraz to nowe tumany pyłu, jakby pod marynarką bohatera krył się silnik parowy. W końcu kapitan dotarł do powozu, wsiadł i pożegnał wielbicieli nieśmiałym gestem. Wyglądał na spiętego. Usiadłem obok niego, zachwycony, a zarazem nieco zawstydzony własnymi podejrzeniami.

Jak mogłem pomyśleć, że chciał nas porzucić na pastwę losu? Nic bardziej błędnego! Gdy wszyscy rozpaczliwie szukaliśmy ucieczki, on swoim nowoczesnym umysłem przeanalizował sytuację: znalazł słaby punkt trójnogu, szybkim spojrzeniem omiół ulicę i najbliższe budynki, wybrał ten, który utrzymywało pół tuzina kolumn, i wiedząc, że w przypadku zniszczenia ich przez snop ognia budynek się zawali, postanowił do tego doprowadzić, a samemu schronić się pod ostatnim lukiem. Shackleton posiadał jednak nie tylko umysł doskonałego stratega, lecz także odwagę potrzebną do realizacji tak niebezpiecznego planu, wymyślonego naprędce w ciągu kilku sekund i wymagającego narażenia własnego życia, by uratować nasze. Nawykły do takiego ryzyka, bez sekundy wahania wprowadził plan w życie, wykazując się zwinnością i doskonałą kondycją fizyczną – bo przecież to, co początkowo wziąłem za niezdarne tarzanie się po ziemi, było w istocie przemyślanymi ruchami pantery.

– Niech pan przestanie tak na mnie patrzeć – odezwał się z lekką irytacją, którą przypisałem zdenerwowaniu niedawnymi przejęciami.

– Patrzyłbym, nawet gdyby mi wyłupili oczy. To, co pan zrobił, było zdumiewające. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Cóż za idealny plan! Jakiż strategiczny umysł, jaka zimna krew! Pan jest prawdziwym bohaterem! – wykrzyknąłem. – Pokonując w pojedynkę trójnog, przywrócił pan wszystkim tym ludziom nadzieję. Boże, nawet mnie pan ją przywrócił!

– Po prostu miałem szczęście – odparł szorstko, wruszając ramionami.

Pokręciłem głową, rozbawiony jego skromnością, po czym kazałem Haroldowi zrobić pół obrotu i bez najmniejszych obaw kontynuować jazdę w stronę Soho. Teraz, gdy na własne oczy zobaczyłem, co potrafi dzielny kapitan Shackleton, wiedziałem, że w obecności tego wyjątkowego człowieka nic złego nie może nas spotkać. Woźnica spojrział na mnie sceptycznie, jakby wyczyn kapitana nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia, ale usiadł na koźle i bez słowa skargi ruszył.

Ominąwszy cały ten stos pogrzebowy, wjechaliśmy w część alei, przez którą kilka minut temu przeszedł trójnog, i naszym oczom ukazał się ogrom poczynionych przezeń zniszczeń. Mijaliśmy mnóstwo zburzonych domów, lecz prawdziwą pogardę żywioną przez Marsjan wobec naszej rasy ilustrowały napawające grozą dziesiątki trupów rozsianych tu i ówdzie pośród gruzów, a nade wszystko ci, którzy przeżyli: kobieta płacząca na klęczkach nad zwłokami stratowanego trzy- lub czteroletniego dziecka, zamyślony mężczyzna chodzący w tę i z powrotem z czyjąś głową tuloną w ramionach, inny, na wpół zmiażdżony przez konia i błagający o pomoc... Jechaliśmy przez ten straszliwy krajobraz z obłędem w oczach. Nawet kapitan zdawał się wstrząśnięty, choć przecież pochodził z przyszłości, w której Londyn również zmienił się w stertę gruzów. Pewnie myślał o tym, jak daremne są wszystkie nasze wysiłki: choćbyśmy zdołali powstrzymać inwazję i odbudować miasto, za zakrętem czasu czeka na nas kolejna, równie potworna dewastacja. Dzięki krzyżom i pomnikom na cmentarzach przyszłe pokolenia poznają naszą tragedię tak pobieżnie, jak my dzięki Podróżom w Czasie Murraya poznaliśmy tę, której doświadczyli oni. Jedynie dzielny kapitan Shackleton miał dwukrotnie przeżyć zniszczenie najpotężniejszej metropolii na świecie.

Zdążyliśmy w posępnym milczeniu aż do Soho. Przy wjeździe do dzielnicy Harold gwałtownie zatrzymał powóz. Shackleton i ja wyrzeliśmy przez okienka, by poznać przyczynę postoju, i w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów zobaczyliśmy przez welon mgły co najmniej pół tuzina trójnogów maszerujących niczym stado fantasmagorycznych słoni w kierunku przeciwnym do naszego. Staliśmy w miejscu, aby Marsjanie myśleli, że to jeden z wielu porzuconych powozów, i dopiero gdy maszyny odeszły w kierunku Strandu, Harold znów ruszył.

Soho zmieniło się nie do poznania. Stado trójnogów obróciło je w pustkowie usiane dymiącymi zgliszczami, pozbawione choćby jednego budynku, który pozwoliłby nam określić, gdzie się znajdujemy. W obliczu tej wstrząsającej ruiny uświadomiłem sobie, że niszczycielska moc Marsjan przekracza potęgę wszystkich wojsk, jakie kiedykolwiek istniały na Ziemi. Pośród ruin, niczym rozbitkowie, którzy postradali rozum, tłoczyły się gromady ludzi pomagające sobie wzajemnie i po kolei odwracające leżące na ulicy trupy w poszukiwaniu bliskich. Przez chwilę przyglądałem im się jak zahipnotyzowany, świadom, że choćbyśmy mieli tę wojnę wygrać, wielu już ją przegrało. Potem powóz stanął i usłyszeliśmy głos Harolda.

– Greek Street 12 to chyba tutaj – powiedział, wskazując pustkę.

Kapitan i ja wysiedliśmy. Niczym lunatycy szliśmy wśród gruzów w stronę miejsca będącego niegdyś siedzibą Podróży w Czasie Murraya. Kilka kroków za nami podążał Harold. Byłem doszczętnie zdruzgotany, niezdolny uwierzyć, że Marsjanie tak od niechcienia pokrzyżowali nam plany. Pośród morza kamieni w końcu natknęliśmy się na wrak „Cronotilusa”, brutalnie zmiażdżony przez dźwigary i fragmenty dachu. „Jak teraz mamy się przenieść w przyszłość?” – rozmyślałem, patrząc na zniszczony tramwaj czasowy. Zresztą nawet gdyby pozostał cały, nigdzie nie było śladu po otworze wiodącym

do roku dwutysięcznego, choć jednocześnie musiałem przyznać, że nie mam pojęcia, jak ów otwór miałby wyglądać. Na gardle zacisnęła mi się dławiąca macka strachu. Czyżbym się pomylił? Czyżby nie było nam pisane uratowanie świata?

Zawadziłem nogą o afisz reklamujący podróż w przyszłość, a dokładnie – podróż do dnia, w którym rozegra się ostateczna bitwa o losy świata. Póki firma działała, afisz wisiał przy drzwiach, kuszący, choć niewiarygodny. Rysunek przedstawiał kapitana Shackletona walczącego na rapiery z królem automatów, którego miał pokonać w emocjonującym pojedynku, a ja, dzięki magii Murraya, mogłem być tego świadkiem. Spojrzałem na bohatera z krwi i kości, rozmawiającego z Haroldem i wskazującego coś w górze, co przykuło jego uwagę. Z wyciągniętą ręką i uniesioną władczo brodą, stojąc pewnie między dwoma wielkimi kamieniami, wyglądał, jakby chciał jak najwierniej odtworzyć postać z afisza, który trzymałem w rękach. Ożywiony, spojrzałem na rysunek, a potem znów na dzielnego kapitana, który był tu, w naszej epoce, i zaledwie przed kilkoma minutami samodzielnie unicestwił jedną z marsjańskich machin. Zniszczenie firmy Murraya oznaczało jedynie tyle, że musieliśmy uratować świat bez odbycia podróży w przyszłość. Shackleton zauważył, że mu się przyglądam, uniósł sceptycznie brwi i rozłożył ramiona, obejmując dzieło zniszczenia.

– Jak pan widzi, panie Winslow, nie ma żadnego sposobu na udanie się w podróż do roku dwutysięcznego.

Wzruszyłem ramionami, rozbawiony tą drobną niedogodnością.

– W takim razie obawiam się, że będziemy musieli sami pokonać Marsjan, kapitanie – odparłem z uśmiechem.

XXXIII

Następnego ranka Charles spotkał Shackletona przy śniadaniu. Rozpoznał go z daleka, siedzącego na samotnym kamieniu i dojadającego papkę. Tak jak się obawiał, kapitan wrócił z obozu prokreacji z tym samym ponurym spojrzeniem, z którym tam poszedł. A to mogło oznaczać tylko jedno. Winslow podszedł do niego, pozdrowił grobową miną i usiadł na ziemi obok niego, owijając się ogromnym płaszczem, który zdobył podczas ostatniej dostawy odzieży, a który sądząc po prymitywnym kroju i szorstkim materiale, musiał należeć do jakiegoś sklepikarza, choć od dawna już sprawy tak banalne jak noszenie odzieży po plebejuszach nie spędzały Charlesowi snu z powiek. W milczeniu przyglądał się Shackletonowi, licząc na to, że przyjaciel poczuje potrzebę rozmowy z nim.

Marsjanie co tydzień prowadzili grupę mężczyzn wyglądających na najzdrowszych do pobliskiego obozu, gdzie więziono najmłodsze, najbardziej płodne kobiety. Każdy z uczestników tej karawany miał obowiązek sparzyć się z jedną z nich pod czujnym wzrokiem stróżów, po czym wracał do obozu bez możliwości dowiedzenia się, czy w brzuchu kobiety zakiełkowało nowe życie. W ten sposób Marsjanie dbali o to, by nigdy nie zabrakło im niewolników do męczącej pracy nad zmianą ziemskiej atmosfery.

Na początku swej niewoli, gdy wydawał się jeszcze okazem godnym rozmnożenia, Charles także był regularnie wybierany do tego zadania, ale mordercza praca i niedożywienie tak go zniszczyły, że obecnie Marsjanom nie przyszłoby do głowy, iż z jego nasienia mogłoby się zrodzić coś wartego zachodu. Kiedy zabraknie mu sił, co nastąpi lada chwila, zastąpi go jedno z dzieci poczętych przez więźniów, które musiały się gdzieś tu wychowywać, a on nigdy nie miał się dowiedzieć, czy w którymś z nich płynie jego krew. Shackletona na odmianę zabierano niemal co tydzień, bo udawało mu się zachować siłę i energię, gdyż pożerał dosłownie wszystko – Charles nieraz widział go wylizującego wrzucone do zlewu miski – a nawet ćwiczył po nocach w zaciszu swojej celi. Początkowo Winslow nie pojmował, skąd bierze się upór jego towarzysza, by nie dać się zniszczyć, nie pozwolić ciału zwiędnąć – lecz potem zrozumiał: utrzymując się w formie, kapitan miał większe szanse na to, że będą go zabierać do obozu kobiet, a to z kolei zwiększało jego szanse na spotkanie z Claire, o której nie miał wieści, odkąd Charles nakłonił go do opuszczenia piwnicy przy Queen's Gate, by wypełnić przeznaczenie, które okazało się pomyłką.

Jedli w milczeniu, siedząc naprzeciw siebie. Charles nie musiał o nic pytać, by wiedzieć, że także tym razem kapitan nie spotkał żony. Po raz kolejny poczuł wyrzuty sumienia z powodu wyciągnięcia go z piwnicy wuja. Przez ostatnie dwa lata miał aż nadto czasu na żałowanie wielu rzeczy, które zrobił w życiu, lecz nad żadną nie ubolewał tak bardzo jak nad doprowadzeniem do rozłąki Dereka z Claire. W pierwszych miesiącach niewoli kapitan żywił tak nedorzeczne nadzieje na wzniesienie buntu, że Charles nie potrafił się powstrzymać od myślenia o niezliczonych przeszkodach, którym musiał stawić czoło na początku, niemal siłą zmuszony do wzięcia na siebie roli zbawcy ludzkości. Wtedy jednak Shackleton wciąż wierzył, że jego małżonka cała i zdrowa ukrywa się w piwnicy przy Queen's Gate, i pragnął jedynie do niej wrócić, niezdolny wyobrazić sobie, jak potoczy się inwazja, a tym bardziej przewidzieć, że przyjdzie mu żyć z dala od kobiety, dla której cofnął się w czasie.

W wyniku nieudanej interwencji Charlesa tak jednak się stało. W pierwszych miesiącach pobytu w obozie Shackleton nie myślał o niczym innym, jak tylko o tym, by

uciec i odnaleźć Claire. Kreślone jeden za drugim plany odrodziłyby nadzieje także w jego towarzyszach, gdyby nie fakt, że każdy kolejny wydawał mu się bardziej ekstrawagancki i rozpaczliwy: a to kapitan chciał pozszywać prześcieradła i spuścić się na nich z piramidy, by unosić się na prądach powietrznych, a to uciec przez otwór leja, a to wywołać bunt w obozie kobiet... Te szalone pomysły, które zawile objaśniał garstce wybranych niemal na chybił trafił towarzyszy, pokazywały jedynie, jak bardzo pragnie odzyskać Claire. Wszystkie jego myśli i wysiłki zmierzały do tego celu. A kiedy Charles zwracał mu uwagę, że kobieta może się znajdować wszędzie, nawet poza Anglią – nigdy nie ośmielił się zasugerować, że równie dobrze może być martwa – Shackleton zawsze odpowiadał tak samo: „Za pierwszym razem musiałem przebyć jeszcze większą odległość, by się z nią połączyć”.

Z czasem jednak nedorzeczne plany stawały się coraz rzadsze. Nadzieje na ucieczkę, na zrobienie buntowników z tych złamanych ludzi, których miał do dyspozycji, na odbijanie obozu po obozie, przeszukiwanie wszystkich miast, a może i całej planety w poszukiwaniu żony, zmalały do rozmiarów rzucanych od niechcienia i bez przekonania komentarzy, aż wreszcie, po upływie kolejnych miesięcy, zupełnie wygasły. Nigdy więcej nie wspominał o ucieczce.

Teraz ograniczał się do wyczekiwania na przyjazdy kolejnych więźniarek, trzymając się kurczowo ostatniej nadziei: że pewnego razu dostrzeże Claire pośród kobiet wypełniających przeznaczone do prokreacji pawilony o szpiczastych dachach i że gdzieś w oddali zamajaczą jaśniejsze dni. Ale po co? – zastanawiał się Charles. Co by mu dało odnalezienie jej w tym miejscu, w tych mrocznych czasach, które nie niosły ze sobą żadnej nadziei, a jedynie ból ciągłej egzystencji i nieprzerwanego znoju?

Pewnego dnia, także podczas śniadania, niestrudzona i absurdalna nadzieja kapitana obudziła w Charlesie dawny cynizm.

– Dereku – zapytał okrutnie – co byś jej powiedział, gdybyś ją w końcu odnalazł?

Kapitan spojrział na niego zdumiony, po czym milczał, dopóki nie znalazł w czarnej studni swej duszy odpowiedzi.

– Poprosiłbym ją o przebaczenie. Powiedziałbym: „Przebac mi, Claire, że cię okłamałem”.

Usłyszawszy to, Charles próbował go pocieszać, tłumacząc, że Claire żadną miarą nie może go winić za to, iż nie zdołał powstrzymać inwazji. Przeciwnie, zapewne jest dumna, że próbował, tak jak jej obiecał w piwnicy na Queen's Gate, i że... Ale kapitan tylko machnął ręką w odpowiedzi na te niezdarne próby.

– Ty tego nie zrozumiesz, Charles – powiedział, kręcąc ponuro głową. – Nie zdołasz tego zrozumieć...

Czymkolwiek się kierował, nigdy nie przestał wypatrywać żony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby się poddać. Chyba jedynie nadzieja na jej ujrzienie pozwalała mu wstawać każdego ranka. Jadł, ćwiczył i oddychał tylko po to, by następnego dnia wstać z tą nadzieją.

Charles ogromnie mu współczuł. Oto przed nim, mechanicznie pochłaniając grudkowatą papkę, którą wzgardziłyby nawet świny, siedział zbawca ludzkości sprowadzony do rangi jednego z wielu przygarbionych, brudnych więźniów. Ale nie, Shackleton nie był taki jak pozostali. Shackleton wciąż miał nadzieję. I nikt, nawet potwór z kosmosu, nigdy nie mógł mu jej wydrzeć.

– Victorii też nie widziałem – odezwał się nagle.

Charles nie odpowiedział. Przez kilka sekund ze zdumieniem przyglądał się

kapitanowi, po czym z ogromną rozpaczą uświadomił sobie, że kapitan jest przekonany, iż jego towarzysza dręczy ten sam niepokój co jego, bo przecież Charles także nie miał wieści o żonie od czasu pożegnania przy Queen's Gate. Nie, pomyślał ze smutkiem. Los Victorii nie obchodził go ani trochę bardziej niż jego własny. Próbując zmienić temat, wskazał połyskującą w oddali piramidę.

– Och, gdybyż pan Wells mógł ją zobaczyć... Jestem przekonany, że wystarczyłoby mu rzucić na nią okiem, by wiedzieć, do czego dokładnie służy.

Shackleton wydał z siebie dźwięk, który równie dobrze mógł być śmiechem aprobaty, co pomrukiem niezgody.

W tym momencie zaczął padać ten dziwny deszcz, który ostatnio tak często ich nawiedzał. Co dwa, trzy dni mikroskopijne zielone kryształki spadały z nieba niby nieprawdopodobne konfetti z kamieni szlachetnych i w ciągu sekund pokrywały ziemię chrzęszczącym, śliskim zielonym płaszczem, jakby całą powierzchnię planety obleczono skórą zdjętą z olbrzymiego owada czy gada. Kryształki szybko zaczynały się rozpadać, uwalniając przy tym smużki trującego dymu, które przez kilka dni barwiły mgłę na szmaragdowo, podczas gdy pozostała po nich zielonkawa woda mieszała się z błotem i tworzyła cuchnący mech, z którego wyrastały dziwaczne rośliny, zdumiewająco żarłocznie czepiające się ziemi lub wszelkiej innej powierzchni i rozrastające się na niej niczym obrzydliwa pajęczyna. Żaden z więźniów nigdy nie widział niczego podobnego do tego wstrętnego zielska, które powoli zagarniało obóz, pokrywając kamienie i drzewa ciemnozielonym pancerzem. Na obrzeżach obozu, gdzie stopione kryształki tworzyły kałuże, także powstały obrzydliwe grządki, które wkrótce zaczęły się rozrastać, pełząc ku ziemskim drzewom, by je ozdobić swoimi karykaturalnymi welonami i stworzyć lasy bardziej mroczne i makabryczne niż te w baśniach prowadzące do domku Baby-Jagi.

Początkowo Charles i Shackleton spędzali długie godziny na rozmowach o dziwnych zmianach klimatu i roślinności: kryształki były jedynie namacalną kulminacją tych zmian widocznych także w niepokojąco miedzianym kolorze, jaki często przybierało niebo, w gwałtownych tornadach wstrząsających po nocach celami więźniów czy gradzie martwych ptaków spadającym na łąki o poranku w pierwszych miesiącach. Byli pewni, że wszystko to wywołują liczne piramidy, które – podobnie jak ta tutaj – powstają w innych punktach planety. Często dyskutowali, czy te zmiany da się odwrócić, kiedy nadejdzie wyczekiwane powstanie i urzędnicy zostaną zniszczone. Z czasem jednak zubożeli na ich działanie, jakby istniały od zawsze; jakby od zarania dziejów niebo nad Ziemią miało barwę starej miedzi i spadały z niego deszcze kryształków. W gruncie rzeczy już od miesięcy w ogóle o niczym nie rozmawiali.

Wstali i osłaniając twarze przed zielonym deszczem, dołączyli do grupy więźniów, którym Marsjanie zaczęli przydzielać zadania. Charlesa wysłano na jeden z niższych poziomów piramidy. Wysiłek jak zwykle okazał się wyczerpujący, choć jednocześnie przynosił mu ulgę, bo wykańczając, uniemożliwiał mu myślenie. Po powrocie do celi Charles wyjął zeszyt i kontynuował opis swoich przeżyć.

DZIENNIK CHARLESA WINSŁOWA

14 lutego 1900 r.

Gdy sprowadzenie posiłków z przyszłości okazało się niemożliwe, Shackleton powrócił do starej, pesymistycznej śpiewki: wciąż powtarzał, że nie jest żadnym bohaterem, że bez swojej broni i swoich ludzi nic nie może zrobić, a ja ciągle musiałem

mu przypominać, że zaledwie kilka minut wcześniej samodzielnie pokonał trójnog, używając wyłącznie swojego genialnego umysłu. Poza tym jakie znaczenie miała niemożność podróżowania do roku dwutysięcznego? Skoro w przyszłości zdołał zbudować dzielną armię z wyczerpanej garstki ocalałych, mogliśmy zrobić to samo: odnaleźć w ruinach i zgromadzić wokół siebie ludzi zdolnych i walecznych, których kapitan będzie mógł formować niczym glinę, by stworzyć elitarny ruch oporu złożony z oddanych sprawie wojowników. Nie wątpiłem, że wszyscy, którzy poznają jego tożsamość, pójdą za nim nawet do piekła, tak jak to uczynili żołnierze z przyszłości.

W końcu, po długich minutach łajania go niczym generał karcący swoje wojsko, zdołałem sprawić, by porzucił pesymizm i wykazał pewną wolę walki, choć zażyczył sobie, byśmy przed wdrożeniem planu pojechali na Queen's Gate i sprawdzili, czy z naszymi bliskimi wszystko w porządku. Widząc jego troskę o Claire, zrozumiałem, dlaczego wielcy bohaterowie niemal zawsze pozostają samotni: miłość czyniła ich kruchymi. Niewiele wiedziałem o życiu kapitana w roku dwutysięcznym – znałem jedynie krótki życiorys, który pan Murray przedstawiał podróżnikom, nim wsiedli do „Cronotilusa” – lecz przypuszczałem, że w tamtych czasach był człowiekiem samotnym i posępnym, o sercu przepelnionym nienawiścią i żądzą destrukcji, odmawiającym sobie luksusu towarzystwa jakiegokolwiek damy, z którą mógłby dzielić potworny ciężar ratowania ludzkości. Shackleton, którego teraz miałem przed sobą, był jednak człowiekiem zakochanym i nie wydawał się przedkładać ponad Claire nikogo, nawet całej ludzkości razem wziętej. Westchnąłem zrezygnowany. Jasne było, że nie mogę go prosić, by choć raz zapomniał o żonie, a tym bardziej wysunąć argumentu, że bohater nie ma prawa się zakochiwać, póki jest na służbie. Zgodziłem się zatem, byśmy jak najszybciej wrócili do domu wuja, lecz przynajmniej zdołałem przekonać go do uprzedniego poszukania jakiegoś wysoko położonego punktu, z którego moglibyśmy obejrzeć panoramę Londynu i zorientować się w zasięgu oraz kierunkach inwazji, co pozwoli nam wcześniej zaplanować trasę i dotrzeć na Queen's Gate bez przygód.

Postanowiliśmy przez Euston Road udać się na Primrose Hill, tę naturalną lożę górującą nad miastem, na której londyńczycy spędzali niedziele. Okazało się, że była to najlepsza z możliwych decyzji, gdyż natknęliśmy się tam na inną grupę osób, które zdołały przetrwać tę ponurą noc. Zniechęcone ciężkimi przeżyciami i widokiem pokonanego Londynu, niczego nie potrzebowały bardziej niż bohatera. A ja przywiozłem im najlepszego z możliwych.

Grupa składała się z pisarza H.G. Wellsa i jego małżonki Jane, których miałem przyjemność poznać kilka lat wcześniej z nieistotnych teraz przyczyn i których powitałem ze szczerą serdecznością; pięknej amerykańskiej panny o nazwisku Emma Harlow, pijanego młodzieńca opartego o drzewo, który później miał się nam przedstawić jako agent Scotland Yardu Cornelius Clayton, i widma – nieżyjącego pana Gilliana Murrraya, którego gdy już ocknąłem się z osłupienia, pozdrowiłem z entuzjazmem wynikłym nie tylko z podziwu dla Pana Czasu, lecz także z pewności, że oto dostajemy kolejny sygnał, iż podążamy ścieżką przeznaczenia. Bo czyż nie było szczęśliwym zrządzeniem losu spotkać tu człowieka, dzięki któremu Shackleton poznał Claire, a co za tym idzie, dzięki któremu kapitan był tu z nami?

Jak jednak wspominałem, osoby te wyglądały na ogromnie przygnębione i nie bez kozery, jako że widok ze wzgórza nie pozostawiał wątpliwości, iż trójnogi, panosząc się po całym mieście, niszczą je skrupulatnie niczym korniki. Większość dzielnic obróciła się w dymiącą ruinę, a tu i ówdzie wybuchały pożary powodujące gęste zadymienie, pośród

którego frenetyczne masy londyńczyków we wszelkiej maści pojazdach usiłowały opuścić miasto północną lub wschodnią stroną, uciekając na bezpieczne jeszcze pola.

Pragnąc poprawić im humor, natychmiast i – przyznaję – nieco zbyt teatralnie wyjawilem tożsamość mego towarzysza, a na wypadek gdyby moje słowo nie wystarczyło, z przejęciem i suspensją bawiącego dzieci deklamatora opowiedziałem, jak kapitan na moich oczach zniszczył trójnog. Niestety obecność Shackletona nie ożywiła moich rozmówców tak, jak bym tego oczekiwał. Kiedy skończyłem opowieść o jego wyczynie, pan Murray zmierzył kapitana podejrzliwym spojrzeniem, lecz w końcu podszedł do niego i uścisnął mu dłoń.

– Miło mi pana poznać, kapitanie Shackleton – powiedział.

Uścisk zdawał się trwać wieki. Obaj mężczyźni patrzeli sobie w oczy z posepną powagą, jakiej wymagała sytuacja: nie należy bowiem zapominać, że niegdyś Murray obserwował życie nieświadomego tego faktu kapitana przez otwór w czasie i pozwalał nam podziwiać go z daleka, dzięki czemu kapitan znajdował się teraz w epoce, w której wszyscy znali jego wczyny, choć jeszcze ich nie dokonał. Rzecz by można, że współpracowali, nie znając się wzajem. W końcu przedsiębiorca uczynił zadość naszemu zniecierpliwieniu, puszczał dłoń kapitana.

– Jestem doprawdy zdumiony, widząc pana wśród nas – oznajmił z przesadnie szerokim uśmiechem. – Nie sądziłem, że spotkam pana w naszym świecie.

– Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć tym samym – rzekł Shackleton, na odmianę bardzo powściągliwym tonem. – Zapewne jednak zrozumie pan, że nie jest dla mnie żadną przyjemnością poznać człowieka, który zmienił mój pojedynek z Salomonem w atrakcję dla znudzonych arystokratów.

Nie spodziewałem się po nim takich słów. Murray też nie. Odruchowo przygryzł wargi, lecz wykorzystując zdumiewającą elastyczność swych rysów, w mgnieniu oka zastąpił niezadowolenie przyjaznym uśmiechem.

– Dlaczego miałbym pozbawiać Anglików widoku tak emocjonującej walki? Władza pan rapierem z niewyobrażalną maestrią, kapitanie. A ja jestem pańskim największym wielbicielem: przyglądanie się pańskiemu pojedynekowi nigdy mi się nie znudziło. I muszę wyznać, że choć tyle razy go widziałem, zawsze zdumiewał mnie fakt, iż wychodzi pan zwycięsko z walki z tak potwornym wrogiem. Jeśli mogę sobie pozwolić na tę pochwałę, kapitanie, jest pan człowiekiem wyjątkowo trudnym do zabicia... Jakby czuwały nad panem jakieś nadprzyrodzone siły.

– Może po prostu moi wrogowie nie są tak potworni, jak pan sądzi – odrzekł chłodno Shackleton.

– Nie wydaje się panom, że lepiej będzie pozostawić tę wymianę uprzejmości na inną okazję? – wtrącił nieco zirytowany Wells, zamaszystym gestem obejmując panoramę miasta. – Mamy pilniejsze sprawy.

– Ma pan całkowitą rację, panie Wells – odparł pospiesznie Shackleton. – Ja w każdym razie z pewnością mam do zrobienia coś ważniejszego niż dyskusje z panem Murrayem. Moja małżonka, Claire, dla której przywędrowałem do tej epoki, jest tam w dole, na Queen's Gate, a ja chciałbym jak najszybciej ją odnaleźć... – Po czym, wbijając w pisarza wzrok, który wydał mi się nadmiernie baczny, mruknął: – Ona mi ufa. A ja za nic w świecie nie chciałbym jej zawieść. Rozumie mnie pan?

– Oczywiście, że rozumiem... kapitanie. Wszyscy rozumiemy – odparł przeciągle pisarz, ujmując małżonkę za rękę. – I wydaje mi się, że będę mówił w imieniu wszystkich, gdy zaproponuję, byśmy jak najszybciej się tam udali. Biorąc jednak pod

uwagę sytuację w mieście, nalegam, abyśmy zaraz potem je opuścili, tak jak to czynią wszyscy. Może będziemy musieli pojechać aż do portu w Liverpoolu i stamtąd popłynąć choćby do Francji.

Przyznam, że zaniepokoił mnie ten pomysł. Jak mieliśmy powstrzymać inwazję, uciekając z Londynu? Czy po to kapitan Shackleton przybył do naszej epoki, żeby uciekać przed Marsjanami jak przerażona pokojówka?

– Obawiam się, drodzy państwo, że to nie wchodzi w rachubę – zaprotestowałem. – Oczywiście jestem państwu wdzięczny za chęć udania się z nami na Queen's Gate i mam pełną świadomość, że w obecnej sytuacji opuszczenie Londynu jest rzeczą ze wszech miar rozsądną, lecz moim zdaniem nie powinniśmy tego robić.

– Nie? – dziwił się pisarz. – A to dlaczego?

– Wspomniałem już o tym, panie Wells, podczas prezentacji kapitana. Jak nam wiadomo, w roku dwutysięcznym jedynym zagrożeniem ludzkości będą automaty, nie zaś Marsjanie – powtórzyłem po raz enty, mając wrażenie, że opowiadam kiepski dowcip. – A to może tylko oznaczać, że inwazja się nie powiedzie. Ktoś znajdzie sposób na pokonanie Marsjan. Moim zdaniem tym kimś jest kapitan Shackleton, którego obecność w naszej epoce nie może być dziełem przypadku. Jestem przekonany, że bohater wszech czasów spróbuje zmienić sytuację na naszą korzyść, i oczywiste jest, że mu się to uda, bo w gruncie rzeczy to wszystko już się stało.

Murray i Wells wymienili podejrzliwe spojrzenia. Potem przenieśli wzrok na kapitana, który z niecierpliwością wzruszył ramionami. W końcu spojrzeli na mnie z jeszcze większym sceptycyzmem niż moja własna żona – ku memu zaskoczeniu, bo byłem pewien, że ktoś o inteligencji Wellsa natychmiast pojmie moją argumentację.

– Nawet jeśli pańska teoria jest słuszna – odparł pisarz – i zakładając, że zdarzenia z roku dwutysięcznego, które poznaliśmy, są niezmiennie, ponieważ jak pan zauważył, w pewnym sensie już nastąpiły, inwazję można powstrzymać na sto rozmaitych sposobów, niekoniecznie przy naszym udziale. Co więcej, jeśli to nam przeznaczone jest ją zdławić, zrobimy to tak czy owak, niezależnie od tego, czy pozostaniemy w mieście, czy z niego uciekniemy. Nalegam zatem, abyśmy zaraz po wizycie na Queen's Gate opuścili Londyn.

– Jak może pan być tak pewien, panie Wells? A jeśli ucieczka jest właśnie tym, czego nie mamy robić? Jeśli w ten sposób zmienimy przyszłość? – Spojrzałem na Shackletona w poszukiwaniu wsparcia. – Co pan o tym sądzi, kapitanie? Czy pan, bohater, nie uważa, że pańskim priorytetem jest ratowanie ludzkości?

– Tak, panie Winslow, jestem bohaterem – rzekł Shackleton, spoglądając w szczególności na Murraya, który skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. – Przede wszystkim jednak jestem mężem, który musi uratować swoją żonę.

– Rozumiem, kapitanie – odparłem, rozdrażniony już nieco jego uporem – lecz pewien jestem, że zarówno Claire, jak i moja małżonka będą bezpieczne w piwnicy wuja, gdy my...

– Obawiam się, że pan Wells ma rację – przerwał mi niecierpliwie Murray. – Nie sądzę, by w obecnej sytuacji kapitan mógł dla nas wiele zrobić. Okoliczności z całą pewnością go przerosły. – Spojrzał na Shackletona z rozbawionym uśmiechem. – Mam nadzieję, że się pan nie obrazi, iż mimo podziwu dla pańskiego wielkiego zwycięstwa nad automatami wątpimy, czy poradzi pan sobie z najazdem Marsjan. Ich maszyny są znacznie potężniejsze niż garstka lalek z silniczkami parowymi.

– Ależ nie obraża mnie pan, panie Murray – odparł Shackleton, odwzajemniając uśmiech. – Cóż, ja przynajmniej raz uratowałem ludzkość, a pan do tej pory ograniczał

się do opróżniania jej kieszeni.

Murray najpierw zbladł, a potem wybuchnął śmiechem.

– Dawałem im marzenia, kapitanie. One zaś, jak wiadomo, zawsze mają swoją cenę. Nie wiem, jak się pan przeniósł do naszych czasów, lecz zapewniam pana, że transport obywateli do Anglii roku dwutysięcznego przez czwarty wymiar jest kosztowny. Przerwijmy jednak tę sympatyczną wymianę zdań, kapitanie, bo wszystkich zanudzimy. Skoncentrujmy się na bieżącej sytuacji. – Murray z uśmiechem otoczył Shackletona ramieniem i obrócił powoli w kierunku widoku ze wzgórza. – Jak pan widzi, Marsjanie są wszędzie. Nie ma dzielnicy, której by nie zajęli. Jakim sposobem bohater pańskiego pokroju chce dotrzeć na Queen's Gate, unikając kontaktu z trójnogami?

Shackleton z bezbrzeżnym smutkiem popatrzył na maszyny, które bez entuzjazmu, wręcz ze znużeniem unicestwiały Londyn. Przypominały dzieci, którym znudziły się zabawy domkami dla lalek, więc postanowiły je zniszczyć.

– Tak przypuszczałem – rzekł Murray wobec milczenia kapitana.

– Nawet panu nie może się to udać. – Puścił go i wzruszył ramionami, rozczarowany. Tylko ja dostrzegłem uśmiech, który zaczął wykwitać na wargach kapitana. – Jak państwo widzą, nasze położenie przerasta nawet największych bohaterów – oznajmił przedsiębiorca z udawanym przygnębieniem. – Jestem jednak pewien, że znajdziemy sposób na...

– Powinien pan mieć więcej wiary w bohaterów, którzy przynieśli panu tyle korzyści – przerwał mu kapitan, nie odwracając wzroku od marsjańskich ewolucji. – Przejdziemy na Queen's Gate pod trójnogami.

– Pod? – zdziwił się Murray, patrząc na niego. – Jak to „pod”, do diaska?

– Kanałami – odparł Shackleton, nie zaszczycając go spojrzeniem.

– Kanałami? Oszalał pan? Te urocze damy mają zejść do cuchnących kanałów? – oburzył się Murray, wskazując swoje towarzyszkę. – Nigdy w życiu nic pozwolę, by Emma...

– Niech pan się nim nie przejmuje, kapitanie – wtrąciła Amerykanka, robiąc krok naprzód i leciutko opierając dłoń na przedramieniu Gilliama. – Pan Murray ma irytujący zwyczaj decydowania, gdzie powinnam, a gdzie nie powinnam iść, i najwyraźniej jeszcze sobie nie uświadomił, że zawsze postępuję wbrew jego radom.

– Ależ Emmo... – próbował protestować przedsiębiorca.

– Gilliamie, naprawdę uważam, że powinieneś pozwolić kapitanowi przedstawić pomysł – przerwała mu dziewczyna z cudowną słodyczą w głosie.

Spojrzałem na Murraya z jeszcze większym niż dotąd podziwem. Jeśli ta urocza dama była jego ukochaną, to bez wątplenia gruby i zarozumiały mężczyzna, którego znałem przed dwoma laty, dobrze wykorzystał swoją śmierć i późniejsze zmartwychwstanie.

Przedsiębiorca prychnął niecierpliwie, lecz dał Shackletonowi znak, by kontynuował.

– To najbezpieczniejszy sposób – rzekł tamten, ignorując go i zwracając się do pozostałych. – Pod miastem znajdują się setki kilometrów kanałów, przez które bez trudu można się przeprawić. Są też piwnice, magazyny, tunele metra... Cały podziemny świat.

– Skąd pan go tak dobrze zna, kapitanie? – zapytałem z ciekawości.

Zaskoczony pytaniem, długo się zastanawiał nad odpowiedzią.

– Bo... bo tam ukrywaliśmy się w przyszłości.

– Serio? Naprawdę ukrywaliście się w ściekach? – Murray uśmiechnął się ironicznie.

– Ach, ta niewiarygodna jakość brytyjskich rur! Nigdy bym nie przypuszczał, że

wytrzymają całe stulecie.

Amerykanka już chciała mu przerwać, lecz ktoś ją uprzedził.

– Powinien pan bardziej wierzyć w nasze imperium, panie Murray.

Wszyscy obróciliśmy się ku temu aroganckiemu głosowi, należącemu ni mniej, ni więcej tylko do młodzieńca, którego w pierwszej chwili wziąłem za pijanego.

– Kapitanie Shackleton, melduje się agent Clayton ze Scotland Yardu – przedstawił się, uchylając kapelusza. – O ile dobrze słyszałem podczas... hm... odpoczynku, uważa pan, że zdoła nas bezpiecznie przeprowadzić kanałami aż do Kensington. Prawda?

Shackleton przytaknął z powagą i zdecydowaniem, na jakie stać jedynie bohaterów, przyjmując tym gestem odpowiedzialność za całą naszą gromadkę. Zrobiłem kilka kroków naprzód, nieco zniecierpliwiony, że ten dziwaczny człowiek, który mimo grozy naszego położenia przed chwilą odpoczywał sobie jak gdyby nigdy nic pod drzewem, nawet nie zauważył mojej osoby. Odchrząknąłem głośno, by przykuć jego uwagę, po czym wyciągnąłem rękę.

– Agencie Clayton, jestem Charles Winslow, od... – Umilkłem niezdecydowany. Zamierzałem powiedzieć „odkrywca kapitana Shackletona”, lecz niespodziewanie te słowa uwięzły mi w gardle. – Cóż – powiedziałem – jestem kimś w rodzaju wiernego giermka kapitana w tej potyczce.

– Bardzo mi miło, panie Winslow – rzekł agent, odprawiając mnie błyskawicznym uściskiem dłoni i ponownie zwracając się do Shackletona: – Mówił pan...

– Cóż – przerwałem mu, rozgniewany jego bezczelnością. – Przed chwilą, gdy pan... hm... spał, ja mówiłem, że wyjazd z Londynu nie wydaje mi się dobrym pomysłem, gdyż...

– Panie Winslow, chyba już sobie wyjaśniliśmy, że wszyscy chcemy się wydostać z Londynu – uciął Wells. – Teraz rozmawiamy jedynie o tym, jak najpierw dotrzeć na...

– Owszem – dokończył Murray, marszcząc brwi. – Ja natomiast upieram się, że absurdalny sposób podróży proponowany przez kapitana, który chce, abyśmy się przedzierali kanałami niczym szczury, nie jest najlepszym pomysłem.

– Jeśli ma pan lepszy, proszę nam go wyjawić – odparł kapitan, ciskając gromy z oczu. – Zwracam jednak pańską uwagę na fakt, że w obliczu każdej katastrofy zwykle to właśnie szczury pierwsze znajdują drogę ratunku.

W tym momencie wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, dyskutując zawzięcie, póki arogancki głos Clayтона nie wznosił się ponad pozostałe.

– Proszę państwa! Z całym szacunkiem, sądzę, że powinniśmy zaufać kapitanowi Shackletonowi i wprowadzić w życie jego zamysł natychmiastowej ucieczki kanałami. Uważam tak nie tylko dlatego, że kapitan ma doskonałe referencje, ani też dlatego, że do tej pory nikt nie wpadł na lepszy pomysł. Uważam tak, gdyż obawiam się, że ta para trójnogów, która ku nam zmierza, czyni to bynajmniej nie w celu zorganizowania na wzgórzu romantycznego pikniku.

Przestraszeni spojrzeliśmy w kierunku dwóch machin, które niczym leniwi przechodnie szły przez Regent's Park w kierunku miejsca, w którym się znajdowaliśmy.

XXXIV

Odpoczywając po całodziennym wysiłku w swojej celi i obserwując zachód słońca, osobliwy i niepokojący jak wszystkie w ostatnich miesiącach, Charles z głębokim smutkiem pomyślał, że jeśli istnieje jakiś znak, iż człowiek stracił swoją ojczyznę, z pewnością jest nim fakt, że słońce zachodzi już inaczej niż w jego dzieciństwie. Z pogardą patrzył na posępną zielonofioletową aureolę, która niczym infekcja otaczała słońce. Dawne pomarańcz i żółć zniknęły, a poprzez zatrutą atmosferę, poprzez miedziany muślin spowijający niebo, nasza gwiazda wyglądała niczym wytarta moneta rzucona przez żebraka na kontuar w zamian za szklaneczkę wina.

Rozmyślenia Charlesa przerwał widok trzech marsjańskich statków powietrznych wylatujących z portu umiejscowionego na skraju obozu: trzech błyszczących, wypucowanych, pomrukujących melodyjnie spodków, które uniosły się pionowo na kilka metrów, na sekundę zawisły na tle srebrnej półkuli słońca, jakby pozowały do dagerotypu, a potem z niewiarygodną prędkością popędziły przez kłębiący się ocean zieleni i fioleto, by zniknąć w bezbrzeżnej ciemności kosmosu. Te marsjańskie maszyny, które tak wyraźnie podkreślały przepaść dzielącą ludzką naukę od nauki oprawców, wyprzedziły człowieka w podboju jego własnego nieba, ledwie liźniętego przez balony. Widząc obojętność, z jaką Charles obserwował odlot statków, nikt by nie przypuścił, że w pierwszych miesiącach przyloty i odloty tych lśniących maszyn stanowiły dla więźniów równie fascynujący, co przerażający spektakl.

Statki owe zwykły w dodatku przewozić marsjańskich inżynierów, którzy w odróżnieniu od swych towarzyszy prawdopodobnie nie posiadali zdolności przyjmowania ludzkiego wyglądu, bo przechadzali się po obozie pod prawdziwymi postaciami. Gdy Charles zobaczył ich po raz pierwszy, wydali mu się piękni – wyglądali jak hybrydy ludzi i czapli, które od dziecka były jego ulubionymi ptakami. Choć więźniom nikt niczego nie tłumaczył, nietrudno mu było się domyślić, że zadaniem inżynierów jest zaprojektowanie piramidy i wdrożenie w obozie, a pewnie i na całym świecie, tej swojej techniki, na widok której brwi same wędrowały w górę. Na ogół wdzięcznie unosili się w powietrzu, choć jeszcze przyjemniej patrzyło się na nich, gdy spacerowali na swoich cieniutkich nóżkach, przypominających szczudła i mających mnóstwo stawów, które pozwalały im z ogromną elastycznością przybierać wszelakie pozy. Charles usiłował opisać ich piękno w swoim zeszycie, porównując ich ze szklanymi ważkami albo tworząc inne, równie urocze i krucho obrazy, lecz ostatecznie się poddał: poruszającej urody inżynierów nie dało się ująć w słowa. Każda próba zawodziła. Marsjańscy naukowcy spędzili wśród nich trochę czasu, fruując z jednego krańca obozu w drugi, a gdy już wydali wszystkie instrukcje dotyczące budowy urządzenia, odlecieli i teraz jedynie co trzy lub cztery miesiące przybywali nadzorować postępy. Po ich odlocie Charles czuł zawsze absurdalną tęsknotę podobną do tej, jaka nachodzi człowieka z końcem lata. Nie potrafił sobie wyjaśnić jej przyczyn, choć przypuszczał, że ma związek z pociechą, którą niósł mu widok nieskończonej urody tych istot w czasach, gdy piękno stało się luksusem.

Choć unikał myślenia o tym, wiedział jednak, że naukowcy wcale nie są tacy, jakimi on ich widzi. Po pierwszej wizycie porównał ich wygląd z towarzyszami i ze zdumieniem odkrył, że nie ma nawet dwóch więźniów, którzy postrzegaliby ich tak samo. Każdy miał własne wyobrażenie o Marsjanach i uważał, że pozostali kpią sobie z niego, co wywołało dyskusję, która przerodziła się w idiotyczną kłótnię. Charles na szczęście w porę się z niej ulotnił.

W swojej celi długo i intensywnie o tym rozmyślał, aż w końcu wysnuł pewną teorię. Chętnie omówiłby ją z kimś inteligentnym, na przykład z Wellsem, lecz niestety błyskotliwych umysłów było wokół niego jak na lekarstwo.

Być może wniosek, do jakiego Charles doszedł w samotności, wyda się wam znajomy: pozaziemskie istoty tak bardzo się różniły od wszystkiego, co znał człowiek, że ten po prostu nie potrafił na nie patrzeć. Wiedział, że brzmi to śmiesznie, lecz logicznie rzecz biorąc, jeśli czyjeś spojrzenie napotykało na swej drodze coś niewyobrażalnego, umysł rozpaczliwie usiłował nadać temu jakąś postać, posługując się czasem bardzo nieścisłymi przybliżeniami. To wyjaśniało, dlaczego każdy z towarzyszy Charlesa inaczej widzi Marsjan. Większość nadawała im kształt potworów wszelkiej maści, kierując się zapewne nienawiścią do oprawców.

On sam jednak zawsze żywił ogromny podziw dla nauki, postępu, cudów opisywanych przez Verne'a... Tak, Charles należał do wizjonerów, którzy przed przybyciem Marsjan śnili o statkach zdolnych przemierzyć Atlantyk w ciągu pięciu dni, o śmigających po niebie latających maszynach, rozmawianiu przez telefon bez kabli, podróżach w czasie... i być może dlatego marsjańscy inżynierowie wyglądali w jego oczach jak cudowne anioły na szczytach, zdolne uczynić tuzin cudów na sekundę. I choć dziś wiedział, że te cuda polegają na przeobrażaniu jego planety w świat rodem z koszmaru, nadal ich tak postrzegał, a to – póki się nad tym zbyt nie zastanawiał – lepiej niż cokolwiek innego pomagało mu wykreślać granice własnej moralności.

Słońce schowało się za horyzont, wypluwając w niebo smuzkę zielonkawych promieni i rzucając fantasmagoryczny blask na ruiny Londynu widniejące w oddali, za posępными lasami zamykającymi obóz w dyskretnym uścisku powykręcanych drzew. Ta planeta coraz mniej należała do człowieka, a coraz bardziej do najeźdźców. Marsjanie zdołali odrzec jego ostatnie dni nawet z pokrzepiającego widoku zachodu słońca. Na tę myśl Charles poczuł w sercu ukłucie uśpionej dotąd furii, lecz była to zaledwie sugestia, żalosne echo płomiennej nienawiści, która niegdyś płynęła w jego żyłach, każąc z zaciśniętymi zębami przysięgać, że człowiek znajdzie jakiś cudowny sposób, by odbić swoją własność. Mijające miesiące, bezradność i potworne zmęczenie zmieniły tę pulsującą wściekłość w niegroźne fusy żalu. W ciągu kilku lat rodzaj ludzki miał całkowicie wyginać i należało to zaakceptować. „Czyż tak nie jest lepiej?” – pytała zdradziecko jego dusza. Charles przecież zawsze surowo oceniał imperium brytyjskie. Przed inwazją, gdy nikt nie podejrzewał, że znany mu świat może się tak gwałtownie odmienić, krytykował je pod najlżejszym pretekstem, z ironią lub złością w zależności od humoru. Uważał imperium za okręt bliski zatonięcia w wyniku kiepskiego zarządzania przez będących u steru nieudaczników, biegłych jedynie w sztuce marnotrawstwa, niekompetencji i malwersacji. Ta godna pożałowania i skorumpowana władza była odpowiedzialna za to, że ponad osiem milionów obywateli żyje i umiera w najbardziej zawstydzającej nędzy. On, rzecz jasna, do nich nie należał, i szczerze powiedziawszy, nie spędzało mu to snu z powiek, lecz oczywiście było, że ludzka cywilizacja jest jedną wielką klęską. Czy więc warto było wylewać nad nią łzy? Może i nie. Może lepiej było pogodzić się z tym, że człowiek zniknie z powierzchni Ziemi i nie pozostanie po nim ani jego nieszczęsny sposób funkcjonowania w świecie, ani nawet wspomnienie.

Z westchnieniem wyjął spod materaca dziennik, po raz kolejny zadając sobie pytanie, po co podejmuje wysiłek przelewania na papier wspomnień, których nikt nie przeczyta; dlaczego nie położy się na pryczy i nie umrze. Ale nie mógł. Nie mógł sobie pozwolić na kolejną porażkę. Człowiek, który zaczynał już zapominać, jak wyglądały zachody słońca

na jego planecie, siadł więc przy stoliku, otworzył zeszyt i zaczął pisać.

DZIENNIK CHARLESA WINSŁOWA

15 lutego 1900 r.

Przed marsjańską inwazją Londyn był najpotężniejszą metropolią świata, lecz bynajmniej nie najczystsza, o czym donoszę z bólem, jak to w swoim czasie uczynił także mój ojciec, co jednak nie ma znaczenia dla opisywanych wydarzeń. Zanim rozpruto mu wnętrzności, by wszczepić sztuczne jelita nowoczesnych kanałów, Londyn składał swoje ścieki w szambach, opróżnianych z taką regularnością, na jaką pozwalała płynność finansowa właścicieli. Nie było rzadkością znajdowanie w takich szambach miniaturowych ludzkich szkieletów, jako że owe cuchnące studnie stanowiły idealne miejsce do pozbywania się przez kobiety dzieci z nieprawego łoża. Każdego ranka karawana wypełnionych nieczystościami wozów wyruszała z Londynu, by użyźnić okoliczne pola, póki nie nastąpiła moda na importowane z Ameryki Południowej guano, które odebrało odchodom londyńczyków ich jedyną wartość. Kiedy w końcu w ramach rzekomego postępu postanowiono zamknąć wszystkie szamba i połączyć ścieki z prowizorycznym systemem kanałów spływających do Tamizy, wybuchła epidemia cholery, która zabiła niemal piętnaście tysięcy londyńczyków, a pięć lat później następna, równie tragiczna. Opowiadał mi ojciec, jak podczas gorącego, suchego lata roku 1858 w mieście unosił się tak potworny odór, że trzeba było pokryć wapnem zasłony brytyjskiego parlamentu, by nie dopuścić do środka tego potwornego fetoru dobiegającego od strony rzeki zamienionej w śmierdzącą kloakę przez ekskrementy niemal dwóch milionów obywateli. Tamten rok przeszedł do historii jako rok Wielkiego Fetoru. W jego wyniku, mimo ogromnych kosztów, parlament zgodził się na zaprojektowanie przez inżyniera Josepha Bazalgette'a rewolucyjnego systemu kanałów. Wciąż pamiętam, jak ojciec opisywał mi *opus magnum* Bazalgette'a z taką dumą, jakby sam je wykonał: długa na osiemdziesiąt trzy mile sieć kanałów zbudowana z cegieł połączonych cementem portlandzkim odprowadzała ścieki z gospodarstw domowych oraz wodę deszczową i spuszczała je dwadzieścia kilometrów poniżej London Bridge. Dzięki temu teraz pod naszymi stopami biegnie równoległe do Tamizy pięć głównych kanałów stanowiących ujście dla mniejszych, tworzących wraz z nimi złożony labirynt, który w przyszłości miał otrzymać przywilej ukrywania ostatnich przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Mojego ojca z pewnością ucieszyłaby wieść, że to, co uważał za jedno z największych osiągnięć nauki, dotrwa do roku dwutysięcznego.

Dostaliśmy się do londyńskich kanałów w najprostszy sposób – unosząc właz, na jaki natknęliśmy się najbliżej Primrose Hill. Potem zeszliśmy po przytwierdzonej do ściany żardzewiałej drabinie. Gdy bez przygód dotarliśmy na dno, co uznałem za autentyczny wyczyn, biorąc pod uwagę kiepskie oświetlenie, Shackleton wziął na siebie rolę przewodnika. Przez kilka sekund rozglądał się w skupieniu, po czym powiodł nas wąskim krętym kanałem, którym musieliśmy się poruszać niemal na oślep, póki nie dotarliśmy do innego, który według mojego rozeznania musiał być jednym z trzech wielkich kanałów biegnących na północ od Tamizy.

Pierwszym, co poczuliśmy, był potworny, nieopisany smród, który przeszył nasze nozdrza i zagnieździł się w mózgach, zatruwając nawet najbardziej odległe wspomnienia. Na szczęście ten kanał oświetlały lampki zawieszane w regularnych odstępach na ścianie,

której cegły pokrywał obrzydliwy szlam. Anemiczne światło latarenek uspokoiło nieco damy, a nam pozwoliło zorientować się z grubsza w wyglądzie miejsca, po którym mieliśmy się przemieszczać przez najbliższe godziny w kierunku Queen's Gate. Ciągący się w nieskończoność kanał był łukowato sklepionym tunelem, od którego po bokach odchodziły węższe, wyglądające jednak na równie długie. Przypuszczałem, że większość z nich służy do odprowadzania nieczystości do kanału głównego, a wiele innych biegnie do zbiorników czy przepompowni. Inne kierunki nie przychodziły mi do głowy: kanały mogły wieść dosłownie wszędzie, do najbardziej trywialnych miejsc, lecz byłem wdzięczny losowi, że nie muszę się tego dowiadywać. Środkiem głównego płynął grudkowaty cuchnący muł, na który staraliśmy się nie patrzeć, jako że niósł nie tylko wszelkiego typu odchody, lecz także inne niespodzianki. Przedefilował przed nami trup kota, przyglądając nam się szklistymi oczami w drodze do kociego rajku, do którego być może prowadził jeden z tych kanałów. Pomyślałem z całkowitą pewnością, że gdybym przypadkiem wpadł nogą do tego strumienia, musiałbym ją sobie amputować. Nie mógłbym żyć dalej, wiedząc, że część mnie dotknęła tej niewymownej obrzydliwości. Na szczęście po obu stronach znajdowały się ceglane półki dostatecznie szerokie, byśmy mogli iść po nich w parach, o ile nie będzie nas kłopotać konieczność dzielenia ich ze szczurami. Niektóre z nich przebiegały nam obok butów i znikwały w mroku.

Szliśmy, walcząc z mdłościami i uważając, by się nie pośliznąć na szlamie pokrywającym fragmenty chodnika. Wędrowaliśmy w wilgotnym chłodzie i całkowitej ciszy przerywanej jedynie sporadycznym gulgotaniem połykanych przez kanały nieczystości. W porównaniu z kanonadą i wiecznym zawodzeniem dzwonów, które musiałem znosić na powierzchni, ten dźwięk wydał mi się wręcz kojący.

Idąc na końcu pochodu z agentem Claytonem, wreszcie miałem kilka minut spokoju na przemyślenie naszych planów. Mimo wyjaśnień Wellsa byłem przekonany, że nie powinniśmy opuszczać Londynu. Że to los, a nie kapryśny przypadek, kazał nam stworzyć tę malowniczą drużynę w jakimś konkretnym celu. Czy zestawilby tak zróżnicowaną gromadkę tylko po to, by miała uciec z miasta? Czy nie należało raczej sądzić, że każde z nas jest tu dlatego, iż ma do odegrania pewną rolę w pokonaniu Marsjan? Oczywiście, że to bardziej logiczne, powiedziałem sobie, lustrując wzrokiem każde z ogniów naszego łańcuszka i starając się odgadnąć jego funkcję. Podarowałem sobie jedynie kapitana Shackletona, maszerującego na przedzie, całkowicie ignorującego fetor i czujnie prowadzącego nas przez labirynt kanałów, bo jasne było, że jego zadanie, jakiegokolwiek jest, okaże się kluczowe. Za kapitanem szli Wellsowie, wyraźnie uradowani z faktu, że znów są razem, choć zarazem przygnębieni postępem inwazji. Przypuszczałem, że dla powstrzymania Marsjan obecność w naszym gronie jedyne go pisarza, który opisał pozaziemski najazd, jest nieodzowna, i muszę przyznać, że mimo niedawnej dyskusji cieszyła mnie ona i uspokajała, bo choć fizyczne bohaterstwo nie wydawało się jego przeznaczeniem, uważałem go za jednego z najinteligentniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Za Wellsem, skrywając twarz za delikatną chusteczką, szła Amerykanka, której rola stanowiła dla mnie całkowitą zagadkę, chyba że było nią okiełznanie nieokiełznanego Gilliana Murraya. Zaledwie kilka minut wcześniej sądziłem, że przedsiębiorca, który dokonał cudu przeniesienia nas w rok dwutysięczny i nosił przydomek Pan Czasu, od dwóch lat jest martwy, tak bowiem donosiły ówczesne gazety. Wyglądało na to, że Murray posiada klucz nie tylko do czwartego wymiaru, lecz także w zaświaty, skąd ewidentnie powrócił. Zastanawiałem się, jakie zadanie przypadnie jemu – o ile miał jakiegokolwiek oprócz opieki nad panną Harlow i ośmieszania Shackletona. Za

nim kroczył posłusznie Harold, być może zadający sobie pytanie, co go skłoniło do opuszczenia piwnicy na Queen's Gate tylko po to, by parę godzin później do niej wracać, po raz drugi ryzykując życie. Przypuszczałem, że spośród nas wszystkich woźnica był najmniej potrzebny. Być może nie miał do odegrania żadnej roli poza zawiezieniem Shackletona i mnie na wzgórze. Ostatnim członkiem grupy był agent Clayton, idący obok mnie aroganckim krokiem z krzywym uśmiechem na ustach. Jego rola była tak oczywista, że chyba nie muszę o niej pisać. Pozostawał jeszcze jeden członek drużyny: ja. Jeśli istotnie nasza drużyna została zawiązana w celu powstrzymania inwazji, jakie było moje zadanie? Być może, pomyślałem z odrobiną strachu, było nim jedynie ułatwienie kontaktu między Shackletonem a resztą grupy. Tak, możliwe, że nieświadomie wykonałem już swoją pracę, a teraz śmierć mogła mnie zabrać, podobnie jak Harolda, bez uszczerbku dla drużyny.

Szedłem tak pogrążony w myślach, gdy nagle małżonka Wellsa potknęła się o rąbek sukni i spektakularnie upadła na ziemię, omal nie pociągając pisarza za sobą. Murray i Emma rzucili jej się na pomoc, a ja zanotowałem sobie w pamięci, by po dotarciu na Queen's Gate polecić wszystkim kobietom, aby przed zejściem do kanałów wzięły przykład z Amerykanki i przebrały się w coś bardziej praktycznego. Na szczęście upadek Jane zakończył się jedynie lekkim skręceniem lewej kostki.

Szliśmy już dość długo, więc choć Shackleton nas poganiał, z pewnością pragnąc jak najszybciej wrócić w ramiona Claire, całą grupą podjęliśmy decyzję o zrobieniu krótkiej przerwy, by małżonka pisarza trochę ochłonęła. Wykorzystaliśmy ten czas na opowiedzenie sobie o okropnościach, które przeżyliśmy, nim los zetknął nas ze sobą na Primrose Hill. Ja opowiedziałem o bitwie na Tamizie i o tym, jak Marsjanie z potworną łatwością, a nawet od niechcenia, unicestwili jeden z naszych niszczycieli, a Wells streścił kapitanowi, woźnicy i mnie perypetie swoje i towarzyszy. Dowiedziałem się, że przybyli do Londynu ze wspólnych pastwisk Horsell, ścigani przez Marsjan, zdołali się wśliznąć do miasta, zanim jeszcze kordon wojska został przerwany przez agresorów, po czym jeździli tu i ówdzie, wykreślając tak skomplikowany labirynt, że w tej chwili nie potrafię go dokładnie przywołać. Wystarczy wspomnieć, że w czasie tej pielgrzymki przydarzyło im się coś niebywałego: spotkali Marsjanina. Próbowali opisać jego wygląd, lecz trudno mi było go sobie wyobrazić, zwłaszcza że sami nie potrafili dojść do porozumienia. Zgadzała się jedynie, że Marsjanie są potworni, jednak najbardziej wstrząsająca nie była ich prawdziwa powłoka, tylko to, że potrafią przybierać ludzki wygląd. Wells podejrzewał nawet, że od dawna, nawet od wieków, żyli wśród nas, podając się za ludzi. Zazartowałem, że być może się z którymś zetknąłem, bo miewam przyjaciół tak zwariowanych, że dałoby się ich uznać za istoty z innej planety, lecz mój żart nikogo nie rozbawił. Mimo to rozpiełała mnie euforia. Widziałem w nas drużynę śmiazków wybranych przez los do uratowania ludzkości.

Kiedy rozmowa ucichła, wyjąłem papierosa i zacząłem się rozglądać za miejscem, w którym mógłbym go spokojnie wypalić. Potrzebowałem chwili samotności, by się zastanowić nad naszym położeniem. Po prawej stronie odkryłem pośród niezliczonych luków tunel, który zdawał się wieść w nieskończoność albo i dalej, i wszedłem weń, nie zamierzając się zbytnio oddalać. Machinalnie przeszedłem kilka kroków i nagle zobaczyłem uchylone drzwi. Zaciekawiony pchnąłem je i ujrzałem niewielki magazyn wypełniony narzędziami oraz materiałami budowlanymi. Rzuciłem na nie okiem, by sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co mogłoby się nam przydać, ale nic nie znalazłem albo – co na jedno wychodzi – znalazłem wszystko: biorąc pod uwagę, że nie wiedziałem,

co będziemy robić, każda znajdująca się tu rzecz mogła się nam przydać lub nie. W końcu usiadłem na ogromnej skrzyni stojącej obok wejścia, paląc i myśląc o szoku, jaki przeżyje Victoria, gdy zamiast wrócić z niepokonaną armią z przyszłości, przyprowadzę do piwnicy tę różnorodną, obdartą gromadkę i powiem, że nasz plan polega na ucieczce z Londynu nie wiadomo dokąd przez cuchnące kanały.

Wtedy w tunelu rozbrzmiały głosy. Wyglądało na to, że kogoś dopadła ta sama potrzeba samotności co mnie. Zakląłem. Niezależnie od tego, jak długi był system tuneli, nie dawał szans na odrobinę prywatności. Potrząsnąłem głową jak otrzepujący się z wody pies, by się pozbyć zmęczenia, które niewątpliwie skryzalizowało się na mojej twarzy, i przywołać na usta obowiązkowy uśmiech na użytek nadchodzącej osoby, o ile ta zajrzy do magazynu. Na szczęście, choć zatrzymała się przy drzwiach, nie próbowała ich otworzyć. A raczej – nie próbowali, gdyż usłyszawszy głosy, rozpoznałem Amerykankę i przedsiębiorcę.

– Gilliamie – mówiła panna Harlow – jesteś niesprawiedliwy wobec kapitana Shackletona. To, co o nim wiesz, nie daje ci prawa do rozmawiania z nim w taki sposób.

Zaskoczony wymówką, nadstawiłem uszu. Co miała na myśli Emma? Co Murray wiedział o kapitanie?

– Nie sądzę... – zaczął protestować.

– Twoje komentarze są krzywdzące, a przede wszystkim niesprawiedliwe – przerwała mu dziewczyna. – W tej chwili wszyscy potrzebujemy powodu, by się nie poddawać.

– Ja już go mam, Emmo, i dobrze o tym wiesz.

– Tak, Gilliamie – odparła z czułością. – Chociaż tobie akurat nie był on niezbędny. Ty, wielki Gilliam Murray, Pan Czasu, nie potrzebujesz wiary w nikogo ani w nic. Ale inni tak. I jestem przekonana, że wiara w Shackletona jest teraz ich jedyną siłą. – Przerwała na moment. – To twoja wina – dodała.

– Moja? – obruszył się przedsiębiorca. – A to dlaczego?

– Och, nie udawaj niewiniątka: otworzyłeś mu drzwi do naszego świata, wrywając go z jego własnego i odciągając od losu, który był mu pisany. Jeśli teraz jest wśród nas, to dlatego, że przedstawiłeś go wszystkim jako zbawcę ludzkości. A w momencie kiedy wszyscy w niego wierzą, chcesz go zniszczyć?

– Dobrze już, dobrze – wycedził przez zaciśnięte zęby przedsiębiorca. – Do diabła, Emmo, masz rację! Nie wiem, dlaczego się tak zachowuję. Ale kapitan nie jest odpowiedzią na ich modlitwy! – skontrował z furią, po czym dodał szeptem: – I dobrze o tym wiesz. Oboje wiemy.

– To, że my nie mamy nadziei, nie daje nam prawa do odbierania jej pozostałym, Gilliamie – odparła Emma z tą chłodną łagodnością, która zawsze uspokajała Murraya, tak jak świst bata uspokaja tygrysa.

„O czym oni mówią?” – zastanawiałem się. „Dlaczego nie mamy pokładać nadziei w bohaterze z przyszłości? Co o nim wiedzą Emma i Gilliam?” Pytań było mnóstwo, a moi przypadkowi powiernicy nie wydawali się chętni do udzielenia odpowiedzi.

– Powinniśmy już wracać – odezwała się szorstko dziewczyna.

– Zaczekaj – poprosił Murray, po czym usłyszałem szelest materiału, sugerujący, że przedsiębiorca złapał dziewczynę za ramię. – Nie mieliśmy okazji porozmawiać na osobności, odkąd opuściliśmy piwnicę Clayтона... a ja muszę poznać twoją odpowiedź. Mam wrażenie, że mnie unikasz od chwili mego wyznania. Kilka razy zauważyłem, że na mnie patrzysz, a potem gwałtownie odwracasz wzrok.

Jeśli teraz odkryją moją obecność, sytuacja stanie się nad wyraz niezręczna,

pomyślałem zrezygnowany, przeczuwając miłosną sprzeczkę. Zsunąłem się ze skrzyni i ukryłem za nią, starając się to zrobić jak najciszej. Rzuciłem niedopałek na podłogę, zgasilem butem, by nie zdradził mnie dym, i modliłem się, żeby żadnemu z nich nie przyszło do głowy zajrzeć za skrzynię, jeśli wejdą do magazynu w poszukiwaniu większej prywatności. Gdyby mnie znaleźli, niełatwo by mi było wyjaśnić, co tu robię zwinięty w kłębek niczym pancernik.

– Och, na litość boską! – zaprotestowała dziewczyna. – Wcale nie!

– Ależ owszem.

– Gilliamie, zapewniam cię, że...

– Powiedz mi tylko jedno, Emmo – przerwał jej oskarżycielsko Murray. – Pomyliłem się, powierzając ci swoją tajemnicę, prawda? Zamiast cię w sobie rozkochać, wzbudziłem twoją pogardę.

– Jak możesz tak mówić! Bynajmniej tobą nie gardzę! Dlaczego ty nigdy nie rozumiesz tego, co...

– To oczywiście, że moje wyznanie odniosło skutek zgoła przeciwny do zamierzonego – stwierdził niewzruszony Murray, zupełnie jakby nie słyszał jej słów. Jego tyradzie towarzyszył stukot butów, jakby przedsiębiorca zaczął się przechadzać po tunelu. – Przypuszczam, że ta część ciebie, która uważa, iż istnieje tylko jeden poprawny sposób postępowania nawet w tak niepoprawnym świecie, czuje do mnie wstręt...

– Gilliam...

– Zdążyłaś sobie przemyśleć historię, którą ci opowiedziałem, i... i taki jest wynik. Chciałem twojej miłości, a stałem się najbardziej wzgardzoną przez ciebie osobą na tym leż padole...

– Wzgardzoną? Gilliamie, ja...

– Brawo, Murray, brawo! Świetnie ci poszło, przyjacielu! Lepiej nie mogłeś zagrać! – użalał się nad sobą przedsiębiorca. – Ale skoro już wszystko stracone, pozwól przynajmniej, żebym ci powiedział, że mi przykro, Emmo...

– Jeśli dopuścisz mnie do głosu...

– Emmo Harlow! – huknął Murray tak władczo, że nawet ja odruchowo wyprężyłem się jak struna w swojej kryjówce. – Chcę, żebyś wiedziała, że ostatnie dni były najszcześniejszymi w moim bezsensownym i bezcelowym życiu. Być przy tobie, pocieszać cię, gdy płaczesz, rozbawiać cię, czasem nawet rozgniewać, albo po prostu wylapywać twoje spojrzenia...

– W moim też.

– To wszystko było cudowne, Emmo, czy w to wierzysz czy nie! A jeśli wymagało to przylotu paru Marsjan, którzy zrobili z naszej planety rzeźnię, to proszę bardzo! Ta inwazja wydaje mi się najlepszą od dawna rzeczą, jaka nam się przydarzyła, i urwę głowę każdemu, kto ośmieli się twierdzić inaczej!

– Na szczęście się z tobą zgadzam – zaśmiała się Emma.

– I nic mnie nie obchodzi, że moje zdanie wydaje ci się okrutne albo nawet... Co? Czekaj... Co powiedziałaś? „W moim też”?

Jej śmiech wprost zaparł mi dech w piersiach. Jakim cudem dziewczyna o tak niemiłej aparycji mogła się tak uroczo śmiać?

– Och, Gilliamie, Gilliamie. – Omal nie zadławiła się śmiechem. – Cały czas usiłuję ci to powiedzieć. Dla mnie też były to najszcześniejsze dni w życiu. – Śmiech nie pozwolił jej skończyć. – Czy to nie szalone? Świat ginie, a my...

– Na Boga! A my świętujemy! – Murray także roześmiał się serdecznie.

– Właśnie, właśnie... Nasze najlepsze dni! Naprawdę to powiedzieliśmy? Ojej...

– A ja, zakochany idiota, robiłem ci wymówki! – Śmiech przedsiębiorcy zalał tunel niczym rwący potok.

– A ja... a ja cię prosiłam, żebyś mnie w sobie rozkochał, kiedy...

– Kiedy świat szedł do diabła! – Śmiech obojga splół się niczym blask światełek mijających się w locie.

– Ale to szaleństwo... szaleństwo, nie widzisz? – mówiła Emma, zacinając się uroczo z braku tchu i stopniowo poważniejąc, podczas gdy ja w swojej kryjówce kiwałem gwałtownie głową, zadowolony, że przynajmniej jedno z nich w końcu odzyskuje rozum.

– Pomyśl tylko! Marsjanie niszczą Londyn, a my rozmawiamy o miłości, jakbyśmy byli na tańcach... Och, Gilliamie... – Posmutniała nagle. – Zresztą i tak nie ma znaczenia, czy jestem w tobie zakochana, nie rozumiesz?

– Nie. Oświeć mnie, proszę. Pamiętaj, że jestem *petit imbecile*.

– Boże... – Wyobraziłem sobie, jak dziewczyna załamuje ręce. Jej udawana wściekłość z trudem powstrzymywała kolejny atak wesołości. – Mogę tylko mieć nadzieję, że zginę wcześniej niż ty, bo jesteś najbardziej irytującym człowiekiem, z jakim można by przetrwać marsjańską inwazję.

– Ach tak? A ja wyobrażam sobie tylko jeden powód, by pragnąć przetrwania na tej planecie wyłącznie u boku tak aroganckiej, zimnej i upartej panny jak ty!

Emma musiała zapytać o ten powód wzrokiem, być może w obawie, że barwa jej głosu zdradzi falę emocji, która bez wątpienia się przez nią przelewała. Słowa Murraya zdawały się rzeźbić w powietrzu.

– Móc wreszcie cię pocałować bez obaw, że przeszkodzą nam słynny pisarz H.G. Wells i agent specjalny Cornelius Clayton.

Po kilku sekundach napiętej ciszy znów usłyszałem śmiech dziewczyny, tak zaraźliwy, że sam się uśmiechnąłem, mimo że nie pojąłem żartu Murraya. I nagle cudownie perliste dźwięki umilkły jak nożem uciął. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, by zrozumieć, że cisza, która ponownie zaległa w tunelu, tym razem wynika z faktu, że przedsiębiorca postanowił pocałować Emmę, nie czekając na to, aż będą ostatnimi żywymi ludźmi na planecie, i mimo wciąż aktualnego zagrożenia ze strony Wellsa i agenta Clayтона. Po kilku sekundach usłyszałem, jak z ust dziewczyny dobywa się cichutki jęk, a może westchnienie, a potem dobiegł mnie szelest ubrań dwóch odsuwających się od siebie powoli i niechętnie ciał.

– Kocham cię, Gilliamie – powiedziała Emma. – Nigdy nie sądziłam, że się w kimś tak zakocham.

Jak mam opisać drżenie jej głosu? Jak mogę swoim kiepskim piórem przekazać to, co musiał czuć Murray na dźwięk jej słów, co ja sam poczułem w swojej smutnej kryjówce? Emma wypowiedziała te słowa w sposób słodki i uroczysty zarazem, świadoma, że mówi je po raz pierwszy. Czekala latami, nie sądząc, że kiedykolwiek nadejdzie ich dzień, a tym bardziej że ów dzień zaskoczy ją nie w cieplarni albo ogrodzie, pośród pięknych i jakże odpowiednich na tę okazję kwiatów, tylko w cuchnących kanałach Londynu, których jedyną wątpliwą ozdobą były szczury. W końcu jednak ten moment nastąpił, i tylko to się liczyło, a ona wyrzekła te słowa tak, jak należało – niczym prastare zaklęcie, jak gdyby głos dobywał się prosto z serca, nie zaś z gardła. Były to słowa na wskroś szczerze – te same, które tyle razy słyszałem z ust kochanek, aktorów, przyjaciół, lecz przesycone emocjami tak wstrząsająco czystymi, że wyznania pozostałych brzmiały przy nich jak nędzne wprawki, garść żalonych prób połączenia słów z uczuciami w sposób tak

naturalny, jak Stwórca połączył owoc z gałęzią. Przede wszystkim jednak, pomyślałem ze smutkiem, dziewczyna wypowiedziała je z pełną świadomością, że biorąc pod uwagę okoliczności, może nie mieć zbyt wielu okazji do ich powtórzenia.

– Będzie mi łatwiej umierać, wiedząc to – rzekł Murray, równie jak ja wzruszony głęboką szczerością dziewczyny.

– Uświadomiłam to sobie w piwnicy Claytona, słuchając twych wyznań – kontynuowała Emma. – Od tamtej pory ze wszystkich sił starałam się to ukryć. Przepraszam, Gilliamie... Kiedy odkryłam, że zakochałam się po raz pierwszy w życiu, poczułam jedynie wielki żal. Zastanawiałam się, co mi przyjdzie z tej miłości, skoro za kilka godzin skończy się świat. – Jej głos drżał jak uschnięta gałązka. – Myślałam, że jeśli ją przyjmę, oboje będziemy cierpieć o wiele bardziej. Nie chcę patrzeć na śmierć ukochanego ani umierać, gdy wreszcie go znalazłam! Dlatego próbowałam odmawiać sobie tego uczucia... Widzę jednak, że Panu Czasu nie można niczego odmówić.

– Nadałaś mi tytuł, który będę nosił ze znacznie większą dumą: Najszczęśliwszego Człowieka Świata.

– Chciałeś powiedzieć: umarłego świata – poprawiła z rozpaczą. – Spotkaliśmy się za późno...

– Za późno? Nie, Emmo, nie. W domu swojej ciotki powiedziałaś mi, że nigdy więcej nie przestaniesz marzyć. Że nosisz w sercu mapę nieba... i że ona strzeże twoich marzeń. W marzeniach czas nie istnieje, Emmo. Podobnie jak na różowych równinach czwartego wymiaru, zegary się tam zatrzymują...

W długiej ciszy, która zaległa po jego słowach, zdradzając kolejny namiętny pocałunek, westchnąłem najdyskretniej jak mogłem, usiłując się pozbyć dławiącego ucisku w gardle. Zawsze twierdziłem, że miłość, którą czuje jeden człowiek, innym wydaje się dziwna, jeśli nie żałosna; że ów skomplikowany rytuał wywołuje w nich zażenowanie. Czuję się wręcz zobowiązany do spisywania z każdą ze swych partnerek naszego prywatnego vademecum uczuciowego, nawet jeśli wypowiadałem te pretensjonalne słowa z ironicznym dystansem. Spisywałem je nie dlatego, że w nie wierzyłem, lecz dlatego, że mój duch rywalizacji wymagał, bym starał się być najlepszy we wszystkim, co robię. Skoro, nad czym ubolewałem, żyliśmy w świecie, w którym od dżentelmenów wymagało się wszelkiego typu groteskowych manifestacji uczuć, dostosowywałem się do wymagań najlepiej jak potrafiłem. Jak można jednak wnioskować z moich lekceważących wypowiedzi, w istocie byłem przekonany, że miłość w pełnym tego słowa znaczeniu nie istnieje. Sądziłem, że to, co za nią uważają, jest w gruncie rzeczy mniej lub bardziej zabawnym, przesadnym lub wręcz patetycznym sposobem radzenia sobie ze strachem przed samotnością, nudą albo wiecznym smażeniem się w piekle pożądania. To, co czułem do swojej małżonki, było zaledwie letnim afektem, mglistą czułością, przychodzącą i odchodzącą w zależności od tego, z której strony powiał wiatr, i byłem pewien, że to nie wina Victorii, lecz tego, iż sam nie jestem zdolny kochać w inny sposób. Dlaczego zatem w ogóle się ożeniłem? Wyłącznie dlatego, że miałem ochotę być żonaty, założyć rodzinę, przestać trwonić majątek ojca na ulotne przyjemności i cieszyć się spokojnym złudzeniem budowania z kimś przyszłości. Jak widać, ten mój sposób kochania, tak nędzny, interesowny i niewłaściwy, bardzo się różnił od tego, któremu oddawał się Murray. Uświadomiwszy to sobie, poczułem ogromny żal. Miałem zejść z tego świata, nie zaznawszy miłości, a co gorsza, nie doceniwszy miłości tych wszystkich kobiet, które mnie nią obdarowały.

Ta ewidentna niezdolność do kochania zawsze warunkowała moje życie. Teraz

również: odkąd opuściłem dom wuja, myślałem głównie o tym, jak pokonać Marsjan i uratować ludzkość, wciąż stanowiącą pojęcie dość mgliste, bo ludzkości nie dało się objąć, wziąć do łóżka, rozbawić. Kogo właściwie chciałem ratować? Nikogo, pomyślałem z przerażeniem i nieskończonym żalem. Nikogo konkretnego. Oczywiście pragnąłem, żeby moja żona przeżyła, podobnie jak Andrew i jego małżonka, ale nie ze względu na nich, lecz na siebie, jako że ich nagłe zniknięcie z pewnością źle by mnie nastroiło. Dlatego uciekałem w abstrakcyjne pojęcie ludzkości. Wiele bym dał za to, żeby w tamtej chwili w jakimś miejscu na Ziemi był ktoś, czyja śmierć naprawdę potrafiłaby mnie przygnębić, wywołać we mnie większy ból niż własna. Niestety, pomyślałem z goryczą, pośród tych wszystkich milionów ludzi zamieszkujących naszą planetę nie ma ani jednej istoty, którą bym bezinteresownie kochał. Trójnogi zabijały przedstawicieli mojej rasy, a ja nie potrafiłem żałować żadnego z nich z osobna. Nie było nikogo, kto jaśniałby bardziej niż wszyscy inni, tak jak Claire jaśniała dla Shackletona, a Emma dla Murraya. Ja tylko czułem żal z powodu giniecia gatunku złożonego z mglistych stworzeń noszących miano ludzkości. Gatunku, do którego tak bezwstydnie przynależałem.

Moje oczy wciąż zachodzą łzami na wspomnienie tamtej chwili, choć wtedy skwitowałem swą nowo odkrytą wrażliwość ironicznym uśmieszkiem. I choć ręka drży mi tak mocno, że z trudem udaje mi się czytelnie pisać, nie chciałbym skończyć, póki nie poinformuję czytelnika, że opisałem te wydarzenia tak szczegółowo nie po to, by uwiecznić odkrycie, którym stało się dla mnie poznanie prawdziwego sensu miłości, lecz aby zachować pamięć szlachetnych i delikatnych uczuć, które potrafią w sobie odnaleźć lepsze i bardziej wyrafinowane osobniki naszego gatunku. Być może inne istoty we wszechświecie znają coś podobnego do miłości, lecz miłość człowieka jest jedyna w swoim rodzaju i umrze wraz z nim. A wtedy wszechświat, mimo swego nieogarnionego ogromu i pozornej nieskończoności, nie będzie już kompletny. Jeśli to nastąpi, być może me słowa, słowa kogoś, kto nigdy nie nauczył się kochać, zdołają wzbudzić miłość w sercu tego, kto je przeczyta.

Następnego ranka Marsjanie wysiali Charlesa i garść innych więźniów do wnętrza piramidy. Po raz pierwszy znalazł się w jej trzewiach. Dotąd pracował zawsze na powierzchni, nosił i montował ciężkie belki pozwalające piąć się budowli w niebo z powolnością stalagmitu. Kilka miesięcy wcześniej byłby może ogromnie ciekaw, jak wygląda w środku, lecz tego ranka odczuł jedynie lekki dyskomfort na myśl o konsekwencjach zdrowotnych przebywania w pobliżu miejsca wydzielającego truciznę. Prawdopodobnie jeszcze bardziej podupadnie na zdrowiu i nie zdoła nawet dokończyć dziennika. Ci, którzy pracowali w głębi urzędnictwa, na ogół umierali po kilku dniach, więc aby nie marnować zasobów ludzkich, Marsjanie woleli posyłać tam takich, którzy już byli chorzy. Jeśli obroża, która prawdopodobnie badała krew więźnia dzięki wbijającym się w skórę drucikom, uznawała cię za gotowego do udania się w głąb piramidy, byłeś już trupem. Co bynajmniej nie dziwiło Charlesa, który wiedział, że śmierć go naznaczyła, odkąd po raz pierwszy jego kaszel wyrysował na ziemi czerwony kwiat z zielonkawymi plamkami.

Weszli do środka przez okrągłe włazy w ziemi obok podstawy piramidy, zeszli po przytwierdzonych do ściany schodkach i znaleźli się w wąskim tunelu, którego brzegi emitowały lekki zielonkawy poblask. Szli w szeregu za prowadzącym ich Marsjaninem. Przed Charlesem znajdował się Ashton, który swego czasu pomógł mu zdobyć cenny zeszyt, i choć próbował się poruszać z udawaną fanfaronadą, z którą niegdyś obnosił się pewnie po zaułkach swojej dzielnicy, jakiejś śmierdzącej dziury w East Endzie, Charles odniósł wrażenie, że dostrzega na jego brudnej szyi krople potu. Za nim kroczył młody Garvin, zaledwie czternastoletni, który w momencie inwazji był jeszcze dzieckiem. Słyszając jego szybki oddech, Charles odwrócił się i zobaczył twarzyczkę, która w widmowym blasku, z przerażonymi oczyma i mokrymi od łez zapadniętymi policzkami, wyglądała niemal trupio, niczym duch chłopca, który snuje się ponuro po korytarzach dawnego domu, nie rozumiejąc, że jest martwy. Charles znów spojrzął przed siebie, na brudny kark Ashtona, nie ofiarowawszy chłopcu nawet uśmiechu ani słowa otuchy. Co miałby mu powiedzieć? Otucha była jedną z wielu rzeczy na Ziemi, które Marsjanie wypełnili.

Po kilkuminutowej wędrówce przez tunel, od którego co rusz odchodziły ignorowane przez przewodnika odgałęzienia, dotarli do jego wylotu. W oddali widniał łuk, a za nim można było dostrzec salę fosforyzującą w ten sam sposób co ściany, tylko znacznie bardziej intensywnie. Idąc w jej stronę, Charles zastanawiał się, czy stanowi ona centrum piramidy. Nie wiedział również, czy wciąż znajdują się pod ziemią, czy też, jak mu się w pewnym momencie wydało, posuwają się nieznacznie w górę i są teraz na wyższym poziomie. Choć jego kroki brzmiały, jakby pod podłogą była pustka, musiał przyznać, że czuje się, jakby się znajdował wiele metrów pod ziemią, a to z powodu ciężkiego i stęchłego powietrza, które zdawało się liczyć tysiące lat i strasznie drapało w gardle. W miarę jak zbliżali się do łuku oddzielającego tunel od emitującego blask pomieszczenia, wszystkie te pytania ucichły jednak, pozostawiając miejsce tylko na jedno: co jest w środku? W ciągu ostatnich dwóch lat widział wiele rzeczy, które omal nie przyprawiły go o utratę zmysłów, lecz nic nie przygotowało go na to, co miał zobaczyć wewnątrz tej sali. Niespokojni i niezdecydowani więźniowie stłoczyli się u wejścia, zasłaniając dłońmi oczy osłepione zielonym blaskiem tak jaskrawym, że niemal się go słyszało i czuło. Kiedy przywykli już do jasności, rozejrzeli się, mrugając w oszołomieniu, i długo nie mogli

pojąć, na co patrzą, jak gdyby ich wzrok zetknął się ze straszną lamigłówką, możliwą do zrozumienia dopiero po wiekach obserwacji.

Okrągła sala liczyła nie więcej niż piętnaście metrów średnicy, lecz musiała być wysoka jak katedra, bo sufitu wcale nie dało się zobaczyć. Środek pomieszczenia był pusty, ale ściany otoczono mnóstwem zbiorników z przejrzystego, przypominającego szkło materiału, które ciągnęły się w górę i znikwały w ciemnościach niczym puszczalki organów. Rury te wypełniał gęsty zielony płyn podobny do syropu. To on zdawał się emitować wszechobecny blask. A wewnątrz olbrzymich zbiorników leniwie dryfowały ciała – setki maleńkich delikatnych ciałek ludzkich niemowląt, na widok których twarz Charlesa wykrzywiło przerażenie. Jak w transie obserwował ławicę noworodków zanurzonych w tym piekielnym akwarium niczym owoce w zielonej galarecie. Z brzusków wystawało im coś, co Charles wziął za pępowiny, lecz po dokładniejszym wejrzeniu doszedł do wniosku, że te ogonki nie są organiczne: były to kable z nieznanego mu materiału, wychodzące z brzusków dzieci i znikające w dnie zbiornika niczym linki przytrzymujące makabryczne boje pływające w kleistym oceanie. Dzieci kołysały się łagodnie, ciężko poruszając rączkami i nóżkami, jakby biegły we śnie. Najstraszniejsze ze wszystkiego było jednak to, że miały otwarte czaszki z widokiem na delikatne mózdzki, od których odchodziła płatanina cieniotkich drucików, unoszących się wokół główek niczym włoski czochrane przez nieistniejący wiatr. Z końcówek tych sztucznych loczków w równych odstępach dobywał się złotawy blask i biegł przez ohydny płyn ku górze, po czym znikał w mętnych ciemnościach jak koszmarny meteor. Biorąc pod uwagę częstotliwość tych błysków, można było odnieść wrażenie, że snu dzieci strzeże stado monstualnych świetlików.

Na widok tej potworności więźniowie zaczęli wymiotować. Strażnicy beznamiętnie zaczekali, aż skończą, być może przyzwyczajeni, że tak samo zachowuje się każda nowa grupa. Gdy więźniowie opróżnili żołądki na podłogę, Marsjanie wyszcekali rozkazy. Ziemianie mieli przetoczyć do sali ogromne beczki z pobliskiego magazynu, a potem podłączyć je do urządzenia przymocowanego na końcu akwarium z dziećmi, którego zadaniem zdawała się wymiana płynu w zbiorniku. Więźniowie zabrali się do pracy w całkowitym milczeniu, pod czujnym okiem straży, od czasu do czasu wymieniając jedynie przerażone lub skonsternowane spojrzenia. Charles raz po raz zerkał na złowróżbną witrynę, starając się zrozumieć, na co patrzy. Machinalnie tocząc beczki z jednego miejsca na drugie, wyteżał umysł, by pojąć ideę makabrycznego urządzenia. Wyglądało na to, że zadaniem poczętych w obozie prokreacyjnym dzieci nie było, jak dotąd sądzili, zastąpienie w przyszłości starszych więźniów i zapewnienie ciągłości pracy. Teraz uświadamiał sobie z pełną jasnością, że piramida będzie gotowa na długo przed dorośnięciem dzieci. Nie – Marsjanie zmuszali ich do płodzenia nowych istot po to, by mogły działać rozsiane po świecie piramidy. A może błędnie interpretował tę potworność? Pewne było, że poprzez przymocowane do mózgów druciki Marsjanie wysysają coś z dzieci – coś, co następnie pięło się w postaci złotawego blasku. Tylko co to jest? Dusze? Czyżby marsjańskie urządzenie napędzały dziecięce duszyczki? Nie miał pojęcia, co sądzić, lecz bez wątpienia te dzieci miały coś, co Marsjanie uznali za niezbędnę. Cokolwiek to było, służyło im zapewne do produkcji czegoś w rodzaju paliwa, które wytwarzane w innej części piramidy, wprawiało ją w ruch. Wówczas Charlesowi przyszła do głowy powieść Mary Shelley, w której doktor Frankenstein ożywia zrobione z fragmentów ciał monstrum za pomocą wyładowania elektrycznego. Czy ciało ludzkie zawierało coś takiego? Coś, co można było wyssać i wykorzystać w podobny sposób, by

tchnąć życie w coś nieożywionego? Wyglądało na to, że jego dusza, to, czym był, ta abstrakcja obejmująca zbiór jego myśli, marzeń, woli i wszystkiego, co śmierć definitywnie ciału odbiera, może być użyta przez Marsjan jako paliwo.

Nagle w jego myśli wdarł się jakiś łoskot. Charles spojrział w głąb tunelu i zobaczył, że Gavin zemdłał z wysiłku tak pechowo, iż beczka, którą akurat toczył, przeturlała mu się po nogach. Usłyszeli szcęk łamanych w kilku miejscach kości. Strażnicy wymienili spojrzenia i po kilku sekundach obroża chłopca wydała znany wszystkim dźwięk, a wciąż nieprzytomny Gavin zaczął się groteskowo podnosić. Gdy już stał z głową zwieszoną na piersi jak wahadło, ruszył na powykręcanych pod niewyobrażalnymi kątami nogach w stronę wyjścia. Charles z przerażeniem patrzył, jak chłopak wychodzi z piramidy, i modlił się, by wpadł do leja, nim odzyska przytomność.

Tego wieczoru po powrocie do celi, z otwartym zeszytem na stole, nie potrafił przestać myśleć o wesołym chwacie, jakim był Gavin w pierwszych miesiącach niewoli. Wspomniawszy, jak chłopak na ochotnika zgłosił się do tworzonej przez Shackletona grupy buntowników, dumny, że wyszedł cało z ataku trójnogu na jego dom, i pałający żądzą zemsty za śmierć rodziców. Był przekonany, że z czasem zdobędzie zaufanie samego kapitana. Przede wszystkim jednak Charles nie mógł zapomnieć jego dźwięcznego śmiechu, jakiego od dawna tu nie słyszano; pokrzepiającego śmiechu dziecka. Choć nie był to jedyny śmiech, jaki pamiętał.

DZIENNIK CHARLESA WINSŁOWA

16 lutego 1900 r.

Szliśmy już kilka godzin, gdy z gardzieli kanału, odbijając się od wilgotnych ścian, dotarł do nas dźwięk, którego w tym miejscu najmniej się spodziewaliśmy: śmiech dzieci. Zdumieni popatrzyliśmy po sobie. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, w powietrzu rozbrzmiewały coraz głośniejsze chichoty, splatające się ze sobą i budzące w nas znajome, lecz zapomniane poczucie błogości. Te dzieci swoją radością rzucały wyzwanie Marsjanom, przecząc końcowi świata. Coraz bardziej rozemocjonowani przyspieszaliśmy, uśmiechając się do siebie i podążając ku temu dźwiękowi, tak nieprzystającemu do okoliczności, lecz wspólnie z szemraniem wody tworzącemu delikatną, kuszącą, niemal magiczną symfonię.

Wkrótce je ujrzeliśmy. Co najmniej tuzin dzieci, z których najmłodsze mogły mieć cztery, najstarsze zaś osiem lat, bawił się beztrudnie na niewielkiej przestrzeni biegnącej wzdłuż kanału półki w mdłym świetle latarni. Większość miała na sobie skromne i brudne ubrania, choć troje czy czworo odzianych było elegancko, jakby przebywały w parku, na którego skraju czekała na nich niania. Najwyraźniej jednak nie obchodziły ich te różnice, bo bawiły się razem, nic sobie nie robiąc z podziałów, które my, dorośli, akceptujemy nawet nieświadomie. Rozproszone w zależności od tego, jaką odgrywały rolę, na tle lukowych sklepień wyglądały jak zbiór dioram: najmniejsze kręciły się w kółko, trzymając się za ręce i nucąc jakąś piosenkę, obok nich dwie starsze dziewczynki grały w klasy narysowane na brudnej ziemi, nieco dalej dwie inne kręciły skakanką, przez którą skakała trzecia, wymachując długimi warkoczami. Nagle w głębi tunelu pojawiło się troje czy czworo dzieci za metalową obręczą, którą jedno z nich kręciło za pomocą kija, i przebiegło bez zainteresowania obok konkursu bączków rozgrywanego przez inną grupę.

Były tak skupione na swych zajęciach, że nie zauważyły naszego przybycia, póki nie

znaleźliśmy się zaledwie o kilkanaście metrów od nich. Wtedy przerwały zabawy i patrzyły na nas podejrzliwie, nawet z lekkim zniecierpliwieniem, jakby się bały, że tych ośmioro dorosłych, którzy jakimś cudem zmaterializowali się w ich królestwie, gdzie nie istniały żadne zasady z wyjątkiem tej nakazującej cieszyć się chwilą, przeszkodzi im w rozrywkach. Wystarczyło jednak na nie spojrzeć, by wiedzieć, że wkrótce, gdy pryśnie czar tej niespodziewanej wolności, ogarnie je strach przed życiem bez dorosłych i dezorientacja. Po kilku sekundach, w ciągu których obie grupy obserwowały się w oszołomieniu, zdziwione obecnością w tym miejscu kogoś jeszcze, Emma i Jane podeszły do dzieci z ostrożnością doświadczonych niań i przykucnęły powoli, nie chcąc ich przestraszyć.

Dzieci patrzyły na nie nieufnie.

– Cześć – powiedziała małżonka Wellsa, uśmiechając się słodko. – Jestem Jane, a to moja przyjaciółka Emma.

– Cześć! – wtrąciła dźwięcznym głosem wymieniona. – Nie bójcie się, nic wam nie zrobimy. Chciałyśmy tylko się przywitać, prawda? – zwróciła się do Jane, a ta energicznie pokiwała głową, nie przestając się uśmiechać.

Dzieci przyglądały im się znieruchomiełe. W końcu jedno przerwało ciszę, drapiąc się gwałtownie po głowie, aż oparta o jego nogę obręcz potoczyła się leniwie i wylądowała z metalicznym westchnieniem u stóp kobiet. Emma wykorzystała okazję, by ją podnieść i obejrzeć z udawanym podziwem.

– Ojej, jaka ładna obręcz... – powiedziała. – Ja miałam drewnianą, kiedy byłam mała, a ta z czego jest? Z żelaza?

– To obręcz beczki, proszę pani. Toczą się o wiele lepiej niż drewniane i są bardziej wytrzymałe – odpowiedział chudzielec z burzą loków opadających na oczy, który wydawał się najstarszy ze wszystkich.

– Naprawdę? – zainteresowała się Emma. – Nie wiedziałam. A skąd je wzięłeś, eee... jak masz na imię, młody człowieku?

– Curly – mruknął niechętnie chłopiec.

– Curtis? – zapytała Emma, udając, że nie dosłyszała. Dwie dziewczynki zachichotały, zasłaniając usta.

– Curly – powtórzył chłopiec. – Znaczą Loczek... Tak mnie nazywają z powodu włosów... Potrząsnął burzą loków, po czym uroczo dojrzałym gestem podał dziewczynie rękę.

– Miło mi cię poznać, Curly – powiedziała Emma, podając mu swoją.

– Mnie też, Curly – dodała Jane.

Pozostałe dzieci stłoczyły się wokół najstarszego, przyglądając nam się podejrzliwie.

– Ja jestem Hobo – odezwał się nagle najmniejszy, jasnowłosy aniołek trzymany za rączkę przez jedną ze starszych dziewczynek.

Reszta naszej drużyny, która zatrzymała się za damami zarówno z powodu wąskiego chodnika, jak i mniejszych umiejętności porozumiewania się z dziećmi, jak jeden mąż uśmiechnęła się do malca, chcąc dodać mu otuchy, choć w rzeczywistości musiało to wyglądać upiornie.

– A ja Mallory – powiedziała dziewczynka z warkoczykami, która wcześniej skakała przez linkę.

Ośmielone jej zachowaniem pozostałe dzieci zaczęły się nieśmiało przedstawiać. Emma i Jane uśmiechały się do każdego, które wymamrotało swoje imię. Kiedy skończyły, nasze towarzyszkę zaczęły przedstawiać nas po kolei, a dzieci kiwały obojętnie

głowami. Po prezentacji Wellsa rozległo się kilka śmiechów, które pisarz przyjął z kwaśnym uśmiechem. Przypuszczam, że reakcja dzieci wynikała z kontrastu między panem Wellsem a pozostałymi mężczyznami, którzy byli od niego wyżsi, lepiej zbudowani i – powiedzmy to szczerze – przystojniejsi.

– Dobrze – kontynuowała Emma po zakończeniu prezentacji. – Teraz, gdy już jesteśmy przyjaciółmi, powiedzcie mi, co tu robicie same?

Curly wbił w nią zdumione spojrzenie.

– Bawimy się – odparł, jakby to było oczywiste.

Jeden z chłopców roześmiał się psotnie, rozbawiony niemądrym pytaniem tej pani.

– A gdzie wasi rodzice? Zostali na górze? – zapytała Emma, wyrażając ciekawość trawiącą nas wszystkich. Curly energicznie pokręcił głową. – Nie? To gdzie są?

– Niedaleko – odparł lakonicznie chłopak.

– Niedaleko? Tu, na dole?

Przytaknął, a Emma rzuciła nam zdziwione spojrzenie.

– Widać nie my jedni się tu ukryliśmy – mruknął stojący obok mnie Murray.

– Na to wygląda – odparłem zaintrygowany.

– Musimy się z nimi skontaktować i zobaczyć, ilu ich jest – szepnął Clayton, zapewne podekscytowany możliwością podzielenia się wiedzą na temat inwazji i stworzenia silniejszej grupy.

Podszedł do dzieci, ukrywając metalową dłoń w kieszeni marynarki.

– Świetnie, dzieciaki, świetnie – powiedział, łagodnie odsuwając Emmę na bok. – Cieszymy się, że wasi rodzice tu są. Mogłybyście nas do nich zaprowadzić?

Dzieci wymieniły spojrzenia.

– Możemy – rzekł Curly.

Clayton odwrócił się do nas i unióś radośnie brwi.

– Mogą.

Potem znów spojrział na dzieci z uśmiechem zadowolenia. Przez chwilę wszyscy patrzeli na siebie w milczeniu.

– Na co czekamy? – zapytał w końcu Clayton bez zniecierpliwienia, z teatralnym entuzjazmem w głosie, jakby nic na świecie nie mogło sprawić dzieciom większej przyjemności.

Te z niepokojącą uprzejmością skonsultowały się ze sobą, po czym Curly ledwo dostrzegalnym gestem dał polecenie wymarszu. Tworząc naprędce szereg, cała gromadka zniknęła w jednym z bocznych kanałów. Curly dał nam głową znak, żebyśmy szli za nimi, a Clayton niczym lustrzane odbicie powtórzył ten gest na nasz użytek. Przez kilka minut szliśmy za dziećmi, które wyprzedzały nas o cztery czy pięć metrów, podskakując, brykając i śpiewając dziecinne piosenki, jakby prowadzenie nas było tak nudne, że musiały jakoś umilać sobie życie. Ich wysokie głosiki odbijały się od ścian tunelu, tworząc osobliwy, lecz uspokajający chaos dźwięków, coś w rodzaju magii przywołującej świat, z którego wygnali nas Marsjanie; świat, w którym wiedliśmy zwyczajne życie, świat z ulicami pełnymi pędzących powozów i parkami pełnymi roześmianych dzieci. Nasz świat. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że ktoś może pożądać tego świata tak bardzo, by przemierzyć kosmos i odebrać nam go. Pocieszałem się, że to jeszcze nie nastąpiło; że wielu naszych ukryło się w kanałach, być może w oczekiwaniu na kogoś, kto nauczy ich walczyć. Spojrzałem na Shackletona, który z posepnym obliczem kroczył obok mnie.

– Czy to nie fascynujące, kapitanie? – zapytałem, chcąc poprawić mu humor. – Ludzie ukrywają się w kanałach, tak jak pan kiedyś... to znaczy, jak pan w przyszłości...

Obojętnie skinął głową, lecz nie odpowiedział, a ja nie nalegałem. Szliśmy w milczeniu przez kolejne minuty, aż nagle dzieci kazały nam się zatrzymać przy wąskim otworze w ścianie tunelu, po czym ku naszemu obrzydzeniu zaczęły doń wchodzić, a nam nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć za nimi. Przygarbieni szliśmy przez coś, co wyglądało na nieużywany kanał dawnego systemu, od czasu do czasu skręcający pod kątem prostym, jakbyśmy byli w labiryncie. Już zaczynaliśmy myśleć, że nie ma końca, gdy nagle otworzył się przed nami wielki magazyn wypełniony materiałami budowlanymi. W głębi, ukryte za jakimiś pakunkami, znajdowały się schody wiodące stromo w dół. Dzieci zaczęły schodzić bez cienia strachu, zaśmiewając się z własnych żartów.

– Dokąd one nas, u diaska, prowadzą? – zapytałem zmęczony wędrówką, z każdą chwilą czując się bardziej brudny i cuchnący.

Odpowiedziało mi milczenie. Wkrótce dotarliśmy do szerokiej pieczary o łukowatym sklepieniu, gdzie niczym baśniowy smok przyczaił się nieznośny, wilgotny chłód. Pomieszczenie oświetlała garść przymocowanych do ścian i kolumn latarenek, które ledwie odrobinę rozjaśniały mrok, wskutek czego trudno było określić prawdziwe rozmiary pieczary.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Curly.

Zdezorientowani rozejrzeliśmy się po ciemnej krypcie, ale nie dostrzeżliśmy nikogo.

– Ale... gdzie są wasi rodzice? – zapytałem.

– Tu. – Chłopiec omiótł gestem pustą przestrzeń.

– Przecież tu nikogo nie ma, Curly, tylko my... – zaoponowała łagodnie Emma, zdumionym spojrzeniem wodząc za ręką chłopca.

– Są tu – upierał się. – Od bardzo dawna tu są.

Skonsternowani, znów zaczęliśmy się rozglądać, lecz nadal wyglądało na to, że jesteśmy w pieczarze sami. Już miałem poprosić Curly'ego o wyjaśnienia, gdy nagle Wells i Clayton, jakby tknęło ich to samo przeczucie, zdjęli z pobliskiej kolumny latarnie i zrobili kilka ostrożnych kroków ku odległej ścianie. Zaintrygowani ruszyliśmy za nimi niczym kondukt żałobny, pozostawiając dzieci pośrodku pieczary. Kiedy pisarz i agent dotarli do muru, ruszyli w różne strony, unosząc latarnie i dokładnie mu się przyglądając. W rzucanym przez nich świetle udało nam się dostrzec, że mur niczym szachownica podzielony jest na kwadraty zapisane dziwnymi, jakby orientalnymi znakami. Wells przesunął lampą wzdłuż niego, demonstrując, że na całej jego długości ciągną się te nieznane, rzucające miedziany poblask znaczki. Clayton na drugim końcu muru zrobił to samo.

– Boże... – mruknął głucho pisarz.

– Boże... – niczym echo zawtórował mu Clayton.

– Co się dzieje? – zapytałem, nie mając zielonego pojęcia, o co chodzi.

Wells obrócił się twarzą do nas, po czym z odrazą spojrział na dzieci stojące w grupkach pośrodku sali.

– Przyprowadziły nas do swoich rodziców... tyle że dla nich „rodzice” oznacza przodków – wymamrotał pisarz.

– Co pan przez to rozumie? – zapytałem.

– Proszę spojrzeć. – Clayton dał mi znak, żebym się zbliżył. – Jak pan myśli, czym są te kwadraty?

– Nie wiem – odparłem zniecierpliwiony, nie mając nastroju do zagadek.

– Nie wie pan... – odparł rozczarowany, po czym przeniósł wzrok na pisarza. – Ale

pan wie, prawda?

Wells skinął ponuro głową. Widział już takie znaki na kadłubie statku ukrytego w Krypcie Osobliwości.

– To marsjańskie znaki – rzekł. – A te kwadraty na ścianie, panie Winslow, to groby.

Zdumieni słowami pisarza, wszyscy zaczęliśmy się wiercić z mieszkanką konsternacji i niepokoju, rozglądając się po pozostałych ścianach, wszędzie widzieliśmy ogromną połyskującą mozaikę nagrobków, które zajmowały setki wykutych w ścianie wnęk.

– Jesteśmy na marsjańskim cmentarzu? – zapytał Murray.

– Na to wygląda – odezwał się ponuro Harold.

Ja jednak ledwo ich słyszałem. Mój umysł wciąż nie potrafił dopuścić do siebie myśli, że Marsjanie nie przybyli na Ziemię przed kilkunastoma godzinami, lecz są tu od zamierzonych czasów. Jeśli jednak znajdowaliśmy się w czymś na kształt marsjańskich katakumb, to ta grupa dzieci... na Boga... Patrzyłem na nie, nie mogąc uwierzyć. Stały słoczone pośrodku krypty, o kilka metrów od nas, przyglądając nam się z lekkim zaciekawieniem. Przyprowadziły nas tam, gdzie chcieliśmy, a teraz obojętnie czekały na nasz kolejny kaprys, w głębi duszy życząc sobie pewnie, żebyśmy im pozwolili wrócić do zabawy. Nadal widziałem w nich zwykłe dzieci o mięciutkiej, nieskazitelnej skórze i delikatnych młodych ciałkach. Dzieci jak nasze: kruche, niewinne, ludzkie. Ale tak nie było. One tylko wyglądały jak ludzkie dzieci. I choć trudno mi było w to uwierzyć – zapewne dlatego, że dotąd żaden Marsjanin nie raczył się przeobrazić na moich oczach – zauważyłem, że reszta towarzystwa nie podziela moich skrupułów: wszyscy spoglądali na dzieci z powagą, usiłując zamaskować strach, który zaczynał *wykrzywiać* im usta.

– Brakuje jednego dziecka – powiedziała Emma.

– Istotnie – przytaknęła Jane.

– W porządku – rzucił gwałtownie Clayton, nie zwracając zbytnej uwagi na słowa kobiet. – Nie wpadajmy w panikę. Wykorzystamy sytuację. Tak, dobrze słyszycie. Przestańcie się tak gapić, bo te urocze marsjańskie dzieciątka zaczną coś podejrzywać. Nie chcę widzieć na waszych twarzach nic z wyjątkiem uśmiechów.

Ostatnie słowa wypowiedział ochryplym szeptem, który w naszych uszach zabrzmiał jak groźba. Potem odchrząknął niczym tenor przed wyjściem na scenę i lekkim krokiem podszedł do dzieci. Mówiąc konkretnie: do marsjańskich dzieci.

– Curly – powiedział, kucając przed nim – mieszkacie tu?

Curly przestał się na nas gapić i zwrócił ku niemu niesforną czuprynę.

– Tu? Skąd! Jak pan mógł tak pomyśleć? – oburzył się. – Mieszkamy na górze. Ale tam nie mogliśmy się bawić, bo On powiedział, że to niebezpieczne. Więc zesliśmy tutaj.

– Pewnie. Tutaj możecie się spokojnie bawić – odparł uspokajająco Clayton, po czym rzucił nam porozumiewawczy uśmiech. – A kim jest On, Curly? Kim jest ten, który wam to powiedział?

– To Wysłannik, proszę pana. Ten, na którego czekaliśmy. I my, i oni – powiedział chłopiec, wskazując grobowce.

– Ach, tak? Długo czekaliście?

– Tak, proszę pana, bardzo długo... Zaczynaliśmy już myśleć, że w ogóle nie przyjdzie.

– Rozumiem. – Clayton oblizał usta i wymienił z Wellsem znaczące spojrzenia. – A czy On też jest tu na dole, Curly?

– Tak.

Clayton przełknął ślinę.

– No, no. – Uśmiechnął się. – A zaprowadzilibyście nas do niego?

– Po co? – Curly spojrzał na agenta podejrzliwie. – Chcecie go zabić za to, co wam robi?

– Zabić? A skąd, Curly! – Agent machnął od niechcenia zdrową ręką. – Na Boga, co ci przyszło do głowy?

– No więc po co?

– Żeby z nim porozmawiać, Curly. – Clayton wzruszył ramionami, jakby to nie było nic takiego. – Tylko po to.

– Porozmawiać o czym?

– No... o sprawach dorosłych – odparł po chwili ociągania agent. – Zapewniam cię, że to nudne jak flaki z olejem.

– Myśli pan, że tego nie zrozumiemy? – zapytał chłopiec z delikatną groźbą w głosie, tym bardziej niepokojącą, że wciąż używał tego samego słodziutkiego tonu.

– Tego nie powiedziałem, Curly.

– Bo ja myślę, że owszem, zrozumiemy.

– Brakuje jednego dziecka – powtórzyła za moimi plecami Emma cichym, przestraszonym głosem.

Zauważyłem, że dzieci stoją bez ruchu, wsłuchane w rozmowę Curly'ego z agentem. W ich skupieniu było coś tak przewrotnego, tak nieludzkiego, że po kręgosłupie przebiegły mi ciarki.

– Pewnie, pewnie – rzekł uspokajająco Clayton. – Jestem przekonany, że zrozumiecie, ale...

– Jesteśmy mądrzejsi, niż się wam wydaje – upierał się łagodnie chłopiec, wbijając posępne i nieznośnie puste spojrzenie w agenta, który wyglądał, jakby z najwyższym trudem zachowywał spokój. – Rozumiemy rzeczy, których wy nigdy byście nie zrozumieli.

– Na litość boską, dość tego! – wykrzyknął Murray, wkładając mi rękę do kieszeni i wyjmując rewolwer. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, milioner kilkoma susami znalazł się przed Curlym i przytknął mu lufę do czoła. – Słuchaj uważnie, smarkaczu: nie wiem, co rozumiesz ani kim jesteś, i zapewniam cię, że ani trochę mnie to nie obchodzi. Obchodzi mnie jedynie to, kto stoi za tą przekłętą inwazją i jak możemy go znaleźć. A wy, drogie dzieciątka, pomożecie nam w tym, bo inaczej strzelę, jak mi Bóg miły. Jeśli istnieje coś, czego nienawidzę bardziej niż Marsjan, tym czymś są dzieci.

Z nieokreślonego miejsca w pieczarze dobiegł śmiech, a po nim odezwał się głos:

– Potrafiłby pan zniszczyć największą świętość, jaką jest niewinność dziecka? Czyż wasze pisma nie mówią: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie i nie przeszkadzajcie im: do takich bowiem należy Królestwo Boże”?

Wyteżyliśmy wzrok, próbując odnaleźć w gęstej ciemności osobę, która wypowiedziała te słowa. Wówczas jednak ciemność nabrała kształtów i po chwili odkryliśmy z przerażeniem, że otacza nas ponad dwadzieścia osób. Większość była w średnim wieku i sądząc po ubiorze, pochodziła ze wszystkich możliwych warstw społecznych. Nim zdążyliśmy zareagować, dzieci uciekły i schowały się za nimi, a trzymany przez Murraya rewolwer mierzył w pustkę. Właściciel głosu stał kilka kroków przed pozostałymi. Był to staruszek o arystokratycznym wyglądem, ubrany na czarno i z koloratką pod szyją. W odróżnieniu od pozostałych przybyszów, przyglądających nam się złowrogo, duchowny uśmiechał się z pobłażliwym rozbawieniem. Zauważyłem, że trzyma za rękę małego Hobo, który musiał pobiec po dorosłych, gdy pozostałe dzieci odwróciły

naszą uwagę. Przekłete bachory wciągnęły nas w pułapkę, nie przestając śpiewać i brykać. Kątem oka zauważyłem, że Murray wymierzył w staruszkę rewolwer. Clayton, Harold i Shackleton po chwili zrobili to samo. Ja, podobnie jak nasze towarzyszki, ukryłem się za ich plecami, przeklinając fakt, że w tak głupi sposób straciłem broń i nie mogę brać udziału w akcji.

– Cóż za wzruszająco ludzka agresja! – zakpił staruszek na widok wymierzonych w siebie luf. – Naprawdę sądzicie, że otwarcie do nas ognia coś wam da?

Trzymający broń wymienili spojrzenia, nie wiedząc, co począć, lecz jej nie opuścili. Nasz upór rozbawił staruszkę, który uniósł pomarszczone dłonie w geście pojednania.

– Ależ panowie... Proszę nas nie zmuszać, żebyśmy was zniszczyli. Wiecie, że możemy to zrobić. Odłóżcie broń i poddajcie się – poradził nam swoim słodkim tonem. – Ci, którzy to zrobią, zasłużą na łaskę: „Zatrzymajcie się, i we Mnie uznajcie Boga”. Psalm 46, wers 11 – wyrecytował z uśmiechem nieskończonego miłosierdzia. – Mam zamiar przecież jedynie zabrać was tam, dokąd chcecie się udać: tak jak wy pragniecie poznać Jego, On chce poznać was. Zwłaszcza jednego z was... – Zrobił kilka kroków w stronę naszej grupy i uniósł ręce wnętrzem dłoni do przodu. – Chodźmy do niego w pokoju, bracia. „W Twoim ręku są moje losy: wyrwij mnie z ręki mych wrogów i prześladowców. Niech zajaśnieje Twoje oblicze nad Twym sługą: wybaw mnie w swej łaskawości!” – wyrecytował, spoglądając na Wellsa z dziwną słodyczą, po czym dodał szeptem: – Psalm 31, wersy 16 i 17.

XXXVI

Następnego dnia Charles zbudził się z twarzą w kałuży krwi. Sądząc po grubym skrzepie pod nosem i na wargach, musiał mieć w nocy krwotok. Gdy próbował się wytrzeć rękawem bluzy, dwa spośród nielicznych pozostałych mu zębów jak gdyby nigdy nic wypadły z dziąseł. Podniósł się z wysiłkiem, zeszywniały z zimna, lecz zarazem zdyszany. Prosta czynność, jaką było oddychanie, przemieniła się w mękę: gardło i płuca paliły jak rozżarzony popiół. Nie potrzebował więcej znaków, by wiedzieć, że zostało mu bardzo niewiele życia – może nawet mniej, niż dotąd sądził.

Po śniadaniu Marsjanie znów zaprowadzili ich do wnętrza piramidy. Wszyscy członkowie jego grupy wyglądali na wyniszczonych wczorajszym kontaktem z zielonym płynem. Nawet na siebie nie zerkając, może zawstydzeni swoim fatalnym stanem, a może dlatego, że żaden nie chciał ujrzeć w pozostałych potwierdzenia własnego upiornego wyglądu, szli znajomym już długim tunelem. Charles miał jednak wrażenie, że od czasu do czasu skręcają w inną odnogę, wiodącą jeszcze bardziej w głąb Ziemi. Był potwornie osłabiony i mdliło go, lecz wiedział, że te objawy zawdzięcza nie tylko utracie krwi czy okropnemu kluciu w zbolałych płucach. W powietrzu piramidy było coś, co zatruwało ciało, ale i psuło duszę. Gdyby miał dość sił, by ukuć metaforę, powiedziałby, że ta atmosfera potrafi zdławić ostatni płomyk radości, jaki mógłby się jeszcze tlić na świecie. Na twoje szczęście, czytelniku, który może nie masz teraz ochoty rozkoszować się poezją, Charles nie mógł trwonić resztki swoich sił na nic z wyjątkiem rachitycznego marszu w łańcuszku wyniszczonych ludzi ciągnących za sobą posępny całun milczenia. Zastanawiał się, dokąd ich prowadzi Marsjanin i jakie nowe potworności tam na nich czekają. Po makabrze poprzedniego dnia trudno mu było uwierzyć, że ujrzy coś jeszcze gorszego. Choćby miał żyć tysiące lat, nie zobaczy niczego, co mogłoby dorównać tak absolutnemu złu, tak oszalamiającemu okrucieństwu, jakie wczoraj ukazało się jego oczom. Czy to, czego doświadczył, nie było autentyczną katedrą chaosu, szczytem grozy? Co dziś mogli mu pokazać oprawcy? Jaki kolejny koszmar, szalona aberracja, odrażająca potworność mogłaby jeszcze wstrząsnąć jego sponiewieraną, odrętwiałą duszą? Żadna, pomyślał całkowicie przekonany, że nie może istnieć większy horror niż obraz tamtych marynowanych w kadzi zapomnienia noworodków.

Jak zapewne się domyślacie, był w błędzie.

Gdy dotarli do sali czekającej na końcu tunelu, zalewający ją zielony blask ponownie zmusił ich do zamknięcia oczu. Gdy w końcu je otworzyli, osłaniając dłońmi obolałe powieki, ich wzrok padł na przylegające do ścian zbiorniki, które otaczały pomieszczenie w taki sam sposób, jak te, które widzieli poprzedniego dnia, także wznosiły się ku niknącemu w mroku odległemu sklepieniu i również zawierały ciała, tyle że nie noworodków. Właśnie wtedy Charles pojął, że groza nie ma kresu: zawsze może istnieć koszmar, aberracja, potworność większa niż ta, którą uważał za ostateczną.

Wewnątrz zbiorników, ułożone jedno na drugim niczym cegły, unosiły się ciała setek nagich, w większości młodych kobiet, ściśniętych tak gęsto, że głowy jednej kolumny niemal dotykały stóp kolejnej. Wszystkie wyglądały, jakby spały, karykaturalnie sztywne, z włosami unoszącymi się jak wodorosty w obrzydliwej cieczy, skórą rozmiękczoną i bladą, zamkniętymi oczami. Zauważył, że mają rozchylone usta, lecz nie wydobywa się z nich ani odrobina tchu, który mógłby sugerować, że tli się tam życie. Nie mógł być pewien, że są martwe, ale na żywe z pewnością nie wyglądały.

Najpotworniejszą zniewagą były jednak wychodzące pomiędzy ich nóg kable, takie

same, jakie dzień wcześniej widział wyrastające z pępków noworodków i przechodzące przez otwory w podłodze akwarium – teraz wiedział, że po to, by zanurzyć się między nogami tych kobiet, profanując ich intymność i wdzierając się w uśpione brzuchy. Z góry spływały setki setek tych przewodów, kołysząc się w piekielnym oceanie niczym straszne morskie węże. „Boże, dlaczego nas opuściłeś?” – zapytał w duchu przerażony Charles.

Na drżących nogach podszedł do potwornej witryny, oparł się o szkło, a raczej podobny doń marsjański materiał, i patrzył, jak kołyszą się te rozciągnięte, jakby przygotowane do zabalsamowania białe ciała, układając się w coś na kształt pentagramu w zielonym płynie. Poczuł, że uginają się pod nim kolana, i nadludzkim wysiłkiem zwalczył słabość, która omal nie odebrała mu przytomności. Nie mógł pozwolić, by go wysłali do leja, póki nie skończy dziennika, albo przynajmniej póki jego dusza nie rozpadnie się na kawałki, niezdolna znieść tych wszystkich potworności. Cudem powstrzymał mdłości, jednocześnie starając się słuchać rozkazów, które zaczęli wydawać strażnicy.

O ile dobrze zrozumiał przez mgłę oszołomienia, dzisiejsza praca miała polegać na tym samym co ta, którą wykonywali wczoraj: na wymianie płynu w akwarium. Ponaglani przez Marsjan więźniowie powoli i niezdarnie, jakby poruszali się pod wodą, ruszyli szeregiem w kierunku magazynu, w którym piętrzyły się stosy beczek. Godziny wlokły się niemiłosiernie. Charles pracował jak automat, odnosząc wrażenie, że mijają wieki. Był tak wyczerpany i otępiały, że parokrotnie wydawało mu się, iż patrzy na siebie z zewnątrz. W pewnej chwili zaniósł się takim kaszlem, że oczy zaszyły mu mgłą i omal nie stracił przytomności i nie osunął się na ziemię na beznamiętnych oczach tych potworów. Gdy w końcu doszedł do siebie, ujrzał u swoich stóp sporą kałużę poznaczonej zielonymi plamkami krwi, w której unosiły się dwa kolejne zęby.

Jeden ze strażników kazał mu wracać do pracy, dając szturchańca, który omal go nie przewrócił. Charles chwycił beczkę i zaczął ją toczyć, lecz atak kaszlu tak go osłabił, że przez głowę przemykały nieskładne myśli, strzępy wspomnień, nitki snów, absurdalne obrazy przesywające rozgorączkowany umysł jak podczas bezsennej nocy. Jedna z takich myśli dziwnym trafem przeniosła go na Światową Wystawę w Chicago, w której wziął udział siedem lat wcześniej. Podczas tej imprezy rozstrzygnięto tak zwaną Wojnę Prądów – bitwę o władzę w przemyśle elektrycznym między firmą General Electric Thomasa Edisona, broniącą prądu stałego, i firmą Westinghouse Electric, której założyciel gorliwie popierał propagowany przez Nikołę Tesłę prąd zmienny. Westinghouse przedstawił budżet o połowę niższy od tego, który zaproponowało General Electric, dzięki czemu Tesla otrzymał swoją wielką szansę, a tysiące zwiedzających, wśród których był młody i zafascynowany Charles, mogły się zachwycać generatorami, dynamami i silnikami prądu zmiennego, mającymi od tej pory oświetlać świat, na zawsze pokonując imperium ciemności.

Elektryczność, pomyślał Charles, zatrzymując się przed akwarium: kolejny wielki wynalazek, który miał uczynić człowieka panem wszego stworzenia... Ze smutkiem patrzył na kable wychodzące spomiędzy ud nieszczęsnych dziewcząt i wznoszące się ku sklepieniu, i zadawał sobie pytanie czy, jak przypuszczał, znajdują się poniżej sali z niemowlętami. Czy te kobiety były połączone ze swymi dziećmi jakimś szalonym obwodem elektrycznym, przesyłającym naładowane energią cząstki z jednego bieguna na drugi niczym niedorzeczne gigantyczne ludzkie dynamo? Czy właśnie to zbudowali Marsjanie: wielką ludzką baterię wykorzystującą domniemaną energię, którą przesyłały między sobą matka i dziecko – energię ich umysłów, prastarej więzi macierzyństwa – by

napędzać swoje maszyny? Czy używali jako prądu świętości, jaką jest dla człowieka nieskończona miłość matki i dziecka? Charles poczuł, jak szloch rozdziera mu gardło. To, o czym majaczył w delirium, mogło być prawdą: te pasożyty mogły wykradać ludziom najczystsza esencję, zmuszając kobiety do rodzenia, a potem umieszczając i je, i dzieci w tym zielonym płynie i skazując na wieczny przepływ cząstek, które być może infekowały świat trucizną zubożenia. Zapłakał cicho, nie przestając manipulować dźwigniami. Płakał łagodnie, bo brakło mu sił na gniew; opróżniał się z łez, jak akwarium opróżniało się z płynu, pokornie, wyzuty już z cierpienia i grozy. Łkał, nie mając pojęcia, że po policzkach spływają mu zielone łzy.

I wtedy ją zobaczył. Unosiła się w rogu akwarium. Strażnicy byli zajęci, więc podszedł do szkła i przyglądał się z bliska, oddzielony od niej jedynie grubością tej przezroczystej ściany, o którą uderzało teraz jego galopujące serce. Nie miał wątpliwości, że to ona. Rozpoznał ją mimo długich włosów okalających twarz niczym smuzki cienia. Kontemplował jej delikatny kameowy profil, wspominając uroczą minę, która zwykle zdobiła go za życia – to urzekająco wyniosłe zmarszczenie noska i wykrzywienie warg, tę leciutką obcesowość, która sprawiła, że poczuł gwałtowne pożądanie, gdy ujrzał ją po raz pierwszy; gdy jej przyjaciółka Lucy przedstawiła mu ją podczas drugiej wyprawy w przyszłość, zaraz przed tym, jak podekscytowani i radośni niczym dzieci wsiedli do „Cronotilusa”, by oglądać zwycięstwo kapitana Shackletona. Przypomniał sobie, jak widział ją po raz ostatni, w piwnicy domu swego wuja, w sukni z wyśmienitego zielonego jedwabiu, nieświadomą jeszcze, że taki sam kolor będzie mieć jej całun, stojącą na palcach z głową wtuloną w szyję męża i szepczącą mu do ucha słowa pożegnania, które miały pozostać z nimi na zawsze; ostatnie słowa, jakie do siebie wyrzekli... A teraz była tutaj, połączona z dzieckiem, które spłodziła z jakimś nieznajomym. Nic wiedział, czy w tym letargu zachowała choć odrobinę świadomości – czy wie, gdzie się znajduje, czy śni o dziecku tkwiącym na drugim końcu przewodu, poza zasięgiem jej ramion, albo o tym, że jeszcze kiedyś zobaczy kapitana. Wiedział jedynie, że Marsjanie przemienili ją w uroczą nimfę, której wieczne męki napędzały ich maszynę. Oczywiście było, że w tym stanie śmierć może jej przynieść jedynie ukojenie.

Tej nocy, powróciwszy do celi, Charles wiedział, że nie przeżyje kolejnego dnia wewnątrz piramidy. Dlatego zmusił się do pisania, choć krople przetkanej delikatnymi smuzkami zieleni krwi moczyły każdą stronę, tworząc brudne plamy i uniemożliwiając odczytanie niektórych pospiesznie skreślonych słów. Nawet jeśli dziennik zostanie odnaleziony, wątpił, czy ktokolwiek zdoła coś zrozumieć z ostatnich stron, lecz mimo to pisał, starając się uciec od myśli dręczącej go, ilekroć robił przerwę na przywołania wspomnień: powiedzieć Shackletonowi? Powiedzieć mu, że odnalazł Claire?

DZIENNIK CHARLESA WINSŁOWA

17 lutego 1900 r.

Przez kilka minut Marsjanie, z mężczyzną w koloratce na czele, prowadzili nas przez nieskończoną płataninę tuneli. W końcu dotarliśmy do skrzyżowania. Duchowny skierował się do zamkniętych drzwi w jednym z korytarzy, nie przestając się do nas uśmiechać. Otworzył je i zaprosił nas do pomieszczenia będącego czymś w rodzaju dużego gabinetu umeblowanego zgodnie z modą naszej planety: pośrodku na miękkim dywanie stało ciężkie mahoniowe biurko zarzucone folderami i książkami, wśród których

połyskiwał zaostrzony nożyk do papieru leżący obok globusa na złotej podstawie i lampki. Na ścianach wisiały mapy ziemskich kontynentów, a po całym pokoju rozsianych było kilka krzeseł w stylu z epoki Jakuba I, stolików różnej wielkości i wypełnionych papierami regałów.

– Bądźcie uprzejmi tu zaczekać – poprosił kurtuazyjnie nasz przewodnik. – Wkrótce przyjdzie.

To powiedziawszy, z niewiarygodną estymą spojrzął na pisarza.

– Ogromnie mi miło pana poznać, panie Wells, mimo okoliczności – rzekł górnolotnie. – Jestem wielbicielem pańskich dzieł.

Jego słowa zdumiały nas wszystkich równie mocno jak samego Wellsa, który – gdy już otrząsnął się z szoku – odpowiedział najchłodniej jak potrafił:

– Mam więc nadzieję, że kiedy moje dzieła szczeną wraz z całą resztą, zaboli to pana równie mocno jak mnie.

Duchowny zawahał się na chwilę, spoglądając nań z konsternacją.

– Zapewniam pana, że to jedna z tych rzeczy, których najbardziej mi będzie żal – wyznał wreszcie, kręcąc smutno głową. Potem przyjrzał się pisarzowi ze współczującym uśmiechem. – Płacz po utracie piękna to zwyczaj tak ludzki... Wie pan, panie Wells, że kiedy umiera gwiazda, jej światło przemierza kosmos jeszcze przez wiele tysięcy lat? Wszechświat długo rozpamiętuje swoje straty... lecz nad nimi nie płacze. Straty też są potrzebne. Ja jednak będę nad wami płakał, gdy znikniecie. Tak, będę płakał nad całym pięknem, które potraficie tworzyć, czasem nieświadomie... – Powiódł po nas zasmuconym wzrokiem. – Przykro mi. Chciałbym móc wam zaoferować lepszą pociechę. Dobrą, uczciwą pociechę pasterza trzody. Ale nie mogę... nie mogę. Wszyscy podlegamy prawom kosmosu.

Rzucił nam smutny uśmiech i wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi, jakby właśnie ułożył nas do snu. Słyszeliśmy, jak wydaje jakieś rozkazy, pewnie swoim ludziom, żeby nas pilnowali. Nie mieliśmy pojęcia, ilu ich jest.

– Pewnie nigdy nie przyszło ci do głowy, że masz tak uniwersalnych czytelników – zażartował Murray, gdy zostaliśmy sami.

Wells jednak się nie roześmiał. Prawdę powiedziawszy, nie uczyniło tego żadne z nas. Za to wszyscy jednocześnie wzięliśmy głęboki oddech, jakbyśmy badali pojemność swoich klatek piersiowych, po czym wypuściliśmy powietrze w chóralnym westchnieniu. Niewątpliwie każde z nas było świadome grozy sytuacji i jak zapewne czytelnik rozumie, spisaliśmy na straty swoje ambitne plany: tkwiliśmy uwięzieni w podziemnym biurze, czekając na pojawienie się Marsjanina, który najwyraźniej dowodził inwazją i którego wszyscy jego rodacy darzyli niezmierną czcią. Nie wiedzieliśmy, po co chce nas widzieć, lecz jasne było, że jesteśmy zdani na jego łaskę. Zastanawiałem się, jaki jest, wspominając chaotyczny opis Marsjan przedstawiony przez mych towarzyszy. Szybko jednak pojąłem, że każda próba wyobrażenia sobie ich wyglądu jest daremna, jako że obcy z pewnością spotka się z nami odziany w ludzką powłokę, zwłaszcza jeśli zamierza się z nami porozumieć. W tym miejscu muszę wyznać, że fakt, iż Marsjanie przechadzali się w ziemskich ciałach, ogromnie mi utrudniał odczuwanie strachu, który z całą pewnością odczuwać przed nimi należało. Ukryte pod postacią naszych bliźnich potwory z kosmosu wyglądały w moich oczach równie pospolicie jak niewinne, zarzucone papierzyskami biuro, z którego najprawdopodobniej dowodzono tą inwazją. Obojętność, jaka mną zawładnęła, zawdzięczałem więc raczej brakowi wyobraźni niż nadmiarowi odwagi. Pragnąłem ujrzeć Marsjanina w jego prawdziwej postaci z powodu, który być

może wyda wam się dziwny: by wzbudzić w sobie strach przed nim.

– A więc to tu się kryją zdemaskowani na powierzchni Marsjanie – odezwał się Wells.

– Dlatego ten ze Scotland Yardu zdołał zniknąć bez śladu!

– Zszedł do kanału... – mruknął Murray.

– Jesteśmy we właściwym miejscu! – obwieścił nagle Clayton, przerywając niezrozumiałą dla mnie rozmowę i przechadzając się po gabinecie długimi nerwowymi krokami. – To idealne miejsce na realizację naszego planu.

– Planu?! – wykrzyknął Murray. – Jakiego planu?! Jeśli mnie pamięć nie myli, planowaliśmy ucieczkę z Londynu, panie Clayton.

– W istocie, panie Murray, w istocie – przytaknął agent, celując w niego palcem, wyraźnie zadowolony, że przedsiębiorca wziął sobie do serca jego propozycję. – Ścieżki jednak nie zawsze prowadzą nas tam, dokąd chcemy się udać. Czasami wiodą nas tam, gdzie udać się powinniśmy.

– Czy mógłby pan łaskawie przejść do meritum? – zapytał Wells, nie czekając, aż wszyscy stracimy cierpliwość.

Zrezygowany Clayton skinął głową, jakby męczyły go nasze żądania.

– Oczywiście miałem na myśli plan, który wymyśliłem, gdy te cudowne dzieciaczki nas tu prowadziły – powiedział, gestem nakazując nam się zbliżyć, a jednocześnie z niepokojem łypiąc na drzwi. Gdy go otoczyliśmy, czekając z zaciekawieniem, uniósł metalową dłoń, a drugą opuścił nieco rękaw marynarki niczym iluzjonista, który chce pokazać, że nic nie ukrywa. – Patrzcie. Wewnątrz tej ręki znajduje się silny ładunek wybuchowy. Wystarczy nacisnąć niewielki przycisk, by zniszczyć to pomieszczenie.

Popatrzyliśmy po sobie ze strachem, zastanawiając się, czy agent proponuje detonację ładunku w tej chwili, by nam oszczędzić przyszłych cierpień.

– Bez obaw. Nie zamierzam was zabić – rzekł uspokajająco. – W palcu wskazującym ukryta jest niewielka kapsułka z dymem. Kiedy pojawi się Wysłannik, odkręcę palec, w ciągu kilku sekund wywołując zadymienie w całym pomieszczeniu. Musicie wtedy wziąć nogi za pas. Dopiero gdy się upewnię, że uciekliście, zdetonuję ładunek i obaj zginiemy.

Milczeliśmy wstrząśnięci. W końcu niewygodną ciszę przerwał Murray, podsumowując chaotyczne myśli jednym pytaniem:

– Postradałeś rozum?

– Bynajmniej, panie Murray – odparł niezrażony agent.

Uznając sezon wymówek za otwarty, jeden przez drugiego zaczęliśmy wyrażać wątpliwości co do tak niedorzecznego planu.

– Na miłość boską...

– On nie mówi poważnie, prawda, Bertie?

– Powiedział, że może wywołać... zadymienie?

– Oczywiście, że nie mówi poważnie, Jane... Wstydziłby się pan żartować w takiej chwili, panie Clayton!

– Obawiam się, że tak właśnie powiedział, proszę pana. Choć moim skromnym zdaniem...

– Chce się poświęcić, żeby zabić Marsjanina?

– ...nie jest to najlepszy pomysł, bo kiedy dym dostanie się nam do oczu...

Agent gwałtownie uniósł ręce.

– Zamknijcie się wreszcie! Dobrze słyszeliście. Gdy zdetonuję ładunek, Wysłannik i ja natychmiast zginiemy – powiedział z mrozącą krew w żyłach obojętnością wobec własnego losu.

– A co ze strażnikami z korytarza? – zapytał Murray, najwyraźniej nie przejmując się zbyt poświeceniem Claytona.

– Da pan sobie z nimi radę, prawda, kapitanie? – zwrócił się do Shackletona agent. Kapitan otworzył usta, lecz nie znalazł słów, którymi mógłby skwitować tak ogromny kredyt zaufania. – Jeśli wybiegnie pan dość szybko, zaskoczy pan ich, nim zdążą się przeobrazić, dzięki czemu łatwo będzie ich unieszkodliwić. Jak już pan zauważył, w ludzkiej postaci nie imponują. Przypuszczam, że pan Murray, pan Winslow, woźnica... a nawet pan Wells pomogą panu w walce. Potem musi pan wszystkich wyprowadzić z kanałów.

– Na Boga, Clayton! – wykrzyknął na wpół zniecierpliwiony, na wpół zdesperowany Wells. – Zapomniał pan, co spotkało pańskiego kolegę ze Scotland Yardu? Za tymi drzwiami jest pięć czy sześć, a może i więcej tych potworów. Co może im zrobić kapitan Shackleton, z naszą pomocą czy bez niej?

– Cóż, będziecie musieli się spieszyć – odparł agent ze wzruszeniem ramion, jakby ta część planu absolutnie go nie dotyczyła i wyświadczał nam przysługę, zajmując się nią. – Pamiętajcie, że zaskoczenie jest po waszej stronie: Marsjanie nie spodziewają się, że wybiegniecie z biura i... rzucicie się na nich. Zresztą to wszystko są nieistotne szczegóły w porównaniu z rolą, która mnie przypadła... – dokończył z nieznacznym zniecierpliwieniem.

Wells, Murray i Shackleton westchnęli chóralnie. Harold potrząsnął głową, rozczarowany, jakby agent zjawiał się na przyjęciu w nieodpowiednim stroju. Kobiety wyglądały na bliskie płaczu lub histerycznego śmiechu. Ja jedynie przyglądałem się agentowi z konsternacją. Po części chciałem mu zaufać. Czyż nie tego tak bardzo pragnąłem, czyż nie tego próbowałem bronić w obliczu sceptycyzmu pozostałych, odkąd odnalazłem kapitana w piwnicy domu wuja: planu powstrzymania inwazji? A teraz go miałem. Sytuacja się wykrystalizowała... Mimo to inna, ta rzekomo racjonalna i inteligentna część mnie krzyczała, że tak nie może wyglądać ten upragniony plan – że jeśli posłuchamy Claytona, oddamy się w ręce szaleńca.

– Przepraszam, panie Clayton – wtrąciłem, próbując ogarnąć całą sytuację i błagając w duchu, by nedorzecznym pozornie plan przy bliższym wejrzeniu okazał się genialny – ale co nam da zabicie paru Marsjan w tunelach, skoro na zewnątrz jest potężna armia, być może rozproszona już po całej planecie?

– Nie chodzi o paru Marsjan, panie Winslow. Wśród nich jest Wysłannik! Och, na Boga... Nie słyszeliście, co mówiły dzieci? Naprawdę nie słuchaliście? Czekali na niego przez wiele pokoleń! Nie rozpoczęli inwazji, dopóki nie przybył na Ziemię. Albo dopóki... się nie zbudził – dokończył enigmatycznie. – Ale to teraz nieistotne. Istotny jest fakt, że to jego obecność uruchomiła inwazję. Musimy zatem założyć, że po jego śmierci wojsko będzie dość zdezorientowane, by bunt pod pańskim przywództwem, panie Shackleton, mógł je pokonać. – To powiedziawszy, agent odwrócił się do mnie z uśmiechem, który umocnił mnie w przekonaniu, że mam do czynienia z człowiekiem niezrównoważonym. – W ten sposób ich załatwimy, panie Winslow. I obaj wiemy, że mój plan się powiedzie, z prostego powodu, że to wszystko już się wydarzyło.

Przyglądałem mu się w oszołomieniu. Cóż mogłem odpowiedzieć, skoro mój własny argument w jego ustach brzmiał jak majaczenie obłąkanego?

– Panie Clayton – wtrącił z niezmierną łagodnością Wells – pańskie poświęcenie jest wysoce chwalebne, lecz nie możemy panu pozwolić oddać za nas życie. Jestem przekonany, że jeśli spokojnie przeanalizujemy sytuację, znajdziemy inny sposób...

– Panie Wells – równie łagodnie przerwał mu agent – kiedy nocowaliśmy w moim schronie, mogłem wybrać dowolną protezę. Jak pan pamięta, miałem ich tam niemal tuzin, każdą o innych właściwościach. Wybrałem tę, wybuchową dłoń, którą zamówiłem przed kilku laty, mając dość doświadczenia, by wiedzieć, że wcześniej czy później któryś z moich wrogów postawi mnie w sytuacji, w której wysadzenie się w powietrze będzie lepsze niż wpadnięcie w jego łapy. Dopiero teraz jednak naprawdę rozumiem, po co kazałem ją wyprodukować i dlaczego dziś postanowiłem sprawdzić, jak działa. Wszystkie nasze działania mają sens, nic nie jest przypadkowe, jak to już wcześniej pojął z całkowitą jasnością pan Winslow – rzekł, wskazując mnie obiema dłońmi, jakbym był jakąś osobliwością. – On jako jedyny od początku rozumiał, jakie jest nasze przeznaczenie. To panu, panie Winslow, zawdzięczam inspirację. – Przystąpiłem z nogi na nogę pod oskarżycielskimi spojrzeniami towarzyszy. – Obecność tutaj nas wszystkich nie może być przypadkowa. Nie wiem, jaką rolę ma do odegrania każde z was. Sami będziecie musieli to odkryć. Wiem natomiast, jaka jest moja rola: muszę unicestwić Wysłannika. I tak jak w szachach, śmierć króla zakończy partię. Jeśli go nie zabiję, inwazja będzie kontynuowana, a w takiej sytuacji obawiam się, że nic już nie zdoła jej zahamować. Sami zobaczcie.

Ostatnie słowa wypowiedział, wskazując jedną ze ścian, na której wisały dwie mapy. Skonfundowani podeszliśmy, by się im przyjrzeć. Jedna przedstawiała Londyn i w postaci czerwonych krzyżyków ukazywała postępy trójnogów, potwierdzając to, co ujrzeliśmy z Primrose Hill: nasza metropolia już należała do nich. Bardziej przeraziła nas jednak druga mapa: mapa świata. Niczym krosty ospy czerwone krzyżyki rozprzestrzeniały się po całej planecie. Australia, Indie, Kanada, Afryka, ale także miejsca pozbawione kolonii imperium brytyjskiego, w którym nigdy nie zachodzi słońce, były zajmowane przez Marsjan. Za kilka tygodni cały nasz świat miał przejść w ich władanie. A wtedy, jak zauważył Clayton, nikt już nie będzie mógł ich powstrzymać. Przejęci grozą, w milczeniu przyglądaliśmy się mapom. Marsjanie podbijają Ziemię... Chyba dopiero w tamtej chwili naprawdę to sobie uświadomiłem. Mimo wszystkiego, co przeżyłem, mimo widoku potężnych trójnogów ciskających promienie, które o kilka metrów ode mnie z idiotyczną łatwością niszczyły budynki, statki i ludzi, do tej pory nie dostrzegałem tego z taką jasnością jak teraz, patrząc na zwykłą płachtę papieru: mieliśmy zginąć, zostać całkowicie zmieceni z planety Ziemia. Rodzaj ludzki miał zniknąć bez śladu, jakby nigdy nie istniał.

Clayton przyjrzał nam się z powagą, jakby chciał zapytać, czy nadal zamierzamy oponować albo może czy mamy lepszy plan, lecz wszyscy tylko ponuro odwzajemnili spojrzenie. Po części miał rację. Jego plan był absurdalny, ale cóż innego mogliśmy zrobić?

Następnie agent wskazał dziwne urządzenie w drugim kącie pokoju. Podeszliśmy doń zaintrygowani. Na stoliku z drewna orzechowego spoczywał prostokątny przedmiot rozmiarów książki, z którego niczym dym z ogniska unosila się niebieskawa mgiełka rysująca w powietrzu owalny kształt. Niepewnie przyglądaliśmy się rozedrganej elipsie w barwach od purpury po indygo, wewnątrz której snuły się ogniki i dziwne fosforyzujące bohomyzy.

– Co to niby jest? – zapytałem.

– Jeśli się nie mylę, to mapa wszechświata – rzekł Clayton, wciąż owładnięty tym samym natchnieniem, które na niego spłynęło po wejściu do biura.

Zerknęliśmy na niego zdziwieni, po czym wróciliśmy do obserwacji drżącego

rysunku. Odkrycie, że mamy przed sobą nie tylko równie piękną, co kapryśną figurkę z dymu, lecz replikę kosmosu, oczarowało nas. Każdy z ogników wypełniających tę fioletową mgiełkę był galaktyką z milionami gwiazd zgromadzonymi w różnych konfiguracjach. Jedne wyglądały jak urocze świetliste wiry, inne jak połyskujące malwy, lśniące muszle, a nawet kapelusz czy cygareto. Wells w zachwycie pogłaskał urządzenie, a niezdecydowane muśnięcie jego palców zwiększyło skalę gazowej mapy i nagle firmament otoczył nas niczym błyszczący tiul. Zauroczeni spoglądaliśmy na siebie, konstelacje osiadały nam na ramionach, ciała przeszywały łagodne strzały komet. Patrzyłem, jak Emma trzyma na dłoni trzepoczącego motyla mgławicy, we włosy Jane wplotły się gromady gwiazd, a marynarkę Murraya splamiły Perseidy. Wells niczym ciekawskie dziecko przesunął ręką w drugą stronę i mapa gwałtownie zmalala, po czym zamknęła się niczym strwożony pęk, by ostatecznie osiągnąć rozmiar pozwalający nam na podziwianie kosmosu w całej jego złożoności i chwale. Skupiłem się na Układzie Słonecznym z jego barwnymi planetami krążącymi wokół Słońca niczym pyłki tańczące w snopie światła. Na trzecim pyłku, wciśnięci w kąt wszechświata, znajdowaliśmy się my, wierzący naiwnie, że jesteśmy panami czegoś, czego rozmiary przekraczały nasze najśmielsze wyobrażenia. Muszę wyznać, że kontemplując ogrom kosmosu, rozległy ogród rozpościerający się za moim oknem, poczułem się nagle bardzo mały. Wówczas jednak Wells, który najwyraźniej nie potrafił spokojnie stać, ponownie dotknął urządzenia. Na obłoku pojawiła się czerwona linia i niczym okazała nić szkarłatu przeszywała planety, które czerwieniały i rozpadały się na naszych oczach, kiedy wyruszała, by pochwycić kolejną. Zrozumieliśmy, że ta linia wykreśla drogę przebytą przez atakującą nas rasę, wskazując planety podbijane w czymś, co wydawało się wieczną tułaczką, kosmicznym exodusem, który ku naszemu przerażeniu dotarł właśnie do małej niebieskiej planety Układu Słonecznego.

Muszę w tym miejscu przerwać, by wyjaśnić czytelnikowi, że dopiero wtedy wszyscy zrozumieliśmy, iż najeźdźcy nie pochodzą z Marsa, lecz sądząc po długiej wędrówce, jaką mieli za sobą, z jakiegoś znacznie dalszego i niewyobrażalnego miejsca. Mimo to do dziś nazywamy ich Marsjanami, może z przyzwyczajenia, może dlatego, że tak dziecinny sposób odmawiania naszym okupantom prawdziwej wielkości jest ostatnim aktem nieposłuszeństwa, na jaki nas stać, albo może dlatego, że człowiek nie potrafi objąć rozumem grozy, jeśli nie nada jej pozorów czegoś znajomego. Tak czy owak słowo „Marsjanin” oznacza dziś dla nas to, czego się boimy i czego nienawidzimy, i dlatego tak ich nazywam od początku tego dziennika.

Wróćmy jednak do biura, pośrodku którego pulsował wszechświat. Patrząc, jak szkarłatna nić dociera do Ziemi i barwi ją na czerwono, poczułem mieszankę lęku i melancholii. Przede wszystkim jednak, mówiąc szczerze, wstrząsnęło mną poczucie upokorzenia, prawdopodobnie wywołane naszą marnością w obliczu kosmosu. Żyliśmy sobie na swojej nieistotnej planecie, zajęci swymi wojenkami, dumni ze swych osiągnięć i całkowicie nieświadomi zarówno majestatu wszechświata, jak i targających nim konfliktów.

– Oto prawdziwa mapa nieba – usłyszałem głos Emmy. – Myślę, że mój pradziadek czułby się bardzo rozczarowany...

– Nikt nie wyobraziłby sobie czegoś takiego – pospieszył ją pocieszać Murray. – Oczywiście z wyjątkiem pana Wellsa. – Rzucił pisarzowi rozbawiony uśmiech. – Tylko ty wyobrażałeś sobie taki wszechświat, George – rzekł z leciutką kpina. – Pamiętasz naszą dyskusję przed dwoma laty, kiedy prosiłem cię o pomoc w publikacji swojej powieści?

Powiedziałeś, że to, co opisałem, nigdy nie mogłoby się zdarzyć, bo jest nieprawdopodobne. Trudno mi było przyjąć do wiadomości twoje słowa, bo niczego nie pragnąłem bardziej niż tego, by móc przewidzieć przyszłość. Tak, chciałem być wizjonerem. Takim jakim ty, George, byłeś dla mnie. Teraz jednak muszę wyznać, że nie zazdrościsz ci tego daru...

– Dałbym wszystko, by się mylić, Gilliamie – odparł chłodno pisarz.

– A ja dałbym wszystko, by móc wam powiedzieć, że ludzka wyobraźnia jest uważana za jeden ze skarbów kosmosu – odpowiedział mu zza naszych pleców czyjś głos. – Lecz byłoby to kłamstwo.

Obróciliśmy się ku drzwiom i ujrzelśmy na ich tle ciemną sylwetkę, na widok której moi towarzysze zadrżeli niczym muśnięty przez bryzę krzew. To musiał być Wysłannik, który tak jak się spodziewałem, pojawił się wśród nas w typowo ludzkiej postaci.

– Obawiam się, że tylko wy tak sądzicie – kontynuował, nie ruszając się z miejsca. – To logiczne, skoro nie macie porównania. Wszechświat jednak zamieszkują liczne rasy z całą gamą zalet, z których większości nawet byście nie zrozumieli, i zapewniam was, że w porównaniu z nimi ludzka wyobraźnia nie jest tak ceniona, by ktoś miał po niej płakać. Powinniście więcej podróżować.

Milczeliśmy, nie wiedząc, co odpowiedzieć ani czy Wysłannik oczekuje od nas odpowiedzi. Wciąż stał w półmroku, lecz zauważyłem, że na swoją ziemską postać wybrał człowieka niepozornego, by nie rzec cherlawego. Powiedzmy sobie szczerze: chuchro. Niepokoiło mnie co innego: jego głos brzmiał podejrzanie znajomo.

– Choć muszę przyznać, że pan, panie Wells, posiada wyobraźnię znacznie bujniejszą niż większość ludzi – dodał Wysłannik, po czym zrobił krok w przód i znalazł się w świetle lampy, które ujawniło nam jego twarz. – A może raczej powinienem był powiedzieć „posiadamy”?

Oślupiali patrzeliśmy na Marsjanina, który wyglądał identycznie jak Wells. Widok sobowtóra pisarza stojącego przed nami z rękoma w kieszeniach i jakże znajomym dobrodusznym sceptycznym uśmiechem na ustach zbił nas z tropu. Nie tak bardzo jednak jak samego Wellsa, który przyglądał się swojej replice w milczeniu, nieruchomy jak posąg, z wykrzywioną pobladałą twarzą. Czytelnik zapewne zrozumie, że jego oszołomienie było w pełni uzasadnione, widział bowiem siebie samego bez pośrednictwa lustra i pod kątem, pod którym zwykle nie można siebie zobaczyć. Po raz pierwszy w życiu mógł patrzeć na siebie z zewnątrz, tak jak patrzeli inni. Krótko mówiąc – widział siebie w sposób niedostępny żadnemu człowiekowi.

Reakcja pisarza rozśmieszyła sobowtóra.

– Widzę, że nie oczekiwaliście, iż ukążę wam się pod postacią pana Wellsa, skoro oryginał wciąż żyje. – Przyglądał się kpiąco naszemu przejęciu. – Ja też się zdziwiłem, gdy mi powiedziano, że człowiek, którego postać przybrałem, chce się ze mną widzieć i zadał sobie trud przybycia tu, do naszej skromnej kryjówki w londyńskich kanałach. – Z uśmiechem zadowolenia szarpnął się za wąsik, tak jak to czasem czynił prawdziwy Wells. – Choć nie chciałbym odbierać prestiżu tej sieci tuneli równoległych do prawdziwych kanałów, wybudowanych przez naszych braci ukrytych pośród inżynierów i robotników tamtego okresu. Tak, pod waszym podziemnym światem kryje się drugi, nieznan. To jakby wasza droga Alicja dwa razy podążyła za królikiem... Lustro w głębi innego lustra, nie sądzicie? Zdaje się, że wy, ludzie, macie tendencje do zachwycania się takimi pomysłami.

Wells nie przestawał spoglądać na niego ze zgrozą, jakby lada chwila miał zemdleć.

– Jak...? – zdołał wyjąkać.

– Och, proszę wybaczyć nieuprzejmość – ukorzył się fałszywie sobowtór. – Zapewne chciałby pan się dowiedzieć, jak mi się udało pana powielić – rzekł, znów szarpiąc się za wąsik. – Dobrze. Pozwólcie, że was oświecę. Domyślcie się już, jak mniemam, że potrafimy przybierać postać różnych istot. Dzięki tej zdolności moi bracia mogli przez cały ten czas żyć pośród was w tajemnicy. Jedynie narodziny i śmierć ukazują nas takimi, jacy naprawdę jesteśmy. Owszem, śmierć pozbawia nas przebrania i właśnie dlatego nasi przodkowie postanowili wybudować tu, na dole ukryty cmentarz. By się przeobrazić, potrzebujemy jedynie kropli krwi. Po jej zdobyciu pozbywamy się dawców. Jesteśmy w tej materii skrupulatni. Nie chcemy się zdradzić, wywołując nagle epidemię bliźniąt.

– Boże – wyszeptała Emma, – Dzieci też...?

– Oczywiście, szanowna pani – odparł kurtuazyjnie Wysłannik. – Nie jest to nasza ulubiona postać, bo dziecięce ciało posiada niewiele zalet, ale czasami nie mamy innego wyjścia, jak tylko je przybrać. Oryginały oczywiście nie żyją, choć rodzice nigdy nie rozpaczali po ich śmierci, bo nie mieli okazji się o niej dowiedzieć. Wydawało im się jedynie, że ich dzieci nagle stały się bardziej inteligentne albo mniej posłuszne... – Wybuchnął znajomym śmiechem pisarza, choć w bardziej ponurej wersji. – Pan Wells użył mi jednak swojej krwi nieproszony i nie pozwolił się zabić zaraz potem. Dlatego w tym tak niegodnym go miejscu znajduje się aż dwóch H.G. Wellsów.

– Użył jej panu? – zapytał Murray w obliczu milczenia oniemiałego pisarza. – Niby jak, u diaska?

– W sposób, jaki przydarza się tylko waszej rasie: przypadkiem – odparł Wysłannik, spoglądając na przedsiębiorcę z lekceważeniem. Potem znów przeniósł wzrok na pisarza. – Przypadek jest pojęciem nieznanym reszcie wszechświata. Z punktu widzenia wyższych ras możemy zatem powiedzieć, że użył mi pan jej, bo tak miało być. Albo używając jednego z waszych ulubionych powiedzeń: los tak chciał.

– Racz pan zaprzestać filozofowania i powiedz, jak to zrobiłeś – zażądał Wells, ocknąwszy się z transu.

– Nie wie pan? – Jego sobowtór westchnął i pokręcił głową, rozczarowany i rozbawiony zarazem. – Jasne, że nie. Może panu pomogę, zdradzając, że przybyłem na tę planetę przed niemal siedemdziesięciu laty, choć ostatnich osiemnaście spędziłem w niewygodnej trumnie w Muzeum Historii Naturalnej.

Jego słowa ponownie wprawiły w osłupienie Wellsa, lecz nie Claytona.

– Wiedziałem! – wykrzyknął agent, wykorzystując okazję, by zbliżyć się do Wysłannika. – Wiedziałem, że on żyje! Nasi naukowcy się mylili! Ale jak pan to zrobił? Jak udało się panu zbudzić?

Zaskoczony Wysłannik uniósł brwi, lecz kpiący uśmiezek szybko powrócił na jego twarz.

– Właśnie zamierzałem wam o tym opowiedzieć – rzekł, nie zwracając uwagi na to, że Clayton chowa jedną dłoń za plecami. – Z całą pewnością, jak zauważył nasz błyskotliwy agent, nie byłem martwy, choć na takiego wyglądałem. Znajdowałem się w stanie podobnym do tego, który nazywacie hibernacją. Przywieziono mnie do Londynu w bryle lodu z Antarktydy, gdzie rozbił się mój statek. Uznano mnie za martwego, lecz potrzebowałem jedynie odrobiny krwi, by wrócić do życia. A pan Wells mi jej dostarczył. Oczywiście przypadkiem... Podejrzewam, że się pan skaleczył, a potem niechcący mnie dotknął... Tak czy owak absolutnie mi to wystarczyło, by ożyć i przystąpić do inwazji, która rozpoczęłaby się znacznie wcześniej, gdyby nie mój niefortunny wypadek. –

Spojrzał na pisarza z udawanym współczuciem. – Tak, panie Wells, to dzięki panu mogłem kontynuować misję, która mnie przywiodła na pańską planetę, lecz nie tylko ja jestem pańskim dłużnikiem. Cały mój lud coś panu zawdzięcza, a zwłaszcza ci bracia, którzy żyli wśród was przez te wszystkie stulecia. Konkretnie rzecz biorąc, od wieku szesnastego, kiedy przybyli tu pierwsi ochotnicy, by otoczyć Ziemię opieką i ocenić jej przydatność do roli przyszłego schronienia dla naszej rasy. Była to święta misja i bardzo nieopłacalna, bo moi bracia padali jak muchy – oznajmił z teatralnym gestem. – Szkodził im nadmiar tlenu w ziemskiej atmosferze. Z tej przyczyny nigdy nie rozważano Ziemi jako kandydatki na naszą zastępczą ojczyznę. Kiedy jednak wyczerpały się lepsze planety, musieliśmy się zadowolić światami choć w przybliżeniu nadającymi się do zamieszkania. Po odpowiednim przystosowaniu wasza planeta posłużyła za schronienie kilku pokoleniom. Przybyłem więc, by pokierować podbojem i przygotować Ziemię do zasiedlenia. Gdyby nie pański bezinteresowny gest, panie Wells, nie zbudziłbym się na czas. W ciągu jednego lub dwóch pokoleń koloniści obecni na planecie wymarliby. Ziemia zaś przetrwałaby tak długo, jak było jej pisane.

Słowa Wysłannika tak przybiły Wellsa, że niemal fizycznie się skurczył. Zbladł jeszcze bardziej i drżał na całym ciele. Jane objęła go ramieniem, a pozostali przyglądali mu się, zdumieni raczej niż oburzeni.

– Proszę się jednak nie martwić, panie Wells – kontynuował Wysłannik, gdy Clayton ukradkiem przygotowywał się od odkręcenia palca. – Nie jest pan winien, a przynajmniej nie w tym sensie, który nadają temu słowu ludzie. Po prostu, mimo iż jesteście mocno zacofaną rasą, niektóre umysły, takie jak pański, znacznie wyprzedzają inne. Mówiąc prościej, dysponuje pan umysłem zdolnym nawiązać komunikację z wszechświatem, połączyć się z czymś, co moglibyśmy nazwać wyższą świadomością, a czego nie jest pan w stanie w pełni pojąć. Potrafi pan dokonać czegoś, do czego reszta pańskiej rasy z niezmiernie rzadkimi wyjątkami jest absolutnie niezdolna. Choć oczywiście sam pan nie wie, jak to robi. – Uśmiechnął się do pisarza z sympatią. – Wiem, że często zadaje pan sobie pytanie, dlaczego przydarzają się panu pewne rzeczy i czy to pan jest temu winien. W rzeczywistości, panie Wells, te rzeczy ani się panu nie przydarzają, ani nie przydarzają się z pańskiego powodu. Te rzeczy, by tak rzec... przydarzają się za pańskim pośrednictwem.

– A cóż to niby ma znaczyć? – zapytał Murray, z pewnością podobnie jak ja śledzący przygotowania Clayтона. – Twierdzi pan, że wszyscy tu obecni, którzy nie wyglądają jak H.G. Wells, należą do niższej rasy? Myśli pan, że nie rozumiemy tych pańskich bredni? A mnie się zdaje, że wszyscy doskonale pana rozumiemy.

– Czyżby? – Fałszywy Wells uśmiechnął się protekcyjnie, wyraźnie rozgniewany, że ktoś mu przerywa. – Rozumiecie mnie wyłącznie dlatego, że zniżam się do waszego poziomu i tłumaczę wam elementarne kwestie. Można by rzec, że rozmawiam z wami przez sen lub po pijanemu.

– Czemu w takim razie zawdzięczam fakt, iż ma pan ochotę ze mną rozmawiać, choć jestem trzeźwy? – zapytał Wells w żalostnej próbie bezczelności.

Wykorzystałem ten moment, by ukradkiem zerknąć na postępy Clayтона, i serce podeszło mi do gardła. Agent zaczął odkręcać sztuczny palec, jednocześnie odsuwając się od nas maleńkimi kroczkami i przesuwając w stronę Wysłannika. „Dalej, do diabła!” – miałem ochotę krzyknąć, z najwyższym trudem powściągając napięcie.

– Ciekawości – odparł Wysłannik, gdy agent zaczynał ukradkiem unosić mechaniczną dłoń. – Pański umysł nie przypomina umysłu żadnego z moich

poprzednich gospodarzy i nie mam na myśli jedynie tego, że jest pan bardziej inteligentny czy pomysłowy od innych ludzi. Mam na myśli fakt, iż pański umysł posiada... nazwijmy to... wyjątkowy mechanizm. I chcę się dowiedzieć, do czego służy, choć z pańskiej miny wnoszę, że sam nie ma pan o tym pojęcia.

Na dźwięk tych słów Clayton przerwał przygotowania i rzucił Wellsowi znaczące spojrzenie, którego wymowy nie pojąłem. Pisarz nieskończenie długo je odwzajemniał, nim wreszcie popatrzył z powrotem na Marsjanina.

– A dlaczego to dla pana takie ważne? – zapytał. – Nie byłoby tu pana, gdyby się pan nie obawiał tego, co mogę zrobić ze swoim darem.

Na twarzy Wysłannika odmalowało się zdziwienie, które natychmiast zakamufłował rozbawionym podziwem.

– Wyjątkowo inteligentny z pana człowiek, panie Wells. I ma pan całkowitą rację. Rozmawiamy nie dlatego, że mnie pan ciekawi. Nie, skądże znowu. Rozmawiamy, bo czuję... strach.

Wszyscy spojrzeliśmy na Wellsa zdumieni. On jednak milczał, z powagą przyglądając się Wysłannikowi. Przez chwilę wyglądali jak swoje lustrzane odbicia.

– Tak – kontynuował Marsjanin. – Może się pan poszczycić umiejętnością wywołania strachu w istocie pod każdym względem nieskończenie doskonalszej od człowieka. Chce pan wiedzieć dlaczego? Bo ja przejmuję nie tylko wygląd każdego, komu skradnę krew. Odtwarzam też jego umysł i wszystko, co się w tym kuferku znajduje: wspomnienia, umiejętności, marzenia, pragnienia... Tworzę dokładną replikę oryginału. Dlatego teraz wystarczy mi poszperać w pańskich zwojach mózgowych, by poznać pańskie dzieciństwo lepiej niż pan sam, odnaleźć mdły sentyment, który udaje miłość do żony, natknąć się na najgłębiej skrywane pragnienia, rozumować jak pan, a nawet pisać w ten sam sposób... Bo jestem panem, ze wszystkimi tego konsekwencjami, z całą pańską wielkością i wszystkimi słabościami. A mózg, który mam pod czaszką i który jest identyczny z pańskim, zawiera także wspomniany wcześniej mechanizm. Nie mam pojęcia, do czego on służy, i to mnie przeraża. Jak mam to wytłumaczyć? Proszę sobie wyobrazić, że podczas sekcji zwykłego karalucha znajduje pan w środku coś nieznanego i niezrozumiałego. Czy nie zatrwożyłoby to pana?

– Nie wiem, czy uznać to za obelgę czy za komplement – zażartował z zimną krwią pisarz.

Wysłannik uśmiechnął się smutno.

– Ten mechanizm może służyć do tego, by pomidory w pańskim ogrodzie szybciej rosły, albo też do zniszczenia naszej rasy – odparł zmęczonym szeptem. – Ale nie cel mnie niepokoi, panie Wells, tylko przyczyna. Nosi pan w głowie coś, czego nie ma nikt inny w całym wszechświecie. Coś nieznanego nawet nam, którzyśmy sądzili, że wiemy wszystko. To oznacza, że świat nie jest taki, jak nam się zdawało. Że wciąż ma przed nami tajemnice... niebezpieczne tajemnice. Nie wiem, czy człowiek potrafi zrozumieć, co to znaczy, biorąc pod uwagę jego zgoła odmienne od naszego miejsce w świecie... – Wysłannik milczał przez kilka sekund, zatopiony w myślach, po czym z rezygnacją wzruszył ramionami. – Może jednak przesadzam z tymi obawami. Skoro przeżył pan inwazję, rozwiązanie problemu wydaje się kwestią czasu.

Jak tylko nasza rasa zasiedli Ziemię, naukowcy zrobią sekcję pańskiego mózgu i znajdą odpowiedź. Dowiemy się, co takiego nosi pan w głowie, panie Wells, i być może przestaniemy się pana bać.

Gdy Wells coraz bardziej bladł, Wysłannik przyjrzał się po kolei każdemu z nas

niczym generał lustrujący armię.

– Co do pozostałych, cieszę się, że mam przed sobą zdrowe i silne okazy. Potrzebujemy niewolników do pomocy przy budowie nowego świata na gruzach starego.

– Szkoda, że muszę panu pokrzyżować plany – odezwał się nagle Clayton.

Natychmiast z trwogą pojęliśmy, że czy tego chcemy czy nie, będziemy musieli wprowadzić w życie nedorzeczny plan ucieczki. Skoncentrowaliśmy się, by jak najlepiej odegrać swoją rolę. Agent podniósł metalową dłoń, jakby próbował zatrzymać pędzącą lokomotywę, i kiedy sekundę później cisnął gęstym dymem prosto w twarz Wysłannikowi, ten zniknął za zasłoną.

– Uciekajcie! – krzyknął przez ramię Clayton. – Szybko!

Rzuciliśmy się hurmem ku drzwiom, jakbyśmy trzymali w rękach niewidzialny taran: przodem Shackleton, potem Murray osłaniający kobiety swoim niedźwiedzim cielskiem, za nimi pisarz, Harold i ja, każdy z innego powodu zepchnięty na dalszy plan tego zaskakującego ataku: pierwszy z racji wątłej postury, drugi – podeszłego wieku, ja zaś z racji tego nadmiernie rozwiniętego instynktu samozachowawczego, który kazał mi unikać kontaktu fizycznego w sytuacjach innych niż zajęcia z fechtunku.

Niestety popełniłem błąd: obejrzałem się za siebie i poprzez zasłonę dymu ujrzałem przekształcającego się Wysłannika. Stałem sparaliżowany, jakby rzucił na mnie czar. Przerażony i zafascynowany zarazem obserwowałem, jak sylwetka fałszywego Wellsa gwałtownie rośnie i w lekkich skurczach wyłania się z niej zupełnie nowa postać. W ciągu sekund przekształciła się w czworonogą bestię rozmiarów słonia, wyposażoną w coś, co wyglądało jak długi i gruby ogon. Ogłuszający ryk dał mi do zrozumienia, że istota posiada także potężne gardło. I nagle, gdy wciąż stałem zapatrzony w groteskową metamorfozę, z rozprzestrzeniających się na całe pomieszczenie oparów dymu wychynął gruby, zielony i naszpikowany kolcami ogon kreatury, i świsnął w powietrzu niczym bat. Uderzając na oślep, trafił w Claytona i powalił go na podłogę, a potem skręcił w moją stronę. Wciąż stałem skamieniały, bezradnie czując, jak macka owija się wokół mojej szyi, a nogi unoszą się z podłogi. Oddychałem z wysiłkiem. Oczy zaszyły mi mgłą. Młóciłem kończynami w powietrzu, próbując się oswobodzić ze śliskiej pętli, lecz szybko pojąłem, że trud mój jest daremny. Przerażony czekałem na śmierć z uduszenia, ale nagle w moim polu widzenia pojawił się Harold z nożem do papieru, który wcześniej leżał na biurku. Celnym ciosem, w który zapewne włożył wszystkie swoje siły, wbił go w mackę bestii. Ta natychmiast mnie uwolniła i podrygiwała w powietrzu, ja zaś spadłem na ziemię niczym worek mąki, zdyszany i targany mdłościami, choć dość przytomny, by zobaczyć, jak macka owija się wokół szyi woźnicy, który wypuszcza nóż z ręki. Usiłowałem wstać, by go podnieść i powtórzyć wyczyn Harolda, lecz byłem zbyt słaby. Mogłem jedynie na klęczkach patrzeć, jak ogon kreatury ciągnie staruszka w nieprzenikniony dym. Wkrótce potem dobiegł stamtąd makabryczny chrzęst łamanych kości i stłumiony jęk. Zakląłem jedynie. Ten człowiek umierał za mnie – za kogoś, kto według wszelkich znaków na niebie i ziemi nie zasługiwał na jego poświęcenie. Rozejrzałem się, lecz z powodu gęstego zadymienia nie udało mi się zobaczyć, gdzie leży przewrócony przez mackę Clayton; nie miałem więc pojęcia, czy stracił przytomność, pozostawiając nas i siebie na łasce Marsjanina, czy też przeciwnie – lada chwila mgła rozbłyśnie niczym lampion, dając do zrozumienia, że agent wprowadził w życie swój plan i że za kilka sekund wszyscy wylecimy w powietrze. Jakkolwiek było, postanowiłem nie czekać na odpowiedź.

Wykorzystując zaskakujący fakt, że wciąż żyję, stanąłem na drżących nogach i

walcząc z mdłościami, chwiejnym krokiem opuściłem zasnuty dymem gabinet, by znaleźć się w środku czegoś, co wyglądało jak przedstawienie. Kapitan Shackleton powalał mocnym ciosem pięści jednego z dwóch strzegących wejścia Marsjan; kilka metrów dalej Murray leżał na drugim, przyciskając go do ziemi swoim potężnym ciężarem. Musiał powalić go z nienacka, idąc za radą Claytona, a teraz walczyli rozpaczliwie, na chybił trafił okładając się pięściami. Właśnie w tej chwili przedsiębiorca zdołał schwycić Marsjanina za głowę, nim ten zdążył się przeobrazić, i obrócił ją gwałtownie. Trzask kości odbił się od ścian tunelu, a Murray wstał i obrócił się plecami do nas, dysząc i zataczając się z wysiłku. Wells i kobiety przyglądali się wszystkiemu wsparci o ścianę i wyraźnie wstrząśnięci tym mrożącym krew w żyłach pokazem brutalności. Szybki rzut oka utwierdził mnie w przekonaniu, że więcej strażników nie ma, i mogłem jedynie podziękować losowi, że człowiek w koloratce nie uważał za stosowne postawić tu innych Marsjan.

– Szybko! – zawołałem, podbiegając do swoich. – Musimy się wydostać!

Ruszyliśmy ku tunelowi, którym nas tu przyprowadzono, Shackleton przodem, reszta za nim. Biegliśmy z duszą na ramieniu, bojąc się, że lada chwila usłyszymy za plecami potworną eksplozję, która podniesie nas z ziemi i niczym szmaciane lalki rzuci o ściany. Zamiast tego jednak usłyszeliśmy ogłuszający zwierzęcy ryk przepełniony dziką nienawiścią i niepokojąco bliski. Obróciłem głowę w prawo i ujrzałem w drzwiach biura monstrualną sylwetę Wysłannika. Choć słabe światło i dym zamazywały obraz, zdołałem się przyjrzeć jego prawdziwej postaci dość dobrze, by poczuć grozę. Ścigający nas potężny stwór przypominał smoka ze średniowiecznych bestiariów: fosforyzująca zielona skóra, najeżony kolcami grzbiet i olbrzymie kły, z których wystawały ochłapy krwistego mięsa.

– Szybciej! Szybciej! – krzychałem jak szalony, znów patrząc przed siebie.

– Szybciej! – powtórzył jak echo Clayton, który ku memu zdumieniu minął mnie z lewej strony.

– Co tu się... – wyjąkałem, skręcając za nim w odnogę tunelu, którą podążyli pozostali. – Nie zdetonował pan ładunku?

– Wpadłem na lepszy pomysł! Pomysł, który wszystko rozwiąże! Ale potrzebuję pomocy pana Wellsa, a wątpię, czyją otrzymam, jeśli tu zginie, chyba że zorganizuję seans spirytystyczny!

Biegający przed Claytonem Wells i Murray odwrócili głowy.

– Mojej pomocy? – wydyszał zdumiony pisarz z wielkimi rumieńcami na policzkach.

– I uważa pan, że to właściwy moment na wyjaśnienia?

– Przepraszam, że wcześniej na to nie wpadłem, panie Wells! – odkrzyknął agent, sadząc długimi susami niemal bez wysiłku, wyprostowany jak struna.

– Więc musi pan poczekać, agencie! Sam pan rozumie, że teraz nie możemy się zatrzymać! – odkrzyknął Murray, biegnąc jeszcze dziwniej niż on, nieco przygarbiony i trzymający się za brzuch. – Szybciej! Szybciej! – zawołał do kobiet, które wyprzedzały nas o kilka metrów. – Nie oglądajcie się!

Oczywiście natychmiast odwróciłem głowę. Marsjański stwór człapał wielkimi krokami jakieś trzydzieści metrów za naszą grupą w towarzystwie jednego ze strażników, który też zaczynał się przeobrażać w monstrualnego smoka. Szkoda, że Shackleton nie postąpił z nim tak bezwzględnie jak Murray ze swoim. Nasza sytuacja była, delikatnie mówiąc, skomplikowana. Wszystko wskazywało na to, że lada chwila nas dopadną. Czy mieliśmy zginąć rozszarpani przez ich łapy i kły jak Harold? Nie wyobrażałem sobie straszniejszej śmierci. Za kolejnym zakrętem tunel rozwidła się na cztery odnogi.

Zatrzymaliśmy się zdyszani i niezdecydowani, wbijając pytający wzrok w kapitana w nadziei, że wskaże nam drogę, ale on wydawał się równie niepewny jak pozostali.

– Tędy! – odezwał się nagle jakiś głos.

Z mroku jednego z tuneli wyłonił się mężczyzna w koloratce. Machał do nas. Przez kilka sekund zerkaliśmy na siebie, nie wiedząc, czy mamy mu zaufać, czy też chce nas wciągnąć w pułapkę, ale jaka pułapka mogła być gorsza od losu, który nas czekał z rąk Wysłannika? Czasu na debaty też nie mieliśmy w nadmiarze, bo kroki prześladowców rozbrzmiewały coraz bliżej, a na jednej ze ścian już widać było ich gigantyczne zdeformowane cienie.

– Za mną! – zawołał Shackleton, wbiegając do tunelu, z którego wzywał nas pastor.

Pobiegliśmy za nim. Pułapka czy nie pułapka, była to nasza jedyna szansa.

– Biegnijcie prosto! – usłyszałem głos duchownego. – Szybko, nie ma chwili do stracenia! Ten kanał zaprowadzi was prosto do rzeki i nikogo po drodze nie spotkacie! Sprawdziłem! Postaram się odwrócić ich uwagę – terkotał wpatrzony w zakręt.

– Dlaczego pastor to robi? – zapytałem zdumiony, przystając obok niego.

Nie patrząc na mnie, z twarzą rozjaśnioną jakimś niebiańskim zachwytem, człowiek w koloratce wymamrotał:

– Jestem ojciec Gerome Brenner i nie pamiętam, żebym kiedyś był kimś innym. Byłem stary, gdy się narodziłem, a teraz jestem zbyt stary, by się zmieniać. Idź w pokoju, synu, idź w pokoju. – Zrobił kilka kroków, zatrzymał się tyłem do mnie u ujścia tunelu i zaczął recytować: – „Złodziej przychodzi tylko po to, aby kraść, zabijać i niszczyć. Ja jestem dobrym pasterzem. Dobry pasterz daje życie swoje za owce”.

Clayton schwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą, wołając lakonicznie:

– Dzięki ci, ojcze!

Biegając za agentem, obejrzałem się na staruszka stojącego tam niczym rachityczne drzewko i starającego się zagłuszyć psalmami ciężkie kroki dobiegające z sąsiedniego tunelu. Z uroczystym spokojem rozłożył ręce i jego dłonie zmieniły się w ostre szpony, dając początek metamorfozie, która wkrótce miała ogarnąć całe ciało. Zaraz potem wyłoniły się z tunelu dwa wielkie krety będące jego braćmi. Więcej nie chciałem widzieć. Odwróciłem się i pobiegłem za swymi towarzyszami, rozchlapując wodę w kałużach. Za naszymi plecami ogłuszające nieludzkie ryki odbijały się złowieszczo od ścian, obwieszczając początek walki na śmierć i życie między tymi kosmicznymi stworami. Przez kilka minut pędziliśmy jak szaleni, pozostawiając za sobą cichnące odgłosy batalii. Nie mieliśmy pojęcia, jak potoczyły się jej losy, choć nie sądzę, by któreś z nas było gotowe postawić na pastora złamany grosz.

Murray potknął się i przystanął, opierając się o ścianę. Zatrzymaliśmy się przy nim.

– Co ci jest, Gilliam? – wydyszał Wells.

– Biegnijcie, biegnijcie. Dogonię was. Muszę tylko chwilę odetchnąć – wysapał błady jak kreda przedsiębiorca, próbując się uśmiechnąć przez zaciśnięte zęby i przyciskając dłonie do brzucha, niemal zgięty w pół.

– Oszalałeś? Jak mamy biec bez ciebie? – zapytała przestraszona Emma. – Co się stało?

– Nic, nic. Wszystko w porządku. Muszę tylko trochę od... – zaczął, lecz nagle zabrakło mu sił i osunął się na kolana, wciąż ściskając dłońmi brzuch. Podniósł na nas wzrok, jakby prosił o wybaczenie, i na naszych zdumionych oczach zaczął rozpinać marynarkę. Dopiero wtedy zobaczyliśmy przecinającą brzuch ohydzną ranę od szponów. A on wciąż uśmiechał się wstydliwie jak ktoś, kto poplamił sobie kamizelkę winem.

Emma zakryła dłońmi usta, by stłumić krzyk. Z rany wystawały jakieś krwawe wyrzyszenia, które mogły być jedynie fragmentami wnętrza rannego. Krew płynęła obficie z ziejącej szczeliny, brudząc spodnie. Jakim cudem zdołał przez tyle minut biec w takim stanie? Do takiego wyczynu zdolny był tylko ktoś, komu niezmiernie zależało na zachowaniu życia.

– Marsjanin, którego zabiłem, niestety zdążył przekształcić co najmniej jedną łapę – powiedział przepaszająco, spoglądając na dziewczynę zmęczonym wzrokiem. – Wołałem wcześniej nie patrzeć na ranę. Bałem się, że jest poważna... a nie chciałem zostawiać cię samej. Wybacz mi, Emmo...

Dziewczyna opadła na kolana obok niego, wbijając zatrwożony wzrok w rozdarty brzuch, jakby rzucała mu wyzwanie. Przez chwilę machała rękami nad ohydny dziurą odsłaniającą wnętrze Murraya, po czym przycisnęła dłonie do rany, by zatamować krew, jakby sądziła, że ten prosty gest wystarczy, by jej ukochany porzucił idiotyczny pomysł umierania. Życie jednak uciekało z niego w postaci czerwonych strużek między jej palcami.

Emma wydała z siebie zwierzęcy jęk, w którym wyrażały się ból, wściekłość i bezradność. Potem objęła mężczyznę z taką rozpaczą, jakiej nie widziałem jeszcze nigdy.

– Nie, Gilliamie, nie umieraj... Nie możesz mi tego zrobić! – szlochała, z furią uderzając go w pierś. Zabiłaby go, gdyby dzięki temu mogła mu wrócić życie.

Nagle z oddali dobiegł triumfalny ryk, tak głośny, że podnieśliśmy głowy, czując, jak w żyłach zastyga nam krew. Zaledwie kilka sekund później usłyszeliśmy tupot wielkich łap biegnących w naszą stronę monstrualnych stworów. Nie potrzeba było wielkiej inteligencji, by się domyślić, kto wygrał bitwę u wylotu tunelu. Wkrótce zwycięzcy mieli nas dopaść, a sądząc z hałasu, było ich znacznie więcej niż dwóch. W tym momencie chyba wszyscy poczuliśmy się martwi, rozszarpani przez tę oszalałą sferę.

– Clayton – wymamrotał Murray pośród strużek krwi, które wydostawały się z jego ust i brudziły włosy przytulającej go Emmy – nie wiem, jaki jest pański nowy plan, ale jeśli ma wam wystarczyć czasu na jego realizację, niech mi pan tu zostawi tę przeklętą rękę, a kiedy Marsjanie przybiegną, zdetonuję ją... To załatwi kilku z nich i mam nadzieję, że spowoduje zawalenie tunelu, dzięki czemu nie będą mogli podążać za wami tą drogą. Wtedy będziecie mieli szansę im się...

– Nie, Gilliamie, nie! – zaprotestowała dziewczyna.

– Emmo... – wyszeptał z wysiłkiem Murray – wiesz, że uwielbiam się z tobą sprzeczać, ale to nie jest dobry moment, najdroższa. Odejdź, odejdź z nimi, błagam...

– Nigdzie nie odejdę, Gilliamie. Zostanę z tobą – odparła stanowczo.

– Ratuj się, Emmo, musisz...

– Sam powiedziałaś, że to niedobry moment na sprzeczki, więc nie zamierzam się sprzeczać – odparła zapłakana dziewczyna. – Zostaję z tobą. I nic, co powiesz, nie zmieni mojej decyzji.

Murray pogłaskał ją po włosach drżącą, coraz chłodniejszą dłonią.

– Jestem najbardziej irytującym człowiekiem, z jakim można by przetrwać marsjańską inwazję, ale umrzeć ze mną to co innego?

– Dobre wychowanie nie pozwala mi na to pytanie odpowiedzieć, panie Gilmore, a moralność nie pozwala kłamać. Proszę wyciągnąć własne wnioski – drżącym głosem odparła Emma.

Murray uśmiechnął się do niej z niewymowną czułością i przywarli do siebie wargami, podczas gdy ręce przedsiębiorcy zsuwały się po plecach dziewczyny, zbyt słabe,

by ją objąć. Wszyscy spuściliśmy wzrok, zawstydzeni i poruszeni sceną. Niestety na nic więcej nie było czasu: potężny tupot bestii zbliżał się z każdą sekundą. Tym razem zakochanym nie miał przerwać w amorach ani słynny pisarz H.G. Wells, ani agent specjalny Clayton.

– Clayton – wychrypiał ledwo słyszalnym głosem Murray, oderwawszy usta od ust Emmy, która szlochała, przywierając do niego. – Niech mnie pan źle nie zrozumie, ale muszę pana prosić o rękę.

Agent uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd go poznałem. Szybko odkręcił protezę i podał ją przedsiębiorcy.

– We właściwej chwili niech pan tu naciśnie – powiedział, wskazując guzik w środku.

– Oczywiście, agencie – zapewnił go z wymuszonym entuzjazmem Murray, po czym pożegnał się z nami gorączkowym spojrzeniem, które na koniec zatrzymało się na Shackletonie. – Niech ich pan broni, kapitanie. Wierzę w pana. Wiem, że wyprowadzi ich pan stąd całych i zdrowych.

Shackleton przytaknął uroczyście.

– Wybacz, że nie odpowiedziałem na twój list – przeprosił przedsiębiorcę Wells. – Gdybym go dostał dzisiaj, z pewnością bym to zrobił.

– Dziękuję, George – odparł zaskoczony Murray.

Wells zrobił krok ku niemu i wyciągnął doń rękę tak gwałtownie, że aż podskoczyliśmy.

– Cieszę się, że cię poznałem, Gilliamie – rzekł tak pospiesznie jak ktoś, kto czuje, że okazywanie uczuć go ośmiesza.

Gilliam uściśnął mu dłoń, być może zadowolony, że wykrzywiona bólem twarz pozwala mu ukryć wzruszenie tym niespodziewanym odruchem sympatii ze strony pisarza. Potem obrócił głowę ku Emmie i ostatnim wysiłkiem raz jeszcze spróbował ją przekonać:

– Idź już, najdroższa – wychrypiał. – Żyj, proszę...

– Nie mam zamiaru żyć bez ciebie – odparła dziewczyna z udręczoną stanowczością.

– Nie będziesz musiała, Emmo – zapewnił Murray, głaszcząc jej włosy chaotycznymi ruchami prowadzonej już przez śmierć ręki. – Przysięgam ci, że nie będziesz sama, bo wrócę. Nie wiem jak, ale wrócę. Zrobiłem to raz i zrobię znowu, najdroższa. Wrócę do ciebie. Będziesz czuła, jak cię obejmuję, jak się do ciebie uśmiecham, jak się o ciebie troszczę w każdej sekundzie każdego dnia...

Ona jednak jeszcze mocniej przywarła do konającego mężczyzny. Murray spojrział na nas błagalnie, jakby chciał powiedzieć „próbowałem”. Próbował, lecz mu się nie udało, być może dlatego, że nic nie mogło przekonać Emmy, by uciekła z nami. Popatrzyliśmy po sobie. Nikt jednak nie ośmielił się siłą wyrwać dziewczyny z jego ramion. Clayton spojrział w głąb tunelu, skąd nadciągali Marsjanie. Pewnie doszedł do wniosku, że mamy co najmniej dwie minuty przewagi, bo ku naszemu zdumieniu przykląkł przy Murrayu i Emmie.

– Panno Harlow – rzekł łagodnie – proszę mi wierzyć, że ta przysięga nie jest wyłącznie przenośnią. Jak pani wiadomo, mój oddział zajmuje się wszystkim, co wykracza poza ramy rozumu, więc trzeba mi zaufać, kiedy mówię, że w niektórych sytuacjach to, o czym wspomniał pan Murray, się sprawdza. Miłość bywa silniejsza od śmierci.

Emma obróciła głowę i w milczeniu przyglądała się agentowi.

– Gdyby był pan kiedykolwiek zakochany, wiedziałby, że pańskie słowa nie przyniosą

mi żadnej pociechy – odparła z nieznaczną irytacją. – Z całym szacunkiem, niech pan idzie do diabła.

Clayton przez kilka sekund przyglądał jej się na wpół smutnym, na wpół zbolalym wzrokiem, z niemal ludzkim wyrazem twarzy, o jaki nigdy bym go nie podejrzewał. Nie wiedziałem, czy mówi prawdę – czy z doświadczenia wie, że bywają miłości zdolne przekroczyć granicę śmierci – czy też było to urocze kłamstewko mające przekonać dziewczynę do ucieczki z nami. Tak czy owak, na Emmie nie wywarło najmniejszego wrażenia. W końcu agent wstał i spojrzał na Murraya, jakby prosił o pozwolenie na użycie wobec dziewczyny siły, skoro inne strategie zawiodły. Przedsiębiorca jednak pokręcił głową i z uśmiechem smutnej rezygnacji resztką sił przygarnął ukochaną. Jego gest mówił wszystko.

Jak gdyby nas już nie było, Murray zaczął szeptać dziewczynie coś do ucha śpiwnym tonem, jakby nucił kołysankę, i choć słabo rozumieliśmy słowa, zobaczyliśmy, że szloch Emmy raptownie ustał. Nie podnosząc głowy z piersi mężczyzny, dziewczyna uśmiechnęła się porozumiewawczo, a on wciąż szeptał, tuląc ją w gnieździe swoich ramion spokojną i zamyśloną, niepomną na nadciągającą milowymi krokami śmierć, jak zasłuchaną w bajkę dziewczynkę. Wnioskując bowiem ze strzępów, które udało mi się dosłyszeć, Murray właśnie to jej opowiadał – nieznaną mi bajkę o kolorowych kulach przemierzających galaktyki z waty cukrowej pełne pomarańczowych czapli i ludzików z rozdwojonymi ogonami.

Clayton uroczyście pokiwał głową, jakby to wszystko było zwieńczeniem sztuki napisanej przez niego samego.

– Musimy już iść – powiedział szybko. – Trzeba się jak najbardziej oddalić, zanim nastąpi wybuch.

I nie czekając na odpowiedź, pobiegł w głąb tunelu. Podobnie jak pozostali, ze ściśniętym sercem ruszyłem za nim. I kiedy tak biegłem przez londyńskie kanały, mając wrażenie, że dusza wywraca mi się na nice od nadmiaru wrażeń, rzuciłem przez ramię okiem na zakochanych, którzy wciąż trwali objęci, trzymając sztuczną rękę Clayтона pomiędzy swoimi, z każdym naszym krokiem coraz mniejsi. Dokładnie w momencie, w którym moim oczom ukazały się olbrzymie kształty nadbiegających bestii, kochankowie wymienili powolny, uroczysty pocałunek, jakby mieli tyle czasu, ile tylko zapragną, i nic nie obchodziło ich bardziej niż usta ukochanej osoby. I jakby pod wpływem tego dotyku wybuchły ich serca, tunel rozbłysnął i zniknął w oślepiającej bieli.

Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby zilustrować miłość tych dwojga lepiej niż ów potężny oślepiający blask. Minęły dwa lata, odkąd ten obraz zapisał się na zawsze w mojej pamięci, i z dumą dziś potwierdzam, że choć Gilliam i Emma zginęli tamtego dnia objęci czule w londyńskich kanałach, ich miłość wciąż trwa, bo wspominając ją codziennie, nie dopuściłem do tego, by wygasła, a teraz, gdy sam umieram, staram się uwiecznić ją najlepiej jak potrafię na tym skrawku papieru, by nie zginęła wraz ze mną. Ubolewam jedynie, że nie władam słowem tak zręcznie jak Byron czy Wilde, aby ktoś, kto to kiedyś przeczyta, o ile to nastąpi, mógł poczuć w dłoniach ten sam ogień, który rozpalil serca kochanków.

Po wybuchu usłyszeliśmy potworny huk podobny do grzmotu i na jakiś czas ogłuchliśmy, czując, jak uderza w nas fala gorącego powietrza, i patrząc z przerażeniem na tworzące się na ścianach i suficie tunelu szczeliny. Biegliśmy tak szybko, jak tylko pozwalały nasze zmęczone nogi, uchylając się przed spadającymi kamieniami, które uderzały o ziemię z przytłumionym przez naszą głuchotę hukiem. Na dodatek oślepił nas

tuman pyłu, lecz jakimś cudem, rozkaszlani i rozkrzyczani, wybiegliśmy z tunelu do kanału głównego. Szybko zlustrowaliśmy się wzrokiem, sprawdzając, czy nikt nie odniósł ran. Shackleton z pobieloną pyłem twarzą usiłował się zorientować w naszym położeniu, a za naszymi plecami pasaż, który nas tu doprowadził, zaczął się walić z potwornym łoskotem.

– Tędy! – wykrzyknął kapitan, wbiegając do wąskiego otworu w ścianie.

Ledwieśmy go słyszeli, lecz ruszyliśmy posłusznie, nie tracąc ani sekundy. Biegliśmy pochyleni, by nie uderzyć głową o sufit. Tunel był niemal ciemny i w jednej trzeciej wypełniony ściekami, przedzieraliśmy się więc na oślep, zanurzeni po kolana, choć na tym etapie naszej tułaczki nie robiło to już na mnie wrażenia. Byłem tak wyczerpany, że nie obchodziło mnie, dokąd uciekamy ani czy Marsjanie nas gonią. Głuchota poczęła ustępować i usłyszałem, jak nasze zmęczone, niemal zbolale oddechy odbijają się echem od ścian, oznajmiając dobitnie, że jesteśmy u kresu sił, a może także rozumu. Ja sam ledwie trzymałem się na nogach, skóra mnie piekła, a mdłości dławily, lecz przede wszystkim czułem się rozbity wewnątrz: zrozumiałem, że jako człowiek jestem oszustem; że moją duszę porastają chwasty egoizmu, między którymi nie pojawi się żadna róża. Wszystko, co w innych ludziach rodziło się tak spontanicznie i naturalnie, we mnie wymagało świadomego wysiłku, a w większości przypadków także przyszłej rekompensaty lub osobistej satysfakcji. Dręczony takimi myślami biegłem tunelem, zataczając się, gubiąc oddech i czując, że każdy kolejny krok więcej mnie kosztuje. Nagle jednak, nie rozumiejąc, co się stało, zacząłem biec bez wysiłku, jakby ktoś przyszył mi do nóg skrzydła.

– Tunel się pochyla! – zawołał za moimi plecami Wells.

Rzeczywiście: korytarz pochylał się coraz bardziej w dół, aż w końcu kąt stał się tak duży, że zaczęliśmy koziołkować, ciągnięci przez zalewającą go wodę. Kiedy tak leciałem na łeb na szyję, Bóg jeden wie dokąd, usłyszałem w oddali narastający z każdą sekundą ryk wody i bez trudu pojąłem, że spadamy jednym z wielu kanałów odprowadzających ścieki do głównej magistrali – olbrzymiego kanału, który wijąc się pod ulicami, transportował nieczystości całego Londynu do jakiegoś meandra Tamizy. Wyobraziłem sobie, że na końcu tunelu czeka nas gwałtowny kilkumetrowy spadek, coś w rodzaju sztucznego wodospadu spływającego do miejsca, do którego spuszczano ścieki. Nie wiedziałem, czy pastor z kosmosu był świadom niebezpieczeństwa grożącego nam, jeśli pobiegniemy tą drogą, i czy uznał je za mniejsze zło – osobiście jednak wątpiłem, czy zdołamy przeżyć upadek. W oczekiwaniu na ostateczną konfrontację starałem się koziołkować jak najpłynniej.

Wówczas dostrzegłem bladą i przerażoną Jane, a kilka metrów za nią pisarza, rozpaczliwie próbującego ją pochwycić. Bez namysłu przygarnąłem kobietę, otaczając ją kokonem własnego ciała i licząc na to, że zdołam ją jakoś uchronić w momencie upadku. Nagle tunel zniknął i poczułem, że lecę w powietrzu, trzymając w ramionach drżące ciało Jane. Dziwne to było uczucie, podobne do unoszenia się w nicości. Miałem wrażenie, że będzie trwało wiecznie, lecz złudzenie prysnęło gwałtownie, gdy z ogromną prędkością uderzyłem plecami o coś twardego, złamałem żebra i na kilka sekund straciłem oddech, ale nie puściłem Jane. Otrząsnąwszy się z szoku, zobaczyłem, że spadłem na balustradę otaczającą ogromny zbiornik, do którego rury spuszczały wodę. Kilka metrów nad moją głową dostrzegłem rurę, która nas wypluła, zrzucającą do zbiornika swój obrzydliwy ładunek, a dookoła niej co najmniej pół tuzina innych robiących to samo. Od dna zbiornika, do którego odprowadzano wszystkie nieczystości Londynu, odchodził kanał,

który prawdopodobnie wyrzucał to wszystko gdzieś pośrodku rzeki, tworząc wielki wir. Nie sądziłem jednak, by ktoś potrafił wstrzymać oddech na czas pozwalający mu tamtędy uciec. To musiałyby trwać co najmniej kwadrans, może dwadzieścia minut. Jeśli taki plan miał dla nas dobry marsjański pasterz, z całą pewnością przecenił wytrzymałość naszych płuc.

Obok mnie kaszłała półprzytomna Jane, być może obezwładniona strachem, który ją ogarnął podczas spadania, lecz cała i zdrowa dzięki temu, że to ja wzięłem na siebie siłę uderzenia o barierę. Shackleton wpadł do zbiornika, lecz choć potężny wir próbował go ściągnąć na dno, kapitan najwyraźniej był w pełni sił i energicznie wiosłował rękami, próbując podплыwać do ściany zbiornika, na której dostrzegłem drabinkę z kilku metalowych uchwyty. Odwróciłem wzrok od bohaterskiej walki Shackletona ze śmiertcioną spiralą, wiedząc, że sobie poradzi, i rozejrzałem się za pozostałymi. Niedaleko siebie zauważyłem Claytona zahaczonego o balustradę nogami, a jedyną ręką trzymającego pisarza, który młócił nogami nad wodą. Natychmiast pojąłem, że jeśli wpadnie, zostanie niechybnie pochłonięty przez wir z racji swej wątłej postury.

– Trzymaj go, Clayton! – zawołałem, podnosząc się z trudem, by dotrzeć do niego i pomóc mu wciągnąć pisarza.

Dowlokłem się do nich najszybciej jak mogłem, zaciskając zęby, by znieść potworny ból połamanych żeber. Clayton wołał coś do Wellsa, usiłując przekrzyczeć huk spadającej wody. Kątem oka zerknąłem w kierunku kapitana i przekonałem się, że istotnie dopłynął do uchwyty, wciągnął się na balustradę i kieruje się w stronę agenta, wyciągając potężne ramiona. Ja jednak byłem bliżej.

– Wytrzymajcie jeszcze trochę! – zawołałem, zaciskając zęby, by nie zemdlec z bólu.

Od Claytona dzielił mnie już zaledwie metr. Najwyraźniej jednak żaden z nich mnie nie usłyszał, bo zajęci byli krzyczeniem do siebie. Gdy w końcu znalazłem się obok agenta, usłyszałem wreszcie, co wrzeszczy do Wellsa, i zobaczyłem jego napiętą szyję z rozciągniętymi do granic możliwości grubymi ścięgnami.

– Dalej! Da pan radę, proszę mi zaufać! Tylko pan może nas ocalić!

Nie pojmując, co ma na myśli policjant, zawołałem do pisarza:

– Niech mi pan poda rękę! – I wyciągnąłem swoją, drugą z całej siły trzymając się poręczy.

Agent obrócił się do mnie i uśmiechnął, spocony i wyczerpany wysiłkiem. Potem oczy uciekły mu w głąb czaszki, puścił pisarza i zemdlał. Nie zdołałem ich w porę chwycić. Patrzyłem, jak wpadają niczym kamienie do zbiornika, od którego powierzchni dzieliło nas co najmniej tuzin metrów. Kapitan natychmiast rzucił się w ślad za nimi i złapał Claytona, nim ten poszedł na dno. Pojąłem jednak, że nie zdoła uratować pisarza, więc nie dając sobie czasu na pomyślenie o tym, że uderzenie o powierzchnię może mnie pozbawić przytomności, puściłem poręcz i skoczyłem do gęstego cuchnącego jeziora. Uderzenie istotnie wzmogło ból, ale nie odebrało mi świadomości. Zanurkowałem w potwornie wzburzonej cieczy, walcząc z próbującym mnie wciągnąć wir, i usiłowałem pochwycić ciało Wellsa, lecz nie zdołałem go nawet zobaczyć. Gdy rwanie w płucach stało się nie do zniesienia, wypłynąłem na powierzchnię i poczułem, jak jakaś macka owija mi się wokół szyi i unosi mnie w powietrze.

Tak skończyła się nasza mozolna ucieczka. Kiedy ogon jednego z potworów wyciągnął mnie z wody i wyrzucił poza zbiornik, gdzie znajdowali się już moi towarzysze, zrozumiałem, że jesteśmy więźniami. Był tam Wysłannik, znów pod postacią Wellsa, co oznaczało, że materiał z protezy Claytona zabił jedynie kilku jego towarzyszy biegnących

przodem.

Dwa lata później wciąż pamiętam posepne spojrzenia, które wymienialiśmy, wyczerpani i mdlejący od fetoru, i towarzyszący nam strach o przyszłość – strach, który dziś nazwałbym niedostatecznym, śmiesznym niemal w obliczu czekającego nas tragicznego losu. Najbardziej jednak wbiły mi się w pamięć krzyki Jane rozpaczliwie wołającej męża, raz za razem wykrzykującej jego imię aż do zachrypnięcia. Krzyki, które zbladły jedynie w obliczu ryku, jaki wydał Wysłannik, gdy jeden z jego podwładnych po przeszukaniu dna zbiornika wynurzył się i oznajmił, że nigdzie nie ma śladu pisarza. Jego ulubiony karaluch zdołał się wymknąć, zabierając ze sobą swoją tajemnicę. A to, na nieszczęście Marsjanina, zmieniało wszechświat w miejsce niezbadane, w którym możliwe było wszystko. Do dziś nie wiem, co się stało z Wellsem. Przypuszczam, że stracił przytomność po uderzeniu o wodę i utonął, a jego ciało prąd wyrzucił w dalszym biegu Tamizy. I choć na to nie wygląda, był to najlepszy koniec, jaki mógł go spotkać.

Teraz, gdy słońce umiera nad ruinami Londynu za posepnymi lasami otaczającymi marsjański obóz, pospiesznie kończę tę opowieść, świadom, że za kilka godzin zakończę także swój żywot. Nie mam złudzeń, że przeżyję kolejny dzień. Moje ciało lada chwila się podda, a może uczyni to moja dusza, to bagno rozpaczy i zgorzknienia, które dźwigam w piersi.

Na szczęście zdołałem opowiedzieć niemal wszystko; zostały zaledwie drobne szczegóły. Jako że nie uda mi się zostać bohaterem niniejszej historii, żywię przynajmniej nadzieję, że byłem dla czytelnika, kimkolwiek jest, interesującym gawędziarzem. Nic więcej uczynić już nie mogę. Tak kończy się mój żywot; żywot, który chciałbym przeżyć całkiem inaczej. Mogę jedynie wyrazić na tych stronach żal równie szczery, co spóźniony. Ze swojej celi widzę ciemność osiadającą na marsjańskiej piramidzie, lepiej niż jakikolwiek sztandar symbolizującej podbój planety, która niegdyś należała do ludzi. Na niej toczyła się nasza historia, jej dawaliśmy najlepsze i najgorsze, co w sobie mamy. Gdy jednak zginie ostatni człowiek, nie pozostanie po tym wszystkim najmniejsze wspomnienie. Wraz z nim umrzemy wszyscy. Ostatecznie udało mi się z tym pogodzić, choć mój rozum wciąż tego nie pojmuję.

Charles Leonard Winslow,
wzorcowy więzień marsjańskiego obozu w Lewisham

XXXVII

Choć poranek ku zdumieniu Charlesa zastał go wciąż żywego, więzień zszedł do wnętrza piramidy z zeszytem ukrytym w spodniach, przekonany, że będzie to jego ostatni dzień na powierzchni tej Ziemi, którą rozpoznawał z coraz większym trudem. Przez całą noc majaczył w gorączce, trzęsąc się na pryczy, miotany konwulsjami tak potężnymi, że omal go nie rozerwały, i w tym stanie musiał stawić czoło rutynie dnia, znosząc zaciekawione spojrzenia Marsjan, którzy najwyraźniej czekali, aż straci przytomność. Ku ich zaskoczeniu wciąż trzymał się na nogach i toczył beczki, cały wysiłek wkładając w to, by nie rozpaść się jak chmura rozerwana przez wiatr, i od czasu do czasu przypominając sobie, że musi zachować resztkę sił na ukrycie dziennika.

Kiedy o zmroku wynurzył się na powierzchnię, bardziej martwy niż żywy, chwiejnym krokiem ruszył w stronę automatów z jedzeniem, gdzie grupa więźniów czekała już na drugą dzienną rację, po której miała się udać na spoczynek do cel. Charles minął pozostałych, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, i zatrzymał się o kilka metrów od miejsca, w którym według jego szacunków biegł niewidzialny przewód sterujący obrożami. Z drżącym sercem zaczął kopać, po czym, upewniwszy się, że nikt nie patrzy, ukrył zeszyt pod ziemią.

Wolałby powierzyć swoje dzieło gołębiowi pocztowemu, który w geście buntu zaniósłby je na kontynent, do krajów starej Europy, gdzie niektórzy ludzie wciąż żyli wolno, ale skoro nie miał żadnego pod ręką, a także nie wiedział, czy istotnie są jeszcze ludzie, którzy nie wpadli w szpony Marsjan, musiał się zadowolić zakopaniem dziennika na terenie obozu. Następnie przykrył go kamieniami i przez kilka minut przyglądał się maleńkiemu kopcowi. Nie miał pojęcia, dla kogo zostawia tu ten zeszyt. Może nikt nigdy go nie znajdzie i z czasem kartki się rozpadną. Albo może za kilka dni jakiś Marsjanin natknie się na niego i natychmiast go spali, co i tak będzie lepsze, niż gdyby przeczytał go na głos swym towarzyszom, naśmiewając się z kiepskiej prozy autora, z jego niemądrych rozważań o miłości czy z opisywanych przezeń bezsensownych prób ucieczki przed nieuniknionym.

Nieważne zresztą, czy znajdą ten dziennik, pomyślał Charles, zawstydzony nagle celem, w jakim go spisał. Uczynił to nie po to, by utrwalić historię miłości Gilliana i Emmy, ani – choć tak twierdził na jego stronicach – by przekazać wszystko, czego się dowiedział o Marsjanach. Nie, pomyślał w porywie szczerości, spisał go wiedziony tym samym egoistycznym pragnieniem, które zawsze kierowało jego postępowaniem: pragnieniem, by lepsza wersja niego samego nie umknęła uwagi świata; chęcią pokazania w jedyny dostępny mu sposób, że choć zmarnował życie, przynajmniej w ostatnich jego dniach zdołał się uszlachetnić i przemawiać głosem człowieka, który wie, co to godność.

Cóż, jeśli taki cel mu przyświecał, już go osiągnął. Teraz mógł się położyć i umrzeć. O to błagało go ciało: o wieczny kojący odpoczynek, jaki mogła przynieść jedynie śmierć. Uśmiechnął się do zachodzącego słońca, ukazując bezzębne dąsła starca. Tak, to właśnie zrobi: wróci do celi, rzuci się na pryczę i będzie czekał na śmierć, która wkrótce zapuka do jego drzwi. A rankiem, gdy znów wzejdzie słońce, obroża podniesie go z ostatecznego snu i zafunduje mu pośmiertny spacer przez obóz, by mógł wypełnić swoje przeznaczenie: stać się pożywką dla tych, którzy wciąż żyją. Taki koniec czekał Charlesa Winsłowa.

Resztką sił powłókł się do celi, tłumacząc sobie, że na nic więcej go nie stać. To w pewien sposób uwalniało go od ciężaru, który położyło na jego barkach nagie ciało Claire unoszące się w akwarium: czy powinien powiedzieć Shackletonowi, że jego żona jest

martwa, albo gorzej niż martwa, i odebrać mu resztę nadziei? Przypuszczał, że tylko nadzieja na ponowne spotkanie z Claire utrzymuje kapitana przy życiu. Ale czy i on nie zasługiwał na odpoczynek? Oczywiście, że tak, a Charles kilkoma słowami mógł mu przyznać prawo do poddania się, złożenia broni. Dlaczego zatem nie miałby tego zrobić?

Te wątpliwości dręczyły go przez całą noc, aż w końcu świt zaskoczył go niezdecydowanego. Choć jednak z całą stanowczością starał się siebie przekonać, że nie ma nawet dość siły, by wyjść z celi, była to wymówka zbyt kiepska, by zdławić wyrzuty sumienia. Był przekonany, że ta resztką życia, która wciąż się w nim tli, pozwoli mu odnaleźć kapitana i opowiedzieć mu o tym, co zobaczył, zwalniając go tym samym od obowiązku kontynuowania bezsensownego znoju. Kiedy Shackleton usłyszy, gdzie jest Claire, prawdopodobnie spróbuje się dostać do wnętrza piramidy, a wtedy obroża zacznie go uciskać – może nawet udusi, jeśli nie zechce się cofnąć. Zresztą jakie to miało znaczenie. Jasne było, że do żadnego buntu nigdy nie dojdzie. Marsjanie pozostaną panami Ziemi aż po kres jej dni, pomyślał z goryczą więzień. Sprawy zaszyły już zbyt daleko, by ktokolwiek zdołał odbić planetę z rąk nowych władców. Bohaterowie nie byli już potrzebni. Ostatecznie Charles doszedł więc do wniosku, że nadszedł czas ofiarowania dzielnemu kapitanowi jedynej wolności, jaka wciąż była możliwa: swobody podjęcia decyzji, czy chce żyć dalej. Odwrócił się i skierował chwiejne kroki ku znajdującemu się na drugim końcu obozu pawilonowi, w którym mieszkał jego przyjaciel.

Mimo wszystko źle ocenił siły. Widząc, jak Charles pada zemdlony o kilka metrów od budynku, kapitan przerwał ćwiczenia wykonywane u wejścia do celi, zbiegł po schodach, zarzucił na ramiona jego bezwładne ciało, zaniósł do celi i położył na pryczy z delikatnością balsamisty. Potem przytknął dłoń do jego czoła, rozpalonego niczym stożek wulkanu, i pojął, że jest już za późno, by cokolwiek zrobić: Charles w ciągu najbliższej godziny wyzionie ducha. Usiadł na krześle obok i ujął go za rękę, podczas gdy chłopak z trudem odzyskiwał przytomność, pojękując cicho i usiłując skupić spojrzenie.

– Umieram, kapitanie – wymamrotał. – Moje biedne ciało nie ma już sił.

Kapitan zrobił smutną minę i mocniej ścisnął jego dłoń, lecz milczał. Co mógłby powiedzieć z wyjątkiem przyznania Charlesowi racji? Charles natomiast, owszem, musiał mu coś wyznać, nim zabierze go śmierć. Nie mógł lepiej wykorzystać swego ostatniego oddechu. Zamiast odchrząknąć, wydał z gardła bolesne stęknienie i zaczął od przeprosin, które pragnął wygłosić już bardzo, bardzo dawno.

– Przepraszam, że wtedy oderwałem pana od Claire – wykrztusił z potwornym wysiłkiem. – To nie miało sensu. Powinniście byli spędzić ostatnie godziny razem. One należały do was, a ja wam je odebrałem. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo tego żałuję, kapitanie. Ale zapewniam, że nie kierowała mną zła wola ani kaprys. Byłem całkowicie przekonany, że pańskim przeznaczeniem jest pokonanie Marsjan. Świadczyła o tym przyszłość, pamięta pan? – Próbował się uśmiechnąć z własnego żartu, lecz zdołał jedynie skrzywić się z bólu. – Do dziś nie rozumiem, dlaczego, u licha, tak się nie stało. Dlaczego przyszłość, z której pan przybył, już nie nastąpi, choć obaj ją widzieliśmy.

Shackleton wiercił się niespokojnie na krześle, lecz i tym razem nie wyrzekł słowa.

– Na szczęście nie pozostało mi wiele czasu na zadawanie sobie pytania, dlaczego wszystko potoczyło się inaczej, niż powinno, i myślę, że zapłaciłem z nawiązką za wszelkie zło i błędy, które mogłem popełnić na tym świecie. Jestem taki zmęczony, Dereku... Chcę już tylko odpocząć... – Charles szukał kapitana rozbieranym wzrokiem, mając wrażenie, że zawisła pomiędzy nimi gęsta mgła. – Ty też powinienesz... Poddaj się,

kapitanie. Nie musisz już o nic walczyć, przyjacielu. Posłuchaj... Muszę ci coś...

Przerwał mu gwałtowny atak kaszlu. Charles rzucał się na pryczy, czując potworne rwanie w płucach, a po brodzie i szyi spływały mu leniwe strużki, pozostawiając na skórze oleisty zielonkawy ślad. Kapitan podniósł go pospiesznie, by nie zadławił się własną krwią, i trzymał go tak, patrząc nań z bezbrzeżnym współczuciem, póki atak nie minął. Kiedy to nastąpiło, wyczerpany Charles zamknął oczy, a Shackleton z niezwykłą ostrożnością położył go z powrotem na pryczy. Młodzieniec oddychał tak płytko, że przez chwilę kapitanowi wydawało się, że śmierć już go zabrała, ale zbliżywszy twarz do jego zakrwawionych ust, poczuł szybki i ulotny niczym odbicie ważki w jeziorze oddech. Życie z każdą sekundą uchodziło z Charlesa. Shackleton przez kilka sekund przyglądał mu się z powagą, kręcąc powoli głową. Następnie wstał i skierował się do stolika znajdującego się w drugim końcu celi.

– Kapitanie! Dereku! – zwołał go nagle młodzieniec, który otworzył oczy i rozglądał się zatrwożony, usiłując dostrzec przyjaciela poprzez mgłę osadzającą się teraz także w jego umyśle. – Gdzie jesteś? Nie widzę, nic nie widzę... Wszystko zamazane... Derek!

Kapitan chwilę stał tyłem do niego, nieruchomy, z opuszczonymi ramionami, jakby spoczywał na nich ogromny ciężar. Potem gwałtownie wziął coś ze stołu, wrócił do pryczy, przykląkł obok umierającego i zaczął do niego mówić, ugniatając ów przedmiot w silnych dłoniach.

– Posłuchaj mnie, Charles. Ja też muszę ci coś powiedzieć – rzekł uroczyście. – Przez te trzy dni, kiedyśmy się nie widzieli, wiele się zdarzyło. Kiedy ty pracowałeś wewnątrz piramidy, ja byłem w pawilonie kobiet... i przyniosłem wieści. Wspaniałe wieści.

– Derek, muszę ci... – ledwo dosłyszalnym głosem próbował mu przerwać Charles.

– Zamilcz, przyjacielu! Nie trwoń sił na mówienie, lecz słuchaj – rozkazał energicznie kapitan. – Przywieźli do obozu nową partię kobiet. Z kontynentu. Udało mi się porozmawiać z kilkoma z nich. Mówią, że Marsjanie mają problemy. Duże problemy. W Niemczech, we Włoszech, Francji i w kilku innych krajach powstają ruchy oporu. Podobno pojawiło się jakieś dziwne wojsko z potężną bronią. Tak, Charles: z bronią nieznaną przed przybyciem Marsjan, produktem technologii porównywalnej z ich własną. To wojsko odbija obóz po obozie, uwalnia więźniów, zbroi ich i szkoli... Dzięki temu armia rośnie w siłę. Chodzą pogłoski, że wkrótce dotrze do Anglii... I wiesz co, przyjacielu? Mówią, że ta armia szuka swojego kapitana... że przybyła z przyszłości, by go odbić.

– Z przyszłości? O Boże... ale jak? – zdołał wyjąkać Charles, nie dowierzając, bojąc się uwierzyć w ten cud, poddać się tej szalonej radości, która chciała nim zawładnąć i uśmierzyć trawiący ciało ból.

– Nie wiem, przyjacielu. Sam siebie o to pytam. – Shackleton wybuchnął rześkim śmiechem, nie przestając ugniatać w dłoniach tajemniczego przedmiotu. – Z całą pewnością jednak to moi ludzie. Przybyli, żeby mnie uratować. Uratować nas. Nie wiem, skąd wiedzieli, co się dzieje w przeszłości... ale mówiłem ci już, że w moim świecie można podróżować w czasie innymi urządzeniami niż „Cronotilus”. To, którego używałem, zostało zniszczone, lecz kto wie, może było ich więcej. Może inni podróżnicy zobaczyli początek inwazji i wrócili w przyszłość, by wszcząć alarm...

– Skoro tak – wymamrotał Charles, wysilając się, by kapitan mógł go usłyszeć – to dlaczego to tyle trwało? I dlaczego przybyli na kontynent, a nie tu?

Shackleton zamyślił się na chwilę.

– Nie wiem, przyjacielu – rzekł nagle, odzyskując entuzjazm – ale zapewniam cię, że

zapytam o to swoich dzielnych żołnierzy, gdy tylko ich spotkam! Obiecuję ci to, Charles! Powiem: „Można wiedzieć, co wyście, u licha, robili, gdy wasz kapitan tu gnił, wy makaki irlandzkie, przekłęci synowie suki sparzonej z samym diabłem? Gziliście się między sobą? Zapładnialiście własne matki? Czyżbyście myśleli, że tak nam tu dobrze, świńskie bękarty?”. Tak właśnie ich przywitam. Już niemal słyszę ich rechot. – Kapitan roześmiał się hałaśliwie, a Charles czuł, jak jego własne usta rozszerzają się w uśmiechu, żałośnie odsłaniając niemowlęce dziąsła, w miarę jak dawał wiarę tym niesamowitym wieściom.

– Jesteś pewien? – zapytał. – Ufasz tym kobietom?

– Oczywiście, Charles. Spójrz – odparł Shackleton, wkładając mu w rękę tajemniczy przedmiot. Charles macał go na oślep, pozwalając kapitanowi prowadzić swoje palce. – Dala mi to jedna z nich. To urządzenie z moich czasów. Nazywamy je „poszukiwaczem”. Natychmiast je rozpoznałem.

– Do czego...? – wydyszał Charles.

– Używaliśmy go do szukania osób, które przetrwały w ruinach po bitwie. Wszyscy nosiliśmy takie na szyi. Ja swój zdjąłem przed podróżą w przeszłość, żeby nie wzbudzać podejrzeń wśród ludzi z twojej epoki. Teraz jednak, dzięki tej dzielnej kobiecie, zdobyłem nowy. Wiele spośród tych, które uwolniono z obozów, na nowo pozwalało się schwytać, mając przy sobie ukryty poszukiwacz, by mi go wręczyć, jeśli mnie spotkają. A teraz to się udało. Kiedy ukryję go pod ubraniem i uruchomię, moje wojsko szybciej mnie znajdzie. Jak tylko staną na angielskiej ziemi, przyjdą prosto tu. To kwestia miesięcy, a może i tygodni, przyjacielu. Tak czy owak przyjdą, a wtedy koniec z Marsjanami. Pokonamy ich.

– Pokonamy... – wystękał Charles.

– Tak, Charles, pokonamy ich. – Kapitan pogłaskał rzadkie włosy, które przylepiły się do czoła konającego, po czym delikatnie wyjął mu poszukiwacza z dłoni, które opadły bezwładnie po bokach. Oddech udręczonego więźnia był już zaledwie wyteżonym charkotem. – Od początku miałeś rację, przyjacielu. Pokonamy ich, bo już tego dokonaliśmy.

„Już tego dokonaliśmy” – usłyszał Charles, balansując na mglistej granicy świadomości. Odzyskamy Ziemię, pomyślał gorączkowo. Od początku miał rację. Jak mógł choć przez chwilę w to wątpić? Widział przyszłość, widział rok dwutysięczny, a w nim dzielnego kapitana Shackletona walczącego zwycięsko z królem automatów. I żadnych Marsjan... ani Claire.

Oddychał teraz jeszcze szybciej. Claire, myślał. Claire jest wewnątrz piramidy, martwa albo i gorzej. Unosi się w tym ohydny zielony płynie... Muszę to powiedzieć Shackletonowi, po to tu przyszedłem. Przyszedłem, żeby pozwolić mu umrzeć, ale teraz nie mogę... Nie mogę mu nic powiedzieć! Jeśli Derek się dowie, że jego żona nie żyje, załamie się. Nie będzie go już obchodziło ani wojsko, ani ratowanie ludzkości... ani nic!

Wiedział, że tak się stanie, bo już to widział: w obliczu miłości do kobiety bohater ustępował miejsca człowiekowi – człowiekowi, który pozbawiony ukochanej tracił zainteresowanie życiem. Znalazłby sposób, by je sobie odebrać, a jego żołnierze przybyliby za późno, by go przed tym uchronić... Co wtedy? Czy kontynuowaliby rewolucję bez niego? Czy zdołaliby odbić Ziemię bez swego kapitana, który w ich czasach uratował ją z rąk automatów? Nie miał pojęcia, lecz nie mógł ryzykować. Co by się stało, gdyby jego nierozważny czyn wszystko zmienił, wywołując rozdarcie w strukturze czasu, którego tak obawiał się Murray? Charles nurkował w mętnych wodach swego umysłu w poszukiwaniu odpowiedzi, lecz jedne myśli mieszały się z innymi, tworząc niezrozumiałą plątaninę: przyszłość, którą już widział, dzięki czemu mógł ją uważać za przeszłość, i

teraźniejszość, w której żył, nie potoczyły się tak, jak powinny, tworząc kombinację, która wydawała mu się nieprawdopodobna, choć nawet tego nie był pewien. Czy ten sam kapitan, który powinien pokonać Salomona, mógł umrzeć we wnętrzu piramidy, nie powodując zapaści całego wszechświata? Skonsternowany Charles uznał, że lepiej będzie milczeć, niż wszystko zepsuć. Kapitan musiał zachować nadzieję na to, że kiedyś odnajdzie Claire. Ta nadzieja miała go zagrzewać do walki. Musiał uratować Ziemię w teraźniejszości, by dzięki temu uchronić przyszłość. Tę przyszłość, w której po raz pierwszy – po raz kolejny – zobaczy Claire, znów się w niej zakocha, znów z jej powodu przeniesie się w przeszłość i znów ją straci, by na nowo szukać, nigdy nie tracąc nadziei, bo takiego potrzebowała go ludzkość, samotnego, smutnego, nieustającego w marzeniach o spotkaniu swojej Claire.

Obrócił głowę w kierunku zamazanej sylwetki Shackletona i przez chwilę groteskowo wykrzywił twarz, nim wreszcie udało mu się ułożyć ją w uśmiech, który miał towarzyszyć jego żartowi.

– Bo tak mówi przyszłość – wyszeptał, na zawsze zapominając o nagim ciele Claire Haggerty, którego nikt już nie miał uwolnić z wnętrza piramidy.

I wypowiadając te słowa, pojął, że przypadła mu w tej sztuce rola kłamcy, króla kłamstw, arcyłgarza, który musiał ukryć prawdę przed bohaterem, by ten mógł nadal pełnić swoje posłannictwo. Tak, to Charlesowi los powierzy! rolę tego, który swoim kłamstwem ratuje przyszłość. A on, biorąc na barki to niewdzięczne zadanie, wpuścił w siebie ciemność i pozwolił, by jego dusza rozplynęła się w nicości.

Kapitan Shackleton przyglądał mu się przez długą chwilę. Potem wyciągnął rękę i ostrożnie zamknął przyjacielowi oczy, by ten mógł wreszcie odpocząć z bezbrzeżnym i zasłużonym spokojem na wycieńczonym obliczu. Następnie wyjął z jego dłoni ogryzek świeczki ulepiony w kształt, który pozwolił pogrążonemu w malignie Charlesowi uwierzyć, że ma do czynienia z medalionem dowodzącym istnienia wyzwoleniczej armii z przyszłości. Odłożył go na stół, zastanawiając się, czy Ashton zdoła mu jutro załatwić kolejny ogryzek i jak długo potrwa, nim obroza Charlesa uruchomi się i zaciągnie go do leja. Czy będzie musiał przenieść zwłoki na podłogę, by móc się położyć na pryczy? Potrzebował snu. Znów zabiorą go do pawilonu kobiet, więc musiał być jak najbardziej wypoczęty, bo może, kto wie, może właśnie tego dnia w końcu odnajdzie Claire...

Oczywiście nie odnalazł jej ani następnego, ani żadnego z wielu kolejnych dni, które nakładały się na siebie, niepostrzeżenie przechodząc w rok. To już jednak inna historia i mam nadzieję, że czytelnik wybaczy mi jej pominięcie – narracja wymaga bowiem ode mnie obrania innego kierunku. Jeśli kiedyś będę miał okazję dokończyć tamtą opowieść, z radością to uczynię. Tymczasem, nim opuścimy dzielnego kapitana Shackletona śniącego w celi o ukochanej Claire, ośmielę się poprosić szanownych czytelników o wyrozumiałość dla niego. Przypuszczam, że dotychczasowy bieg historii nie dał im jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co sądzić o tej postaci. Czy mają do czynienia z prawdziwym kapitanem, który w roku dwutysięcznym ratuje świat, czy też z uzurpatorem, który udawał kapitana, by rozkochać w sobie piękną i zamożną pannę, nieosiągalną dlań, gdyby ujawnił swój prawdziwy status? Czy miłość skłoniła go do opuszczenia przyszłości, czy raczej do wymyślenia dla siebie przeszłości? Czy był rzeczywistym bohaterem, który skłamał, by Charles mógł umrzeć szczęśliwy, czy też oszustem, któremu w ostatniej chwili zrobiło się żal umierającego przyjaciela? Rzykując niechęć czytelnika, pozwolę sobie jednak zachować tę odpowiedź dla siebie, choć znam ją

równie dobrze jak odpowiedzi na wszystkie inne pytania, które mogłyby drogiemu czytelnikowi przyjść do głowy, bo jak wiadomo, widzę i słyszę wszystko, nawet wbrew swej woli...

Dość jednak. Jak już obiecałem, wrócę do zdumiewającej historii kapitana i czekających go niezwykłych przygód, jeśli tylko będę mógł, i obiecuję solennie, że wtedy wyjawię czytelnikowi tajemnicę jego tożsamości. Na razie powiem jedynie, że niezależnie od tego, czy jest łgarzem, z całą pewnością człowiek, który w tej chwili wzdycha w swej celi, rojąc sobie, że następnego dnia wreszcie spotka ukochaną, to prawdziwy bohater. Nie dlatego, że w przyszłości za pomocą swego rapiera skrócił, albo skróci, o głowę złego Salomona, ratując w ten sposób ludzkość. Istnieją inne, mniej widowiskowe rodzaje bohaterstwa. Czy bowiem nie zasługuje na miano bohatera ktoś, kto pomógł umierającemu wyśnić lepszy świat, tak jak uczynił to kapitan z nieszczęsnym młodzieńcem? Moim zdaniem tak. Charles Winslow umarł, dostrzegając poprzez szczeliny w czarnej płachcie śmierci zwycięską planetę, odbudowaną przez kapitana i jego ludzi; planetę jeszcze piękniejszą od tej, którą kiedyś znał... Czyż nie jest bohaterem człowiek potrafiący stworzyć świat idealny, nawet jeśli czyni to tylko na moment i na użytek jednej osoby? Czy nie był nim także Gilliam Murray, kiedy pomógł ukochanej Emmie umrzeć z uśmiechem na ustach? Podobnie jak Adam Locke i tylu innych, którzy dzięki swej wyobraźni uratowali setki istnień? Bo czyż nie to uczynili, osładzając znacznej części ludzkości smutny trud życia? Do takich właśnie bohaterów należy prawdziwy lub fałszywy kapitan Shackleton, który postanowił podarować Charlesowi w ostatnich chwilach jego życia własną mapę nieba – nieba, na którym zachód słońca znów nabrał wytęsknionych barw jego dzieciństwa.

XXXVIII

Lecz ponad siedemdziesiąt lat przed tym, jak dusza Charlesa rozplynęła się w nicości, z tej samej nicości wyłoniła się inna dusza. I choć jej narodziny nie trwały więcej niż sekundę, Wells czuł, jak niewidzialna ręka krok po kroku rekonstruuje go całego, w mgnieniu oka łącząc rozrzucone kości, kształtując szkielet, lepiąc układ krążenia i girlandy nerwów, a potem dokładając garść narządów, by na koniec owinąć to wszystko papierem pakowym ciała i utrwalić lakierem skóry. Pisarz poczuł gwałtowne uderzenie zimna, zmęczenia, mdłości i innych dolegliwości ciała, które znał od zawsze i które niczym kotwica przytwierdzały go do rzeczywistości. Odkrył, że unosi się w mętym zielonkawym płynie, a już w następnej sekundzie prąd wyrzucił go na spokojne wody i pozwolił opaść na dno.

Przekonawszy się, że wir go wypuścił, pisarz starał się wypłynąć na powierzchnię, a gdy to się udało, wziął kilka oddechów i począł się rozglądać, nie pojmując, gdzie jest ani co się stało. Stopniowo, w miarę jak rozjaśniały mu się wzrok i umysł, domyślił się, iż któraś z odnóg kanału wypłynęła go do Tamizy, lecz mimo szczyrych chęci nigdzie nie zdołał dostrzec śladu swych towarzyszy. Gdzie oni, u diaska, się podzieli? Chciał czekać w nadziei, że się wynurzą, ale wkrótce dopadły go torsje i zwymiotował na lodowatą wodę całą zawartość żołądka. Porzucając rolę gospodarza na Tamizie, rozedrgany i półprzytomny popłynął niezdarnie w stronę bliższego nabrzeża. Gdy już wypełził na ląd, próbował zebrać myśli. Udało mu się umknąć Marsjanom, lecz nie miał najmniejszych powodów do świętowania, bo z całą pewnością wkrótce mieli go znów dopaść – pojawia się z dowolnego kierunku i porwą go, by mu otworzyć głowę, jak obiecał Wysłannik.

Siedząc na brzegu jak nędzarz, zdyszany ze zmęczenia i podniecenia, rozejrzał się wokół i ku swemu zdumieniu nie zauważył ani śladu zniszczeń. Co się stało z apokalipsą wywołaną przez trójnogi? – zastanawiał się, obserwując z uwagą widoczną w oddali sylwetkę Londynu. Brak zniszczeń nie był zresztą jedynym, co go zadziwiło. Bez wątpienia znajdował się w Londynie, lecz nie był to jego Londyn. Większość budynków liczyła po dwie lub trzy kondygnacje i nigdzie nie dostrzegł Tower Bridge. Nie wyglądało na to, by został zniszczony – zdawało się raczej, że... jeszcze go nie wybudowano. Pisarz z niedowierzaniem naliczył nad wodami Tamizy zaledwie kilka mostów: Waterloo, Westminster, a także London Bridge, który jednak znajdował się w niewłaściwym miejscu. Ku swemu osłupieniu Wells zauważył, że znany mu most dopiero powstaje w odległości jakichś trzydziestu metrów od poprzedniego. Zerwał się na nogi i rozszerzonymi oczami wpatrywał się w wąską i zrujnowaną konstrukcję, wciąż najwyraźniej będącą w użyciu i z utęsknieniem czekającą na zburzenie, gdy tylko nowy most będzie gotów. Jakby tego było mało, rojąca się od promów wiosłowych Tamiza obmywała z czarnego żwiru plaże pełne niewielkich stoczni, prywatnych łowisk i pomostów nielicznych dworków. Pisarz ze świstem wypuścił powietrze. Wyglądało na to, że wszystko dopiero... ma się wydarzyć.

Pogrążony w letargu, długo kontemplował ten niedokończony Londyn. W końcu stwierdził, że wizja nie zamierza się rozwiać, a zatem nie jest jedynie produktem jego wyczerpanego umysłu. Potem stopniowo zaczął wydobywać z pamięci ostatnią rozmowę z Claytonem, wciąż przemieszaną z chaotycznymi wspomnieniami ostatnich godzin: rozpaczliwej ucieczki kanałami, śmierci Gilliama i Emmy, przerażającego spadania w tunelu... Co wołał Clayton, nim obaj spadli w pustkę? Tknięty nagłym, ulotnym przecuciem pisarz podszedł do kosza na śmieci, wyjął spośród odpadków gazetę i ze

zdzumieniem odkrył, że widnieje na niej data 23 września 1829 roku. Ale... to znaczyło, że... cofnął się w czasie! Pokręcił głową, zawieszony między paniką a zachwytem. Dopiero za osiem lat król Wilhelm IV miał umrzeć, a arcybiskup Canterbury przybyć do pałacu Kensington, by zakomunikować jego bratanicy Wiktorii, która właśnie skończy osiemnaście lat, że odziedziczyła tron najpotężniejszego imperium świata. Boże... on sam miał się narodzić dopiero za trzydzieści siedem lat! Jak to możliwe?

Naprawdę przeniósł się w czasie! Zupełnie jak wynalazca z jego powieści, choć bez potrzeby używania jakiegoś idiotycznego wehikułu. Wszystko wskazywało na to, że posłużył się wyłącznie własnym umysłem, tak jak mu przepowiedział Clayton w swojej piwnicy przed zaledwie kilkoma godzinami... a raczej za sześćdziesiąt dziewięć lat, kiedy nad ich głowami Marsjanie zrównywali z ziemią Londyn. Inny Londyn, Londyn przyszłości.

I wtedy, niczym ulotne meteory, z mroków jego pamięci zaczęły się wydobywać ostatnie słowa, jakie zamienił z Claytonem, który swoją jedyną ręką próbował go utrzymać nad powierzchnią wody. Przerażony groźbą spadnięcia i zostania porwanym przez kłębiący się kilka metrów pod nim wir, pisarz słuchał agenta piąte przez dziesiąte, lecz teraz jego słowa nabrały zdumiewającej wyrazistości, jakby Clayton znajdował się obok niego i wykrzykiwał je ponad hukiem wody, choć w rzeczywistości minie wiele lat, nim przyszyły policjant narodzi się w tym niepojętym świecie, gotów stracić dłoń w wysiłkach zmierzających do jego zrozumienia.

– Wells! – wołał, gdy pisarz wymachiwał nogami w powietrzu, jakby chciał w nim pływać. – To pan jest rozwiązaniem! Słyszysz mnie pan? Pan jest rozwiązaniem!

– Co? – zdziwił się pisarz.

– Pamięta pan słowa Wysłannika? – wrzeszczał dalej agent, a pisarz z przerażeniem czuł, jak jego dłonie wyslizgują się z dłoni tamtego.

Próbował schwycić go mocniej, lecz miał zbyt wilgotne ręce. Jeszcze chwila i ześlizgnie się w toń. Usłyszał z oddali krzyk Charlesa, ale bał się, że jeśli odwróci głowę, spadnie. Sądząc zresztą po natężeniu głosu, chłopak był zbyt daleko, by móc go pochwycić...

– Clayton, zrób coś! Spadam! – wykrzyknął ze zgrozą, lecz agent kontynuował absurdalną tyradę.

– Słuchaj pan, do cholery, to wyjdiesz z tego cało! Pan i wszyscy inni! Wysłannik przyznał, że się pana boi. Pamięta pan, co powiedziałem w piwnicy?

– Nie puszczaj mnie!

– Nie rozumie pan? – upierał się przy swoim agent. – Ma pan to w głowie! Wysłannik się boi, bo wie, że tylko pan może uniemożliwić inwazję! Zapobiec jej! Musi pan to zrobić!

Trzymał go już jedynie końcami palców. Wells kątem oka zauważył, że z drugiej strony zbliża się do nich zawieszony na barierce kapitan.

– Wytrzymajcie jeszcze trochę! – zabrzmiał znacznie bliżej głos Charlesa.

Wytrzymać. W tytanicznym wysiłku Wells usiłował zamknąć swój umysł na huk wody, ból i rozpacz spowodowaną faktem, że nigdzie nie widzi Jane, przede wszystkim zaś na histeryczne krzyki agenta, i skupić się wyłącznie na własnych dłoniach, wątplych i bladych dłoniach pisarza, których naturalnym środowiskiem są dziecinne ząbki maszyny do pisania oraz subtelne lenno piór, kałamarzy i zdartych grzbietów książek, a które teraz uwikłane były w absurdalny i obcy sobie wysiłek fizyczny ściskania z całej siły jedynej dłoni agenta, byle tylko się nie wysliznąć, nie spaść, wytrzymać, żyć...

– Musi się pan cofnąć w czasie! Rozumie pan? Wrócić do czasów sprzed

nieuniknionego! Niech pan sobie przypomni sen z farmy, koszmar, który wywołał poprzednią podróż! – wrzeszczał zarumieniony Clayton. – Niech pan sobie przypomni... i spróbuje... znów się przenieść!

Wells uniósł swoją ptasią twarz i popatrzył na agenta – a ten, z rozciągniętymi do granic możliwości grubymi ścięgnami szyi, przez trwającą wieki sekundę odwzajemniał jego spojrzenie. W tej sekundzie Wells zrozumiał, że zaraz spadnie: zobaczył w oczach Claytona pożeganie i milczące przeprosiny.

– Dalej! Da pan radę, proszę mi zaufać! Tylko pan może nas ocalić!

– zawołał po raz ostatni policjant.

Niedaleko nich zabrzmiał głos Charlesa i Wells zauważył na skraju pola widzenia wyciągniętą dłoń tamtego.

– Niech mi pan poda rękę!

Nie zdążył. Agent spojrzał na Charlesa, uśmiechnął się i w tym samym momencie Wells poczuł, jak Clayton, rozluźniając palce, puszcza go na spotkanie spienionych wód. I kiedy leciał w dół, wymachując rozpaczliwie rękami w bezowocnej próbie schwycenia się czegokolwiek, musiał sobie przypomnieć tamten koszmar, a może stało się to później, gdy poczuł bolesne uderzenie o wodę i wir wciągnął go w głąb Tamizy albo pociągnął ku tej ziemi niczyjej, która istnieje pomiędzy teraźniejszością a przeszłością i którą czasem zwą czwartym wymiarem. Nie pamiętał. To wszystko było zbyt chaotyczne, zbyt szalone, zbyt... nierealne. Pamiętał natomiast koszmar, który nawiedził go na farmie. Był to ten sam sen, który dręczył go wielokrotnie w minionych latach, sen o tym, że spada bez końca w bezdenną otchłań, czując zarazem, że nie zmienia położenia w przestrzeni... To wrażenie zawsze go zdumiewało – lecz od teraz miało się to zmienić, bo w końcu zrozumiał, że przenosił się wyłącznie w czasie. Spadał poprzez czas.

Potrząsnął głową, uśmiechając się do siebie na wspomnienie oporu, z jakim do tej pory traktował możliwość swojego podróżowania w czasie, choć Clayton rzekomo widział, jak cofa się o cztery godziny. Teraz jednak nie miał innego wyjścia, jak tylko przyjąć do wiadomości, że on, H.G. Wells, autor *Wehikulu czasu*, potrafi się przemieszczać z jego nurtem dzięki przyciskowi, który rzekomo ma w głowie i o którym wspominał nie tylko Clayton, ale i Wysłannik – przyciskowi, który uruchamiał się w wyniku nagromadzenia napięcia, jak mu się to przydarzyło podczas snu na farmie. Lecz o ile wtedy przeniósł się o nieistotne cztery godziny, teraz musiał przycisnąć guzik z kolosalną siłą, skoro ten cofnął go o prawie siedemdziesiąt lat.

Wciąż nie do końca w to wierząc, wyrzucił gazetę z powrotem do kosza i niczym niespokojny duch ruszył na wędrowkę po niedokończonym mieście, starając się przywyknąć do myśli, że znajduje się w przeszłości, siedemdziesiąt lat wcześniej, niż być powinien. Włóczył się niemal bezwolnie, czując to samo radosne osłupienie, które musieli czuć turyści wysyłani przez Murraya do roku dwutysięcznego. Nie bez pewnego niepokoju rozglądał się zaokrąglonymi ze zdumienia oczami po Londynie znanym mu dotąd tylko z książek historycznych i starych gazet, a jego zdumienie jeszcze rosło, gdy sobie uświadamiał, jak zmieni się to miasto z biegiem lat, choć nawet się to nie śni osobom mijanym na ulicach wyłożonych brukiem ze szkockiego granitu albo płytkami z wypalanej gliny, gdzie transport publiczny reprezentowała zaledwie garść ciągniętych przez muły omnibusów. Wędrował tak godzinami, niezdolny się zatrzymać, wciąż niegotów na akceptację rzeczywistości. Wiedział, że z chwilą, gdy to uczyni, lekki niepokój w jego duszy urośnie do rozmiarów grozy, bo choćby nie wiadomo jak go kuszyła ta egzotyczna, choć znajoma sceneria, zdawał sobie sprawę, że jest uwięziony w epoce, w

której wszystko było inne niż w jego czasach. Londyn składał się wówczas zaledwie z City z dodatkiem kilku dzielnic: Pimlico, Mayfair, Soho, Bloomsbury, Lambeth i Southwark po drugiej stronie rzeki. Na zachód od Hyde Parku ani na południe od ogrodów Vauxhall nie było żadnych budynków, Chelsea wyglądała jak wieś połączona ze stolicą za pomocą King's Road, a do Islington, Finsbury Fields i Whitechapel niczym zielona rzeka wdarły się łąki i dotarły aż do stóp rzymskiego muru. Od Knightsbridge po Piccadilly odnajdywał uparte pozostałości wiejskiego Londynu: farmy, sady, stajnie, mleczarnie, a nawet młyny. Nie istniała siedziba parlamentu ani Muzeum Brytyjskie, a pozbawiony Kolumny Nelsona Trafalgar Square był pustym, niezabudowanym placem zajęтым przez królewskie powozownie.

Wyczerpany długim spacerem pisarz przysiadł na ławce, usiłując na dobre wbić sobie do głowy, że to wszystko nie jest teatralną dekoracją, lecz prawdziwym rokiem 1829, w którym kończył się czas, a dalej otwierała się głęboka przepaść. Choć brzmiało to niewiarygodnie, jutro, z którego przybył, jeszcze nie nadeszło. Zbłądził do obcej epoki, w której żadnego ze znajomych mu ludzi jeszcze nie było na świecie, i nie miał pojęcia, jak wrócić do własnych czasów ani czy to w ogóle możliwe. Przeniósł się w wyniku napięcia nerwowego, najwyraźniej będącego paliwem napędzającym osobliwy mechanizm umieszczony w jego głowie, lecz nie był pewien, czy zdoła je odtworzyć w sztuczny sposób, uciekając się do autosugestii. A gdyby nawet, co by mu to dało, jeśli nie mógłby wybrać daty zakończenia swego skoku? Podróżowałby jak ślepiec, być może jeszcze bardziej cofając się w czasie, co budziło w nim przerażenie, bo wiedział, że im głębiej zanurzy się w przeszłość, tym bardziej nierozpoznawalny i wrogi będzie świat, w którym przyjdzie mu żyć. Już lepiej zaczekać tu, aż coś się wydarzy, choć nie miał pewności co. Tylko z czego miał żyć? Kogo poprosić o pomoc? Wątpił, czy ktoś zdoła uwierzyć w jego historię, chyba że byłby to ktoś o wyjątkowo otwartym umyśle, być może kolega po fachu. Usiłował sobie przypomnieć, co wie o literaturze tych czasów. O ile nie myliła go pamięć, Byron zmarł kilka lat wcześniej, Carroll jeszcze się nie urodził, Coleridge przebywał już pewnie w domu doktora Gillmana, gdzie leczył się z uzależnienia od opium, a młodziutki i nikomu nieznany Karol Dickens zaczynał pracę w kancelarii adwokackiej, na razie zmuszony pozwolić marzeniom o pisarstwie bulgotać w kociołku swego umysłu. Tak, przyszły autor *Olivera Twista* mógłby mu pomóc... Westchnął głęboko, zdumiony, jak szybko zaakceptował fakt, że będzie musiał tu żyć.

Ochłonawszy nieco, zaczął się zastanawiać, co się stało z Jane i resztą jego towarzyszy. Pewnie schwytali ich Marsjanie... Poczul się nagle jak zdrajca – jak gdyby celowo zostawił ich na pastwę losu. Ta myśl jeszcze bardziej go przygnębiła. Powinien być tam, siedemdziesiąt lat później, i dzielić ich cierpienie. Los jednak zrządził inaczej.

Przez jakiś czas pisarz potrafił jedynie przyglądać się przechodniom, czując, jak na ustach wykwita mu melancholijny uśmiech. Wszyscy ci ludzie chodzili z jednego miejsca na drugie, sądząc, że budują przyszłość z kamieni swoich działań, podczas gdy ona była już gotowa, a on, roztrzęsiony człowieczek siedzący na ławce, miał okazję ją poznać. I była to przyszłość, której żadna z tych osób nie wyobrażała sobie w najśmielszych marzeniach. Na szczęście nie miały żyć dość długo, by ją zobaczyć.

Gdy tak rozglądał się dobrodusznie wśród tłumu, przypominał sobie nagle z dreszczem przerażenia, że Marsjanie od dawna już żyli ukryci pośród ludzi. Jak długo przebywali na Ziemi? Ze słów Wysłannika wynikało, że zjawili się na niej w szesnastym wieku i od tamtej pory udają ludzi, wyczekując przybycia tego, który da sygnał do rozpoczęcia inwazji na tę planetę. Czy któraś z defilujących przed nim osób mogła

pochodzić z kosmosu? Oczywiście nie dało się tego zobaczyć, więc szybko zrezygnował z badawczego spojrzenia, którym niemal nieświadomie lustrował przechodniów, i ze smutkiem przypomniał sobie, że to on jest winien wszystkiemu, co miało się wydarzyć za siedemdziesiąt lat. Gdyby nie ożywił Wysłannika swoją krwią, lecz pozwolił, by jego bracia stopniowo umierali, zatruci ziemskim powietrzem, nie doszłoby do inwazji. Niestety stało się inaczej. Albo raczej – miało się stać, biorąc pod uwagę fakt, że był dopiero rok 1829. Tak, urodzony w roku 1866 Wells dopiero miał zrobić wszystko, co zrobił: napisać książki, które napisał, wycierpieć, co wycierpiał, zakochać się w tych samych kobietach, w których już się zakochał, a kiedy nadejdzie ta chwila, pozostawić ofiarę z krwi na ciele Wysłannika, skazując swoją planetę na śmierć. Skoro jednak to jeszcze nie nastąpiło, można temu zapobiec! – pomyślał nagle, podekscytowany perspektywą naprawy swego błędu. Musiał jedynie porozmawiać z samym sobą i kategorycznie zakazać sobie odwiedzenia Krypty Osobliwości z Servissem, a jeśli po dobroci się nie uda, powstrzymać siebie fizycznie. Do tego momentu zostało jednak jeszcze sześćdziesiąt dziewięć lat, a on miał ich w tej chwili trzydzieści dwa i choćby nie wiadomo jak się starał, nie sądził, że uda mu się dożyć setki.

Po co cofałby się w czasie do absurdalnego roku 1829, skoro nie mógł zapobiec inwazji? Odpowiedź uderzyła go z taką siłą, że aż się skrzywił. Przypomniał sobie nagle, że Wysłannik przybył na Ziemię w roku 1830. Sam opowiadał, że jego statek miał awarię i rozbił się na Antarktydzie. Wells pobladł, czując gwałtowne mdłości. Wszystko wskazywało na to, że jego mózg nieświadomie zakodował tę datę w jakimś ciemnym zakątku i kiedy Clayton zawołał do pisarza, żeby „wrócił do czasów sprzed nieuniknionego”, jego pamięć wyrzuciła ów rok. Dlaczego właśnie ten? Czyżby umysł odpowiednio nim pokierował, myśląc się za ledwie o kilka miesięcy? Choć agent dał mu do zrozumienia, że to niemożliwe, wyglądało na to, że Wells nie w pełni świadomie wybrał dla siebie czas docelowy. Po trosze oszołomiony, po trosze roztrzęsiony podniósł się z ławki. Jeśli istotnie przybył tu nieprzypadkowo, musiało to oznaczać, że ma uchronić świat przed inwazją, zapobiegając przybyciu Wysłannika do Londynu w bryle lodu i ożywieniu go przez Wellsa narodzonego w roku 1866. A tego mógł dokonać tylko w jeden sposób: wsiadając na pokład „Annawanu” i zabijając Wysłannika. W zeszytach i wycinkach, które przekartkował pospiesznie podczas wizyty w Krypte Osobliwości, taką nazwą określano statek, który zwęglony i otoczony trupami znaleziono na wysepce w pobliżu Antarktydy, bardzo blisko statku powietrznego i zamrożonego w lodzie ciała istoty z kosmosu. Nie wiedział, co się wydarzyło podczas tej tragicznej wyprawy. Nikt tego nie wiedział, lecz wszystko wskazywało na to, że spotkała się z Wysłannikiem. Jeśli zatem chciał go odnaleźć, musiał się znaleźć na statku, który wypłynie z Nowego Jorku piętnastego października 1829 roku, czyli za trzy tygodnie. Tak – to był najlepszy sposób na naprawę własnego błędu, najbardziej wykonalny, jaki mu przychodził do głowy, choć trzeba przyznać, że również najbardziej przerażający.

Przez długą chwilę nieśmiało bawił się pomysłem, by zapomnieć o tym szalonym zamiarze i pozostać w Londynie. Mógłby rozpocząć nowe życie, wypełnione wprawdzie wyrzutami sumienia i żałami, ale przynajmniej bezpieczne, bo zmarłby śmiercią naturalną na długo przed rozpoczęciem inwazji. Była to opcja kusząca, lecz odrzucił ją, nim jeszcze zaczął traktować ją poważnie – w głębi duszy bowiem wiedział, że gdyby tak postąpił, unikając odpowiedzialności i nie okrętując się na ten przeklęty statek, sumienie nie pozwoliłoby mu rozpocząć nowego życia. Jeśli natomiast wsiądzie na pokład „Annawanu” i wyeliminuje Wysłannika, zapobiegnie inwazji i uchroni planetę. Jego

towarzysze odegrali swoje role w tym przedstawieniu, a teraz wszystko spoczywa w jego rękach. Musiał wypełnić zadanie. I nie mógł zwlekać, bo czasu pozostało mu niewiele – trzeba było jak najszybciej wsiąść na statek płynący do Stanów Zjednoczonych, a zaraz po przybyciu na miejsce zaokrętować się na „Annawanie”.

Przez kilka sekund nerwowo skubał wąsik, całkiem jak Wysłannik. Spoglądał w dal, przypuszczając, że na jego twarzy maluje się melancholia właściwa bohaterom, którzy dla dobra ludzkości muszą ponieść najwyższą ofiarę, choć w rzeczywistości wyglądał bardziej na kogoś zmartwionego faktem, że przez noc urosły mu wąsy. Tak czy owak po chwili na jego ustach począł nieśmiało wykwitać uśmiech zadowolenia. Był pewien, że Jane, gdziekolwiek była, poczułaby się dumna z heroizmu, z jakim zaakceptował swoje przeznaczenie, i to pozwoliło mu odnaleźć w sobie może nie tyle odwagę, której tak potrzebował, ile coś, co wystarczało do oszukania strachu. Potrząsnął energicznie głową i zdecydowanym krokiem ruszył do portu, by wypełnić powinność. Nie, jego dar, ten osobliwy przycisk, który nosił w głowie, nie służył do przyspieszania wzrostu pomidorów w jego ogrodzie. Z całą pewnością służył do czegoś całkiem innego.

XXXIX

Wells nie miał problemów z dostaniem się na statek płynący do Stanów Zjednoczonych z ładunkiem czterech tysięcy ton litego drewna. Kiedy zaoferował, że podczas podróży będzie pracował za darmo, przyjęto go z otwartymi ramionami. Statek przemierzał Atlantyk z takim mozołem, jakby go ciągnęła para mułów, trudno się więc dziwić, że pisarz był kłębkim nerwów. Gdyby nie dotarli na czas, cały jego wysiłek poszedłby na marne... Na szczęście się udało, choć zszedł z pokładu zaledwie kilka godzin przed odpłynięciem „Annawanu”, wskutek czego musiał z siebie wykrzesać całą posiadaną siłę perswazji, by przekonać kapitana, osobnika o nieubłaganym spojrzeniu, by go włączył w szereg skompletowanej już załogi. Nie jest silny, ale bardzo pracowity, i zaakceptuje odpowiedź odmowną jedynie wtedy, jeśli kapitan go zapewni, że zapasy w ładowni zostały dokładnie obliczone na czteromiesięczną podróż dwudziestu siedmiu ludzi. Jeśli nie, to jedna gęba więcej nie sprawi różnicy. Zresztą on i tak niewiele je. Miejsca, jak widać, też nie potrzebuje wiele. Do spania wystarczy mu byle jaki ką. Jest gotów na wszelkie wyrzeczenia, byle tylko znaleźć się na tym statku. Kapitan po prostu musi się nad nim ulitować, nawet jeśli przyjmie go do załogi tylko po to, by mieć nad kim się znęcać. Może ma ochotę się rozkoszować patrzeniem, jak tego mizernego człowieczka wyniszczają codzienne trudy życia na pełnym morzu, które z innego zrobiłyby wilka morskiego... Po niespełna godzinie takich perswazji Wells znalazł się w miejscu, do którego nie trafiłby nigdy w życiu, gdyby nie jego misja, czyli pośród nieokrzesanych i zadufanych w sobie marynarzy cuchnących potem, rumem i bezsensownym życiem.

Jeśli, drodzy czytelnicy, śledziliście moją opowieść z należytą uwagą, wielu z was domyśliło się zapewne, że – wyłącznie z uzasadnionym, mam nadzieję, zamiarem zaskoczenia was – na początku tej opowieści wcale się nie pomyliłem, lecz jedynie rozpocząłem ją od końca. Jak już kiedyś powiedziałem: czy początek nie jest zawsze końcem innej opowieści? Z drugiej zaś strony ci, którzy towarzyszyli mi w innych narracjach, powinni już wiedzieć, że pewnych historii nie można zacząć od początku, i całkiem prawdopodobne, że ta do nich należy. Nadszedł więc moment, w którym mogę wam zdradzić, że jak pewnie niektórzy już podejrzewają, pisarz nie zaokrętował się pod własnym nazwiskiem, lecz pod nazwiskiem bohatera swojej powieści *Niewidzialny człowiek* – Griffin. Uczynił to, gdyż jego jedynym zadaniem była właśnie niewidzialność. Musiał robić wszystko, by jak najmniej rzucać się w oczy, zrezygnować z wszelkich zamiarów bratania się z załogą, a przede wszystkim zachowywać się z przesadną ostrożnością w obawie przed tym, że jakiś jego gest, choćby i najbardziej trywialny, przeobrazi czas i odmieni naturalną kolej rzeczy.

Wkrótce potem „Annawan”, statek wielorybiczny o chwalebnej przeszłości, którego kadłub wzmocniono podwójną powłoką z drewna dębu afrykańskiego, mającą mu ułatwić żeglowanie wśród lodów bieguna południowego, wyruszył z Nowego Jorku, zabierając ze sobą jednego dodatkowego członka załogi, marynarza równie wątłego, co powściągliwego, który wpatrywał się w horyzont z osobliwym niepokojem, jakby wiedział o czekającym ich tragicznym losie.

Nie rzucać się w oczy i niczego nie ruszać – takie były jego priorytety. I realizował je mimo odkrycia z niedowierzaniem, że pośród ludzkiego planktonu na statku znajduje się sam Edgar Allan Poe! W tamtych czasach był on zaledwie bladym chłopakiem, który nie napisał jeszcze nawet *Pieśni z Al Aaraaf* Podobno zatrudnił się na statku jako sierżant artylerii, by uciec z West Point, i choć Wells chętnie ubarwiłby sobie nudną podróż

rozmowami z kimś, kto z czasem miał się stać jednym z jego ulubionych pisarzy, i dalby się oczarować jego opowieściom i gestom, ograniczył się do rozmawiania z nim jedynie wówczas, gdy było to absolutnie konieczne, wiedząc, że w przeciwnym razie zwiększy się groźba, iż zostanie zdemaskowany. A jeśli ktoś w tej grubiańskiej bandzie mógł odkryć, że ich towarzysz przybył z innej epoki, tym kimś bez wątpienia był Poe, przyszły autor opowiadań o detektywie Augustie Dupinie.

Jego jedyną rozrywką podczas podróży pozostawało więc picie rumu i zmuszanie się do śmiechu z ordynarnych żartów załogi, a kiedy już z miesięcznym opóźnieniem minęli Wyspy Kerguelena, obserwowanie współczującym wzrokiem bohaterских, lecz jałowych wysiłków kapitana MacReady'ego mających na celu zapobieżenie uwięzieniu statku wśród lodów.

Gdy stary wielorybnik w końcu utknął na dobre, Wells pokiwał głową niczym reżyser zadowolony z pracy aktorów. Załoga przyjęła problem, który mógł ją kosztować życie, ze spokojną rezygnacją. Trzeba było po prostu czekać na odwilż, nie marnując żywności i starając się nie popaść w szaleństwo. Niewiele więcej dało się zrobić w tych okolicznościach, choć Reynolds, odpowiedzialny za tę ekscentryczną wyprawę, nie przestawał przypominać kapitanowi, że muszą badać teren w poszukiwaniu otworu wiodącego do wnętrza Ziemi, która jego zdaniem była wydrążona, choć Verne nie napisał jeszcze swej słynnej powieści.

Wells oczywiście niczego takiego nie oczekiwał. Oczekiwał jedynie tego, co tydzień później, gdy zaczynał już tracić nadzieję, ostatecznie spadło z nieba. Kiedy się pojawiło, doznał dziwnego uczucia, że to on sam zamówił to powietrzne widowisko, by zadziwić pozostałych. Statek przeciął niebo i rozbił się w pobliżu gór, a pisarz przyglądał się temu z miną równie skonsternowaną jak jego towarzysze. Nie zapominajmy bowiem, że nigdy dotąd nie widział go w locie. Zrozumiał, że od tego momentu wszystko będzie się toczyło tak, jak już się potoczyło, zwłaszcza jeśli on sam zdoła się utrzymać z dala od biegu wydarzeń, by zachować ich właściwy kształt. Pojawienie się na tym pustkowiu latającego spodka wywołało wśród załogi różne domysły – niektórzy zapewniali na przykład, że to meteoryt, co wzbudziło mimowolny uśmiech Wellsa, który w odróżnieniu od nich doskonale wiedział, z czym mają do czynienia. Wiedział nawet, kto pilotował statek i skąd przybywał. Wysłannik zjawił się na oddalonej od świata lodowej wysepce, na której przeznaczone im było się spotkać, z istic brytyjską punktualnością.

Nie będę was jednak zanudzał ponownym opowiadaniem zdarzeń, które już doskonale znacie, choć owszem, chciałbym się podzielić pewnymi odczuciami i obawami, jakie podczas wyprawy w przeszłość targały milczącym i powściągliwym marynarzem Griffinem, obecnie zidentyfikowanym przez nas jako pisarz H.G. Wells. Jestem przekonany, że znając go tak dobrze, ciekawi będziecie, w jaki sposób jego subtelna i wrażliwa osobowość mierzyła się z rozlicznymi perypetiami towarzyszącymi tym ciężkim dniom na pokładzie „Annawanu”. Weźmy na przykład moment, w którym podczas wyprawy w celu znalezienia statku powietrznego musiał naprędce wymyślić niesłychaną historię, by wytłumaczyć Reynoldsowi, dlaczego tak się upierał przy pracy na „Annawanie”; historię tak niespójną i absurdalną, że mogłaby go zdyskwalifikować jako pisarza. Albo chwilę, kiedy musiał przeczesać okolice statku powietrznego w poszukiwaniu jego pilota, wiedząc już, do czego ten jest zdolny. A jak opisać mieszankę frustracji i zniechęcenia, która go ogarnęła, gdy na pokładzie „Annawanu” czekali na atak istoty, która potrafiła rozszarpać na kawałki niedźwiedzia polarnego, a on jeden wiedział, że być może ów „potwór z gwiazd” już jest wśród nich, przedzierzgnięty w jednego z

marynarzy.

Biedny Wells! Jakaż odpowiedzialność spoczęła na jego barkach! Jakiż samotny i żaloszny czuł się na tym skazanym na zgubę statku, nie wiedząc, co dokładnie musi zrobić, by zapobiec nieuniknionemu! Czas rozwijał kłębek godzin, a w umyśle pisarza żaden rozpaczliwy plan nie wydawał się mniej szalony od tego, który zaimprovizował w kanałach Clayton. Ten, który uznał za bardziej rozsądny – co pozwoli czytelnikowi wyrobić sobie opinię na temat pozostałych – objawił mu się podczas jednego ze szczegółowych obchodów statku w poszukiwaniu czegokolwiek, co mógłby wykorzystać przeciw Wysłannikowi, jako że wiedział z pierwszej ręki, iż kule nie czynią mu najmniejszej krzywdy. Znalazł w ładowni kilka skrzyń wypełnionych po brzegi laskami dynamitu i natychmiast pojął, że to jedyna rzecz na, Annawanie” zdolna zabić Marsjanina. Nigdy nie miał do czynienia z tym ładunkiem, lecz przypuszczał, że sobie poradzi, choć był świadom, że Wysłannik raczej nie zaczeka spokojnie, aż on rzuci mu ładunek pod nogi, sam trzymając się w dostatecznej odległości, by nie zginąć wraz z nim. Nie miał jednak ochoty czekać, aż potwór przyjdzie do niego, tak jak uczynił to siedemdziesiąt lat później w londyńskich kanałach Murray. Zwłaszcza że na statku nie było żadnej pięknej panny, która mogłaby go objąć, gdy oboje czekali na śmierć. W przeciwnym razie może by to przemyślał. Kiedy tak dywagował, jego wzrok padł nagle na dużą liczbę harpunów zgromadzonych w arsenale. Gdyby przywiązał do takiego harpuna kilka lasek dynamitu i rzucił nim w Wysłannika celnie i z odpowiednią siłą, miał jedną szansę na milion, że go trafi, a to i tak było lepsze niż nic.

Dwa dni później, gdy pisarz wciąż szukał planu lepszego niż harpun z dynamitem, doktor Walker został bestialsko rozszarpany przez monstrum z gwiazd, które zaatakowało go w ambulatorium, gdy próbował amputować prawą stopę marynarzowi Carsonowi, dzięki czemu Wells od razu pojął nie tylko to, że Wysłannik jest na statku, ale też czyją przybrał postać. Przestraszona załoga na rozkaz coraz bardziej zbitego z tropu MacReady’ego przeszukała cały statek w poszukiwaniu otworu, przez który potwór miałby się dostać do środka, lecz oczywiście niczego nie znalazła. Doprowadziło ją to do wniosku, że w jakiś tajemniczy sposób istota mogła wchodzić na statek i opuszczać go niezauważona, niczym demon, którym zapewne zresztą była. Wells jednak w demony nie wierzył. Brał nawet pod uwagę zdemaskowanie Carsona. Rozważał szeroki wachlarz możliwości, z których żadna nie spodobała mu się dostatecznie, by wprowadzić ją w życie. Poinformować towarzyszy, że ten człowiek to nie Carson, tylko Marsjanin, który przybrał jego postać, albo próbować go zabić z zimną krwią, gdy tylko znajdzie okazję, być może wkładając mu laskę dynamitu do spodenek, kiedy będzie spał, i wyjawić jego tożsamość dopiero wtedy, gdy będą go sądzić za tę zbrodnię, co z pewnością uczynią – obie te możliwości zdawały mu się najprostszymi sposobami na trafienie za kraty jako szaleniec, zbrodniarz albo jedno i drugie. Jasne więc, że lepiej będzie trzymać się z boku i czekać na lepszą okazję. Starał się zachować spokój i ograniczył się do śledzenia z maksymalną ostrożnością ruchów Carsona, jednocześnie zadając sobie pytanie, gdzie znajduje się ciało prawdziwego marynarza. Prawdopodobnie gdzieś na zewnątrz, wśród lodów. Gdy tak obserwował Wysłannika, ogarnęło go zdziwienie, że ten go nie poznaje, że nie wylawia go demaskującym spojrzeniem spośród towarzyszy po tym, jak rozmawiali w londyńskich tunelach... Wciąż musiał sobie przypominać, że mimo wszystkich jego wspomnień to się jeszcze nie wydarzyło.

Gdy pewnego razu podczas wachty przy sterburcie zobaczył nadbiegającego Reynoldsa, krzyczącego, że Carson nie żyje, że jego trup leży niedaleko rozbitego

pojazdu, wiedział, że wkrótce dojdzie do konfrontacji. Odkrywszy, że nieżyjący Carson jednocześnie trzyma wachtę na statku, Reynolds podszedł do niego niczym lunatyk. Przez chwilę rozmawiali, podczas gdy psy szczekały jak najęte, i nagle przyglądający im się pisarz zrozumiał, że Wysłannik, być może podejrzewając, iż został zdemaskowany, wkrótce przestanie się maskować i wróci do prawdziwej postaci. Po rozmowie badacz udał się do kajuty, nawet nie zaszczycając spojrzeniem Wellsa, najwyraźniej z jakiegoś niezrozumiałego powodu postanowiwszy nie ujawniać pozostałym swego odkrycia. Czyżby zaprosił fałszywego Carsona do siebie, by mu zaproponować jakiś układ? Wells nie miał pojęcia, ale i nie za bardzo go to obchodziło. Wszystko wskazywało na to, że masakra jest bliska. Badacz igrał z bombą, która mogła wybuchnąć mu prosto w twarz. I jak wszystkim doskonale wiadomo, tak się stało.

Być może zadajecie sobie teraz pytanie, czy w którymś momencie tej orgii strzałów, wybuchów, krwi i potwornych przeobrażeń, jaka wkrótce się rozpętała, przyszło Wellsowi do głowy, by zapomnieć o losach ludzkości, o ratowaniu tych, których kochał, lecz którzy jeszcze się nie narodzili, i spróbować uchronić jedynie własną skórę. Może wyda się wam to niewiarygodne, lecz odpowiedź brzmi „nie”, a mogę was o tym zapewnić z całą stanowczością, bo nic nie przychodzi mi łatwiej niż czytanie w duszach postaci zaludniających tę opowieść. Jeśli jednak mam być absolutnie szczery, muszę też dodać, że nie uczynił tego z poczucia powinności czy z altruizmu, lecz dlatego, że odkąd w tym lodowym piekle rozpętała się apokalipsa, nie potrafił się skupić na niczym oprócz zapobiegania aktywacji tajemniczego mechanizmu w swoim mózgu, bojąc się, że ten znów zrzuci go z urwiska czasu, Bóg jeden wie dokąd. I może ta obsesyjna niemal uwaga, jaką temu poświęcał, w każdej sekundzie starając się uniknąć drżenia serca, pomogła mu jednocześnie zdławić panikę i pozwoliła z zimną krwią stawić czoło otaczającej go grozie. Dzięki temu zdołał przyłożyć lufę do skroni surowego kapitana, zmuszając go do posłuchania Reynoldsa, a potem pójść do arsenału, z podejrzanym spokojem przechodząc przez piekło, w które zamieniły statek eksplozje, jakby go chronił glejt wydany przez samego diabła, i starannie przywiązać laski dynamitu do harpuna, by następnie wyjść na pokład i wyskoczyć na łód, ani na moment nie tracąc opanowania nawet wtedy, gdy patrzył, jak ostatni wybuch zmienia „Annawan” w stertę pogiętego złomu otoczonego zmasakrowanymi ciałami, i rozumiał, że niezależnie od tego, czy zdoła wypełnić misję, jego marne nadzieje na powrót do cywilizacji do reszty się rozwiały.

Wyobraźcie go sobie ukrytego pośród ofiar wybuchu, zdezorientowanego i zboląłego. Ogluszony przez potężną detonację, która rozerwała statek na kawałki, miał wrażenie, że świat spowiła pierwotna cisza; cisza, która go otaczała, nim człowiek zbrukał ją swoimi sztucznymi dźwiękami. Płomienie trawiące resztki „Annawanu” przygasały powoli niczym wspomnienia przodków. Pisarz uświadomił sobie, że Wysłannik musiał przeżyć wybuch, skoro skończył uwięziony w lodowej bryle. Zlustrował bacznie spojrzeniem leżące na śniegu szczątki i z przerażeniem dostrzegł wśród nich poruszający się leciutko kształt. Dzielilo ich jakieś trzydzieści metrów, lecz kiedy postać zaczęła się podnosić, Wells mimo odległości przekonał się, że nie ma do czynienia z człowiekiem. Płomienie otaczały okrywający Marsjanina osobliwy habit, zmieniając go w pochodnię, co jednak zdawało się nie sprawiać mu najmniejszego bólu. Wells szybko wtulił głowę w śnieg i udając trupa, dyskretnie obserwował ruchy tamtego. Westchnął z ulgą, widząc, że wielki robak rusza w przeciwną stronę, lecz zaraz potem zmarszczył brwi, dostrzegając dwie kolejne sylwetki, pospiesznie podnoszące się ze śniegu. Wydało mu się, że to Allan i Reynolds. Ten ostatni pobiegł ku klatce z psami, a pisarz uśmiechnął się pod wąsem.

Kiedy Reynolds otworzył klatkę, oszalała sfora pognąła za Wysłannikiem – ten nadstawił kolce i brutalnie uderzywszy pierwszego z atakujących psów, przeciął go na pół. Natychmiast stało się jasne, że zwierzęta stanowią dlań zaledwie drobną niedogodność. Z wyraźną pogardą wypatroszywszy ostatniego, oprawca ruszył powoli, rozkoszując się zwycięstwem, ku towarzyszący pisarza, którzy zrezygnowali z ucieczki, najwyraźniej nie widząc sensu w odwlekaniu nieuniknionego. Kiedy kreatura zatrzymała się jakieś pięć metrów od nich, wydając triumfalny ryk, Wells zrozumiał, że nie będzie miał lepszej okazji, by spróbować przebić ją harpunem. Jeśli zaś nic nie zrobi, Wysłannik zostanie zamrożony w bryle, choć pisarz nie miał zielonego pojęcia, jak uda się Allanowi i Reynoldsowi do tego doprowadzić. Doskonale natomiast wiedział, że ich wyczyn nie zapobiegnie inwazji. Musiał skończyć z Marsjaninem na zawsze, a nie na jakiś czas. Dlatego tu był. Po to przemierzył czas i przestrzeń.

Zdecydowany zadać śmiertelny cios, podniósł się gwałtownie, unosząc harpun... i wtedy to poczuł. Przez chwilę rozglądał się wokół w oszołomieniu, czując, że coś idzie nie tak, lecz nie wiedząc co. Do tej pory wszystko toczyło się zgodnie z planem: spalony statek, rozrzucone po śniegu ciała, potwór szykujący się do rozniesienia jego towarzyszy... a jednocześnie zdawało się takie odległe, choć nie w przestrzeni: blade światło zmierzchu stało się jeszcze bledsze, chłód mniej dokuczliwy, śnieg wydawał się nie przemacać jego odzieży, a powietrze nie niesło już żadnych zapachów – ani spalonego drewna, ani zwęglonych ciał, ani nawet jego własnego potu. Brakowało intensywności, realności, blasku, sam nie wiedział czego. Tego, co sprawiało, że rzeczy istnieją. Miał uczucie, że wszystko się odeń oddaliło, choć jednocześnie trwało. „Jakby znajdował się we wspomnieniu tego miejsca, w jego przeszłości, nie zaś w nim samym... I nagle z bolesną, nieznośną pewnością zrozumiał, że to znów się zdarzy – że zbliża się kolejny skok w czasie. Drżącymi rękami szybko przywiązywał lonty lasek dynamitu, błagając ciało, by jeszcze chwilę wytrzymało w terażniejszości. Nie wiedział, z jakim wyprzedzeniem te objawy – to subtelne odbarwienie rzeczywistości – obwieszczają skok, bo ani we śnie, ani w zbiorniku wodnym nie był świadom, że to się dzieje, lecz liczył na to, że zdąży przynajmniej rzucić harpunem. Patrzył, jak monstrum napina ciało, szykując się do ataku. Wytrzymaj, rozkazał sobie, do diaska, wytrzymaj jeszcze chwilę. Rozpędził się, odchylił rękę do tyłu, a potem cisnął harpunem w sylwetkę Wysłannika, przekonany, że chybi, a może nawet przebije któregoś ze swych towarzyszy. Ku swemu zdumieniu zobaczył jednak, jak harpun wbija się w plecy Marsjanina, z łatwością przebijając chrząstkowaty pancerz. Wysłannik zaryczał z bólu i niezdarnie próbował wyrwać z siebie broń, wijąc się w konwulsjach i zmieniając wygląd. Na oczach Wellsa stopniowo przeobrażał się w postacie, w które dotąd się wcielił, by na koniec rozprysnąć się na tysiąc kawałków z głuchym odgłosem, który pisarzowi wydał się równie odległy co góry na horyzoncie. Zaraz potem spadł na niego deszcz zielonkawej krwi oraz grad fragmentów ciała i kości, rzucając go na kolana. Gdy dym się rozwiął, wyczerpany zwycięzca ujrzał Reynoldsa i Allana, siedzących na śniegu i wpatrujących się w niego z mieszaniną zdumienia i wdzięczności, całych i zdrowych, choć dziwnie bezcielesnych, jakby namalowano ich na prześcieradle, przez które przebija światło.

Zrozumiał, że wykonał zadanie, w końcu poddał się dziwnemu uczuciu. „Wygrałem” – myślał, a zmęczenie i nagromadzone napięcie zmieniały się w coraz silniejsze zawroty głowy. Coś wyrwało go z klatki ciała i uwolniło od bolesnego zmęczenia, które nim władało i wręcz zdawało się utrzymywać go w jednym kawałku. Uczucie nieważkości trwało jednak zaledwie sekundę. Zaraz potem znów znalazł się

wewnątrz siebie, przytłoczony jarzmem własnego ciężaru. Targnęły nim gwałtowne torsje i z wymiotował na śnieg. Odkaszał raz, drugi, trzeci, usiłując pokonać mdłości. Gdy wzrok w końcu mu się wyostrzył, okazało się, że kłęczy w tym samym miejscu, znów marznie i moknie, tak jak się to zwykle dzieje na śniegu. Nigdzie jednak nie dostrzegając śladu Allana i Reynoldsa, zrozumiał, że przeniósł się w czasie.

XL

Skąd jednak miałby wiedzieć, w jakim wyłądowniu roku, skoro otaczała go wyłącznie śnieżna pustynia identyczna z tą, z której przybył, pozbawiona jakiegokolwiek śladu cywilizacji? Mógł przeskoczyć zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość. Nie sprawiało mu to jednak większej różnicy: gdziekolwiek się znajdował, panowały tu takie same warunki jak w teraźniejszości, przez której granice się prześliznął, zmarznięty i wyczerpany, a teraz na domiar złego samotny. Gdy jako tako doszedł do siebie, wstał i powiódł wokół posępnym spojrzeniem, upewniając się, że jest sam jak palec: nigdzie nie było śladu „Annawanu”, jego towarzyszy ani szczątków Marsjanina. Ani niczego innego. Niewiele jednak dało się z tego wydedukować. Nieobecność statku mogła oznaczać, że przeniósł się w przeszłość, do roku wcześniejszego niż 1830, albo że znajduje się w przyszłości dostatecznie odległej, by resztki „Annawanu” zdążyły ulec rozkładowi. Tak czy owak był samotnym człowiekiem pośrodku rozległego lodu Antarktydy, zdany na okrucieństwo żywiołów, bez środków do życia, bez nadziei, bez najmniejszych szans na przetrwanie. Na tę myśl ogarnęła go panika. Przez kilka minut wyłądowniwał wściekłość w bezsensownym krzyku. W końcu uspokojony nieco i słodko ukołyszany wyczerpaniem, pogodził się z myślą, że przyjdzie mu tu dokonać żywota – w najlepszym wypadku z zimna lub głodu. Niezależnie od ostatecznej przyczyny zgonu czekało go cierpienie. Jediną pociechą było dla niego to, że unicestwił Wysłannika, choć nie miał możliwości sprawdzenia, czy istotnie zapobiegło to inwazji. Chciał wierzyć, że tak; że zgodnie ze słowami samego Marsjanina jego bracia wyginęliby, otruci ziemskim powietrzem, gdyby dłużej czekali na sygnał do ataku. Tak, chciał umrzeć w przekonaniu, że zwrócił pokój czasom, w których powinien żyć.

Ruszył bez celu przed siebie jedynie dlatego, że w marszu znacznie łatwiej było znosić chłód. Nawet nie próbował określić kierunku – wątpił, czy to by się udało, a jeśli nawet, czy miałoby jakiś sens. Po prostu wędrował w posępnym krajobrazie, ciągnąc za sobą beznadziejną niczym kulę u nogi. Nic, co przeżył dotychczas, nie budziło w nim większego strachu niż to czekanie na długą, bolesną i samotną śmierć, być może wypełnioną halucynacjami i szaleństwem. Żaden człowiek nie zasługuje na umieranie w takim zapomnieniu, bez godności, bez towarzystwa, jak gdyby śmierć była żalonym spektaklem, którego nikt nie chce oglądać. Będzie umierał wyłącznie dla siebie, nie wiedząc nawet kiedy, nie mając pojęcia, który rok powinien widnieć na jego hipotetycznym nagrobku. Umrzeć w taki sposób to jakby wcale nie umrzeć.

Rozpętała się burza śnieżna. Wystarczyła chwila, by unoszone przez wiatr tumany zredukowały widoczność niemal do zera, a oddychanie upodobniło się do połykania ostrych brzytw, które w drodze do płuc rozdzierały gardło. Śnieg osadzał się na ubraniu pisarza, podwajając jego ciężar i utrudniając chaotyczny marsz, aż w końcu wyczerpanie, a przede wszystkim bezsens tej wędrownki po raz kolejny rzuciły go na kolana. Chłód stawał się coraz bardziej nieznosny i Wells zaczął pojmować, że umrze z zimna, czując, jak jego ciało powoli lodowacieje. Czytał kiedyś, że najpierw w palcach rąk i nóg, które są najsłabiej ukrwione, tworzą się kryształki wywołujące potworny ból w kończynach, stopniowo przestających reagować na jego polecenia. Później pojawia się arytmia serca, jeszcze później człowiek przestaje czuć swoje ciało, kompletnie nie kontroluje nawet jego czynności fizjologicznych, dalej następują trudności z oddychaniem, zaczyna się dusić, doznaje paraliżu krtani i wreszcie, po wielu godzinach potwornego odrętwienia, traci przytomność i umiera, nie będąc nawet tego świadom. Prerażony tą perspektywą zwinął

się w kłębek na śniegu, złorzecząc, płacząc, śmiejąc się i żałując, że czytał w książkach o tym, czego teraz miał doświadczyć na własnej skórze. Czas płynął chyba tylko z przyzwyczajenia, a może i nie płynął, skoro nie było tam nic, co mogłoby mierzyć jego upływ. Chłód wzmógł się do tego stopnia, że nabrał zupełnie nowej jakości, aż pisarz przestał się orientować, gdzie się kończy zimno, a zaczyna on, bo wszystko było jednym i tym samym. On był chłodem. Na próżno starał się odnaleźć granice własnego ciała. Był tak odrętwiały, że ogarnęła go obawa, iż umarł i nawet tego nie zauważył. Ale wciąż myślał, wciąż potrafił tworzyć obrazy w głowie, wywołać w niej widok uśmiechu Jane, a to znaczyło, że żyje, choć z czasem zgaśnie niczym ognisko, do którego nikt nie dokłada drew.

Wówczas ogarnęła go panika. W jakimś zakątku zmrożonego umysłu pojawiło się znajome oszołomienie dające początek narastającym zawrotom głowy. I nagle dręczący go chłód zniknął, podobnie jak wszystko inne. Pisarz poczuł ogromną, graniczącą z euforią ulgę, lecz już w następnej sekundzie znów znalazł się wewnątrz tego samego odrętwiałego i zamrożonego sarkofagu własnego ciała. Coś ciepłego, być może na wpół rozpuszczona dusza, podeszło mu do gardła. Zwymiotował na śnieg, lecz mdłości nie ustąpiły. Przeciwnie, jeszcze się wzmogły, aż w końcu ponownie poczuł się wyrwany z ciała i wyrzucony w powietrze, zagubiony, lecz uwolniony od cierpień, by po chwili znów wrócić do chłodu i bólu. Zwymiotował po raz drugi, trzeci, kolejny, jakąś częścią umysłu pojmując, że podróżuje w czasie, że przenosi się wciąż na nowo, przeskakuje na oślep lata, a może wieki, i pozostawia w wieczności swoje pijackie ślady. Jego ciało pragnęło uciec przed śmiercią, przed tą przerażającą i ciągnącą się w nieskończoność torturą, która próbowała zamrozić mu wnętrzości. Ucieczka w czasie nic jednak nie dawała, skoro nie mógł się przenieść w przestrzeni i wciąż tkwił w tym samym niegościnnym krajobrazie, na tym lodowym pustkowiu, które uparło się go pogrzebać, raz pogrążone w głębokiej ciemności, kiedy indziej słabo oświetlone przez rachityczne słońce zawieszzone na niebie jak kropla rtęci. Nie mógł uciec z miejsca, które zdawało się starsze niż sam czas.

W pewnym momencie, wciąż na wpół omdlały z wysiłku, zauważył, że przestał wymiotować i zawroty głowy osłabły. Blade światło rzucało na śnieg leciutki poblask, a chłód nie był tak dojmujący. Temperatura mogła nawet być lekko dodatnia, co wycieńczony pisarz przyjął z wątłym uśmiechem. Przez parę chwil leżał w oczekiwaniu na kolejny skok, lecz ten nie nastąpił. „Czyżby tajemnicze urządzenie w mojej głowie przepaliło się od nadmiernego zużycia?” – zastanawiał się półprzytomny. Podobnie jak „Annawan” w lodzie, jego ciało w końcu utknęło w niewiadomym roku, o którym wiedział jedynie, że będzie to rok jego śmierci.

Wtedy zobaczył twarz Boga.

Była to twarz o ciemnożółtej skórze i wydatnych policzkach, ozdobiona skośnymi oczami, w których malowała się inteligentna prostota. Przez chwilę przyglądała mu się z uwagą, jakby próbowała rozpoznać w nim kogoś ze swego stada. Być może widząc, jak Wells naprawił swój błąd i uratował planetę, Bóg uznał, że należy zachować go przy życiu, podniósł go więc małymi rączkami i położył na saniach. Pisarz resztkami świadomości poczuł, że coś go przykrywa, a potem usłyszał coś przypominającego drapanie. Po upływie kilku minut doszedł do wniosku, że to pewnie sanie jadą po śniegu. Bóg zabierał go w jakieś miejsce. Po pewnym czasie – nie wiedział, czy były to godziny, dni czy wieki – dobiegł go gwar wypowiedzianych różnymi tonami niezrozumiałych słów. Czyjeś ręce dotykały go i rozbierały, aż wreszcie wirowanie świata ustąpiło miejsca

ciepłemu uczuciu błogości. I choć poprzez odmęty nieświadomości nie potrafił zrozumieć, co się dzieje, zauważył, że zimno zniknęło. Nie czuł już jego straszliwych ukąszeń, za to znów czuł obecność swojego ciała, jego utraconych wymiarów: stóp dotykających czegoś, co sprawiało wrażenie koca, pleców leżących na czymś przyjemnie miękkim, głowy spoczywającej w wymoszczonym gniazdku. Na nowo pewną ręką rysował swój kształt na mapie świata.

Pewnego dnia – nie miał pojęcia, ile ich minęło – obudził się na pryczy w ciepłej, przytulnej kabince. Znajdował się na czymś przypominającym stację wielorybniczą, żywy i chyba cały, choć prawą dłoń miał obandażowaną. Ze sprzętu i ubioru ludzi wchodzących od czasu do czasu do chatki nie potrafił wydedukować, w jakiej znalazł się epoce, więc obwieścił swoje przebudzenie, ku powszechnemu zdumieniu pytając, jaki mamy rok. Odpowiedzieli, że jest rok Pański 1865, a on ze słabym uśmiechem pokiwał głową. Nie uciekł zbyt daleko. Prawdopodobnie podczas lodowej gehenny wykonywał dłuższe skoki, ale pewności mieć nie mógł. Teraz znajdował się trzydzieści pięć lat od dnia, w którym przebił harpunem potworne cielsko Wysłannika, i zaledwie rok przed tym, jak w skromnym, pełnym karaluchów mieszkanku w Bromley miał się narodzić człowiek identyczny z nim.

Kiedy kilka dni później chirurg ze stacji zdjął mu z dłoni bandaż, Wells odkrył, że amputowano mu kciuk i palec wskazujący, lecz uznał to za niewysoką cenę uniknięcia śmierci z zimna. Na tej prostej, lecz wygodnej pryczy spędził co najmniej tydzień, odzyskując siły i w milczeniu rozkoszując się swoim niewiarygodnym zwycięstwem nad Wysłannikiem, przeżywając na nowo każdy dzień tamtej piekielnej wyprawy, swoje rozterki, lęki, ostatnie dramatyczne chwile, w których sądził, że mu się nie uda i że cały wysiłek pójdzie na marne. Słowem – wspominając swój wyczyn, który z obecnej perspektywy wydawał mu się zupełnie nieprawdopodobny.

Wykorzystał te dni również na powiązanie pewnych luźnych nitek, które łaskotały go w głowie zajętej wcześniej ważniejszymi sprawami. Przypomniał sobie na przykład, że gdzieś, być może w jednym z licznych artykułów na temat pisarza z Baltimore, czytał, iż Edgar Allan Poe wraz z badaczem Jeremiahem Reynoldsem uratowali się z dziwnej ekspedycji zakończonej buntem, której do tej pory kompletnie nie łączył z wyprawą na „Annawanie”. Jasne było, że ci dwaj wpadli na pomysł, by uwięzić Wysłannika w lodzie – być może w chwili olśnienia zaganiając go w okolice rufy statku, gdzie lód był znacznie cieńszy – po czym w jakiś sposób udało im się wrócić do cywilizacji, kłamiąc w sprawie tego, co wydarzyło się na biegunie południowym. Teraz, gdy Wells zobaczył, co się tam naprawdę stało, nie obwiniał ich o to. Świat z całą pewnością uznałby ich za wariatów. Znacznie lepiej było wymyślić bunt na statku i wrócić do dawnego życia, trzymając kciuki, by z czasem o wszystkim zapomniano. Nie wiedział, co się stało z Reynoldsem, ale Poe został jednym z najlepszych pisarzy na świecie, i jak już wspomnieliśmy, jednym z ulubieńców Wellsa, który z fascynacją przeczytał wszystkie jego dzieła, w tym *Przygody Artura Gordona Pyma*, tę szaloną, przepelnioną brutalną grozą opowieść, o której dziś już wiedział, skąd się wzięła.

Gdy odzyskał siły, ruszył w podróż do Nowego Jorku, a stamtąd, ze spokojnym uśmiechem na ustach, do Londynu. Wreszcie mógł rozpocząć nowe życie bez wyrzutów sumienia. Zasłużył na to. I choć mógłby osiedlić się gdzieś w Ameryce, wolał wrócić do ojczyzny. Chciał znów spacerować po Londynie, częściowo po to, by mieć pewność, że wszystko jest tam na swoim miejscu, lecz przede wszystkim, by być blisko Wellsa, który miał się narodzić w przyszłym roku. Patrząc na niego z oddali, może nawet go strzec. Tak,

musiał się przyglądać życiu, którego już nie mógł przeżyć, jako że musiał sobie uprząć inne, a brak tych dwóch palców, w których pisarze trzymają pióro, sugerował, że będzie to szary żywot zwykłego śmiertelnika.

XLI

Wells przybył do Londynu rok przed swoimi narodzinami.

Podczas długiego rejsu, spoglądając z pokładu na ogromny fosforyzujący ocean, miał mnóstwo czasu na snucie planów: zamierzał zacząć nowe życie pod fałszywym nazwiskiem Griffin, być może zapaści brodę i włosy, by nikt go nie rozpoznał, choć właściwie jak miałyby rozpoznać, skoro kiedy prawdziwy Wells – swoją drogą ciekawe, dlaczego to tamten jawił mu się jako autentyk – osiągnie jego wiek, on sam będzie już zgrzybiałym staruszkiem o zmarszczkach kamuflujących lepiej niż jakiegokolwiek przebranie? Istniały pilniejsze sprawy, na przykład wybór miejsca, w którym rozpocznie swój nowy, prosty żywot. Rozważywszy różne możliwości, zdecydował się na Weybridge, nie tylko dlatego, że była to jedna z wiosek na obrzeżach Londynu, które najmniej miały ucierpieć w marsjańskiej inwazji, lecz także ponieważ znajdowała się równie blisko stolicy jak Woking i Worcester Park, w których miał mieszkać drugi Wells. Jednego bowiem był pewien: zbuduje dla siebie nowe życie – jakież inne miał wyjście? – lecz będzie to życie toczące się jedynie siłą rozpędu, ponieważ nigdy nie zdoła naprawdę uznać go za swoje. Będzie to egzystencja zredukowana do niezbędnych czynności, ogołocona ze wszystkiego, co nie jest jedzeniem czy oddychaniem. Jego prawdziwe życie, to, które zapewni mu odpowiednią dawkę radości i smutku, wiódł będzie drugi Wells, i tylko przebywając jak najbliżej niego, ogrzewając się jego ogniem, będzie mógł nadać swojej nowej, pustej egzystencji jakiś sens. Tak, jedynie w ten sposób, jako świadek najważniejszych wydarzeń w życiu swego dublera – tych, które sam już przeżył, i tych, których nigdy przeżyć nie miał – mógł zaznać szczęścia. Dlatego wracał do Anglii. Nie obchodziło go, co się stanie z jego własnym życiem, byle było spokojne i dyskretne, pozbawione wszelkich napięć czy cierpień, jakie mogłyby wywołać kolejny skok w czasie. I na tym właśnie się skupił: osiadł w Weybridge, znalazł pracę w aptece i pozwolił swoim dniom płynąć monotonicznie niczym strumykowi, którego nie miał najmniejszego zamiaru poganiać. Ograniczył się do przeżywania czegoś w rodzaju epickiej nudy graniczącej z letargiem.

Od czasu do czasu wsiadał w powóz i jechał, by patrzeć na swoje prawdziwe życie. Widział swoje narodziny w domku w Bromley, gdzie jego rodzice prowadzili skromny sklepik z porcelaną. Widział, jak w wieku siedmiu lat wrywa się z rąk syna kramarza i łamie puszczel o jeden z kołków przytrzymujących linki kramu z piwem. Widział, jak z nogą na wyciągu czyta *Przygody Artura Gordona Pyma* Edgara Allana Poe. Jak oczarowuje swoją błyskotliwością pana Morleya, prowadzącego akademię w Bromley. Jak marnuje się w sklepie tekstylnym Rodgers & Deyner w Windsorze, gdzie posłała go do pracy matka, a później bez trudu wyróżnia się spośród uczniów liceum w Midhursts, z którego w wieku zaledwie piętnastu lat znów go zabrano, by został czeladnikiem w centrum tekstylnym pana Edwina Hyde'a w Southsea.

Obserwował to wszystko z bezpiecznej odległości, rozdarty między podnieceniem a tęsknotą, dokładając wszelkich starań, by nijak nie zakłócić porządku zdarzeń. Musiał pozwolić swemu sobowtórowi po kolei robić wszystko, co zrobił on sam.

Gdy jednak nadszedł moment, w którym jego dubler miał zacząć naukę w centrum tekstylnym w Southsea, Wells uznał, że czas się pokazać: w jego życiu było bowiem coś, co od dawna pragnął zmodyfikować. Długo nad tym rozmyślał, rozważając możliwe następstwa tej interwencji, i doszedł do wniosku, że nie musi być dość znacząca, by wywołać istotne zmiany. Udał się więc do Southsea i stojąc przed budynkiem domu

towarowego, w którym marnował się jego sobowtór, zanurzył się we wspomnieniach. Rozpamiętywał rozpacz wywołaną przez niezrozumiały upór matki, która zamiast pozwolić mu dokończyć naukę w szkole publicznej i iść na studia, kazała mu się uczyć na przekłętym kupca, którym miałby zostać do końca swoich dni, jakby nie było na świecie godniejszego zajęcia. I choć teraz nie mógł zobaczyć samego siebie, nie wchodząc do budynku albo nie zaglądając do wnętrza przez witrynę, wyobrażał sobie, że wyglądem pokazywany klientom towar, rozkłada i składa koronkowe firanki, przekonuje się, jak trudno jest zwijać gruby len, albo przenosi manekiny z jednego kąta w drugi, realizując niepojęte plany pana Hyde'a, i że robi to wszystko z wystającą z kieszeni mundurka książką, pracując ciężko na reputację roztrzepanego i niechętnego ucznia.

Dryfując pośród takich wspomnień, dokładnie o zapamiętanej przez siebie godzinie zobaczył, jak drugi on wychodzi z budynku i zmęczonym, posępnym krokiem zmierza ku pomostowi w Southsea. Podążył za chłopakiem, utrzymując bezpieczną odległość, i patrzył, jak ten zatrzymuje się nad ciemną wodą i spędza tam niemal godzinę, po raz kolejny rozważając możliwość samobójstwa. Jeśli tak ma wyglądać moje życie, wolę nie mieć go wcale, myślał zapewne. Wells ze współczuciem obserwował tego oszukanego przez los chuderlawego chłopaka. Prawdę powiedziawszy, jeśli go pamięć nie myliła, nigdy nie uważał samobójstwa za honorowe wyjście, lecz zimne objęcia wody w porównaniu z czekającą go niewdzięczną dolą nie wydawały się niczym strasznym. Niemal słyszał, jak chłopak myśli: „Skoro życie nie jest dość dobre, po co przy nim trwać?”. Nikt przecież nie ma obowiązku żyć.

Potrząsnął głową, nie mogąc znieść cierpienia wyrostka, którym kiedyś był. Wiedział, że sytuacja odmieni się na jego korzyść za kilka miesięcy, gdy wreszcie odważy się sprzeciwić matce i napisze z prośbą o pomoc do Horace'a Byatta, a ten zaoferuje mu posadę asystenta w szkole w Midhurst za dwadzieścia funtów rocznie. Chłopak, który teraz spoglądał w wodę, targany rozpaczą, nie wiedział jednak jeszcze, że zdoła uniknąć smutnego losu kupca tekstylnego i będzie prowadził szczęśliwe życie pisarza. Wells ruszył ku niemu przez pomost, szykując się do wtargnięcia w jego młodość, do rozmowy z samym sobą. Miał nadzieję, że pięćdziesiąt lat, które pokryły jego twarz siecią zmarszczek, zapobiegnie rozpoznaniu go przez młodzieńca, lecz przede wszystkim liczył na to, że jego przemyślana interwencja w bieg wydarzeń nie wywoła trzęsienia ziemi większego niż to, które on pragnął wywołać.

– Zawsze można się zabić – powiedział łagodnie, by zwrócić uwagę chłopaka – więc najpierw warto wyczerpać wszystkie inne możliwości.

Chłopak obrócił się do niego zdumiony i przez chwilę mierzył go nieufnym spojrzeniem, dzięki czemu Wells także mógł się przyjrzeć młodszemu sobie. Ach, to tak wyglądałem jako piętnastolatek, pomyślał zaskoczony widokiem tych niewinnych oczu, ust, w których nie czaił się jeszcze późniejszy ironiczny uśmiezek, przesadnie dramatycznych gestów. Choć absurdalna młodzieńcza brawura sprawiała, że dzieciak czuł się w jakiś sposób niezwykły, Wells postrzegał go jako niezmiernie kruchego i wrażliwego.

– Wcale nie myślałem o... – I nagle bezwąsne usta zamilkły. – Skąd pan to wie? – zapytał na wpół zdziwionym, na wpół wyzywającym tonem młodzieniec.

Wells uśmiechnął się najmilej, jak potrafił, licząc, że ten łagodny gest pomoże im nawiązać płynny dialog.

– Och, nietrudno się domyślić – odparł z dobroduszną nonszalancją. – Zwłaszcza komuś, kto w młodości myślał o tym samym, patrząc w te wody z podobnym niepokojem

i smutkiem jak ty teraz. Uważałem, że samobójstwo będzie najlepszym rozwiązaniem moich problemów.

– Potrzęsnał energicznie głową, dając do zrozumienia, jak bardzo boli go to wspomnienie. – Najpierw jednak trzeba powalczyć, zbadać inne możliwości. Jeśli nie podoba ci się twoje życie, spróbuj je zmienić. Nie uznawaj się od razu za pokonanego. Dopóki żyjemy, klęska nigdy nie jest ostateczna.

Chłopak przyglądał mu się w milczeniu, wciąż nieco podejrzliwie. Czego chciał od niego ten nieznajomy? Dlaczego do niego podszedł i rozmawiał z nim w taki sposób?

– Dzięki za radę, kimkolwiek pan jest – odparł chłodno.

– Nikim. – Wells wzruszył ramionami, udając zapatrzonego w powolny rytm fal. – Jestem po prostu nieznajomym, który zbyt wiele razy widywał cię tutaj. Pracujesz w zakładzie pana Hyde’a, prawda?

– Tak – przyznał chłopak, wyraźnie zaniepokojony, że ten tajemniczy człowiek go szpiegował.

– I zapewne uważasz, że zasługujesz na coś lepszego niż los kupca tekstylnego – kontynuował Wells, wciąż starając się brzmieć jak najżyczliwiej. – Nie wiń się za to. Ja też tak myślałem, będąc w twoim wieku i wykonując równie niewdzięczną pracę. Pracę, która ani mi się nie podobała, ani nie przynosiła satysfakcji. Chciałem zostać pisarzem, wiesz?

W oczach młodzieńca rozbłysła iskierka zaciekawienia, choć Wells nie wiedział, czy on sam w tamtych czasach marzył już o pisarstwie. Lubił czytać, lecz nie był jeszcze świadom swojej umiejętności naśladowania ulubionych autorów. Dopiero gdy wstąpił do londyńskiego Royal College of Sciences, gdzie wykładał profesor Huxley, zaczął bazgrać pierwsze opowiadania tym niezręcznym, nieładnym pismem, które później miał wyćwiczyć w Akademii Holta w Wrexham. Na razie lekcje Horace’a Byatta, na które uczęszczał w ciągu miesięcy spędzonych w Midhurst, obudziły w nastolatku nieokreśloną fascynację postacią nauczyciela, który zdawał się dawać społeczeństwu znacznie więcej niż pisarze.

– I udało się panu? – zapytał nagle, wrywając Wellsa z chwilowej zadumy.

– Co takiego?

– Został pan pisarzem?

Wells przyglądał mu się przez chwilę, rozważając odpowiedź.

– Nie – przyznał wreszcie. – Jestem tylko skromnym aptekarzem. Prowadzę zwyczajne życie. Ale dzięki temu mogę udzielić ci tej rady, chłopcze, bo wiem, że nie ma nic strasniejszego niż wieść żywot, który nam nie odpowiada. Jeśli uważasz, że możesz coś wnieść do świata, walcz o to ze wszystkich sił. Inaczej zostaniesz smutnym i zgorzkniałym aptekarzem, wciąż śniącym na jawie i wymyślającym historie, których nigdy nie napisze.

– Przykro mi – rzekł chłopak, nawet nie zadając sobie trudu zrobienia współczującej miny. Odczekał kilka sekund i z odrobiną onieśmielenia dodał: – Mogę zapytać, dlaczego się pan wtedy nie zabił?

Pytanie zaskoczyło Wellsa, choć nie powinno, było bowiem jedynie wczesnym przejawem jego pragmatyzmu: z całą pewnością wyczerpał już wszystkie możliwości, więc po co przedłużał tę nędzną egzystencję?

– Hm... książki trzymają mnie przy życiu – zaimprovizował.

– Książki?

– Tak. Czytanie to jedyna rzecz, która sprawia mi przyjemność, a tyle ich jeszcze

zostało do przeczytania... Tylko dla nich warto żyć. Książki mnie uszczęśliwiają i pozwalają mi uciec od rzeczywistości. – W milczeniu, z leciutkim tylko uśmiechem wpatrywał się w wodę. – Pisarze wykonują niezmiernie wartościową pracę – dodał. – Zapewniają marzenia tym, którzy sami nie potrafią marzyć. A marzeń potrzebuje każdy. Czy istnieje praca ważniejsza od tej?

To rzekłszy, umilkł, nieco zawstydzony buńczuczny tonem, z jakim wypowiedział te słowa, które zresztą nie wydawały się robić na młodzieńcu wielkiego wrażenia. Z lekko pogardliwego skrzywienia ust wywnioskował, że przychodzi mu do głowy mnóstwo rzeczy ważniejszych dla społeczeństwa niż książki, ale nie miał ani siły, ani chęci wdawać się w dyskusję ze starszym rozmówcą. Być może było mu wszystko jedno, co myśli nieznamy, więc ograniczył się do milczącego współczucia. Potem odwrócił się, podniósł kamyk i rzucił go do wody, jakby chciał dać Wellsowi do zrozumienia, że dla niego ta dziwaczna rozmowa już się skończyła. Dopiero wtedy pisarz zauważył, że chłopak ma niewielki opatrunek na brodzie.

– Co ci się stało? – zapytał, wskazując go.

– Nic takiego. Spadłem rano ze schodów, niosąc bele kretonu. Czasem próbuję wziąć więcej, niż powinienem, żeby jak najszybciej skończyć robotę, ale tym razem przesadziłem – odparł nieobecny tonem chłopak. – Boję się, że zostanie mi straszna blizna.

Wells milczał, na próżno szukając tego wypadku w kufrze swojej pamięci. Pewne było, że nie pozostała mu po nim żadna blizna, z prostej przyczyny, że nie ukrywał niczego takiego pod gęstą brodą.

– Na twoim miejscu bym się tym nie przejmował – uspokoił chłopaka. – Z pewnością rana okaże się mniej poważna, niż myślisz.

Młodzieniec uśmiechnął się obojętnie, jakby w głębi duszy było mu wszystko jedno. Wells uznał, że nadszedł moment poprowadzenia rozmowy ku prawdziwemu celowi tego spotkania.

– Chcesz poznać ostatnią historyjkę, jaką wymyśliłem? – zapytał niby od niechcienia.

Chłopak wzruszył ramionami, jakby i jego niewiele to obchodziło. Pisarz z trudem powściągnął urazę. Wskazał rozgwieżdżone niebo nad ich głowami.

– Popatrz w górę, chłopcze – powiedział lekkim tonem. – Myślałeś kiedyś, że na którymś z milionów światów wypełniających wszechświat może istnieć życie?

– Tak... nie... nie wiem – nie mógł się zdecydować młokos.

– Ja tak. Nie szukając daleko, choćby na Marsie. Wiedziałeś, że włoski astronom Schiaparelli odkrył na powierzchni tej planety skomplikowaną sieć kanałów, z całą pewnością sztucznych?

Wiedział, że chłopak o tym słyszał, więc nie zdziwiło go lekkie skinienie głowy, które otrzymał w odpowiedzi.

– Wyobraź więc sobie – ciągnął, widząc lekkie zaciekawienie w oczach tamtego – że Marsjanie istnieją i że ich cywilizacja znacznie przewyższa naszą. Wyobraź też sobie, że ich planeta umiera, bo na przestrzeni dziejów wyczerpali jej zasoby. Nie mają zatem innego wyjścia, jak tylko przenieść się na inną planetę, nim wyginie ich rasa. Uznają, że najlepiej nadaje się do tego Ziemia, i postanawiają ją podbić.

– Trochę straszne – stwierdził ze szczerym zainteresowaniem młodzieniec. – I co dalej?

Wells uśmiechnął się, zadowolony, że przykuł jego uwagę. Wiedział, że chłopaka, którym był jako piętnastolatek, a nawet starca, którym dopiero będzie, fascynowały takie

historie. Przeczytawszy setki najróżniejszych powieści, odkrył, że jedynie te kryjące w sobie jakiś element fantastyczny potrafiły wzbudzić w jego umyśle dreszcz niewytłumaczalnej przyjemności, rodzaj rozbłysku porównywalnego wyłącznie z tym, którego doznawał w chwili orgazmu. Nie wiedział, dlaczego inne historie nie wywołują w nim tego uczucia, i nie rozumiał, jak mogą istnieć osoby niepodatne na nie. Doprowadziło go to do przekonania, że to upodobanie do fantastyki musi być uwarunkowane biologicznie, tyle że nauka w jego epoce nie była jeszcze dostatecznie rozwinięta, by trwonić czas na grzebanie w ludzkim mózgu w poszukiwaniu sekretu pasji.

– Wyobraź sobie – kontynuował, widząc zaciekawienie rozmówcy – że Marsjanie przylecą na Ziemię, przemierzywszy sześćdziesiąt milionów kilometrów nieprzeniknionej ciemności, które ich od nas dzielą, w walcach wystrzelonych ze swojej planety przez jakąś potężną armatę, a po dotarciu tutaj zbudują maszyny wojenne zdolne zrównać z ziemią nasze miasta. Wyobraź sobie straszliwe, dwudziestometrowe wehikuły na długich cienkich nóżkach, które miażdżą na swojej drodze sosny, domy i wszystko inne, a z górnej części wystrzelują coś w rodzaju snopa ognia, dzięki czemu bez trudu pokonają każde ziemskie wojsko. Dysponując takimi pojazdami, Marsjanie podbiliby nas w ciągu kilku tygodni, a może i dni.

– Chętnie bym przeczytał taką historię – oznajmił chłopak, wstrząśnięty i oczarowany zarazem.

– W takim razie zostawiam ci ten pomysł – odparł wesoło Wells. – Możesz ją napisać, kiedy zechcesz. Dzięki temu i ja będę miał lekturę.

Chłopak pokręcił głową, uśmiechając się nieśmiało.

– Chyba nie przepadam za pisaniem – przyznał.

– Może z czasem je polubisz – rzekł Wells. – Nigdy nie wiadomo. Może pisarstwo okaże się twoim przeznaczeniem. Jak się nazywasz?

– Herbert George Wells – odparł młodzieniec. – Trochę za długie nazwisko jak na pisarza.

– Zawsze możesz je skrócić. – Wells uśmiechnął się z sympatią i wyciągnął rękę. – Miło było cię poznać, George.

– Nawzajem – powiedział chłopak, wymieniając z nim uścisk dłoni.

I tak nad czarnymi wodami otaczającymi pomost w Southsea mężczyzna podał rękę samemu sobie, a wszechświat nie wybuchnął ani w żaden inny sposób nie dał mu do zrozumienia, że zauważył anomalie. Poczawszy przez moment ciepło własnej dłoni, pożegnał siebie skinieniem głowy i ruszył ku końcowi pomostu. Po kilku krokach znów odwrócił się do młodzieńca.

– Jeszcze jedno... – rzekł z uśmiechem, udając, że zapomniał mu powiedzieć najważniejsze. – Jeśli kiedyś napiszesz tę powieść, nie pozwól Marsjanom wygrać, choćbyś nie wiem jak chciał napiętnować brytyjski kolonializm.

– Aleja nie... – próbował powiedzieć jego bliźniak.

– Proszę, niech na końcu Marsjanie przegrają. Nie odbieraj czytelnikom nadziei.

Chłopak zaśmiał się sceptycznie.

– No dobrze. Jeśli kiedyś napiszę tę książkę, obiecuję panu takie zakończenie. Ale... – zastanowił się – ...co mogłoby pokonać te ich potężne maszyny?

Wells wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale na pewno coś wymyślisz. Masz mnóstwo czasu.

Chłopak skinął głową, rozbawiony zadaniem, które powierzył mu nieznajomy. Wells na pożegnanie uniósł rękę do kapelusza i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł,

jednocześnie wciąż stojąc nad ciemnymi szemrzącymi falami. Na jego ustach wykwiłał pierwszy w życiu ironiczny uśmiezek.

XLII

Musiło upłynąć siedemnaście lat, nim ten młodzieniec, którego przewrotny los jednak uczynił pisarzem, opublikował *Wojnę światów*. Gdy w końcu książka trafiła do rąk starszego Wellsa, ten wertował kartki dobrze sobie znanej opowieści z tą samą melancholią, z którą odhaczał swoje dni. W tym czasie zobaczył, jak chłopak z pomostu dorasta, z ulgą porzuca pracę w centrum tekstylnym, by zostać asystentem pana Byatta, dostaje stypendium do Royal College of Sciences i żeni się ze swą kuzynką Isabel, by wkrótce się rozwieść i zamieszkać z Jane w Mornington Place, wymiotować krwią na schodach Charing Cross, wydać *Wehikuł czasu*, przeklinać pod drzwiami Podróży w Czasie Murraya, przenieść się do domku z ogrodem w Woking... Wszystko działo się dokładnie tak, jak dziać się miało. Nie zauważył najmniejszej zmiany, a teraz, mając przed sobą książkę, mógł w końcu sprawdzić, czy ryzykowna rozmowa, którą odbył z samym sobą na pomoście w Southsea, do czegoś posłużyła.

Powieść była niemal identyczna z tą, którą on sam napisał, lecz z radością odkrył, że wyróżniają ją dwie kwestie. Po pierwsze, Marsjanie nie niszczyli jego planety za pomocą maszyn latających w kształcie płaszczki, tylko za pomocą naziemnych trójnogów o wyglądzie złowrogich pajaków, co wywołało w czytelniku znacznie bardziej znajomą grozę. Ponownie przeżywał strach, który mu towarzyszył podczas ucieczki przed prawdziwymi trójnogami w życiu, co – choć czasem zdawało mu się zaledwie sennym koszmarem – pozostawiło w jego duszy ślad dość głęboki, by ten koszmar dręczył go po nocach.

Zastąpienie latających maszyn trójnogami pozostawało jednak nieistotnym szczegółem. Przed laty zaryzykował rozmowę z piętnastoletnim sobą tylko po to, by przekonać młodzieńca do zmiany zakończenia książki, i ucieszył go fakt, że pisarz posłuchał jego rady. O ile w pierwotnej wersji Marsjanie podbijali Ziemię i zniewalali nielicznych ocalałych ludzi, o tyle w powieści młodszego z Wellsów zostali pokonani kilka dni po przybyciu, choć nie przez człowieka. To oczywiste: jakże mielibyśmy tego dokonać? Nie; z najeźdźcami poradziły sobie organizmy znacznie skromniejsze, które Bóg w swojej niezmierzonej mądrości umieścił na Ziemi: bakterie. Gdy już cała ludzka broń zawiodła, te mikroskopijne stworzonka, które od zarania dziejów pobierały od człowieka haracz, bezlitośnie dziesiątkując populację, póki ta nie uodporniła się na nie, zaatakowały Marsjan, gdy tylko ci pojawili się na planecie – niedostrzegalne, pracowite i śmiertelne. Ponieważ na Marsie nie było zarazków, tamtejsze istoty okazały się wobec nich całkowicie bezbronne. Można powiedzieć, że były skazane na zgubę, nim jeszcze wylądowały na powierzchni Ziemi.

Mile zaskoczony Wells musiał przyznać, że chłopak z pomostu elegancko poradził sobie z zadaniem, wymyślając dość oryginalny i zaskakujący sposób pokonania najeźdźców mimo ich potężnych machin. Nie miał wątpliwości, że w odróżnieniu od jego własnej powieści tę czytelnik będzie zamykał z uśmiechem na ustach, spełniając tym samym nadzieje Servissa.

Ucieszył się więc dwa miesiące później, kiedy jego bliźniak przyszedł na lunch do tawerny Pod Koroną i Kotwicą i w oczach amerykańskiego dziennikarza nie zobaczył ani śladu gorzkiej wymówki. W świecie, w którym obecnie się znajdował i który nie był jego światem, choć podejrzenie go przypominał, *Wojna światów* opowiadała o niespodziewanej i okropnej inwazji marsjańskiej, z której jednak w ostatniej chwili człowieka uratowała ręka boska, równie niewidoczna jak zarazki rozsiane przez nią po

planecie. Musiał przyznać, że jest to znacznie celniejsza i bardziej subtelna krytyka rozpasanego brytyjskiego kolonializmu, choć zamieszczony na końcu promyk nadziei nie zapobiegł napisaniu przez Servissa powiastki *Edison podbija Marsa*, podobnie jak miało to miejsce w pierwotnej rzeczywistości Wellsa.

Jak być może pamiętacie, dziełko Garretta P. Servissa udawało drugą część *Wojny światów* i opowiadało o tym, jak człowiek, a konkretnie delegacja ludzka z tym niezdolnym Edisonem na czele niczym zawistne babsko wyrusza na Marsa, by dokonać zemsty. Dubler Wellsa udał się do tawerny, by mu wypomnieć tę bezczelność, zmieszać jego utwór z błotem, a może nawet wyznać mu szczerze, co sądzi o tym bezwstydniku Edisonie. Prawdziwy Wells obserwował zaś spotkanie dwóch pisarzy z kącika, ukryty za brodą, lwią grzywą i zmarszczkami. I tak jak w jego przypadku, choć sobowtór przyszedł do tawerny z silnym pragnieniem konfrontacji, w której posypią się iskry, w istocie spotkanie potoczyło się, jak już wam wiadomo, całkiem inaczej.

Nim skończyli posiłek, długa defilada kuflów zdążyła uczynić z nich towarzyszy, by nie rzec – serdecznych przyjaciół. Kiedy zataczając się i co rusz wybuchając śmiechem, wyszli z tawerny, Wells ruszył w ślad za nimi. Wbrew temu, co pamiętał z własnego życia, nie wzięli powozu, by pospiesznie udać się do muzeum, lecz pożegnali się wylewnie i każdy ruszył w swoją stronę.

Stojący w drzwiach tawerny Wells uśmiechnął się z niewysłowioną ulgą. Przez te wszystkie lata zadawał sobie pytanie, czy istotnie zmienił przyszłość, a teraz wreszcie miał na to dowód: nie pojechali do muzeum, bo nie było tam żadnego Marsjanina. On sam unicestwił go w pojedynku na śmierć i życie wśród dalekich lodów Antarktydy. Rozerwał go na kawałki i wymazał z mapy. Być może jego statek znajdował się pośród setek szpargałów wypełniających Kryptę Osobliwości, ale wyglądało na to, że Serviss nie był nim tak zafascynowany jak Marsjaninem, którego postanowił za wszelką cenę pokazać oryginalnemu Wellsowi, przez co uruchomił lawinę zdarzeń. Cóż – tu kończyły się wspomnienia naszego bohatera. Od tej pory – myślał, maszerując radośnie na najbliższą stację, by odjechać do Weybridge – wszystko, co przydarzy się jego bliźniakowi, będzie zaskoczeniem dla nich obu.

W pociągu zadawał sobie pytanie, czy pokonawszy Wysłannika, uratował zarazem swych towarzyszy. Z całą pewnością wyrwał z tamtej rzeczywistości Jane, bo czasem podążał za nią ulicami Londynu, gdy odwiedzała ulubione sklepiki albo przemierzała na rowerze okolice Worcester Park, by na koniec powrócić zawsze do domu i zatonać w ramionach jego bliźniaka, pozostawiając go z mieszaniną zazdrości i satysfakcji. Uratował ją, by jego drugie ja mogło się nią cieszyć, i wciąż na nowo musiał wbijać sobie do głowy, że przecież tamten Wells też jest nim i że biorąc pod uwagę fakt, iż uratował ją z narażeniem życia, by móc spędzić z nią resztę swoich dni, powinien się cieszyć, że jego młodsze ja traktuje ją w ten sposób, podobnie jak martwiłby się, gdyby tamten z czasem przestał ją kochać.

Uratował też Charlesa, na którego teraz lubił wpadać w bramach teatrów jedynie po to, by rzucić okiem na zamożnego i eleganckiego młodzieńca, uśmiechającego się do przyjaciół nieskazitelnym wachlarzem lśniących białych zębów, albo i usłyszeć jeden z jego ironicznych komentarzy na temat funkcjonowania państwa czy innych aktualnych spraw, jakby chciał wymazać ostatnie wspomnienie, jakie o nim zachował z poprzedniej rzeczywistości – brudnego, rozczochranego mężczyzny uciekającego przed potwornymi stworami przez londyńskie kanały.

Uratował też Murraya, Emmę, kapitana Shackletona, jego ukochaną Claire, agenta Clayтона i woźnicę, którego imię zapomniał... Gdziekolwiek się znajdowali, czy byli szczęśliwi czy też nie, z pewnością żadne z nich nie musiało przeżywać straszliwej marsjańskiej inwazji. Mogli spokojnie wieść swoje życie, jakby nic złego ich nie spotkało, co oczywiście w tym świecie było prawdą. Co jednak z ich dublerami z poprzedniej rzeczywistości? Czy ich też uratowałem? – zastanawiał się. Czy tamten świat został wymazany z istnienia z chwilą unicestwienia Wysłannika, czy też to zdarzenie wywołało jedynie rozszczepienie gałęzi na bujnym drzewie czasu? Czy jego towarzysze w jakiejś innej odnodze rzeczywistości ponosili konsekwencje marsjańskiej inwazji, jakiekolwiek one były? Czy zostali więźniami pozaziemskich istot? Oczywiście wolał myśleć, że nie. Wolał sądzić, że zabiwszy Wysłannika, spowodował automatyczne zniknięcie tamtej linii czasowej. Że gdyby przyłożył ucho do ściany wszechświata, nie usłyszałby dobiegających z drugiej strony krzyków tych, którzy zostali uwięzieni w pobliskim piekle. Że to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Było jednak coś, co podważało całą tę teorię: jego wspomnienia. Jak mógł przechowywać w pamięci wspomnienia czegoś, co nigdy nie miało miejsca? Zawsze fantazjował o możliwości istnienia czegoś, co nazywał wszechświatami równoległymi – światów rodzących się z każdego, nawet najmniej istotnego wyboru dokonywanego przez człowieka. Jeśli dziś zjem lunch w domu, nic się nie zdarzy, lecz jeśli postanowię zjeść w tawernie Colaridges, struję się i moje życie pobiegnie dalej zupełnie innym torem. Jedna trywialna decyzja rozszczepi je na dwie części, które będą biec równoległe do siebie, choć ja będę widział tylko jedną z nich. Teraz jednak nie miał najmniejszych wątpliwości, że światy równoległe istnieją: gdyby nie zabił Wysłannika, Marsjanie zaatakowałyby Ziemię, lecz jego zabicie sprawiło, że inwazja nigdy nie nastąpiła. Tylko czy oznaczało to, że tamta rzeczywistość przestała istnieć? Nie; zbytnią zarozumiałością byłoby sądzić, że czegoś nie ma, tylko dlatego, że samemu nie może się tego zobaczyć. Rzeczywistość, w której inwazja nastąpiła, istniała – miał na to aż nadto dowodów – więc logiczne było, że gdzieś za granicą tej zamieszkiwanej przez niego istnieje nadal. Dlatego też, choćby nie wiedzieć jak mocno przekonywał siebie, że jego bohaterstwo uratowało resztę kompanii, w głębi duszy wiedział, że to tylko jedno z możliwych spojrzeń na tę sprawę, stronnicze i eskapistyczne. Dla tych, którzy pozostali w tunelach po jego zniknięciu, Wells po prostu rozpląnął się w powietrzu, a może utonął w zbiorniku i wir pociągnął go z nurtem Tamizy. Nie mieli pojęcia o jego śmiałym uczynku, bo w żaden sposób nie wpłynął on na ich życie...

Musiał nauczyć się żyć z myślą, że tak właśnie wygląda smutna rzeczywistość. Pocieszał się, że zdołał przynajmniej stworzyć nowy świat, w którym inwazja nigdy nie nastąpi. Przymknął oczy i raz jeszcze, jak to często czynił, odkąd cofnął się w czasie, przeglądał zgromadzone w głowie wspomnienia inwazji niczym ktoś, kto poleruje srebra. Z uśmiechem sympatii rozpamiętywał, jak w trakcie dramatycznych wydarzeń zmieniało się jego zdanie o Murrayu. To niewiarygodne, ale dzięki marsjańskiej alchemii jego nienawiść stopniowo przeobraziła się w coś, czego nie mógł nazwać inaczej niż szacunkiem. Uświadomił sobie, że za kilka dni jego bliźniak znajdzie w skrzynce pocztowej list od przedsiębiorcy. Otworzy go drżącymi palcami, jak zawsze, gdy otrzymywał jego zaproszenia do podróży w przyszłość. Będzie się zastanawiał, o co znów chodzi Murrayowi, ale nawet przez myśl mu nie przejdzie, że tym razem przyczyną korespondencji okaże się miłość. Teraz oczywiście wiedział doskonale nie tylko o tym, ale i o fakcie, że to zaskakujące odkrycie wcale nie zmieni nastawienia jego bliźniaka do

przedsiębiorcy, który tak bezczelnie będzie go prosił o pomoc w odtworzeniu inwazji opisanej w powieści. Osłupiały przeczyta list kilkakrotnie, nie wierząc własnym oczom, lecz nie odpisze. W końcu włoży go między stronicę swojej książki i zapomni o nim. Zbyt mocno nienawidził Murraya, by udzielać mu jakiegokolwiek pomocy, nawet jeśli ten był rozpaczliwie zakochany. Lecz on, starszy z Wellsów, już go nie nienawidził. Po tym, co razem przeszli, nie żywił do niego najłżejszej urazy. Miłość odmieniła przedsiębiorcę, lecząc go z egoizmu i czyniąc zeń człowieka gotowego poświęcić się dla ratowania towarzyszy. Podczas pożegnania w kanałach Wells przeprosił go za to, że nie odpisał na list. „Gdybym go dostał dzisiaj, z pewnością bym to zrobił” – rzekł. A teraz, konkretnie za dwa dni, miał otrzymać go znowu. Po przybyciu do domu rozłożył więc na biurku arkusz papieru, położył na nim pióro i kontemplował ten ryzykowny układ, tworząc w głowie odpowiedź. Z całą pewnością nie mógł pomóc Murrayowi w odtworzeniu inwazji marsjańskiej, bo przekraczało to jego możliwości, ale i nie wydawało mu się konieczne. Pamiętał, że podczas ucieczki przed Marsjanami panna Harlow z każdą chwilą pałała silniejszym uczuciem do przedsiębiorcy, a przede wszystkim pamiętał jej szczerzy, perlisty śmiech, którym przywitała próbę wydojenia przez Murraya krowy, gdy zatrzymali się na farmie w drodze do Londynu. Chyba wiedział, co musi zrobić przedsiębiorca.

Pochylił się nad kartką i koślawym, nieco dziecinnym pismem, którego się nauczył, ćwicząc przez lata lewą dłoń, jakże odmiennym od jego dawnego praworęcznego stylu pełnego falujących równin i strzelistych szczytów, zaczął kreślić jedną z tych stronic, które dały mu najwięcej zadowolenia spośród wszystkich napisanych w ciągu obu żywotów:

Drogi Gilliamie!

Choć pewnie wyda Ci się to dziwne, cieszę się na wieść o tym, że jesteś zakochany. Niestety jedynym, co mogę dla Ciebie zrobić, jest udzielenie Ci pewnej rady: nie staraj się odtworzyć marsjańskiej inwazji. Zamiast tego spróbuj rozbawić ukochaną. Spraw, by się śmiała; by jej śmiech dzwonił w powietrzu niczym worek srebrnych monet. Wtedy zdobędziesz ją na zawsze.

Ściskam serdecznie,
Twój przyjaciel George

Potem włożył list do koperty, by po upływie trzech dni wrzucić ją do skrzynki pocztowej i wysłać na adres Podróży w Czasie Murraya. Powróciwszy do domu, z uśmiechem wyobrażał sobie wyraz osłupienia, który wykwitnie na twarzy przedsiębiorcy po otwarciu koperty. Przypuszczał, że tamten nieufnie odniesie się do jego przyjacielskiego tonu i wylewnego pożegnania, lecz nie potrafił sobie ich odmówić. Być może, pomyślał, pomogą one Murrayowi zrozumieć, że o ile znalezienie prawdziwej miłości jest jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie mogą się przydarzyć człowiekowi, znalezienie przyjaciela również ma swój urok.

XLIII

Pierwszego sierpnia, w dniu przybycia Marsjan, H.G. Wells bardzo wcześnie udał się na pastwiska Horsell, by zobaczyć walec, który podobno spadł z nieba poprzedniej nocy. Powóz wysadził go obok zbiorowiska innych pojazdów stłoczonych na skraju łąki. Zapłaciwszy woźnicy, Wells powoli ruszył przez pastwisko, z całkowitym spokojem kierując się ku widocznemu w oddali tłumowi gapiów zasłaniających tajemniczy obiekt. Poprzednim razem, z powodu agenta Claytona, nie miał dość spokoju, by się przyjrzeć każdemu szczegółowi tak dokładnie, jak by chciał, lecz teraz zamierzał podziwiać każde pociągnięcie pędzla na tym obrazie, który on sam namalował już kiedyś w swej powieści. Z uśmiechem zadowolenia przedzierał się leniwie pośród dziesiątków zgromadzonych osób, w większości pochodzących z Woking i Chester, z rozkoszą wsłuchiwał się w ekstrawaganckie tytuły z gazet, a nawet pozwolił sobie schłodzić się imbirowym piwem przy jednym z wielu ustawionych po drodze kramów, nim w końcu podszedł do marsjańskiego walca.

Gdy znalazł się w miejscu, w którym ten rzekomo się rozbił, tworząc w ziemi ogromny lej, musiał przyznać, że Murray odtworzył powieściowy pojazd z idealną precyzją. Przez długą chwilę pisarz w milczeniu podziwiał ogromny szary obiekt, w który kilkoro dzieci nieśmiało rzucało kamykami. Teraz pozostało jedynie sprawdzić, co przedsiębiorca ukrył wewnątrz, bo skoro w końcu zdecydował się przytargać tu ten rupieć, akceptując w ten sposób wyzwanie Emmy, to dlatego, że chciał ją w jakiś sposób zaskoczyć. Czy zapomniał o Marsjaninie i chciał po prostu dziewczynę rozbawić, jak zasugerował mu w liście Wells? Cokolwiek miało wyjść z cylindra, pisarz nie zamierzał sobie odpuścić tego widoku.

Choć prawdopodobieństwo, że ktoś go rozpozna w staruszku, w którego zmienił go upływ lat, było niewielkie, trzymał się z dala od tłumu, w pobliżu miejsca, w którym ustawili się ostrożniejsi z gapiów, i stamtąd rozglądał się z dyskretną satysfakcją. Wkrótce wypatrzył młodszego o trzydzieści trzy lata siebie w towarzystwie agenta Claytona, który wskazywał walec proteżę, a on sam, ubrany w odważny garnitur w kwadraciki, sceptycznie kręcił głową. Kilkanaście metrów w prawo od nich stała Emma, nietknięta przez cizbę, jakby jej niewysłowna uroda chroniła ją niczym bańka. Amerykanka, która inaczej niż podczas od ich pierwszego spotkania w tym miejscu nie była mu już obca, osłaniała się przed słońcem parasolką, z powagą wpatrzona w walec i starająca się nie okazywać niezadowolenia z faktu, że Murray nie dał za wygraną i zorganizował tę całą szopkę wyłącznie po to, by ją zdobyć. Nigdzie natomiast nie było widać samego przedsiębiorcy, choć musiał skąd kierować spektaklem. Być może ukrył się za drzewami, czekając na odpowiedni moment, by wejść do akcji.

Choć jednak wszystko było w porządku, choć każda rzecz zdawała się taka, jaką ją pamiętał, Wells czuł w trzewiach bolesny niepokój. Nagle zawładnęło nim wrażenie, że coś w tym wszystkim jest nie tak, że jakiś szczegół nie pasuje, lecz nie wiedział jaki. Rozejrzał się raz jeszcze, tym razem z większą uwagą: ludzie tłoczyli się wokół walca, Emma obserwowała go z oddali, kręcąc nerwowo parasolką, Clayton przedzierał się przez cizbę w kierunku kapitana oddelegowanej na miejsce policji, bliźniak Wellsa posłusznie stał w miejscu, uśmiechając się ironicznie pod adresem marsjańskiego walca w swoim garniturze w kwadraty odbijającym światło poranka... Zaraz, zaraz! Już wiedział, co jest nie tak! Garnitur w kwadraciki... Pisarz z dreszczem grozy uświadomił sobie, że widział go na wystawie sklepu, w którym zwykle kupował ubrania, i że po długim zastanawianiu

się, czy ten śmiały wzór można uznać za elegancki, czy raczej za śmieszny, postawił jednak na bezpieczny ciemnobrązowy garnitur podobny do wcześniejszych; taki, który nie zburzy harmonii panującej w jego garderobie. Właśnie tego ranka włożył go po raz pierwszy... A jednak jego bliźniak, najwyraźniej śmielszy od niego, kupił garnitur w kwadraty i miał czelność udać się w takim stroju na oględziny marsjańskiego pojazdu.

Wells obserwował go, skonsternowany tym drobnym aktem nieposłuszeństwa dublera, który ośmielił się improwizować, zamiast pokornie odgrywać swoją rolę. Jak mógł to zrobić, nie powodując rozpadnięcia się świata na tysiąc fragmentów, a przynajmniej nie wywołując zawirowania podobnego temu, które wywołuje kamień uderzający o taflę stawu? Wtedy pisarz przypomniał sobie bliznę na brodzie sobowtóra – kolejną anomalię, do której przedtem nie przywiązywał wagi. Choć te drobne odstępstwa nie czyniły żadnej poważnej różnicy, w pewien sposób go przestraszyły, przypominając, że znajduje się w obcej rzeczywistości. Owszem, bardzo podobnej do jego własnej, ale nieco odmiennej. Do tej pory odkrył kilka drobnych różnic i był przekonany, że jest ich znacznie więcej. Obserwując samego siebie, był tak skupiony na najważniejszych zdarzeniach, że nie troszczył się o takie drobiazgi jak blizna na brodzie i okazały garnitur w kwadraciki, które zdawały się szeptać mu do ucha, iż znajduje się w obcym wszechświecie.

Ale jak to możliwe? Cofnął się w czasie do roku 1829, dokonał czynu dość istotnego, by zmienić przyszłość, a następnie przeskoczył do 1865, roku sprzed swoich narodzin, by znaleźć się w świecie, który sam odmienił. Jedynymi zmianami wokół niego powinny zatem być – nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości – te wynikające z zabicia Wysłannika, a raczej trudno mu było uwierzyć, że garnitur w kwadraciki do takich należy. To zaś mogło jedynie oznaczać, że z jakiegoś niepojętego dlań powodu nie wrócił do tej samej linii czasowej, z której wyruszył. Znalazł się w innej, podobnej, lecz nie identycznej.

Pokręcił głową, przyglądając się, jak agent Clayton wraca do jego bliźniaka. Zaskoczyły go własne przemyślenia, ale kto wie, może doszedł do słusznych wniosków – może skoki w czasie nie odbywały się w obrębie jednej rzeczywistości? Może to, co nazywał światami równoległymi, nie powstawało w wyniku każdej dokonanej zmiany, lecz istniało już wcześniej, samo z siebie? Wyobraził sobie wszechświat złożony z nieskończonej liczby rzeczywistości nałożonych na siebie niczym warstwy ciasta francuskiego; katalog wszystkiego, co mogłoby się wydarzyć, z kartkami różniącymi się od swych sąsiadów szczegółami tak nieznacznymi jak garnitur w kwadraty lub tak doniosłymi jak zabicie istoty z innej planety. Byłyby w nim światy, w których nie wynaleziono maszyny parowej, takie, w których nie zniesiono niewolnictwa, nie było epidemii cholery, niedźwiedzie polarne i Ekimosi żyli na biegunie północnym, a nie na południowym, Shelley nie zginął podczas zatonięcia „Don Juana”, Darwin zginął w katastrofie „Beagle’a” albo na przykład Kuba Rozpruwacz nie zabił Mary Kelly siódmego listopada, tylko dwa dni później. Możliwości były niezliczone. I we wszystkich tych światach on miałby bliźniaka, innego Wellsa, niemal identycznego, lecz mającego alergię na ostrygi albo niebędącego pisarzem, tylko profesorem, albo takiego, który napisał te nieznośne powieści Henry’ego Jamesa, i w końcu, rzecz jasna, takiego, który nie umiał podróżować w czasie... W nieskończonym wszechświecie istniały setki, tysiące, nieskończona liczba Wellsów. A on potrafił przeskakiwać z jednej rzeczywistości do drugiej, posiadał... ten dar? Tę chorobę? A może najśluszniej byłoby powiedzieć – to przekleństwo? Nieważne. Cokolwiek to było, pozwalało mu się przemieszczać między

światami, dzięki czemu wrócił nie do własnej przeszłości, lecz do innej. Była to jednak przeszłość, w której Wysłannik również rozbił się w swoim statku na Antarktydzie, a „Annawan” utknął wśród lodu – istniały bowiem tysiące rzeczywistości, w których to się nie stało – a więc przeszłość identyczna z jego własną, wyjąwszy kilka detali tak nieistotnych, że nawet sobie nie uświadomił, iż znalazł się gdzie indziej. Po zabiciu Wysłannika przeniósł się do równoległej przyszłości – przyszłości, w której jego bliźniak ubierał się bardziej ostentacyjnie, niż on kiedykolwiek sobie pozwolił.

Przyszłości – uświadomił sobie nagle – w której być może nikt nie zabił Wysłannika. Z nagłym uczuciem grozy spojrzął na walec, zadając sobie pytanie, czy wbrew wszystkiemu, co dotąd sądził, nie kryje się w nim autentyczny Marsjanin.

W tym momencie pokrywa pojazdu zaczęła się otwierać. Tłum zastygł w uroczystej ciszy. Stojący w pierwszym szeregu bliźniak Wellsa i agent Clayton przerwali rozmowę i wbili wzrok w walec. O ile prawdziwy Wells dobrze pamiętał, Clayton tłumaczył mu wówczas, że za niecałą godzinę wojsko otoczy walec, a ten usiłował go przekonać, że takie środki ostrożności nie są konieczne. Być może jednak nie ma racji, podobnie jak poprzednio, pomyślał pisarz, przypominając sobie snop ognia, który wówczas wystrzelił z obiektu i trafił za jednym zamachem cztery czy pięć osób, zmieniając je w pochodnie, a łąkę w pole straszliwej bitwy. Czyżby to miało się znów wydarzyć? Czyżby zniszczenie Wysłannika poszło na marne? Wpatrywał się w pokrywę, która w końcu opadła i głośno uderzyła o bok pojazdu. Czując, jak serce łomocze mu w piersi, przygotował się na śmierć w wyniku porażenia ognistym promieniem.

Przez kilka sekund nie działo się nic. Potem z wnętrza walca wystrzeliło coś w rodzaju fajerwerku, wznosząc się w poranne niebo i rozpadając na wysokościach z cichym pomrukiem, po którym na niebie rozbłysnął czerwony kwiat. Zaraz potem nastąpił kolejny wystrzał, a po nim jeszcze jeden, aż w końcu niebo zmieniło się w ogród pełen świetlistych palm, jaskrawych róż i połyskujących bluszczy. Wells przyglądał się temu zaskoczony, ale ledwie zdążył zrozumieć, że marsjański walec puszcza sztuczne ognie, z jego wnętrza wyleciało stado egzotycznych ptaków, kolorowa wstęga, która zaraz potem rozproszyła się na wszystkie strony i latała nad kapeluszami oczarowanych widzów jak na jakimś pogańskim odpuszcie. W następnej chwili rozbrzmiała wesoła muzyka, początkowo zdająca się także dobiegać z wnętrza walca, lecz kiedy stała się głośniejsza, zebrani jak jeden mąż odwrócili głowy w kierunku pobliskich drzew. Muzycy w kolorowych marynarkach szli przez łąkę defiladowym krokiem, rozpraszając powietrze radosnymi dźwiękami trąbek, bębnów i talerzy. Za nimi ku powszechnemu zdumieniu pojawił się tuzin koni, na grzbietach których wykonywały ewolucje piękne akrobatki. Ale walec ani śmiał na tym poprzestać: z jego brzucha wyskoczyła nagle grupa fakirów, którzy zaczęli wypluwać w powietrze kule ognia.

Wells przyglądał się temu w oszołomieniu, czując, jak jego ciało ogarnia ogromna, euforyczna ulga. Najwyraźniej jednak nie miał zginąć. Ani on, ani nikt z tu obecnych. Trafił do innego wszechświata niż ten, z którego pochodził, lecz najwyraźniej był to wszechświat, w którym Wysłannik nie zagroził Ziemi: może rozbił się na jakiejś innej planecie, może wciąż tkwił zamrożony w bryle lodu i nikt go nie odnalazł, a może jakiś inny Wells pochodzący z innej rzeczywistości unicestwił go w ten sam sposób, w który on to zrobił. Tak czy owak widoczny przed nim walec był wyłącznie dziełem Murraya. Prawdziwe marsjańskie pojazdy, jeśli kiedykolwiek zaistniały w świecie, w którym się teraz znajdował, musiały tkwić zagrzebane gdzieś pod ziemią i miały tam pozostać, póki nie zje ich rdza.

Z radosnym uśmiechem porzucił obawy i próbował się rozkoszować spektaklem, choć nie za bardzo wiedział, w którą stronę patrzeć, bo wszędzie wokół działy się cuda – połykacze mieczy, żonglerzy, ludzie na dziwacznych trójkołowych rowerkach, pieski tańczące na trawie, klauni fikający koziołki i rzucający w siebie tortami, iluzjoniści wyjmujący gołębie z cylindrów. I nagle, gdy nikt już nie czuł najmniejszego lęku, z walca wyłonił się Marsjanin. Jego widok wywołał salwę śmiechu, bo wyglądał jak groteskowa marionetka, która wkrótce zaczęła się poruszać z zabawną niezdarnością w rytm beztrioskiej melodii. Widzów zaskoczyło jednak co innego: między pluszowymi mackami Marsjanina rozpięty był transparent pytający zamaszystym szkarłatnym pismem: „EMMO, WYJDZIESZ ZA MNIE?”. Wśród śmiechów i oklasków widzowie spoglądali po sobie, usiłując odgadnąć, która spośród zebranych dam jest adresatką całego tego spektaklu przygotowanego przez tajemniczego pretendenta. Ale jedynie Wells spoglądał na dziewczynę z parasolką, która w pewnym oddaleniu od tłumu z niedowierzaniem obserwowała przedstawienie na swoją cześć.

Nagle muzyka ustąpiła miejsca emocjonującemu biciu bębnow. Wszyscy rozglądali się wyczekująco, lustrując wzrokiem walec, drzewa w tle, a nawet patrząc na sąsiadów w poszukiwaniu tego, co z narastającym entuzjazmem ogłaszały bębny. Nikt jednak nie spojrział we właściwym kierunku – niespodziewanie bowiem ogromny cień, podobny do tych rzucanych przez burzową chmurę przysłaniającą słońce, przykrył łąkę niczym zapowiedź nocy. Wszyscy – z Wellsem włącznie – podnieśli wzrok i ze zdumieniem ujrzeli lecący nad ich głowami wielki balon. Na razie był zbyt wysoko, by zobaczyć, kto siedzi w koszu, lecz na ogromnej kuli pomalowanej w jaskrawe zielenie, żółcie i turkusy widniało pompatyczne złote „G” inkrustowane połyskującymi klejnotami. Kilka sekund później balon zaczął się zniżać, wywołując aplauz zgromadzonych. Kiedy znajdował się kilka metrów nad ziemią, z kosza wyfrunęło naręcze kolorowych lin, po których zjechało kilku akrobatów przebranych za lokajów w liberjach, wykonując w powietrzu szalone ewolucje. Gdy stanęli na ziemi, zaczęli przygotowywać ogromny balon do lądowania, otoczeni przez podskakujących zabawnie ludzi na szczudłach, którzy pojawili się nie wiadomo skąd.

Oczom publiczności powoli ukazywał się jedyny pozostały w koszu pasażer, który powitał tłum szerokim uśmiechem, gdy balon lądował na trawie z ostentacyjną flegmą sadowiącego się słonia. Następnie mężczyzna w asyście lokajów–linoskoków majestatycznie wysiadł z kosza. Był to człowiek niespotykanego wzrostu, za to szczupły, jakim Wells nigdy dotąd go nie widział. Musiał przyznać, że mając tyle kilogramów mniej i z otaczającą twarz starannie przystrzyżoną brodą zupełnie nie przypominał Pana Czasu, który zginął tragicznie w czwartym wymiarze. Aby dopełnić szalonego obrazu, przystroił się w jaskrawo fioletowy garnitur z żółtą muszką, która dzięki jakiemuś mechanizmowi wirowała obsesyjnie na jego szyi, i duży niebieski kapelusz, z którego niczym z komina dobywał się zabarwiony na pomarańczowo dym, snując się w powietrzu jak jakaś niewiarygodna gąsienica. Po ostatnim dramatycznym trylu werbli zaległa cisza. Nieznajomy rozglądał się po ciżbie, jakby kogoś szukał. Potem zwrócił się w jednym kierunku, zdjął kapelusz i wykonał zamaszysty ukłon. Tłum zrozumiał, w czym rzecz, i rozstał się, tworząc szpaler pomiędzy nieznajomym a zdumioną uroczą dziewczyną, z konsternacją przyglądającą się adoratorowi. Murray uśmiechał się wyczekująco, wciąż z wirującą na szyi muszką i unoszącym się z kapelusza bajkowym dymem. Przez kilka sekund tłum w napięciu czekał na reakcję dziewczyny. W końcu na jej wargach począł wykwić uśmiech, który bezskutecznie usiłowała powściągnąć. Rozjaśnił jej twarz, a w

ślad zanim rozległ się najbardziej perlisty, najcudowniejszy śmiech, jaki zebrani słyszeli w życiu. Tak w każdym razie chciał myśleć Wells, który wprawdzie nie słyszał śmiechu Emmy poprzez gwar, lecz doskonale go pamiętał z farmy w Addlestone. Orkiestra zaczęła grać kolejną skoczną melodię, a Emma zdecydowanym krokiem ruszyła z uśmiechem w stronę stojącego obok wielkiego kolorowego balonu najwyższego, najbardziej ekscentrycznego i najbardziej zakochanego mężczyzny, jakiego w życiu widziała.

Gdy tak szła, rozentuzjasmowany tłum podążał za nią, zamykając parę w gęstym morzu aplauzu i wiwatów. W ten sposób Wells stracił ją z oczu, lecz to, co zdążył zobaczyć, wystarczyło, by poznał finał historii lepiej nawet niż jej bohaterowie: chcąc nie chcąc, dziewczyna w końcu zakocha się w Murrayu. Nie miał w tej kwestii najmniejszych wątpliwości, bo przecież już raz ją widział, jak mościła się w ramionach przedsiębiorcy niczym wróbel w gnieździe, by umrzeć wraz z nim, okazując miłość, o której dotąd sądził, że istnieje wyłącznie w głowach romantycznych pisarzy i czytających ich dzieła pensjonarek. A jednak. Taka miłość istniała i pisane jej było pojawiać się we wszystkich wszechświatach, choć były niezliczone. Nie mogło być inaczej. Nie mogło przetrwać odgałęzienie rzeczywistości, w której nie zrodziło się uczucie tak cudowne, wielkie i nieuniknione.

Uniósł dłoń do kapelusza, symbolicznie żegnając zakochanych. Potem odwrócił się i pozostawiając za sobą wiwatujący tłum, odszedł w kierunku miejsca, w którym parkowały powozy, z nadzieją na znalezienie jakiegoś, który odwiezie go do Weybridge. Zobaczywszy wszystko, co chciał zobaczyć, powłóczę nogami, mijał ludzi zmierzających w kierunku miejsca, w którym „wylądował” walec, zdumionych dobiegającą stamtąd skoczną muzyką, i uśmiechał się do siebie, szczęśliwy, że wszystko dobrze się skończyło – przynajmniej w tym wszechświecie, w którym jego zmęczone wędrówką kości znalazły wreszcie przyjemny kątek, gniazdo gotowe zaopiekować się nim bez zbędnych pytań jak pisklęciem kukulki. I musiał przyznać, że jest to jeden z najlepszych wyobraźalnych wszechświatów. Pragnął jedynie móc tu pozostać do końca swych dni, których pewnie nie pozostało już wiele, rozkoszując się w swoim wymuszonym odosobnieniu łagodną bryzą radości, którą owiała jego serce ujrzała przed chwilą scena, zamiast przedwcześnie zostać porwany przez swój przeklęty dar w bezpowrotną podróż, która zrujnuje ostatni odcinek jego niebezpiecznego i nieprzewidywalnego życia. I kiedy tak rozmyślał nad polityrą nierealności, jaką Stwórca powłókł jego życie, na jego ustach wykwitł uśmiech rozbawionego niedowierzania. We wszechświecie, w którym rozpoczął swój żywot, wszystko działo się jakby wokół niego, wpływając nań w ten czy inny sposób. Albo też, mówiąc słowami użytymi przez Wysłannika w londyńskich kanałach, przydarzało się „za jego pośrednictwem”. Czyżby to miało jakiś tajemniczy związek z jego zawodem? Być może w rzeczywistości, z której pochodził, pisarze byli czymś w rodzaju mediów wydobywających za pomocą piór ukrytą prawdę o świecie: nie tylko o tym, czego nikt nie dostrzegał, lecz także o tym, co jeszcze się nie wydarzyło; jednostkami o podświadomości połączonej z całym kosmosem, dzięki czemu mogli widzieć to, co znajduje się za zasłoną; jednostkami kreślącymi w zaciszu swych gabinetów brudnopisy świata, bo nic nie istniało, póki słowa nie wydobyły tego z niebytu. Czy pośród wszystkich możliwych światów istniał taki, w którym realizowały się scenariusze Verne’a? Pewnie tak, choć na szczęście Wells nie miał okazji trafić do żadnego, który przekształcałby się zgodnie z zachciankami tego irytującego zabójcy. Pocięczała go natomiast świadomość, że z tej samej przyczyny istnieją także światy, w których pisarze są zwyczajnymi ludźmi i wiodą zwyczajne życie. A także co najmniej jeden, jeśli nie więcej światów, do których nigdy nie

dotarł Wysłannik – świat, w którym nie ma ukrytych pod ludzkimi postaciami kosmitów, a człowiek być może podejrzewa istnienie inteligentnego życia na innych planetach, ale nie ma na nie żadnych dowodów z wyjątkiem garści niezbyt wiarygodnych relacji, które ostatecznie trafią na łamy bulwarowej prasy. Krótko mówiąc, świat, w którym jedyne inwazje będą się rozgrywały na kartach powieści tworzonych przez pisarzy spoglądających w niebo i starających się odgadnąć jego tajemnice.

Zatrzymał się na chwilę, by dać odpocząć zmęczonym nogom, marząc o tym przyjemnym, rozsądnym świecie, gdzie nie istniały tajemnicze siły dośrodkowe starające się za każdym razem wciągnąć go w wir wydarzeń, które sam przepowiedział. Być może było takich światów więcej, a w każdym zamieszkiwał jego bliźniak cieszący się spokojnym, pozbawionym tej całej komicznej odpowiedzialności życiem. Cieszył się ogromnie w ich imieniu, nie bez odrobiny zazdrości, a jednocześnie smuciła go myśl o wszystkich tych Wellsach mieszkających we wszechświatach podobnych do jego własnego i borykających się z tą samą dolegliwością, ciągnących za sobą to samo przekleństwo co on. Ilu ich się znalazło na obczyźnie, skazanych na wieczną tułaczkę po oceanach nieskończonego czasu, dryfujących niczym latające holendry w obcych rzeczywistościach, by nigdy nie wrócić do miejsca, z którego wyruszyli? Z pewnością wielu. Prawdę powiedziawszy, z trudem potrafił określić, skąd sam pochodzi, bo przecież już podczas pierwszego skoku, który przydarzył mu się na farmie w Addlestone, musiał się przenieść do innego wszechświata, by następnie wrócić do przeszłości należącej do jeszcze innego – takiego, który właśnie opuścił jeden z jego bliźniaków, pozostawiając mu ogrzane łóżko.

Musiały ich być setki, tysiące. Z przerażeniem myślał o tym, ilu z nich dokonało już jakichś zmian we wszechświatach, w których wylądowali; zmian z pewnością nie zawsze tak pozytywnych jak te, których dokonał on i które, musiał przyznać, bardziej zawdzięczał szczęściu niż własnej zręczności. Jemu się udało, choć Bóg jeden wiedział jak, lecz były światy, których nie zdołał naprawić, a może nawet je zepsuł... W wielu z nich pewnie nawet wywołał hekatombę! Być może, pomyślał skonsternowany, stąd właśnie wziął się jego obsesyjny lęk o losy ludzkości, to towarzyszące mu zawsze, nawet przed inwazją, przeświadczenie o nieuniknioności zagłady naszej rasy. Być może, choć nie znał żadnego ze swych bliźniaków oprócz tego, który od początku przynależał do tej rzeczywistości i z którym rozmawiał dawno temu na pomoście w Southsea, wszyscy mieli to samo wspólne sumienie, tę samą zbiorową, nieświadomą, niemal intuicyjną wiedzę, która kazała im bać się zdarzeń będących udziałem innego albo płakać nad nimi. „Ilu z nich było świadkami unicestwienia rodzaju ludzkiego?” – zastanawiał się z dreszczem. Znał co najmniej jednego, który byłby uczestnikiem takiej apokalipsy, gdyby nie uciekł ze swojej rzeczywistości: siebie samego. Choć żywił wielką nadzieję, że odkupił tę winę, dając innemu światu – temu, w którym zabił Wysłannika – szansę życia w pokoju i zdobywając tym samym uniwersalne przebaczenie, nie wiedział, w ilu światach niezdarność albo nieskuteczność H.G. Wellsa doprowadziła do wymordowania ludzi. I czy w każdym z tych przypadków uratował w zamian jakiś inny świat? Czy przechylił szalę na swoją stronę?

Ale na tym nie kończyła się groza. Nie ośmielał się bowiem uważać, iż jest kimś wyjątkowym, nawet jeśli ta wyjątkowość była przekleństwem. Clayton powiedział mu przecież, że poznał innych Podróżników w Czasie. Musiały więc istnieć także inne osoby zdolne przeskakiwać pomiędzy różnymi gałęziami bujnego drzewa światów. Czy robiły to właśnie w tej chwili, być może z bardziej złowrogimi zamiarami niż on? Pokręcił wolno

głową, wyczuwając przez mgłę przerażenia znajome, wytęsknione mrowienie w opuszkach palców: to był świetny materiał na książkę. Ba, na klasyk! Ale on nie był już pisarzem. Pozostało mu westchnąć melancholijnie i ruszyć dalej powolnym krokiem. Nie miał ani sił, ani czasu na napisanie nowej książki, na ratowanie lub niszczenie kolejnego świata, wielu światów, może nawet na ścięcie całego kosmicznego drzewa. Choć ludzkość będzie żyć dalej, on wkrótce zgaśnie, a jego bliźniacy być może odczują to odejście jako muśnięcie kruczego pióra na plecach.

W nieskończonym wszechświecie wszystko jest możliwe, stwierdził, odwracając się, by po raz ostatni spojrzeć z dala na balon i otaczający go radosny tłum. Gdy jego oczy wyłowiły zakochanych, uśmiechnął się. Oby prawdą okazało się to, o czym myślał kilka chwil wcześniej na widok uśmiechu rozkwitającego na ustach dziewczyny. Oby miłość Murraya i Emmy była jedynym, co pozostało stałe w zmiennym pejzażu świata. Oby nie dało się jej wymazać z żadnej spośród niezliczonych możliwych rzeczywistości. Oby nie pozostało im żadne inne wyjście, jak tylko zakochać się w każdym wszechświecie, w każdej rzeczywistości, w każdym ze światów, w których spotkają się ich spojrzenia.

Collado Villalba
maj 2010 – lipiec 2011

PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności pragnę podziękować moim wydawcom, Davidowi Triasowi i Emilii Lope, za entuzjazm, który przejawiali wobec mojego szalonego projektu, odkąd po raz pierwszy im o nim opowiedziałem, choć nie napisałem jeszcze ani linijki. Jeszcze bardziej wdzięczny jestem za to, że ten entuzjazm nie zgasł po przeczytaniu książki.

Oczywiście najszczerze podziękowania składam także swojej agentce, Antonii Kerrigan, nadzwyczaj skutecznej Hildę Gersen i reszcie cudownej ekipy. Dzięki nim mogę powiedzieć, że kiedy wypuszczam z rąk którąś ze swoich książek, to jedynie po to, by trafiła w lepsze.

Powieść jednak czyta się nie tylko wtedy, gdy jest już ukończona. Jak można się domyślić z podziękowań zamieszczanych w większości z nich, wszyscy pisarze mają zaufanych czytelników, którym pozwalają zajrzeć do brudnopisów swoich dzieł, by ci mogli udzielać im rad i pomagać w wytyczeniu kierunku, jako że tylko geniusze potrafią pisać całkiem samodzielnie. W moim przypadku taką osobą jest Lorenzo Luengo, który odkąd się znamy, niestrudzenie czyta wszystko, co wychodzi spod mego pióra, i z absolutną szczerością pomaga mi to dopracować. To właśnie ze względu na tę szczerość pozwalam mu czytać wszystkie swoje brudnopisy z sekretną nadzieją, że w końcu zaaprobuje któryś z nich. Mogę zatem jedynie podziękować mu za wszelkie uwagi, ale i za przekazywanie ich z ogromnym humorem, który pozwala mi łatwiej je przelknąć. Tacy przyjaciele jak on w pewnym stopniu łagodzą przytłaczającą samotność pracy pisarskiej.

Podczas tworzenia tej powieści odkryłem jednak, że można się posunąć dalej – że ta samotność może całkiem zniknąć dzięki temu, iż po prostu się nią z kimś podzielimy. Do niedawna zdawało mi się to niewiarygodne, podobnie jak wiele innych rzeczy, zanim ją poznałem. M.J. bez wahania schroniła się ze mną wewnątrz tej książki i rozpalila tam ciepły ogień, by odpędzić liczne czające się śnieżyce. Teraz wiem, że już nigdy nie będę pisał samotnie. A ponieważ codzienne podziękowania wydają mi się niewystarczające, chcę je złożyć także na tych stronicach – nie tylko za nieskończoną cierpliwość w obliczu moich humorów, wątpliwności i nerwowości, które towarzyszą pracy twórczej, lecz także za pewność, którą każdego ranka znajdowałem w jej oczach, pewność dającą mi do zrozumienia, że jeśli zgubię drogę, ona mnie poprowadzi. W jakimś innym wszechświecie, w którym nasze spojrzenia się nie spotkały, powieść ta bez wątpienia byłaby całkiem inna. Nie ma to jednak znaczenia, bo jestem przekonany, że taki wszechświat nie istnieje.